

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

84

Leopardi

Proust

Beckett

Kędzierski

Libera

Amichaj

Herbert

Chwin

Hartwig

Fiut

Myszkowski

Głowiński

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,  
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny  
Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

GIACOMO LEOPARDI	7	Wieczór dnia świątecznego
	8	Nieskończoność
	9	Ptasi samotnik
	10	Wioskowa sobota
IRENEUSZ KANIA	13	Leopardi sielankowy
MARCEL PROUST	19	W poszukiwaniu utraconego czasu (fragmenty)
SAMUEL BECKETT	39	Nienazywalne (fragment)
SAMUEL BECKETT	49	Trzy listy
MAREK KĘDZIERSKI	53	Przegrać lepiej czy Lepiej przegrać? Beckettowskie niuanse po 25 latach Czy wszystko jest tylko komedią?
ANTONI LIBERA w rozmowie z o. JANUSZEM PYDĄ OP	66	
JEHUDA AMICHAJ	81	To, co zmuszało Józefa • Na zewnątrz pada deszcz
	82	Miejsce, w którym mamy rację
	83	Jakub i anioł • Mój los
	84	Wolno być zapomnianym
JEHUDA AMICHAJ	85	Konfirmacja
ZBIGNIEW HERBERT	98	Do Michaela Krügera
STEFAN CHWIN	107	Antena satelitarna (fragment powieści)
JULIA HARTWIG	121	I jestem z tobą
	122	Milczeć pragnę
JULIA HARTWIG	123	Dziennik (fragment)
BASHŌ, SAMPŪ, KIKAKU, BUSON	133	Haiku Mistrzów
CHORA, ISSA, SENGAI, SHIKI, GETTŌ		
ALEKSANDER FIUT	141	Krynicky: Między tekstami

MURIEL SPARK	155	Duchy autorów
	156	Wyprawa do Sotheby's
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	159	Powrót Mohla (fragment powieści)
EDWIN MORGAN	173	Glasgow • Rovaniemi
	174	Rutherglen • North Berwick
	175	Blantyre • Rutherglen
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	177	Zabójczy chleb
JANUSZ STYCZEŃ	183	Lancelot naprzeciwko milczenia księżycy
	184	Milczenie świata • Coś się stanie
ANNA NASIŁOWSKA	187	Wyspa Lesbos
ARTUR SZLOSAREK	205	Javastraat, rano • Buty, szkoły
	206	Okolica
	207	Kilometry • Wskazówka
ARTUR SZLOSAREK w rozmowie z EMILIĄ KLEDZIK i JOANNĄ ROSZAK	209	Pod obcym niebem o niebie nad Berlinem
LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI	221	Gdzie jesteś? • Dziękczynienie
	222	Z nienawiści kto pijany • Promionki • Winnica
	223	!!!
MAREK KĘDZIERSKI	225	Warszawa – Chiny
ADAM WAGA	251	Granica bezgraniczna
	252	Bajka prawdziwa
	253	Wypominek
ANNA SYNORADZKA-DEMADRE	255	O początkach przyjaźni Jerzego Andrzejewskiego i Krzysztofa Kamila Baczyńskiego
PIOTR SOBOLCZYK	265	<i>Milczenie, które bywa śmiertelnym grzechem</i> – i grzech, który bywa przemilczany. Jerzego Andrzejewskiego <i>queer gothic</i>
PATRYK CZARKOWSKI	283	Lustra
DARIUSZ SZYMANOWSKI	290	Wysoka Brama
	291	Widok z mostu • Miasto

#### MOI MISTRZOWIE

293

IRENEUSZ KANIA, PIOTR SOBOLCZYK, ARTUR SZLOSAREK

#### PO CO LITERATURA?

299

MACIEJ CIŚŁO, JOANNA JUREWICZ, ANDRZEJ SZUBA



JOANNA JUREWICZ	303	*** (na Płockiej...) • *** (czekam...)
	304	*** (idzie burza...)
ALICJA ROSIŃSKA	305	W łóżku • Życie jest piękne
	306	Jestem • Ty mnie pytasz
ALICJA ROSIŃSKA	307	To nie jest kraj dla zwykłych ludzi
	311	Włącz, wyłącz
ALEKSANDRA OPALIŃSKA	317	*** (śmierć śniła się...) • *** (każdy jest na jakiejś drodze krzyżowej...)
		• *** (duszę można opisać...)
	318	*** (wieża Babel poplątała języki...)
		• *** (Jonasz w Rybie...)
PIOTR LAMPRECHT OSA	319	Madonna od niedźwiedzi • Półki
	320	*** (umiera...) • *** (przechadzka...)
		• *** (przesunięcie...) • *** (nocą...)
CHARLES TOMLINSON	327	Cézanne w Aix • Zimowe zbliżenia
	328	O świetle początków
	329	Jak daleko
	330	Pory roku

#### VARIA

STEFAN CHWIN	332	Literatura i kwestia etniczna. Kartka z dziennika
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	338	Addenda (35)
LESZEK SZARUGA	343	Jazda (32)
PIOTR SZEWC	348	Z powodu i bez powodu (37)

#### RECENZJE

KRYSTYNA DĄBROWSKA	351	Świadectwo rozdarcia – o <i>Czarnej piosence</i> Wisławy Szymborskiej
BOGUSŁAW KIERC	355	Bez uzasadnienia
LESZEK SZARUGA	358	Studnia pamięci
ANNA NASIŁOWSKA	360	O czym pisze Julia Hartwig?
MARTA WYKA	363	Dane do autobiografii
NOTY O AUTORACH	367	
NOTY O KSIĄŻKACH	370	
NOWE KSIĄŻKI	402	

ABSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AJVAZ ALOCHIN ALTEV AMICHAJ ANCET ANDERMAN  
ANDRZEJEWSKI ANTONIUK APOLLINAIRE APPEL ARP ASMUS ASPENSTRÖM ATWOOD AUGUSTYNIAK  
AUSLÄNDER AUSTER AWIDAN BACHMANN BACON BACZAK BADZIAG BAGIŃSKI BAJSIĆ BAKEWSKI  
BALANTIC BALCERZAN BALIŃSKI BANACH BANVILLE BARAN BARANOWSKA BARELKOWSKA  
BARRAL BARTCZAK BARTOSZEWSKI BASHO BATHELIER BECKETT BEDNARCZYK BEFER BELMONT  
BENKA BENN BERLIN BERNACKI BERNADAC BERNHARD BESANÇON BESZCZYŃSKA BEYER  
BIAŁOSZEWSKI BIELSKA-KRAWCZYK BIEŃKOWSKA BIEŃKOWSKI BIGA BLIN BLOOM BLASIĄK  
BŁOŃSKI BOBKOWSKI BOCHENSKI BOCCZKOWSKI BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI BORGES  
BORKOWSKA BOROWIEC BORUŃ BOURGEOIS BRĄKONIECKI BRAUN BRAUTIGAN BRAY  
BRECHT BRINKMANN BRKA BRODA BRODSKI BRONIEWSKI BROWN BRUNNE BRZOSKA  
BUKOWSKI BUNIN BUREK BURIAN BURYLA BUSZA CALDER CELAN CELINE CENDRAS  
CHALEF CHETWYND CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN CHWIN CIELECKI  
CIELESZ CIESIELSKA CISŁO CLAUDEL CLUCHEY CRONIN CUMMINGS CVETKOWSKI  
CYRANOWICZ CZARKOWSKI CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZUCHNOWSKI CZUKU  
CWIKLIŃSKI ČEĀEC DANILEWICZ-ZIELIŃSKA DANN DĄBROWSKA DĄBROWSKI  
DEHNEL DELEUZE DEMBOWSKI DERDOWSKI DEVILLE DĘBICZ DICKINSON  
DŁUSKI DOBIEŚ DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK  
DUKES DUNIN DUPIN DURAKOWIĆ DURAS DYAKOWSKI DZIĘŃ DZIURZYŃSKI  
ECHENOZ TSELIOT ENGELKING ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN FABIAN  
FALARSKI FERENC FERRINI FIETT FILIPIAK FIUT FLAUBERT FLEISCHMANN  
FLETCHER FRAJLICH FRANASZEK FRANIA FRÉNAUD FRIEDELÓWNA FUCHS  
FRYDRYCZAK GAILLY GALAS GARDZIELWSKA GARLICKA GASPAROW GÉNET  
GEORGIEW GIACOMETTI GIDLECKA GIEDROYC GILBOA GINSBERG GIERZESKI  
GIZELLA GLONDYS GŁOWIŃSKI GOERKE GOŁNIKOWA GOMORI GORCZYŃSKA  
GRABOWSKI GROSSMAN GRUCHAŁA GRUDZIŃSKA GRUNBEIN GRZEBAŁSKI  
GRZEGORZEWSKA GRZEŚIAK GRUŚE GRYKO GRYNBERG GURI GUTOROW GUŹOWSKI  
HAJDUK HALAS HALEVI HAMKAŁO HANDKE HARRIS HARTWIG HASS HASSEK  
HAVEL HEDLUND HELLIKES HERBERT KHERBERT HIERLING-GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN HIEBEL  
HOFFMAN HOFFMANN HOLLAND HOLUB HONET HÖLDERLIN HRYNACZ HUNKELER HUNTER IONESCO  
ISSA IWANUK JACCOTTET JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA JAKUBOWSKI JANKOWSKI JANKO JAN PAWEŁ II  
JARNIEWICZ JARZEBSKI JASEK JASPERS JASTRUN JĄSTRZEBIEC-MOSAKOWSKI JELINEK JEDLIŃSKI JELŁOUN  
JENTYS JONATAN JOYCE JUARROZ JULIET A. JUREWICZ J. JUREWICZ JURKOWSKA JURZYSTA KAJAK  
KAKAREKO KALANDYK KALB KALEBA KALISZER-HAZAZ KALINOWSKI KALOTA-SZYMAŃSKA KANIA KANTOR  
KAPUŚCIŃSKI KARASEK KAROLAK KASTEL-BLUM KAWAFIS KĘDZIERSKI KIBIROW KIELAR KIEPUSZEWSKI  
KIERC KIJOWSKI KIRKILLO-STACEWICZ KISEVIC KITSCH KIZNY KLEDZIK KLEJNOCKI KLOIT KŁOCZOWSKI  
KŁOCZOWSKI OP JA. KOBIERSKI R. KOBIERSKI KOHLER KOLBE KOLTES KOLAČKA KONWICKI KOVIŁOWSKI  
JULIAN KORNHAUSER J. KORNHAUSER KORZENIOWSKI KOSIŃSKA KOŚCIAŁKOWSKA KOTAŃSKI KOILARCZYK  
K. KOZIÓŁ U. KOZIÓŁ KOZMIŃSKI KRAL KRASIŃSKI KRAUSS KREMER KRÓL KRZYŃCZYK KRYSZAK KRZYŻAN  
KUBIAK KUĆCIĄK KURĄŚ KUREK KURYŁAK KURYLUK KUŚ KUZMIŃSKI KÜSTER KWIATKOWSKI LAŁIĆ  
LAMPRECHT LASECKI LASKER-SCHÜLER LATAWIEC LE CLÉZIO LEPCOWITZ LEIRIS LEKSZYCKI LEM LEMPP  
LENOIR LEOCIĄK LEOPARDI LESZKOWICZ LEWANDOWSKI LEVERTOV LEVINE LIBERA LIGEZA LINDON  
LIPKA LIPSKA LIPSKI LIRA-SŁIWA LIŚOWSKI LORD LOVELL LUBIŃSKA LUDWIKOWSKA LUKIĆ LUPA  
LUTOSŁAWSKI LUKASIEWICZ LUKASZEWICZ MACCAIG MACIERZYŃSKI MACKIEWICZ MADEJSKI MAJ MAJERSKI  
MAKOWI MALINA MALISZEWSKI MARCZEWSKI MAGEN MARCZEWSKI MARJAŃSKA MASIANIS MASOŃ  
MATUSZEWSKI MATYWIECKI MAUVIGNIER MACCAIG MCMULLAN MELBECHOWSKA-LUTY MELECKI MENASSE  
MESCHONNIC MICHAŁ ANIOŁ MICHAŁOWSKI MICHIŃK MIEDZIŃSKI MIELHORSKI MIESZKO MIĘDZYRZECKI  
MIKOŁAJCZAK MIKOŁAJEWSKI MIŁOSŁAWSKI MIŁOSZ MISIAK MITTERMAYER MITZNER MIZERKIEWICZ  
MLADENOSKI MOCARSKA-TYCOWA MOCZKODAN MOCZULSKI MOMRO MORAWIEC MORGAN MOŚCICKI  
MOYER MÜLLER-FREIHENFELS MURCIA MUSIAŁ MUSZYŃSKI MYSZKOWSKI NAPIÓRKOWSKI NASIŁOWSKA  
NDIAYE NIEMIĘC NIXON NOWACKI NOWAKOWSKA K. NOWICKI W. NOWICKI NOWOSIELSKI OBREMSKI  
OLEK OŁĘDZKA-FRYBESOWA ONATE ONDAATJE OPALIŃSKA ORDAN ORŁOŚ ORSKI OSTER OSTI OSZAJCA  
ÖZKÓK PACHOCKI PACHOLSKI PANCZENKO PANKOWSKI PAWLUŚ PAWŁOWSKA PAŹNIEWSKI PENDERECKI  
PETRESKI PIASZCZYŃSKI PIECHOCKA PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK PILCH PINGET PINTER PINTILIE  
PIRE PIWKOWSKA PIĘCICH PLATH PLUTOWICZ POLKOWSKI POLLAKÓWNA POMORSKI POTOKAR POUND  
PRAŻMO PROCKI PROUST PRUSS PRZYBYŁAK PRZYBYŚLAWSKI PUĆLIATA PYDA OP QUADFLIEG RABINOVICI  
RADZIEJOWSKI RAWKOWICZ RENOÜARD REŠICKI REUBNER REVERDY REXROTH RIEGEL RIEGER ROBBE-  
GRILLET ROBERTS ROCA RÓDOWSKA ROGUSKI ROMANIUK ROMANOW ROSENTHAL ROSSET ROSZAK ROTH  
ROTHMANN ROUAUD J. RÓZEWICZ ST. RÓZEWICZ T. RÓZEWICZ RÓZYCKI RUBINSTEIN RUSINEK  
RUTKOWSKI JM. RYMKIEWICZ RZONCA RZĘDZIAN SACHS SADECKI SALAMUN SALMONOWICZ SAŁSKA  
SARAJLIĆ SARNA SARRAUTE SARTRE SCHILLER SCHEIDEGGER SCHNEIDER SCHUBERT SEIFERT SEJFAS  
SENKTAS SEXTON SHLIEN SIEGEL SIEMASZKO SIŃKIEWICZ SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK SIWIEC  
SKREŃDO SKUCZYŃSKI SKWARNICKI SŁAWIŃSKA SŁAWNIKOWSKI SŁOŃSKA SMALCERZ SMOLKA SNYDER  
SOBKOWIAK SOBOLCZYK SOBOLEWSKI SOCHOŃ SOKOŁOWSKI SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG SPARK  
STACHURA STANIŁKO STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STAŚKIEWICZ STEFKO STERN STERNA-  
WACHOWIAK STOJIC STREPERWITZ SIROIŃSKI STRUMIŁŁO-MIŁOSZ STRUMYK STYCZEŃ SULEJMAN SUSŁIN  
SYLVESTER SYNDER SYNORADZKA-DEMADRE SZAFRANIEC SZARMACH SZARUGA JJ. SZCZEPAŃSKI SZEWC  
SZKŁOWSKI SZŁOSAREK SZŁUBA SZUBER SZWAŁBE SZWARC A. SZYMAŃSKA B. SZYMAŃSKA I. SZYMAŃSKA  
SZYMANOWSKI SZYMBORSKA ŚMIEJA TABORSKI TAŃSKI TERC THOMAS TISCHNER TKACZYSZYN-DYCKI  
TOCINOWSKI TOMASIK TOMASZEWSKI TOMLINSON TOUSSAINT TRAKL TRIECHEL TRZEĆLAKOWSKI TUNNER  
TUZYŃSKA TWARDOWSKI TYRANKIEWICZ URBANSKA VARGA VIEL VODUSEK WAGA WAJDA WALC WALSER  
WANIEK WANTUCH WARTA WEBER WELTER WENCZEL WENDORFF WHIETELAW WHITMAN WIECZOREK  
WIKTOROWSKA WILDE WILLIAMS WINIARSKI WIRPSZA WIŚNIEWSKI WITKOWSKI WOHN WOJCIECHOWSKA  
WOJCIECHOWSKI WOLSKI WOŁOSZYN WOROSZYŃSKI WÓJCIK WRÓBLEWSKI WYCZÓLKOWSKA K. WYKA  
M. WYKA YEATS J. ZACH N. ZACH ZADURA ZAGAJEWSKI ZAJC ZAMIARA ZARĘBIANKA ZAWADA  
ZAWISTOWSKI ZEGARLIŃSKI ZETTINGER ZIELENKIEWICZ ZIEMIŃSKI ZYCH ŻAKIEWICZ ŻYŁKO ŻAGAR

22 lata



Pamiętne zdanie Leopardiego z pieśni *Do samego siebie*: „*E fango è il mondo*” – „A błotem jest świat” – Samuel Beckett umieścił jako motto młodzieńczego eseju o Prouście. Przedstawiamy cztery sielanki wielkiego Włocha w przekładzie i ze szkicem Ireneusza Kani, jego wiernego miłośnika.

W dwóch kontrastowych fragmentach pierwszej części *Combray, II* widzimy wyniki pracy Krystyny Rodowskiej nad pierwszym tomem *W poszukiwaniu utraconego czasu*, który ma ukazać się w 2015 roku w Wydawnictwie Sic! Rodowska zdaje relację ze swoich zmagañ i wyjaśnia, po co według niej potrzebny jest w polszczyźnie nowy przekład arcydzieła Prousta i na czym polegają błędy Boya, którego dokonanie uważnie studiuje.

W 25. rocznicę śmierci Becketta w sekwencji zapowiadającej większy blok rocznicowy, który zamieścimy w następnym numerze, znajdują się: w przekładzie Marka Kędzierskiego kolejny, siódmy fragment *Nienazywalnego* – pełnego napięć monologu o słowach i niemożności wypowiedzenia w nich siebie, który wypełnia ostatni i jedyny do tej pory nie przetłumaczony w całości na polski tom tzw. trylogii francuskiej, trzy listy Becketta i objaśniająco-interpretacyjny szkic tłumacza oraz czwarty fragment „ekumenicznej” rozmowy Antoniego Libery i o. Janusza Pydy OP – o *Komedii*.

Dzięki Tomaszowi Korzeniowskiemu raz po raz wracamy do wierszy i prozy Jehudy Amichaja i tak jest i tym razem.

Ponadto: faksymile rękopisu nieznanego wiersza Zbigniewa Herberta w opracowaniu Ryszarda Krynickiego, nowe wiersze tegorocznej laureatki Nagrody im. Wisławy Szymborskiej – Julii Hartwig oraz fragment jej *Dziennika*, którego drugi tom właśnie został opublikowany w Wydawnictwie Literackim (patrz: recenzja na stronie 360), fragment powieści Stefana Chwina, którą na początku przyszłego roku wyda Wydawnictwo Tytuł, *Haiku Mistrzów* w tłumaczeniu i z notą Ryszarda Krynickiego i esej Aleksandra Fiuta o poezji Krynickiego.

Prezentujemy także m.in. nową prozę Michała Głowińskiego, Anny Nasiłowskiej i Marka Kędzierskiego, przekłady Andrzeja Szuby wierszy Edwina Morgana i Muriel Spark oraz Jacka Gutorowa wierszy Charlesa Tomlinsona, nowe wiersze Janusza Stycznia, Artura Szlosarka wraz z rozmową, Leszka Aleksandra Moczulskiego, Adama Wagi, Patryka Czarkowskiego, Dariusza Szymanowskiego, Joanny Jurewicz, Aleksandry Opalińskiej i Piotra Lamprechta OSA oraz teksty młodej i ciekawie się zapowiadającej debiutantki z Gdańska – Alicji Rosińskiej, laureatki Konkursu ogłoszonego w numerze 81.

Życia i twórczości Jerzego Andrzejewskiego dotyczą szkice Anny Synoradzkiej-Demadre – autorki jedynej monografii pisarza – o jego przyjaźni z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim oraz Piotra Sobolczyka o interpretacyjnych kontekstach powieści pt. *Ciemności kryją ziemię*.

Jak w każdym numerze są nowe wypowiedzi w ankietach, autorskie odcinki w *Variach* oraz recenzje i omówienia ważnych książek.

Życzę ciekawej i wzmacniającej lektury.

Krzysztof Myszkowski

## GIACOMO LEOPARDI

w przekładzie Ireneusza Kani

### Wieczór dnia świątecznego

Jasna jest noc i cicha, bezwietrzna,  
spokój ponad dachami i wśród ogrodów,  
księżyc stanął na niebie, w dali rysując wyraźnie  
grzbiety gór. O, pani moja,  
zamilkły wszystkie ścieżki; z rzadka na balkonie  
poświata nocnej lampy. Zasnęłaś  
snem przyjemnym w zaciszu swego pokoju,  
trosk wyzbyta. Nie wiesz, nie zgadujesz,  
jaką ranę w piersi mi otworzyłaś.  
Śpisz. Ja skwapliwie śpieszę pozdrowić  
to niebo, tak życzliwe na pozór,  
i wszechpotężną naturę, co do udręki  
mnie zrodziła. Tobie – rzekła – nadzieja  
wzbroniona, nadzieja nawet, a twe oczy  
płaczem tylko niech błyszczą, niczym innym.  
Dzień był uroczysty; teraz od zabawy  
odpoczywasz, i może we śnie wspominasz  
tłum tych, których-eś oczarowała, i tych,  
co tobie się spodobali; nie mnie, ja z pewnością  
w twych myślach się nie zjawię. A przecież  
pytam, ile mi życia zostało, i na ziemię  
upadam, krzyczę, drzę. Ach, te dni okropne,  
tyłem ich miał tak młodo! Tu, z nieodległej drogi,  
śpiew mnie dobiega samotny jakiegoś wyrobnika,  
co późno w noc wraca do swojej biednej chaty  
po chwilach miłego wytchnienia. I serce  
ból mi ściska okrutny, gdy pomyślę,

jak wszystko na świecie mija, niemal  
śladu nie zostawiając. Oto ubiegł już  
dzień świąteczny, a po świątecznym  
znów przychodzi zwykły, i czas unosi z sobą  
wszelkie ludzkie trafunki. Bo gdzież się podziela  
sława starożytnych? Gdzie rozgłos  
naszych słynnych przodków, i wielkie imperium  
Rzymu, zgiełk jego oręża,  
co niósł się po lądach i oceanie?  
Wszędzie spokój, cisza, świat milczy i trwa,  
a o nich mówić się już przestało.  
Zawsze w zaraniu życia pożądliwie  
wyczekiwałem święta; później, gdy już zgąsło,  
boleśnie i bezsennie rzucałem się w pościeli;  
a gdym głęboką nocą słyszał skądś z oddali,  
sponad dróg śpiew stopniowo, z wolna  
cichnący – tak samo ścisnęło mi się serce.

## Nieskończoność

Zawsze było mi drogie to samotne wzgórze  
i ten żywopłot, co prawie zamyka  
przed wzrokiem najdalszy kraniec horyzontu.  
Ale gdy siedzę i patrzę, wyobrażam sobie  
hen, gdzieś poza nim, bezkresne przestrzenie,  
nadludzkie cisze i najgłębszy spokój,  
którego otchłań nieomal mnie trwoży. I słysząc  
szelesty wiatru wśród łądyg, owo właśnie  
bezkresne milczenie do tego odgłosu  
przyrównuję: i myśl mnie nachodzi  
o wieczności, o czasach umarłych, i o teraźniejszym,  
żywym, i o jego brzmieniu. Tak oto  
moja myśl tonie w ogromnym bezmiarze,  
i słodko mi jest być rozbitkiem na tym morzu.

## Ptasi samotnik

Z samego szczytu starożytnej wieży  
ptasi samotnik śpiewa nad równiną  
bez przerwy, póki dzień nie skona,  
i po całej dolinie harmonia się snuje.  
Wokół rozlśniona  
wiosna w powietrzu, drżą radością pola,  
i serce w nas topnieje od tego widoku.  
Porykiwania stad słyszysz i beczące trzody,  
wesołe ptactwo w tysięcznych obrotach  
wiruje zwinnie na rozległym niebie,  
świętując czas najmiłszy. Ty z boku  
spoglądasz na to wszystko; obca ci ochota  
do skrzydlatej kompanii; zamyślony,  
nie dbasz o radość, nie chce ci się bawić,  
śpiewasz i tak marnotrawisz  
swoich lat kwiecie, czas najmiłszy w roku.

Ach, jak podobny twemu życiu bywa  
sposób życia mojego! Śmiechy i igraszki,  
naszych lat wiosennych słodka komitywa,  
i ty, miłości, młodych lat bliźniaczk  
– gorzkie wspomnienie u schyłku żywota – ,  
nie dbam o was wszystkich, a dlaczego, nie wiem;  
owszem, precz od was uciekam,  
niby pustelnik lub obcy z daleka  
w moim ojczystym mieście,  
spędzam wiosenną mego życia porę.  
Dziś właśnie, gdy dzień pierzcha przed wieczorem,  
w naszym miasteczku nadchodzi czas święta.  
Oto dźwięk dzwonka obwieszcza uciechę,  
tu i ówdzie z rur żelaznych grzmią wystrzały,  
między wioskami roznosząc się echem;  
młodzież zaś miejscowa,  
ubrana od święta,  
wylega z domów, na drogach się roi,

wszyscy, radośni, wzajem wzrokiem się taksują.  
Ja czmycham ukradkiem, by się schować  
gdzieś wśród szerokich pól,  
bo te zabawy, tę radość pamiętam  
jakby z innego życia. A tymczasem  
wzrok wybiegający w świetlistą wspaniałość  
razi mi słońce, co hen, między górami,  
zapada i blednie, jakby oznajmiało,  
że już się kończy błogi czas lat młodych.

Ty, ptaszku-samotniku, kiedy już nadejdzie  
zmierzch życia, które od gwiazd dostaniesz,  
żałować go chyba nie będziesz, bo są od natury  
wszystkie wasze skłonności.  
Ja, który starości  
obrzydłej progę  
uniknąć nawet nie marzę,  
skoro te oczy nic już niczyjemu sercu nie powiedzą,  
a świat pusty im się zda, i każdy nowy  
dzień z większą przyjdzie nudą, z głębszym mrokiem  
– cóż powiem o takim zamiarze?  
o tych moich latach? i o sobie samym?  
Żal tylko poczuje, i złamany  
odwrócić się i odejdę, ale twardym krokiem.

## Wioskowa sobota

Dziewczyna z pola do domu powraca,  
gdy słońce w wieczorze tonie,  
ze snopkiem trawy, i jeszcze bukiecik  
z różyczek i fiołków trzymają jej dłonie,  
aby, jak czynić zwykła, swoją pierś i skronie  
nimi na święto jutrzejsze przystroić.  
Wśród kumoszek swoich  
starowinka z kądzielą wspina się na schody



i siada, zwrócona ku wieczornej zorzy,  
by snuć opowieść o swych dobrych latach,  
kiedy sama na dzień świąteczny się stroiła,  
jeszcze w pełni zdrowia i urody,  
żeby wieczorami tańcować w gromadzie  
rówieśników, towarzyszy jej młodych.  
Powietrze już mrokiem się nasycy,  
granatowieje znów niebo, i znów cienie  
spływają ze wzgórz i dachów  
pod białym światłem nowego księżyca.  
Rozbrzmiewa dzwonek, znak daje,  
że festyn się zaczyna;  
a te dźwięki, rzekłbyś,  
w serca wlewają radość.  
Cizba dzieci napełnia  
placyk swoimi krzykami,  
gonią tam i z powrotem  
pośród wrzawy wesołej;  
gwiżdżąc wraca wyrobnik,  
by zasiąść za skromnym stołem,  
rażno mu na duszy, bo ma dzień wytchnienia.

Później, gdy wszelkie światła utonęły w mroku  
i wszystko otulił spokój,  
słyszysz stuk młotka, zgrzyt piły  
stolarza, co żywo krząta się przy lampie,  
koło swej roboty dwoi się i troi,  
aby przed świtem jeszcze ją ukończyć.

Dzień w szeregu siódmy szczególnie jest miły,  
bo radość i nadzieję niesie z sobą;  
jurto się napełni nudą i żalobą,  
wokół spraw powszedniego znoju  
jego myśli znów będą krążyły.

Chłopcze oddany zabawie,  
młodości pora złota

jest jak dzień jeden wesela bez końca,  
dzień jasności, słońca,  
otwierający festyn twojego żywota.

Raduj się, dziecino; to pora wesoła  
niosąca miłe, słodkie chwile.  
Cóż ci rzec jeszcze? Tylko tyle:  
niech to, że się spóźnia, nie chmurzy ci czoła.

## IRENEUSZ KANIA

### Leopardi sielankowy

Blisko dwieście lat temu – w czerwcu 1837 roku – umarł, po ledwie trzydziestodwuletnim życiu, Giacomo Leopardi; zmogły go choroby – puchlina wodna, astma i z tuzin innych, w tym kalectwo (garb). Naprawdę jednak chory był, przez całe życie, na śmierć i na brak miłości. Dotknęła go też choroba jeszcze gorsza – brak wszelkich złudzeń i wszelkiej nadziei, widzenie świata takim, jaki jest naprawdę. Niektórych, bardzo nielicznych, ta dolegliwość wyzwala; wszystkich innych może zabić.

Nie wiadomo dokładnie, do której z tych dwóch kategorii należałoby zaliczyć włoskiego poetę, jednego z największych w europejskiej kulturze. Uważa się go za romantyka lub preromantyka, ale niejednen wybitny krytyk (jak choćby De Sanctis czy Rigoni, a u nas Porębowicz czy Zdziechowski) dostrzegł uderzające podobieństwo Leopardiańskiego widzenia świata (rzeczywistości) do wizji buddyjskiej („bramińskiej”). Przypomnijmy: w jego oczach świat, upostaciowany głównie w Naturze, był nieuleczalnie i istotowo, w samej swej fundamentalnej strukturze, skażony złem (czyli cierpieniem), którego bezpośrednim źródłem jest tegoż świata zniszczalność, przemijalność, podległość rozpadowi. To samo dotyczy człowieka i wszystkich jego praw, znikomych w obliczu Nieskończoności. (Dlatego przyrównywano też poetę do Pascala, Koheleta i Augustyna, jego postawę zaś wobec życia Fernando Bandini określił mianem „heroicznego egzystencjalizmu”, jak u Camusa. Stanisław Kasprzyśak trafnie przywołuje tu jeszcze postać Kierkegaarda).

Jednakże w buddyzmie taka „pesymistyczna” wizja ma moc wyzwalającą; tymczasem Leopardi w swym pesymizmie historycznym i egzystencjalnym posuwa się najdalej, jak tylko można – bo aż do nihilizmu. W liście z 6 marca 1820 roku tak pisał do swego przyjaciela i protektora Pietra Giordaniego: „... wszelkie działanie w tym świecie opiera się na zwykłym i ciągłym zapomnianiu tej oto powszechnej prawdy, że wszystko jest nicością (*che tutto è nulle*)”. Pisał te słowa jako młodziwiec dwudziestodwuletni, od dawna

już zgorzkniały i targany rozpaczą, cierpieniami ducha i ciała, tak spragniony miłości i tak pozbawiony wszelkiej nadziei na odmianę swej sytuacji. Miał w sobie potężną wolę życia i radości, ale zgasła w nim ona z biegiem lat. Jednak wiersze, listy i zapiski z *Dziennika myśli* z końcowego okresu życia ukazują go jako człowieka pogodzonego z losem, uspokojonego, wyzbytego wszelkich pragnień. W liście do Adelajdy Maestri, z 22 lipca 1829 roku, pisze: „W moim duchu nieodmiennie przecież panuje wielki spokój, nie dzięki filozofii, lecz ponieważ nic już nie mogę utracić ani niczego się spodziewać”. A w wierszu *Do siebie samego*, już u schyłku życia:

Teraz wreszcie odpoczniesz / Moje znużone serce. (...)  
Wieleś się / Natrudziło. Niewarta jest rzecz żadna /  
Twojego bicia, niegodne jest tęsknoty / Nic na ziemi. Go-  
ryczą i udręką / Życie, niczym więcej, a jednym błotem świat.

(Przełożył Stanisław Kasprzysiak)

A więc może – wyzwolony? W duchu, powtórzmy, bliskim buddyzmowi, i nieodległym od sposobu, w jaki „wyzwolenie” – *sit venia verbo* – pojmował Schopenhauer. Tym bardziej, że ten jego ontologiczny nihilizm doprowadził go ostatecznie do konkluzji etycznej takiej samej, jaką mamy w buddyzmie i u wielkiego gdańszczanina: jest nią uniwersalne współczucie dla wszystkich istot, dzielących však tę samą fundamentalną kondycję – cierpienie.

Albowiem z Schopenhauerem łączyło go wiele, choć przecież go nie czytał. (Mamy tu asymetrię: filozof poetę czytał, cenił go i uważał za swego ucznia!). To zdumiewające: obaj ci ludzie, wyruszając z odmiennych horyzontów doświadczenia i kultury – w wielkim uproszczeniu: jeden od Epikteta, drugi od Upaniszad – o tak różnych temperamentach, dochodzą – prawie jednocześnie! – do prawie takich samych intuicji i diagnoz egzystencjalnych i filozoficznych. Zbyteczne byłoby tu powtarzać to, co wielokrotnie już na temat owych powinowactw i zbieżności napisano; przypomnę tylko jedną z nich, za to, jak sądzę, wielkiej wagi. Dotyczy ona wspomnianej już wyżej kwestii zła.

Że „świat w złym leży”, stwierdził bardzo dawno temu Paweł z Tarsu. Całe stworzenie zostało skażone złem (śmiercią, cierpieniem) z winy Prarodziców; przedtem było „bardzo dobre”, jak powiada Pismo. Istnieje zatem nadzieja na przywrócenie owej domniemanej pierwotnej „rajskości” bytu. Dla Leopardiego jest to jedno z wielu złudzeń, jakim hołdują ludzie. Według niego żaden byt uwikłany w czas i przemijanie zgoła nie daje się pomyśleć: istotowo „dobrego” świata nie było, nie ma i nie będzie, zło (cierpienie) jest bowiem samą jego sub-

stancją, nie zaś przypadłością. Jeśli świat wyszedł z rąk jakiegoś Demiurga, to ów Demiurg był co najmniej nieudolny, a może wręcz zły. Wszelka teodycea jest iluzją. Poetę nie bez kozery pomawiano o ateizm.

Istotnie, ze swoim ontologicznym pesymizmem Leopardi jest radykalniejszy od gnostyków, ba, nawet od samego Schopenhauera. Naocznym upostaciowaniem zła jest Natura – wielka trupiarnia i rzeźnia powszechna, w której niezliczone istoty rodzą się, mordują i pożerają wzajemnie, aby w końcu umierać. Natura nie jest dobra ani przyjazna człowiekowi, owszem, raczej mu wroga. W tym ważnym punkcie Leopardi tak jaskrawo odróżnia się od romantyków, że wolno wątpić, czy w ogóle można go do nich – jak to się często czyni – zaliczać: chronologicznie jest preromantykiem (w stylu Goethego czy Alfieriego), ideowo – kimś nieomal nam współczesnym, pokrewnym, jak podkreśla Joanna Ugniewska, Camusowi. Co prawda niektóre swoje wiersze liryczne umieszcza w sztafażu poniekąd romantycznym – w krajobrazie, ale przecież jego najbardziej charakterystyczne elementy to obojętny nieboskłon z miriadami dalekich gwiazd i z zimnym księżycem, tchnący odwiecznym milczeniem; albo są to bezkresne dale czy też jałowe wulkaniczne wzgórza jako sceneria samotnych, niewesołych medytacji (*La Ginestra (Janowiec)*). Z tego sztafażu wieje raczej grozą, która tak przerażała Pascala.

\*

A jednak Leopardi, ten człowiek pełen goryczy i trwogi, umierający tak młodo, pisał... sielanki! Już jako kilkunastolatek posiadał dogłębną znajomość języków i literatury starożytnej Grecji i Rzymu; jako niespełna dwudziestolatek naśladował – po grecku! – ody Anakreonta tak udatnie, że nawet specjaliści nie połapali się w jego niewinnej mistyfikacji, którą wobec tego sam w końcu musiał ujawnić. Oto i źródło jego „sielankowej inspiracji”.

Pierwsze z owych idylli, jak sam je określił, powstawały w okresie 1819–1821. Są to tak zwane „małe sielanki”: *L'infiniti (Nieskończoność)*, *Alla Luna (Do księżycy)*, *La sera del dì di festa (Wieczór dnia świątecznego)*, *La vita solitaria (Życie samotne)*, *Il sogno (Sen)*. „Wielkie sielanki” pisał poeta w latach 1828–1829. Tworzą ten cykl wiersze: *Il risorgimento (Zmartwychwstanie)*, *A Silvia (Do Sylwii)*, *Le ricordanze (Wspomnienia w przekładzie Julii Dickstein-Wieleżyńskiej)*, *La quiete dopo la tempesta (Cisza po burzy)*, *Il sabato del villaggio (Wioskowa sobota)* oraz *Canto notturno di un pastore errante Dell'Asia (Śpiew nocy koczującego po Azji pasterza)*. Słynny wiersz *Il Passero solitario*

(w moim przekładzie *Ptasi samotnik*) uważany jest za łącznik, „pomost” między oboma cyklami sielanek.

Tytuł tego wiersza tłumaczony jest zwykle jako samotny wróbel. Otóż co prawda *il Passero* to w dzisiejszej obiegowej włoszczyźnie „wróbel”, ale *passero solitario* to ptak „znacznie większy od zwyczajnych wróbli, o pięknym, turkusowym ubarwieniu, śpiewający głosem melancholijnym (...) i nie latający w stadzie” tak w słowniku Alfaniego z 1924 roku. I jeszcze Bandini: „*Il Passero solitario* to ptak z rodziny drozdowatych (*monticola solitarius*) barwy brunatno-niebieskiej, z upodobaniem siadający samotnie na wysokich wieżach i szczytach ruin”. A więc na pewno nie jest to zwykły wróbel, skądinąd marny śpiewak, skoro potrafi tylko ćwierkać. No i żyje w gromadach.

*Monticola solitarius* oficjalnie po polsku nazywa się „modrak”.

Zdecydowałem się zatem na określenie „ptasi samotnik” – mniej ściśle, lecz za to bliższe prawdy wiersza.

\*

Niezwykle to doprawdy „sielanki”... Joanna Ugniewska, autorka świetnej monografii poety, pisze o nich tak: „Wybór sielanki jako gatunku literackiego oznacza (...) próbę stworzenia poezji »nawnej«, odzwierciedlającej szczęśliwy stan zgodności jednostki i pejzażu, gdzie (...) natura (...) odczuwana jest jako siła opiekuńcza i pocieszycielska. Próba ta już niemal od samego początku – wykluczwszy być może Nieskończoność – okazuje się skazana na niepowodzenie. Sielanka, tak jak pojmuje ją Leopardi, okaże się nowym oryginalnym gatunkiem, bliższym elegii niż pastoralnym idylmom”. W ich centrum autor nadal, co prawda, modłą romantyczną, próbuje umieszczać samego siebie (nieraz maskowanego drugą osobą gramatyczną) jako podmiot liryczny, ma się jednak nieodparte wrażenie, iż rzeczywistym ich protagonistą jest odwiecznie milczący, obojętny Wszechświat, czyli to, co w istocie miało pełnić rolę sztafażu, tła dla owego podmiotu, który „na ziemię upada, krzyczy i drży” z trwogi, ogarnięty grozą i rozpaczą. Leopardi to wielki poeta kosmicznej ciszy.

„Sielanki” przenika silne dramatyczne napięcie, mistrzowsko współkreowane przez poetycki język i styl twórcy. W sposób dla siebie swoisty stosuje on niespokojny rytm, rwane frazowanie (częste przerzutnie), nieregularne, odległe rymy. Tę ostatnią cechę niezwykle celnie scharakteryzował wybitny XIX-wieczny francuski krytyk Charles-Augustin Sainte-Beuve pi-

sząc: „Rym (...) pojawia się tu i ówdzie co pewien czas, w ściśle wyliczonych odstępach, jak gdyby próbując stawić tamę możliwemu rozprężeniu. W rzeczy samej pełni on funkcję owych naczyń ze spiżu, kunsztownie rozmieszczanych przez starożytnych w ich dźwięcznych amfiteatrach, aby w stosownej chwili mogły wzmacniać głos głównych tonacji” (esej *Leopardi*, w tomie *Portraits contemporains*, IV, Paris 1885). Ta uwaga dotyczy zresztą wielu innych utworów poety.

\*

W niemal powszechnej opinii krytyki właśnie sielanki uznawane są za najwartościowszą część całego poetyckiego dorobku Leopardiego. U nas czytywali je pilnie, komentowali, podziwiali (na ogół zresztą nie akceptując ich mrocznego przesłania) m.in. Emil Porębowicz (pierwszy jego tłumacz na nasz język), Cezary Jellenta, Stefan Żeromski, Marian Zdziechowski, Stanisław Brzozowski, Julia Dickstein-Wieleżyńska (autorka pierwszego przekładu *Canti*, z 1933 roku i przenikliwa komentatorka twórczości Leopardiego), Joanna Ugniewska, wreszcie znakomity tłumacz i egzegeta włoskiego geniusza – Stanisław Kasprzysiak.

Prezentowana tutaj garść tłumaczeń jest cząstkowym zapisem mojego, trwającego już ponad pół wieku, urzeczenia Leopardim. Zmaterializowało się ono po raz pierwszy w roku 1960, w formie przekładu jednego z *Dziełek moralnych – Il canto del gallo silvestre (Pieśń dzikiego koguta* w przekładzie Kasprzysia-ka; u mnie – *Pieśń leśnego kura*). Nigdy go nie publikowałem.

Poniższą prezentację otwiera przekład wiersza szczególnie mi drogiego – *La sera del dì di festa (Wieczór dnia świątecznego*, z grupy małych sielanek). Czterdzieści trzy lata krążyłem wokół niego, nim zebrałem wreszcie na odwagę i przetłumaczyłem go. Przedtem czytałem go w kółko najpierw po cichu, potem głośno, wreszcie recytowałem sobie z pamięci. Do dziś wzrusza mnie głęboko – i nie bardzo wiem, dlaczego.

\*

Przy pisaniu tego szkicu korzystałem z następujących książek: Augusto Brunacci, *Dizionario generale di cultura*, Torino 1913; Augusto Alfani, *Dizionario della lingua italiana*, Vallardi, Milano 1924; Joanna Ugniewska, *Giacomo Leopardi*, PWN, Warszawa 1991; Giacomo Leopardi, *Lettere*, 2 tomy, wybór, komentarz

i redakcja Sergio i Raffaella Solmi, Einaudi, Torino 1977; Giacomo Leopardi, *Canti*, redakcja i komentarze F. Bandini, Garzanti, Milano 1975; Giacomo Leopardi, *Dziełka moralne*, przełożył i posłowiem opatrzył Stanisław Kasprzysiak, Oficyna Literacka, Kraków 1998.



MARCEL PROUST

W poszukiwaniu utraconego czasu  
W stronę Swanna  
Combray, II

(fragmenty)

przełożyła Krystyna Rodowska

W czasie, gdy ciotka gawędziła z Franciszką, ja towarzyszyłem rodzicom na mszy. Jakże lubiłem nasz kościół, jak wyraźnie stoi mi on teraz przed oczami! Poczerniała ze starości kruchta przez którą wchodziliśmy, była podziurawiona jak sito, przekrzywiona i głęboko wyżłobiona na narożnikach (podobnie jak chrzcielnica, do której prowadziła), jakby powtarzane przez całe stulecia łagodne ocieranie się o nie kapot wieśniaczek i muskanie ich onieśmielonych palców nabierających święconej wody, nabyło z czasem destrukcyjnej siły kruszącej kamień i żłobiącej w nim bruzdy, podobne do śladów zostawianych przez wozy, najeżdżające codziennie na przydrożny gład. Płyty nagrobne pod którymi spoczywały szlachetne prochy opatów Combray, tworzące rodzaj duchowej posadzki dla chóru, także nie były z materii twardej i niezmiennej, albowiem czas nadał im miękkość miodu przelewającego się jasną falą poza wyznaczone im ongiś granice, przechylając na bok kwieciste, gotyckie inicjały, zatapiając białe fiołki marmuru; gdzie indziej one same wtapiały się w tło, zagęszczając jeszcze bardziej eliptyczność łacińskiej inskrypcji, przydając kapryśnego charakteru ściśniętym literom, przesuwając dwie z nich w stronę słowa, od którego inne niepomrotnie się oddaliły.

Witraże nigdy bardziej nie mieniły się barwami niż w dni, kiedy słońce ledwie prześwitywało przez chmury, można było mieć pewność, że gdy na zewnątrz będzie całkiem szaro, kościół rozbłyśnie najpiękniej; jeden z tych witraży wypełniała w całej jego rozciągłości jedyna postać, podobna do karcianego króla, która żyła tam w górze pod kamiennym sklepieniem, zawieszona między nie-

bem a ziemią (w jego błękitnych, ukośnych refleksach – niekiedy w dni powszednie, w południe, gdy mszy się nie odprawia, w tych rzadkich chwilach kiedy kościół przewietrzony, pusty, bardziej ludzki, wystawny, ze słońcem oświetlającym jego bogaty wystrój, nabiera charakteru prawie mieszkalnego, niczym holl z rzeźbionego kamienia i szkła, stylizowany na modłę średniowiecznego pałacyku – można było przez chwilę dostrzec klęczącą panią Sazerat: na sąsiednim klęczniku położyła obwiązaną sznurkiem paczuszkę ptifurków zakupionych u cukiernika naprzeciwko na proszony obiad); na innym witrażu widniała góra różowego śniegu u stóp której toczyła się bitwa, zdawała się pokrywać mętnymi grudkami szronu sam witraż, niczym szybę z resztkami płatków śniegu, tym razem rozświetlonych odbłaskiem jakiejś jutrzeńki (tej samej, co powlekała ołtarz barwą purpury tak świeżej jakby padało nań światło z zewnątrz, by zaraz zgasnąć, a nie ujawniały się kolory utrwalone na wieki w kamieniu); a wszystkie te witraże sięgały czasów tak dawnych, że tu i ówdzie ich srebrzysta starość przebłyskiwała przez kurz stuleci, ukazując błyszczącą i zużytą aż do nici osnowę ich szklanej tkaniny. Wśród nich był jeden, wysoki i przestrzenny, podzielony na setkę prostokątnych witrażyków, w których kolorem dominującym był niebieski, jak w wielkiej talii kart, takich jak te, co stanowiły rozrywkę króla Karola VI – lecz czy to zaświecił w nim promień słońca, czy moje wędrujące spojrzenie rozniecało go i gasiło na przemian w ruchomym i wspaniałym pożarze, bo zaraz potem szkło zaczynało się mienić blaskami pawiego ogona, przechodzącymi w drżenie i falowanie płomiennego, fantastycznego deszczu, ściekającego z wyżyn ciemnego, skalistego sklepienia i wzdłuż wilgotnych ścian; szedłem za rodzicami niosącymi książeczki do nabożeństwa, niczym w nawie jakiejś groty opalizujących tęczowo stalaktytów, lecz już w chwilę później romby małych witrażyków nabierały przejrzystej głębi i niewzruszonej twardości szafirów ułożonych na jakimś olbrzymim pektorale, poza nimi zaś wyczuwało się droższy ponad wszystkie te bogactwa chwilowy uśmiech słońca, równie rozpoznawalny i słodki w tych głębiach błękitu co na bruku ulicznym czy słomie ścielącej się na targu; nawet podczas tych pierwszych niedziel, gdy przybywaliśmy jeszcze przed Wielkanocą, pocieszało mnie to, że choć ziemia była jeszcze naga i czarna, ten przebłysk rozwijał przed oczami, jak w czasach jakiejś historycznej wiosny potomków świętego Ludwika, olśniewający, złoty dywan szklanych niezapominajek.

Dwa gobeliny przedstawiały koronację Estery (wedle tradycji Ahaswer miał rysy króla Francji, zaś Estera – pani de Guermantes, w której ten był zakochany); zlewające się ze sobą barwy przydawały tym postaciom ekspresji,

wyrazistości i światła; nieco różu drżało na wargach Estery ponad konturem ust, żółty kolor jej sukni rozpościerał się z takim namaszczeniem, tak tłusto, że cała postać nabierała od tego jakiejś materialności i życia na przytłumionym tle; zieleń drzew w niższych partiach tkaniny przetykanej jedwabiem i wełną pozostała żywa, płowiejąc u góry, tam gdzie od ciemnych pni odcinały się poźółtkłe, wysokie gałęzie, jakby zanikające pod wpływem padających ukośnie, niewidzialnych promieni słońca. Wszystko to, a jeszcze bardziej cenne przedmioty – dary dla kościoła od osobistości, mających dla mnie walor postaci legendarnych (złoty krzyż, wyrzeźbiony, jak powiadano, przez świętego Eligiusza i подарowany przez Dagoberta, grobowiec synów Ludwika Niemieckiego z porfiru i emaliowanej miedzi), wszystko to sprawiało, że kroczyłem przez kościół w drodze do naszych krzesel, jakbym szedł doliną nawiedzaną przez wróżki, gdzie wieśniak, olśniony, dostrzeże w skale, w drzewie, a nawet w kałuży, widzialny ślad ich nadprzyrodzonej obecności; wszystko to czyniło z tego przybytku coś zupełnie odrębnego od reszty miasta: budowlę, jeśli można tak powiedzieć, czterowymiarową – czwartym jej wymiarem jest Czas – której główna nawa rozwijała się od przeszła do przeszła, od kaplicy do kaplicy, zdając się przekraczać i zwyciężać nie tylko kilka metrów przestrzeni, lecz całe epoki następujące po sobie; ukrywając surowy i nieokrzesany wiek XI w swych masywnych murach, skąd ciężkie łuki jego sklepień zaślepione i zamurowane ułomkami kamieni, wyzierały jedynie przez głębokie nacięcia wyżłobione w kruchcie tuż przy schodach na dzwonnice, i nawet tam zamaskowane przez wdzięczne arkady gotyckie, tłoczące się przed nim z zalotnym uśmiechem jak starsze siostry, chcące zasłonić przed oczami obcych swego młodego, burkliwego i źle ubranego brata. Kościół wzniósł ku niebu, ponad Placem, swoją wieżę, która oglądała świętego Ludwika i zdawała się wciąż jeszcze weń wpatrywać; pogrążając się wraz z jego kryptą w nocy Merowingów, gdzie pod mrocznym sklepieniem unerwionym potężnie niczym błona olbrzymiego, kamiennego nietoperza, prowadził nas po omacku Teodor wraz ze swoją siostrą, oświetlając płomykiem świecy grobowiec wnuczki Sygoberta, na którego zaskorupiałej powierzchni widniało głębokie wgniecenie – jakby ślad przejścia pradawnego zwierzęcia – wyżłobione, jak powiadają „przez kryształową lampę, co to w ów wieczór, kiedy zamordowano frankońską księżniczkę, zerwała się sama ze złotych łańcuchów na których była zawieszona, w miejscu gdzie obecnie znajduje się absyda kościoła, i zanurzyła w kamieniu, ten zaś miękko ugiął się pod nią, ale ani kryształ się przy tym nie rozbił, ani światło lampy nie zgasło”.

Czy można naprawdę mówić o absydzie kościoła w Combray? Była z gruba ciosana, pozbawiona artystycznej wartości, a nawet jakiejś bożej iskry. Od zewnątrz, ponieważ wychodziła na skrzyżowanie ulic, leżące niżej, jej gruby mur wznosił się na podmurowaniu z kamiennych bloków, w ogóle niewygładzonych, najeżonych drobnymi kamykami i nie miało to w sobie właściwie nic z kościoła; okna wydawały się przebite zbyt wysoko, a całość przypominała bardziej mury więzienia niż kościoła. I rzeczywiście, później, gdy wspominałem te wszystkie wspaniałe absydy które widziałem w życiu, nie przyszło mi nigdy do głowy porównywać ich z absydą z Combray. A jednak, któregoś dnia, wychodząc zza zakrętu małej, prowincjonalnej ulicy, naprzeciwko skrzyżowania trzech uliczek, zobaczyłem wypiętrzony, chropawy mur ze zbyt wysoko przebitymi oknami, mający tak samo asymetryczny wygląd jak absyda z Combray. Toteż nie zastanawiałem się już więcej, tak jak w Chartres czy w Reims, na ile silnie zostały tutaj wyrażone uczucia religijne, lecz wyrwał mi się bezwiednie okrzyk: „Kościół!”.

Kościół! Ten tak dobrze znany, graniczący na ulicy Świętego Hilarego, od strony swej północnej bramy z wejściem do apteki pana Rapin i z drzwiami domu pani Loiseau, do którego przylegał bezpośrednio ten zwyczajny obywatel Combray co to mógłby mieć nawet swój numer, gdyby ulice Combray były numerowane; wydaje się nawet że listonosz, przy porannym rozdzielaniu listów, mógłby przystanąć tutaj, zanim wszedłby do pani Loiseau i wyszedł od pana Rapin; a jednak, między kościołem a wszystkim co nim nie było, istniała linia graniczna, i jej moja myśl nigdy nie zdołała przekroczyć. Na próżno pani Loiseau hodowała przy oknie fuksje, mające brzydki zwyczaj rozbiegania się na wszystkie strony ze zwieszonymi głowami a ich kwiaty, gdy już dostatecznie urosły, nie miały nic lepszego do roboty jak chłodzić swe fioletowe i krwiste policzki o mroczną fasadę kościoła, ale to nie uświęcało bynajmniej fuksji w moim odczuciu; między kwiatami, a szerniałym kamieniem o który się opierały, moje oczy nie dostrzegały wprawdzie dystansu, lecz w świadomości istniała między nimi przepaść.

Dzwonnicę Świętego Hilarego rozpoznawało się już z daleka; jej niezapomniana sylweta wpisywała się w horyzont, gdy Combray jeszcze nie było widać; w Wielkim Tygodniu, gdy przyjeżdżaliśmy pociągiem z Paryża, ojciec ślecił jak przesuwająca się kolejno przez wszystkie bruzdy nieba, migając to tu to tam swoim blaszanym kogutkiem, i oznajmiał: „No to już, zbierajcie plody, jesteśmy na miejscu”. Podczas jednego z najdalszych spacerów na jakie wypuszczaliśmy się z Combray, napotykaliliśmy miejsce gdzie droga, zwężając się, otwierała się nagle na bezkresną równinę zamkniętą na horyzoncie poszarpaną

linią lasów, a nad nią górowało jedynie cienkie ostrze dzwonnicy świętego Hilarego, jej iglica tak smukła i różowa, że wydawała się jedynie zadrażnieniem przez paznokieć powierzchni nieba które chciało naznaczyć ten pejzaż, będący dziełem wyłącznie natury, lekkim piętnem sztuki – jedyne go znaku człowieka. Gdy podchodziło się bliżej, oczom ukazywały się resztki kwadratowej i niższej, na w pół zrujnowanej wieży która przetrwała obok dzwonnicy i zwracało wówczas szczególnie uwagę czerwono-mroczne zabarwienie kamieni; kontemplując ten widok o mglistym, jesiennym poranku, miało się wrażenie że owa purpurowa ruina, o barwie niemal dzikiego wina, wznosi się nad burzliwym fioletem winnic.

Często w drodze powrotnej ze spaceru, babcia zatrzymywała mnie na rynku, żeby spojrzeć na dzwonnice. Okna na wieży, rozmieszczone parami jedno nad drugim, cechowało trafne i oryginalne wycucie proporcji, zauważalne jedynie w ludzkich twarzach; dzwonnica, w regularnych odstępach czasu, wypuszczała z siebie chmary kruków które przez chwilę krążyły wokół niej z wraskiem, jakby te stare, nagle opustoszałe kamienie, emanujące z siebie ducha nieskończonego podżegania do niepokoju, uderzały je i odpychały, pozwalając im rozbijać się o swoją powierzchnię, jakby to ich nie dotyczyło. Później, gdy ptaki porysowały już we wszystkich kierunkach fioletowy aksamit wieczoru, powracały nagle uspokojone, wnikając z powrotem w wieżę, już nie złowieszczą, lecz gościnną, przysiadając to tu to tam, jakby znieruchomiełe, lecz być może chwytające owada na szczycie jakiejś wieżyczki niczym mewa na grzebieniu fali, zastygła w oczekiwaniu jak rybak.

Nie wiedząc za bardzo dlaczego, babcia odnajdywała w dzwonnicy świętego Hilarego ów brak pospolitości, pretensjonalności, małości, który kazał jej kochać i wierzyć w bogactwo dobroczynnych wpływów natury – właściwości tych nie posiadała ludzka ręka (choćby nie zawsze udatna ogrodnika mojej ciotecznej babki) – i w dzieła ludzkiego geniuszu. Bez wątpienia, cała widoczna z daleka część kościoła wyróżniała go na tle innych budowli jakimś zamysłem dostrzegalnym w jego konstrukcji, ale przede wszystkim w kształcie dzwonnicy kościół zyskiwał świadomość samego siebie, utwierdzał się w swym indywidualnym, odpowiedzialnym istnieniu. To ona przemawiała w jego imieniu. Myślę zwłaszcza, że babcia odnajdywała w dzwonnicy z Combray to, co najbardziej ceniła: naturalność i dystynkcję. Nie orientując się w arkanach architektury, mawiała: „Moje dzieci, kpijcie sobie ze mnie ile chcecie, ona może nie ma w sobie regularnego piękna, ale ten jej stary, dziwaczny kształt mi się podoba. Jestem pewna, że gdyby grała na fortepianie, nie grałaby oschle”. I spoglądając na wie-

żę, śledząc oczami łagodne napięcie widoczne w żarliwych pochyłościach kamieni zbliżających się do siebie w geście przywodzącym na myśl modlitewny gest wzniesionych dłoni, utożsamiała się do tego stopnia z wystrzałem iglicy, że spojrzenie jej zdawało się wznosić, podobnie jak ona; a równocześnie uśmiechała się przyjaźnie do starych, zużytych kamieni, których już tylko szczytowe partie oświetlały promienie zachodzącego słońca i które z chwilą wejścia w strefę nasłonecznioną wydawały się złagodzone światłem, unosząc się naraz wysoko, coraz dalej, niczym śpiew o emisji podwyższonej o całą oktawę.

To dzwonnica Świętego Hilarego nadawała wszystkim zajęciom mieszkańców o każdej porze, wszystkim widokom miasta ich kształt, zwieńczenie, uświęcając je swoją obecnością. Z mojego pokoju mogłem jedynie dostrzec jej dolną część, pokrytą łupkową dachówką, lecz kiedy w niedzielę, w jakiś ciepły, letni poranek, patrzyłem na nią rozplómienną, niczym czarne słońce, mówiłem sobie: „Mój Boże! Już dziewiąta! Trzeba się przygotować do pójścia na mszę, jeśli chcę uścisnąć na czas ciocię Leonie” i wiedziałem dokładnie, jaki kolor przybierze plac w słońcu, czułem upał i kurz na rynku, cień, rzucany przez stary sklep z materiałami, gdzie mama zajrzy może jeszcze przed mszą, wchodząc w zapach niebielonego płótna, by kupić jakąś chustkę, którą będzie jej pokazywał właściciel, przeginając się w pasie; dopiero co poszedł na zaplecze by przebrać się w niedzielny surdut i umyć ręce mydłem; zazwyczaj czynił to co pięć minut, nawet w okolicznościach przyprawiających o melancholię, zacierając ręce z miną przedsiębiorczą i zadufaną.

Gdy po mszy zachodziło się do Teodora powiedzieć mu by przyniósł słodką brioszę większą niż zazwyczaj, ponieważ nasi kuzyni, korzystając z pięknej pogody mieli przyjechać z Thiberzy i zapowiedzieli się na obiad, widzieliśmy przed sobą dzwonnice, co wypieczona i złota niczym największa słodka bułka ze skórką i z bąbelkami słońca, kłuła swą ostrą iglicą błękit nieba. A wieczorem, gdy wracałem ze spaceru, rozmyślając o chwili, kiedy już niezdługo trzeba będzie powiedzieć dobranoc mamie i już potem jej nie zobaczyć, wprost przeciwnie, u schyłku dnia wyglądała tak łagodnie, jakby wpychała poduszkę z brązowego aksamitu w poblądłe niebo ustępujące pod jej naporem; ugięło się teraz lekko pod jej ciężarem, wypływając po brzegach, a krzyki ptaków krążących wokół niej zdawały się pogłębiać milczenie wieży, uwydatniać wystrzał iglicy, dając mu coś niewysłowionego.

Nawet przy wypadach poza kościół, tam gdzie jej nie było już widać, wszystko wskazywało na związek z dzwonnica, wyłaniającą się raz po raz między domami, może jeszcze bardziej wzruszającą, kiedy tak ukazywała się bez kościo-

ła. Z pewnością jest wiele innych piękniejszych, oglądanych w taki sposób, ja sam pamiętam zarysy dzwonnicy wyrastających ponad dachami, o odmiennym kształcie artystycznym niż to, co nadawało ton smutnym uliczkom w Combray. Nie zapomnę nigdy widoku z pewnego interesującego miasta w Normandii, sąsiadującego z Balbec, dwóch tamtejszych czarujących hoteli XVIII-wiecznych darzonych przeze mnie sentymentem i poważaniem, gdzie z perspektywy pięknego ogrodu schodzącego tarasami ku rzece, patrzyłem na wznoszącą się poza nimi gotycką strzałę kościoła, która jakby wykańczała, wieńczyła ich fasady, tak jednak przy tym odmienna, wytworna w swej błyszczącej różowości, zbudowana z kamieni ułożonych w pierścienie, że widziało się, iż z tą swoją piękną, purpurową i karbowaną iglicą w kształcie muszli powleczonej emalią, nie przynależy do nich bardziej, niż do dwóch pięknych, okrągłych kamyków znalezionych razem na plaży. Nawet w Paryżu, w jednej z najbrzydszych części miasta, znam takie okno skąd widać, przeskakując wzrokiem pierwszy, drugi i nawet trzeci poziom dachów zebranych z wielu ulic, pewną fioletową, niekiedy czerwonawą dzwonicę, niekiedy także – w najszlachetniejszej odmianie „obróbki” dokonywanej przez atmosferę – przechodzącą w rodzaj czerni, tonowanej odcieniem popiołu, dzwonicę, która jest ni mniej ni więcej tylko kopułą kościoła Świętego Augustyna, nadającą temu pejzażowi miasta charakter rzymskich widoków Piranesiego... Lecz w żadnej z tych rycin, choćby moja pamięć odtwarzała je z niejakim upodobaniem, nie odnajdywałem tego co od dawna utracone – uczucia, które każe nam traktować pewne rzeczy nie jak spektakl, lecz widzieć w nich istoty nie mające w niczym innym odpowiednika, albowiem nic tak nie zawładnęło całą głęboką częścią mego życia, jak wspomnienie widoków na dzwonicę w Combray z perspektywy ulic za kościołem. Obojętnie, czy widziana o godzinie piątej, kiedy to chodziło się po listy na pocztę, parę domów od nas na lewo, wznosząca się raptownie samotnym wierzchołkiem ponad linię dachów, czy też – idąc w odwrotnym kierunku – gdy wstępowaliśmy po wiadomości do pani Sazerat, a wtedy wzrok ześlizgiwał się na linię spadającą pod innym kątem, co oznaczało, że teraz trzeba będzie skręcić w drugą ulicę za dzwonicą, czy to zapuszczając się dalej, gdy szło się na dworzec, ukazywała się z ukosa, demonstrując krawędzie i nowe powierzchnie, jak bryła przyłapano w chwili nieoczekiwanej przemiany; innym razem, oglądana z brzegów Vivonne, muskularnie zbudowana i wyniesiona perspektywą absyda zdawała się wystrzelać z wysiłku dzwownicy, by trafić swą strzałą w serce nieba; i to wciąż była ona, którą trzeba było przywoływać, wciąż ona górowała nad wszystkim, narzucając domom zniecka swój szczyt wzniesiony niczym palec Boga ukry-

tego w ludzkim tłumie – chociaż ja bym go z nim nie zmieszał. I jeszcze dzisiaj, w jakimś dużym mieście prowincjonalnym, lub w mało mi znanej dzielnicy Paryża zdarza się, że przechodzień który „naprowadził mnie na właściwą drogę”, pokazuje mi z daleka, jako punkt odniesienia, jakąś wieżyczkę szpitalną, czy dzwonicę przy klasztorze wznoszącą szpic swego duchownego biretu na rogu ulicy, tam gdzie powinienem pójść, wystarczy, że zamajaczy mi w pamięci jakiś rys podobieństwa do drogiej i utraconej postaci, a przechodzień, gdyby odwrócił się za mną, chcąc mieć pewność, że nie zabłądzę, dostrzegłby z niemałym zdziwieniem, że ja – jakbym zapomniał o wyznaczonym celu przechadzki czy zdążaniu do umówionego miejsca – stoję nieruchomo przed dzwonicą, wpatrując się w nią godzinami, usiłując sobie przypomnieć, czując jak z głębi mnie podnoszą się nieznanne lądy i osuszone, umocnione, odnoszą zwycięstwo nad zapomnieniem; i z całą pewnością, jeszcze trwoźniej niż przed chwilą kiedy pytałem o drogę, wciąż jeszcze szukam mojej drogi, skręcam w jakąś ulicę, ale ona... jest w moim sercu... (...)

Niestety, musieliśmy gruntownie zmienić zdanie co do Legrandina. Pewnej niedzieli – po spotkaniu na Starym Moście, kiedy to ojciec musiał przyznać się do błędu w ocenie – gdy msza miała się ku końcowi i wraz ze słońcem i odgłosami z zewnątrz coś tak mało świętego wtargnęło do świątyni, a pani Goupil, pani Percepied (wszystkie te osoby, które właśnie, w czasie mojego nieco spóźnionego dotarcia do kościoła trwały pogrążone w modlitwie, mogłem nawet przypuszczać, że nie zauważyły jak wszedłem, gdyby ich stopy w tym momencie nie odepchnęły lekko ławeczki utrudniającej mi dostęp do krzesła), zaczęły rozmawiać z nami głośno na tematy doraźne, jakbyśmy stali już na rynku, ujrzelśmy na rozpalonym progu kruchty górującego nad pstrym zgiełkiem targowym, Legrandina: mąż owej damy, z którą go ostatnio spotkaliśmy, przedstawiał go właśnie żonie innego właściciela ziemskiego z tych stron. Twarz Legrandina była ożywiona, wyrażała jakiś nadzwyczajny zapał; wykonał głęboki ukłon połączony z odchyleniem się do tyłu, dzięki czemu jego grzbiet znalazł się nagle powyżej pozycji wyjściowej, zapewne nauczył go tego mąż jego siostry, pani de Cambremer. W tym nagłym ruchu, siedzenie Legrandina, nadszpodziewanie mięsiste, zafalowało w jakimś ognistym, muskularnym tańcu i nie wiem czemu to falowanie czystej materii, ten przyływ cielesności bez domieszki czegoś duchowego i ta jego uniżona skwapliwość wzbijająca burzę w powietrzu, zrodziły w moim umyśle wizję Legrandina całkiem innego od tego którego znaleźmy



dotychczas. Towarzysząca mu dama poprosiła by coś powiedział jej stangretowi, i gdy zmierzał w stronę powozu, wyraz nieśmiałej i nabożnej radości jaką akt prezentacji wywołał na jego twarzy, jeszcze na niej trwał. Uśmiechał się jakby w rozmarzeniu, po czym zawrócił pośpiesznie ku damie, a ponieważ kroczył szybciej niż miał to w zwyczaju, jego ramiona przechylały się śmiesznie z prawej strony na lewą i tak bardzo zapamiętał się w tym geście, nie dbając o całą resztę, że wyglądał jak bezwładna, mechaniczna zabawka szczęścia. Tymczasem my wychodziliśmy z kruchty i już mieliśmy przejść obok niego, gdy on, zbyt dobrze wychowany by odwrócić głowę, nagle utkwiał wzrok nawiedzony przez głębokie rozmarzenie w tak oddalony punkt horyzontu, że nie mógł nas zobaczyć i nie musiał nas pozdrawiać. Twarz, uniesiona ponad swobodną i skromną marynarką, jakby zabłąkaną wbrew jego woli pośrodku znieawidzonego luksusu, zachowała wyraz niewinności. A fular w groszki powiewał na wietrze jak sztandar jego dumnego odosobnienia i szlachetnej niezawisłości. Kiedy dochodziliśmy już do domu, mama spostrzegła że zapomnieliśmy o torcie Saint-Honoré i poprosiła ojca, żeby wrócił wraz ze mną i natychmiast go zamówił. Minęliśmy się przy kościele z Legrandinem, który szedł w odwrotnym kierunku, odprowadzając tę samą damę do jej powozu. Przeszedł tuż obok nas, nie przestając zwracać się do swojej sąsiadki, kącikiem zaś niebieskiego oka dał nam znak, w jakiś sposób od wewnętrznej strony powiek, przy nieporuszonych mięśniach twarzy, tak że mogło to ująć całkowicie uwagi jego rozmówczyni; starając się jednak zrekompensować intensywnością uczucia zbyt wąskie poletko swojej ekspresji w zwracającym się ku nam lazurowym kąciku rozniecił iskierki przychylności podszytej rozbawieniem i cieniem złośliwości, sprowadził finezję uprzejmości do porozumiewawczych mrugnięć, półsłówek, niedomówień, do kulis tajnego porozumienia, by wreszcie przejść do płomiennych zapewnień o przyjaźni, czułych zaklęć, posuniętych do miłosnych wyznań, rozświetlających sekretną tęsknotą – i w sposób całkowicie niewidzialny dla arystokratycznej towarzyski – rozmiłowaną źrenicę na tle lodowatej twarzy.

Właśnie poprzedniego dnia Legrandin poprosił rodziców, by pozwolili mi przyjść do niego wieczorem na kolację:

– Przyjdź, chłopcze, dotrzymać towarzystwa swemu staremu przyjacielowi – zwrócił się do mnie – to tak jak podróżny z krainy, do której się już nie wraca, przysyła wam bukiet, pozwól mi, z oddali twej młodości, odetchnąć zapachem tych kwiatów wiosennych, który pamiętam jeszcze z dawnych lat. Przyjdź z pierwiosnkami, kaniańką, kaczeńcem, przyjdź z rozchodnikiem – które składają się w bukiet balzakowskiej flory – przynieś kwiat Zmartwychwsta-

nia Pańskiego, buldenezu i stokrotki, których woń zaczyna rozchodzić się po alejkach ogrodu twej ciotecznej babki, nim ostatnie bryłki śniegu stopnieją od wielkanocnych, zimnych deszczów. Przyjdź z lilią obleczoną w sławną szatę jedwabną godną Salomona, przyjdź z wielobarwną emalią bratków i koniecznie przynieś mi jeszcze świeży podmuch ostatnich przymrozków, który parze motyli co od samego rana czekają u drzwi, rozchyli płatki pierwszej róży jerychońskiej.

Zastanawiano się w domu, czy powinienem iść mimo wszystko na kolację do pana Legrandin. Ale babcia nie chciała uwierzyć, że mógł się okazać niegrzeczny. „Przyznacie sami, że przychodzi tutaj ubrany całkiem zwyczajnie i nie wygląda na światowca”. Oświadczyła, że w każdym razie, nawet gdyby rzeczywiście tak się zachował, najlepiej udać że niczego się nie zauważyło. Prawdę mówiąc, nawet ojciec którego mocno zirytowało zachowanie Legrandina, żywił jeszcze cień wątpliwości, co by miało ono oznaczać. Miało ono cechy każdego zachowania czy uczynku w którym przejawia się ukryty głęboko charakter danej osoby: i nie wiąże się w żaden sposób ze słowami jakie wcześniej wypowiadała, winny zaś nie przyzna się do niczego; jesteśmy więc w sumie skazani na świadectwo naszych zmysłów, od nich – wobec niejasnego, odizolowanego od całej reszty wspomnienia – oczekujemy odpowiedzi, czy nie stały się przypadkiem igraszką złudzenia; i tak to tego rodzaju zachowania – jedynie one mające znaczenie – pozostawiają nam często wątpliwości na swój temat.

Jadłem kolację z Legrandinem na tarasie, przy świetle księżycy;

– Cudowna jest ta cisza, nieprawdaż? – rzekł – pewien powieściopisarz, którego przeczytasz trochę później, utrzymuje, że sercom zranionym tak jak moje, najbardziej odpowiada cisza i ciemność. I widzisz, moje dziecko, przychodzi w życiu taka pora – tobie do niej jeszcze bardzo daleko – że zmęczone oczy tolerują już tylko jedno światło – przefiltrowane przez ciemność nocy tak pięknej jak dzisiejsza w której uszy mogą słuchać już tylko muzyki światła księżycy, granej na flecie milczenia.

Słuchałem słów pana Legrandin, które robiły na mnie zawsze tak miłe wrażenie, lecz teraz mąciło je wspomnienie kobiety, zobaczonej niedawno przy nim po raz pierwszy, i myśląc – obecnie, gdy już wiedziałem, że Legrandin ma znajomości w kręgach okolicznych arystokratów – że być może zna także i tę osobę, zebrawszy się na odwagę, zapytałem: „Czy zna pan panią... którąś z pań de Guermites?” – szczęśliwy także i dlatego, że wymawiając to nazwisko, zyskiwałem jakąś władzę nad nim przez sam fakt oderwania go od mojego marzenia i nadania mu tym samym obiektywnego i dźwięcznego istnienia.

Lecz na sam dźwięk nazwiska „Guermantes” w niebieskich oczach naszego przyjaciela pojawiło się małe, brązowe wgłębienie, jakby od ugodzenia niewidzialnym ostrzem, podczas gdy reszta źrenicy wylewała w dalszym ciągu strumienie lazuru. Obwódka powieki poczerniała, obwisła. Usta, naznaczone gorzką fałdą, opamiętując się szybko, uśmiechnęły się, lecz spojrzenie pozostało bolesne, niczym u pięknego męczennika, którego ciało najeżyło się strzałami.

– Ależ nie, nie znam – odrzekł – lecz zamiast wypowiedzieć informację tak zwyczajną, udzielić odpowiedzi tak mało zaskakującej w sposób naturalny i odpowiedni, wygłosił ją, akcentując poszczególne słowa, pochylając się do przodu, skłaniając głowę, z naciskiem koniecznym dla uzyskania wiarygodności nieprawdopodobnego stwierdzenia – jakby fakt, że się nie zna księstwa de Guermantes mógł wypływać jedynie z jakiegoś osobliwego przypadku – a także z emfazą na ustach kogoś, kto nie mogąc przemilczeć sytuacji dla niego przykryj, woli już powiedzieć o niej głośno, by inni mogli pomyśleć, że to wyznanie przychodzi mu bez najmniejszej trudności, wprost przeciwnie – jest łatwe, przyjemne i spontaniczne, i że sama sytuacja – brak związków z Guermantami – może nie być narzucona mu, lecz zgodna z życzeniem, wynikająca prawdopodobnie z jakiejś rodzinnej tradycji, zasady moralnej czy zgoła z mistycznego ślubowania, wzbraniającego mu bywania u księstwa de Guermantes.

– Nie – podjął, nakładając na słowa swoistą intonację – nie, nie znam ich, nigdy nie chciałem ich znać, zależało mi zawsze na zachowaniu pełnej niezależności; w gruncie rzeczy siedzi we mnie jakobin, wiesz o tym. Sporo osób usiłowało wpłynąć na mnie, przekonując że nie mam racji nie chcąc się zadawać z Guermantami, że wychodzę w ten sposób na gbura, odludka. Ale mnie wcale nie przeraża tego rodzaju reputacja, bo taka jest prawda! W głębi ducha, cenię sobie wyłącznie na tym świecie kilka kościołów, dwie lub trzy książki, niewiele więcej obrazów, i to światło księżycy, kiedy podmuch twojej młodości przynosi mi zapach ogrodów których moje stare oczy już nie dostrzegają.

Nie rozumiałem za dobrze, dlaczego, aby nie odwiedzać ludzi których się nie zna, trzeba koniecznie troszczyć się o swoją niezależność i w jakiej mierze miało to komuś nadawać pozór dzikusa czy gbura. Zrozumiałem jednak, że Legrandin nie był całkowicie wiarygodny, mówiąc, że kocha wyłącznie kościoły, blask księżycy i młodość; kochał się i to bardzo w ludziach z wysokich sfer i odczuwał w ich obecności tak wielką obawę że nie zyska ich aprobaty, iż nie śmiał zdradzić się przed nimi z tym, że przyjaźni się z mieszczanami, synami notariuszy czy agentów giełdowych, wołał już, aby – jeśli prawda miała wyjść na jaw – wypłynęło to w czasie jego nieobecności, daleko od niego i „zaocznie”, był po

prostu snobem. Z pewnością nie wypowiadał się nigdy o tym wszystkim w języku, który moi rodzice i ja tak bardzo u niego lubiliśmy. I na moje pytanie „Czy zna pan księstwo de Guermantes?” – Legrandin – causeur odpowiadał: „Nie, nigdy nie chciałem ich poznać”. Niestety, odpowiadał już poniewczasie, ponieważ inny Legrandin, ten skrywany głęboko, nie ujawniony przezeń, gdyż on wiedział wszystko o naszym Legrandinie, o jego snobizmie, o kompromitujących go historiach, ten inny Legrandin już był udzielił odpowiedzi zranionym spojrzeniem, grymasem ust, przesadnym namaszczeniem w tonie odpowiedzi, tysiącem strzał którymi poczuł się przeszyty niczym święty Sebastian snobizmu: „Oh! Jak ty mnie dręczysz! Nie, nie znam tych de Guermantes, nie budź we mnie wielkiego cierpienia mego życia”. A że ów-Legrandin – *enfant terrible*, Legrandin – szantażysta nie potrafił wystawiać się tak pięknie jak ten pierwszy, miał za to na końcu języka słowo nieskończenie bardziej zwinne, na które składa się to, co nazywamy „refleksem”, gdy Legrandin – causeur próbował nakazać mu milczenie, ten drugi już był przemówił i nasz przyjaciel na próżno martwił się złym wrażeniem, jakie rewelacje jego *alter ego* mogły sprawić, co najwyżej mógł starać się je zatuszować.

Oczywiście, to wcale nie znaczy, że pan Legrandin nie był szczery, kiedy grzmiał przeciw snobom. Nie mógł wiedzieć, przynajmniej od siebie, że sam nim był, ponieważ znane nam są jedynie namiętności innych, a jeśli zdołaliśmy się dowiedzieć czegoś o naszych własnych, to jedynie poprzez znajomość cudzych. Na nas oddziałują one w sposób wtórny, poprzez wyobraźnię, która na pierwotne pobudki nakłada te bardziej przyzwoite. Snobizm Legrandina nie doradzał mu nigdy składania często wizyt jakiejś księżnej. Wyobraźnia ukazywała mu tę właśnie księżnę strojną we wszelkie uroki. Legrandin zbliżał się do niej, sądząc, że pociągają go walory jej ducha i cnoty, obce niegodnym snobom. Jedynie inni wiedzieli, że on sam też należy do snobów; niezdolni bowiem do połapania się w pośredniczącej pracy jego wyobraźni, dostrzegali jedynie wszystkie jego zabiegi w wielkim świecie, oraz ich pierwotną przyczynę.

Obecnie w domu nikt nie miał już żadnych złudzeń co do pana Legrandin i nasze stosunki z nim bardzo się rozluźniły. Mamę moją bawiło nieskończenie za każdym razem, gdy chwyciła Legrandina na gorącym uczynku grzechu do którego się nie przyznawał, a który w dalszym ciągu nazywał niewybaczalnym, czyli na snobizmie. Ojciec z kolei nie był skłonny traktować wielkopańskich tonów Legrandina równie beztrosko i swobodnie i gdy któregoś roku umyślnie wysłać mnie na wakacje do Balbec z babcią, powiedział:

– Muszę koniecznie oznajmić Legrandinowi, że jedziecie do Balbec, żeby zobaczyć, czy zechce zapoznać was ze swoją siostrą. Nie pamięta zapewne, że kiedyś powiedział nam, iż mieszka ona o dwa kilometry dalej.

Babcia natomiast uważała, że przebywając w nadmorskim kąpielisku, trzeba być od rana do wieczora na plaży by oddychać jodem i nie powinno się tam znać nikogo, bo wizyty i spacerzy zajmują tylko czas, przeznaczony na korzystanie z morskiego powietrza, i wprost przeciwnie – prosiła, żeby nie wspominać Legrandinowi o naszych planach, już bowiem widziała jego siostrę, panią de Cambremer, wkraczającą do naszego hotelu w chwili gdy właśnie wybieraliśmy się łowić ryby i zmuszającą nas do pozostania w czterech ścianach podczas jej wizyty. Ale mama śmiała się z tych obaw, myśląc sobie, że tego rodzaju niebezpieczeństwo nie zagrażało nam aż tak bardzo, że Legrandin nie będzie się kwapił, by zapoznać nas ze swoją siostrą. Otóż stało się tak, że nie było potrzeby mówienia Legrandinowi o Balbec, gdyż on sam, nie podejrzewając nas o zamiar udania się w tamte strony, wpadł w pułapkę pewnego wieczoru, gdy spotkaliśmy go nad brzegiem Vivonne.

– Te wieczorne obłoki mają w sobie bardzo piękne odcienie fioleto- i błękitu, nieprawdaż, przyjacielu? – zwrócił się do ojca – ten błękit ma więcej z kwiatów niż z powietrza, błękit cynerarii, zadziwiający na niebie. A ten różowy obłoczek, czy także nie ma barwy kwiatu, goździka lub hortensji? Właściwie tylko nad La Manche, między Normandią a Bretanią, mogłem poczynić najwięcej obserwacji w związku z tym królestwem roślinnym w atmosferze. Tam właśnie, w pobliżu Balbec, niedaleko tych dzikich miejsc, znajduje się czarująca, słodka zatoczka, gdzie zachód słońca w krainie Auge, zachód słońca czerwono-złoty – którego zresztą nie lekceważę – jest bez charakteru, właściwie bez znaczenia, lecz w tej wilgotnej i pełnej słodyczy aurze rozkwitają wieczorem w jednej chwili owe niebiańskie bukiety, błękitne i różowe, niezrównane, i które godzinami trwają, nie więdnąc. Inne opadają bardzo szybko, i to jest jeszcze piękniejszy widok: całe niebo usiane niezliczoną ilością płatków koloru siarki lub róży. W tej zatoczce, nazywanej opalową, złociste plaże wydają się jeszcze bardziej łagodne przez to, że niczym jasnowłose Andromedy przywiązane są do tych straszliwych skał na sąsiednim stoku, do tych cieszących się złą sławą brzegów, u których tyle statków się potopiło, i gdzie każdej zimy dużo łodzi ginie pod naporem morza. Balbec! Najbardziej starożytny geologiczny kościec naszej ziemi, prawdziwe Ar-mor, Morze krańca ziemi, przeklęta kraina, którą Anatole France – ten czarodziej, którego powinien przeczytać nasz mały przyjaciel – tak dobrze opisał, okryta wiecznymi mgłami, prawdziwa kraina Cymeryjczyków z *Odysei*.

I jakaż to rozkosz, wyprawić się właśnie z Balbec – gdzie buduje się już tyle hoteli na tej uroczej, starożytnej ziemi, nie naruszając jej charakteru – w te dzięki i tak piękne rejony, położone tuż obok!

– A czy zna pan może kogoś w Balbec? – zapytał ojciec. – Właśnie nasz mały wybiera się tam na dwa miesiące z babcią i może nawet z moją żoną.

Legrandin, zaskoczony tym pytaniem w chwili, gdy jego wzrok był utkwiony w mego ojca, nie mógł go odwrócić, lecz wpijając się oczami coraz to bardziej intensywnie – ze smutnym uśmiechem – w swojego rozmówcę, z wyrazem przyjaźni i szczerości, bez obawy patrzenia wprost przed siebie, zdawał się patrzeć przezeń – jakby twarz ojca stała się nagle przeźroczysta – a on wysoko ponad nią wpatrywał się w barwną chmurę, stwarzającą mu alibi mentalne, co pozwoliłoby mu stwierdzić, że w chwili gdy zapytano go czy zna kogoś w Balbec, myślał o czymś innym i nie zrozumiał pytania. Zazwyczaj tego rodzaju spojrzenia prowokują rozmówcę do zapytania: „O czym pan myśli?”. Ale ojciec, dociekliwy, zirytowany i okrutny, podjął:

– Czy ma pan przyjaciół w tych stronach? Pan, który tak dobrze zna Balbec?

W ostatnim, rozpaczliwym wysiłku, uśmiechnięte spojrzenie Legrandina osiągnęło maksimum czułości, nieobecności duchem, szczerości i roztargnienia; doszedłszy jednak z pewnością do wniosku że nie pozostaje mu nic innego jak odpowiedzieć, rzekł:

– Mam przyjaciół wszędzie tam gdzie kępy drzew poranionych, lecz nie zwyciężonych skupiły się, by wspólnie, z patetycznym uporem błagać o zmiłowanie nie znające litości, niemiłosierne niebo.

– Nie o tym chciałem mówić – przerwał mu ojciec, równie uparty jak drzewa i bezlitosny jak niebo. – Pytałem, na wypadek, gdyby cokolwiek stało się mojej teściowej i aby nie czuła się jak na bezludnej wyspie, czy ma pan tam znajomych?

– Tam, jak i wszędzie, znam wszystkich i nie znam nikogo – odpowiedział Legrandin, który tak szybko się nie poddawał – znam wiele rzeczy i bardzo mało osób. Ale tam same rzeczy wydają się osobami, osobami rzadko spotykanymi, o delikatnej naturze, zawiedzionymi przez życie. Czasami jest to zameczek wzniesiony na stromej skale i na skraju drogi gdzie przystanął, konfrontując swój smutek z jeszcze zaróżowionym wieczorem, gdy po niebie wędruje złoty księżyc w świetle którego wracają do przystani łodzie, prując wielobarwne wody, wznosząc na masztach jego płomień i strojąc się w jego barwy; niekiedy jest to zwyczajny, samotny dom, raczej brzydki, o nieśmiałym lecz romantycznym wyglądzie, skrywający przed oczami wszystkich jakiś niezniszczalny sekret szczęścia i rozczarowania. Ta nierzeczywista kraina – dorzucił z jakąś makiaweliczną sub-

telnością – kraina czystej fikcji, nie nadaje się dla dziecka jako lektura, i ja na pewno nie wybrałbym jej ani nie doradzał mojemu małemu przyjacielowi, już i tak skłonemu do smutku, z jego sercem tak bardzo wrażliwym. Klimaty miłosnych wyznań i daremnych żalów nadają się raczej dla starego, zgorzkniałego sceptyka takiego jak ja, ale są zawsze niezdrowe dla osobowości jeszcze nie ukształtowanej. Proszę mi wierzyć – podjął z naciskiem – wody tej zatoki, już na wpół bretońskiej, mogą oddziaływać kojąco, co zresztą jest dyskusyjne, na serce już naruszone, serce, którego uszkodzenie jest nieodwracalne. W twoim wieku, chłopcze, są absolutnie niewskazane. – Dobranoc, sąsiedzi – dodał, odchodząc nagle w odruchu ucieczki, jak to miał w zwyczaju, i obracając się ku nam ze wzniesionym palcem, niczym lekarz, sprowadził całą konsultację do: „Żadnego Balbec przed pięćdziesiątym rokiem życia, a i to jeszcze w zależności od stanu serca!” – krzyknął na odchodnym.

Ojciec powrócił do tematu w czasie naszych późniejszych spotkań, zadreżczał go pytaniami, ale wszystko na próżno: niczym uczony oszust, co to na sfabrykowanie fałszywych palimpsestów zużywa cały swój trud i wiedzę której setna część wystarczyłaby by mu zapewnić życie w większym dostatku i uczciwie, pan Legrandin, gdybyśmy jeszcze dalej przyciskali go do muru, opracowałby w końcu raczej całą etykę pejzażu i geografię nieba dolnej Normandii, niżby miał się przyznać do tego, że w odległości dwóch kilometrów od Balbec mieszka jego rodzona siostra i czuć się zobligowany do zaopatrzenia nas w list polecający, co nie napawałoby go aż takim przerażeniem, gdyby mógł być absolutnie pewien – a powinien był mieć taką pewność w oparciu o znajomość charakteru mojej babci – że z niego nie skorzystamy.

## Nota

Przedstawiam własny przekład dwóch fragmentów pierwszej z trzech części – *Combray*, II, składających się na pierwszy tom wielkiego dzieła Marcela Prousta *W stronę Swanna* (zachowując w przekładzie tytułu tomu interpretację Boya). Wypada opatrzyć tę prezentację choćby zwięzłym raportem z placu boju, który właśnie się toczy: jestem w trakcie tego tłumaczenia, najtrudniejszego z trudnych<sup>1</sup>. Mój komentarz na tym etapie może być tylko czymś w rodzaju prowizorycznego wglądu w trójstronne relacje – odczytania – układy: między tłumaczem drugim (niżej podpisaną) a autorem tekstu oryginalnego, i w – nie mniej ważne, paralelne do tych pierwszych – polemiki interpretacyjne, rozgrywające się między tłumaczem drugim a tłumaczem pierwszym – Tadeuszem Boyem-Żeleńskim. Przy nieustającej czujności wobec wszystkich trzech poziomów tego samego – i za każdym razem innego tekstu (nigdy dość przypomnienia, że przecież Proust nie pisał w języku polskim).

Nie da się ukryć, że stroną aktywną w tym osobliwym procesie, w wyniku którego powstaje – w bólach! – drugi w polszczyźnie tekst pierwszego tomu dzieła Prousta *Du côté de chez Swann*, jest, z natury rzeczy – (autor zmarł w roku 1922, pierwszy tłumacz, Boy-Żeleński został zastrzelony przez Niemców w 1943) – tłumacz/ka drugi/a...

Wielowymiarowym, skomplikowanym w zapisie dziełem Prousta – heroicznym, rozpisany na lata zmaganiach wyczynem chorego człowieka – zachwycało się wielu artystów, pisarzy, u nas choćby Jan Błoński i Zbigniew Bieńkowski i z pewnością pewna liczba miłośników tej niezwyklej prozy. To nie jest pisarz łatwy i przyjemny, więc nie dla wszystkich. Czy jest to pisarz na nasze niecierpliwe, zżerane najrozmaitszymi lękami i frustracjami czasy? Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi, namysłowi każdego z potencjalnych czytelników Prousta z osobna. W każdym razie we Francji – gdzie bardziej niż gdziekolwiek indziej, co naturalne – fetowano w ubiegłym roku setną rocznicę ukazania się *Du côté de chez Swann*, odpowiedź wielu czytelników brzmiała: *Proust, plus que jamais!* (Proust, bardziej niż kiedykolwiek!), i jakby na poparcie tej zastanawiającej, emocjonalnej wypowiedzi, w niektórych księgarniach odbywały się wielotygodniowe czytania na głos różnych fragmentów *A la recherche*. Brali w nich także udział ludzie, którzy z dziełem Prousta zetknęli się po raz pierwszy! Nie mam złudzeń, by tego rodzaju „oddolna” inicjatywa zdarzyła się w Polsce. Z tego co wiem,

---

<sup>1</sup> Książka ukaże się nakładem Wydawnictwa Sic!, w serii „Wielcy pisarze w nowych przekładach”.



w Krakowie ubiegłej jesieni odbyła się kilkudniowa sesja poświęcona Proustowi i recepcji jego wieloksięgu. Z okazji okrągłej rocznicy, ukazało się także kolejne wznowienie Boyowskiego przekładu *W stronę Swanna*. Czyli mimo rozlicznych i z różnych stron płynących zastrzeżeń *Boy redivivus!*

Po co tłumaczyć na nowo utwór, którego jeden jedyny przekład jest wznawiany w ciągu wielu lat (pierwsza edycja ukazała się w roku 1936) i który ma swoich zaprzysięgłych miłośników? To właśnie oni zadaliby zapewne to pytanie, powodowani bezkrytycznym rodzajem lojalności, ślepej na fakt, że w wypadku naprawdę wielkiego, ważnego pisarza, zasługuje on na obdarzenie go po raz drugi, kolejny, życiem, współbrzmującym z nowymi odczytaniem jego dzieła, z wymogami ewolucji języka powszechnego i języka literatury w szczególności. Co, oczywiście, nie znaczy, że język *Poszukiwania* należałoby uwspółcześniać „na siłę”, odbierając mu organiczny związek z czasem i kontekstem kulturowym, w jakim powstawał. Decyzje tłumacza, podejmującego się nowego tłumaczenia wybitnego utworu z przeszłości, choćby nie tak znowu dalekiej, muszą przekładać się na nieustający dialog języków: oryginału i języka docelowego, a także na dialog kontekstów kulturowych, w których każdy z tych języków jest po uszy zanurzony, a jest to materia wyborów niesłychanie delikatna. Wracając jeszcze do pytania „po co nowy przekład” (skoro przywiązaliśmy się do „kanonicznego”) wspomnę tylko, że np. w Hiszpanii istnieją – jak do tej pory – cztery różne przekłady, *Du côté de chez Swann*, tak samo w Rosji, co sprawdziłam (jeśli chodzi o inne kraje i języki, brak mi informacji).

Moja osobista przygoda z tłumaczeniem *Du côté de chez Swann* rozpoczęła się w roku 1997. Nie z własnej inicjatywy; w owym czasie nie miałabym takiej śmiałości. Akurat przygotowywała się koncepcja wydania specjalnego numeru miesięcznika „Literatura na świecie”, poświęconego w całości Proustowi, którego pomysłodawcą, autorem wyboru materiałów, własnych esejów, tłumaczem większości esejów i pastiszy Prousta, esejów Gilles Deleuze’a, Rolanda Barthesa i Jean-Yves Tadié – biografa Prousta, był Michał Paweł Markowski – młody wówczas filozof, wykładowca na krakowskim Uniwersytecie Jagiellońskim, eseista i tłumacz. Propozycję przetłumaczenia dużego fragmentu wspomnianej pierwszej części *Poszukiwania* złożył mi naczelny redaktor „Literatury na świecie”. Potrzebowałam trochę czasu do namysłu, do uważnego przyjrzenia się przekładowi Boya. W wyniku tej krytycznej lektury doszłam do wniosku, że nowe tłumaczenie jest koniecznie potrzebne, nie tylko dlatego, że „przekład się zestarzał”. I z tym przekonaniem zabrałam się do pracy. Proustowski podwójny numer „Literatury na świecie”, 1–2/1998, otwierały 54 strony mojego przekładu *W stronę Swan-*

na, *Combray*, zwieńczone jednym z kluczowych dla całości dzieła objawień mimowolnej pamięci – wynurzeniem się świata dzieciństwa narratora z filiżanki herbaty, w której umoczył magdalenkę – „muszelkę z ciasta, pulchną i zmysłową pod surowym mnisim sfałdowaniem”.

Daleka od podważania zasług translatorskich Boya, zwłaszcza w zestawieniu z jego ogromnym dorobkiem w dziedzinie tłumaczeń z literatury francuskiej, poczułam, w trakcie konfrontacji jego przekładu z oryginałem i czytania wstępu, jakim opatrzył pierwszą edycję powieści, przedrukowywaną później, o ile wiem, bez zmian, do dnia dzisiejszego – że nie mogę się zgodzić na kształt konceptualny, a co za tym idzie językowy i stylistyczny jego *W stronę Swanna*. Boy podkreślał wprawdzie nowatorstwo Prousta w tworzeniu narracji, pozbawionej tradycyjnej fabuły, w powołaniu do życia galerii postaci, u których najważniejsza jest charakterystyczna „płynność stanów duszy”, nieprzewidywalność, współistnienie ze sobą sprzeczności, u których „świadome życie jest tylko zmieniającą się wypadkową sumujących się i krzyżujących czynników podświadomości, grą wielorakiej dziedziczności, urazów i kompleksów dzieciństwa”, zwracał uwagę na znaczenie „współczynnika Czasu”, głównego – według Boya – bohatera całego dzieła, zauważał, że pisarz „jest fanatykiem Sztuki”, a jego utwór „ocieka wręcz poezją”, lecz trudno było nie odnieść wrażenia, że tłumacz – interpretator ceni sobie najwyżej autora *Poszukiwania*, jako twórcę „nowej komedii ludzkiej”, z akcentem padającym na „komedię”, mimo „zasadniczo tragicznego stosunku Prousta do życia”. „Za mało się mówi o komizmie w dziele Prousta” – uważa Boy. Zgoda, ale ów „niedoceniany” aspekt humorystyczny wkomponowuje się w całość obrazu zarówno przedstawianych postaci, jak i filozofii poznania tego nadświadomego pisarza, a także jego wypracowanej po latach prób i przymiarek do właściwego kształtu dzieła – do końca poddawanego obróbkom, korektom, uzupełnieniom – i metody twórczej.

Konkluzją zaprezentowanego we wstępie Boyowskiego odczytania tłumaczonych przez niego większości tomów *Poszukiwania* jest zakomunikowana czytelnikowi otwarcie śmiała decyzja zmodyfikowania zapisu dzieła, po to tylko „aby osiągnąć większą przejrzystość”, czyli ułatwić mu lekturę – wymagającą ogromnego kredytu cierpliwości – autora „dziwnego monstrum, jakim bywa zdanie Prousta”. Boy tłumaczy się gęsto z decyzji, żadną miarą niewytłumaczalnej: „to, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi”... „Proustowskiego zdania »nie zniósłby często język polski«. A więc dla „dobra” i wygody czytelnika, tłumacz rozgrzesza się z poszatkwania biegnącej w swoim kapryśnym rytmie frazy-rzeki Prousta, przerabiając utwór na „normalną” po-

wieść, za jednym zamachem także wyodrębniając akapity i dialogi. W ostatnim zdaniu rzeczonoego wstępu uspokaja własne sumienie „odgadnięciem pragnienia Prousta, by być czytany (nie tylko przez wąskie grono intelektualistów)” i zapewnia: „w trakcie tej pracy wciąż słyszałem wewnętrzną muzykę myśli Prousta”, czego doprawdy, po poddaniu tekstu oryginału tego rodzaju okaleczeniom, nie sposób sobie wyobrazić.

Jeśli nawet, w połowie lat trzydziestych ubiegłego stulecia, znany i wybitny tłumacz mógł stać się świadomym oprawcą tekstu autora, w trosce o jego większą „przejrzystość”, to w rozpędzającym się XXI wieku, z perspektywy zbliżającej się rocznicy stulecia śmierci Marcela Prousta, kastracyjna decyzja Boya wymaga nareszcie odwołania i zastąpienia jej wysiłkiem tłumacza w celu odtworzenia rzeczywistych intencji i „poszukiwania” autora. I – poza wszystkim innym – od czasów wątpliwych „usprawiedliwień” Boya język prozy światowej tak dalece ewoluował, że niestraszna mu długość i meandry Proustowskiej frazy. Boy zdziwiłby się zapewne, jak wiele musiał wytrzymać polski czytelnik, przedzierając się choćby przez niepowstrzymany bieg jednego zdania, składający się na powieść Jerzego Andrzejewskiego *Bramy rajy*. Prawdą jest także, że Boy nie mógł znać niesamowitego wprost rozrostu światowej, bo nie tylko francuskiej proustologii, świadczącej o żywotności dzieła autora *Poszukiwania* i rzucającej coraz to nowsze światła na tajemnice jego interpretacji dzieła. Zaznajamiając się z rozciągniętymi w czasie komentarzami tak wnikliwych jego analityków, jak choćby Ramon Fernandez, Jean-Yves Tadié, Gilles Deleuze, Roland Barthes czy Julia Kristeva (której *Le Temps sensible. Proust et l'expérience littéraire* właśnie czytam, kontynuując równocześnie pracę nad przekładem), ma się do czynienia z różnymi odczytaniem tego, co najważniejsze w *Poszukiwaniu*. Odpowiada mi być może najbardziej definicja Deleuze'a w eseju *Proust i znaki* (opublikowanym we wspomnianym numerze „Literatury na świecie”): dzieło Prousta jest „opowieścią o terminowaniu (*apprentissage*)”, nabywaniu wiedzy niezbędnej do zostania pisarzem, „zbudowaniu na rozpoznawaniu znaków” różnych światów, przecinających się, wzajemnie objaśniających czy kontrujących.

Najwyższy czas wytłumaczyć się z nieznacznej, ale znaczącej zmiany, wprowadzonej przeze mnie do przekładu tytułu całości: „w poszukiwaniu utraconego czasu”, a nie „straconego”. Z perspektywy wieńczącego i objaśniającego całość czasu „terminowania” ostatniego tomu *Le Temps retrouvé* (Czas odnaleziony, odzyskany), wydaje mi się, że trzeba mówić o „czasie utraconym”, zagubionym, a nie „straconym”, przehulany, przebałaganiony, chociaż ten aspekt czasu przed jego finalnym, uszczęśliwiającym „odzyskaniem” także podbudowu-

je „czas utracony”. Dopiero „czas odzyskany” nadaje Sens wszelkim przeszłym wydarzeniom, cierpieniom, błędzeniom, perwersjom, dzięki także temu, co narrator-bohater-autor nazwie, po wyzwoleniu się nareszcie z ich zakłętego kręgu „cudem analogii” – rozpoznanych w smaku magdalenki czy wyłanianiu się zza horyzontu trzech wież kościoła Świętego Hilarego w Combray. „Czas odnaleziony” wreszcie, to spełnienie się w Sztuce, która dla Prousta jest najwyższą formą poznania. W *Poszukiwaniu* jest wszystko, także i „nowa komedia ludzka” – jak by chciał zwłaszcza odczytywać je Boy, ale jego esencja jawi się jako dotarcie do owej jedności czasów, w doświadczeniu której śmierć – towarzysza tylu lat pisarza – już nie jest straszna.

Fragmety przekładu które przedstawiam, skontrastowane ze sobą, są emblematyczne dla całego dzieła Prousta. Z jednej strony kościół – absyda – witraże z widniejącymi na nich historycznymi a także fikcyjnymi postaciami, religia Piękna, z drugiej strony – niesamowicie wyrafinowane pod względem psychologicznym i estetycznym studium hipokryzji i snobizmu razem wziętych w postaci Legrandina – prawdziwy majstersztyk talentu pisarza do groteskowych, a przy tym poetyckich ujęć. Boy – tłumacz pierwszy – towarzyszy mi, także przez zaprzeczenie i polemikę. Jest moim punktem odniesienia i trampoliną do skoku w obszary do własnej penetracji. Raz po raz zaglądam do jego przekładu, żeby sprawdzić, czy mnie udało się spolszczyć tekst Prousta inaczej – i lepiej. Po to przecież zabrałam się – po siedemnastu latach – do kontynuowania tej galerniczej pracy. Zdarzają się czasem miejsca, słowa, które są jego znaleziskiem, takie jak np. przymiotnik „oczepione” (*coiffées de pignons*) w opisie charakterystycznych domów z daszkiem w Combray; tak, tej *trouvaille* (znaleziska) mu pozazdrościłam. Mam jednak całkiem inną wizję Proustowskiej filozofii poznania, Proustowskiego *universum*, frazy-rzeki czy rozlewiska, Proustowskiej muzyki i poezji, immanentnej dla tej filozofii, tego *universum*, tej frazy. I to właśnie chcę oddać w moim odczytaniu i w mojej polszczyźnie.

Jestem w drodze. Do jej końca jeszcze daleko.

K.R.

SAMUEL BECKETT

## Nienazywalne

(fragment)

próba przekładu Marek Kędziński

Wszystkie te historie o jasności i ciemności, co za bzdury! A ja tyle w nie włożyłem, i tak się w nich pławiłem! Zaraz, tylko czy ja się toczę, zgodnie ze swym kulistym charakterem, czy też stoję, utrzymując w którymś punkcie równowagę na jednym z moich niezliczonych biegunów? Bardzo mnie korci, żeby się o tym dowiedzieć, przynajmniej spróbować. Ileż to wątków do dyskusji dałoby się wyciągnąć z tego jakże naturalnie zasługującego na zbadanie problemu? Choć nie poszłoby to na moje konto. Nie, pomiędzy mną a prawem do milczenia, pauzy jeszcze za życia, rozpościera się obszar lekcji, lekcja, ta sama, jak zawsze, ta, którą tak dobrze znałem, ale nie chciałem jej wygłaszać, dlaczego – nie wiem, może z obawy przed milczeniem, albo myśląc, że wystarczy mówić byle co, a zatem najlepiej kłamstwa, aby pozostać w ukryciu. Nieważne. A teraz wygłoszę ją, tę moją lekcję, jeśli ją sobie rzecz jasna przypomnę. Pod różnymi niebami, na drogach, w miastach, w lasach, w przeróżnych pokojach, w górach, na równinach, na brzegach rozmaitych mórz, nad rzekami, przycupnąwszy z tyłu za moim małym ludkiem, nie zawsze pogrążony byłem w smutku, traciłem czas, wyrzekałem się własnych praw, na darmo cierpiałem, zapomniałem swą lekcję. A potem to piekiełko na moją modłę, nie zanadto okrutne, ot, paru uroczych potępieńców, którzy aż się prosili, bym, postępując, zbryzgał ich moim własnym lękiem, coś co wzdycha z rzadka i przestaje wzdychać, tudzież dalekie blaśki płomieni miłosierdzia, w oczekiwaniu godziny naszego błogosławionego przeistoczenia w popiół. Mówię i mówię, bo trzeba mówić, ale nie słucham, szukam mojej lekcji, mojego życia, które niegdyś znałem, ale nie byłem skłonny tego przyznać, stąd być może niekiedy bierze się u mnie ten lekki brak prze-

---

Samuel Beckett, *L'innommable*, Editions de Minuit, Paris 1953, ss. 32–46.

rzystości. Być może i tym razem będę mojej lekcji tylko szukał, jeszcze jej nie wygłoszę, cały czas akompaniując sobie w języku, który nie należy do mnie. Zamiast jednak mówić to, czego nie trzeba było mi mówić, czego już więcej nie powiem, co być może jednak powiem, jeśli jeszcze zdołam, czy nie lepiej byłoby powiedzieć coś innego, nawet jeśli nie jest to jeszcze to, co trzeba powiedzieć? Spróbuję, spróbuję w innym czasie terazniejszym, nawet jeśli nie jest to jeszcze ten mój, bez pauz, bez płaczów, bez oczu, bez powodów. Założmy więc, że jestem w bezruchu, choć jest to przecież bez znaczenia, w bezruchu, albo że może obracam się, zmieniając bez ustanku miejsce, unoszę się w powietrzu albo dotykam innych powierzchni, lub że raz się obracam raz znowu ustaję, niczego bowiem nie czuję, ani spokoju w duchu, ani zmiany, niczego, co mogłoby stanowić punkt wyjścia do wyrobienia sobie jakiegoś poglądu na ten temat, co zresztą i tak byłoby bez znaczenia, gdybym miał gdzieś w zapasie pewną wiedzę ogólną, tudzież pewien idący z nią w parze rozum praktyczny, no ale jest jak jest, ja niczego nie czuję, niczego nie wiem, a co do myślenia, wdaję się w takowe jedynie w stopniu niezbędnym, żeby nie umilknąć, więc nie powinno się nazywać tego myśleniem. Nie zakładajmy zatem niczego, ani, że się poruszam, ani że, co bardziej pewne, że się nie poruszam, ponieważ jest to bez znaczenia, i przejdźmy do rzeczy, które takowe posiadają. Jakie na przykład? Ten głos, który mówi, wiedząc, że to same kłamstwa, obojętny na to, co mówi, może za stary i zbyt poniżony, żeby móc wydobyć w końcu z siebie słowa, które pozwolą mu przestać mówić, wie, że na nic się nie przyda, że jest na nic, że się nie słucha, z uwagą wsłuchany w milczenie, które sam przerywa, z którego któregoś dnia być może dotrze do niego owo długie i jasne westchnienie epifanii i pożegnania, czy to on? Już nie będę zadawał pytań, nie ma już pytań, już ich nie znam. Ten głos wychodzi ze mnie, wypełnia mnie, z traskiem rozbija się o moje ściany, nie należy do mnie, nie jest mój, ja nie mogę go zatrzymać, nie mogę go powstrzymać, by mnie nie rozrywał, mną nie wstrząsał, mnie nie osaczał. Nie jest mój, ja go nie mam, ja nie mam głosu, a muszę mówić, wiem tylko to, wokół tego tylko muszę krążyć, tylko o tym muszę mówić, tym głosem, który nie jest mój, lecz który może być tylko moim, jestem bowiem tylko ja, albo jeśli są inni oprócz mnie, do których mogłyby należeć te głosy, to do mnie nie dotrą, nie powiem o tym już więcej, już nie mam czasu wyjaśniać. Może oni patrzą na mnie z oddali, nie widzę w tym specjalnej niedogodności, pod warunkiem, że ich nie widzę, jak patrzą na mnie, na tę twarz pośród węglów, wiedząc, że się rozpadnie, ale to trwa za długo, późno się robi, oczy się zamykają, jutro trzeba wstać z samego rana. Więc to ja mówię, całkiem sam, inaczej nie mogę.

Nie, przecież jestem niemy. No właśnie, a gdybym tak zamilknął? Wtedy co mi by się przydarzyło? Coś gorszego od tego, co mi się przydarza? No proszę, wciąż te pytania. Jakie to typowe. Niby już nie znam pytań, a tu bez przerwy same wylewają mi się z ust. Myślę, że wiem, po co to wszystko. Chodzi o to, żeby ten dyskurs nie ustawał, ten dyskurs, beużyteczny, do niczego, który nie powinien obciążać mojego konta, który ani o jedną sylabę nie zbliża mnie do milczenia. Ale będę się pilnował, nie odpowiem już, przestanę udawać, że szukam. Być może nie będę miał wyboru, i żeby nie umilknąć, powymyślam sobie jakieś bajeczki, pełne głów, tułowi, ramion, nóg, wraz z przyległościami, krążących bezładnie po strefie niedoskonałego cienia niezmiennie zamieniającego się rolą z wątpliwym światłem, już mi się to przydarzało. Ale naprawdę mam nadzieję, że nie. Choć wciąż nie skreślam takiej opcji. Ponieważ, oddając się tym moim facejom, ostatni raz kiedy mi się to przydarzyło, mnie albo temu, kto się za mnie podaje, obserwowałem jednak to, co się dzieje. I miałem wówczas wrażenie, iż coś mi tam podszeptuje, że jest jeszcze inny sposób, i to całkiem sympatyczny, położenia kresu moim problemom, i nawet udało mi się, jak sądzę, natrafić – ani razu nie przerywając sobie, aby wydać z siebie owe powiedziały, bądź powiedział sobie, czy zapytał, bądź odpowiedział – na pewną ilość niezwykle obiecujących formułek, które, proszę bardzo!, obiecałem sobie wprowadzić w życie przy pierwszej nadarzającej się okazji, jak tylko skończę z moją bandą lunatyków. Ale teraz wszystko się wymazało. Trudno jest bowiem człowiekowi mówić, nawet byle co, a jednocześnie uważać na coś, co jest gdzie indziej, tam, gdzie kryje się jego prawdziwy interes, jak to określił słaby, urywany szept, jak by usprawiedliwiający się za to, że jeszcze nie zmarł. A to, co miałem wrażenie, że słyszę, dotyczyło tematu, co mam jeszcze robić, co mam powiedzieć, żebym nie musiał już niczego robić, niczego mówić, miałem wrażenie, że ledwie to słyszę, z powodu hałasu, który wzniecałem w innym miejscu, zastosowawszy się do reguł, źle rozumianych, jakiegoś niejasnego potępienia. A przecież pewne wyrazy, całe zwroty, zafrapowały mnie na tyle, że obiecałem sobie – nie przerywając skomlenia – że ich nigdy nie zapomnę, nawet więcej, że zrobię wszystko, by zrodziły się z nich nowe, a w końcu, by ich niepoohamowany potok przepędził z moich nędznych ust wszelki inny dyskurs, wygnał z tych wyczerpanych na próżno w próżnych wymysłach ust wszelki dyskurs, z wyjątkiem ich własnego, właściwego w końcu, i w końcu ostatniego. Ale wszystko to zapomniałem i niczego nie zrobiłem, chyba, że jestem właśnie w trakcie robienia, niczego nie życzyłbym sobie szczerzej. Skoro bowiem udało mi się niby słyszeć taką muzykę w czasie, kiedy zaplątany byłem w długą historię o konających, którzy się ści-

gają, wpadają na siebie, wiją się albo mdleją, czy nie powinienem tym bardziej usłyszeć jej teraz, kiedy że tak powiem obciążony jestem tylko sobą? Ale znowu wdaję się w jakieś rozumowanie. No i znowu poślizg, choć to jeszcze nie kraniec, szukam ratunku w kolejnej bajce. Czy nie lepiej byłoby po prostu mówić babababa, zanim człowiek pozna prawdziwą funkcję owego czcigodnego organu? Starczy jednak tych pytań, dość rozumowania. A teraz zaczynam na nowo, po całych latach. Czyli udało mi się zamilknąć, to znaczy, że jestem w stanie nie mówić. No i proszę, znów ten hałas, on też zaczyna na nowo. Wszystko to jest raczej niejasne. Mówię latach, choć tu nie ma lat. Ile coś trwa, tu nie ma znaczenia. Lata, to pomysł Bazyla. Długo, krótko, dla mnie wszystko jedno. Zachowałem milczenie, tylko ono się liczy, jeśli się liczy, już nie pamiętam, czy ma się liczyć. No proszę, znowu mi się ono wymyka. Ale, kochani, przyjaciele, jakie milczenie!, tak, przyjaciele, bo ja też muszę mieć gdzieś przyjaciół, czuję to, chwilami, w tej chwili, jakie milczenie!, moi nieszczęśni przyjaciele! Prawdę mówiąc, zachować milczenie to nie wszystko, trzeba też wiedzieć, jakiego rodzaju milczenie. Słuchałem. Można też mówić, na jedno wychodzi. Co za wolność! Nadstawiałem ucha, to był chyba mój głos od zawsze, tak słaby, tak odległy, że był jak morze, jak ziemia, dalekie, spokojne morze, ginące – nie, nie to, żadnej plaży, żadnego brzegu, dosyć tego, i morza też dosyć! Bazyl, jak widać wyraźnie, zaczyna być tu ważny. Więc nazwę go Mahood, to mi się bardziej podoba, taki dziwak ze mnie. To on opowiadał mi rozmaite historie o mnie, dla mnie żył, ze mnie wychodził, wracał do mnie, wlaził we mnie, zadręczał mnie tymi historiami. Nie wiem, jak to funkcjonowało. Zawsze wolałem nie wiedzieć, lubiłem nie wiedzieć, Mahood mówił mi jednak, że tak się nie robi. On też niczego nie wiedział, ale to go dręczyło. To jego głos często, zawsze, mieszał się z moim, niekiedy całkowicie się na mój nakładał, zanim pewnego dnia Mahood porzucił mnie na dobre, albo już nie chciał mnie porzucić, sam nie wiem. Tak, nie wiem, czy jest tu, w tym momencie, czy raczej gdzieś daleko, ale chyba niezbyt się pomyłę, twierdząc, że już przestał mnie, bezczelny, zamęczać. Pod jego nieobecność próbowałem ogarnąć się na nowo, zapomnieć, co mi powiedział, co o mnie powiedział, o moich żalonych nieszczęściach, śmiechu wartych, idiotycznych bólach, w obliczu mojej prawdziwej sytuacji, co za odrażające słowo. Ale jego głos w dalszym ciągu dawał świadectwo mnie, jakby wplątany w mój, nie pozwalał mi powiedzieć, kim jestem, czym jestem, tak, żebym mógł już zamilknąć, już nie słuchać. I jeszcze dzisiaj, mówiąc w jego stylu, choć on sam już mnie nie nęka, jego głos jest tutaj, w moim, ale już znacznie mniej, w mniejszym stopniu. I już nie odnawia się, pewnego dnia zniknie, mam nadzieję, z mojego, całkowi-



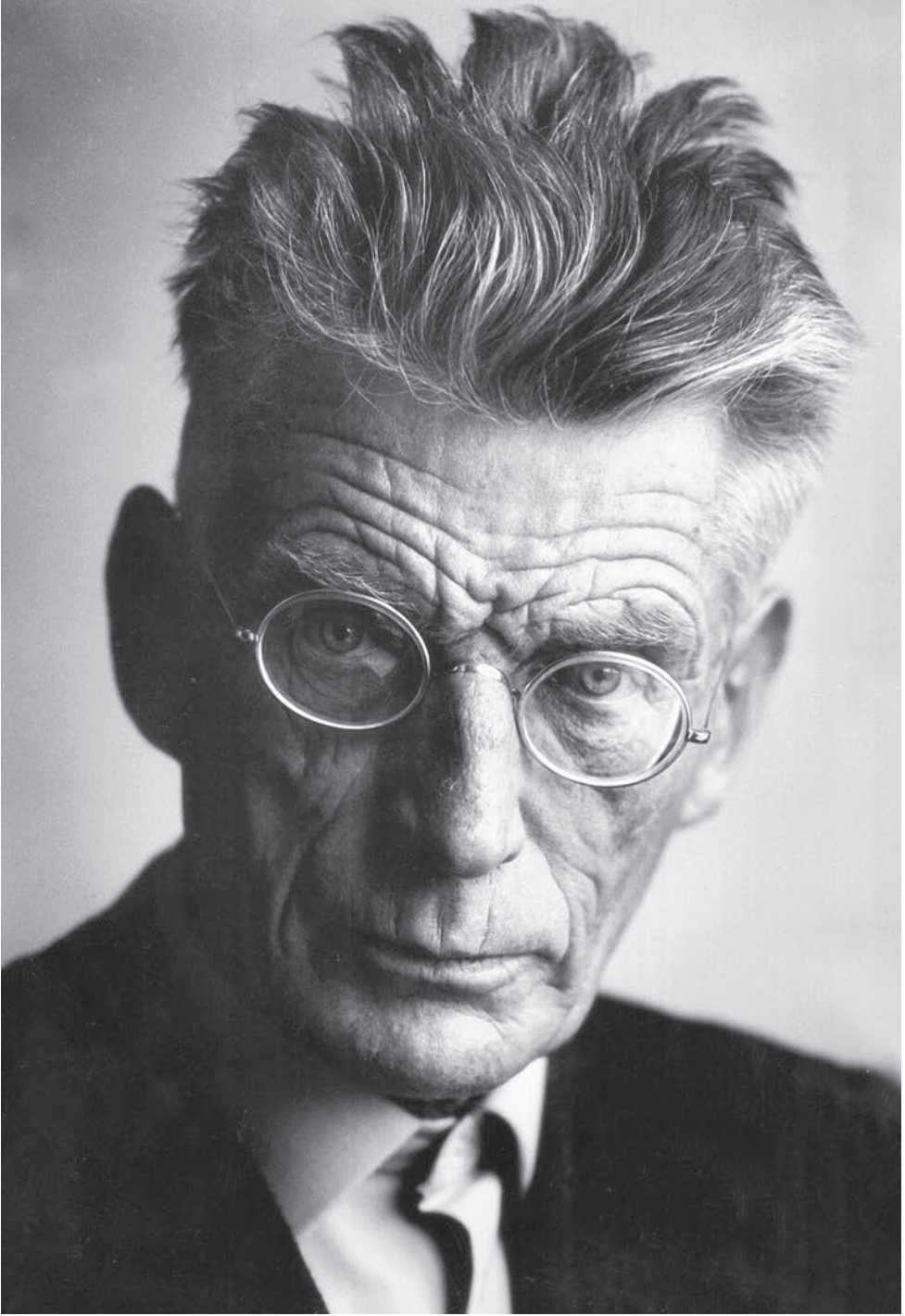
cie. Ale żeby tak się stało, muszę mówić. Choć nie ukrywam tego, przed sobą, że może wrócić, albo odejść najpierw, a potem powrócić. Wtedy trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa. Wtedy ten głos, mój głos, powie: No właśnie, opowiem sobie historię Mahooda, dla relaksu. Tak to się odbędzie. Powie: Potem, po takim relaksie zabiorę się na nowo za prawdę, ze zdwojoną energią. Żebym myślał o sobie jako wolnym podmiocie. Tylko, że to nie będzie już mój głos, nawet w części. Taki to przybierze bieg. A może ta historia zacznie się sama, łagodniutko, niezauważenie, jakby nigdy nic, jakby wciąż chodziło tu o mnie. A ja już będę spał, mocno, z otwartymi ustami, jak to mam w zwyczaju, będę wyglądał jak zazwyczaj. Z moich ust otwartych, uśpionych, zaczną wylewać się kłamstwa, o mnie. Nie, nie zasnę, będę tego słuchał, cały czas płacząc. Ale czy faktycznie idzie tu o mnie, w tej chwili? Chwilami wydaje mi się, że tak. Potem widzę jednak, że nie, zdecydowanie. Robię, co mogę, ale już do mnie dociera, że mi się nie uda, że ponoszę porażkę. Nie, żebym nie lubił porażki, wręcz przeciwnie, tylko, że chciałbym wreszcie umilknąć. Nie tak, jak przed chwilą, czyli po to, żeby lepiej słuchać. Lecz w całkowitym spokoju, pewny zwycięstwa, bezinteresownie. Okaze się, że to było dobre życie, w końcu życie! Moje wyschnięte od mowy usta wypełnią się śliną, te usta spragnione, nigdy im dosyć, nakarmię je delicjami, zaślinię życiem, moje zadanie zostanie ukończone, w milczeniu. Mówiłem, musiałem już chyba, o lekcji, a przecież idzie tu o zadanie, *pensum*, należało powiedzieć *pensum*, pomieszałem *lektio* i *pensum*. Tak, mam *pensum*, zadanie do wykonania, zadanie, nim będę wolny, wolny, aby się ślinić, aby już nie mówić, już nie słuchać, ale już nie wiem jakie. No proszę, w końcu uczciwy obraz mojej sytuacji. Dano mi zadanie, może przy urodzeniu, aby mnie ukarać za to, że się urodziłem, być może, albo może bez żadnego szczególnego powodu, ot tak, ponieważ mnie nie lubią, a ja zapomniałem, na czym ono polega. Czy jednak nigdy mi nie powiedziano konkretnie? Przyj, przyjacielu, przyj mocno, nie za mocno, ale jeszcze trochę, może tu o ciebie idzie. Czasami mówię do siebie ty, to moje słowa. Może osiągniesz cel. Po dziesięciu tysiącach słów? Wreszcie u celu, potem przyjdą inne. Mów tak sobie, nigdy nie dość mówiłem do siebie, nie dość słuchałem, nie dość odpowiadałem, nie dość pocieszałem, mówiłem dla swego pana, nadstawiałem uszu na słowa mojego pana, nigdy nie wypowiedziane. Dobrze, moje dziecko, dobrze, mój synu, możesz przestać, jesteś wolny, możesz iść, dokąd ci się spodoba, zostałeś zwolniony, ulaskawiony, nigdy nie wypowiedziane. Mój pan, proszę, oto trop, którego nie powinienem tracić z oczu. W tej chwili jednak, powinienem – na dobrą sprawę może ich być wielu, być może to cała konklawa tyranów, mających różne poglądy na to, co

ze mną zrobić, deliberują od niepamiętnych czasów, no może trochę krócej, niekiedy raczą mnie wysłuchać, potem idą coś zjeść, bądź zagrać w karty – no więc powinienem zająć się swoim *pensum*, które, bez specjalnego blamażu, śmiało mogę, jak się wydaje, powiązać z ową lekcją zbyt wczesnie porzuconą, zbyt nierozważnie... zarzuconą, mówiąc sobie, że skoro mam wykonać to *pensum*, to tylko z tego powodu, iż nie umiałem lekcji, i że po wykonaniu *pensum* będę jeszcze musiał wypowiedzieć lekcje, bo dopiero od tego momentu nabędę prawo, żeby sobie spokojnie siedzieć w moim kącie, ślinić się i żyć po prostu, z zamkniętymi ustami, z beczynnym językiem, z dala od tego, co mi przeszkadza, co hałasuje, z czystym sumieniem, to znaczy pustym. Ale to nie rozwiąże sprawy. Bo nawet gdybym przy tym *pensum* wpadł na dobre rozwiązanie, ubijając słówka jak masło, przyjdzie mi jeszcze poprawnie wygłosić moją lekcję, chyba że to jedno i to samo, co oczywiście nie jest niemożliwe. Dziwna zresztą idea – ostrożność mocno tu zalecana! – idea zadania, *pensum*, które należy wykonać, nim człowiek osiągnie spokój. Dziwne zadanie, musieć o sobie mówić. Dziwna nadzieja, zwrócona ku milczeniu i spokojowi. Nie mając nic, oprócz mego głosu, tego głosu, mogłoby się wydawać naturalnym, że jako przełknąwszy czy strawiwszy ideę obowiązku, będę interpretował to jako obowiązek powiedzenia czegoś, czegokolwiek. Ale jak! Nie mając rąk, może powinienem bić brawo, a może klasnąć na kelnera, to byłoby bardziej pikantne, zaś nie mając stóp, za tańczyć karmaniołę. No ale założmy na początek – aby sprawa nieco ruszyła z miejsca, potem założymy coś innego, aby jeszcze bardziej ją ruszyć – że idzie tu o powiedzenie czegoś innego, o czym nie było mowy we wszystkim, co dotychczas powiedziałem. To założenie powinno się obronić. Ale żeby, z tego wnosić, że ma to być coś o mnie, nie, to już lekkie przegięcie, tuśmy się stanowczo zagalopowali. Czy nie lepiej, żeby to były pochwały mojego pana, w formie inkantacji, po to, by mi przebaczył. Albo wyznanie, że jestem Mahoodem mimo wszystko, a te historie o osobie, której tożsamość Mahood miały sobie usurpować, nie pozwalając, by głos został wreszcie usłyszany, są fałszywe do szpiku kości, wszystkie po kolei. Zaraz, a może to Mahood jest moim panem? W tym momencie pozostawię to w tym punkcie. Za dużo perspektyw w tak krótkim czasie. Jak się wydaje, to całkiem niemożliwe, bym się obył bez pytań, na tym etapie, choć sobie obiecałem. Ograniczę się więc tylko do przysięgi, że przestanę je zadawać. Kto wie? Może w krótkim czasie wpadnę na jakąś szczęśliwą kombinację, dzięki której nie będę już ich formułować w moim... nie bądźmy tu zbyt pedantyczni, w moim umyśle. Wszystko to, co robię, nie da się bowiem zrobić tak zupełnie bez umysłu. Nie w moim? Chciałbym bardzo, proszę bardzo,

ale przecież czerpię z niego, a przynajmniej staram się, by tak to wyglądało. (...) No już, dalej. Będę się streszczać. Pan. Mało się o niego troszczyłem, zbyt mało. Dostyc już tych być może. Ten fortel już doszczętnie zużyty. Wszystkiego sobie zabronię, a potem będę kontynuował tak, jakby nigdy nic, jakbym nie zabronił. Pan. Tu i ówdzie jakieś aluzje, jak do satrapy, aby można się było skarżyć. Przyodziali mnie i dali pieniądze, coś w tym stylu, gładkim, to lekka muza. A potem już nic. Albo ten szef Morana, jak mu tam było? Tak tak, pewne rzeczy, które sobie wymyśliłem, w dobrej wierze, pełen wątpliwości, ochryply ze zmęczenia, pamiętam je wciąż, nie zawsze te same. Lecz żeby zgłębić trochę tę historię, z równym zapałem, próżnym, jak historię o słudze, moją historię, miałem taką nadzieję, no, zbliżoną do mojej, wiodącą do mojej – to nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. A jeśli przychodzi mi do głowy teraz, to tylko dlatego, że rozpaczliwie szukam mojej własnej historii. Chwila zniechęcenia, tak, kuć póki gorące. A zatem mój pan, zakładając, że jest jeden, na moje podobieństwo, życzy mi dobrego, a to kreatura!, dobrze mi życzy, a jeśli nie wydaje się, że zbyt się nie trudzi, może żeby się nie rozczarować, to tylko dlatego że tak czy inaczej i tak zbyt wiele nie da się zrobić, co ja mówię, nic nie da się zrobić, w innym wypadku niechybnie by to uczynił, mój łaskawy pan, mój mocarz, już dawno temu, nędzna kreatura. Inna hipoteza: uczynił już wszystko, co niezbędne, spełniła się jego wola, w moim wzglądzie (są bowiem może inni podopieczni), a mnie jest dobrze, choć o tym nie wiem. Przypadek numer jeden i numer dwa. Pochylił się najpierw nad jedyką, jeśli zdołam. Następnie zgarbię się nad dwójką, jeśli do tego czasu nie zwalę się z nóg. To wygląda mi całkiem na jedną z anegdot Mahooda, przepraszam, Malone'a. A jednak nie, wszystkie historie Mahooda były o mnie. Ale pochyl się szybko, kolego, bo jeszcze zapomnisz. Więc proszę, oto ten nieszczęśnik, niefortunny, z mojego powodu, czyli kogoś, dla kogo nic nie można uczynić, nie wiem, jakby chciał, a on aż pali się do pomocy, on tak nawykł do wydawania rozkazów, i że się go słucha. No więc to on, ten, kto od kiedy istnieję, co zresztą, jak podejrzewam, był w stanie sprowokować, przykazuje mi, abym miał się dobrze, komfortowo, z takim sukcesem, jak gdyby z tym rozkazem zwracał się do materii nieożywionej. Jeśli nie w smak mu ten pane-giryk, niech mnie – chciałem już powiedzieć powiesz, ale nie przejdzie mi to przez gardło, bo i tak na to liczę, powiedzmy więc poderzną gardło, bo to odebrałoby mi mowę. Przepraszam: głos. I tak zresztą nie mam szyi, przykro mi. Chcę, żeby ci było dobrze, słyszysz? – oto co mi niestrudzenie wbija do głowy. Na co ja, z należnym szacunkiem odpowiadam: Ja również, jaśnie panie. Mówię tak, aby mu sprawić przyjemność, ma taką nieszczęśliwą minę. Ja właściwie je-

stem delikatny, z grubsza biorąc, dobrotliwy, tak na powierzchni. Nieprawda, nie ma między nami żadnej rozmowy, on nigdy nie odzywa się do mnie słowem. Co do szczęścia, to za bardzo mu się nie poszczęściło. Pewnie z własnej woli mnie nie wybrał, nie zawsze trafia się na idealnego niewolnika. Inna sprawa, co on rozumie przez słowo dobro, moje dobro, to osobna historia. Zdolny jest chcieć, żebym był zadowolony, to już się zdarzało, jak się wydaje. Albo żebym się do czegoś przydał. Lub jedno i drugie za jednym zamachem, groch z kapustą. Trochę więcej szczeroci z jego strony na pewno by nie zaszkodziło, rzecz jasna do niego należy inicjatywa, tak z jego punktu widzenia, jak i z tego, który przypisuje mnie. Niech w końcu się wytłumaczy. To nie moja rola zadawać mu pytania, nawet gdybym wiedział, gdzie mam go szukać. Niech mnie raz na zawsze powiadomi, czego dokładnie ode mnie chce, i dla mnie. Że chce mojego dobra, to wiem, a przynajmniej mówię to, w nadziei, że przywołam go do rozsądku, jeśli istnieje, a jeśli istnieje, to, że mnie słucha. Ale jakiego dobra, tak, konkretnie, którego, bo jest ich kilka rodzajów? Może najwyższego? No i w końcu, niech mnie oświeci, tylko o to go proszę, tak, żebym przynajmniej miał satysfakcję z tego, że wiem, czego sobie ode mnie życzy. Jeśli chce, bym coś powiedział, dla mojego własnego dobra rzecz jasna, niech mi powie, co mianowicie, natychmiast wykrztuszę to z siebie, na całe gardło. Prawda, mówił mi już sto razy. To w takim razie trzeba mi to powiedzieć sto pierwszy, teraz będę uważał. Ale może niesłusznie go obciążam, mojego dobrego pana, być może nie jest wcale sam, jak ja, mój dobry pan, nie jest tak wolny jak ja, tylko związany z innymi, równie dobrymi jak on, jak on chcącymi mojego dobra, mającymi wszakże na owo dobro rozbieżne poglądy. Dzień w dzień, tam wysoko, w świetle dnia, kilka razy dziennie, od ustalonej godziny do ustalonej godziny, wszystko ustalone z wyjątkiem ustalenia, co ze mną zrobić, zbierają się, aby dyskutować na mój temat. Chyba że to tylko zastępcy, którym powierzono wypracowanie porozumienia w mojej sprawie. To, że przez ten czas ja sam mam w dalszym ciągu pozostać tym, kim zawsze byłem, to niewątpliwie lepsze rozwiązanie od jakiejś niefortunnej decyzji, powziętej większością, kto wie, jednego głosu, albo wylosowanej z kapelusza. Oni też przez ten czas cierpią, każdy na miarę swoich możliwości, ponieważ mnie nie jest dobrze. Ale dosyć już tego. Jeśli to ich nie zmiękczy, tym gorzej dla mnie, mogę to dobrze zrozumieć. Jeszcze tylko jedna sugestia, żebym nie zapomniał, zanim przejdę do poważnych rzeczy. Gdyby mnie tak puścili wolno, dla świętego spokoju. Może by to mi wyszło na dobre? No nie wiem. Może wtedy zdołałbym zamilknąć, tak definitywnie. Nie, wszystko to jest niepoważne. Jestem wolny, porzucony. Znowu wszystko na nic.

Nawet Mahood mnie porzucił, zostawił w spokoju. Wszystkie te historie o zadaniu do wykonania, żebym mógł już przestać, o słowach do powiedzenia, o prawdzie, którą trzeba odnaleźć, aby móc ją powiedzieć, abym mógł przestać, o narzuconym zadaniu, niegdyś znanym, potem zlekceważonym, zapomnianym, które trzeba odnaleźć, aby się uwolnić, aby nie musieć już więcej mówić, już więcej nie słuchać, wszystko to wymyśliłem, w nadziei, że tym się pocieszę, że to mi pomoże iść dalej, zobaczyć się gdzieś na drodze, w ruchu, między początkiem a końcem, raz zdobywającego teren, raz się cofającego, raz błędzącego, lecz w sumie przecież jednak w końcu wgryzającego się w teren. Nieprawda. Nic nie ma do zrobienia, to znaczy nic konkretnego. Mam tylko mówić, a to nic konkretnego. Mam mówić, nie mając nic do powiedzenia, nic oprócz słów innych ludzi. Nie umiem mówić, i nie chcę mówić, a muszę mówić. Nikt mnie do tego nie zmusza, nikogo tu nie ma, tak już wypadło, to wypadek, to fakt. Nic nie jest w stanie mnie od tego uwolnić, tu nic nie ma, nic do odkrycia, nic, co zmniejszyłoby ilość tego, co mam powiedzieć, mam całe morze do wypicia. Jest więc morze.



SAMUEL BECKETT

## Trzy listy

przełożył Marek Kędzierski

### do Thomasa MacGreevy

2 lipca 1933. Cooldrinagh, Foxrock

Kochany Tomie,

Ojciec zmarł w poniedziałek po południu po trwającej zaledwie tydzień chorobie, a w środę został pochowany na małym cmentarzu w Bray Head od strony Greystone, pomiędzy górami a morzem. Przez cały czas, kiedy był chory, opiekowałem się nim wraz z matką. Jeszcze rankiem w dniu śmierci, lekarz, który go badał, mówił nam, że stan ojca ulega poprawie. Z radości włożyłem na siebie najjaśniejsze ubranie, jakie udało mi się znaleźć. Ale ledwie doktor wyszedł z domu, ojciec miał zapaść. Obawiam się, że bardzo się nacierpiał, nim umarł około czwartej popołudniu. Byliśmy wszyscy przy nim. Wydawał się bardzo piękny, kiedy to się skończyło. Myślałem, że matka zupełnie się rozklei, ale była – i wciąż jest – wspaniała. Teraz jest to bardzo wyblakły i milczący dom.

Za wcześnie jeszcze, by przewidzieć, jak potoczą się sprawy. Chcielibyśmy wszyscy tu zostać, ale nie wiem, czy to możliwe. Frank ma przejąć firmę. Moja sytuacja staje się jeszcze bardziej niewiadoma. Na razie w imieniu matki odpowiadam na niekończące się listy i dbam o nią, tak jak potrafię. Frank po uszy pogrążony w sprawach związanych z firmą i spadkiem, i chyba nie mogę mu w tym pomóc. Brat matki, mieszkający w Anglii, którego ona darzy wielką sympatią, przyjechał na pogrzeb i zostanie z nami do przyszłego wtorku.

Miał prawie sześćdziesiąt jeden lat, ale o ile młodszy się wydawał – i był! Dopóki starczało mu tchu, robił sobie żarty z lekarzy i ich wyklinał. Leżąc w łóżku z twa-



rzą obłożoną groszkiem, przysięgał na wszystkie świętości, że po wyzdrowieniu ręką nie tknie już pracy. Będzie sobie jeździł na wzgórza ponad Howth, wylegiwał się wśród paproci i puszczał bąki. Jego ostatnimi słowami było „walcz walcz walcz” i „co za poranek”. Wszystkie szczegóły wracają – *mémoire de l'escalier*.

Nie mogę o nim pisać, mogę tylko chodzić za nim po polach i forsować rowy.

Niech Bóg Cię ma,

Sam

## do Georgesa Duthuita

10 września [1951]. Ussy

Mój drogi staruszk,

Bardzo mnie uradował Twój list, po tak długim czasie. Zacząłem pisać do ciebie parę dni temu, ale wyszło coś tak smutnego i głupiego, że ci oszczędzę. Jestem tu od trzech tygodni, na dobrą sprawę przez cały czas sam. Suzanne zajęta w Paryżu, dokąd przyjechała na parę dni jej matka. Przed przyjazdem trochę się szwędalem po Montparnassie, zwykle w towarzystwie Blina. Widziałem Hérolda – miły, trochę rozespany, i Giacomettiego – granitowo subtelny, pełen nie z tej ziemi spostrzeżeń, ale w gruncie rzeczy grzeczny chłopiec, chce oddać [w swoich pracach] to, co widzi, ale może wcale nie jest to takie grzeczne, kiedy widzi się rzeczy tak jak on. Moje nieśmiałe „ale przecież” zostały natychmiast odrzucone, a raczej zmiażdżone, z moją wydatną pomocą, rzecz jasna. Noce na Montparnasse w sumie dosyć dziwne, mało alkoholu, dzięki Blinowi, trzeźwemu aż do trzeźwi. Bardzo miły wieczór z Geerem i jego żoną, tudzież jego chudym jak szczapa i bardzo wrażliwym uczniem z Ameryki, którego nieco zbiłem z tropu teorii, pokazując moje obrazy Brama. U Geera widziałem jego ostatnią pracę, wciąż całkiem z daleka, ale już jednak dużo lepiej, zauważając i uznając szczytny cel, który mu przyświeca, aż nazbyt szczytny. To platonik w całej swej poruszającej szlachetności (kiedy jest się w księżycowym nastroju), na czworaka nad każdym milimetrem płótna, jak kozica stąpająca po szpilkach, dla którego Bram to wciąż „przypadek”. Nie sposób umknąć tym odwiecznym sporom. Miałem ochotę powiedzieć mu,



że łatwo wyjść poza siebie, kiedy się w sobie nigdy nie było, ale dobrze zrobiłem, że tego nie zrobiłem, ponieważ byłoby to dość niesprawiedliwe. Tak czy inaczej, to nie jest żadna układanka, chyba nie, to się jeszcze okaże, dotąd na pewno jej nie doceniałem. Zanegować to, tak jak czyni na przykład Hayden, jako wyblakły post-kubizm, o nie! I w aspekcie personalnym – był bardzo poważny i niepewny, nigdy go takim nie widziałem. To jest ktoś, jestem przekonany. Ani słowa od Brama, musiałem mu chyba nadepnąć na odcisk, niechcący i bezwiednie, absolutnie nie miałem takiego zamiaru, oferując mu gościnę na mojej kanapie. Dużo myślę o jego ostatnich obrazach, cudownych wytworach szaleńczej impotencji, naszpikowanych pięknem i splendorami jak wrak fosforocenów, człowiek pozostaje chyba na literackim szlaku na całe życie, olbrzymi trakt, gdzie wszystko wali tam i z powrotem, umyka i wraca, strzaskany spokój prawdziwych głębi. Mój drogi, masz pisać przedmowę do jednej z wielkich wystaw naszych czasów, nie chcę cię zniechęcać. Po prostu zabierz się do tego, wal prosto z mostu, śmiało zanurz się w mądrość obrazów, zgłębiając wykalkulowane ryzyko, kapilaryzm skromnych uniwersalistów. A Twojemu niżej podpisanemu słudze, wracając do codzienności, grozi proces o odszkodowanie ze strony drogiego pana Bordas! Tudzież wezwanie wydawnictwa Minuit, by zaprzestało wypłat z tytułu praw autorskich (cóż to będzie za strata!). Lindon z wielką gracją bierze sprawę w swoje ręce i zapewnia, że to nic poważnego. A mnie to tyle obchodzi, co przyszłoroczna ulewa ścierkę, którą teraz jestem. Z każdym dniem liczę się z nadejściem korekty do *Malone'a*, obiecanej na 15 października. Tak naprawdę, tylko *Nienazywalne* jeszcze trochę mnie interesuje. Piszę kapkami, zostawiam ślady jak rzucająca się o szybę mucha, w wolnym czasie, kiedy pozwalają mi na to krótkie przerwy w radleniu i wrywaniu chwastów. Naprawdę marzę o tym, żeby się przenieść, żebyśmy się przeprowadzili na wieś, a mieszkania w Paryżu używali jako *pied-à-terre*, już mam dosyć La Ruche i rue Vaugirard. Jeśli to możliwe, to tutaj. Jak widzisz, mam już na własność maszynę do pisania, pierwszy raz w życiu. Tym razem myślę o tym poważnie. Trzeba tylko znaleźć jakąś chałupę na miarę naszego chudego portfela. Jak na razie nic. Będziemy w przyszłym miesiącu na pewno w Paryżu. W pierwszej połowie przyjeżdża matka Suzanne, w drugiej mój braciszek z żoną, chyba że odwoła, co by mnie zanadto nie zdziwiło. Tak, szklaneczka z tobą, pod obojętnie jakim szyldem! To są chwile, które wiele dla mnie znaczą, niestety zbyt krótkie. Czuć tę bliskość, która obywa się bez słów, silniejszą od nich, choć tak nimi rzygam na prawo i lewo.

Trzymaj się, przyjacielu,

Sam

## do Barbary Bray

17 marca 1958. 6, rue de Favorites. Paryż

Droga Barbaro,

Wcale mnie nie zamęczasz Twoim listem, przeciwnie, bardzo mnie poruszyło, że chcesz się ze mną podzielić tym wielkim zmartwieniem. Gdybym tylko mógł znaleźć coś, co by Cię pocieszyło. Wszystko, co mam do powiedzenia, już dawno sama sobie powiedziałaś, znacznie więcej i znacznie lepiej. A ja mam w sobie tak niewiele światła i mądrości, w obliczu takich nieszczęść, że nie widzę dla nas niczego, tylko starą Ziemię toczącą się wciąż naprzód i czas ucztujący na naszym cierpieniu razem z całą resztą. Gdzieś w samym sercu wichury, podmuchów udręki (i miłości, jak słyszałem), już same wygasły. Za tę upokarzającą świadomość zawsze czułem wdzięczność i to tam właśnie się kuliłem, przyczajony w samym jądrze ludzkiej kruchości i pokory. Nie musiałem odbywać dalekiego lotu, by tam się znaleźć, choć nie twierdzę, że również w twoim wypadku byłoby to dobrze. Nie mogę jednak mówić o ukojeniu, które jest mi nieznane. I poza wszelką odwagą czy rozsądkiem, jestem pewien, że takim, jak ty i ja, przynajmniej to, że „śmierć uśmiercona i nie ma więcej umierania”<sup>1</sup> pozwala (po prostu) żyć dalej. Wybacz te dzikie myśli, nie jestem kimś, do kogo powinno się zwracać w czasach nieszczęścia. Rzuć się w pracę i postaraj za wszelką cenę spać, resztę zostaw na pastwę tego strumienia, który porwie to, co teraz, daleko od ciebie i przyniesie ci inne radosne dni.

Z czułością,  
Sam

---

<sup>1</sup> Aluzja do Sonetu 146 Williama Shakespeare'a.

MAREK KĘDZIERSKI

## Przegrać lepiej czy Lepiej przegrać?

Beckettowskie niuanse po 25 latach

### Symetrie

„Wszystko pięknieje, kiedy wygrywasz. Dziewczyny są ładniejsze. Lepiej smakują Cygara. Drzewa są bardziej zielone”. O śmierci Billy Martina, legendarnej gwiazdy baseballu (The Yankees), na oblodzonym moście w stanie New York, media podały, cytując powyższe słowa, w dzień po Bożym Narodzeniu, jeszcze przed wiadomością o egzekucji Nicolae Ceaușescu w dalekiej Rumunii. Dopiero jako trzecia pojawiła się informacja z Paryża o odejściu irlandzkiego pisarza, laureata Nagrody Nobla. Usłyszałem, że zmarł *the herald of failure* – piewca przegranej, jeszcze dziś pamiętam to sformułowanie, zmarł autor, a potem coś o życiowym motcie „naucz się przegrywać”.

Ktokolwiek te wiadomości formułował, osiągnął zgrabną symetrię, zestawiając wygraną sportowca z przegraną pisarza. Choć na sympozjum „Beckett a sport” można by napisać obszerny referat. O innej symetrii pisało później kilka osób, dopatrujących się znaczenia w tym, że Beckett urodził się w Wielki Piątek 1906 roku zaś zmarł w Boże Narodzenie 1989 roku. Trzeba jednak zauważyć, że informacje o jego śmierci ogłoszono 26 grudnia już po kameralnym pogrzebie w gronie paru osób, autor *Końcówki* umarł bowiem w paryskim szpitalu 22 grudnia. Gdyby stało się to 25-go lub choćby w Wigilię, można byłoby mówić o paraleli z życiem Chrystusa, paraleli *à rebours* – że urodził się w dniu, kiedy Chrystus umierał, zaś umarłby w dniu, kiedy Chrystus się rodził. Pierwsze stwierdzenie jest faktem, zresztą sam autor wspominał o tym w swych tekstach, drugie jest nieco naciągane. Jeśli taki był zamysł Przeznaczenia, Beckett rozminął się z nim o trzy dni.

Nowa Anglia opierała się właśnie atakowi zimy stulecia, w Europie natomiast aura była nadzwyczaj łagodna, co kontrastowało z dramatyзмом politycznej

zimy stulecia. Po runięciu muru berlińskiego agonia komunizmu, przypieczęto- wana pół roku wcześniej nad Wisłą, dokonywała się na ulicach Pragi i Bukaresztu. W Cambridge pod Bostonem święta przebiegły spokojnie, pod przyciszającym kroki śniegiem. Na wieść o końcu reżimu Ceaușescu, Andrei Serban, rumuński re- żyser American Repertory Theatre, uczeń Petera Brooka i wielbiciel Becketta, po spektaklu *Wieczoru trzech króli*, nie bez entuzjazmu snuł plany powrotu do kraju i objęcia dyrekcji Teatru Narodowego w Bukareszcie. Beckett już tych przemian nie dożył. Wciąż podkreślał, że z polityką nie ma nic wspólnego, ale zawsze popierał dysydentów, również wschodnioeuropejskich. Odszedł w samym oku huraganu.

Od grudnia 1989 roku dzieli nas całe ćwierćwiecze. Przestrzeń powietrzną państw nadbałtyckich patrolują dziś samoloty NATO, Krym jest w rosyjskich rę- kach, Vladimir Putin wysyła swoje tupolewy w pobliże portugalskich wód tery- torialnych, zaś okręty do brzegów Australii. „Słońce, nie mając alternatywy, wze- szło nad niczym nowym”, pierwsze zdanie powieści *Murphy* z 1938 roku, jest wciąż aktualne. *Nihil novum*. Na cmentarzu Montparnasse panuje taka sama cisza, jak w czasie dyskretnej ceremonii złożenia ciała Samuela Becketta do surowego mar- muru, który pół roku wcześniej przyjął ciało jego żony, Susanne Dumesnil.

Nazwisko pisarza pojawia się wciąż na afiszach teatralnych, role Vladimira, Hamma czy Krappa grają renomowani aktorzy, na przedstawienia nie wałą może tłumy, ale Beckett uniknął losu wielu innych wielkich swojej epoki. Nie zosta- nie zapomniany. Odpowiedź na pytanie, dlaczego bardziej niż oni jest częścią naszego czasu, dlaczego trafia tak celnie w naszą wrażliwość lub czy i czym ich przerastał, musiałaby być dosyć złożona, wydaje mi się jednak, że o jego pozycji dzisiaj nie zdecydowała ani koniunktura, ani czysty przypadek.

We Francji jest autorem wydawanym, czytany przez licealistów i studen- tów wręcz masowo, w miarę często wystawianym, uznanym i wspomnianym. Jako autor irlandzki, poeta i dramatopisarz języka francuskiego i angielskiego (*d'expression française et anglaise*). W krajach anglosaskich uchodzi za „awan- gardowego” prozaika, dramatopisarza, reżysera i poetę z Irlandii, który przez większość życia mieszkał w Paryżu, a pisał zarówno po angielsku, jak i francu- sku. Na zielonej wyspie, która nie zawsze dobrze go traktowała i dokąd przez kilka ostatnich dziesięcioleci swego życia nie jeździł, od czasu, kiedy stał się au- torem światowym, akceptowany był coraz bardziej. Jest teraz jedną z chlub na- rodowych, wystawiany i czytany z większą pasją niż gdzie indziej. Cytowany

z lepszym akcentem, trafił nawet do reklamy. Staruszkowie w kubłach na przykład, to obraz zachęcający do funduszów emerytalnych, albo do ekologicznej reutilizacji odpadków. Beckett to Irlandczyk, któremu się powiodło, który osiągnął światowy sukces w erze globalizacji. Znak handlowy, towar na eksport.

Piewca przegranej. Klęski życiowej. Można myśleć o kloszardach, którym nie udaje się dzisiaj zjeść ciepłego posiłku, o bezrobotnych, którym zasiłek nie wystarcza na godziwą egzystencję, można myśleć o rozterkach pisarza, zmagającego się z formą tekstu o egzystencji, ale można też myśleć o businessmanach, których firmy upadły, bo nie udało im się przechytrzyć konkurencji. *Toutes proportions gardées*. Fiasko to modus egzystencji.

Beckett nie angażował się w politykę, ale zawsze opowiadał się po stronie słabszego. Tych, którzy upadają. Lub upadli. Nawet jeśli ciężko zawinili. Po stronie więźniów. Bo wszyscy jesteśmy więźniami. I wszyscy upadamy. Jak mówi Maddy Rooney w dramacie radiowym *Którzy upadają*, pytana przez napotkanego przechodnia, w drodze do stacji kolei podmiejskiej, w którą stronę zmierza – „wszyscy zmierzamy w tę samą stronę”.

### Liczy się każde słowo

Dziennikarz z Bostonu, od którego dowiedziałem się 26 grudnia 1989 roku o śmierci Becketta, mówiąc o przegrywaniu, prawdopodobnie nawiązywał do fragmentu wydanego w 1983 roku *Worstward Ho*, który brzmi w oryginale:

*Ever tried. Ever failed. No matter. Try again. Fail again. Fail better.*

Cytat ten, dosłownie, wytatuował sobie na lewej ręce pod łokciem młody tenisista ze Szwajcarii, Stanislas Wawrinka, zanim stał się championem Australian Open 2014. Cały świat widział te słowa i komentował, nazwisko Becketta stało się nagle ewenementem w świecie tenisa. Sam był za młodu sportowcem, grał w tenisa i cricketa, a jedną z niewielu rzeczy, które oglądał w telewizorku w skromnym domu opieki Tiers Temps przy rue Rémy Dumoncel, kiedy umierał, były transmisje sportowe. Życie wygrane? Życie przegrane? On nie chciał niczego wygrywać. Ale dobrze, że innym pomagał wygrywać, innych podtrzymywał na duchu. Wciąż podtrzymuje. Swoimi negatywnymi hasłami. Bo w tym co pisze, wszystko

zaczyna się od złego. Skąd wiedzie droga ku jeszcze gorszemu. Ale często usiana śmiechem. Więc to pokrzepiające. Beckett-aforysta.

*Ever tried. Ever failed. No matter. Try again. Fail again. Fail better.*

Jak to powiedzieć? Jak to powiedzieć po polsku? Są różne warianty. Każdy z nich ma jakąś słabość. Jakiś mankament. Dwanaście słów. Sześć par. Oddzielonych sześcioma kropkami. Dwa razy *ever* – „zawsze”, albo „wciąż”, albo na przykład „wiele razy”. Dwa razy *again* – „znowu”, „ponownie”, „(jeszcze) raz”. Dwa razy *fail* w parze z *ever* i w parze z *again* – o polskich zamiennikach *fail* będzie mowa poniżej. Dwa razy *try* – próbować. Tak *try*, jak *fail* dwa razy użyte w formie przeszłej – ale nie wiadomo, czy osobowej czy imiesłowowej – i dwa razy w formie teraźniejszej – albo bezokolicznika. Raz użyte słowo *matter* – „sprawa”, ale i „materia”, raz *better* – „lepiej”, do pary z trzecim *fail*. I jedno *No* – „nie” – pisane największą literą.

Przedramię Wawrinki wysła światu związany z jego życiem i karierą sportowca przekaz. A może apel do siebie samego:

„Wciąż próbowałem. Wciąż przegrywałem. Nie szkodzi. Jeszcze raz spróbuję. Jeszcze raz przegram. Przegram lepiej”.

Ale tak w *ever tried*, jak w pozostałych pięciu członach, nie ma wyznacznika osoby gramatycznej. Może więc Wawrinka słowami Becketta zwraca się do siebie w drugiej osobie, jakby na przykład sobie nakazywał:

„Spróbuj znowu. Znowu przegraj. Przegraj lepiej”.

Niewykluczone, że jest to przekaz natury ogólnej, przecież sam Beckett często we własnych tłumaczeniach używa po francusku bezokolicznika, tam gdzie po angielsku nie wiadomo, w której osobie występuje czasownik. A zatem może:

„Znowu próbować. Znowu przegrywać. Przegrywać lepiej”.

Ale może lepiej to zabrzmieć w aspekcie dokonanym. Nad tym też warto się zastanowić. Na przykład:

„Jeszcze raz spróbować. Jeszcze raz przegrać. Lepiej przegrać”.

Nawiasem mówiąc, tu pojawia się możliwość skojarzenia dwóch nie sąsiadujących z sobą czasowników, ponad głową, że tak powiem, stojących między nimi słów: *spróbować przegrać*.

Sportowcy i tak mają łatwo. Bo mają – lub my mamy – przynajmniej zewnętrzny, formalny wyznacznik sukcesu, na tyle, na ile można mierzyć dokonania. Albo się wygrywa albo przegrywa albo remisuje. Nie ma innych możliwości. Owszem, są. I tu jest, jak mi się wydaje, cały Beckett.

Inne słowa przychodzą do głowy, kiedy myślę o grze, która jest moim życiem. Porażka nie jedno ma imię. *Loss* jest najprostszym słowem do wyrażenia porażki w sporcie – po polsku najszerzej tłumaczone jako „stracić”. *Wawrinka lost to Rafael Nadal* – „Wawrinka przegrał z Nadalem”. Natomiast pierwszym znaczeniem słowa *fail* jest „doznać porażki”, może nawet klęski, na pewno niepowodzenia. Ale o ile krótsze, konkretniejsze i mniej patetyczne od „doznawania klęski” jest *fail*.

Gdyby te słowa miał odnieść do siebie ktoś, doznający rozterek egzystencjalnych, moralnych lub, czy ja wiem? może ktoś, kto wadził się z Bogiem, można by ja tak przetłumaczyć:

„Zawsze próbowałem. Zawsze upadałem. Bez znaczenia. Znowu spróbuję. Znowu upadnę. Lepiej upadnę. Albo: Wciąż próbowałem. Wciąż upadałem etc.”.

Alternatywą jest wersja bezokolicznikowa:

„Znowu próbować. Znowu upadać. Nie szkodzi. Ponownie spróbować. Ponownie upaść. Lepiej upaść.” Nie oddaje ona jednak aspektu przeszłości zawartego w *tried* i *failed*.

Można w polskim przekładzie dwa pierwsze człony *Ever tried*. *Ever failed* oddać imiesłowem (w rodzaju: wypróbowane) lub rzeczownikiem: *Zawsze próby*. *Zawsze porażki*. Ale nie ma wtedy informacji o aspekcie przeszłym.

Można też *fail* oddać jako „chybić”. Chybić celu. Wtedy *try* miałyby odcień celowania – „celować”. Ale niekoniecznie.

Tego słowa użył w swoim przekładzie Antoni Libera:

„Próby. Chybione. Trudno. Spróbować jeszcze raz. Chybić jeszcze raz. Chybić lepiej”.

Niuanse. Każde słowo się liczy. Liczy się każde słowo. Ich układ. Nawet układ liter na stronie. Kolejność słów. Bo za każdym przyczajone może być drugie, inne, to, którego nie ma, którego nie widać, nie słycać, ale które współgra, milcząco, tak, ale rozbrzmiewa, razem z tym wypowiedzianym, a więc jest. *No matter*. Czy powie się Nie szkodzi, czy Nieważne, czy Bez znaczenia, ma znaczenie. Liczy się bardzo.

„Zawsze próbować. Zawsze ponosić porażkę. Nieważne. Znowu próbować. Znowu ponosić porażkę. Lepiej. Albo: Lepszą porażkę”.

To już wersja bardziej opisowa, rozciągnięta, słowa nie idą parami. Wolę „upadek” od „klęski” czy „porażki” – bo jest stwierdzeniem, zapisem faktu, nie jego interpretacją, nie eksplikuje, tylko odsyła. „Przegrywać” jest też niezłym wyborem, bo ma w sobie arbitralność losu, wydanie na łup przypadku. Beckett jest piekielnie fizyczny, czasem jak hiper-realista, związany z konkretem, z ciałem, z tym, co przy ziemi, ale nie przyziemne. Przy ziemi, ale z widokiem na niebo. Beckett jest poetą elementarnego gestu, wyznawcą fizyki, kapłanem anatomii. Dopiero kiedy jesteśmy do ziemi przykuci, ma sens, byśmy zajmowali się filozofią, teologią, historią.

Zwięzłość, lapidarność późnych tekstów Becketta prowokuje do wpisywania w nie naszego własnego świata – czy nie jest to naczelną funkcją literatury?

### *Fail better*

Tytuł tomu, *Worstward Ho*, jest oczywiście kalamburem. Zamiast *westward* tzn. „na zachód, w kierunku zachodu”, narrator, ukryty za tymi słowami, mówi *worstward*, zastępując *west* słowem *worst* – „najgorszy”. Więc wezwanie, by wziąć kurs na najgorsze. Jak to przetłumaczyć? Sporo nasuwa się możliwości, tłumacz może na przykład wybrać tak, jak Antoni Libera *Hej, do dna*. Z tym, że dno ewokuje rezultat utonięcia, zatopienia, natomiast najgorsze jest czymś mniej określonym, nawet otwiera możliwość, rzecz jasna pewnie złudną, że najgorsze będzie za nami, *the worst is over*, kiedy weźmiemy na nie kurs. Poza tym dno jest miejscem, że tak powiem dotykalnym (dla kogoś, kto się odważy), w dodatku opadanie na dno to ruch w sumie wertykalny, natomiast żegluga, nawet po wzburzonym morzu, odbywa się między powietrzem a wodą, na granicy nieba i morza, i zakłada raczej horyzontalność. Są inne możliwości, na przykład owo „najgorsze” to może katastrofa, statek żegluje więc



w kierunku katastrofy, ale i „nieszczęście”, choć to już, moim zdaniem, zbyt określone. „Hop, w najgorsze” wydaje się jakąś alternatywą, „w najgorsze” jest wystarczająco kolokwialne i rymuje się po cichu z określeniem „w najlepsze” ale też grzeszy wertykalnością. Natomiast „ku najgorszemu” jest już zbyt sztywnoliterackie.

W minimalizmie późnego Becketta spełniły się postulaty z jego literackiej młodości. W eseju o Prouście twierdzi, że sztuka nie jest formą ekspansji, lecz kontrakcji – ściągnięcia, skurczenia się. Jak kurczy się tekst? Na przykład tak jak w *Worstward Ho* – przez odebranie czasownikom aspektu, oderwanie ich od osoby, sprowadzenie do imiesłowu, który kumuluje wiele funkcji, przez rytmizację wypowiedzi i wprowadzanie dyskretnych rymów, tak akustycznych, jak i... znaczeniowych.

Beckett z biegiem czasu dokonuje demontażu tradycyjnego zdania. Redukuje je i coraz bardziej zagęszcza, a raczej ciosa, opuszczając, usuwając słowa posiłkowe, stosując elipsę. Zgoda, są to typowe zabiegi poetyckie, ale tak swoiste dla tego poety, że wydaje się, iż wielu „zdań” lub jednostek syntaktycznych, nie mógłby napisać nikt inny. Do tego dodajmy niezwykle istotną rzecz – osadzenie w „naturalnym”, potocznym języku, ustawicznie kontrapunktowane nawiązaniem do języka sztucznego, języka intelektualistów, filozofii, estetyki, teologii.

Zakotwiczenie w codziennym języku jest codzienną praktyką nawet w najbardziej wysublimowanych tekstach. Beckett wyławia utarte zwroty, które mu się nasuwają i bierze je pod lupę, bierze pod światło, czasami prześwietla, ukazując nam z niecodziennej perspektywy. Jak w pierwszym zdaniu *A Piece of Monologue*, gdzie zaczyna od utartego zwrotu „*was a death of mine*”, oznaczającego dosłownie, że coś by było „moją śmiercią”, ale w niepatetycznym znaczeniu „to już byłoby zbyt wiele”, „to dopiero by było nieszczęście”, „to byłby już szczyt” czegoś, a następnie zwrot ten zestawia z narodzinami. Narodziny były jego zgubą, zgoda, można, ale jak po polsku zaznaczyć całą ironię. w Irlandii widzowie wybuchają śmiechem, słysząc pierwsze zdanie tego ciemnego w sumie utworu.

Trzeba powiedzieć, że eliminacja zaimka osobowego i słów posiłkowych jest generalnie cechą mówionej angielszczyzny. Struktura języka takiego, jak polski pozwala wprowadzić na takie operacje, ale odrywa od kolokwialności. „*Done that!*” oznacza już zrobione, ale też: ja to zrobiłem, robiłem to, o czym mowa w poprzednim zdaniu, na przykład pływałem, tonąłem etc. „*Seen enough*”, mówi

Winnie, nie mogąc odczytać napisu na szczoteczce do zębów. „Dość już widziałam”. Ale też może odnosi się to do oczu – dość już widziały!

Pomimo radykalnej ewolucji stylu, stworzył Beckett rodzaj idiomu, który należy tylko do niego, własny model stylistyczny, niejako samosterujący, rozpoznawalny z daleka. Jego podstawą jest język, nawet w sztukach telewizyjnych i aktach bez słów. Beckett to, jak Joyce, *a wordman* – wypracował model prozy poetyckiej, która nawet w archaizacjach (zawsze z dystansem, najczęściej ironicznym) wydaje się nam nowoczesna. W obu językach oryginału tekst Becketta brzmi, jakby napisany był dzisiaj, czego nie da się powiedzieć o wielu, powstałych niemal równocześnie z oryginałem, tłumaczeniach na inne języki, na przykład na niemiecki, które bardzo się postarzały.

W pewnym sensie fakt, że ważne teksty Becketta czekają wciąż na polski przekład, można obrócić na korzyść przyszłego czytelnika. Gdybyśmy bowiem byli skazani na przekłady choćby Juliana Rogozińskiego, poważnie rozminęlibyśmy się z „Beckettem współczesnym”.

### Śmiech ostateczny

Od nieprzetłumaczalnego na francuski angielskiego, przejdźmy do nieprzetłumaczalnego na angielski francuskiego – cały czas mając na uwadze przekład na polski.

Julia Hartwig, z myślą o bloku beckettowskim, który ukaże się w najbliższym numerze, podjęła piękny wysiłek przetłumaczenia jednego z najbardziej skoncentrowanych utworów Becketta, czterowersza, który wszedł do tomu *mirlitonades* (1976–1978)

en face	stanąć
le pire	naprzeciw kłęsce
jusqu'à ce	aż się w śmiech
qu'il fasse rire	obróci

Niełatwo wyjść obronną ręką z takiego zadania. Poetka uważa, że „gubi się cała misterność rymowa, ale przynajmniej sens się broni”. Nawet pobieżna analiza uzmysłowi misterność tego zwodniczo prostego tekstu. Już w pierwszej linijce

autorka musiała dokonać wyboru, na który skazuje ją polszczyzna, zdecydować, czy „stać” czy „stanąć” – bo to może trwać dłużej. „Stanąć” sugeruje odwagę wyzwania, „stać” może znaczyć, że przez dłuższy czas tak mierzą się wzrokiem. Tylko kto? Podmiot liryczny? Dobrze. Z kim? O tym mówi następna linijka: „naprzeciw klęsce”. *Le pire* jest może jeszcze gorsze od klęski, bo mniej personalne, bardziej bezosobowe, ślepe. *Le pire* to jest uosobienie najgorszego, Najgorsze. Ale stanąć naprzeciw Najgorszemu – niemożliwe. Trzecia linijka „aż się w śmiech” zapowiada już finał, ostatnie słowo w ostatniej linijce: „obróci” – i zamyka koło, od „stanąć” do „obróci”. Dwa czasowniki spinają klamrą cały tekst.

Cały tekst to znaczy cztery wersy, to znaczy trzy linijki po dwie sylaby, tzn. tekstu trzy czwarte, a potem – jako finale – trzy w czwartej linijce. Tekst zabójczo misterny. Zauważmy, że aż do ostatniego słowa nie ma w nim czasownika, pojawia się on dopiero na samym końcu, przez cały czas czekamy nań, pada jak wyrok. Dramat w łupinie orzecha. Burza w szklance wody. Akt pierwszy: *en face*, to znaczy „przed”, ale zawiera w sobie *face*, łacińskie *facies*, odpowiednik polskiego „oblicza”, *face à...* oznacza „przed” (czymś, w przestrzeni), „naprzeciw” lub „wobec”. Akt drugi: *le pire*, tu chyba funkcjonuje jako rzeczownik od przymiotnika „zły” w stopniu najwyższym. – Najgorsze, jako klęska, a może i katastrofa – Beckett używał tego słowa nie tylko w tytule sztuki, ale czasami też w prozie, na przykład w *Malone umiera*, w sensie antycznym – jak dodaje narrator, rzecz jasna z przymrużeniem oka. Akt trzeci: *jusqu'à ce*, aż, aż do, słowo retardujące, opóźnia finał, pusty przyimek?, stan oczekiwania. Akt czwarty: *qu'il fasse rire*, najpierw trwa stan konfrontacji z tym, co najgorsze, oczekiwanie w subjunctivie Antechambre. I wreszcie pada Słowo, zawieszona jak miecz Damoklesa. *Rire*, „śmiać się”, w tym wypadku: aż rozśmieszysz. Czasownik, który rymuje się z rzeczownikiem, zresztą *rire* to również rzeczownik rodzaju męskiego, tak samo wymawiany. W drugim wierszu rzeczownik, w czwartym czasownik. Wszystko pozostałe tkanka łączna, która także się rymuje: *face / jusqu'à ce*.

*Pire: rire* – to rym, który z punktu widzenia treści ma wielkie znaczenie – bo śmiech jest tym, czym człowiek może zawsze zareagować na najgorsze nieszczęścia, w każdej chwili i w każdych okolicznościach ma wolność, by to uczynić. Ma prawo.

Ten czterowiersz można uważać za poetycki traktat o rozbijaniu, neutralizowaniu, nieszczęścia śmiechem, albo dramat w czterech aktach i dziewięciu sylabach na mniej więcej tuzin słów.

Oczywiście można sobie wymyślić odpowiednio wiele wersji przekładu. Po-  
przeستاńny, tytułem przykładu, na sześciu:

- 1) w obliczu / katastrofy stać / aż rozśmiesz / nas
- 2) najgorsze przed / nami / aż nas / rozśmiesz lub: aż zaczniemy / się śmiać
- 3) najgorsze / przed nami / aż zabrzm / śmiech
- 4) najgorsze / przed nami / patrzeć wprost / aż śmiech
- 5) przed najgorszym / stać / tak długo aż / zabrzm śmiech
- 6) przed najgorszym / tak długo stać / aż zabrzm / śmiech.

Skoro to plamy na milczeniu, trzeba coraz mniej je plamić, te, które pozosta-  
ną będą uporczywsze, wrosną w pamięć, niełatwo będzie je wymazać.

### Od wewnętrznego do zewnętrznego cienia

Podobną feerię możliwości otwiera przed tłumaczem tekst *neither* z 1976 roku. O tym, jakie problemy nasuwa tłumaczowi ten tekst, pisaliśmy w 68 numerze „Kwartalnika Artystycznego” w 2010 roku, zwracając uwagę na dotychczas niemożliwe do oddania w przekładzie na polski implikacje słowa, które stało się tytułem. *Neither* występuje w parze ze słowem *nor*, mniej więcej tak jak *weder... noch...* w niemieckim lub *ni... ni...* po francusku, jest odpowiednikiem polskiego *ani... ani...* Samo słowo nie ma ciała, samo nie istnieje, nabiera istnienia ewokując inne, sygnalizuje formalną negację, zakłada istnienie innej, sprzeciwiającej się mu negacji. Moim zdaniem, owo „*neither*” jest dla Becketta reprezentantem ludzkiego „ja”, które jest wciąż centrum naszej osoby, które wymyka się próbie uchwycenia i nazwania. Kiedy chcę zdefiniować „mnie”, moje „ja”, potrafię tylko odpowiadać przecząco, nie jestem tym, ani tamtym. Nie jestem zlepkiem psychiki i ciała, nie jestem ani tym, ani nie tym. Ani... ani...

Romeo Castellucci wystawił w Bochum na tegorocznym festiwalu Ruhrtrienale operę Mortona Feldmana, na orkiestrę symfoniczną i sopran solo. Od Becketta pochodzą słowa, dokładnie – osiemdziesiąt siedem słów, śpiewanych w ciągu pięćdziesięciu minut. W 1976 roku Feldman, w dniu, kiedy przedstawiono go w Berlinie Beckettowi, poprosił go o tekst, do którego chciał napisać muzykę. Autor, swoim zwyczajem, niczego nie obiecywał, ale po jakimś czasie przesłał mu na kartce pocztowej *neither*. Tekst, w moim odczytaniu, rozpoczyna się od: „tam i z powrotem od zewnętrznego do wewnętrznego cienia / od nieprzeniknionego ja

do nieprzeniknionego nie-ja / nie idąc przez żadne [z nich]”. Te trzy linijki stanowią już prawie jedną czwartą prozy poetyckiej, która jest niemal nieprzetłumaczalna na większość języków, nie wyłączając francuskiego, którego Beckett był mistrzem.

Po minimalistyczny utwór Feldmana teatry operowe nie sięgały zbyt często, a kiedy go inscenizowano, reżyser najczęściej starał się ilustrować sytuację ewokowaną w metaforach tekstu, a więc umieszczać świetliste schronienia na scenie i pokazywać przemieszczające się między nimi ciała – lub ciała, tak jak w mijającym roku Katie Mitchell w berlińskiej Deutsches Oper, która dała samotnemu protagoniście towarzyszy niedoli w postaci ośmiu innych osób. Castellucci poszedł zupełnie inną drogą. Zamiast ilustrować sytuację, wyszedł od słów i logiki wyводу Becketta, bezpośrednio opierając swoje wybory inscenizacyjne na logicznych konsekwencjach antynomii zawartej w tytule.

W rozmowie ze mną powiedział: „Składa się z samego tekstu, nie ma w nim też żadnej postaci! Tytuł jest niezwykle znaczący, mówi wszystko, jest już kluczem. *neither* jest, jak powiedziałem, największym szczęściem, jakie może spotkać reżysera, który chce przedstawić na scenie nieprzedstawialne. Pseudopera Feldmana do słów pseudolibretta Becketta, *neither*, jest programowo tym nieprzedstawialnym. Słuchając partii muzycznej, szybko zdajemy sobie sprawę, że tekst Becketta, niezmiernie krótki, jest wyrażany quasi-nieprzerwanie dźwiękiem A. Sprawa polega na tym, by inscenizować to ciągle A, które jest wyjaśnione poprzez tytuł i słowa, bardzo precyzyjne. Wyzwaniem, które chce podjąć, jest, żeby nie była to inscenizacja abstrakcyjna – tylko dlatego, że to Beckett i Feldman – raczej w tym kierunku szły dotąd nieliczne realizacje *neither*. Zamiast tego chciałem nawiązać do atmosfery, którą moim zdaniem wytworzyła muzyka Feldmana do słów Becketta. Atmosfery jakiegoś kryminału, rzeczywistości *noir*, historii o policjantach, sceny zbrodni. Ale oczywiście, nie będzie tam żadnej historii, żadnej zbrodni. Wymyśliłem pewnego rodzaju film bez treści, tak jakbyśmy oglądali film pozbawiony historii, anegdoty, z którego usunięto wszelkie informacje, jest tylko tkanka łączna. Jakbyśmy chcieli nakręcić nigdy nie nakręcony film. Jakby to była projekcja nigdy niezrealizowanego filmu”.

*neither* mówi o progu, przestrzeni otwierającej się między bytem a niebytem, o ucieczce tak od jednego, jak drugiego. Owo „ani” nie ma negatywnego sen-

---

<sup>7</sup> *Wo Bilder brennen*, Lettre International. Europas Kulturzeitung, 106, jesień 2014.

su, wskazuje raczej możliwość, wymknięcia się spod ciężaru bytu i spod jarzma niebytu, a więc koniec końców i umknięcia metafizyce, jeśli dobrze zrozumiałem. W tym świetle rozważania „ani”, w świetle paradoksalnym, „ani” jest podwójną negacją – bo, mówiąc, nie mówię ani tego, ani tamtego, a zatem mówię nie i nie – która sumują się algebraicznie w tak. To jest jak linia, jak światło, ślad światła, nic więcej. Wspaniały bunt przeciw ludziom, przeciw Bogu. Nadzwyczajny akt wyzwolenia.

Gdybym nie widział spektaklu, patrzyłbym podejrzliwie na próbę zrobienia z Becketta historii o gangsterach. Ale kiedy przyjrzeć się np. *Nienazywalnemu*, ileż dziwnych historii wyczarowanych zostaje przez narratora, po to by zostać przezeń zniszczonymi.

## Listy

Niemal przez całe ćwierćwiecze, dzielące nas od śmierci Samuela Becketta „Kwartalnik Artystyczny” prezentował jego twórczość i jej krytykę częściej i obszerniej niż jakiegokolwiek inny periodyk w Polsce. Oprócz kilku numerów specjalnych oraz licznych bloków tematycznych, nazwisko Becketta pojawia się chyba w większości numerów. Mimo tego, wielu jego dzieł, zwłaszcza z późnej fazy, od 1960 roku i tej najwcześniejszej, przed 1946, nie można jeszcze przeczytać po polsku. A tymczasem ukazują kolejne publikacje w oryginale, sygnowane jego nazwiskiem. Myślę tu przede wszystkim o przygotowywanej dla wydawnictwa Suhrkamp w Berlinie przez Marka Nixona dwujęzycznej edycji prowadzonego na krótko przed wojną dziennika z podróży po nazistowskich Niemczech oraz o czterotomowych *Listach Samuela Becketta* (*The Letters of Samuel Beckett* pod redakcją Marthy Fehsenfeld, Lois Overbeck, Danna Gunna i George a Craig) nakładem Cambridge University Press.

Pierwszemu tomowi *Listów* poświęciliśmy w 2011 roku część numeru 69, tom trzeci właśnie trafił do księgarń. Za dwa lata, kiedy ukaże się ostatni, czwarty, opublikowana korespondencja pisarza przewyższy wielokrotnie objętość wszystkich tekstów literackich. Jest to zresztą skromny wybór, Beckett napisał bowiem w życiu kilkanaście tysięcy listów!

„Kwartalnik” ma w planie obszerną prezentację listów. Do niniejszego numeru wybrałem po jednym z każdego tomu. Z pierwszego (1929–1940) pochodzi wysłany do Thomasa MacGreevy’ego, powiernika Samuela z czasów

jego pełnego zygzaków etapu dochodzenia do literatury, list o o śmierci ojca. Z drugiego (1941–1956) – opis tego, czym zajmował się w okresie pracy nad *Nienazywalnym*, adresowany do Georgesa Duthuita, zaprzyjaźnionego autora, historyka i krytyka sztuki, znanego jako interlokutor Becketta z *Trzech Dialogów z Georgesem Duthuitem*, które włącza się do angielskojęzycznych wydań *Prousta*. Z trzeciego tomu (1957–1965) wybrałem list do wówczas pracującej w BBC Barbary Bray.

Z MacGreevym, trzynaście lat starszym irlandzkim poetą i krytykiem, przyjaźnił się Beckett od przyjazdu do Paryża jesienią 1928 roku. Starszy kolega z Ecole Normale Supérieure wprowadził go w krąg Jamesa Joyce'a, obaj napisali eseje do egzegetycznego tomu o *Finnegans Wake, Our Exagmination Round His Factification for Incamination of Work in Progress*. Śmierć ojca była jednym z przełomowych momentów w życiu Becketta.

Starszemu od Samuela o szesnaście lat Georgesowi Duthuit – opowiada Beckett o tym, co zajmowało go w te wrześniowe dni roku 1951, nad czym pracował, gdzie przebywał, a zwłaszcza z kim się spotykał. Padają nazwiska reżysera Rogera Blina, który stanie się reżyserem prapremiery *Czekając na Godota* w 1953 roku Alberta Giacomettiego, zaprzyjaźnionych malarzy Brama i Geera van Velde, bliskiego przyjaciela, również malarza, Henri'ego Haydena, wydawców Bordasa. Piśze też o, jak się okaże, niezrealizowanych planach wyprowadzenia się z Paryża.

Z opublikowanego przed miesiącem trzeciego tomu wybrałem list do Barbary Bray. Jeśli MacGreevy był najlepszym źródłem o życiu i doświadczeniach Becketta w latach trzydziestych, korespondencja z Bray zajmuje taką pozycję począwszy od końca lat pięćdziesiątych. Bray, która była najpierw lektorką i redaktorką dramatów radiowych w BBC, stała się przyjaciółką, także intymną, pisarza do końca życia. 713 listów do niej znajduje się w archiwum dublińskiej Trinity College. Żaden nie zasługuje na miano miłego. Jednak otwartość, z jaką pisze, świadczy o wielkim zaufaniu do niej. W liście z 1958 roku, na samym początku ich znajomości, na wiadomość od Barbary Bray o tragicznej śmierci jej męża, z którym rozstała się kilka lat wcześniej, reaguje w bardzo osobisty sposób. Choć zgodził się na opublikowanie tylko tych listów, które mają związek z jego twórczością, słowa, skierowane do Bray są pięknym dowodem na to, że nawet jego najbardziej prywatnej korespondencji nie sposób odróżnić od jego twórczości.

# Czy wszystko jest tylko komedią?

o *Komedii* Samuela Becketta  
rozmawiają Antoni Libera i o. Janusz Pyda OP

**o. Janusz Pyda OP:** *Zacznijmy od tytułu. Mimo że jest on jednowyrazowy, a więc, wydawałoby się, prosty, a w każdym razie nie idiomatyczny, w każdej z autorskich wersji językowych jest jednak inny. Rzecz napisana po angielsku nazywa się Play, co dosłownie znaczy „gra”, „zabawa”, a także po prostu „sztuka teatralna”, natomiast autorska wersja francuska zatytułowana jest Comédie (Komedia), co – choć bliskie angielskiemu play – ma jednak inne znaczenie i wywołuje inne skojarzenia. Warto dodać, że tłumacze Becketta na inne języki również idą tutaj w dwie strony. Niektórzy, jak na przykład tłumacz niemiecki, dają odpowiednik tytułu angielskiego: Spiel, inni – jak choćby tłumacz włoski, a także i ty, oddający tę rzecz po polsku – biorą za podstawę tytuł wersji francuskiej.*

*Co jest powodem tej różnicy? Czy wynika z niej coś istotnego? Która z dwóch wersji wydaje ci się bardziej zobowiązująca?*

**Antoni Libera:** *Obie wydają się ważne, bo poszerzają spectrum znaczeń i pogłębiają sens sztuki. Różnica nie wynika tu jednak z jakiegoś założenia czy niezdecydowania autora, lecz z natury języka, w którym dana wersja jest napisana.*

*Tytuły utworów Becketta są zasadniczo dwojakiego rodzaju: jedne nazywają rzecz „z zewnątrz”, definiując jej temat – na przykład *Czekając na Godota* albo *Ostatnia taśma*; inne mają charakter hasłowy i wywiedzione są z tekstu, czyli ze słowa lub wyrażenia, które pada w utworze – czasami raz, jak na przy-*

---

Jest to kolejny z dwunastu dialogów wokół najważniejszych dramatów Becketta, które w ramach seminarium, prowadzonego w 2013 roku przez Antoniego Liberę w Szkole Czytania przy Kolegium Filozoficzno-Teologicznym Polskiej Prowincji Dominikanów, toczyli ze sobą rozmówcy. Dwa pierwsze dialogi – o *Czekając na Godota* i *Końcówce* – ukazały się w numerach 80, 81 i 82 „Kwartalnika Artystycznego”. Całość ukaże się nakładem Fundacji Dominikańskiego Studium Filozofii i Teologii w Krakowie. (Red.)



kład w *Końcówce* albo w *Katastrofie*, czasami wielokrotnie, na zasadzie lejtmotywu, jak na przykład w *Ej, Joe* albo we *Wtedy gdy*. Tak więc tytuły „hasłowe” z natury rzeczy są pochodną słowa-klucza albo refrenu. Te zaś, będąc nieraz wyrażeniami kolokwialnymi, mają nieco inny odpowiednik w drugim języku, w którym tworzył autor – i oczywiście we wszelkich innych, na które rzecz jest później tłumaczona. Inaczej mówiąc, o tytule decyduje użyta w tekście fraza, ta zaś podyktowana jest względami lingwistycznymi lub stylistycznymi. Na przykład angielskie *eh Joe (ej, Joe)*, mające funkcję retorycznego wezwania czy zawołania, po francusku ma odpowiednik w postaci wyrażenia *dis Joe*, co dosłownie znaczy „powiedz, Joe”, a faktycznie: „słuchaj, Joe”. Wskutek tego i tytuły obu wersji formalnie się różnią. Podobnie jest z wyrażeniem *that time* ze sztuki o tym tytule. Dosłownie znaczy ono „w-ów-czas” albo „onego czasu”, ale retorycznie pełni funkcję kolokwializmu „tamty razem” i stąd też oddane jest po francusku jako *cette fois*, co znaczy właśnie „tamty razem”. Wyrażenie to wprawdzie pozbawione jest słowa „czas”, co zubaża nieco jego wymowę (jako że problem czasu oraz następstwa zdarzeń zapisanych w pamięci wydaje się tam kluczowy), niemniej z punktu widzenia czysto językowego jest ono jedynym właściwym ekwiwalentem. Dosłowny odpowiednik *dans ce temps-là* albo *dans le temps où* byłby po francusku nie na miejscu czy zgoła niepoprawny.

Otóż podobnie jest w wypadku tytułu *Komedii*. Choć słowo wzięte na tytuł nie jest tu lejtmotywem, bo pada zaledwie dwa razy, w dodatku tuż obok siebie i w tym samym kontekście, występuje jednak w zdaniu, które przesądza o jego znaczeniu. Chodzi o następującą kwestię Mężczyzny z drugiej części sztuki:

Teraz już wiem, tamto wszystko było tylko... komedią. A to wszystko? A kiedy to wszystko będzie już tylko... komedią?

Poprzedzający tytułowe słowo wielokropek wskazuje, że postać wypowiadająca kwestię waha się, jakiego użyć wyrazu na nazwanie ciągu zdarzeń i towarzyszących im przeżyć z przeszłości. W wersji angielskiej wybiera w końcu słowo *play*, we francuskiej – *comédie*. Wybory te podyktowane są jednak względami językowymi czy retorycznymi. Chodzi o przeciwieństwo czegoś poważnego, dramatycznego czy wręcz tragicznego. Takim antonimem dramatu, w sensie bolesnego czy traumatycznego doświadczenia, w języku angielskim jest właśnie słowo *play* – beztroska gra, zabawa, działanie nie na serio; stąd m.in. *playboy* = niefrasobliwy chłopiec, człowiek flirtu, zabawy, a także fraza ze słynnej piosenki Beatlesów: „*Yesterday love was such an easy game to play*”. Natomiast w języku francuskim, podobnie zresztą jak w polskim, słowem tym jest „komedia”, ewentualnie

„farsa”; stąd słynne zdanie Marksa, korygującego Hegla, iż fakty i postaci historyczne powtarzają się za pierwszym razem jako tragedia, za drugim zaś jako farsa.

Jednak słowo „komedia”, użyte akurat przez Becketta, i to jako tytuł, zyskuje dodatkową funkcję. Kojarzy się mianowicie z poematem Dantego, który – jak już wspominałem – był dla autora *Godota* jednym z najważniejszych dzieł w literaturze i swoistym punktem odniesienia, a który – przypomnijmy – tak właśnie pierwotnie się nazywał. Przymiotnik „boska” jest wtórny, dodany później przez podziwiających dzieło wielbicieli.

**J.P.:** *Czy skojarzenie to jest istotne dla zrozumienia sztuki? W jakim stopniu wpływa ono na jej odbiór?*

**A.L.:** Skojarzenie *Komedii* z poematem Dantego przez sam tytuł pozwala szybciej zauważyć głębsze odniesienia do tamtego dzieła, a ściślej do pewnych idei i konceptów, które są w nim zawarte. Świadomość tego, że autor z premedytacją nawiązuje do jakiegoś archetypu lub motywu z klasyki, bywa warunkiem zrozumienia jego zamierzeń i sensu całego przedsięwzięcia. Można oczywiście wyobrazić sobie lekturę, dajmy na to, *Ulissesa* Joyce’a czy *Doktora Faustusa* Manna bez świadomości tego, że są to wielkie parodie mitów i ich opracowań literackich, jednak taka lektura byłaby płytka: nie dawałaby dostępu do głębinowych znaczeń, które wynikają właśnie z samego aktu odwołania się do wzorów z przeszłości.

**J.P.:** *Zanim jednak przejdziemy do tych literackich paranteli, przyjrzyjmy się najpierw, jak zawsze zresztą, przedstawionej sytuacji:*

*Oto w ciemności, wydobyte słabym światłem, ukazują się trzy jednometrowe urny, które stykają się ze sobą. Wystają z nich trzy ludzkie głowy: mężczyzny – pośrodku i dwóch kobiet – po bokach. Po chwili ich twarze zostają rozświetlone mocnym punktowym światłem. Postaci, jakby wyrwane ze snu, zaczynają coś mówić – jednocześnie, nieskładnie i w bardzo szybkim tempie, tak że niewiele można zrozumieć. Światło niezwłocznie gaśnie, po czym zaczyna rozświetlać twarze po kolei, przeskakując nieregularnie z jednej twarzy na drugą. Postaci, rażone światłem, opowiadają – kawałek po kawałku – każda swoją wersję tej samej historii: banalnej historii trójkąta małżeńskiego. Ich kwestie nie są tu kwestiami dialogu. Ten trójgłos to nie dialog; są to trzy monologi, tyle że wygłaszane „na raty” i na przemian, pod dyktando „przesłuchującego” światła.*

Gdy wiadoma historia zostaje opowiedziana do końca, światło gaśnie na chwilę, po czym znów rozświetla trzy twarze naraz, wywołując tym samym znaną już kakofonię trzech równocześnie mówiących głosów. Znowu wycofuje się z tego i na powrót zaczyna „przesłuchiwać” bohaterów po kolei. Tym razem nie relacjonują już oni ich niegdyś dramatu, lecz wyrażają dystans do niego, a nade wszystko dociekają sensu obecnej sytuacji, zastanawiając się, czym właściwie jest przymus mówienia, któremu podlegają, i o co właściwie chodzi w tym „przesłuchaniu”. Gdy i ten temat zostaje wyczerpany, światło ponownie gaśnie i po kolejnym „chórze” wszystko zaczyna się od początku. Na samym końcu, czyli po powtórce całości, raz jeszcze – po raz trzeci! – pada pierwsza kwestia Mężczyzny, co sugeruje, że „przesłuchanie” trwa dalej, być może w nieskończoność.

Pierwsze pytanie, które się narzuca po lekturze czy obejrzeniu tej jednoaktówki, dotyczy przedstawionej w niej rzeczywistości. Że jest to rzeczywistość sztuczna, to oczywiste. Lecz na czym jest wzorowana? Lub czego jest deformacją, do czego się odnosi? Świat przedstawiony w *Godocie*, w *Końcówce*, nawet w *Szczęśliwych dniach*, nie mówiąc o *Ostatniej taśmie*, mimo swej umowności, był w pełni zrozumiały. Ten zaś nie wiadomo, czym jest. Gdzie dzieje się tu akcja? I kiedy, w jakim czasie? I kim są bohaterowie? Czy to w ogóle żywi? Czy może jednak umarli, skoro znajdują się w urnach?

**A.L.:** Spróbujmy dojść do tego jak zwykle przez analizę tekstu.

Zwróć uwagę, że podobnie jak we wszystkich poprzednich sztukach, któreśmy dotychczas omawiali, Beckett i tutaj wprowadza nas w świat przedstawiony *in medias res*: w sam środek rzeczy. Tak samo jak w *Godocie*, *Końcówce*, *Ostatniej taśmie*, tak i tutaj w punkcie wyjścia, czyli gdy kurtyna idzie w górę, nie rozumiemy w pełni ukazanej sytuacji. A nie rozumiemy jej dlatego, że nie zdajemy sobie sprawy, iż jest ona repliką czegoś, co powtarza się już od długiego czasu. Odkrywamy to dopiero w drugiej części sztuki, gdy rzecz zostaje dopowiedziana do końca (podobnie jak w *Ostatniej taśmie*). Tymczasem owa powtarzalność przedstawionej sytuacji jest kluczową jej cechą i decyduje o sensie całości.

Gdy zaczynamy oglądać czy nawet czytać *Komedię*, od pierwszych kwestii rozumiemy oczywiście, że postaci opowiadają, każda ze swej perspektywy, historię zawiedzionej, złamanej lub rozszczępionej miłości, i że ze względu na zaskakującą, tajemniczą scenerię (ciemność, głowy tkwiące w dziwnych „wazonach”, światło punktówki przeskakujące z twarzy na twarz) jest to zapewne parodia klasycznego tematu komediowego, jakim jest trójkąt małżeński. Nie poj-

mujemy jednak, na czym właściwie ta parodia polega ani do czego zmierza. Nie pojmujemy zaś tego, bo, po pierwsze, nie uwzględniamy dostatecznie roli światła, traktując je wyłącznie jako środek techniki teatralnej, a nie... czwartą postać, należącą do innego porządku, a po drugie nie wiemy jeszcze – o czym już wspomniałem – że w wirtualnym świecie przedstawiona sytuacja trwa od nie wiadomo kiedy, a rzeczona historia opowiadana jest po raz nie wiadomo który. Staje się to jasne dopiero wtedy, gdy postaci zaczynają mówić o świetle jako o źródle tortury i udręki, a nawet zwracać się do niego wprost jak do jakiejś istoty. W pełni zaś ogarniamy sens ukazanej nam rzeczywistości i toczącej się w niej sprawy po powtórzeniu całości, a zwłaszcza po rozpoczęciu jej p o r a z t r z e c i, na czym przedstawienie się kończy, choć z wyraźną sugestią, że tylko ono, a nie ukazane w nim zdarzenie idealne. Wtedy wreszcie w pełni uświadamiamy sobie, co zostało nam pokazane.

*J.P.: No właśnie co? – że użyję pamiętnej frazy z ostatniego utworu Becketta.*

**A.L.:** Mianowicie kawałki tajemniczego, abstrakcyjnego przesłuchania trzech osób, prowadzonego – jakby symultanicznie – za pomocą ostrego światła, będącego symbolem brutalnego śledztwa (osławiona lampa skierowana prosto w oczy więźnia).

Dlaczego przesłuchanie to nazywam tajemniczym? Przede wszystkim dlatego, że nie wiadomo, kto je właściwie prowadzi – światło jest tylko jego narzędziem czy sposobem, w jaki się przejawia; po wtóre zaś dlatego, że nie wiadomo, czego właściwie oczekuje się od przesłuchiwanym, bo światło czy też ten, kto się za nim kryje, n i e m ó w i, a więc ani wprost, ani pośrednio tego nie wyjaśnia. Jediną poszlaką przypuszczalnego celu jest to, że przesłuchiwanie ciągnie się dalej, a więc że nie osiągnęło wciąż założonego rezultatu.

*J.P.: Co miałoby nim być? Do czego zmierza „przesłuchujący”?*

**A.L.:** To właśnie jest niewiadoma. Na ten temat można jedynie spekulować, a asumpt do tego dają kwestie postaci wypowiedziane w drugiej części.

*J.P.: W takim razie przyjrzyjmy się im.*

**A.L.:** Najszerzej mówi o tym Kobieta 1. Zaczyna od stwierdzenia i nasuwającego się stąd wniosku:

Z r o b i ć nie mogę już nic nikomu. Więc pewnie rzecz w tym, aby coś powiedzieć.

### **Potem zadaje pytanie:**

W czym rzecz: w tym, że nie mówię prawdy, czy w tym, że gdy ją w końcu lepiej lub gorzej powiem, światło przypadnie nareszcie, właśnie za prawdę?

### **Następnie reflektuje się:**

Lecz powiedziałam już wszystko, co można. Wszystko, na co pozwalasz.

### **I zastanawia się:**

Więc może zamiast mówić, powinnam robić coś innego. Płakać? Lub odgryźć sobie język i połknąć? Albo wypluć?

### **W każdym razie odrzuca myśl, że to, co się dzieje, jest absurdalne:**

Gdybym mogła tylko pomyśleć, że nie ma to żadnego sensu, kompletnie... i że wszystko to od samego początku pada w próżnię; że n i c z e g o się ode mnie nie żąda, że n i k t niczego ode mnie nie żąda! Ale nie mogę. N i e m o g ę. Rozum zabrania. Musiałabym go postradać. Tak.

### **I dalej szuka wytłumaczenia:**

Skrucha, tak, w najgorszym razie pokuta, byłam na to gotowa, ale nie, nie wydaje się, żeby to było to.

### **Kończy zaś, godząc się z losem i jego tajemnicą:**

Cisza i ciemność, tylko tego pragnęłam. Proszę, jest, jedno i drugie, w jakiejś mierze. Domagać się jeszcze więcej, to na pewno grzeszyć dalej.

### **A wreszcie taką konkluzją:**

Cała rzecz w tym, by patrzeć ci prosto w oczy. Ujrzysz to. Zostawisz mnie. Albo znużysz się mną... Znużysz się tą zabawą ze mną. I zostawisz mnie. Tak.

### **Co przeradza się w wiarę:**

Zlitujesz się kiedyś, na pewno. Nie widziałeś mnie jeszcze. Ale ujrzysz. I zlitujesz się wtedy, na pewno.

***J.P.:*** *Dywagacje Mężczyzny wydają się nieco inne.*

**A.L.:** Tak, zdecydowanie. Wprawdzie i on zaczął od przypuszczenia, że wyzwanie się z tortury światła zależy od wyznania jakiejś prawdy, skoro po pierwszej „spowiedzi” najpierw na chwilę przygasło, a potem zmniejszyło natężenie:

Gdy po raz pierwszy przygasło, dziękowałem Bogu, naprawdę. Odwalone, myślałem, powiedziane już wszystko, teraz całkiem zgaśnie... Stanie się ciemno i będzie spokój... a cała ta męka, jakby jej nigdy nie było.

Gdy jednak nic takiego się nie stało – bo przesłuchanie trwa dalej – zrozumiał, że się łudził: ironiczne „myślałem”. Chwilami rozczarowanie to przeradza się w bunt, który wciąż świadczy o wierze, że światło jest istotą rozumną:

Ukrywam coś? Czy opuściłem coś, na czym ci zależy?... Dlaczego gaśniesz? Dlaczego przygasasz? Dlaczego nie razisz mnie bez przerwy? Mógłbym nie wytrzymać i bredząc, wykrztusić coś wreszcie.

Z czasem jednak bierze górę zwątpienie. Mężczyzna dochodzi do wniosku, że tak jak łudził się, gdy przeżywał swój romans, tak łudzi się i teraz, zakładając że przesłuchanie ma jakiś sens i cel, a w każdym razie że podlega racjonalnym zasadom. Kiedyś z pewnością okaże się ono „tylko komedią”, tak jak „tylko komedią” okazał się z czasem dramat romansu:

Mrzonki. I wtedy. I teraz... że jesteś zaledwie okiem. Spojrzeniem tylko. Padającym na moją twarz... Szukającym czegoś. W mojej twarzy. Jakiejś prawdy. W moich oczach. Nawet i to nie... Zaledwie okiem. Bez mózgu. Które otwiera się na mnie i zamyka.

I kończy zaskakującą konkluzją, będącą oczywistym nawiązaniem do słynnej idei Berkeleyya:

Czy jestem o tyle tylko, o ile jestem... widziany?

**J.P.:** *Berkeleyowskie esse est percipi (być znaczy być postrzeganym) prowadziło jednak do potwierdzenia istnienia Boga: żeby jakkolwiek rzecz niezawodnie „powracała”, ilekroć zwrócimy na nią uwagę, musi istnieć ktoś, kto niejako nie spuszcza jej z oczu, nieustannie „podtrzymuje” jej byt. Ten „ktoś” musi mieć zatem zdolność widzenia wszystkiego naraz i bez przerwy, a kimś takim może być tylko Bóg.*

*Czy finałowe pytanie Mężczyzny ma również ten wymiar? Inaczej mówiąc: czy nawiązując – świadomie lub nie – do Berkeleyya, przyjmuje jego filozofię z całym dobrodziejstwem inwentarza?*

**A.L.:** Nie sędę. Jego duchowa sylwetka, jaka wyłania się z tego, co mówi, zwłaszcza w części pierwszej, raczej nie wskazuje na to, by zajmował się bliżej filozofią Berkeleya, a zwłaszcza był świadom jej metafizycznych rewelacji. Według mnie, Beckett suflując mu tę kwestię, brał raczej pod uwagę tylko punkt wyjścia rozumowania Berkeleya, tzn. że coś istnieje tylko wtedy, gdy jest obserwowane, a zatem że poznanie tego czegoś nie może być obiektywne, tylko subiektywne. Gdyby rozciągnąć tę ideę na istotę boską, oznaczałoby to, że Bóg „widząc” człowieka, daje mu tylko istnienie, ale niczego więcej od niego nie chce i nie oczekuje, ponieważ akt widzenia w tym rozumieniu nie daje wglądu w istotę rzeczy. Inaczej mówiąc: Bóg swoim widzeniem każe człowiekowi tylko istnieć, a o resztę już się nie troszczy. Sędę, że raczej coś takiego ma na myśli Męzczyzna, wypowiadając ostatnią kwestię.

Ale została nam jeszcze Kobieta 2.

**J.P.:** *Wydaje się, że jej spekulacje na temat światła bliższe są opcji Męzczyzny niż Kobiety 1.*

**A.L.:** I tak, i nie. Według mnie, jest ona gdzieś pomiędzy. Ale po kolei. Inaczej niż Męzczyzna, który „dz i ę k o w a ł B o g u, gdy po raz pierwszy przygasło”, zaczyna od rozczarowania:

Mam nie czuć się zawiedziona? Niestety, czuję się. Spodziewałam się czegoś lepszego. Bardziej kojącego.

Po chwili dodaje jednak:

A jednocześnie w o l ę t o o d t a m t e g o. Zdecydowanie. Chwilami można wytrzymać.

Dalszy ciąg pokazuje, że – podobnie jak Męzczyzna w swoich ostatnich kwestiach – nie traktuje światła jako kogoś rozumnego, lecz raczej jako jakiś niepojęty kapryśny żywioł, od którego zależy jej przyszłość:

Gdy zgasniesz, i ja zgasnę. Któregoś dnia znużysz się mną i zgasniesz, na dobre. Zostawisz mnie jak jałowy ugór. I pójdziesz nękać kogoś innego.

Potwierdza to wyrażona dalej obawa:

Z drugiej strony wszystko się może pogorszyć, j e s t takie niebezpieczeństwo. Możesz się rozszaleć i tak zapłonąć, że przepalisz mi rozum.

Za chwilę jednak budzi się osobliwa nadzieja:

Wątpię w to [jednak]. To niepodobne do ciebie. Ty wiesz na pewno, że robię, co mogę. A może nie wiesz?

Ale w kolejnej kwestii wraca zwątpienie, podobne temu, w jakie popada Mężczyzna:

Pewnie myślę się, jak wtedy, kiedy świeciło słońce, doszukując się sensu tam, gdzie zapewne go nie ma.

I jakby chcąc utwierdzić się w tym przekonaniu, zadaje serię retorycznych pytań:

Słuchasz mnie? Słucha mnie kto? Patrzy ktoś na mnie? Myśli ktoś o mnie choć trochę?

A jednak dalej pojawiają się myśli zbliżone do wiary Kobiety 1:

Co ty właściwie robisz, gasnąc? Rozliczasz? ... A może litujesz się nade mną, myśląc: „Biedaczka, niech sobie trochę wytchnie”.

Zostają one jednak odrzucone: „Nie wiem. – Nie”, a zamiast nich pojawia się zupełnie inny wątek. Kobieta zaczyna rozważać, czy aby nie zwariowała; czy w dalszym ciągu jest przy zdrowych zmysłach:

Nie jestem już trochę pomyłona? Troszeczkę. Stuknięta lekko. W głowę. Leciułko.

I chociaż przeczy temu (trzykrotnie powtórzone „Wątpię”), wariacki śmiech, którym wybucha pod koniec, stawia owo przeczenie pod znakiem zapytania.

Tak więc mamy oto trzy różne postawy wobec tajemniczej opresji i trzy jej interpretacje:

- (1) zakładającą jej sens: interpretacja quasi-religijna Kobiety 1;
- (2) negującą jej sens: interpretacja a-religijna Mężczyzny;
- (3) „agnostyczną”: zmienna interpretacja Kobiety 2.

Dopiero teraz, dokonawszy tej szczegółowej analizy, możemy zacząć dyskusz o znaczeniu sztuki i rozważyć jej odniesienie do *Boskiej Komедii*.

**J. P.:** *W dalszym ciągu nie mam jednak jasności, co przedstawia czy wyobraża ten świat. Najprościej: czym jest to modelowe śledztwo? Gdzie i kiedy się odbywa? Do czego mam odnieść tę całą rzeczywistość? Do czegoś ziemskiego, czy jednak niezemskiego?*



**A.L.:** Znając Becketta, wątpię, aby śladem Dantego zdecydował się na próbę opisu zaświatów. Jak zdążyliśmy się o tym już wielokrotnie przekonać, Beckett był realistą i racjonalistą, i zajmował się tym, co doczesne, a w każdym razie sprawdzalne. Czyli życiem-w-świecie, a nie życiem-w-zaświatach czy też życiem-po-życiu. Tak więc świat przedstawiony w *Komedii* z pewnością odwzorowuje coś, co dzieje się w życiu, a nie po śmierci.

**J.P.:** *Co znaczą w takim razie urny, w których postaci się znajdują? Czyż nie jest to znak cmentarny? Poza tym w twoich przypisach do tej sztuki wyczytałem, że Beckett komentując podczas prób w Berlinie ostatnie kwestie Kobiet z pierwszej części, stwierdził, iż „można w nich znaleźć poszlaki popełnionego przez bohaterów samobójstwa”. Mają o tym świadczyć między innymi takie zdania:*

To było na Wszystkich Świętych. Palily się zeschłe liście. Zwinęłam jego rzeczy w jedną paczkę i rzuciłam w ogień.

oraz:

Wreszcie pojechałam do niej. A tam wszystko zamknięte na cztery spusty. Wszystko pokryte szronem.

*A wreszcie znaczące nazwy miejscowości, przez które Kobieta 1 stamtąd wracała. W wersji angielskiej nazwy te brzmią: Ash i Snodland, a we francuskiej: Sept-Sort i Signy-Signe. W pierwszym wypadku znaczy to jakby: „Popielno” i „Zasmarkana ziemia”, a w drugim: „Siedem Losów” i „Znaczące”. Czy wszystko to nie wskazuje, że akcja *Komedii* dzieje się jednak w innym wymiarze niż ziemski?*

**A.L.:** Upieram się, że nie. A urny i aluzje do przekroczenia granicy śmierci przez bohaterów rozumiem metaforycznie. Owszem, mogę się zgodzić, że trójka tych bohaterów „umarła”, ale tylko w umowny czy symboliczny sposób. Tak jak umiera Gustaw w *Dziadach*, by dalej żyć jako Konrad. Najogólniej chodzi tu o radykalną przemianę człowieka – o taką przemianę, o jakiej najpełniej była mowa w *Ostatniej taśmie*.

Zwróć uwagę, że postaci Becketta – zresztą nie tylko jego sztuk – są prawie bez wyjątku osobami, które przekroczyły już „smugę cienia”. Inaczej mówiąc, prawie zawsze znajdują się co najmniej w drugiej połowie życia, wiele przeżyć mając już za sobą. Didi i Gogo są ze sobą „z pięćdziesiąt lat chyba”, jak mówi Vladimir pod koniec pierwszego aktu. Sparaliżowany i ślepy Hamm nie był kiedyś taki – mógł chodzić i widział, nie mówiąc o jego rodzicach. Zakopana w piasku Winnie tak-

że mogła się ruszać, gdy była „młoda, piękna i głupia”, a Krapp w trakcie akcji ma 69 lat i nagrywa swoją urodzinową taśmę po raz czterdziesty piąty. Można więc powiedzieć, że wszyscy oni są już w jakimś sensie umarłymi – w takim mianowicie, że są trupami dawnych siebie, których wspominają i do których się odnoszą.

Sądzę, że tak też jest w *Komedii*. Głowy w urnach to szczątki tamtych trojga ludzi, którzy w sile wieku – „kiedy świeciło słońce”, jak nazywa ów czas Kobieta 2 – przeżywali swój „romantyczny dramat”. Szczątki, co nie znaczy jednak, że martwe. Szczątki, które żyją dalej, tyle że w innych warunkach: nie „w słońcu”, tylko w ciemności, rażeni snopem sztucznego światła, i jako inne istoty: wolne od namiętności, niezdolne do działania, a tylko do przeżywania tego, co już minęło, i męki wegetacji.

Podsumowując: Beckett pokazuje człowieka prawie zawsze w sytuacji terminalnej, gdy ten robi rachunek sumienia i szuka drogi wyjścia z potrzasku egzystencji.

**J.P.:** *Rachunek sumienia wymuszany przez światło wydaje mi się dość wymowny. Jedno z moich pierwszych skojarzeń, jakie miałem czytając, a zwłaszcza oglądając tę sztukę, było skojarzeniem z motywem światła z Ewangelii świętego Jana – tym zresztą, który i ty przywołałeś w dialogu o Krappie, gdy mowa była o jego fascynacji ciemnością. Pozwól, że przytoczę go teraz znowu:*

... a życie było światłością ludzi,  
a światłość w ciemności świeci  
i ciemność jej nie ogarnęła.  
Była światłość prawdziwa,  
Która oświeca każdego człowieka,  
Gdy na świat przychodzi

(J 1, 4-5, 9)

*I jeszcze inny fragment, z dalszej części tej Ewangelii:*

A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto źle czyni, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby jego uczynki nie zostały ujawnione. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki zostały dokonane w Bogu.

(J 3, 19-21)

*Oczywiście zdaję sobie sprawę, że skojarzenie to może się wydać odległe. Czy jednak w sztuce tej nie można dopatrzeć się... nie tyle parodii Dantejskich zaświatów, co raczej wizji sądu nad człowiekiem, który dokonuje się tu i teraz, w „czaso-*

przestrzeni" życia? A ściślej: w chwili, gdy nagle i niespodziewanie przychodzi owo światło i oświetlając na nowo przeszłe wydarzenia, zmusza do ich analizy. Werdykt takiego sądu nie jest, rzecz jasna, wiadomy. I trudno też przewidzieć, jak długo taka rozprawa potrwa.

Komedia Becketta wydaje mi się raczej pewnego rodzaju wstępem do Boskiej Komedii niż jej szyderczą trawestacją. Oto mamy przedstawiony w niej „sąd światła”; u Dantego pokazane są konsekwencje wyroku – piekło, czyściec i niebo. Nie sądzisz, że Beckett w Komедии wprowadził jednak perspektywę eschatologiczną? Inaczej mówiąc: czy przedstawiony przez niego rachunek sumienia nie jest aby do-  
czesną prefiguracją ostatecznego sądu nad człowiekiem?

**A.L.:** Nie, jednak nie. Używając słów Kobiety 1: „nie wydaje się, żeby to było to”. Sąd dantejski, czy ściślej: boski, wyraźnie określa, co dobre, a co złe, i wedle tych kryteriów wycenia postępowanie i wydaje wyroki. U Becketta nie ma takiego kodeksu. Postaci są przesłuchiwane nie wiadomo „na jaką okoliczność”, jak to się mówi w żargonie prawniczym. Przesłuchujące światło jest milczące i kapryśne, nie sposób odgadnąć, o co mu chodzi i do czego zmierza.

Ślady jakiegoś kodeksu tkwią jedynie w umysłach postaci. Takim śladem jest choćby to, że w pierwszej fazie przesłuchania bohaterowie opowiadają historię trójkąta małżeńskiego. Można by zapytać, dlaczego właśnie tą, a nie jakąkolwiek inną spośród rozmaitych, jakie przydarzyły im się w życiu. Otóż pewnie dlatego, że identyfikują ją jako wykroczenie przeciw szóstemu przykazaniu („nie cudzołóż”). Stąd wniosek, że d z i a ł a w nich jeszcze dekalog:

Oto gdy znaleźli się w tajemniczej opresji, uznali ją za formę sądu nad nimi i – nauczeni, że ewentualna absolucja zależy przede wszystkim od wyznania grzechu – w pierwszym odruchu zaczęli opowiadać właśnie o tym. Kiedy w ślad za przyznaniem się do winy światło nieco przygasło, uznali – jak Mężczyzna – że jest to słuszna droga i idą w dobrym kierunku: „Odwalone, myślałem, teraz całkiem zgaśnie”. Gdy jednak po n-tym powtórzeniu tego samego sytuacja nie ulega zmianie, dochodzą do wniosku, że albo chodzi o co innego, albo że samo wyznanie grzechu to za mało i trzeba jeszcze okazać skruchę lub coś w tym rodzaju. I zaczynają z kolei wybaczać sobie nawzajem, a nawet litować się nad sobą: „Żal mi ich. – Nieszczęśni. – Biedaczka”. Jednak i to nie pomaga. Światło dręczy ich dalej. Wtedy zaczynają wątpić, że mają do czynienia z kimś albo czymś rozumnym: „Wszystko to pada w próżnię. – Doszukuję się sensu tam, gdzie zapewne go nie ma. – Nawet i to nie”, lub rozpaczliwie wierzyć, że czymkolwiek to jest, „zlituje się kiedyś, na pewno”.

Podsumowując: Beckett odwraca tu klasyczny schemat. Nie instancja sądząca, lecz podsądni odwołują się do jakiegoś kodeksu i zakładają „sprawiedliwą wagę”. Co więcej, daje on do zrozumienia, że zarówno kodeks ten, jak i waga nie działają: że albo są one zdezaktualizowane, albo ich w ogóle nie ma.

Człowiek łądzi się wierząc, że sędzia jest sprawiedliwy – ba!, że w ogóle jest. Istnieje jedynie „oko”, które to otwierając się, to zamykając, daje i odbiera istnienie.

*J.P.: Zgoda, w sztuce tej – jak zresztą i w innych dramatach Becketta, które omawialiśmy – z a w a r t a jest tego rodzaju sugestia, nie wydaje mi się ona jednak wiążąca. Moim zdaniem, Beckett nie przesądza ostatecznie, jak jest, a w każdym razie pokazuje również drugą stronę medalu, czyli że nawet daremna nadzieja i wiara ma dobroczynne skutki. W Godocie takim skutkiem – daremnego czekania – jest sama obecność bohaterów pod drzewem, czyli że w ogóle są „widziani”, a poza tym że stojąc na owym „posterunku”, choćby i był on fikcją, umożliwiają spotkanie – tym, co samotnie wędrują przez bezkresne pustkowia, tzn. ludzkim jednostkom wrzucenym w rzekę czasu. Inaczej mówiąc: wielkie pragnienie sensu i rodzące się stąd marzenia o nim, choćby i były złudne, tworzą jednak niezłudną i wymierną faktyczność.*

*Moim zdaniem, w Komedii też tak jest. Gdyby nie przekonanie bohaterów, że rażące ich światło to, mimo wszystko, nie forma a b s u r d a l n e j tortury, lecz narzędzie w rękach jakiejś istoty rozumnej, która ma jakiś cel, czyż w ogóle by... mówili? Czyż ich reakcja na doświadczane cierpienie nie sprowadzałyby się wyłącznie do nieartykułowanego wycia? A oni jednak m ó w i ą! Nawet gdy tracą wiarę, nawet kiedy już wątpią. I mówią nie byle co: nie tylko te dyrdymały o zawiedzionej miłości, która jakby bez reszty zdominowała ich życie, lecz również o czymś głębszym: o świetle, jego naturze, o domniemanym sensie. Nieważne, że ten trud na razie jest daremny, że nie potwierdza nawet słuszności obranej drogi. Ważne, że jest, że trwa, bo dzięki niemu te „szczątki” – te trzy garstki prochu – pozostają wciąż ludźmi i zachowują godność.*

*Zgoda, Komedia Becketta to drwina z Komedii Dantego: piekło i czyściec „upadły”, nie wspominając o niebie, a człowiek, mimo to, w dalszym ciągu w nie wierzy i spowiada się z grzechów. Jest to, na pierwszy rzut oka, sytuacja piekielna, budząca „litość i trwogę”, skoro grzech to nie grzech i nie ma się przed kim spowiadać. A jednak po chwili namysłu jawi się też inaczej: jako warunek transgresji, przekroczenia Natury. Choć piekło i czyściec Becketta pozbawione są sensu, jaki widział w nich Dante, nie są one jednakże b e z w z g l ę d n i e absurdalne. Człowiek w zderzeniu z absurdem przekracza samego siebie.*

**A.L.:** Świetnie to opisałeś. Ja jednak mam wątpliwość, czy Beckett owe skutki złudnych wierzeń i marzeń, a także daremnych trudów postrzegają jako wartość – jako rzecz pozytywną. Nie wiem, inaczej mówiąc, czy jest tu wartościowanie: że godność i duma człowieka w obliczu bezsensu istnienia są w ogóle tym, czym są – za co je uznajemy. Być może są jedynie pewnym „produktem ubocznym” – pozostałością po nas. Jak kapelusz Lucky’ego po seansie myślenia. Jak rafa koralowa po żywocie mięczaków.

Tytuł tego utworu, prócz tego, że jest dwuznaczny – po pierwsze nazwa dramatu na lekki, wesoły temat, a po drugie aluzja do poematu Dantego – w każdym wypadku jest także wyraźnie ironiczny. To, co w życiu człowieka – na przykład według Platona na kartach jego *Praw* – ma być „piękną zabawą tak dla mężczyzn, jak kobiet”, w domyśle: gra miłosna (angielski przekład *Praw* używa tu słowa *play*), w interpretacji Becketta jest obłądnym koszmarem, którego się nie da uniknąć. A to, co u Dantego po długiej drodze przez mękę kończy się jednak dobrze: osiągnięciem zbawienia i wieczną szczęśliwością, u Becketta, przeciwnie, kończy się bardzo źle: zagadkową torturą o niewiadomej przyczynie, od której nie ma ucieczki.

Jeśli w każdej epoce – zdaje się mówić Beckett – są dwa oblicza losu: tragiczne i komiczne, wzniosłe i pospolite, poważne i niepoważne, dramatyczne i śmieszne, jeśli zawsze tragedii towarzyszy komedia, to w naszych czasach komedia wygląda właśnie tak. Komedia dziś to świadomość, że wszystko jest tylko komedią.



## JEHUDA AMICHAJ

przełożył z języka hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

### To, co zmuszało Józefa

To, co zmuszało Józefa do opowiadania snów,  
zamyka moje usta.  
To, co usypia dziecko w kołysce,  
sprawia, że czuwam, jak ognisko.  
To, co alarmuje, wzburza i rozwiera dąb jesienią,  
zamyka mnie w sobie, jak pięść.  
Wielka brama rozwartą przed tobą szeroko,  
stała się zaporą i blokuje mi drogę.

### Na zewnątrz pada deszcz

Na zewnątrz pada deszcz,  
wszystko smutne, co potrzebne jest,  
jedynie to, czego nam nie trzeba,  
sprawia odrobinę radości.  
Gdy poszliśmy w świat  
drogą uczynków straszliwych,  
bez słów.  
Gdy ujrzelśmy wznoszący się dym  
i dym, który opada,  
i deszcz.  
Na zewnątrz pada deszcz,  
a ja mam tylko jedną  
wymówkę, by uzasadnić wszystkie wątpliwości.

Ale i jej ubędzie i nie starczy mi.  
Mam tylko jedną chusteczkę, by wytrzeć  
pot wszystkich moich zmartwień.  
Mam tylko jedną nadzieję  
i nie wiem czy wytrwa.  
Muszę ją naprawić, aby dalej  
iść. Zanim się ściemni.

Deszcz pada na zewnątrz,  
cała woda jednym strumieniem  
spływa do morza. Ale ja nie muszę.  
Jestem głęboko w ziemi.  
Może tam zostanę.

## Miejsce, w którym mamy rację

W miejscu, w którym mamy rację  
nigdy nie zakwitną  
kwiaty wiosną.

Miejsce, w którym mamy rację  
jest twarde i udeptane  
jak podwórko.

Ale miłość i zwątpienie  
jak kret, jak orka  
czynią świat miękkim.  
I słyhać szept tam,  
gdzie był dom,  
który zrujnowano.



## Jakub i anioł

Nad ranem westchnęła i chwyciła  
go tak, i zwyciężyła go.  
I chwycił ją tak, i zwyciężył ją,  
Obydwoje znali chwyt  
śmiertelny.  
I oboje ustąpili w imię Boże.

Lecz w pierwszym świetle poranka  
ujrzał jej ciało,  
wciąż białe  
w miejscach, które wczoraj zakrywał  
kąpielowy strój.

Później zawołali ją nagle z góry,  
dwa razy.  
Jak woła się dziewczynkę zajętą zabawą  
na podwórku.  
I poznał jej imię, i pozwolił odejść.

## Mój los

Patrzę przez lornetkę  
na człowieka patrzącego na mnie przez lornetkę:  
to mój wróg.  
Często rozmyślam o myślach  
kobiety myślącej o mnie  
obok kolejnego roku.  
To moja kochanka.

Kolor jej snu ma barwę mojej ciemnej krwi.  
Krąg moich snów to krągłość jej bioder.  
To nasze przymierze.  
Dopiero ostatniego wieczora odkryłem

drogę na skróty przez podwórza i ciernie,  
zamiast szerokiej drogi, którą zawsze szedłem ku niej.  
To mój los.

## Wolno być zapomnianym

Twoje oczy jasne jak śmierć. Światło sosen.  
Czy można należeć do kogoś w lesie, na przestrzeni lat,  
w nocy lub w pokoju, będąc wygnanym na wygnaniu?  
Czy wolno nam teraz być zapomnianym?

Czym jesteśmy, monetą krążącą z rąk do rąk.  
Bądź inna. Będę inny.  
Dolina była niegdyś górą. Czym jest zmiana,  
która zaszła. Kwiatami, może. Czym jest naprawdę nabyty

nabytek. O co chodzi. Co cię dotknęło.  
Podmuch czegokolwiek. Błogosławieństwo  
przeznaczone komuś innemu, przypadło  
tobie. Noc, wino zaprawione klątwami.

Wykończenia i brzegi pasowały do twego ciała: moda.  
Rozstania: ćwiczenia śmierci, ćwiczenia kończącego się  
roku, przygotowania do podróży, nie ruch, nie odpoczynek.  
Teraz możemy pozwolić, by o nas zapomnieli.

# JEHUDA AMICHAJ

## Konfirmacja

przełożył z języka hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Na początku było przesuwanie mebli. W wielkim domu, w domu z białych kamieni naprzeciw małej kawiarni, gdzie dniem i nocą unosi się para z ekspresu. Ekspres to nic innego jak świeca za ludzkie dusze. Przyszedłem do tego dużego domu do moich przyjaciół i miałem mnóstwo pytań. Otworzyli drzwi i od razu okazało się, że oni mają więcej pytań ode mnie. Skreśliśmy wzajemnie pytania w tej samej dokładnej ilości, a reszta ulotniła się, jak pachnąca kawą chmura naprzeciwko. Zanim dotarłem do nich, przeszedłem mroczną klatką schodową. Nie od razu znalazłem kontakt od światła. Kontakt miał oświetlać, ale nie oświetlał. Dlaczego miałbym mieć do niego pretensje. Ja też oświetlam tylko, kiedy mnie włączą i już od dawna nie ma we mnie kontaktu do włączania wielkiego i radosnego światła, więc jestem mroczny, jak ta klatka schodowa, gdzie na dole napisano: „Nie wolno zostawiać rowerów”.

Wokół mnie stała cała rodzina. Prosimi o pomoc w przesuwaniu mebli, żeby zrobić miejsce dla wszystkich gości, którzy mają przyjść nazajutrz. Przesuwaliśmy łóżka, szafy, przepychaliśmy stoły. Chowaliśmy jedno słońce, robiąc miejsce na drugie słońce. Chłopiec kręcił się między nami, dźwigając lekkie krzesła i poduszki. Cały czas mruczał melodię haftary<sup>1</sup>. Miał głos ptaka i sam był młodym fragmentem z wielkiej biblii świata. My byliśmy już oklepanymi fragmentami, a on wciąż się nie wyuczył na pamięć i kręci się po świecie, jak po wielkim i białym mózgu. Skończyliśmy przesuwac i zaczęliśmy od nowa, według innych pomysłów. Wszystko na świecie zaczyna się od przesuwania. Kiedyś, w noc przed wybuchem jednej z wojen, widziałem jak przesuwają ludzi i konwoje, samochody, zielone i czerwone skrzynie. Całą noc. Przesunęli ściany i ciężką ziemię. Wiedziałem, że będzie wojna.

---

<sup>1</sup> Haftara – fragment ksiąg prorockich, odczytywany w synagodze (przypisy tłumacza).

Innym razem stałem koło stacji kolejowej, w piątek wieczorem. Przesuwali wtedy różne lokomotywy z toru na tor, z trasy na trasę i wiedziałem, że we mnie zajdzie zmiana i napotkam rzeczy, jakich się nie spodziewałem i może pokonają mnie. W każdym razie, wiedziałem, że nadejdzie wiatr i skończy się lato.

Kiedyś pomagałem przyjacielowi przesunąć meble w ich małym mieszkaniu, żeby wstawić łóżeczko dla dziecka, które im się urodziło. Po kilku miesiącach to niemowlę umarło. Zmarło. Pod niebem schnących pieluszek nastąpiła cisza. Wcześniej dziecko otwierało się na życie, a potem zamknęło, i umarło.

Jak szuflada w szafie, którą się wysuwa i wsuwa i żaden ślusarz nie otworzy jej ponownie. Po śmierci dziecka przesunęliśmy meble na poprzednie miejsce.

Kiedy zmieniają się pory roku, różne rzeczy na świecie też się przesuwają: chmury, zielona ziemia, ziemia żółta, wyschnięta. Ludzie przesuwają się zawsze i nic się nie zmienia poza tymi zewnętrznymi przesunięciami pod pełnym chmur, wysychającym niebem.

Skończyłem przesunąć i odpoczywałem pod oknem. Patrzyłem w kierunku kawiarni z ekspresem. Siedziała tam moja żona z jedną z koleżanek. Jest starsza od żony o parę lat i w swoim życiu wciąż wędruje i podróżuje. Ma wspaniałe życie, ale ona umie je tylko spaprać, zamiast spełnić. Czasem jest jak drzwi, które ani się nie zamykają, ani otwierają. Wszystko co robi, to jakby tam i z powrotem. Tak jak ktoś kupuje bilet tam i z powrotem i nigdy nie korzysta z drugiej części. Nigdy nie wraca, mimo że byłoby taniej i bardziej etycznie. Jej mąż był o wiele starszy ode mnie. Umarł. Teraz, kiedy zamierza wyjść za wysokiego oficera wojsk powietrznych, pojawił się pewien adwokat, którego kiedyś kochała. Nazywa go trochę poufale, trochę z nienawiścią, Mój Kłopot, Moje Zmartwienie, Moje Westchnienie. W każdym razie, siedzi właśnie koło mojej żony, na wysokim stołku, a na jej wielkich, okrągłych kolczykach huśtają się wszystkie małpki jej myśli. Ze wszystkich swych uczuć skręcała długie i wąskie papierosy, które paliła jeden za drugim. Siedzi i opowiada mojej żonie o swych miłościach. O swym Kłopotcie-Zmartwieniu-Westchnieniu, który jej dokucza i nie zostawia w spokoju. Kiedyś zostawił ją na środku ulicy, kiedy nadjechała taksówka, by go zabrać. Innym razem obejmując ją, patrzył w kierunku placu. Jeszcze kiedyś poprosił, by mu napisała wiersze, w których będzie opiewać jego piękno i swoją miłość ku niemu. Stwierdziła, że nie jest poetką. Odrzekł jej, że jeśli naprawdę go kocha, to może opiewać jego cześć i chwałę.

Kilka razy pisała listy, w których mówiła: „Już więcej się nie zobaczymy. Przesadziłeś. Napiąłeś strunę, która pękła. Już cię nie Kocham”. Píše i posyła te listy, a jutro będzie siedzieć u niego, ze swym Kłopotem-Zmartwieniem-Westchnie-

niem-Duszą-Kochaną. Problem w tym, że nie umie się z nim rozstać i dlatego nie ma dobrego życia. Większość ludzi wie, że ich twarz, to twarz rozstania. Tak jak tarcza zegara jest tarczą czasu, tak twarz człowieka istnieje tylko dla rozstań, dla pamięci i zapomnienia. Czasami dobrze o tym wiem i dlatego moje ręce zawsze są wyciągnięte do ostatniego uścisku dłoni. Mówią mi, oszalałeś, przecież zobaczymy się jutro. A ja mówię im, że to ostatni raz.

Przyszedł ten chłopiec, dla którego poprzesuwaliliśmy wszystkie meble, pociągnął mnie ku sobie i poprosił, bym obejrzał jego prezenty. Przecisnęliśmy się przez stłoczone razem meble. Plecak i koc na przyszłe wycieczki. Manierka i laska. Pełne wyposażenie banity. Powiedział, że to na wycieczki i do Oddziałów Młodzieżowych<sup>2</sup>. Powiedziałem do siebie, na rozstania. Dają mu przyrządy, żeby się powoli przyzwyczajał do tułaczki. Kto zaczyna wędrować, nigdy nie kończy. Znają to chmury, wiatr i paru ludzi. I niekoniecznie jesienią. Są tu połączone razem nóż, łyżka i widelec. Pozostałe rzeczy, też poskładane czekają, aż dziecko poczuje smutek. Nóż i widelec pomagają jeść, a co pomaga nam kulturalnie pokroić w kawałki los. Może krzyki, może cichy płacz, a może szeptane słowa braci. Co tam jeszcze dzieciak dostał w prezencie na konfirmację: kieszonkowe latarki w różnych kolorach i myśli, które się cisną do głowy. Lornetki, które powiększają i pomniejszają. I całą resztę przyrządów, zmieniających wygląd rzeczy według naszej woli. Tefilin z czarnymi pasami i sposobami ich zawiązywania na rękach siedem i jeszcze siedem razy<sup>3</sup>. I wieczne pióra. I książkę o bohaterskich czynach innych ludzi. I Bialika, i Czernichowskiego i dwa obrazy Van Gogha, który obciął sobie ucho. I encyklopedie, których się nie otwiera. I saszetkę na przybory kąpielowe i saszetkę na łyzy. I mnóstwo pustych kartek. I wiele zapisanych kartek z wydrukowanym na początku nazwiskiem dziecka. I koperty z nazwiskiem wydrukowanym z tyłu. Gdyby mogli, napisaliby mu też treść listów i adresy odbiorców i miłość, o której w listach i prośby i rozpacz. I wielofunkcyjną teczkę. I przyrządy do paznokci w czerwonym etui. Chusteczki z wyhaftowanymi inicjałami. I puste przeznaczenie, bez imienia. Siedem szczyrzyków i kilka płyt do tańca, za pomocą którego można, czasami, wymknąć się śmierci. I jeszcze komplet przyrządów do paznokci w brązowym etui, żeby wyczyścić paznokcie, bo jeśli w rozpaczę zakryje rękami oczy, żeby nie widzieć tego co się dzieje, to jego paznokcie będą czyste i lśniące. Długą drogę przebywają dłonie zanim, wobec braku

---

<sup>2</sup> Gdudei Hanoar – organizacja szkolenia wojskowego przed służbą wojskową.

<sup>3</sup> *Tefilin* – filakterie (gr.), dwa pudełeczka, mocowane rzemieniami do czoła i lewego przedramienia jako spełnienie biblijnego nakazu. Wewnątrz znajdują się zwitki z fragmentami z Księgi Wyjścia (13,1–10) i Powtórzonego Prawa (6,4–9 i 11,13–21).

innego miejsca, znajdą się na oczach, i kiedy oczy nie mają innego miejsca, by się ukryć, tylko pod rękami. Nie w ścianie, nie w stole, i nie na szyi ukochanej kobiety. Jest też scyzoryk z otwieraczami i z małymi ostrzami do cięcia i do piłowania, wszystko złożone razem. I mały mózg, w którym jest kilka poglądów na świat. I dzieła Josefa Chaima Brennera<sup>4</sup>. Zegarek od dziadka, budzik od cioci i mnóstwo życzeń i nadziei. Książki z intrygą i książki z akcją, książki moralistyczne, a także błyszczące dresy z czerwonym pasem. Także, leżące na stole z prezentami pudełko z cyrkłami. Przeróżne cyrkle błyszczały na czarnym aksamicie podszewki pudełka. Chłopiec wyciągnął przyrządy i pokazał mi taki błyszczący cyrkiel. Teraz nie potrzebuje całej reszty, tylko cyrkla zwykłego. Jeśli będzie inżynierem, to nie będzie mógł używać tych przyrządów, tylko będzie musiał kupić sobie przyrządy doskonalsze. A zatem, kiedy będzie używał tego pudełka? I większości tych prezentów? I tak mija życie. Wszystko za wcześnie, albo za późno. Pewnego lata wyszedłem z wojska. Idąc z koszar przechodziłem obok cytrusowych gajów. Widziałem, że pomarańcze są małe i zielone. Spóźniłem się i byłem za wcześnie. Na zapach kwitnienia drzew spóźniłem się. Na dojrzale owoce byłem za wcześnie. I nie wiedziałem, czy będę tu jesienią, kiedy pomarańcze w gaju dojrzeją.

Widziałem, że nie ma już więcej prezentów i nie ma już mebli do przesuwania. Pożegnałem się z rodziną. Dorosli stali wokół i dziękowali mi uściskiem dłoni. Ich usta były zamknięte. Tylko usta chłopca były rozwarłe. Jakby górna warga nie zdążyła zamknąć ust. Zdziwione usta pozostały otwarte. Otwarte usta chłopca to wyjście ze świata: jest jeszcze nadzieja. Jest miejsce, skąd nadejdzie wybawienie, i którądy można się uratować. Usta dorosłych były jak okna zamienione w ścianę, zamurowane kamieniami. Jeszcze wiele lat później można dostrzec, że w ścianie jest zamurowane okno. Jeśli dziecko dostąpi konfirmacji zamkną też i jego rozwarłe usta.

Potem poszedłem do domu. Nie wiem dlaczego zaprosili mnie i moją żonę na świąteczną kolację. Może z powodu znajomości, może dlatego, że kiedyś byliśmy pod tym samym pełnym ptaków niebem, a może dlatego, że znalazł się jakiś wspólny przodek w którymś z wcześniejszych pokoleń. W piątek wieczorem poszliśmy do eleganckiego klubu w Jerozolimie, gdzie przygotowano przyjęcie. Przyjechali zabrać nas autem. Czarnym autem pojechaliśmy do klubu. Obok schodów były krzewy, a pośród nich szept o naszych gospodarzach, na przykład, skąd oni mają te wszystkie pieniądze? Zawsze wydają więcej, niż za-

---

<sup>4</sup> Josef Chaim Brenner (1881–1921) – wybitny hebrajski pisarz i krytyk literacki.

rabiają. I rodzice dzieciaka i dziadek z żoną, babcią chłopca. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice czasem przypominali mi takie rodziny, żyjące ponad swe możliwości. Tato mówił o nich z odrazą, a mama ze strachem przed katastrofą, jaka może na nich spaść. Widziałem je, te rodziny, rozradowane, trwoniące i ogromnie się bałem, żeby któregoś dnia nie upadły. Otaczała je atmosfera pożyczek, kredytów, przeterminowanych weksli, nieistniejących depozytów, roztrwonionych na drogie futra posagów. Na zewnątrz wszystko w normie, nie ma zmarzszceł, nie ma udręczonych zmartwieniami, nie pamięta się o straszliwych złotych kopertach. Weszliśmy do sali nad szerokimi schodami. Schody w naszym kraju zwykle są wąskie. Jakub też śnił o wąskiej drabinie, a nie o szerokich schodach, takich jakie są w kościołach. Chłopiec czekał przy wejściu. Był ożywiony, usta miał otwarte. W bocznym pokoju siedzieli już wszyscy zaproszeni. Nie zdążyliśmy wejść, bo właśnie dali znak i wszyscy pobiegli do stołu. Część krewnych była w ciężkich ramach, część w ramach swego życia, a jeszcze inni między tymi i tamtymi ramami. W ten sposób, część ram pozostała pusta. Jak okno, w które nikt nie patrzy.

Matka zaprosiła gości do stołu. Była szczupła i elastyczna, wyglądała na młodszą, niż była naprawdę. Włożyła buty na wysokich obcasach. Buty ponad swoje możliwości. Oczy miała ukośne, jak u Japonki, i wieczny uśmiech. Ten uśmiech pozostał jej z czasów, kiedy miała życie szczęśliwe. Uśmiech spodobał się jej, więc go zostawiła, jak trwałał ondulację, jak biżuterię. Wszyscy imigrowali tu dwadzieścia pięć lat temu. Starsi, i ich pożenieni synowie przyjechali z północnych Prus. Ich język jest ostry i trochę lekceważący. Przywieźli z sobą kontenery pełne futer, dywanów, mnóstwo drogich porcelanowych naczyń i żadnych narzędzi. Starsi zajmowali się handlem, a ojciec chłopca, ich syn, jest adwokatem. Ile to już razy jego serce zatykał zakrzep, jaki powstał we krwi, ale on zawsze wstawał na nogi, żeby żyć ponad swoje dochody. Nie było mu wygodnie żyć na takim poziomie. Jak lotnik nieprzyzwyczajony do wysokości. Wargi mu drżały, ale próbował udawać spokojnego. Tymczasem jego żona chodziła między wszystkimi, zapraszając gości do krzesel. Jednych dotknięciem koniuszka mi palców, innych delikatnym, aluzyjnym uśmiechem, a jeszcze innych brała pod ramię. Był tam też człowiek w okularach, z długimi włosami, jak u artystów. Kiedyś był lekarzem, a teraz to makler i wyznawca wiary i nowoczesnej sztuki. Siedział, ale nagle wstał. Mały nóż, który wystawał, rozciął płótno. Zauważył też, że jakieś drzwi nie były dobrze zamknięte i stukały. Nie ma gorszej rzeczy od drzwi, czy okna, które nie są dobrze osadzone we framudze. Wiatr wieje i drzwi stukają. Nawet jak nie ma wiatru, to się ruszają. Może przez nie wejść jakiś

czarny, zwinny pies. Firany wciąż powiewają i nigdy nie jesteś sam. Ten człowiek w okularach znów usiadł, robiąc gest człowieka, który osłania szeroką togą własną pierś. Królewski, pełen wagi, gest. Kiedy był młody, ojciec nauczył go powiedzenia: Nigdy nie patrz na dzban, tylko na to, co jest w środku. Odtąd nie przestaje zaglądać do wnętrza dzbanów. I zawsze widzi brak, wadę, uszczerbek. W czasie kolacji dwa razy wychodził sprawdzać puszczone szwy, które trzymają razem rodzinną sielankę. Ktoś go zapytał po co wychodzi, a on odpowiedział wzruszeniem ramion. Stare Miasto było po drugiej stronie doliny, pełnej mroku, oprócz wieży czasu, rzucającej światło. Kiedy wrócił, zauważył, że na suficie są pęknięcia. Słyszał też rozmowę między dwiema kobietami. Były tak ukryte, że zdawało się, iż siedzą za kotarą albo pod stołem. Rozmawiały szeptem. „Ona wciąż wygląda młodo. Ile ich kosztowało to przyjęcie? Skąd wzięli pieniądze? A jaka ona szczupła. I ten uśmiech. Nieprawdziwy. Uśmiech ponad jej możliwości. I jaka ona wiotka. Jakby niczego nie ubierała”.

Kobieta, która niczego nie ubiera, matka chłopca, namawiała gości do jedzenia. Dźwięk jej słów był szybki. Oczy miała nerwowe. Cała była pochłonięta zakrywaniem swej nagości. Nie nagości ciała, które było okryte, tylko nagości wokół niej, w życiu, które było ponad zarobki męża. Sposób jej mówienia, nerwowy, pokrywała, tak jak naga kobieta schwytana podczas kąpieli zakrywa pierś. Jej rozmowa ukrywała pęknięcia w jej poczuciu bezpieczeństwa.

Jej mąż, adwokat, założył czarną jarmułkę. A ci, co nie mieli jarmułek, zakrywali głowy chusteczkami albo dłońmi. Dziadek odmówił kidusz, w którym zgłoski aszkenazyjskie mieszały się z sefardyjskimi. Dziadek był stary, wysoki i szczupły. Miał głowę jak stary ptak. Szczupłą, z wystającym na czole guzem, który na przemian nabrzmiwał i kurczył się, jak dziwna sygnalizacja tego, co miał w głowie. Kiedy był młody, mówili o nim, że był wielkim zalotnikiem wobec pięknych kobiet i nawet miał powodzenie. Myśliwy fartuszków, wołali go po swojemu, Don Juan, „Taki jeden, co pięści chowa za uszy”. Wszystkie te przydomki istniały w nim. Poza jednym szyldem, jaki na wieki przylgnął do niego: żyjący ponad swe dochody. Zwali go ojcem żyjących ponad stan. W takiej postaci dotrwał do osiemdziesiątki. Żył ponad swój wiek. Ostatnio zaczął robić rachunek sumienia i zauważył, że trzeba trochę wrócić na łono religii. Możliwe, że także choroba dróg moczowych doprowadziła go do rozmyślań nad takim powrotem. Teraz stał i odmawiał kidusz<sup>5</sup>, a w drżącej ręce ścisnął świecę. Chłopiec nagle wybuchł głośnym, dźwięczącym śmiechem. Jego usta, w których

---

<sup>5</sup> Modlitwa z błogosławieństwem wina, szabatu i święta.



były szanse na piękniejszy świat, rozwarły się całkiem. Brązowe, rozumne oczy i spłot włosów rzucony na środek pomarszczonego czoła.

Zaczęto jeść. Kelnerzy, którzy mają nos wyczulony na prawdziwe i pozorne bogactwo, od razu poczuli, że są tu szczeliny i szpary w ścianie dumy i w suficie udawania. Od razu zaczęli zachowywać się beczelnie, z przesadną zbędną uniżonością. Mówili dużo, podkreślając: Tak, proszę pana, bardzo proszę szanownej pani, istotnie, ta ryba jest wyborna, może jeszcze kawałek, absolutnie tak, drogi panie doktorze, oczywiście, zawsze do pańskich usług, i tym podobnie.

Wstał dziadek, zastukał łyżeczką o szklankę i wszyscy zamilkli. Jego guz na czole nabrzmiął, a czarna marynarka przylgnęła do ciała jak flaga do masztu w bezwietrzny dzień. Rozradowana Paulina posłała radosne spojrzenie ku wszystkim szklankom i ku wszystkim oczom, wśród których były oczy jeszcze pełne jak szklanki i oczy już puste. Z wielkiej radości wyszła za mąż i rozwidła się dotąd trzy albo cztery razy.

Wszyscy ci mężowie, teraz mroczni i czarni, zniknęli z jej życia. Według praw balistyki jej losu, radość jej życia winna do niej wrócić. Albo dotrze do miejsca, gdzie jest zapomnienie. Każdy z jej mężów ma wyznaczony osobny kolor w jej wspomnieniach i osobne imię. Sędziwy dziadek tymczasem zaczął przemówienie. O czym mówił? O dobrym chłopcu, który zawsze jest dobrym chłopcem. To temat piękny i bardzo etyczny, ale dziadek nie wiedział jak przemówienie zakończyć. Toczył się po stoku przemówienia, jak samochód z popsutym hamulcem, i mówił o dobrym chłopcu, który zawsze będzie dobry. Jego żona, z arystokratycznym wyrazem twarzy, pociągała go za rękaw. Józef, Józef, skończ już! Ale on nie kończył. Radosna Paulina popatrzyła na chłopca, siedzącego obok dziadka, przemawiającego ponad nim, jak wieża. Chłopiec znów wybuchł wielkim śmiechem. Ojciec go złażał. Okrągłe biodra Pauliny trochę drżały pod obcisłą spódniczką, a jej mały nos błyszczał z wielkiej radości. Dziadek w końcu usiadł, wepchnął swój wątyły głos do wnętrza swego chudego ciała, jak szczyryk, i zaległa cisza. Kelnerzy wykorzystali okoliczność i zaczęli podawać kolejne danie. Pojawili się między nimi jak zwinne psy. Podając danie, niektórym biesiadnikom szeptali coś do ucha. Człowiek w okularach wstał, jednym ruchem dostojnego ramienia zapiął swoją romantyczną, fantazyjną marynarkę i przemówił słowami haftary na dzień jutrzejszy. Z niezwykłą śmiałością próbował dodać wieczorowi powagi. Ale, ponieważ wiedzieli o nim, że razem z religią kocha kobiety i artystów, nie słuchali tego, co mówił. Usiadł, kładąc dłoń na kolanach ciotki Luci, siedzącej obok. Pozwoliła mu położyć rękę. To wdowa, ledwie rok temu zmarł jej mąż. Opowiadali o niej, że była kochanką jednego z bogatych

chrześcijańskich Arabów w Talbije. Opowiadali, że miał on wielkie psy bernardyńskie, którym z nadmiaru sił wiecznie cieknie ślina z pyska. Brama domu była z czarnego kutego żelaza. Przychodziła do jego domu codziennie. Miał zielone sportowe auto. Mąż Luci wiedział o wszystkim i nie sprzeciwiał się. Opowiadali, że jeździła nago na jednym z wielkich psów i tak wchodziła do sypialni. Ten Arab miał także wspaniałe czarne auto z klimatyzatorem, z barkiem w ścianie, a cała tylna część zrobiona była na kształt czerwonego kobierca, na którym siedziała ciocia Luci. Potem pojawił się angielski skrzydlaty dowódca. Ten tytuł nie od aniołów i serafinów, tylko od eskadry samolotów bojowych. Skrzydła były wyszyte na jego marynarce. Miał jasne oczy, jakby patrzyły na życie z wysoka. Tutaj mąż też się nie wtrącał. Lucia ma teraz rude włosy i około czterdziestu, czy pięćdziesięciu lat. Mąż umarł przed rokiem, a Arab siedzi w Paryżu. Swoją piękną dom zostawił jednemu z konsulatów. A konsulaty czym się zajmują? Grzebią w śmieciach, by zobaczyć co je społeczeństwo i gdzie jest jego słaby punkt i gdzie można odsłonić srom ziemi. Na dachach ich domów powiewają obce flagi, a na niższych piętrach zawsze mnie sprawdzają i pytają o różne rzeczy. Skrzydlaty dowódca z pewnością poległ i połamał skrzydła. W czasie wojny padły też silne psy. W sportowym aucie nie ma już sportu, a nocami na placach Talbije obok bram z kutego żelaza słychać pomieszanie języków. I tylko drzewa jeszcze umieją rozróżnić jeden od drugiego i przecinają czas ostrymi konarami. Chłopiec zauważył, że miłośnik sztuk położył dłoń na kolanach cici Luci i zaśmiał się po raz trzeci. Siedziała tam także kobieta z podobną do siebie córką. Obie miały bardzo odsłonięte plecy. Na końcu stołu siedział inny wujek i miłczał. Ale wewnątrz niego rozbrzmiewały przemówienia, które wygłaszał dla samego siebie. To samotny kawaler, nie ma kobiety, która pociągnęłaby go za rękaw, żeby skończył przemówienie. Kobiety nie ma, ale za to ma odłamki żelaza w ciele. Najpierw w górach wydobywa się żelazo. Potem robi się z niego pociski, które wchodzi w ludzkie ciało. Kiedy człowieka się grzebie, ten zamienia się w proch, zostaje po nim tylko żelazo, które powraca do swych gór. W ciele wuja Maksa nie było zbyt dużo żelaza, ale jemu starczyło to co się tam zebrało, i dlatego nie wziął sobie żony. Odtąd myśli w nim żyją, jak to u człowieka samotnego. Zawsze jak łańcuch gór, zawsze samotne.

Na zmianę przemawiali i jedli. Kiedy jedli, nie było widać wyłomów. Gdy przemawiali, w ciszy pojawiały się szczeliny. Wszyscy udawali. Bóg od czasu do czasu stukał mnie w kolano pod stołem, jakby dawał znać, bym zwrócił uwagę na kalectwo, czy jakąś wadę, jakby robił mi aluzję, bym zaczął prorokować. W istocie, widziałem drzwi, które się nie zamykały jak należy i pęknięcia lakieru

na fortepianie. Widziałem też bezczelność kelnerów wyzierającą jak jasna koszula przez przarty rękaw na łokciu. Myślałem, że jeszcze trochę a całe jedzenie wyleją na nas. Biesiada skończyła się i przyszedł fotograf. Lampa błyskowa nie zapaliła się trzy razy. Potem wstali od stołów bez entuzjazmu i przeszli do drugiej sali, do fotografii Trumpeldora i Weizmanna i reszty wielkich ludzi. Cio-cia, ta co niczego nie ubierała, założyła nogę na nogę i kołysała czarnymi buciami. Zaczęły się tańce. Tańczyłem z rozbawioną Pauliną, której głowę okalały małe i miłe loki. Miała mały nos, a na nim okulary, bo była krótkowidzem. Po każdym mężu, z którym się rozstawała, robiła się coraz ładniejsza i coraz radośniejsza. Otworzyły się boczne drzwi i tancerze weszli do szatni kelnerów. Wisiały tam białe fartuchy, marynarki i kołyszące się bez ubrań wieszaki. Paulina powiedziała, że zawsze kiedy jest mężatką, czuje się jak wieszak, na którym wisi ubranie, a teraz, kiedy jest wolna, kołysze się jak pusty wieszak i jest jej dobrze. Chłopiec wygłosił małe przemówienie. Powiedział, że nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego wszyscy są tacy dobrzy. Do oczu napłynęły mu łzy. Przerwał, kiedy zobaczył, co swymi skromnymi słowami nabroił. Człowiek w okularach wygłosił przemówienie o religii i wolnej miłości. Bóg, tak powiedział, jest jak Mount Everest. Tylko nieliczni mogą go zrozumieć. Wszyscy widzimy go z daleka. Ktoś dodał, a ci, którym udaje się wejść na jej szczyt fotografują się, schodzą i piszą wielką książkę. Potem zaczęli odwozić gości do domów. Poza dwoma, którzy zostali w ogrodzie, między krzewami, przy jednym z drzew, a ich szepty ciągnęły się aż do porannego światła. Na świecie rozlegało się stukanie drzwi. Patrzyłem w głąb oczu wuja Maksa i zobaczyłem spoczywające na dnie żelazo. Pożegnałem się z chłopcem, a jego mama uśmiechała się, jak człowiek, który uśmiecha się w głąb telefonicznej słuchawki.

Nazajutrz poszliśmy do synagogi. To był dom modlitwy Żydów niemieckich. Mężczyźni stali tam przed Bogiem prosto, nie kiwając się. Wszystko było tam z jasnego drewna, a między mężczyznami i kobietami nie było podziału. Kiedy człowiek szuka pomiędzy modlącymi się kobietami swej matki, albo kochanki, to ona siedzi obok niego, w babińcu, przylegającym do sali mężczyzn. Nie ma oddzielającej ścianki, nie ma siatki, ani zasłony<sup>6</sup>.

Ta synagoga urządzona jest w piwnicy, dlatego na zewnątrz ustawili mur obronny i napisali na nim „Schron”. Spóźniłem się i usiadłem na końcu. Jakiś starzec dał mi blaszkę z napisem „Szósty”. Zacząłem powtarzać w myślach wszystkie błogosławieństwa przy dostępowaniu i odstępowaniu od czytania

---

<sup>6</sup> Jak w synagogach ortodoksyjnych.

Tory i jedno z drugim zaczęło mi się mylić. Otworzyli szafę ołtarzową. Była od środka oświetlona jak elektryczna lodówka, jej czar błyszczał. Potem zaczęli czytać Torę. Dwóch starców siedziało z obu moich stron i podawali sobie dawno robione fotografie. Ponieważ siedziałem pośrodku, widziałem je wszystkie. Byłem punktem pośrednictwa, jakby rynkiem wymiany towarowej. Czasem dzieje mi się tak z myślami, albo wierszami, które przechodzą przeze mnie, a ja je przekazuję z jednej strony na drugą. Czasami jestem ściskany przez obie strony, czasami, jakbym im przeszkadzał. Tych zdjęć było dużo, wszystkie zrobione w Niemczech. Na jednym był nagrobek z wyrytym po hebrajsku nazwiskiem, a obok trawa i inne kamienie, a w dali góra, w połowie pokryta lasem, w połowie trawą. Na innym zdjęciu siedziało czterech starców i cztery staruszki na ławce obok dużego drzewa kasztanu. A obok starców, dwie katolickie zakonnice, w swoich obszernych habitach. Za nimi dom w rozkwicie swej ruiny. Przez okna wyzierało niebo z białymi falami. Koło mojej ławki postawili koronę Tory. Taką małą dzwonnice z srebra. W synagogach nie ma dzwonnicy, tak jak w kościołach, gdyż poprzestali na małych wieżyczkach dla ksiąg Tory<sup>7</sup>. Podczas podniesienia, z kieszeni tego, co podnosił, wypadł dowód osobisty. Podniosłem go i oddałem mu, kiedy ten siedział, rękoma głaszcząc księgę. Jak już mówiłem, synagoga znajduje się w piwnicy, gdzie tuż pod sufitem są małe okienka. W tych oknach widać nogi od kolan i poniżej i nic więcej. Dobrze, że widzę jedynie nogi przechodzących, a nie ich głowy. Czytany właśnie fragment pochodził z ostatniej księgi Pięcioksięgu, w której Mojżesz nagle przypomniał sobie o wielu rzeczach. I jak to bywa w takich chwilach, drogą asocjacji naszło go wiele wspomnień. Między jednym a drugim fragmentem naprawdę można poczuć jakby bicie się w czoło i okrzyki „Chwilę, zanim zapomnę, zaraz zaraz, co ja chciałem jeszcze powiedzieć, zanim skończyłem?”. I nagle całe mnóstwo praw: Jedni płynnie, inni z trudem, jękając się, wahając i przeskakując z tematu na temat. Nie na próżno było to stukanie się w czoło i ten wysiłek pamięci i okrzyki: Spadł tam grad praw, ciężkich i dziwnych, praw jakie otrzymało pokolenie pustyni: Rodzice kamienują nieposłuszne dziecko. Wojnie i zagładzie, wysiedlaniu narodów i prawom seksualnym, towarzyszą klątwy. Żeby nie spać z żonami ojca. Nie ubierać kobiecych strojów. Straszne prawa dla strasznych ludzi. Na przykład dwóch bijących się wzajem rabinów. Dwóch mężczyzn żywiących się żyjątkami strasznej pustyni. I ta, co przychodzi, by uratować swego męża i chwyta genitalia silniejszego. I ucinają jej rękę. Wszystko to czytał

---

<sup>7</sup> Nakładanych na drzewce zwoju Tory.

miłym głosem ktoś, kto jutro znów będzie urzędnikiem w sądzie, kto nigdy nie podniósł ręki na innego mężczyznę, a jego żona nigdy nie musiała zgniatać genitaliów jego rywala. Jego synowie są dobrze wychowani i mówią dzień dobry, przepraszam i proszę i nie trzeba ich kamienować na śmierć i nie ma potrzeby, żeby przychodzili do synagogi w piwnicy.

Chłopiec ciekawym głosem zaczął śpiewać fragment Biblii. Głos brzmiał niczym łaźnolet, wydobywany ze skrzypiec nie przez silne przyciskanie struny do drewna, tylko przez wiotkie dotknięcie, odrobinę drażniące palec. Taki miał głos. Głos pełny jest mocno przyciśnięty do deski i czasem brzmi twardo, czasem słodko, ale zawsze jest stabilny.

Na ławce obok filaru siedzieli koledzy chłopca i słuchali go. Niektórzy byli jeszcze dziećmi, jak on. Inni już dorośleli. Jak wiele jest sposobów dorastania. Jedni rosną, jakby ich smażyono, wargi, policzki, wszystko puchnie, rozrasta się i wkrótce rozerwie skórę. U innych, ciało nie wie jak się zachować. Nie ma stałej formy, nie ma architekta, który umiałby to zbudować według właściwych proporcji. Są tacy, co nagle się wydłużają. Życie ciągnie ich za głowę, a nogi wciąż trzymają się dzieciństwa. Ciało staje się długie i chude, aż do granic możliwości. A serce wciąż nie jest w stanie dostarczyć krwi do całego wydłużonego ciała. Jak w mieście, które wyrosło nagle, a elektrownia wciąż nie powiększyła sieci słupów i drutów.

Śpiewany przez chłopca fragment Biblii nie był zbyt długi. Śpiew zakończył się wysokim tonem. Na końcu głos uniósł się jak pytanie, które jest odwrotnością pytania retorycznego, na które nie ma odpowiedzi. Nagle przypomniałem sobie, a kiedy zamknęli drzwi szafy ołtarzowej, wiedziałem już dokładnie: W tej samej piwnicy była kiedyś sala gimnastyczna. Nauczycielka, stara panna, dawała tu prywatne lekcje gimnastyki dla kobiet z brzuchem, dziewcząt o ciężkich ruchach, dla słabowitych dziewczynek, żeby zwiększyły władzę nad swym ciałem. Przy ścianach były szwedzkie drabinki, a na podłodze materace i maty do ćwiczeń, do robienia w powietrzu rowerków i stawania na głowie. W naszym kraju zmienia się miejsca. Arabska wioska staje się osadą imigrantów. Warsztat zamienia się w szkołę, a meczet w dom kultury. Ludzie też się zmieniają, tylko twarze zostają takie same. Mieszkam w pięknym domu, a moja dusza mieszka w namiotach lżejszych od namiotów beduinów. Ja, który śpię w łóżku, śpię na zewnątrz, a twarde kamienie udają miękki materac. W tej piwnicy kiedyś mieszkała także Sara.

Szafa ołtarzowa zamknęła się i zamknęły także moje wspomnienia. Znów zasłonili kotarę, na której wyhaftowano razem z datą, czyjąś ofiarność ku pamięci jego żony, która zginęła podczas zamachu na ulicy Ben Jehudy. Wszę-

dzie są wyhaftowane daty? Jakie jest pochodzenie słowa data – *ta'arich*? *Aroch* – długi. Co jest długie? Czas. Linie czasu są jak linie na termometrze. Choroba czasu jest straszna.

Potem przemawiał karłowaty rabin, przedłużając przemowę do chłopca. Cała sala siedziała, a on sam stał przed chłopcem, opierając łokcie o stół i mówiąc do niego o sprawach religii i etyki. Widziałem moją żonę, siedzącą w bałińcu i udającą, że słucha, a ja wiedziałem, że ona słucha tego, co ja mówiłem w swoim wnętrzu, a nie słów gładko wygolonego rabina.

Ów doktor, pan Rabiner, to człowiek dobry i szczerzy. Mieszka w suterenie innego domu i żeby go mógł znaleźć każdy, kto potrzebuje duchowego wsparcia, czy to na zaręczyny, czy na pogrzeb, umocował dużą marmurową tablicę z nazwiskiem na ścianie domu. Co zrobiły osiedlowe łobuzy? Pewnego dnia przyczepili do tablicy pęk kwiatów, jak na nagrobku.

Po południu przyszły wszystkie dzieci z klasy chłopca i urządziły przyjęcie na płaskim dachu budynku. Bawiły się w pytania, krzyczały, śpiewały. Grały też w butelkę: Wszyscy siedzą w kręgu. Ktoś w środku kręci butelką i zadaje pytanie. Na przykład: Kto się pierwszy ożeni lub wyjdzie za mąż? Butelka się kręci, aż przestaje, a szyjka wskazuje na kogoś w kręgu. Całe życie urządzone jest według zasad zabawy. Ten, kto nie wie, daje zastaw. Czasami dają zegarek albo chusteczkę. Czasami dają serce, albo rękę, albo nogę, albo całe życie. Wieczorem przyszli wyświetlić film. Przyszli i powiedzieli mi, że Sara już nie wróci. Zapytałem, co to znaczy. Przecież Sara napisała mi, że przyjdzie. Jej młodsza siostra powiedziała mi, że nie wróci. Złamała sobie kręgosłup i została tam. A jeśli wyzdrowieje, to wróci do siebie, daleko. Młodsza siostra Sary znów zmieszła się z dziećmi, a film wyświetlany z czarnego urządzenia na białym płótnie, przeniósł się na dach. Na filmie byli żywi ludzie, którzy na płótnie skakali, chodzili i rozmawiali.

Nagle zostałem sam. Samotny jak telefon na cienkim słupku, stojący na pustym placu. Tak się czułem w tamtej chwili, kiedy dowiedziałem się, że Sara nie wróci. Nazajutrz wszystko się skończyło, tak jak się zaczęło. Zakończyło się przesuwaniem mebli. Tym razem meble przesuwano na ich stałe miejsca, a prezenty pochłonięła codzienność. I wiedziałem, że Sara nie powróci.



Kuba Atys







nigdy nie zabrała

wedrowała  
z miast do miast  
wiedziała nie do przesady  
i bez końca pisała  
~~handwritten~~  
w pocieszeniu  
na w kołysaniu  
pochopie się  
na spotkanie  
pod świątynią koperni  
w towarzystwie  
w miasteczku wzięła

- ciele w karku  
w karku białym  
handel na emigracji  
to są nie tylko białe  
nosy

nigdy nie zabrała  
chrześcijaństwa z przyczyn

3

pięć lat w domu  
nad Karpacem Stronbergem

tu opisano obradnie  
ortodoksyjne, kocha Bawarii

opracowała teksty  
Teledy

3 białe sześcioramiennie  
Jaki o karku obłąka  
widać też wstrząsanie  
na dnie, otulone matką  
cał stary, fa belin  
"Polowanie na Jedwico"

osobno ss  
wielki białej  
o ~~osobno~~ białej  
o karku, mian  
wielki stary obłąk  
i Polowanie na Jedw

leżano wola ni  
miedzy miast  
a ~~z~~ modnym melidem

na horyzontu Alpy  
północnie partyjne Włochy  
(za którym nie przepada)

na horyzontu Alpy  
północnie horyzontu Włochy

umyślała to nieśmiało  
i pisała  
jak śmiech bąbel

za karku - białej w karku  
nie przepada

nożem z ołtarza  
dywanik cicha

Zdaje się, tutaj, nieśmiało  
i w ten sposób  
całkiem  
brunatna  
i nie

albo przelży  
wtedy z ciele  
i w ten sposób  
białej mi oszły  
północnie białej  
północnie białej

masz to w głowie  
- jak widać Michael  
leżąc, pomyślała  
miałaby być  
ale trzeba było przynajmniej  
zrobić, że to nie jest  
nie (obrot ciele)  
Spójrzcie sobie w oczy

ZBIGNIEW HERBERT

## Do Michaela Krügera

1

W końcu was polubiłem moi śmiertelni wrogowie  
dziedziczni jak choroba nędza zły kręgosłup  
droga od okopów do piwiarni była długa

więc polubiłem ciebie Michaelu  
i was Hubercie Güntherze Horście Mikołaju i Wernerze Janie – lista długa  
Barbaro – Sybillo – Renato – Eleonoro –

nie ma w tym żadnych sentymentów  
gry podstępny uwodzenia  
jest tylko wielkie zdziwienie

nie zapomniałem niczego  
nie mam władzy wybaczenia  
nie chcę się łatwo rozgrzeszać

ci którzy zostali zabici  
są na zawsze zabici

dom obrócony w ruinę  
smak popiołu i zemsty

a jednak schodziliśmy się  
nad kuflem piwa  
w zielonych ogródkach z białymi krzesłami  
kiedy lipy ronią  
słodkie lepkie nasiona

i mówiliśmy o banalności zła

obrotach losów  
dziwactwach fortuny

i to było wielkie zdziwienie  
bezlitosna radość

2

niebo wody pagórki  
takie same

matki pchają przed sobą wózki  
starcy schodzą pod ziemię

nieliczne młodzieniaszki  
wciąż studiują przemoc

wasi mężczyźni  
zdumiewająco pracowici  
czyści  
zasypiają teraz  
dokładnie  
głęboko  
i bez koszmarów

dwa pokolenia  
i wszystko jest inne

aktorzy  
dekoracje  
dramat

niczego nie zrobiłem

– obce mi były  
czkawka pojednania

handel na cmentarzu  
toczone jak bilardowe kule  
narady

wędrowałem  
z miasta do miasta

uśmiechałem się do dziewcząt  
i bez końca gadałem  
w pociągu  
nocą  
na korytarzach  
w pokojach gościnnych  
na statku  
pod skałą Lorelei  
w foyer opery  
w miejscach urzędowych [?]

niczego nie zrobiłem  
chciałem po prostu zrozumieć

3

piszę to w domu  
nad jeziorem Starnberger

tu utopiono okrutnie  
ostatniego króla Bawarii

opłakują go teraz  
łąbędzie

z trzech sklepionych  
jak w kaplicy okien  
widać las listopadowy  
wiotkie gałęzie

gęsto zbite szpilki  
o kolorze miedzi  
jakby stary gobelin  
*Polowanie na Jednorożca*

jezioro waha się  
między mgłą  
a modrym metalem

na horyzoncie Alpy  
postrzępiona partytura Wagnera  
za którym – Bóg mi świadkiem –  
nie przepadam

wszystko to nierealne  
i piękne  
jak śmiech bogów

modrzewie za oknem  
dzwonią cicho

zdarzają się tutaj nagłe burze  
i wtedy wszystko jest  
ciężkie  
brunatne  
i sine

albo przychodzi  
wiatr z gór  
i wtedy wszystko jest nadrealne  
boleśnie oczywiste  
pokryte błyszczącym szkliwem

może to wszystko co stało się między nami  
– jak sądzisz Michaelu –  
jest po prostu  
meteorologią uczuć

ale trzeba było pewnej odwagi  
żeby zdobyć się na gest  
półobrót ciała  
spojrzenie sobie w oczy

---

Z rękopisu odczytał i zrekonstruować próbował Ryszard Krynicki  
© Copyright by Katarzyna Herbert i Halina Herbert-Zebrowska

## Nota

Dwa bruliony wiersza *Do Michaela Krügera* (na czterech jednostronnie zapisanych kartkach formatu A4) znajdują się w tece opisanej: *Epilog burzy*. T. 4 (akc. 17 849 t. 4. Rękopisy te roboczo nazywam Brulionem I (k. 69–68) oraz Brulionem II (k. 66–67).

Brulion I, zawierający pierwotną wersję utworu, zatytułowaną: *Dla Michaela Krügera*, u dołu drugiej karty opatrzony jest datą: *Noc 14/15 XI [19]91*. Przypuszczalnie także Brulion II, zawierający drugą (i ostatnią) wersję, zatytułowaną: *Do Michaela Krügera*, powstał w tym samym czasie.

Jednakże po raz pierwszy tytuł ten – oraz wariantowy zapis początkowej linijki (rozbity tu na dwa wersy): „w gruncie rzeczy polubiłem was / moi śmiertelni wrogowie” – pojawiają się już w Notatniku 150 (k. 29 *verso*) zawierającym bruliony wierszy i notatki z końca roku 1990 oraz stycznia – lipca roku 1991. W notatniku tym znajdują się one pomiędzy wierszami *Mitteleuropa* (niedatowanym) i *Wstyd*, który tu został zadedykowany: *Leopoldowi Tyrmandowi* oraz opatrzony datą: 22 VI [1991]. Po nich następują aż trzy wiersze napisane tego samego dnia, 26 lipca 1991 roku: *Do Piotra Vujičića*, *Obłoki nad Ferrarą* oraz *Nad Zatoką* (pierwszy tytuł wiersza *Do Czesława Miłosza*). Wszystkie te utwory włączone zostały do tomu *Rovigo* (1992). Do tego samego tomu Zbigniew Herbert początkowo zamierzał włączyć wiersz, zatytułowany najpierw: *Do Horsta Bienka*, który napisał prawdopodobnie w grudniu 1990 roku, po śmierci autora *Gliwickiego dzieciństwa*. Pierwszy brulion tego utworu znajduje się także w Notatniku 150 (na kartach 10 *verso*–11 *recto*), natomiast dwa późniejsze (zatytułowane: *Pawana żałobna w postaci upomnienia* i *Tren w postaci napomnienia / In memoriam Horst Bienek*), mieszczą się w tej samej tece, co wiersz *Do Michaela Krügera*. Skoro jednak tytuł tego wiersza w Notatniku 150 sąsiaduje z wierszami włączonymi do tomu *Rovigo*, można się zastanawiać, czy nie jest on raczej utworem z kręgu tego tomu – niż późniejszego o sześć lat *Epilogu burzy*?

**Michael Krüger** – poeta i prozaik niemiecki, tłumacz poezji, wydawca i edytor. Urodził się 9 grudnia 1945 roku w Wittgendorf, lata szkolne i wczesną młodość spędził w Berlinie. Po maturze uczył się zawodu księgarza, jednocześnie jako wolny słuchacz studiował filozofię u Petera Szondiego na Freie Universität Berlin. W latach 1962–1965 pracował jako księgarz w Londynie.

Od 1968 roku związany z wydawnictwem Carl Hanser Verlag w Monachium, początkowo jako redaktor, później jako redaktor naczelny i dyrektor.

W 1973 roku (wraz z kilkoma innymi pisarzami) współzałożył też w Monachium znaną księgarnię Autorenbuchhandlung.

Od 1981 roku redaktor naczelny miesięcznika literackiego „Akzente”, które wcześniej współredagował z Hansem Benderem.

Redaktor wydawanej przez wydawnictwo Hanser serii *Akzente* oraz współredaktor serii *Lyrisk Kabinet*.

Od lipca 2013 roku prezydent Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Jako poeta debiutował w roku 1976 tomem *Reginapoly*. Od tego czasu wydał około dwudziestu książek poetyckich, ostatnio tom *Umstellung der Zeit* (2013). Niektóre z nich ukazały się jako wydawnictwa bibliofilskie, z rysunkami autora. Opublikował również kilka utworów prozą. Tłumaczył m.in. wiersze Cesarego Pavese (w tomie *Sämtliche Gedichte*, 1988) oraz Williama Carlosa Williamsa (*Liebesgedichte*, 2008).

W Polsce ukazała się jego powieść *Wiolonczelistka* (2005) i wybór wierszy *Pejzaż z drzewem* (2013).

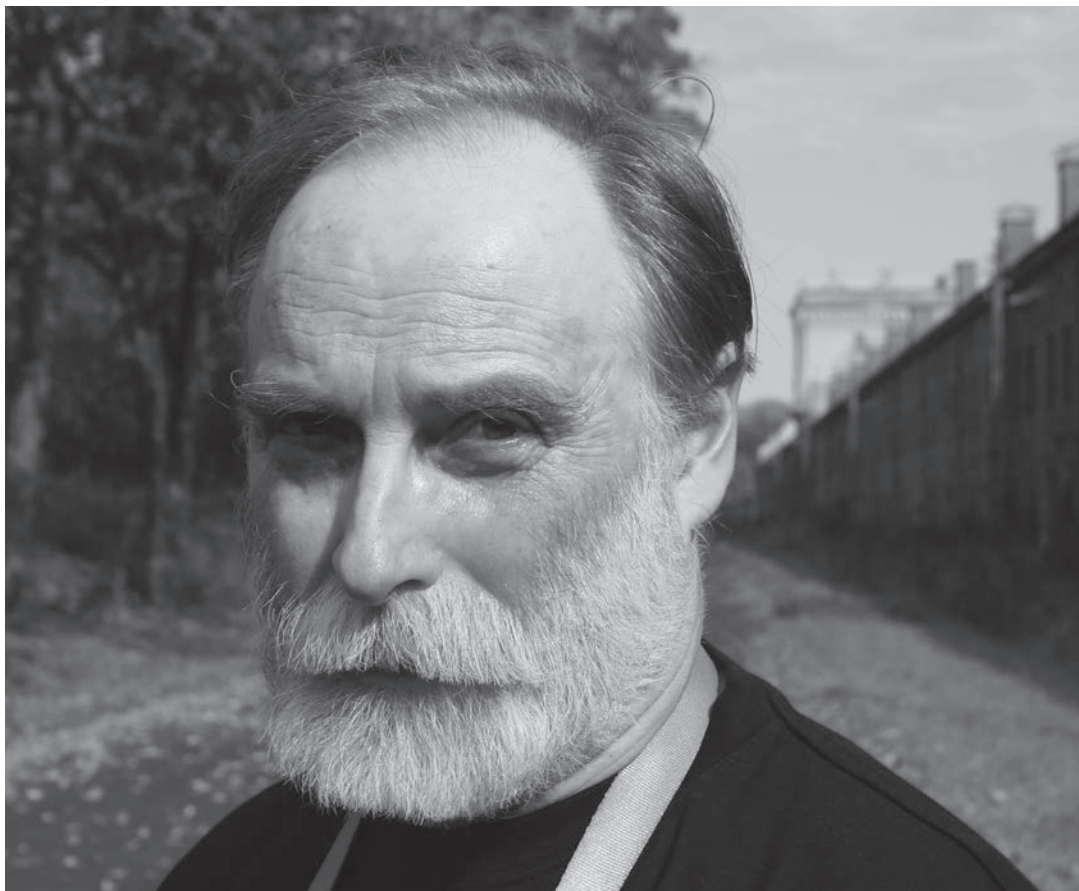
Zaprzyjaźniony ze Zbigniewem Herbertem od połowy lat sześćdziesiątych XX wieku. Opracował i opatrzył przedmową tematyczny wybór jego poezji i prozy *Das Land, nach dem ich mich sehne* (*Kraj, do którego tęsknię*), który ukazał się w prestiżowej serii wydawnictwa Suhrkamp *Polnische Bibliothek* w 1987 roku. Poświęcił mu również wiersz *An Zbigniew Herbert* (*Do Zbigniewa Herberta*) w tomie *Nachts, unter Bäumen* (1996). W zredagowanej przez Andrzeja Franaszka książce *Poeci czytają Herberta* (2009) pisze o wierszu *Kamyk*.

**Jezioro Starnberger** (Starnberger See, do 1962 roku: Würmsee) – wielkie jezioro polodowcowe w Górnej Bawarii, 25 km na południowy wschód od Monachium. Król Bawarii, o którym mowa w wierszu, to Ludwik II, którego pozbawiono tronu i więziono w pobliskim zamku Berg. 13 czerwca 1866 roku ciało króla (oraz jego psychiatry, Bernharda von Gudden) znaleziono w wodach jeziora 13 czerwca 1866 roku.

Zbigniew Herbert jesienią 1991 roku przez dłuższy czas przebywał w Monachium; powstały tu m.in. niektóre utwory z kręgu *Króla mrówek*.

R.K.

Marcin R. Chwini





STEFAN CHWIN

## Antena satelitarna

(fragment powieści)

W kapturze nasuniętym na oczy, w szaliku okręconym wokół szyi, z pięściami wciśniętymi w kieszenie czarnych dżinsów szedł przed siebie ulicami śródmieścia jak pies, który zgubił trop. O kancelarii na Nowogrodzkiej nawet nie myślał. Czekwały go tam puste pokoje z opuszczonymi żaluzjami, do których co środę zaglądała jakaś dziewczyna z Woli, Powiśla czy Marymontu, sprzątaczką, ściągnięta przez panią Mirkowską, by raz w tygodniu wilgotną szmatką ścierać biały kurz z mahoniowych, do niczego już niepotrzebnych mebli adwokackiego gabinetu. A gdy tak mijał domy, drzewa, latarnie, przystanki autobusowe i sklepy, gdy tak szedł przed siebie, obojętny, dokąd idzie, powtarzał sobie to samo nieдорзeczne pytanie, od którego nie mógł się uwolnić. Gdzie jest ten splot, ten węzeł, ten rdzeń, to ognisko promieni, ten środek pajęczyny, to centrum roju, to wrażliwe podbrzusze świata, w które należałoby uderzyć, by świat zwinął się z bólu i zmieniło się wszystko. Gdzie jest to kłębowisko kabli, ten matecznik sieci, z którego rozbiegają na wszystkie strony Ziemi światłowody, piksele, bankowe zbrodnie, elektroniczne rozkazy, to miejsce narodzin pieniędzy i śmierci, to źródło prawdy i kłamstwa, te usta świata, ten środek ciemnej mocy ukrytej pod skórą miasta, to gniazdo światła niewidzialnego dla źrenicy, ten podskórny ropień, który należało rozciąć jednym cięciem, wymierzyć sprawiedliwość, wyrzucić zemstę, zmusić do nieistnienia...

Było wczesne przedpołudnie. Słońce powoli wznosiło się nad Warszawą. Szklane graniastosłupy wieżowców, wbite w ziemię koło Pałacu Kultury, czerwonymi neonami Marriot, Sharp, Windows, Apple z daleka pozdrowiały ludzi kroczących do kościołów na Woli, Ursynowie, Mokotowie i Żoliborzu. W pofałdowanym szkle Złotych Tarasów odbijało się niebo bez chmurki. Rzeźwy chłód ciągnął od wiklinowisk Powiśla i Żerania, a nad skrzyżowaniem Marszałkowskiej z Alejami jak co dzień wznosiła się kolumna złotego pyłu, wzbijana przez przejeżdżające autobusy i tramwaje.

Koło dwunastej, sam nie wiedząc jak, znalazł się w Alejach Ujazdowskich, parę kroków od placu Na Rozdrożu. Potem w całej Warszawie zaczęły bić dzwony, msza skończyła się i spod kopuły kościoła św. Aleksandra na plac Trzech Krzyży wylał się tłum wiernych. Nad głowami zaszumiały białoczerwone flagi, wzniosły się rozpięte na drążkach transparenty, zakołysały tablice z napisami. Przez Rozdroże, przez Aleje, wzdłuż Parku Łazienkowskiego, środkiem asfaltowej jezdni, popłynęła rzeka ludzi, na południe, w stronę Rady Ministrów i ambasady Rosji, której kamienne gmaszysko, oddzielone od świata żelaznymi prętami wysokiego ogrodzenia, tonęło w zieleni jak pancernik „Aurora” przyczajony w zatoce mgieł.

Szedł w letnim słońcu w stronę Belwederu pod gałęziami drzew. – Boże – powtarzał, stawiając nogi na ciepłym asfalcie – zbaw mnie ze Świętokrzyskiej, ze środka miasta, z potoku kamieni... Miał wokół siebie matki pchające składane wózki z dziećmi, emerytów w kurtkach z jasnego płótna, studentów w białych czapkach uniwersyteckich korporacji, a spod drzew, które mijał, co parę chwil młodzi, ubrani na czarno mężczyźni z zaciśniętą pięścią wyrzuconą do góry krzyczeli: „Tu jest Pol-ska! Tu jest Pol-ska!”. Chłodny wiatr powiał znad Wisły, po twarzach przepłynęły ruchome cienie liści, furkotanie płótna, mokry asfalt, szum kroków, migotanie słońca w gałęziach, czerwień, biel, czerń. Gdzie nie spojrział, nad rzeką tysiący głów, sunącą Alejami w stronę Belwederu, kołysały się transparenty, chorągwie, proporczyki, wstęgi, papierowe kwiaty, kapełuszki, tablice z tekury: „Rząd zdrady narodowej”, „Targowica”, „Zdrajcy pod sąd”.

Gdy ludzka rzeka podpłynęła pod Radę Ministrów, ktoś krzyknął „Zło-dzieje! Zło-dzieje! Zło-dzieje!”, a tłumy podchwyciły ten okrzyk, który wzbił się pod chmury jak stado drapieżnych ptaków. Powietrze zadrżało od tysięcy głosów. Starsze panie z torebkami przewieszonymi przez ramię, z białoczerwoną kordką wpiętą w klapę płaszczka, z uśmiechem potrząsały goździkami i pękami gerberów. Dzieci w składanych wózkach machały biało-czerwonymi chorągiewkami z papieru.

Było spokojnie, pogodnie, podniosłe, ożywiło się dopiero, gdy mężczyźni w wysokich sznurowanych butach, w czarnych kapturach, z szalikami klubów sportowych okręconych wokół twarzy, zapalili świece dymne i z niskiego przykłęku, jak greccy dyskobole, z szerokim rozmachem ramion zaczęli rzucać płonącymi ładunkami w stronę gmachu Rady Ministrów. Ponad żelazną barierką, obstawioną przez policjantów w hełmach ze szklaną przyłbicą, przelatywały ogniste kule, eksplodując kłębamii ognia na asfaltowej jezdni. Chmura brudnoczerwonego dymu wzniosła się nad tłumem i przesłoniła szarą fasadę siedziby rządu.

Stanął na palcach. Jak okiem sięgnąć, całe Aleje Ujazdowskie, od placu Na Rozdrożu do Rady Ministrów, wypełniała falująca rzeka biało-czerwonych chórów, transparentów, tekturowych tablic z napisami. Dwa kroki przed nim ktoś wymachiwał gazetą, przekonując kogoś, że brzoza nie mogła ściąć skrzydła samolotu, bo przed uderzeniem o ziemię słychać było wyraźnie dwa wybuchy, więc musiała to być bomba próżniowa, gdyż podczas lądowania nie widziano żadnego rozbłysku...

Strasliwa monotonia życia społecznego uderzyła go męczącą falą nudy. Więc tak wyglądało serce roju, którego wypatrywał wszędzie, płacząc się od rana po ulicach? Co miał wspólnego z tymi ludźmi? Używali tych samych czasowników, rzeczowników, przymiotników, zaimków i spójników, ale poza tym? Ktoś za jego plecami krzyknął donośnie: „Ka-tyń pom-ści-my! Ka-tyń pom-ści-my!” i wzbierająca fala głosów, przeszła nad tłumem jak fala tsunami, wzburzając korony drzew. Echo patriotycznego wrzasku odbiło się od ścian domów i uniosło nad miastem, płosząc gołębie z Łazienkowskiego parku. Mężczyźni w czarnych kurtkach z kapturami nie przestawali rzucać petardami w stronę kordonu policjantów w hełmach z przeźroczystymi przyłbicami, którzy osłaniając głowy, pochyleni, brali uderzenia pękających ładunków na uniesione plastikowe tarcze.

Chciał się wycofać z tego rojowiska, wyjść na otwartą przestrzeń, ale tłum wziął go w kleszcze i nie puszczał. Był częścią żywej rzeki, która płynęła przez Warszawę w stronę rosyjskiej ambasady, ciasno wypełniając jezdnię między Parkiem Łazienkowskim, a resztą miasta. Jak się stąd wydostać na plac Unii? Jakiś mężczyzna przebrany za Piłsudskiego wdrapał się na kosz do śmieci i potrząsając owiniętą w sreberko buławą marszałkowską, wołał coś podniesionym głosem do falującego, rozgrzanego powietrza. Nad głowami przepływały echa wybuchów, smugi buroczerwonego dymu, podmuchy żółtego pyłu, wirujące strzępki papieru, kłęby suchych liści, potem pod niebo wzniosła się święta pieśń, którą tłum, sunący w stronę Belwederskiej, starał się przekonać Boga, gwiazdozbiór Aldebarana, cały Układ Słoneczny i sąsiednie galaktyki, że Polska pomimo wszystko jednak istnieje, skoro my – śpiewający – jeszcze żyjemy.

– Jak zobaczysz tłum, szybko wracaj do domu – przypomniały mu się mądre słowa dawnego, zapomnianego poety, ale było już za późno. Tkwił w środku ławicy, która z powolną siłą tysięcy napierających ciał niosła go w stronę Belwederu i gmachu rosyjskiej ambasady. Serce miasta pulsowało miarowo szurgotem tysięcy kroków.

Nagle uświadomił sobie, że przecież wszyscy ci ludzie, których miał teraz wokół siebie, wszyscy ci ludzie, którzy razem z nim parli Alejami w stronę Bel-

wederu i ambasady Rosji, parę dni temu z łakomą ciekawością przy śniadaniu, obiedzie i kolacji chłonęli telewizyjne obrazki żalosego adwokata-zboczeńca z białym proszkiem w nosie, szydząc z niego, drwiąc i prześcigając się w obrzucaniu go wyzwiskami. – A gdybym tak – pomyślał – zatrzymał się teraz pośrodku asfaltowej jezdni, gdybym tak teraz stanął w poprzek tego prącego na Belweder, świętego, wezbranego patriotycznymi uczuciami tłumu, zerwał z głowy kaptur kurtki, odwinął szalik z twarzy i szeroko rozkrzyżowując ramiona niczym sławny poseł sejmu grodzieńskiego, Tadeusz Reytan, całą siłą swojego głosu wykrzyczał prosto w ich natchnione twarze: „To ja! Widzicie? To ja jestem ten przeklęty adwokat, którego widzieliście w telewizyjnych wiadomościach! Poznacie mnie? To ja jestem we własnej osobie!”. Ciekawe, co by ten tłum z nim...

Przez moment, podniecony tą sceną, miał nawet ochotę zrobić coś takiego, ale na szczęście rozsądek go nie opuścił. Gdy tłumy wlały się w ulicę przed ambasadą rosyjską, fala tysięcy głosów zaczęła pulsować twardym skandowaniem, jakby ktoś żelaznymi pazurami dał powietrze: „Ka-tyń pom-ści-my! Ka-tyń pom-ści-my!” – i te dwie święte sylaby, przewalające się nad morzem głów jak echo potężnej, czerwcowej burzy, uderzyły falami rozedrganego powietrza w szyby okien szarego gmachu, którego kamienna fasada milczała jak zaklęta. Stał w kleszczach tłumu, ściskany ze wszystkich stron napierającymi ciałami, które całą siłą pchały go w stronę żelaznej bramy, jakby samym swoim nappem chciały przekrzywić oś ziemi. Grunt pod nogami drżał. Wiatr znad Wisły przeszedł po koronach drzew. Chorągwie zafurkotały na uniesionych drążkach. Rozpierał się łokciami, naciskał piersią na czyjeś plecy, odpychał ramieniem od siebie czyjeś ramię, by wywalczyć choćby trochę wolnej przestrzeni dla swobodniejszego oddechu, ale żelazne imadło tłumu nie chciało puścić. Ludzie wokół niego krzyczeli, ktoś wspiął się na żelazne ogrodzenie ambasady, ktoś przemawiał, wskazując wyciągniętym palcem niebo, ktoś inny coś przysięgał, z otwartych, rybich ust wylały niesłyszalne słowa.

Ludzkie głosy, wypełniające ulicę od placu Na Rozdrożu do Belwederu, były podobne do zdartej płyty, monotonnie przeskakującej pod igłą adapteru. – Chryste Panie... – westchnął – czy gdziekolwiek na Ziemi można spotkać choćby jedno ludzkie stado, które byłoby w stanie wykrzykiwać więcej niż dwa słowa? „Ka-tyń! Ka-tyń! Tu-jest-Polska!” – tysiące ust powtarzały setki razy to samo święte zaklęcie, ale jak długo można powtarzać w kółko parę tych samych sylab, nawet jeśli są to sylaby najświętsze?

Potem impet okrzyków zaczął przygasać. Przyczajone wśród drzew, ciemne gmaszysko ambasady, milczało jak zaklęte, choć fale tłumu wciąż uderzały

w żelazną bramę, aż jęczały zawiasy. Jeszcze co jakiś czas w różnych miejscach ostatkiem sił wybuchały patriotyczne okrzyki, jeszcze ktoś wyciągał w górę zaciśniętą pięść, jeszcze ktoś groził i przeklinał, jeszcze ktoś zaczynał śpiewać jakąś religijno-patriotyczną pieśń, ale kto miał się już wykrzyczeć, to się wykrzyczał i nie bardzo było wiadomo, co robić dalej.

Sytuację uratował wysoki mężczyzna w czarnej bejsbolówce z białą-czerwoną opaską na rękawie, który szedł przed Piotrem. „Polacy! Zawracamy! Do śródmieścia! Do śródmieścia! Niech zdrajcy narodu zobaczą, gdzie jest prawdziwa Polska!” – wyciągniętą ręką w skórzanej rękawiczce wskazał kierunek, omal nie zaczepiając łokciem o kaptur Piotra. „Tu jest Polska!” – odpowiedziały mu setki młodych i starszych głosów.

Było to prawdziwe wybawienie. Ludzka rzeka zawróciła spod gmachu ambasady w stronę placu Na Rozdrożu, kołysząc sztandarami i transparentami. Młodzi i starzy ludzie, pogodni, rozluźnieni, szli w mocnym, spokojnym przekonaniu, że zrobili kawał dobrej roboty, a wrogiej ambasadzie dali mocno do myślenia. Niech się Rosja zastanowi nad sobą.

Odetchnął z ulgą, poczuł swobodniejszą przestrzeń wokół siebie, nabrał wreszcie powietrza w ściśnięte płuca, wstrząsnął ramionami, otrzepał spodnie z kurzu i poszedł razem ze wszystkimi. Chciał dojść do Rozdroża, potem schodami w dół, do miejsca, gdzie zaparkował toyotę. Policjanci z hełmami na pasku, zawieszonymi na łokciu, szli po obu stronach pochodu.

Ale na Rozdrożu przestało być spokojnie. Wzdłuż krawężników pojawiły się grupki młodych ludzi w kominiarkach, którzy wygrażając zaciśniętą pięścią w stronę spokojnie idących pań z kółka różańcowego, gwizdali na palcach, coś śpiewali, a nawet przewracali blaszane kosze do śmieci. Postanowił nie opuszczać tłumu, w którego życiodajnym mięszu czuł się dużo bezpieczniejszy, niż gdyby oderwał się od żywej masy kroczącej w stronę placu Konstytucji i znalazł się na otwartej przestrzeni. Ciało kobiet z kółka różańcowego odgradziły go od niespokojnych młodzieńców, którzy co jakiś czas rzucali kamieniami w tłum, wykrzykując dobitnie: „Fa-szyzm nie przejdzie! Fa-szyzm nie przejdzie!”, na co krótko ostrzyżeni mężczyźni w czarnych kurtkach ze znakiem Rodła na rękawie odrzucali w ich stronę krótkim, żołnierskim wrzaskiem: „Śmierć le-wa-kom! Śmierć le-wa-kom!”.

Gdy pierwszy kamień poleciał w stronę tłumu, Piotr przeraził się. Jakiś mężczyzna w kurtce ze srebrnym nadrukiem California Rex dostał w szyję, ktoś w kapeluszu zasłaniał głowę rękami, ludzie zaczęli biec w stronę placu Konstytucji, potykając się na wyrwach w jezdni, zawartość czyjejś torebki rozsypała się

pod nogami, po asfalcie potoczyły się monety. Jacyś młodzi mężczyźni z zawiętymi rękawami, którzy wybiegali zza drzew, tłukli pięściami grupkę barczystych blondynów z grup rekonstrukcyjnych, ubranych w biało-żółte mundury grenadierów Księstwa Warszawskiego. Policja założyła hełmy z przyłbicami i zaczęła rozpędzać atakujących, ale nie było to łatwe, bo osobnicy w kominarkach to skupiali się, to rozpraszali jak chmura kąśliwych owadów, gdy w ich stronę leciały świece dymne i pojemniki z gazem łzawiącym.

Brnął w środek miasta przez kłęby siwego dymu, snujące się nad jezdnią. Krztusił się i kaszłał jak inni. Dobrze chociaż, że miał twarz okręconą szalikiem. Parł do przodu, wymijając kolejne rzędy ludzi. Byle dalej stąd! Po parunastu krokach wyprzedził grupę działaczy związkowych w pomarańczowych kurtkach z czerwonym nadrukiem, potem delegację pielęgniarek w białych czepkach z czarnym paskiem, potem zwartą grupę młodzieży akademickiej z wyszywającym sztandarem studenckiej korporacji, potem górników w galowych, czarnych czapkach z białym pióropuszem – i nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się w pierwszym rzędzie pochodu. Do diabła! Chciał cofnąć się w żywy miąższ tłumu, którego ciepły oddech czuł za plecami, zniknąć w gęstwinie rąk, głów i nóg, odwrócił się, ale było już za późno. Szedł w grupie polityków z partii opozycyjnej na czele pochodu jak Cezary Baryka na czele warszawskiego ludu idącego na Belweder.

Tłum, w obawie przed kamieniami, które leciały od strony grupek krzyczących „Faszyzm nie przejdzie!”, napierał z tyłu jak fala powodzi niosąca krę na stare przęsła mostu Poniatowskiego. Poczul za plecami spłoszoną, wzbierającą moc, która pchała pierwsze rzędy pochodu w stronę placu Konstytucji. Zasłonił głowę kapturem, poprawił szalik na twarzy, gdy pod ścianami domów zjawili się fotoreporterzy z polskich i zagranicznych gazet i z przykłęku, jak snajperzy z Sarajewa, długimi obiektywami zaczęli wypatrywać ciekawych ujęć twarzy zalanych krwią. Z okien kamienic na wyższych piętrach wyglądali ludzie, którzy odeszli od obiadu z parującą łyżką zupy w palcach.

Tłum tymczasem skandował za jego plecami: „Pol-ska nie-po-dległa! Pol-ska nie-pod-legła!”, a furkotanie sztandarów szarpało powietrzem jak trzepot wielkich skrzydeł Orła. Chciał się cofnąć, schronić za barczystego polityka z opozycji, obok którego szedł, ale wzięto go pod ręce z obu stron, mocno, po bratersku, tak że nie mógł się ruszyć. Musiał nawet dostosować kroki do kroków swoich towarzyszy. „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!” – huczał za plecami tłum, napierający od strony Rozdroża, a echo narodowego hymnu dudniło w wąwozie szarych kamienic.

Gdy jednak doszli do placu Konstytucji, drogę zagroziła im ściana przezroczyстых tarcz. Chcieli zatrzymać się, ale rzeka ludzi parła od strony Rozdroża z wielką siłą, tak że pchnięci w plecy popłynęli asfaltową jezdnią prosto na kordon policjantów blokujący jezdnię. Jakiś gruby oficer, z brzuchem wylewającym się zza pasa, spod radiowozu migającego niebieskimi światłami nawoływał przez uniesioną trąbę radiofonu: „Proszę się rozejść! Zgodnie z decyzją prezydenta... stołecznego miasta Warszawy... demonstracja... jest rozwiązana!...”, ale jego słowa, gdaczące zniekształconym pogłosem w wąwozie ulicy, zagłuszyła fala okrzyków: „Pol-ska nie-po-dległa!”, do których dołączyły okrzyki mężczyzn w czarnych kurtkach: „Pol-ska bez zbo-czeńców! Pol-ska bez zbo-czeńców!”, wykrzykiwane w stronę ludzi, którzy zgromadzili się na placu Konstytucji po drugiej stronie policyjnego kordonu.

Piotr stanął na palcach. Za głowami policjantów, których miał przed sobą, ujrzał tysiące młodych ludzi siedzących na płytach placu Konstytucji. Przed pierwszym rzędem rozpościerał się długi napis „Faszyzm nie przejdzie!”, wymalowany białymi literami na czarnej folii.

Ale nie było mu dane kontemplować zbyt długo tego widoku. Siła tłumu, wzbierająca za jego plecami, rzuciła go na najbliższą tarczę. Oberwał pałką w ramię od policjanta w hełmie z przyłbicą, zasłonił głowę uniesionym łokciem, chciał się cofnąć, ale gdzie? Z lewym policzkiem przyciśniętym do tarczy, półkłęczęc, skulony starał się chwycić oddech piersiami zgniecionymi do bólu. A nad głową przelatowały kamienie, kawałki cegły i kostki wyrwane z bruku. „Pe-dały! Won z Polski!” – krzyczeli osobnicy w czarnych kurtkach, rzucając, czym się da, ponad głowami policjantów w tłum dziewczyn i chłopaków, siedzących na płytach placu po drugiej stronie kordonu, którzy odpowiadali okrzykami: „Po-lska ko-lo-ro-wa! Pol-ska ko-lo-ro-wa!”.

Tkwiał teraz między zimną ścianą policyjnych tarcz a gorącą ścianą Polski Niepodległej, napierającą na jego zgięte plecy. Wszystkie kości trzeszczały. Jeszcze chwila, a zostanie rozgnieciony na przezroczystej tarczy jak mucha na szybie. Pochylił się, zsunął na oba kolana, oberwał pałką po plecach, zgarbiony, z głową wtuloną w ramiona, przykłęknął, oparł dłonie na szorstkiej powierzchni asfaltu i na czworakach, krok po kroku, rozpychając się jak dziecko przy porodzie w kanale macicy, przepętnął między nogami policjantów na drugą stronę kordonu.

Gdy znalazł się po stronie Polski Kolorowej, odetchnął głębiej, bo było tu dużo spokojniej niż po stronie Polski Niepodległej, ale przeraził się, gdy spostrzegł, jak nieliczna jest Polska Kolorowa. W tłumie siedzącym na placu domi-

nowały twarze licealistek, było paru lewicowych polityków i aktywistów ze stowarzyszeń gejowskich. Gdyby nie kordon policji, który przegrodził dojście do placu podwójnym murem tarcz, Polska Niepodległa rozjechałaby Polskę Kolorową jak lokomotywa zajęczka śpiącego na torach kolejowych.

Obrzydliwość stworu o nazwie społeczeństwo odsłoniła się przed nim z całą siłą. Właściwie teraz patrząc na to wszystko, chciał zamieszkać na Marsie, w jakiejś krytej strzechą chatce, skąd nie byłoby widać żadnego człowieka, ale na nic wszelkie marzenia, rzeczywistość realna chwyciła go za gardło żelaznymi pazurami. Świat był taki jaki był, nudny nie do wytrzymania. Na sławnym placu warszawskim ludzkie drobiny, wykrzykując w kółko hasła złożone z dwóch sylab, zderzały się ze sobą jak cząsteczki w roztworze Browna.

Przez chwilę pomyślał o Bogu. Ciekawe, co o tym wszystkim myśli sobie teraz Bóg, o ile, oczywiście, Bóg istnieje. Co On sobie myśli, gdy tak patrzy z góry na ruch drobin Niepodległych i drobin Kolorowych na sławnym placu Konstytucji? I po której jest stronie? Po stronie Niepodległych czy po stronie Kolorowych? „Bóg, zapamiętajcie to sobie, moi drodzy, jest zawsze po stronie wszystkich, bo kocha wszystkich” – przypomniał sobie piękne słowa, które swoim miękkim, pogodnym głosem lubiła powtarzać na lekcjach religii katechetka, zawsze łagodnie uśmiechnięta siostra Genowefa.

Ruszył przed siebie w stronę kandelabrow, ozdabiających plac Konstytucji. Jakaś aktywistka feministyczna wręczyła mu ulotkę z napisem „Kopernik była kobietą! Brzuch jest moją własnością!”, ale zgniótł machinalnie papier i cisnął jej pod nogi, czego nie przyjęła dobrze. Jakaś studentka o wąskiej, jasnej twarzy podniosła przed nim w górę przybitą do drewnianego drążka szarą tekturę z białym napisem „Wolę, żeby mój syn był pedałem niż faszystą”, ale odsunął ją na bok i poszedł dalej. Licealistki w sukienkach z indyjskiej bawełny, siedzące na kamiennych płytach placu, brzękały na gitarze pieśń o miłości dziewczyny do dziewczyny. Miął je obojętnie, jakby były wycięte z papieru. Ciekawe, co sobie pomyślały tamtego dnia, przy śniadaniu, gdy na ekranie telewizora zobaczyły warszawskiego mecenasa z białym z proszkiem w nosie. Gdy doszedł do kandelabra, przystanął, otrząsnął się z życia jak pies wychodzący z wody, poprawił na sobie pogniecioną kurtkę, wygładził rękawy, sprawdził, czy ma dobrze zapięty zamek błyskawiczny, otrzepał kurz ze spodni, po czym skręcił w najbliższą przecznicę.

Było tu spokojnie i cicho, tylko daleko, w głębi ulicy, stał wóz transmisyjny którejś ze stacji telewizyjnych z talerzową anteną satelitarną na dachu. Na jasnej karoserii samochodu widać było złoto-zielone logo wielkiej korporacji medialnej. Poprawił kaptur na głowie i poszedł w tamtą stronę.



Po drodze podniósł z ziemi żelazny pręt wyłamany z kanalizacyjnej studzienki i wsunął go do rękawa. Przy wozie transmisyjnym stał mocny, gruby szofer w skórzanej kurtce, zaciągając się papierosem. Po chwili rzucił peta na chodnik, zdeptał czubkiem buta, ziewnął leniwie, przeciągnął się, wsiadł do szoferki, by w cieniu trochę wypocząć od słońca. Kiedy Piotr zbliżył się do samochodu, za plecami faceta, który mościł się teraz wygodnie w fotelu za kierownicą, ujrzał ciemne wnętrze, rozbłyskujące migającymi lampkami. Na małych, fosforyzujących ekranach przesuwały się jakieś ludzkie postacie i twarze. Od strony placu Konstytucji wciąż dobiegały stłumione, zbiorowe wycia, oklaski, falujące śpiewy, jęczące sygnały policyjnych radiowozów, łomot pałek uderzających o przezroczyste tarcze, gwizdy, wrzaski i wybuchy petard, ale tu było spokojnie. Załoga wozu, siedząca w środku, z fachową swobodą wysyłała w świat telewizyjne obrazki z obu demonstracji, naciskając stosowne guziki i przekładnie.

Patrząc na ten profesjonalny spokój speców od wizji i fonii, którego nic nie zakłócało, poczuł, że znowu wraca furia. Już myślał, że wygasła w nim na wieki, już prawie zapomniał o jej istnieniu, ale ona cały czas tliła się pod sercem i teraz zaczęła żarzyć się na nowo jak przysypane popiołem węgle, w które dmuchnął świeży wiatr. O, święty dar nienawiści, święty dar życia, który z biednej, bezsilnej duszyczki robi duszę mocną jak młot Thora. Teraz śmieszyły go wszystkie sentymentalne tyrady moralistów, bełkoczących o miłości, pojednaniu i tolerancji. Cóż oni tam wiedzieli o ludzkim sercu! Żadna miłość nie daje takiej siły jak nienawiść, żadna miłość nie daje tak mocnych skrzydeł jak nienawiść, żadna miłość nie przyspiesza tak krwi, nie napina tak mięśni do skoku, nie wyostrza tak zmysłów jak nienawiść, słodka, podła, niska, szlachetna, głupia, mądra, wzniosła, nikczemna, wredna, święta, błogosławiona, pożywna nienawiść, która pchając nas w śmierć, do czerwoności rozjarza w nas życie.

Ach, nienawidzić! Wszystko jedno kogo, byle mocno, żarliwie, całą duszą. Narodowców i pedałów. Faszystów i liberałów. Komunę i antykomunę. Dresiarzy i rumuńskich żebraków. Komisarzy unijnych i eurosceptyków. Zakutych katoli i ateistów. Globalistów i antyglobalistów. Żydów i endeków. Lekarzy i pacjentów. Kierowców i przechodniów. Bankowców i klientów banków. Terrorystów i antyterrorystów. Religijnych fanatyków i bezbożników. Prawicowców i lewicowców.

Nienawidzić bogatych i nienawidzić biednych. Nienawidzić nauczycieli i nienawidzić uczniów. Nienawidzić kiboli z Powiśla i nienawidzić lemingów z Żoliborza. Nienawidzić biskupów i nienawidzić rabinów. Nienawidzić postkomunistów i nienawidzić neoliberalistów. Nienawidzić moherowe berety i nienawidzić lesby. Nienawidzić urzędu skarbowego i tych, którzy nienawidzą urzędu skar-

bowego. Nienawidzić tych, którym się udało i tych, którym się nie udało... Nienawidzić tych, którzy nienawidzą i tych, którzy są obiektem nienawiści...

O, czuł teraz całym sercem, że gdyby nie codzienne paliwo nienawiści, płonące w wiecznym piecu ludzkich serc, biedny gmach społecznego życia dawno już by się zawalił. To tylko ona, święta, płomienna nienawiść, trzymała w równowadze wszystko. Miał teraz gdzieś fanatyków z orzełkiem w klapie i panów humanistów, którzy plotą o miłości, miłości, miłości, pojednaniu, pojednaniu, pojednaniu, a nienawidzą, nienawidzą, nienawidzą swojej pracy, swojego szefa, swojej firmy, swoich kolegów z biura, swoich kolegów z redakcji, swojej pensji, swojego konta bankowego, swojego kredytu, swoich diet, swojego biurka, swojej żony, swojej teściowej. I aż się skręcają z obrzydzenia, kiedy im szef staffu na imprezach integracyjnych każe, by zaprzyjaźnili się ze strategicznym menadżerem, o którym w nocy śnią, że zakłuwa go nożem.

Teraz wiedział, że na tym świecie, wiecznie krążącym wokół słońca, różne barwy nienawiści łączą się w tęczę prawdziwej równowagi istnienia i to dzięki tej tęczy świat trwa i będzie trwać dalej. Nienawiść do Żydów równoważy się z nienawiścią do antysemitów. Nienawiść do lewaków równoważy się z nienawiścią do księży i Kościoła. Nienawiść do Ameryki równoważy się z nienawiścią do WikiLeaks i Snowdena. Nienawiść do bogatych równoważy się z nienawiścią do biednych. Nienawiść do czarnych równoważy się z nienawiścią do białych. Nienawiść do chrześcijaństwa równoważy się z nienawiścią do islamu. Nienawiść do śmierci równoważy się z nienawiścią do życia. I pod tą tęczą chwiejnej równowagi świat idzie naprzód, zataczając się od jednej nienawiści do drugiej, jak pijany marynarz po zejściu na ląd podczas trzęsienia ziemi i chociaż wszystko na tym świecie pęka, kruszy się, rozpada, wszystko trwa i trzyma się mocno na tym wiecznym, tęczowym fundamencie.

Zatrzymał się pięć kroków od wozu transmisyjnego, przesunął językiem po przednich zębach, przełknął ślinę. Patrzył na zielono-żółty wóz transmisyjny wielkiej korporacji medialnej jak przechodzień, który zatrzymał się przed wystawową szybą salonu samochodowego i w niemym podziwiewie wgapia się w cud techniki, co gruby facet w szoferce przyjmował ze zrozumieniem. Gdy jednak zaczął oglądać wóz z bliska, facet rzucił przez zęby: – Proszę się odsunąć od sprzętu. – Pewnie był kierowcą i ochroniarzem w jednej osobie. Ale Piotr położył rękę na niklowanej klamce i mocnym szarpnięciem otworzył rozsuwane drzwi. Dwóch mężczyzn w jasnych koszulach z krótkim rękawem, siedzących w środku ze słuchawkami na uszach, odwróciło głowy, mrużąc oczy od słońca, które wdarło się do środka.

– No, panowie, wysiadamy! – powiedział Piotr, wysuwając z rękawa żelazny pręt. Mężczyźni jednak nie ruszyli się z miejsca. – No! – Piotr trzasnął prętem w karoserię przy drzwiach. Facet wyskoczył z szoferki. – Coś pan zwariował? To drogi sprzęt! Chcesz pan płacić za to wszystko? – Piotr uniósł pręt, więc gość się zatrzymał w pół kroku. Tymczasem do wozu podbiegło paru młodych mężczyzn w kominiarkach. Paru innych miało twarze owinięte szalikami klubów sportowych. Facet z szoferki sięgnął pod kurtkę, może po broń, może po pojemnik z gazem, ale widząc nadbiegającą gromadę, wycofał się pod ścianę domu. Dwaj technicy wysiedli z wozu, szybko zabierając ze sobą marynarki leżące na fotelach.

Wtedy Piotr jednym uderzeniem pręta rozbił lustro wsteczne. Potem wałnął w przednią szybę, która odpowiedziała trzaśnięciem gwiazdzistych rys, rozbiegających się od krawędzi do krawędzi samochodowego okna. Facet z szoferki uniósł komórkę, pewnie chciał sfilmować Piotra, ale czubek pręta wytrącił mu telefon z palców. Piotr jednym uderzeniem obcasa zmiążdżył urządzenie nadawcze jak muszlę ostrygi. Przerażeni mężczyźni z obsługi wozu skoczyli pod wystawę jubilera. Piotr poczuł znowu, jak w bijącym coraz mocniej sercu rozjara się chłodna, święta, błogosławiona furia, musująca jak zimny szampan. Tak musiały się czuć Menady, gdy zaczęły rozdzierać ciało Orfeusza.

W tej samej chwili wóz otoczyli mężczyźni w kominiarkach, wykrzykując przekleństwa na stację telewizyjną, której logo świeciło jaskrawą zielenią na żółtej karoserii. Z okien domów wyglądali ludzie, machali rękami, coś krzyczeli, ale część z nich – zaczęła bić brawo wysoko uniesionymi dłońmi!

Kamienie, wrywane z chodnika, rozbiły szyby w oknach samochodu, wpadały do środka, tłukły ekrany monitorów. Migoczące światełka zgasły. Technicy z obsługi wozu pobiegli w stronę placu Konstytucji, ścigani gwizdami. Część ludzi w oknach zaczęła protestować, ktoś krzyczał, że wezwie policję, ale inni wykrzykiwali z okien i balkonów obelgi pod adresem stacji telewizyjnej, zachęcając młodych do jeszcze energiczniejszego działania. Tymczasem wokół wozu aż się zaroilo. Faceci w kominiarkach rozhuścili pojazd i przewrócili go na bok jak żółwia, któremu rozbito skorupę. Podwozie odsłoniło ciemne od smaru wnętrze. Talerzowa antena satelitarna oderwała się od dachu i jak ciężkie, młyńskie koło potoczyła się po chodniku prosto w wielką szybę jubilera. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Na jezdnię sypnęły błyszczące odłamki. Sklepowy alarm zaczął wyć, paru gości w kominiarkach wskoczyło do sklepu i grzebiąc w potłuczonych szklanych gablotach, napychało sobie kieszenie biżuteryjnymi świecidełkami.

W tej samej chwili w przewróconym samochodzie zapalił się bak z benzyną. Mężczyźni w kominiarkach odskoczyli od płomieni. Kula ognia buchnęła w górę kłębem czarnego dymu, rozszerzając się czerwonymi smugami aż po szczyt ulicznej latarni.

Piotra już jednak tam nie było.

Szedł po chodniku dwie ulice dalej, nie zatrzymywany przez nikogo. W głębi przecznicy zobaczył wóz strażacki pędzący na sygnale, potem policyjny radiowóz migający niebieskimi światłami.

Świat – pomyślał, patrząc na to wszystko – dzieli się na tych, którzy mają prawo do widzialności i tych, którzy tego prawa nie mają. To prawo jest przyznawane tylko niektórym. Reszta jest zepchnięta na niewidzialność. Wolność słowa? Wolność słowa mają tylko ci, którzy mają potężne narzędzia do przesyłania słów i obrazów. Reszta ma prawo do siedzenia przed telewizorem i podstawiania mózgów pod drukowanie. Żaden Internet nie daje szans na widzialność, bo Internet jest przepaścią, w której ginie wszystko. Obrazem bezsilności jest rodzina, która przy kolacji bezsilnie wygraża pięściami telewizyjnej dziennikarce, która nic sobie z tego nie robiąc, plecie beczelne głupstwa, jakie kazali jej wypowiadać właściciele stacji telewizyjnej. Jeśli kiedyś ten świat się zachwieje w posadach, ludzie będą bić się o prawo do sprawiedliwej widzialności. Bo teraz takiego prawa nie mają. Sam wiedział coś na ten temat. Jeśli kiedyś to wszystko się zachwieje w posadach, to zacznie się właśnie tak. W pierwszym rzędzie tłumy rzucą się na stacje telewizyjne i puszczą je z dymem. Ale od razu, gdy mu taka myśl przyszła do głowy, roześmiał się głośno: – Z dymem? Te tłumy? Niby to one miałyby w świętej furii palić błogosławione źródło, z którego codziennie piją życiodajną wodę seriali?

Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Gdy płomień eksplodującego baku buchnął w górę nad przewróconym samochodem, przez chwilę poczuł nawet coś w rodzaju słodko-gorzkiego szczęścia. Cóż, dobre to niż nic. Wyrównał przynajmniej część zadawnionych rachunków. Stacja telewizyjna, z którą się rozprawił, to była ta sama stacja, która jako pierwsza puściła obrzydliwe nagranie, które go pogrążyło. Teraz wiedział, że zadał cios dotkliwy. Bo oni wściekają się tylko wtedy, gdy im ktoś psuje narzędzia do przesyłania słów i obrazów. Tylko to ich boli. Reszta nie ma dla nich żadnego znaczenia. Poczuł, że ugodził bestię babiłońską w samo serce, choć tak naprawdę nie zadrasnął jej nawet paznokciem. Takich wozów transmisyjnych, jak ten, który teraz płonął w przecznicy koło placu Konstytucji, mieli pewnie z pięćdziesiąt, albo więcej. A on nie miał żadnego. I na tym polegała zasadnicza różnica, która określała jego miejsce w strukturze świata. Oni mogli zrobić z nim wszystko, on z nimi nic.

Mieli sprawne narzędzia do zadawania śmierci na odległość. Mogli zabić każdego jednym dmuchnięciem magnetycznej fali, która idzie przez świat, zwięglając imiona i nazwiska w brudny popiół, żałosny ślad po człowieku, strzępek zgnilizny rozmazany na asfalcie, od którego ludzie ze wstrętem odwracają oczy.

Pochylił głowę. Szedł w słońcu, prawie nie widząc domów i nieba. Uniósł dłoń, jakby się chciał przed czymś zasłonić.

Nie dotykać. Nie być dotykanym.

Nie brać udziału. Przemykać się. Ukrywać.

Jak Żydzi w szafie.

Nie pozostawić po sobie żadnego śladu. Istnieć tak, jakby ciebie nie było. Topnieć. Rozpływać się. Nie mieć własnego grobu. Czcić pustkę po samym sobie. Wymazywać. Ścierać. Czcić zanikanie, wsiąkanie, wysychanie, kruszenie się, łuszczenie, osypywanie. Śpiewać chwałę wiecznego nieupamiętnienia.

Świat igiełką słońca drażni otwarte, wilgotne oko. Od rana do wieczora zajmuje się ranieniem źrenicy. Żeby ranić, produkuje obrazy ludzi i rzeczy. Przez otwarte oczy wyspuje do głowy kanciaste domy, twarde ulice, krzykliwe billboardy, chorągwie, transparenty, betonowe wiadukty i kolczaste Hostie drzew. Od urodzenia do śmierci kaleczy siatkówkę. Zanieczyszcza dno oka. Wypala żółtą plamkę. Nie zgadzać się. Nie przyjmować. Nie wchłaniać. Odmawiać. Zaprzeczać. Śpiewać glorię nieobecności. Pielęgnować słowa, których nigdy się nie wymówi. Iść tak, by kroki nie miały swojego echa. Gubić oddech, tak jak się gubi pieniądze. Uparcie pracować w winnicy zniszczenia. Wsłuchiwać się w nawoływanie wody, wapna i ziemi. Torować drogę. Otwierać przejście. Ostrzyć cieniutką drzazgę lodu w pobliżu serca.

...a gdy tak, pochylony, z przymkniętymi od słońca oczami, z rękami wciśniętymi w kieszenie czarnych dżinsów, szedł ulicą, nasłuchując oddalającego się wycia tłumów, które zderzały się na placu Konstytucji jak cząstki w roztworze Browna, znowu zaczął powtarzać swoją mantrę, od której nie mógł się uwolnić. Gdzie jest ten środek, to centrum układu nerwowego, to ognisko zbioru prawdopodobnych rozwinięć, to serce ciągu rozwidleń, kamyk, który spadając wywołuje lawinę, efekt motyla, środek ogrodu o rozwidlających się ścieżkach, mikrozdalenie, które rozstrzyga o biegu makrozdarzeń, punkt, z którego wyrasta drzewo godzin, węzeł linii losu, źródło bioprądów, iglica, miejsce skupienia grawitacyjnych sił, dno źrenicy, węzeł poplątanych szyn, przekładnia zdarzeń... żółta plamka świata...



## JULIA HARTWIG

### **I jestem z tobą**

tam gdzie mnie nie było  
i jestem z tobą  
w najwyższym zwątpieniu  
w ciemności  
która nie zna co braterstwo  
a beznadziejne są te widma życia  
którymi zaludniona jest noc  
Trzeba było stanąć  
w tej nieoczekiwanej pustce  
na skraju nocy  
w miejscu bez miejsca  
i w czasie bez czasu  
i taka obojętność nagle  
ani żalu ani potępienia

Naucz nas dbać i nie dbać  
by oprzeć się chwili

**Milczeń pragnę**

usnąć pragnę

broń się serce strwożone

gdy czas na pamięć

rzuca uroki

zamawia ją wiatrem

zamawia ją snem

przemienia w muzykę

*Nikt nie jest dość kochany*

*nikt nie kocha dosyć*



JULIA HARTWIG

## Dziennik

(fragment)

22 stycznia 2014, Warszawa

Po dwóch miesiącach łagodnych, bardziej przypominających pogodną jesień, od kilku dni zadomowił się mróz, dziś sięgający ośmiu stopni, a zapowiadają temperatury bliskie dwudziestu. I ślisko, więc bez większego żalu siedzę w domu, trochę zaskoczona tym, że żadnych terminów nie mam na karku. W dalszym ciągu sięgam co wieczora po tom wierszy zebranych Norwida, do którego wciąż jeszcze będę wracać, oczekując niespodzianki, którą wciąż nowymi przeblyskami zdają się zapowiadać.

29 stycznia 2014, Warszawa

Przyszły dwie prace, magisterska i doktorska, dotyczące mojego dorobku literackiego. Jedna, magisterska, autorstwa Dagmary Lewandowskiej z uniwersytetu katowickiego: *Figura flaneura w twórczości Julii Hartwig*, druga, doktorancka, poświęcona motywom francuskim w mojej poezji.

6 lutego 2014, Warszawa

W ubiegłą sobotę odprawione było nabożeństwo za duszę Turowicza w dziesiątą rocznicę Jego śmierci. Przyjechała Marysia Pruszyńska.

Z okazji wydania przez „Zeszyty Literackie” korespondencji między Andrzejem Wajdą i Jarosławem Iwaszkiewiczem odbyło się spotkanie promocyjne w sali kina na Krakowskim Przedmieściu. Sala była pełna, Andrzej Wajda i Marek Kondrat czytali listy obu twórców, dotyczące rozmów na temat filmu *Panny z Wilka*, opartego na opowiadaniu Iwaszkiewicza. Bardzo lubię to opowiadanie, a także film, piękny, czuły i wzruszający, który oglądałam już kilkakrotnie, zawsze z tym samym zachwytem. Wszystko w tym filmie jest świetne, aktorzy, reżyseria i zdjęcia, które przenoszą nas w świat już nieistniejący, ale wciąż żywy, dzięki wrażliwości artystycznej Wajdy.

7 lutego 2014, Warszawa

Wróciłam do wierszy Keatsa, na nowo je odczytując. Jego pełna wrażliwości osobowość, wyczuwalna i obecna w wierszach, budzi wzruszenie i czułą, poetycką sympatię. Jakże delikatne i jak prawdziwe są wersy malujące otaczającą go przyrodę, którą z taką swobodą i lekkością ukazuje, daleki od schematu, z jakiego wielu współczesnych mu poetów angielskich korzysta.

„Dzwoneczki wrzосу drżą na wietrze, lecz szmer ich ginie w wielkiej ciszy / Leśny skowronek wśród paproci pieśń nuci, którą słońce słyszy; / Strumyki płąsem swym polotnym całują trawę, ale w dali / Roztrwania się ich głos nieśmiały – i upór niestrudzonej fali. / Słońce zapada, wielkie krwawe, za góry ciemne i skaliste”.

Z *Wierszy napisanych w górach po odwiedzeniu rodzinnych stron Burnsa* (przełożył Zygmunt Kubiak).

Równie bujna i bogata w postrzegane piękno jest *Oda do jesieni* (przekład Zofii Kierszys).

„Poro mgieł bujna i nabrzmiała plonem / W spisku serdecznym z dojrzewania słońcem / Dumasz jak hojnie błogosławić gronem / Wino w krąg strzechy pod okap się pnące / Jak sad omszały giąć jabłek ciężarem / jak aż do pestek w owoc wlać dojrzałość / Zjędrnić orzechy, wzdąć pękate dynie / I późnym kwiatom, których wciąż ci mało / Co dzień dać jeszcze, jeszcze pąków parę...”.

Nie piszę tu ani o *Odzie do greckiej urny*, ani o *Pieśni słowika*, czy o *La belle dame sans merci*, których tytuły pojawiają się nieodmiennie przy nazwisku Keatsa. Myślę o wierszach rzadziej cytowanych, gdzie jego głos przemawia do nas bez osłony tematu, jak choćby w tym sonecie, gdzie dzień i noc na równi rządzą sercem i piórem Keatsa; bo śmiertelna choroba, która go trawi, sprawia, że myśl o śmierci jest niemal zawsze blisko, a jego poezja niemal zawsze dotyka jednym rąbkiem metafizyczności.

„Gdy widzę nocą, jak nade mną krąży / Chmura postaci w balladach ukryta, / I myślę o tym, że mogę nie zdążyć / Za ich cieniami, choć je prawie chwytam (...)”. A w innym wierszu:

„Czy śmierć jest snem – gdy życie jest jak sen / Którego każda scena to widziadło ulatujące sprzed oczu, a cień / Nieprzeniknionej śmierci pada zgrozą nagłą?”.

Podobnie jak w *Sonecie*:

„Gdy mnie ogarnia lęk że być przestanę / Nim pióro cały plon myślenia zbierze / Nim stosy książek nad tym zżętym łanem / Staną jak ciężkie od ziarna śpi-chlerze...” (przełożył Juliusz Żuławski).

Świadomość zagrożenia przedwczesną śmiercią znajduje wyraz w jego poezji, mówiącej o przywiązaniu i podziwie dla piękna życia, które przyjdzie mu utracić. Nie jest jednak Keats piewcą jednego tonu. Obok *Ody do melancholii* pojawia się *Piosenka z nienapisanej opery*. Nie brak też w jego poezji akcentów żartobliwych, jak w *Podwieczorku kochanków* pod tytułem: *Kilka wierszowanych nonsensów w liście do brata*:

„Siedzą w zapamiętaniu wodzą oczyma śpiąco / Skubią tosty, wzdychają nad herbatą stygnącą; / Ani w ząb już nie wiedzą, po co się zasiedzieli / I po co podwieczorek i po co zjeść coś chcieli / z założonymi rękoma siedzą – patrzcie ich szczęśliwców! / Kominek już wygasa, ale nikt nie prosi / o węgiel więc żadnego węgla Betty nie przynosi” (przełożył Juliusz Żuławski).

Piękna kolokwialność języka poezji Keatsa, będąca za życia poety nieraz przedmiotem ataków krytyki, przybliżyła nam jego poezję, której nie trzeba odkurzać z pyłu czasu. Inaczej jest z jego przydługimi poematami, które choć pięknie wierszowane, nie zachęcają do lektury; myślę o *Wigiliu świętego Marka*, *Endymionie* i *Upadku Hyperiona*. (John Keats ur. 1795 w Moorgate, umiera na gruźlicę w 1821 roku w Rzymie).

20 lutego 2014, Warszawa

Coraz bardziej przerażający jest przebieg zamieszek na Ukrainie. Obraz oglądanych w telewizji walk w Kijowie budzi grozę. Słupy ognia i dymu, opór tysięcy zgromadzonych na Majdanie demonstrantów atakowanych przez sprowadzone tu przez Wiktora Janukowycza oddziały wojskowe Berkutu. Dzisiejsza „Gazeta Wyborcza” donosi o gwałtowności ataków na demonstrantów. Po walkach nocnych opatrzono stu pięćdziesięciu rannych, w tym trzydziestu ciężko, dwudziestu zabitych. Trupy leżały na ulicy, milicjanci przechodzili obok nich obojętnie. Do manifestantów strzelali snajperzy i milicjanci ukryci na dachach budynków otaczających siedzibę parlamentu i prezydenta. Według raportu milicji zginęło siedmiu funkcjonariuszy. Takiej eskalacji terroru nie spodziewał się nikt, pisze „Gazeta”. Janukowycz postanowił zdusić protesty. Wygląda na to, że przygotowuje pacyfikację Majdanu i zduszenie siłą trwających od trzech miesięcy protestów. Władze ogłosiły Kijów miastem zamkniętym.

1 marca 2014, Warszawa

Chciałabym zrobić trochę wypisów z pracy doktorskiej Iwony Kosowskiej (Uniwersytet Gdański, Instytut Filologii Polskiej). Praca została napisana pod kierunkiem profesor Małgorzaty Książek-Czermińskiej. Jej tytuł: *Francja i Kultura francuska w twórczości Julii Hartwig*. Spisuję tu fragmenty wypowiedzi cytowanych w książce, których trafność lub „nowość” wydaje mi się godna zapisu:

Słowa Boya-Żeleńskiego: Romans polskich poetów z literaturą francuską.

W sali Corota długie postoje i bezustanne powroty do dwu „małych” mistrzów; to Boudin i Lepine, malarze, których na stałej wystawie impresjonistów w paryskim Jeu de Paume prezentowano w pierwszej salce jako ojców i prekursorów.

(cytat:) Kultura Francji stanowiąca całość istniejącą w sieci wspólnot, symboliczny świat, który mimo swej różnorodności zachowuje jedność. Poczucie pokrewieństwa duchowego, nieogładającego się na dzielące epoki, cechuje, zdaniem Julii Hartwig, kulturę Francji.

Znaczenie chłodu u Michaux. „Chłód to moje ocalenie”. Sprawdzić, czy nic takiego nie ma u Lautreamonta. Nagle oświeciło mnie to zdanie. Chłód jest nieodzowny każdej sztuce. Jest tym, co pozwala wcielić w sztukę gorączkę. Chłód tutaj, to tyle, co dystans u Simone Weil.

„Cel poety to zrozumieć każdy przedmiot i każde stworzenie w jego istnieniu osobnym, autonomicznym. Nie narzucać mu siebie. Nie ustawiać się w centrum świata, patrzeć »poprzez wybrany fragment«”.

Zdrowa istota przyjmuje z ochotą zarówno ograniczenie, jak i wolność, ograniczenie miejsca i otwartość przestrzeni. Do szewskiej pasji doprowadza mnie określanie omawianych utworów poetyckich jako powstających „pomiędzy”. Jest to być może wynik kłopotów z ustaleniem historycznego czasu, a także miejsca człowieka w tym czasie.

Utożsamienie „bliskiego” ze zrozumiałym, swoim, pokrewnym, a zarazem „dalekim”, niezrozumiałym i obcym – wszystko to układa się w pewne modele świata o wyraźnym obciążeniu znakami przestrzennymi. Przestrzeń jako symbol wolności. W znaczeniu negatywnym – przestrzeń i wolność stanowią groźbę.

Szczęście oglądania. Wspominam ten nasz przedostatni pobyt z Arturem w Paryżu, i widok z okna. Za kamiennym parapetem Sekwana, radość patrzenia. Wciąż ten sam zachwyt, to samo oczarowanie panoramą. Pod balkonem srebrne migotanie Sekwany między gałęzmi drzew, za barierą mostu widoczny duży skrawek rzeki z ruchliwą plamą światła. Jeszcze jedno spojrzenie na

panoramę z tarasu. Tajemnicze cienie liści. Panteon i wieża Montparnasse'u już wygaszone. Pali się światłem tylko wieża Eiffla. Wszystko na horyzoncie pogrążone w ciemności. Z tarasu w dół widać przystanek metra Pont Marie, most i jezdnię, po drugiej stronie jezdni, za kamiennym parapetem, Sekwanę. Ruch natomiast na jezdni nieustający, jak na pasie transmisyjnym. Ruch także na moście, pieszy i kołowy.

(...) Śniąc była nie w Paryżu. Była nad brzegiem kanału La Manche albo nad oceanem i podmuch morski sypał drobnymi kropelkami w jej policzki. Podniosła głowę, słuchając szumu przyprawy.

(...) Otwierając co zamknięte, choć nigdy nie otwierając do końca.

Wnętrze otwarte na zewnątrz; Z bistra na Montmartrze widok na życie wielkomięskiej ulicy. „Tych komediantów bożych, cierpiętników i szaleńców włącza się sakralizującym dyskursem w »poczet świętych« rezydujących w rejonach piekła europejskiej sztuki”.

Co fascynuje nas w twórczości Michaux, Supervielle'a, Cendrarsa, Desnosa? „Przełamywanie granic słowa, języka, gatunków, rodzajów, konwencji, poezji, literatury, intersubiektywnie sprawdzalnej rzeczywistości, praw fizycznych, praw logicznych, granic snu i jawy, istnienia i nieistnienia, oto z czym spotykamy się tutaj co krok”.

Kiedy czytamy słowa Rimbauda: „Skończyłem na uświęceniu nieporządku mojego umysłu”, narzuca się nieodparcie wspólnota z Nerval'em, świadomość przekroczenia granicy, poza którą istnieje już tylko udzielny świat wizjonera.

Synteza kubistyczna dokonuje się za cenę uprzedniej dekompozycji, dzieło budowane jest jakby na ruinach tradycyjnego modelu. Kubizm jest największym chyba trzęsieniem ziemi, jakie przeżyło dotąd malarstwo europejskie. Padły w gruzy wszystkie obowiązujące dotąd kanony piękna.

Odkrywanie literackich podobieństw, szukanie odmienności, nowości, która rodzi uczucie podziwu i popycha do samorealizacji.

10 marca 2014, Warszawa

Z okazji sięgnięcia do tomu poezji Szymborskiej, znalazłam trochę uwag, którym nie próbuję nadawać formy spójnej: Wisława nie schlebia światu, obdarza go jednak pięknem swojego umysłu, który buduje formy wypowiedzi w jej własnym, nieskłamany języku. Obraz jej świata, bardzo własny, odarty bywa z akcji, a refleksja jaka się po tej lekturze nasuwa, kryje gdzieś głęboko ziarno beznadziejności.

Pisze: „I ta z gruntu ryzykowna teza, czy aby nie jesteśmy sami pod słońcem, pod wszystkimi na świecie słońcami?”. Każdy jej wiersz jest podjętym przez nią zadaniem. Szymborska należy do tego grona wielkich poetów, którzy robią z wierszem to, co zechcą, wiersz Szymborskiej niejako może wszystko. Jeśli jej wiersz rozpoczyna się od próby, możemy spodziewać się, że nie będzie się rozwijał dla efektu poetyckiego, choć efekt ten pojawia się jakby z własnej woli, zaskakując samego poetę. Zadziwiająca jest przy tak dużym bogactwie rozwijającego się tematu, umiejętność nadawania mu formy tak skończonej, tak wyrazistej w swojej niełatwej często, paradoksalnej, wymowie. Tu przypomina się mądre i tak wyraziste zdanie: „Niewątpliwie wolna myśl jest kosztowna, przynosi jednak wielkie zyski kulturze”. Zdanie to odnosi się nie tylko do wypowiedzi w publicystyce czy w filozofii. Potwierdza się też w poezji.

Dzisiaj odbyło się posiedzenie jury decydującego, kto będzie w tym roku laureatem Fundacji Herberta. Przyznano ją Charlesowi Simicowi.

21 marca 2014, Warszawa

Dzisiaj dzień bardzo ożywiony. Po południu odwiedził mnie Mikołaj Nowak Rogoziński, który przyniósł swoje uwagi redakcyjne do przygotowywanego przez „Zeszyty Literackie” pełnego wydania trzech tomików *Błysków*, które ukażą się w jednym tomie. Była to bardzo miła wizyta. Mikołaj przyszedł razem z Anią, która chciała zapoznać się z jego uwagami. Wieczorem zadzwonił z Nowego Jorku i przeczytał zadedykowany mi wiersz Andrzej Zaar. Przeczytał mi też wiersze, wśród których znalazły się nazwiska współczesnych polskich poetów, również Artura.

22 marca 2014, Warszawa

Dzisiaj dzień zaprojektowany na lektury dotyczące Miłosza, o którym piszę szkic do „Kwartalnika Artystycznego”. Przeglądanie starych numerów pism literackich. Przeczytałam szkic ojca Jacka Bolewskiego o miłoszowskiej *Ziemii Ulro*, wydrukowany w „Kwartalniku Artystycznym”.

27 marca 2014

Czy to, że ostatnio tak rzadko zaglądam do *Dziennika* wynika stąd, że potrzeba zapisywania osłabła? Czy może to, co dzieje się we mnie i wokół mnie, wydaje mi się jałowe i niewarte zapisu? Można by szukać usprawiedliwienia w przynębiającej aurze pogodowej jaka trwa od kilku dni, po długim okresie

dni słonecznych i ciepłych, bardziej przypominających przedwiośnie, a nawet wiosnę, skoro termometr wskazywał niemal co dzień kilkanaście stopni ciepła.

Dzisiaj pojechałam do Kasi Herbertowej, gdzie miało się odbyć nagrywanie wspomnień o Zbyszku do telewizji z okazji zbliżającej się uroczystości wręczenia nagrody jego imienia. Dawno Kasi nie odwiedzałam, powrót do tego znanego mi od lat mieszkania przywołuje wiele wspomnień pogodnych, ale też i z okresu choroby Zbyszka, który leżał przez wiele dni w tym samym pokoju, w którym obecnie przyjmuje się gości.

Przed dwoma dniami uczestniczyłam w promocji książki wywiadów na temat Warszawy, autorstwa Joanny Rolińskiej. Spotkanie odbywało się w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wśród licznych wywiadów znalazła się tam również rozmowa ze mną.

1 kwietnia 2014, Warszawa

Kłopoty z chodzeniem po upadku w przedpokoju. Posługuję się balkonikiem i nie wychodzę z domu, co jest tym przykrzejsze, że pogody są wspinałe. Od wielu tygodni panują łagodne plusowe temperatury, bezchmurne niebo i słońce nas nie opuszcza. Wypuściły pąki ogromne krzewy bzu na podwórku, trawa zgęstniała i nabrała żywej zieleni. Podczas dnia spędzam z konieczności wiele godzin na leżać. Przygotowałam przy łóżku plik „Zeszytów Literackich” i wracam do zaniedbanych lektur, w których znajduję wiele ciekawego. Czekają na swoją kolej dwie nowo zakupione książki: Krzysztofa Michalskiego *Eseje o Bogu i śmierci* i księdza Tischnera *Rekolekcje paryskie*. Można by pomyśleć, że ostatnio w tę właśnie zwracam się stronę, bo zamówiłam też rozmowy Frankiewiczza i ogromny tom zapisków Jana Pawła II, o którym Krzysztof mówił z zachwytem.

Wieczorem:

W notesie liczne zapiski z lektur:

„Im więcej czytasz, tym jaśniej widzisz, że poezja ma wyraźną metafizykę i zawiera zasady intuicji wspólne poetom tak różnym jak Seamus Heaney, Charles Simic i Billy Collins. Metafizyczna wrażliwość nadaje temu okresowi jedność, którą przyszli czytelnicy będą umieli dostrzec, choć z pozoru objawia się nam to jako chaos”.

Książka Heideggera *The Origin of the Work of Art* ma znamiona nazistowskie. Nie przeszkadza to jednak Heideggerowi uwielbiać Hölderlina, zwłaszcza jego *Hymny*. Poezja jest dla niego wzorem jak trzeba myśleć, a natura poezji opiera się na prawdzie i ma uprzywilejowane miejsce wśród sztuk. (J.H.: Piszę to

wszystko z trudem dowierzając, że człowiek, który tak myśli o sztuce i o prawdzie, może mieć sympatie nazistowskie). Poezja w jego wyobrażeniu jest obroną indywidualium przed skierowanym przeciw niemu siłom. Poezja ziemi ostaje się tylko wtedy, kiedy potrafi uczynić tę ziemię obcą nam, tak, że możemy wyrazić ją w jej odległej piękności. (Nieoczekiwana zbieżność między tymi słowami i moją własną refleksją, która znalazła wyraz w wierszu: „z obcości, nie z bliskości rodzi się wiersz”).

„To, co zwyczajne, nie jest w głębi zwyczajne, jest nadzwyczajne – mówi Heidegger. Zrobiłem trochę badań nad amerykańskim folklorem w New York Public Library zbierając materiały dotyczące wyobraźni surrealistycznej i odkrywając całą niewiedzę, w jakiej pozostawia nas świat literacki, skazując nas na samych siebie (magiczne formuły, przesady, wróżby, zagadki, przysłowia). Wyobrażenia urodzonych surrealistów; *projective verse* Charlesa Olsona, Roberta Bly’ a, S. Merwina, Jamesa Wright. (...) Prawda wzięta osobno i pozbawiona smaku codziennego życia, jest nic nie warta, w moim przekonaniu” (wciąż Heidegger). Dość stanowczo brzmi też opinia Miłósza: Uważa on, że to, co skłania go do pisania, mogłoby również uniemożliwić mu pisanie. Podobieństwo do poszukiwań mojego ostatniego wiersza: zamaskować rozpacz ironią lub błahostką.

10 kwietnia 2014, Warszawa

Zawsze żał mi tych niezapisanych w *Dzienniku* dni, choć niemal zawsze brak ten znajduje usprawiedliwienie. Tym razem próbowałam się przymierzyć do wypowiedzi dla „Kwartalnika Artystycznego” z okazji dziesięciolecia, jakie dzieli nas od śmierci Miłósza. Pisząc to raz jeszcze widzę niemożność uprzytomnienia sobie rozległości przestrzeni jaka dzieli nas od wspomnianego wydarzenia. Dziesięć lat czy dwa lata – na to odpowiedzieć nam może tylko kalendarz.

Nie chcę widzieć literatury jako ciągu kompleksów i niespełnionych pragnień.

W liście do Aleksandra Schenkera Miłosz pisze: „Zwracam ci uwagę na stałość *tension* w mojej poezji. Zasadą mojej poezji jest zwartość wiersza czy zdania”. „Niejeden raz zaskakiwało mnie, kiedy ktoś z cieszących się sławą uczonych przyznawał, że znajdował w poezji prawdy lub pytania czekające na odkrycie”. Miłosz wskazuje na młodych Polaków skazanych niemal wyłącznie na kulturę literacką, a nie na religijno-filozoficzną, więc jałową. Najbardziej rozbijające jest zdanie Miłósza, który wiele rozmyślań nad wierszem zdaje się odsuwać na drugi plan. Pisze: „Co do mnie, to u końca życia podejrzewam, że w zasadzie poe-



zja jest w intonacji, w pewnym oddechu zdania”. „Tam, gdzie jest pełna wiedza, poezja jest już niepotrzebna. Poezja trwa, dopóki jest awangardą wiedzy jakiejś epoki o sobie – z całą resztą ślepych prób”.

Inną intonację mają wypowiedzi Audena i Heaney. W *New Year Letter* (1941) pisze Auden: „Sztuka nie jest akuszerką społeczeństwa”, a w *Memory of W.B. Yeats* (1939) stwierdza: „Dzięki samej poezji nic się nie dzieje”. A Heaney, bardziej ufnie: „Poezja może koniec końców ujawnić nowy sposób odczuwania”.

16 kwietnia 2014, Warszawa

Byli na herbacie John i Bogdana Carpenterowie. Tym razem była to długa i bardzo serdeczna rozmowa, mówiliśmy o ludziach bliskich, którzy już odeszli. Jak zawsze, powraca we wspomnieniach Kot Jeleński i wszystko, co się wokół niego działo. No, i oczywiście Berkeley, gdzie spędzili kilka lat. W rozmowie pojawiają się nieustannie Miłosz i Zbyszek Herbert.

17 kwietnia 2014, Warszawa

Lubię takie kilkudniowe niewychodzenie z domu. Jest więcej czasu na skupienie, a bywa, że nawet coś z tych kilku dni pozostaje, zapisane na papierze. Żałuję tylko, że nie mogłam być w Pen Clubie na sesji poświęconej Janowi Pawłowi II. A także, że nie mogłam uczestniczyć w spotkaniu poetów, których książki poetyckie wznowione zostały równocześnie przez Wydawnictwo a5. Byli to: Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski i ja; wiersze Barańczaka czytał Marek Kondrat.

Wpadł Mikołaj, odebrał maszynopis *Błysków*.

Znalazłam jeszcze jedną wypowiedź, która świadczy o tym, że forma „błysków” zawsze artystów kusiła. W *Dziennikach Delacroix*, które tłumaczyłam po społu z Joanną Guze, znajduje się wypowiedź tego znakomitego malarza, który zamierzał napisać coś w rodzaju *Błysków*: „Dlaczego nie miałbym ułożyć zbiorku luźnych myśli, które od czasu do czasu przychodzą mi do głowy w gotowej formie, choć trudno by mi było powiązać je z innymi? Czy trzeba koniecznie pisać książkę według przyjętych reguł?”. Jak widać forma błysków, choć w klasycznej poetyce nie istnieje, kusi niejednego pisarza.







## Haiku Mistrzów

tłumaczył Ryszard Krynicki

### B A S H Ō

Pełnia księżyc!  
Przez całą noc krążyłem  
dokoła stawu –

Jak długa droga!  
Nikt, prócz mnie, nią nie idzie  
w jesienny wieczór –

Starym człowiekiem  
stałem się tej jesieni:  
klucz ptaków, chmury –

### S A M P Ū

Kwitnienie wiśni,  
zew kukułki, pełnia, śnieg –  
i znów mija rok!

## KIKAKU

Woń kwiatów śliwy  
zagościła dziś nawet  
w chacie żebraka –  
Poranna zorza!  
Spod kwitnącej brzoskwini  
pianie koguta –

Spójrz na żebraka:  
za strój letni mu służą  
niebo i ziemia –

Spójrz, brama zimą:  
w dziurze zamka tkwi tylko  
promień księżycy –

## BUSON

Kwitnie piwonia:  
kotka cała ze srebra,  
motyl ze złota –

Przemija wiosna –  
przytulam cicho lutnię  
ciężką od żalu

Odczułem dzisiaj  
co znaczy być żebrakiem:  
nadciąga jesień –

Gdy ja odchodzę  
a ty zostajesz – to już  
są dwie jesienie.

Nawet samotność  
bywa dobra i piękna  
w jesienny wieczór –

## CHORA

W zimowym deszczu  
żuraw w stroju podróżnym:  
to nasz mistrz, Bashō!

## ISSA

Najwyższe dobro,  
najwyższe piękno: czerwień  
rozkwitłych maków –

Leje letni deszcz:  
nago pędzę do domu  
na nagim koniu –

Przepiękny księżyc!  
Czy do kogoś należy,  
powiedzcie, dzieci?

Tu i tam człowiek,  
tu i tam ostatni liść  
opada cicho –

## SENGAI

Staw, bardzo stary:  
skacze do niego Bashō –  
pluśnięcie wody!

Staw, bardzo stary:  
coś do niego wskoczyło –  
pluśnięcie wody!

Gdyby był tu staw,  
wskoczyłbym, żeby Bashō  
mógł to usłyszeć!

## SHIKI

Dzień noworoczny:  
nic nie jest dobre, nic złe,  
lecz: wszystko żyje!

Brzuch mnie rozboleł,  
kiedy jadłem ze smakiem  
skradzione jabłko –

Długa, straszna noc:  
za papierowym oknem  
cień idącego –  
Jesienny komar:  
czeka go śmierć – a gryzie  
po dwakroć mocniej!

W blasku księżyca  
strachy na wróble stoją  
jak biedni ludzie –

Brama świątyni  
zamyka się ze zgrzytem:  
jesienny wieczór –

## GETTŌ

Dzień noworoczny:  
jest prawdziwym bogaczem,  
kto dziś pisze wiersz!

Nota

**Sugiyama Sampū (Sanpū)** – żył w latach 1647–1732. Był handlarzem ryb w Fukagawa koło Edo (obecnie Tokio). Zaprzyjaźniony z Matsuo Bashō, który prawdopodobnie mieszkał u niego od roku 1667, po śmierci swojego pana Todo Yoshitady. Bashō wspomina o nim w dzienniku podróznym *Oku no hosomichi (Po ścieżkach Północy)*, pisany w czasie wędrówki do prowincji Honsiu w 1689 roku:

„Za główny cel podróży wziąłem oglądanie księżycy w pełni nad Matsushimą w północnych krainach. Ludziom oddałem niepotrzebny szafas, a tymczasem – prosiłem o gościnę Sanpū, mego ucznia”. (Tłumaczyła Agnieszka Żuławska-Umeda).

**Takara Kikaku**, znany także jako **Enomoto Kikaku** – urodzony 11 sierpnia 1661 roku Uczeń Matsuo Bashō, wydał m.in. dwie antologie poezji szkoły Bashō: *Minashiguri* (1683) oraz *Surimino* (1691). Zmarł 1 kwietnia 1707 roku.

Znana jest anegdotyczna opowieść o tym, jak Bashō poprawił jego haiku: „Czerwona łąka – / odjąć jej tylko skrzydła: / strączek papryki!” – przestawiając pierwszą i trzecią frazę:

„Strączek papryki – / przydasz mu tylko skrzydła: czerwona łąka!” (Tłumaczył Wiesław Kotański).

**Miura Chora** – urodzony 23 maja 1729 roku w Ise, w prowincji Shima na wyspie Honshu. Wiele lat spędził w Kioto. Był bliskim przyjacielem Yosy Busona. Znane są także dłuższe renga (zwłaszcza 36-wersowe), które współtworzył z innymi poetami haiku: Busonem, Kitō i Ranzanem. Zmarł 4 września 1780 roku.

Wcześniejsze źródła jako lata jego życia podają daty: 1721–1772 albo 1726–1781.

**Gibon Sengai** – mistrz zen szkoły rinzai, malarz obrazów w stylu zenga, poeta i kaligraf. Urodzony w roku 1750 w rodzinie chłopskiej w prowincji Mino, od jedenastego roku życia był mnichem zen. Od czterdziestego do sześćdziesiątego roku życia był przeorem najstarszego klasztoru zen w Japonii w Shōfukui. Resztę życia spędził w pustelni Kyōhaku-in (Pusty Biały Dom), gdzie oddawał się głównie medytacji sztuce malowania. Zmarł w 1837 roku, w obecności swoich



uczniów, którzy zjechali, żeby towarzyszyć mu w ostatnich dniach życia. Krótko przed odejściem powiedział do nich: „Nie chcę umierać!”.

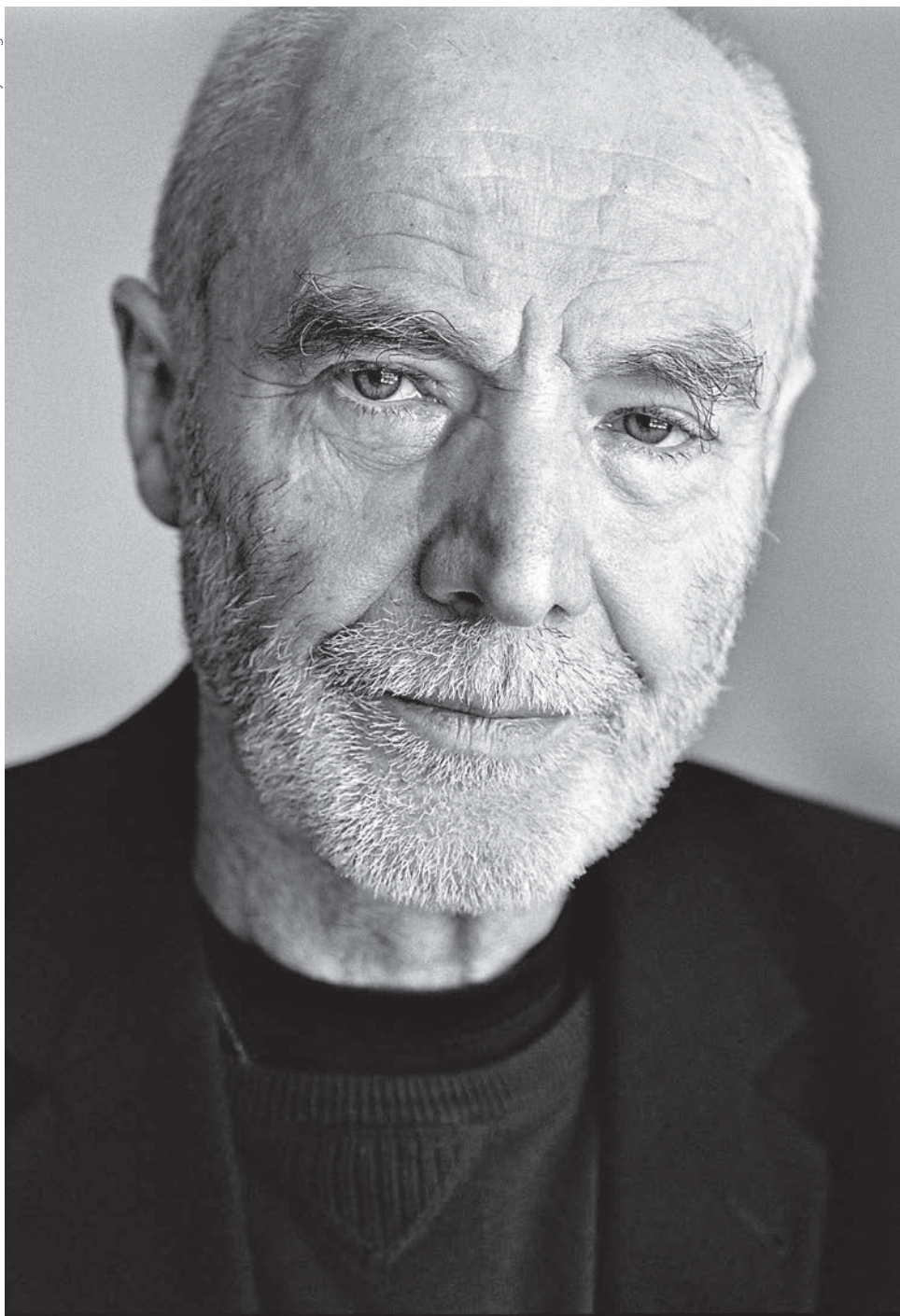
Jeden z najbardziej znanych jego obrazów tuszem, przedstawiający koło, trójkąt i kwadrat – i niemający żadnego tytułu, a jedynie napis: *Pierwszy klasztor Japonii* – Daisetz Suzuki, który pisał o Sengaiu m.in. w katalogu objazdowej wystawy jego obrazów z kolekcji Sazu Idemitsu po Europie w roku 1964, nazwał *Universum*.

Wiersze, parafrazujące słynne haiku Bashō o żabie wskakującej do stawu znajdują się na obrazach tuszem, przedstawiających żabę siedzącą pod drzewem bananowca, co jest czytelną aluzją do imienia, jakie przybrał Bashō, kiedy uczniowie zbudowali mu chatę, zwaną *bashō-an*. Dwa z tych obrazów, podobnie jak *Universum*, można było ostatnio zobaczyć na wystawie jego obrazów ze zbiorów tokijskiego Muzeum Idemitsu w Muzeum Rietberg w Zürichu.

**Aoki Gettō** (1879–1949) – z zawodu był aptekarzem. Sztuki pisania haiku uczył się razem z Masaoką Shiki.

R.K.

Andrzej Georgiew



ALEKSANDER FIUT

## Krynicki: Między tekstami

Coraz bardziej lapidarna w wyrazie, zbliżająca się do granic milczenia i na pozór samowystarczalna poezja Ryszarda Krynickiego uwikłana jest zarazem w misterną i wieloraką sieć związków międzytekstowych. Owa sieć spleciona została z materii o rozmaitej jakości i wartości. Łowi arcydzieła kultury wysokiej, ale także odpadki antykultury, obejmuje mowę własną, ale i nowomowę, subtelne podszepty natchnienia, a zarazem przyziemny bełkot. Jej węzły stanowią podziw, szacunek, zachwyt i przywiązanie, a napinają tę sieć – dialog, polemika i trawestacja. Ma też trzy odmiany, wzajemnie się przenikające. W pierwszej, związki między tekstami wskazane zostają wprost, poprzez adresata czy cytaty, w drugiej, bardziej w wierszach ukrytej, interferencje międzytekstowe dotyczą przeformułowań w obrębie polskiej tradycji literackiej, których czytelnik musi się sam domyślić lub do nich samodzielnie dotrzeć. Trzecia odmiana, to najtrudniej rozpoznawalna i najwięcej nastrożająca trudności powinowactwa poezji Krynickiego z wierszami poetów, których sam tłumaczył. Ograniczam się tutaj z konieczności do pierwszej odmiany.

Węzły międzytekstowe najczęściej przyjmują w niej formę dedykacji. Komuż Krynicki swoich wierszy nie zadedykował! Rozrzut jest zaiste imponujący. Wśród adresatów są przedstawiciele rozmaitych pokoleń, mistrzowie i partnerzy, poeci i malarze. Peiper, Przyboś i Jasieński, Miłosz i Herbert. Ale także: Barańczak, Zagajewscy i Michnik, Urbanowicz i Lebenstein, Sobocki, Beksiński i Waniek. Dedykacje nie są bynajmniej gestem grzecznościowym, czy zwyczajową formą upamiętnienia. Zawsze zostają starannie dobrane do tekstu wiersza i pośrednio odsyłają do twórczości tych, którym utwory zostały poświęcone. A są to osoby bliskie Krynickiemu rodzajem estetycznej wrażliwości, pasją moralną oraz egzystencjalną. Kiedy poświęca wiersz np. Zdzisławowi Beksińskiemu, odnajduje się wśród mieszkańców planety Fantasmagorii, na której nic nie znaczą przeszłość i przyszłość, ale niezmiennie trwają cierpienia, które były dziełem zarówno Inkwizycji, jak i faszyzmu. Kiedy dedykuje wiersz pt. *Wierzę Annie i Stanisławowi Barańczakom*, przed upiornością sy-

temu totalitarnego szuka oparcia w „żywych słowach”<sup>1</sup> Osipa Mandelsztama i Georga Trakla. Ale dedykacje mają także niejednokrotnie, jak się można domyślać, klucz osobisty, znany tylko autorowi i adresatowi dedykacji, niedostępny czytelnikowi. Tak jest np. w wierszach poświęconych Janowi Lebnsteinowi czy Henrykowi Wańkowi.

Wpierw najważniejsza, co rozumiałe, była więź pokoleniowa. Wyrażała się nie tylko dedykowaniem własnych wierszy kolegom po piórze, podobnym przedstawianiem świata nie przedstawionego, wspólnym słownikiem tematów, obrazów i motywów, które powracają w poezji nowofalowców z natrętną częstotliwością. Ale także bezpośrednim i pośrednim odwoływaniem się do tych samych patronów poetyckich, wśród których poczesne miejsce zajmował Peiper. Wraz z pojawianiem się kolejnych tomów wierszy autora *Organizmu zbiorowego* sieć intertekstualnych nawiązań rozpina się coraz bardziej, obejmując swoim zasięgiem rosnące obszary tradycji literackiej – od renesansu, poprzez romantyzm do poezji po drugiej wojnie światowej.

Wśród cytatów osobną grupę stanowią „cytaty z rzeczywistości”. Jakiego rodzaju są te cytaty? W okresie PRL-u Krynicki starannie odnotowywał określenia, które zawierały w sobie niezamierzony humor lub utajoną groteskę w rodzaju: „szyld »Świat pończoch« w Gliwicach” lub tytuł rozprawy „»Stosunki pośmiertne Zygmunta Krasińskiego / z pewną duszą« w miejskiej bibliotece” (*Pożegnanie, upadek*). Ale także, jak na nowofalowca przystało, ze szczególną pasją opartywał ironicznym komentarzem wytwory komunistycznej propagandy. Pisał na przykład:

Może tylko śniłem  
betonowy bunkier w centrum miasta K.  
Z umieszczonym na frontonie hasłem  
OTO NASZ START DO LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI

(*Może tylko*)

W Polsce niepodległej, zamiast rozdzierać szaty nad upadkiem kultury, ubolewać nad zanikiem zainteresowania poezją czy katastrofalną degrengoladą polszczyzny – zwłaszcza w języku młodzieżowym – przytacza, bez komentarza, zasłyszane w tramwaju fragmenty dialogów w rodzaju: „sorki, nie kumam, o co

<sup>1</sup> Wiersze Ryszarda Krynickiego, tutaj cytowane, pochodzą z tomów: *Pęd pogoni, pęd ucieczki*, Warszawa, Poznań 1968; *Niepodlegli nicości*, Kraków 1989; *Kamień, szron*, Kraków 2004; *Wiersze wybrane*, Kraków 2009.

tutaj biega” czy „Jola to zajebicie pokręcona laska” (*Godzina szczytu (w tramwaju nr 8)*) lub dostrzeżoną w Internecie ofertę sprzedaży:

„Full wypas: Norwid. Komplet. Pięć tomów w futerale.  
Wyglądają na nieczytane”.

(*Full wypas (w Internecie)*)

Uwaga zwrócona na ten właśnie zapis nie jest przypadkowa. Norwid jest dla Krynickiego poetą szczególnie ważnym i bliskim, musiała go więc zabołec osobiście bezduszna arogancja i umysłowy prymitywizm autora cytowanej oferty. Krynickiemu daleko wszakże do rytualnej czołobitności wobec wielkich poprzedników! Cytatom czerpanym z dzieł klasyków towarzyszy zazwyczaj kontekst, który w znaczący sposób modyfikuje ich sens. Norwidowską czułość wywołają w „wyludnionym domu / bukiecik włosów na ściętej pościeli / i kosmyk fiołków więdnący w flakonie” (\*\*\*) (*czułość – jakbyś...*)), czyli utrwalone w pamięci, traumatyczne sceny z pogromu. Kochanowskiego „wielkieś mi uczyniła pustki” – poeta przywoła, wspominając „ulicę Kościańską / i wizję uliczną” (*Pożegnanie, upadek*), a w tym przywołaniu można się domyślić, skrywaną pod maską ironii, nostalgię za dzieciństwem. Znaną frazę z *Nie-Boskiej Komedii* Krynicki opatrzy znakiem zapytania i przeciwstawną konkluzją: „Przeze mnie płynie *strumień piękności?* Zwątpienia i żalu. / Dlatego milczę”.

Co u wielkich poprzedników wiązało się nade wszystko ze sferą intymnych doznań czy egzystencjalnych medytacji, pod piórem poety Nowej Fali zabarwia się nade wszystko znaczeniami historycznymi i socjologicznymi, dramaty osobiste stają zarazem dramatami zbiorowości, do której należy. Uderza go to szczególnie, że losy poetów emigracyjnych, odzwierciedlające tragiczne dzieje polskiego społeczeństwa, powtarzają się z porażającą regularnością, której można przeciwstawić jedynie bezsilną ironię:

Znów czytamy wiersze  
z czasów wygnania, z domu niewoli.  
Takie ono już jest: za grobem zwycięstwo.

(*Zwycięstwo*)

Jakby nie dowierzając erudycji czytelników, w ostatnim tomie wierszy niektóre z trudniejszych aluzji Krynicki objaśnia w przypisach. Są one świadectwem nie tylko wydawniczej pieczołowitości, ale także zainteresowań, upodobań i bibliofilskiej pasji poety. Koryguje zatem swój błąd zawarty w incipicie wiersza \*\*\*

(*Kochać i zdradzić...*): „U Staffa jednak inaczej: »Kochać i tracić, pragnąć i żałować...«”. Czyżby Freudowska pomyłka? Jak widać, zaufanie do własnej pamięci okazało się złudne, czego rezultatem stał się wiersz o zupełnie innej wymowie. Wierny tłumacz i wydawca poezji Celana dopisuje do tekstu pt. *Kolonia, daleko* taki oto erudycyjny komentarz: „Przedostatnia linijka tego wiersza nawiązuje do podtytułu książki Johna Felstinera: *Paul Celan: Poet, Survivor, Jew* (Yale University Press, 1995)”. Co, zgodnie z tytułem, wydawało się *Nieznany wierszem Kazimierza Moczarskiego*, okazuje się fragmentem jego *Rozmów z katem*.

Pióro Krynickiego wie dzie przecież nie tylko temperament polemisty czy ciekawość socjologa, wyczulonego na przeglądające się w języku przeobrażenia obyczajów, gustów, systemów wartości oraz relacji międzyludzkich, które są poddawane miazdzącej presji zmieniających się uwarunkowań geopolitycznych i kulturowych. Autor *Organizmu zbiorowego* jest nade wszystko uważnym i wnikliwym czytelnikiem, który stara się odcyfrować, lecz również zreinterpretować ukryte znaczenia w tekstach – także tych, które umieszcza w formie motto. We fragmencie nienapisanego poematu pt. *Tadeusz Peiper* dziwnie brzmiący cytat z wiersza Peipera: „I w rano, i w wieczór cienie są równe, / atoli nie są po tej samej stronie drzewa” – opatruje poetyckim komentarzem, który przybiera formę przejmującego portretu prawodawcy Awangardy, ogarniętego pod koniec życia manią prześladowczą i szaleństwem. Poświęcając z kolei wiersz „Pamięci Juliana Przybosia”, stara się podsłuchać dykcję Awangardzisty, równocześnie kwestionując jego bałwochwalczy stosunek do miasta i wiarę w sprawczą moc poetyckiego słowa. Gdzie u Przybosia była pewność, której graficznym znakiem stawał się wykrzyknik – u Krynickiego jest wahanie wyrażone mnożącymi się znakami zapytania. W miejsce metafory, która miała uchwycić ukrytą w rzeczach i w słowach energię – pojawia się trudny do odczytania szyfr osobisty. Nie przypadkiem we wstępie do tomiku *Pęd pogoni, pęd ucieczki* Krynicki pisał: „Nie potrafię do tej pory ustalić granicy, granicy zwierzenia, poza którą wiersz nie powinien wykraczać, nie tylko dlatego, że jest to granica ruchoma, i nie dlatego jedynie, że być może nie istnieje ona poza doświadczeniem jednostkowym, czyli że jest nie tyle normą, ile – wynika z jej braku”. Dodając: „Może wstyd poetycki, a może charakterystyczna dla naszego czasu publiczność tajemnicy nie pozwala mi napisać wiersza, który byłby bardziej oczekiwaniem niż wątpliwością, która czyż może być jednakże naszą jedyną pewnością i wiarą?”.

Na szczególną uwagę zasługuje, utrzymany konsekwentnie w poetyce Miłona Białoszewskiego, wiersz *stuk-puk*:

(przez sen,  
od M.B.?)

*nic*  
*ości*  
*nie ma*

*ale coś*  
*ć*  
*ma*  
*(być)*

(30 czerwca/1 lipca 1992)

Poetycki żart? przewrotny dowód, że naśladowanie cudzej dykcji oraz jej graficznego zapisu – nawet poety tej miary, co Białoszewski – nie nastęrcza wielu trudności? Można by tak mniemać, gdyby nie to, że stanowi ten utwór wyraźne nawiązanie do znanego i wielokrotnie komentowanego *Wywiadu*. Daje się wręcz czytać jako swego rodzaju dalszy ciąg tamtego wiersza, a za jego pośrednictwem – z całą tradycją poezji vanitatywnej, którą Białoszewski przywołał aluzją do *Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*. Jest zarazem ewokacją innej, długowiecznej tradycji literackiej, która traktuje o zmarłych odwiedzających żywych we śnie i zdradzających tajemnicę zaświatów. W tradycji polskiej literatury wystarczy choćby przywołać podobny motyw w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Jana Potockiego, potraktowany co więcej – podobnie jak u Krynickiego – z przewrotnym humorem, żartobliwym dystansem, równocześnie bliskim odpatetycznionemu stylowi życiopisania Białoszewskiego. Piętrzą się zatem aluzje, mnożą poetyckie głosy, zmarli rozmawiają z żywymi, docierając do wymiaru, który wymyka się rozumieniu i wypowiedzeniu, nie mieści się w głowie i w słowie. Może, zdaje się pytać Krynicki, tylko naśladowującym dykcję Białoszewskiego językiem, który naśladuje bezradny bełkot, senne majaczenie, daje się zbliżyć do sfery, gdzie „*nic / ości / nie ma*”, ale „*coś / ma (być)*”?

\*

Wśród poetyckich nawiązań bez wątpienie szczególnie i wyjątkowe miejsce zajmuje w twórczości Krynickiego poezja Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. W tej właśnie kolejności. Zapewne nie tylko dlatego, że twórczość noblisty Krynicki mógł później poznać, z uwagi na jej trudną dostępność w PRL. Bardziej ważyło, jak sądzę, odczuwalne, wewnętrzne pokrewieństwo oraz szacunek i wdzięczność, jakie okazuje się swojemu mistrzowi. A że Herbert był dla Krynickiego jednym z najważniejszych mistrzów poetyckiego rzemiosła, nie ulega wątpliwości.



Już w tomie *Organizm zbiorowy* pojawia się wiersz pt. *Język, to dzikie mięso zadedykowany: „Panu Zbigniewowi Herbertowi i Panu Cogito”*. Umieszczenie obok nazwiska poety imienia jego bohatera nie jest przypadkowe. Tom *Pan Cogito* przyjęty został przez poetów Nowej Fali z prawdziwym uznaniem. Bliższe im były nie tylko zawarte w nim nawiązanie do racjonalistycznej tradycji, powściągliwość wyrazu i chłodna ironia, ale także chwyt mówienia nie wprost, maskujący ukryte intencje. *Język, to dzikie mięso* stawał się zatem formą hołdu złożonego przez młodego, początkującego poetę – poecie starszej generacji, zajmującego już pozycję klasyka. Czy nie był to jednak hołd osobliwy? Został przecież wyrażony przy pomocy poetyki autora, który Herbertowi nie był z pewnością bliski – stylem Peipera! Być może dlatego, że zawiera się w tym hołdzie – poprzez konstrukcję poematu rozkwitającego – rewindykacja awangardowej poetyki, a poprzez odwołanie do *Pana Cogito* – akces do poezji moralnego sprzeciwu wobec totalitaryzmu. Semantyczne gry nabierają tym samym etycznego zabarwienia – jak w tytule znanego zbioru esejów Stanisława Barańczaka – poetyka spotyka się z etyką. Poeta Nowej Fali zdradza swoje najgłębsze pokrewieństwo artystyczne, ale zarazem postępuje kilka kroków dalej i odnajduje nowe powinowactwo z wyboru: język bowiem, pozostając sferą brawurowo odważnych przekształceń i poetyckiej inwencji, w warunkach politycznej opresji przeobraża się w narzędzie demaskacji. Skąd pointa, która mogłaby wyjść spod pióra Herberta: język „to rozdwojone, co nas okraża, to prawdziwe kłamstwo, które mamy” (*Język, to dzikie mięso*).

Herbert nie pozostał wdzięcznemu uczniowi dłużny i w tomie *Raport z obłąkanego Miasta* zamieścił *Do Ryszarda Krynickiego – list*<sup>2</sup>, wiersz, który wszedł już do Herbertowskiego kanonu i doczekał się wielu interpretacji<sup>3</sup>. Jest to wiersz o chlubnej przegranej moralisty. Przegranej, bowiem przedłożenie etyki nad poezję, szukającą ponadczasowej miary piękna oraz kreślącą olśniewające wizje, skazuje autora na istnienie tymczasowe i zapomnienie „korektorki wiecznej”. Chlubnej, bo za tę cenę ocalona zostaje prawość i współczucie dla cierpiących oraz znalezienie się „po prawej lepszej stronie tryptyku / Ostateczny Sąd”. Uderza w tym wierszu uznanie Krynickiego przez Herberta za partnera i sojusznika w tej samej sprawie, czego wyrazem liczba mnoga („uwierzylimy zbyt łatwo że piękno nie ocala”, „na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne / walkę

<sup>2</sup> Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane*, Kraków 2008.

<sup>3</sup> Zob. np. Marian Stala, *Rok 1983: głos poety* [w zbiorze:] *Poznawanie Herberta*, wybór i wstęp Andrzej Franaszek, Kraków 1998; Piotr Śliwiński, *Poezja czyli bunt* [w zbiorze:] *Czytanie Herberta*, pod redakcją Przemysława Czaplńskiego, Piotra Śliwińskiego, Ewy Wiegandt, Poznań 1995.



z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia”), a także zwrócone tyleż do niego, co do samego siebie pytanie:

czy warto zatem zniżyć świętą mowę  
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet

Jak pisał Marian Stala, „To pytanie ma dla Herberta wymiar dramatyczny, może nawet tragiczny. Jest pytaniem o cenę, jaką może zapłacić poezja za dawanie świadectwa prawdzie – pytaniem, którego wagę musi docenić każdy czytelnik polskiej poezji naszego czasu”<sup>4</sup>. Wypada dodać, że Herbert był na przewrotny wdzięk nowomowy całkowicie nieczuły i jak gdyby nie dostrzegł, że to właśnie „piana gazet” i „bełkot z trybuny” były dla młodszego kolegi – podobnie zresztą, jak dla całej Nowej Fali – równie ważnym źródłem inspiracji, jak „święta mowa” dostojnych poetyckich poprzedników.

Dramatyczne pytanie Herberta Krynicki wprost podjął i powtórzył, umieszczając je, w formie skróconej („czy warto zatem zniżyć świętą mowę”) jako motto, napisanego w marcu 1987 roku wiersza, które rozpoczyna znamienne wyznanie: „Zaznałem więcej dobrego niż złego”. Herbertowskiej wyniosłości Krynicki przeciwstawił pokorną zgodę na ograniczenia, pisząc z pewną ironią, że „ku pomocy” dane mu były „słabe ręce i wzrok, względna jasność umysłu”. Goryczy z powodu utraty szansy na ponadczasową wielkość i sławę – przeciwstawił zwątpienie w sens tworzenia. Zabarwionemu gorzką ironią patosowi – powściągliwość i prostotę. Estetycznemu i moralnemu dylematowi – pokusę całkowitego zamknięcia. Jednym pociągnięciem pióra unieważnił dylemat Herberta, wyznając, że nie chce już dalej mówić „grzesznym językiem”, a świętej mowy „nie czuje się godny”.

Postać Herberta pojawia się w wierszach Krynickiego jeszcze trzykrotnie. Dedykował mu w tomie *Wiersze, głosy: Przekreślony początek*, utwór którego powstanie datowane jest na lata 1974, 1985, a którego temat stanowi bezradność, kruchość i nietrwałość poetyckiego słowa wobec niewyraźności życia. W wierszu *Przełotem* z tego samego tomu symbolicznym gestem szacunku, przywiązania i sympatii staje się zwrot do „pary turkawek na bezlistnym drzewie”:

jeśli będziecie przełotem  
obolałe i głodne w gołębiej Warszawie,

<sup>4</sup> Marian Stala, *op. cit.*

same traficie do mojego Mistrza,  
Pana Cogito,  
Księcia Poetów.

Swego rodzaju pożegnaniem staje się wiersz *Gołębie*. Korygując „czeski błąd” Herberta, który, w wierszu *Ostatnie słowa* – opisując moment, zapewne samobójczej, śmierci – Bogumila Hrabala, pomylił go z Mirosławem Holubem Krynicki tworzy zarazem paralełę losów trzech poetów, złączonych symboliczną sceną karmienia gołębi, wyrazem wrażliwości serca i czulej troski o inne stworzenia.

\*

Ryszarda Krynickiego dialog z Czesławem Miłoszem rozpoczyna polemiczne przywołanie *Przedmowy* do tomu *Ocalenie*<sup>5</sup>. W wierszu *Silniejsze od lęku*, na zasadnicze pytanie:

Czym jest poezja, która nie ocala  
Narodów ani ludzi?

jego następcą odpowiada innym pytaniem:

Czym jest poezja, co ocala?  
Jedynie imiona, cienie  
Ludzi i rzeczy?

Między tymi słowami przewaliła się historia. Miłosz stawiał swoje pytanie zaraz po wojnie, w obliczu niebywałego unicestwienia pojedynczych osób i całych narodów, bezlitosnego, nihilistycznego zakwestionowania humanistycznej tradycji oraz nieubłaganej postępującej sowietyzacji polskiego społeczeństwa. Wpierw – odprawiając poetycki obrzęd dziadów – Miłosz zwracał się do zmarłego przedstawiciela młodszego pokolenia poetów warszawskich, jednego z członków grupy „Sztuki i Narodu”. Rozmowa staje się gorzką polemiką z poetyckim oraz ideologicznym programem tej grupy, która humanizm uważała za anachronizm, „żegnanie epoki” liberalnych wartości – „za początek nowej”, podporządkowanej dyktatowi ideologii skrajnie prawicowej, „Natchnienie nienawiści za piękno liryczne / Siłę ślełą za dokonany kształt”<sup>6</sup>. Szczególnie bolesne jest to, że ci utalentowani, młodzi poeci, zaczadzeni nienawiścią do wroga oraz faszystowską ideą „siły” rzekomo zmieniającej świat, złożyli swoje życie w bezowocnej ofierze.

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 1, Kraków 2001.

<sup>6</sup> Tamże.

Ale dalej zawierała się w cytowanym pytaniu pośrednia polemika z poezją socrealistyczną, podporządkowaną propagandzie czyli „współnictwu urzędowych kłamstw”, poezją zdegradowaną do „piosenki pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardło” albo błahą, służącą rozrywce – „czytanką z panieńskiego pokoju”. Program ocalenia stawał się zatem rozpaczliwą obroną przed zapadaniem w nicość i zapomnieniem ludzi, wartości i przedmiotów, którym jedynie, nader kruche, ulotne trwanie, zapewnia poetyckie słowo (warto przypomnieć maksymę Miłosza: „Co niewypowiedziane zmierza do nieistnienia”). Był ten program ponadto obroną godności samej poezji, zakłamaney, ideologicznie zinstrumentalizowanej na prawicową czy lewicową modłę, a także wtrąconey w przeraźliwy banał przez reguły socrealizmu.

Krynicki, pisząc swój wiersz, miał już za sobą doświadczenie sowietyzacji, przeżył swoje życie w PRL. Ale bliższa mu była zarazem tradycja inna, obca Miłoszowi – tradycja awangardy. Dlatego obok zabarwionego ironią, sceptycyzmu wobec maksymalistycznego programu wielkiego poprzednika, by ocalić, co skazane na zniknięcie, dochodzi tutaj także do głosu niewiara z mimetyczną wagę języka. On ocala jedynie, zapisane w zawodnej pamięci „cienie ludzi i rzeczy”. Program Krynickiego brzmi inaczej. Poezja, jak powiada, „czym więcej być może, jeżeli nie trwożnym / jak bicie śmiertelnego serca, / silniejszym od lęku przed nędzą i śmiercią / głosem / sumienia?”. Wzmacnia zatem moralistyczny sens przesłania Miłosza, a zarazem etycznemu wymogowi nadaje sens bardziej heroiczny, uwewnętrznia go i przeciwstawia zbiorowości. Bo „narody i ludzie” nie zawsze godni są ocalenia, wywołują także „niehumanitarne wojny”, organizują „pogromy”. Ale nawet wówczas „nie potrafią zniweczyć” poezji pojętej jako głos indywidualnego sumienia. Zastanawia przy tym, że ten wiersz nie znalazł się w tomie *Wierszy wybranych*. Czy dlatego, że Krynicki uznał swoją polemikę z Miłoszem wyłącznie za dokument minionego czasu? Czy też z tego powodu, że również samemu – czego przytoczone poprzednio wiersze są wymownym świadectwem – zdarzało mu się ocalać „cienie ludzi i rzeczy”?

Wiersz *Grób Josifa Brodskiego*, otwiera cytat zaczerpnięty z *Nie więcej* Miłosza: „Gdzie bramę liże / tłuste morze”<sup>7</sup>. Swoją medytację o granicach *mimesis* Miłosz osnuł wokół obrazu Carpaccia *Weneckie kurtyzany*. Ale owo „tłuste morze” opływa także cmentarz na wyspie San Michele, miejsce ostatniego spoczynku rosyjskiego poety. Grób, odwiedzany przez miłośników i przyjaciół Brodskiego, którzy pozostawiają ślady obiat: „przewróconą szklankę z drobnymi monetami / pustą

---

<sup>7</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 2, Kraków 2002.

ćwiartkę po wódce (...)", „Plastikowy kubek pełen długopisów" (...) kamyki / jak na macewie" znajduje się „blisko Ezry Pounda / i Olgi Rudge". Co wydawało się odległym skojarzeniem, nabiera całkiem innego, uczuciowo intensywnego sensu. Związki międzytekstowe stają się dyskretnym śladem składanego wielkim poprzednikom hołdu, a zarazem – więzi między bliskimi sobie poetami.

W wierszu *Marzenia* z tomu *Wiersze głosu* pojawia się trawestacja początku *Dużo śpię*<sup>8</sup>. Na Miłoszowe: „Dużo śpię i czytam Tomasza z Akwinu / albo Śmierć Boga, takie protestanckie dzieło" – Krynicki odpowiada frazą:

Dużo spać i czytać świętego Tomasza z Akwinu.  
Albo chociaż raz  
wyspać się do syta, wyleczyć spojówki,  
napisać list bez skreślenia jednego skreślenia  
czytać, czytać.

Co było namysłem nad erozją chrześcijańskiej wyobraźni, medytacją nad bólem, którego źródło jest niedocieczone, a którego nie może uleczyć ani doktor medycyny, ani znachor, zamienia się w refleksję nad potocznym życiem i jego uciążliwościami. Wysoki ton zostaje zastąpiony mową potoczną, fundamentalne problemy drobnymi troskami, ale prywatność wyznania pozostaje. Jak gdyby mieszkaniac PRL uznawał, że problemy poety znad Zatoki San Francisco są dla niego niedosiężnym luksusem, ważniejsza okazuje się elementarna dbałość o zdrowie i wyężona lektura.

Szczególnie niezwykle jest nawiązanie Krynickiego do wiersza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*<sup>9</sup>:

...  
niemy,  
z zakrytą głową,  
stoję z kamykiem w ustach  
przed murem z ognia  
i zapomnienia  
*policzony*  
*do pomocników*  
*śmierci*

(*Fragmety z roku 1989*)

Mur z ognia to – najdosłowniej – Holocaust, Całopalenie. Ale także płonące warszawskie getto. I Ściana Płaczu w Jerozolimie. Wobec porażającej zbrod-

<sup>8</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 3, Kraków 2003.

<sup>9</sup> Zob. Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 1, Kraków 2001.

ni ludobójstwa przystoi milczenie. Ale wobec zapomnienia o tej zbrodni? W wierszu Miłosza przemawia chrześcijanin, który wyobraża sobie, że jego trup mógłby się mieszać z trupami Żydów i Niemców, ofiar i katów. Trupy, pozbawione zostają malowniczej romantycznej aury, pociągającej estetyczną ambiwalencją makabry – są już tylko rozkładającymi się zwłokami, mięsem i kośćmi, pracowicie pochłanianymi przez owady. Następuje ostateczna i nieodwołalna degradacja – po końcu świata zwycięża wszystkożerna, obojętna przyroda. Nie ma miejsca na Boga – jego miejsce zajmuje „strażnik-kret”, którego „powieka obrzmiała jak u patriarchy”. Nie ma także miejsca na ostateczne wyrównanie ziemskich rachunków. Pozostaje lęk, by chrześcijanin nie został policzony „między pomocników śmierci / Nieobrzezanych”. Lęk tym dotkliwszy, że dotyczący bezpośrednio, nie znajdujący ukojenia w wierze w Sąd Ostateczny. Jak pisał w komentarzu do tego wiersza Jan Błoński, „Można być współ-winnym, nie biorąc udziału w zbrodni. Najpierw przez zaniechanie czy przeciwdziałanie niedostateczne (...) jeśli nie wzięliśmy udziału w tej zbrodni, to dlatego, że byliśmy jeszcze trochę chrześcijanami, że w ostatniej chwili pojęliśmy, jak szatańskie to było przedsięwzięcie... Ale od współ-winy wcale to nas nie uwalnia”<sup>10</sup>. Słowa te, jak wiadomo, wywołały gorącą dyskusję i gwałtowne ataki na ich autora, oskarżanego – zwłaszcza przez środowiska prawicowe – o kalandriactwo i kalanie dobrego imienia Polaków, rozdymanie problemu, zapomnianie o historycznych okolicznościach itp. Krynicki, lęk przed oskarżeniem zastępuje empatyczną identyfikacją z ofiarami, spokojnym i pokornym uznaniem współ-winy, zgodą na to, że jest „policzony do pomocników śmierci”.

\*

W dialogach Krynickiego z Herbertem i Miłoszem tyleż zastanawia dobór przywoływanych wierszy, co osobisty stosunek poetów. Na poetyckich spotkaniach Krynickiego z Herbertem dużo zapewne zaważyły ich coraz bliższe, prywatne kontakty. Stąd poruszające dyskretną czułością wspomnienie starożytnego poety, który w zimną noc stanu wojennego karmi na balkonie synagarylice. Utyskiwań Juliana Kornhausera na poezję Herberta, zarzutu, że „Rzeczywistość Herberta jest zastygłym światem świętyń, obrazów, ksiązek i mitów”<sup>11</sup>, Krynicki może nie w pełni nie podzielał, ale czy w skrytości ducha nie przyznawał im choć trochę racji? Przynajmniej do chwili ukazania się tomu *Pan Cogi-*

<sup>10</sup> Jan Błoński, *Biedni Polacy patrzą na getto*, Kraków 1994.

<sup>11</sup> Zob. Julian Kornhauser, *Herbert: z odległej prowincji* [w:] Julian Kornhauser, Adam Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, Kraków 1974.

to. Podobnie jak jego rówieśnicy Krynicki chciał opisywać świat nie przedstawiony, bo przed jego przedstawieniem tyleż broniła wszechwładna cenzura i autocenzura, co dotychczasowe wzory poezji, milcząco przyjęte za obowiązujące. Może zatem *Pan Cogito* był dla Krynickiego tak szczególnie ważny, bo pomimo obcej mu poetyki zawierał – powtarzane później przez całą opozycyjną inteligencję – przesłanie: „Bądź wierny” – wbrew wszelkim, mnożącym się przeciwieństwom, zastrzeżeniom, wątpliwościom i rozterkom – elementarnemu, wewnętrznemu etycznemu imperatywowi? Podobnie osobiste przywiązanie szło u Krynickiego w parze z podziwem i szacunkiem dla moralnej postawy samego Herberta.

Z Miłoszem było inaczej. Wiersze nie zdradzają tak bliskiego i osobistego związku obydwu poetów. Trudno go sobie zresztą wyobrazić, skoro noblista do 1989 roku przebywał na emigracji, tylko raz odwiedził ojczyznę w 1981 roku. Są to zatem kontakty, które zdają się opierać wyłącznie na lekturach. Te w sposób wymowny obrazują dzieje recepcji wierszy Miłosza u młodszego pokolenia. Najważniejsze było z pewnością, wydane w 1945 roku i dostępne w bibliotekach, *Ocalenie* – z niego pochodzi większość przywoływanych tekstów. Potem pojedyncze utwory docierały z trudem – za pośrednictwem wydań emigracyjnych i reedycji drugiego obiegu. Wymowne są daty. Cytat z wiersza *Dużo śpię*, zamieszczonego w tomie *Gucio zaczarowany* (1965), pojawia się dopiero w tomie *Wiersze, głosy* z roku 1985. Cytat z wiersza *Nie więcej*, z tomu *Król Popiel i inne wiersze* (1962), pojawia się z wierszu *Grób Josifa Brodskiego* z tomu *Kamień, szron* z roku 2004. Reminiscencja z okupacyjnego wiersza Miłosza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* powraca pod piórem Krynickiego dopiero w 1989, w cyklu *Fragmenty*, zamieszczonym w tomie *Kamień, szron*. Jaki stąd wniosek? Że poezja Miłosza jest w pamięci Krynickiego stale obecna, ale wybór tych wierszy jest – co rozumiacie – kapryśny, poddany potrzebie chwili albo, kto wie!, natręctwie powracającej w pamięci celnej poetycko frazy. Najbardziej zdają się przemawiać do wyobraźni autora *Niepodległych nicości* wcześniejsze wiersze Miłosza. Uderza prawie całkowita nieobecność odwołań do twórczości noblisty po latach sześćdziesiątych. Późna poezja Miłosza przestała Krynickiego interesować czy inspirować? Nie do końca, skoro w jednym z dalej cytowanych wierszy występuje nawiązanie do *Nieobjętej ziemi*. Jakkolwiek by było, niewątpliwie spotkał się z Miłoszem we wspólnym podziwie dla haiku, a szczególnie dla wierszy Issy.

Zdumiewające, jak dalece międzytekstowa sieć może zawęzić się w jeden gęsty splot! W wierszu *Kogo pociesz* całkiem nieoczekiwanie spotykają się wielki romantyk i jego dwudziestowieczny następca z japońskim poetą buddyźmu zen:

„*Uciec z duszą na listek...*”

Kogo pociesz  
Zdanie z metalu?  
Wolę czytać na listku  
Wiersz ślimaka, Issa,  
Który już raz, po stuleciach  
Przyniósł mi pilną wieść

Z wolnego świata.

Fragment *Liryku lozańskiego* Mickiewicza, sąsiaduje z cytatem zamykającym *Nieobjętą ziemię* Miłosza: „Zamieszkać w zdaniu, które byłoby jak wykute z metalu”<sup>12</sup>, co stanowi oczywiście nawiązanie do Horacjańskiego *Exegi monumentum*; formuła „raz, po stuleciach” zdaje się być echem frazy ze *Sroczości* Miłosza; Issa pojawia się w wierszu Miłosza *Czytając japońskiego poetę, Issa* (1762–1826) z tomu *Hymn o Perle* (1982) oraz powraca w kilku wierszach Krynickiego: *Issa*, *Wysoko zaszedłeś* oraz *Jak mogłem*. Jakby powstawała zatem ponadnarodowa, ponadpokoleniowa i ponadczasowa konfraternia poetów. Najmłodszy z nich, polemizując ze znakomitymi poprzednikami, ponad mistyczne wzloty ducha i wiarę w wiecznotrwałość sztuki poetyckiej zdaje się przedkładać – potrzebę wolności, medytację nad tekstem natury i naturą tekstu, a także bliski Zen odmienny niż w kulturze Zachodu stosunek do trwania i upływu czasu. Zastąpienie Mickiewiczowskiej duszy ślimakiem wydaje się na pozór ironicznym, przewrotnym zabiegiem. Przeciwstawieniem tego, co konkretne, zmysłowe, ziemskie – temu, co abstrakcyjne, duchowe, przynależne do sfery sakralnej. Na pozór, skoro „ślimak, Issa” jest tyleż bohaterem wierszy mistrza haiku, co jego symbolicznym upostaciowaniem. W tym podstawieniu można się zatem domyślić jak gdyby próby mediacji pomiędzy dwoma systemami religijnymi i dwiema kulturami.

Warto przypomnieć w tym miejscu, co na temat wierszy *Issa* oraz *Wysoko zaszedłeś* pisała Alina Świeściak: „Obydwa wiersze (Krynickiego i Issy) traktują o wędrówce ślimaka pod górę, ale inaczej akcentują sens tej wędrówki. Issa referuje nim buddyjską zasadę »niezdążania donikąd«, niespiesznego i bezcelowego ruchu (góra Fudzi nie jest bowiem celem, ale raczej symbolem życia jako wędrówki), Krynicki natomiast, wydobywając z historii ślimaka sens przemija-

<sup>12</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 3.

nia, z jednej strony mieści się w buddyjskim systemie myślenia o rzeczywistości, z drugiej jednak przekracza go, ponieważ uwaga o przemijaniu poczyniona jest w sposób właściwy dla człowieka Zachodu. Przyroda, a nawet cała rzeczywistość, w swoim powolnym, bezcelowym ruchu, w przekonaniu buddysty nie wymaga jakiegokolwiek interwencji (...) Krynicki, jak sądzę – łamię tę zasadę. Brak konsekwencji jest tu nie tylko pochodną bycia członkiem innej kultury, w warstwie wiersza warunkuje on przebieg gry, jaka toczy się pomiędzy tym, co składa się na wschodnią proveniencję gatunku, i tym, co konstytuuje zachodnią mentalność jego autora<sup>13</sup>.

Dodałbym, że rozdarcie pochodzi z nostalgii za takim światopoglądem, który polskiemu poecie nie jest dostępny nie tylko z uwagi na zasadniczą odmienność kultury, ale także z powodu politycznych ograniczeń. Najważniejszą misją „ślimaka Issy” jest przecież to, że przynosi „pilną wieść z wolnego świata”. Można to rozumieć w ten sposób, że medytacja nad naturą rzeczy staje się trudna, jeśli w ogóle możliwa, w warunkach politycznej opresji. Ale wolność, przyniesiona „po stuleciach” oznaczać także może wolność od wszelkich serwitutów, od szaleństw i głupstw historii, wolność suwerennego ja, kontemplującego odwieczny spektakl natury, jakim może być choćby poruszanie się ślimaka po liściu. Miłosz „po stuleciach” w spotkaniu ze sroką, „wynajduje spór o uniwersalia”. Dla Krynickiego ten spór zdaje się nie mieć już więcej znaczenia. Tradycja buddyjska, do której nawiązuje, stawia ów spór pod znakiem zapytania – podobnie jak unieważnia odwieczny podział na podmiot i przedmiot. Ale owa tradycja jest jedynie horyzontem usiłowań, bardziej dążeniem w jej kierunku niż prawdziwym spełnieniem.

Międzytekstowa sieć może zatem wzmacniać, ale także krępować. Podobnie jak słowa, z których się składa albo są wyrazem suwerennego głosu, albo tekstem zniewolenia przez totalitarne państwo. Służą własnej prawdzie, lub oficjalnemu kłamstwu. Jednakże, jak poucza ostatni przykład, sieć ta spełniać może także rolę terapeutyczną. Szczególnie dla poety z tej części Europy chroni przed słowem zniewolonym lub zdeformowanym, przed zgiełkiem polityki i trywialnością życia. Daje oparcie i umiejscawia w uniwersum światowej kultury. Wzbogaca mowę własną o rozmaite rejestry mowy cudzej. Jest formą ponadczasowego, ponadnarodowego i ponadkulturowego przekazu. Dzięki toczącemu się przez wieki dialogowi słowa kiedyś przez kogoś wypowiedziane, nabierają życia, skłaniają do ich zachowania, powtórzenia oraz ponownego przemyślenia.

---

<sup>13</sup> Alina Świeściak, *Przemiany poetyki Ryszarda Krynickiego*, Kraków 2003.



## MURIEL SPARK

przełożył Andrzej Szuba

### Duchy autorów

Myślę, że nocą przypełzają tutaj duchy  
Autorów, by straszyć śpiące regały,  
I znajdują napisane przez siebie książki.  
Nanoszą ostatnie, przedostatnie poprawki,  
Bywa, że zmieniają całe ustępy.

Pojawiają się nowe – skorygowane, przerobione stronicę;  
Tak sumiennie, nocami, ci autorzy  
Trudzą się nad swoimi starymi książkami.

Jak inaczej  
Wytłumaczyć fakt, że, być może,  
Po latach, czytelnik,  
Biorąc do ręki książkę... Czy tak tu było?  
Nie przypominam sobie... Skąd  
To zakończenie?  
Było całkiem inne.

O tak, bez wątpienia,  
Ktoś tu majstrował –  
Znać ingerencję samego autora, i tam, i tutaj,  
Gdzie jej wcześniej nie było, i,  
Co więcej, czegoś brakuje –  
Mogłabym przysiąc...

## Wyprawa do Sotheby's

To było wino. Poplamiła nim górną część stronicy,  
gdy niechcący przewróciła kieliszek. Szkoda tej kropli,  
powiedziała. Bo wino było świetne.  
A to kółeczko to ślad po filiżance. Wolał kawę niż herbatę.  
Te przepisane od nowa, poprzekreślane, skasowane stronicie  
to jego najważniejszy rękopis.

Tamtej zimy wynajęli niewielką farmę w Perthshire,  
żywili się owsianką i królikami kupowanymi za kilka pensów od wariata.  
Dzieci chowały się dobrze, a ona, codziennie, odbywała z nimi ciężką  
drogę do szkoły.  
Cieszył się, gdy dzieci mu nie przeszkadzały, ale podczas pracy nad  
książką  
Zawsze było mu zimno. To  
jego najważniejszy rękopis, ukończony w 1929.  
„Dzieci pobawcie się na dworze. Ojciec próbuje pracować.  
Ale nie zbliżajcie się do domu wariata”.  
Podnosił wzrok znad książki. „Wariat jest w porządku”.  
Co było prawdą.

Popołudniami przepisywała rękopis na maszynie. Patrzył na nią  
szczęśliwy.  
Najlepiej pracowało mu się nocami.  
„Czy ty nigdy nie pójdziesz do łóżka? Często się zastanawiam,  
czy ty ożeniłeś się ze mną, czy z tą przeklętą książką?”  
Poplamiona stronica po tylu latach jeszcze się lepi.  
Coś tłustego na stronie ostatniej.  
To jest ten rękopis, ukończony późną wiosną,  
pokreślony, z oślimi uszami; ten oryginał  
przeszedł przez ręce kilku literatów, podczas gdy  
fragmenty przepisane na maszynie znalazły się u wydawców.  
Jakaś ważna figura zaznaczyła jeden ustęp czerwonym atramentem  
i napisała na marginesie: „Jest pan *pewien?*”

Pięciu wydawców odrzuciło go mimo rekomendacji.

Szósty postanowił zaryzykować wyrzucenie pieniędzy w błoto dla samego prestiżu. Autor był trudnym typem. Jednak, w końcu, książkę przepchnięto.

Kiedy małżonkowie wyjechali na krótką wycieczkę do Francji, dziećmi zajęli się jej rodzice. Ten plik papierów, oryginalny rękopis, wylądował w nieszczelnym kufrze, gdzie zawilgł, spleśniał i zwinął się.

Autor zdobył sławę dopiero po piętnastu latach.

Wtedy dzieci były już dorosłe: Agnes została sekretarką w BBC, Leo – nauczycielem.

Pisarz zmarł w 1948, jego żona – w 1968.

Agnes wyszła za mąż, Leo ożenił się, mieli dzieci.

I teraz wnuki sprzedają rękopis.

Zbindowane i dumne, udokumentowane i skomentowane przez uczonych z całego kraju, wygładzone i cenne kartki papieru

jadą do domu aukcyjnego. Poplamione winem

i gulaszem, pachnące pleśnią papiery

jadą do Sotheby's. Zajmują przednie siedzenie

w renault, obok kierowcy.

Są ogólnokrajowym wydarzeniem. Jadą,

by w końcu zbić fortunę.

A kiedyś były takie skromne i wystrzępione, i doprawdy takie proletariackie.

Andrzej Georgiew



KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Powrót Mohla

(fragment powieści)

Najbardziej ciekawiły go skrajności: dobro i zło, światło i ciemność, ruch i bezruch, mówienie i milczenie, i związki między nimi.

To wydarzenie, z głosem, skupiało je w sobie, łączyło w jeden tok i w walce odnosiło do siebie, przeciwstawiało i nakręcało przeciw sobie, z jednej strony wyjaśniając, a z drugiej plącząc.

Co nastąpiło i jak, to były jednak dwie różne kwestie.

Mohl nie miał gotowych formułek w wyjaśnianiu czy w próbach wyjaśniania tak jednego jak i drugiego. Niewiele rozumiał z otaczającego go świata, ale przynajmniej wiedział, że niewiele rozumie, a do tego był pojętny i uważny, i to była jego siła. Chciałby rozumieć więcej, ale rozumiał tyle, ile mógł, w danej chwili, ani mniej, ani więcej.

Bo jaka była droga Mohla i jakie było jego doświadczenie? Thorn, uśmiechając się, powiedział, że Mohl przebył długą i trudną drogę, ale wiadomo było, że nie była to długa droga i nie taka trudna, jakby się wydawało. Z doświadczeniem było podobnie. Może Kindze wydawało się, że Mohl ma doświadczenie większe od innych, ale jakie to było doświadczenie w porównaniu na przykład z Rothem lub z Thornem.

Dzieciństwo miał sielskie i anielskie, młodość górną i chmurną, tak to można od biedy nazwać. Kariera tenisisty, bo jednak kariera, chociaż nie za wielka, inni zaszli wyżej, ale był w pierwszej dziesiątce, a to już było coś. W liceum niczym specjalnie się nie wyróżniał: jedna miłość, druga, a nawet trzecia, jedno, drugie i trzecie zamieszanie, zmiana szkoły, powtarzanie klasy, ale w ostatnim roku zabrał się do pracy i zdał konkursowe egzaminy. Potem morze, kandydatka, pływanie, dobrze. Wojsko, no tak, to jednak była katastrofa, ale jakoś to przeżył, wyszedł z tego, na szczęście, obronną ręką. Miał tę właściwość, że nawet gdy

tkwił w środku czegoś beznadziejnego i niebezpiecznego, to jakby był obok tego, zamknięty w sobie i oddzielony, tak, potrafił być oddzielny.

Mocny był oścień, który go przeszywał i jego związki ze światem zewnętrznym były odpowiednio przefiltrowane, złagodzone i zabezpieczone, i było to widoczne.

Czy miało to zły, czy dobry wpływ na rozwój Mohla? Z punktu widzenia innych, niewtajemniczonych, pewnie miało zły. Ale przecież to ratowało Mohla i trzymało go na powierzchni, pozwalało stawić czoło nacierającej nawałnicy i nie poddawać się mocy, która niszczyła wszystko.

Thorn był jak mało kto wtajemniczony w świat Mohla. Wiedział, z kim ma do czynienia, z jak bardzo osobnym, a jednocześnie połączonym z innymi i tożsamym z samym sobą kimś i przez to cennym, przeznaczonym do trudnych, a nawet wielkich zadań.

Co najważniejszego było w dotychczasowym życiu Mohla? Czy były to sprawy związane z ciałem? Wyczyny sportowe? Seks? Raczej nie. A więc co?

Były trzy wydarzenia doświadczone wcześniej, w dzieciństwie, po przeżyciu których szedł już inną drogą i nie było od tego odwrotu. Ten sen z dzieciństwa, a właściwie zobaczona na granicy jawy i snu otchłań, w którą miał za chwilę być wrzucony, scena, też z granicy jawy i snu, z duchem dziadka, który ukazał się w nocy po jego śmierci i miłość babci. To i doznanie siły słów, w tym ogniu, sprawiło, że Mohl stał się tym, kim był, czujny, uważny i otwarty na zmiany, które zachodziły w nim i wokół niego i na przemiany, które w kolejnych odsłonach i cyklach dokonywały się w nim i wokół niego, na zewnątrz. Reszta to tylko dodawanie do tego lub odejmowanie, lepsze lub gorsze trwanie, zyskiwanie lub tracenie, w dziedzinie ducha i nie tylko, mniejsze lub większe dodatki i dopełnienia.

Czy wydarzenia, których z taką siłą doświadczył w dzieciństwie, nie zamały się i nie zatarły, nie były odległe i nie tak wyraziste jak kiedyś?

Nie.

Tkwiły w jego głowie i Mohl był z nimi za pan brat, chociaż już tyle czasu minęło, tyle lat, to one, wywoływane z pamięci, jakby coraz mocniej były z nim związane i umacniały się w nim, nie słabły i nie zamazywały się, a przeciwnie, wyostrzały się i nabierały wyrazistości.

Maszynę widział tak jak wtedy, a może jeszcze wyraźniej, także dziadka, ale teraz już nie bał się tamtego wiru i pustki, ani tajemniczej postaci, która nad nim stała gotowa do drogi. Cierpliwie czekał i patrzył z coraz większym spokojem i zrozumieniem.

A przecież doświadczył potem wielu różnych przygód i wydarzeń, przeżył niejedno, także w śnie i na granicy jawy i snu. Wiele z tych przygód i wydarzeń, chyba większość, zatarło się już lub pomału zacierało się w jego pamięci, a jeżeli je jeszcze pamiętał, to wydawały się coraz bardziej odległe od niego i obce, jakby nie były z jego życia, z jego historii.

I nie było tak, że Mohl często myślał o tych wydarzeniach, dla niego głównych i ważnych, i o dalszych, związanych z nimi, ciągach i skutkach. Nie potrzebował tego, tak mocno były w nim osadzone i ugruntowane. Można powiedzieć, że przywoływał je tylko w wyjątkowych chwilach i wtedy od razu odżywały w nim i zyskiwały nowy sens i kontekst, pokazując się na tym lub innym tle, ciągle się odnawiającym. Mohl tego nie wymyślał, to zdarzało się samo, jeśli w ogóle coś na świecie może zdarzać się samo.

Jedno oświetlało i dopełniało drugie, trwało w nim i na swój sposób rozjaśniało te i inne sprawy, wydarzenia i historie, o których była mowa wcześniej, a także te, które następowały. Te wydarzenia i wyniki z nich sytuacje i ciągi były dla Mohla coraz bardziej wyraziste, chociaż ciągle jeszcze niemożliwe do wyjaśnienia w jakiś prosty i racjonalny sposób.

Co znaczyły dla Mohla i dla innych, jaki miały na niego i na innych wpływ, jaki był ich charakter, do czego prowadziły, co stanowiły i co miało z nich wynikać?

Nie były to przecież majaki czy gry wyobraźni, jakie czas rozgrywa z przestrzenią lub rojenia, które wynikają z napiętych nerwów.

Mohl zadawał pytania i szukał na nie odpowiedzi. To, że odpowiedzi na niektóre z nich zaskakiwały go lub dziwiły, nie znaczyło, że były one nieprawdziwe lub prawdziwe, to nie było dobre kryterium.

Można było pytać i można było odpowiadać lub nie. I można było nie pytać, bo odpowiedzi same się nasuwały, jaśniej lub mniej jasno sformułowane, ale na tyle jasno, żeby pojmować je w ich blasku lub w ciemności, a niekiedy w szarości, która starała się je zacierać.

Do takich i im podobnych rozważań dobra była cisza. Ale i mówienie też było dla nich dobre, a może nawet, w niektórych przypadkach, lepsze, bo przecież Mohl ciągle jeszcze był na początku lub prawie na początku, bliżej środka.

Ważne było, kto zadawał pytania, a także kto słuchał i kto odpowiadał.

Ale pytania, a tym bardziej odpowiedzi mogły być po to, żeby wprowadzać w błąd i kierować na manowce. I było też tak, że z innej beczki były pytania i z innej odpowiedzi.

Ważne też było to, o co lub o kogo troszczy się ten, kto pyta. I nie chodzi tu o udawanie, o te gry i sztuczki, które toczą się jak świat światem, lecz o rzetelność, troskę i rozsądek, a w istocie rzeczy o prawdę.

Ileż to razy Mohl źle wychodził na tym, że był mniej uważny, niż zwykle, gdy nie skupiał się na słowach i na ich toku, gdy bez uwagi słuchał lub czytał i gdy jego głowa i serce nie pracowały na pełnych obrotach, to znaczy w danym czasie na pełnych.

I zastanawiał się, dlaczego tyle słów i fraz usłyszanych, czy przeczytanych szybko się zapomina, a niektórych nie i mają one wpływ na myślenie i postępowanie, działając z siłą i z mocą, tak w czymś dobrym jak i w złym. Nie dają się zagłuszyć lub wymazać i można powiedzieć, że toczą walkę na życie i na śmierć, jakby były poza wolą i świadomością. Skąd pochodzą, zastanawiał się Mohl, gdzie jest ich siedlisko, ich gniazdo?

Mohl niewiele wiedział o Thornie i niewiele o Rocie, chociaż o Thornie wiedział bez porównania więcej, z obserwacji i doświadczeń własnych i z obserwa-



cji i doświadczeń innych, bliskich sobie i dalekich, znajomych i nieznanym, można powiedzieć, że był to bardzo szeroki krąg. O Rocie wiedzano i mówiono mniej, ale za to chyba w bardziej jednoznaczny sposób.

Mohl szybko orientował się, czy ma do czynienia z czymś lub kimś ważnym, czy nie. Takie przeczucie, a nawet pewność miał od początku czy prawie od początku w związku z Thornem, także w związku z Rothem, chociaż nie były tak wyraźne jak z Thornem, nie od razu był ten sygnał i nie tak szybko zapaliło się światełko, tak w bezpośrednich relacjach jak i w ich relacjach z innymi, które mógł obserwować.

Dla Mohla ważne było to, jaką szli drogą, a także jaka była ich przeszłość i jaką przyszłość tym, co mówili i co robili, wskazywali. To dla Mohla był klucz. To i sposób ich postępowania. Dla Mohla treść i forma były nierozdzielne, połączone ze sobą, zawsze na siebie zdane, zależne od siebie i lepiej lub gorzej się uzupełniające.

Patrzył na chmury. Nie potrafił odróżnić ich rodzajów, chociaż lubił się w nie wpatrywać. Nie nazwy go interesowały, ale ich ruch, przepływ, kształty i przemiany.

To, co widział, podlegało zmianom, które przebiegały szybciej lub wolniej, z dnia na dzień, z godziny na godzinę lub z minuty na minutę, a nawet, gdy dobrze się przypatrywał, z sekundy na sekundę, chociaż zdarzały się i dłuższe okresy czasu, dni, tygodnie, miesiące.

I nie dotyczyło to tylko tego, co znajdowało się na zewnątrz, na przykład chmur, drzew, krzaków lub jakiejś innej roślinności, pogody, temperatury albo powstawania, rozjaśniania i zanikania światła, ale także to, co znajdowało się wewnątrz, w nim i wewnątrz innych ludzi, z którymi miał kontakt, a także z tymi, z którymi kontaktu nie miał, ale przecież mógł mieć, gdyby chciał, gdyby mu na tym zależało. Mohl był stały w swoich kontaktach i nie skakał z kwiatka na kwiatek.

Jak łatwo jest posłuchać wołania i pójść za nim i jak łatwo jest je zlekceważyć, a nawet sprzeciwić się mu, gdy już się je usłyszy w sobie lub obok siebie, jak łatwo, nad podziw łatwo.

Mohl żył, jakby był zamknięty w kapsule, do której jednak wiele przenikało i z której wiele znikało, z jego udziałem lub bez, z jego większym lub mniejszym wysiłkiem lub bez wysiłku, jakby od nikogo to nie zależało, bo i tak czy jego udział i wysiłek były większe, mniejsze lub żadne, to nigdy nie były decydujące, chociaż przecież to on i tylko on powinien decydować, co ma przeniknąć do jego środka, a co nie, do jego głowy, serca, duszy i świadomości, jakby to się nie nazywało, do środka i co ma w nim zostać, bo jest potrzebne, a co jest zbędne i niepotrzebne i powinno być, jak najszybciej, wyrzucone na zewnątrz.

Nie było to łatwe, ale dlaczego miałyby być łatwe, z jakiej racji, jak mówił Thorn, gdy Mohl żalił się, że coś jest dla niego za trudne.

Dobrze jest wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz, ale równie dobrze, jeżeli nawet nie lepiej jest wiedzieć, co i jak dzieje się wewnątrz nas, w środku. To tam właśnie może powstać jakieś wielkie zamieszanie i chaos i to tam, wewnątrz, może dojść do wielkiej katastrofy i doprowadzić do równie wielkiej katastrofy, na zewnątrz.

Jak to rozróżnić, czy ktoś spędza więcej czasu na zewnątrz niż wewnątrz siebie? Różnie z tym bywa. Na przykład Mohl większość czasu spędzał interesując się tym, co było na zewnątrz niego, chociaż, i trzeba to jasno powiedzieć, rozwijało się w nim i pogłębiało jego życie wewnętrzne.

Widział, że uwagę Rotha zajmowało głównie to, co było na zewnątrz i można powiedzieć, że czuł się w tym jak ryba w wodzie, chociaż dobrze był w swoim życiu wewnętrznym zadowolony.

A jak było w tej sprawie z Thornem? Przede wszystkim obecny był w swoim życiu wewnętrznym, ale miał częste wypadki na zewnątrz, to znaczy często uwagę kierował na świat zewnętrzny, w którym czuł się może nie tak dobrze jak Roth, ale tylko niewiele mniej dobrze, nie za bardzo mniej.

Umacniać się wewnątrz i umacniać na zewnątrz, to by dopiero było coś, myślał Mohl i wiele czasu spędzał na zajmowaniu się tym, co było na zewnątrz niego, ale też wiele ważnych budujących godzin spędzał zajmując się tym, co dotyczyło jego wnętrza, co ulokowane było w jego głowie, w jego duchu i w sercu.

Każdy z nich istniał w osobnym świetle i w mroku, a także w osobnej ciemności. A może światło było wspólne dla nich, tak jak jest wspólne dla innych, jeśli nie dla wszystkich? I może wspólna była dla nich także ciemność, tak jak wspólna jest dla innych, dla wszystkich? W tej kwestii było chyba mniej wątpliwości.

Od czego to zależało? Trudno powiedzieć. Może od wewnętrznego nastrojenia, od natchnienia lub jego braku albo od słuchu wewnętrznego, który się ma albo nie? A może zależało to od większego zainteresowania tym, co było na zewnątrz, niż sobą i swoim stanem rzeczy?

Raz na zewnątrz, raz wewnątrz, raz tu, raz tam, czy nie jest to wspólny los wielu, prawie wszystkich? Równie dobre godziny mogły być, gdy zajmowało się tym, co było wewnątrz jak i wtedy gdy, poświęcało się je światu zewnętrznemu.

Świat wewnętrzny i świat zewnętrzny, to dla Mohla było podstawowe rozróżnienie, chociaż widział, jak istnieją w ciągłym przenikaniu, w łączności i zależności.

Na przykład głosy były tak wewnątrz jak i na zewnątrz, tak samo światło, szarość i ciemność, wiele tego było.

Weszła dziewczyna ubrana w kusy strój i chodziła po pokoju na długich i chudych nogach, przechylając się to w prawo, to w lewo. Była to pewnie służąca, miała jasne krótkie włosy, chodziła i przyglądała się meblom i sprzętom, może patrzyła, czy nie ma na nich kurzu. Ale Mohl czuł, że jest skupiona na nim, że czeka na jego słowo czy ruch, na rozpoczęcie czegoś między nimi.

Widział ją pierwszy raz i nawet podobała się mu, chociaż nie była w jego typie. Ale czy Mohl miał jakiś jeden typ? I tak i nie, bo i w tej kwestii ciągle jeszcze nie było to coś pewnego.

Krążyła i kręciła się po pokoju i po kwadransie wyszła tak cicho, jak się pojawiła. I zaraz, drugimi drzwiami, weszła druga, też pewnie służąca, bo zachowywała się tak samo jak poprzednia i podobnie do niej była ubrana, czy raczej rozebrana i tak jak tamta podobała się Mohlowi. Była to brunetka, miała długie i gęste włosy. Podobała mu się nie tak bardzo jak poprzednia, ale również mu się podobała, widział ją pierwszy raz. I też czuł, że jest skupiona na nim, że czeka na jego słowo czy ruch licząc, że się nią zainteresuje i że da jakiś znak.

Ale Mohl zajęty był swoimi myślami, które kręciły się wokół niego, głównie wokół niego, chociaż przecież nie tylko.

Teraz powinna pojawić się ruda, pomyślał albo jakaś w jeszcze innym kolorze, ale się nie pojawiała. Pewnie tu wróca, jedna lub druga, może pojawi się trzecia, a może wejdą wszystkie naraz, puszczał wodze wyobraźni i ponad to nic więcej nie pojawiało się w jego głowie.

Zamknął oczy i po chwili ciemności zobaczył jak w świetle idzie razem z Thornem, ramię w ramię, krok w krok, w tym samym rytmie, nic nie mówiąc, bez słów lub mówiąc coś albo słuchając, razem, z jego słowami w głowie i z krótkimi na nie reakcjami i znowu w milczeniu, ramię w ramię i krok w krok.

I chociaż już od tyłu dni nie utrzymywał z nim bezpośrednich kontaktów, co przecież działo się nie raz w przeszłości, to jednak, w sumie, więcej czasu utrzymywał z nim bezpośrednio kontakty, niż nie. A wtedy gdy nie utrzymywali ze sobą kontaktów, to i tak Thorn obecny był w jego życiu, w jego pamięci i w świadomości.

Mohl ciągle był czymś zajęty, ciągle do czegoś dążył lub się do czegoś przygotowywał, ale działo się to w jakiś niepełny sposób i niespiesznie, jakby liczył na to, że dobry czas dla niego dopiero nadejdzie, że to, co najlepsze ciągle jeszcze jest przed nim, chociaż to już był jego czas, najlepszy, lepszy lub gorszy, ale przecież dany mu właśnie teraz, bezpowrotnie.

Dla Mohla wszystko było na chwilę: pokój na wieży, kontakt i brak kontaktu z Thornem, Roth, kontakt i brak kontaktu z matką, spotkania z Kingą, studia, całe jego trwanie. To wszystko było chwilowe, w zawieszeniu, nie przeżywane i rozgrywane do końca, tak to czuł i ani chciał, ani mógł to zmienić. Ciągle nie był w sednie, tak to rozumiał.

Wszystko co było, przeminęło i co z tego zostało? Maria? Marta? Małgorzata? A przecież były i inne, niewiele ich było, ale były. Tenis? Wzmocnił go fizycznie. Szkoła Morska? Katapuła. Wojsko? Prawie katastrofa. Czekał, czekał cierpliwie i niecierpliwie, nie wiadomo na co. Nie czuwał, ale czekał. Studia? Stan zawieszenia. Literatura? Tak, ale w niej ciągle jeszcze nie był, nie był jeszcze w jej środku. Co dalej?

Do czego dążył? O czym marzył? Co zamierzał?

Jego sytuacja w schronisku była niejasna i może było to jej zaletą. Mogło go tam nie być i tak było to bez większego znaczenia. Z nadzorcą prawie się nie widywał, nie miał tam prawie żadnych obowiązków. Ani on szukał Mohla, ani Mohl jego. Nie było takiej potrzeby, a tym bardziej konieczności. Spotykał go na schodach, w drzwiach lub na korytarzu, witali się, co najwyżej zamieniali kilka słów i tyle.

A świat zewnętrzny wymagał uwagi i odwagi, jednego i drugiego, tak widział to Mohl. I musiał liczyć się z tym, jeżeli chciał iść dalej, a Mohl mimo wszystko jednak chciał iść dalej, w znane i w nieznanne, do celu.

Bodźce, które do niego dochodziły z zewnątrz, niekiedy były mocne, a nawet natarczywe, ale były też słabe i delikatne i jedne nie były lepsze od drugich, były równie ulotne, chociaż powtarzały się, w różnych odstępach czasu.

Ktoś czegoś od niego chciał, czegoś oczekiwał, był plan, chociaż nie było terminów i ustaleń i były też słowa i zbudowane z nich teksty i niektóre z nich nie były tak niejasne jak tamto, co docierało do niego bezpośrednio z zewnątrz.

Coś było ważne, coś nie lub mniej, a jeszcze inne zupełnie nie, chociaż zwracał uwagę na wszystko, co pojawiało się w jego orbicie.

Tym, co rzucało wiele światła na Thorna, było miasto i to samo dotyczyło Mohla. Trudno było oddzielić Thorna od miasta, zobaczyć ich osobno, bez związku. Thorn i miasto byli, w głowie Mohla, nierozłączni, tak jak Mohl i miasto, w głowie Thorna, i nie tylko w jego.

Miasto dla Mohla rzucało światło na wszystko, na cały świat. Dla niego istniało miasto i świat, tak to widział. I Thorn istniał w tym świetle, pokazywał się w nim i krył się w nim, tak to widział Mohl.

Także poza tym miejscem Thorn dla Mohla istniał w jego świetle, w świetle miasta. Może nie zawsze tak było i nie zawsze Thorn był na pierwszym planie, ale to się utrzymywało, było w nim zakorzenione, na stałe.

Co Mohl jadł? Najlepiej odżywiał się, gdy jeszcze żyła babcia. Przy matce już odżywiał się gorzej. Na statkach, w szkole czy w wojsku różnie bywało, wiadomo, jaka to była kuchnia. Potem trochę dbała o jego jedzenie Kinga, ale też nie wypadło to dobrze, na pewno o wiele gorzej w porównaniu z babcią, a nawet gorzej, chociaż niewiele gorzej, w porównaniu z matką.

Kinga raz po raz przychodziła mu na myśl, Mohl myślał czasami o Kindze. Gdy uciekał od Thorny, pomyślał o niej i w akademiku i wtedy, gdy był już w tarapatach i u Rothy, tak, u Rothy też myślał o Kindze.

Kim była dla niego Kinga? Czy wiele znaczyła, co do niej czuł i czy wiązał z nią jakieś nadzieje? Długo znali się tylko z widzenia, ale jak już się poznali, to sprawy potoczyły się szybko, może nawet za szybko, chociaż działo się to głównie z jego inicjatywy, ale z jej też. Przypominała mu dziewczynę, którą zobaczył z budy wojskowego samochodu, którym gdzieś go wieźli. Szła środkiem chodnika z głową podniesioną do góry, w promieniach wschodzącego słońca i nawet nie spojrzała w jego stronę, a on wpatrywał się w nią jak urzeczony i nie mógł oderwać od niej oczu. Nigdy potem już jej nie zobaczył. Pojawiła się i zniknęła, jak piękny sen.

Mohl zastanawiał się, co powiedziała Kinga, gdy była u niego ostatnim razem. Zawsze tylko strzępy zostawały mu z jej słów, na ogół nie pamiętał tego, co mówiła, chyba, że było to coś wyjątkowego, co mogło dotyczyć jego lub ich przyszłości, w jakiś ważny sposób. Kinga na szczęście nie mówiła dużo, dobrze w tym stosowała się do oczekiwań Mohla. On też nie mówił dużo, chociaż zdarzało się, że mówił dużo, ciągle coś działo się w jego głowie.

Biedna głowa Mohla.

Ale jego to nie męczyło, jemu to nie przeszkadzało. Kinga dobrze pasowała do jego sytuacji, chociaż wcale nie było pewne, że nadal będzie pasować do przyszłej, jakakolwiek by ona nie była.

Czy stan umysłu i stan uczuć Mohla zależały od sytuacji, w jakiej się znajdował? I tak i nie, nie było to możliwe do jasnego rozstrzygnięcia.

Znajomość Mohla i Kingi to już jednak była jakaś historia. Ciągle jeszcze nie długa, ale i nie krótka, można powiedzieć, że w sam raz. Widział ją, stojącą przed drzwiami na dole, patrzył na nią z góry i nigdy długo nie zastanawiał się, czy ma ją wpuścić, czy nie. Dzwoniła, szybko schodził na dół, otwierał drzwi i widział ją z bliska, stojącą na progu, robił dwa, trzy kroki do tyłu i ona przekraczała próg i wchodziła do środka.

Witali się i wchodzili do góry. Ona szła pierwsza i Mohl, który szedł za nią, obserwował jej ruch, jej wchodzenie. Zatrzymywała się na podeście i spoglądała na niego, on uśmiechał się i po chwili ruszali dalej.

Gdy weszli na górę, siadali w pokoju, z którego było wejście do pokoju na wieży. Mohl otwierał butelkę wina. Było to najczęściej czerwone wino włoskie, wytrawne, łagodne w smaku i niedrogie. Siedzieli obok siebie i Mohl patrzył na nią, a ona patrzyła na niego, a także patrzyli w stronę okna, które wychodziło na niebo i na chmury, na południową stronę.

Siedzieli, pijąc wino i rozmawiając, bo jednak raz po raz odzywał się Mohl, a niekiedy odzywała się ona. Pili z kieliszków, które Mohl specjalnie na te okazje kupił u handlarza starzyzną Pod Arkadami.

Całowali się, tak, były także i pocałunki. Mohl wolałby mocno przywrzeć ustami do ust i trwać tak długo, jak się tylko dało, lecz to nie udawało się im, nie wychodziło, bo Kinga, gdy już leżeli w łóżku, najczęściej ona na nim, chociaż niekiedy zdarzało się i odwrotnie, całowała go krótkimi i gorącymi pocałunkami w usta, w nos, w policzki, w czoło i w szyję, a także w uszy i włosy. Żar tych pocałunków nie trwał długo, ale Mohl dobrze je pamiętał, lubił je, czekał na nie i tęsknił za nimi.

Leżała na Mohlu i można by powiedzieć, że była jakby z nim zrośnięta, gdyby tak się nie wierciła do przodu, do tyłu i na boki, podnosiła się do góry i ściągana przez Mohla opadała na dół, na niego, lekko i delikatnie i znowu mocno do niego przywierała.

Stanowili jakby dwie części tego samego ciała, dopełnione sobą i ze sobą zespolone, chociaż przecież tak bardzo się od siebie różnili, że można powie-

dzieć, że byli jak woda i ogień. Kinga – woda, Mohl – ogień, a może odwrotnie, ale nie, chyba jednak tak, właśnie tak.

Mohl krzyżował jej ręce na plecach, gdy leżała na nim i przytulał ją do siebie albo, gdy na nim siedziała, ściągał ją w dół, do siebie i przyduszał tak, że uległa przywierała do niego. A bywało też, że siedziała na nim, okrakiem i chyba nigdy nie zdarzyło się odwrotnie, że to Mohl siedział na niej, okrakiem, no, może kilka razy, nie więcej.

Mohl ścisnął jej ręce z tyłu tak, że jej prawą dłoń trzymał mocno w swojej prawej dłoni z jej lewej strony, a lewą w lewej z prawej, na krzyż. Czuł nacisk z góry i sam ten nacisk zwiększał, ściągając ją jeszcze bardziej w dół, do siebie. Siedziała na nim, okrakiem, z rozstawionymi udami i rozłożonymi kolanami, jak na grzbiecie konia, chociaż Mohl leżał na plecach i podskakiwała to w górę, to w dół lub kiwała się do przodu i do tyłu lub na boki, to w prawą stronę, to w lewą.

Trwało to prawie dwadzieścia minut, może krócej, może dłużej, ale nie dłużej niż czterdzieści pięć, w większości przypadków nie dłużej.

Jak to się rozkładało w czasie? Jej leżenie na nim od około trzech do dziesięciu minut, pocałunki od pięciu do dziesięciu, ściśnięcie rąk około pięć, jej ruchy około sześć, siedem i koniec.

Tak to się odbywało, rytmicznie.

Raz na tydzień, najczęściej w piątki, ale i częściej, bywało, że i dwa dni pod rząd albo nawet trzy, a potem była przerwa, dłuższa lub krótsza i znowu wracali do tygodniowego rytmu, który, jak już zostało powiedziane, raz po raz się załamywał.

Nie było to ani namiętne, ani nie było nienamiętne, bo było i namiętne i nienamiętne, na przemian, jakby powściągane i w ten sposób ratowane przed jakimś niegodnym człowieka szaleństwem, przed zatraceniem się w wirze namiętności, w spazmach i utratkach świadomości. Na to ani Mohl, ani chyba Kinga nie chcieli sobie pozwolić, zresztą takie zatracanie się nie leżało w naturze Mohla, a czy leżało w naturze Kingi, nie wiadomo.



Mohl nie miał w tym czasie innych partnerek, a i Kinga w tym czasie prawdopodobnie nie miała innych partnerów, oprócz Mohla.

Czy Mohl kochał Kingę i czy Kinga kochała Mohla? Trudne pytanie, a właściwie dwa. Niełatwo jest na nie odpowiedzieć, więc zostawmy je tak, bez odpowiedzi.

Chyba pasowali do siebie, skoro byli ze sobą, ale na dłuższą metę raczej nie pasowali do siebie, chociaż tego nie wiedzieli, tak jak nie wiedzieli, czy do siebie pasują.

Dlatego nie ztracali się w tym związku, a przynajmniej tak się im wydawało, że się nie ztracają. Wcześniej kochali się w różnych innych pozycjach, ale od pewnego czasu ustalił się taki zwyczaj między nimi i trwali w nim, jakby obawiali się, że zmiany mogłyby im wyjść na gorsze lub na lepsze, co by i tak na jedno wychodziło.

Patrzyli na zegarki i po około siedemdziesięciu minutach rozstawali się ze sobą. Kinga wstawała z Mohla i ubierała się. Mohl mówił, żeby poszła się umyć, ale ona mówiła, że nie potrzeba, więc Mohl potem już nic nie mówił, wychodzili na zewnątrz, po trzech stopniach schodzili do pokoju, siedzieli tam jeszcze piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut, pili wino i zamieniali ze sobą kilka słów. Nie patrzyli na siebie tak często i uważnie jak na początku spotkania, mówili coś, kilka banalnych zdań, jakieś uwagi, pytania, odpowiedzi i Mohl sprawdzał ją na dół, schodząc za nią po kolejnych stopniach i podestach.

Żegnali się w sieni, Kinga otwierała drzwi, przechodziła próg i po trzech schodach schodziła na chodnik. Mohl jeszcze przez chwilę patrzył na nią, zamykał drzwi i wracał do siebie, na górę.

Nie było większych napięć i spięć między nimi. Coś ich jednak do siebie ciągnęło i ściągało – Mohla do Kingi i Kingę do Mohla, w tej lub w innej kolejności.

Mohl miał swoje zalety, niewątpliwie, ale czy były to zalety w oczach Kingi? Może ważne dla niej było to, że był od niej o kilka lat starszy? Może Kinga lubiła starszych partnerów? Ale czy to był ważny powód, żeby się z nim wiązać?

Lecz dlaczego mówimy o związku? Czy rzeczywiście był to związek? A jeśli był, to jaki? Było to niejasne. I może Kindze właśnie to się podobało?

Mohl nie był przecież uwodzicielem. A czy Kinga była uwodzicielką? Może była, może nie, lecz bez wątpienia, widział to Mohl i pewnie wiedziała to ona, robiła na mężczyznach wrażenie, niekiedy nawet duże. Tak to wyglądało. Była zmysłowa, miała w sobie coś seksownego, a do tego była pusta.

To wspomnienie z wojska ciągle było w nim silne, tkwiło w nim i łączyło się teraz z Kingą. Czy mieli, oprócz tych spotkań na wieży, jakieś inne przeżycia, które by ich łączyły, umacniały i spajały? Raczej nie, chyba nie.

Mohl nie miał wiele do powiedzenia na temat Kingi ani sobie, ani jej, ani innym. Nic specjalnie ważnego, czy ciekawego. A przecież mógłby powiedzieć o niej kilka dobrych słów, bez specjalnej przesady i entuzjazmu stwierdzić to, czy tamto, na przykład że potrafiła być miła, umiała troszczyć się o niego, nie narzucała mu się, nie miała większych próśb czy żądań. Czego więcej mógł od niej oczekiwać Mohl?

Tak, były bariery między nimi, ale czy to nie jest tak zawsze pomiędzy ludźmi? Czy można w takich kontaktach czy związkach obywać się bez barier? Zdaniem Mohla nie.

I jeśli ktoś pytał go o Kingę, to mówił o niej tylko dobre rzeczy, bo nie miał powodów, żeby mówić złe, a może nie chciał. Trzymała się ich niepisanej umowy, a to już było coś, dla Mohla i pewnie dla niej, dlatego panowały między nimi takie stosunki.

## EDWIN MORGAN

przełożył Andrzej Szuba

### Glasgow

Kiedy powiedziałem Morven  
o śmierci Johna,  
uściskała mnie z taką  
czułością, że pomyślałem:  
nie jestem tak całkiem  
sam, nie tak  
całkiem, choć może  
tak wyglądało.

### Rovaniemi

„Trzymaj się mocno!” – wrzeszczał,  
więc przywarłem do niego.  
Skibob śmigał po naszym  
zamarzniętym jeziorze,  
a my wyliśmy z zachwytu, tandem  
w futrze sklonowany szczepiony  
centaur-cyklista ze świstem  
ciął w powietrzu magiczne koła,  
lapońskie płatki śniegu  
całowały nam twarze.

## Rutherglen

Przez pewien czas droga  
ze szkoły do domu  
zdawała się nie mieć końca.  
Mój zły duch,  
mój dręczyciel o nazwisku,  
nomen-omen, Młot,  
szedł za mną, zasadzał się na mnie  
i okładał, okładał pięściami,  
nigdy nie mówił dlaczego.  
Próbowałem różnych tras,  
ale ich liczba też jest skończona.  
Uwielbiał zimę, rzucał we mnie  
kamieniami oblepionymi śniegiem.  
Nie żebym płakał.  
Ale nigdy nie mówił dlaczego.

## North Berwick

Działo się to na plaży w North Berwick,  
miałem wtedy jakieś dwanaście lat,  
widziałem, jak nagle  
ogromna wściekła fala  
grzmotnęła  
pływakiem o dno,  
a potem z hukiem wyrzuciła go  
sponiewieranego na piasek.  
Przybiegli jacyś amatorzy,  
żeby wypompować z niego wodę.  
Siny; za późno.  
Mój pierwszy trup.

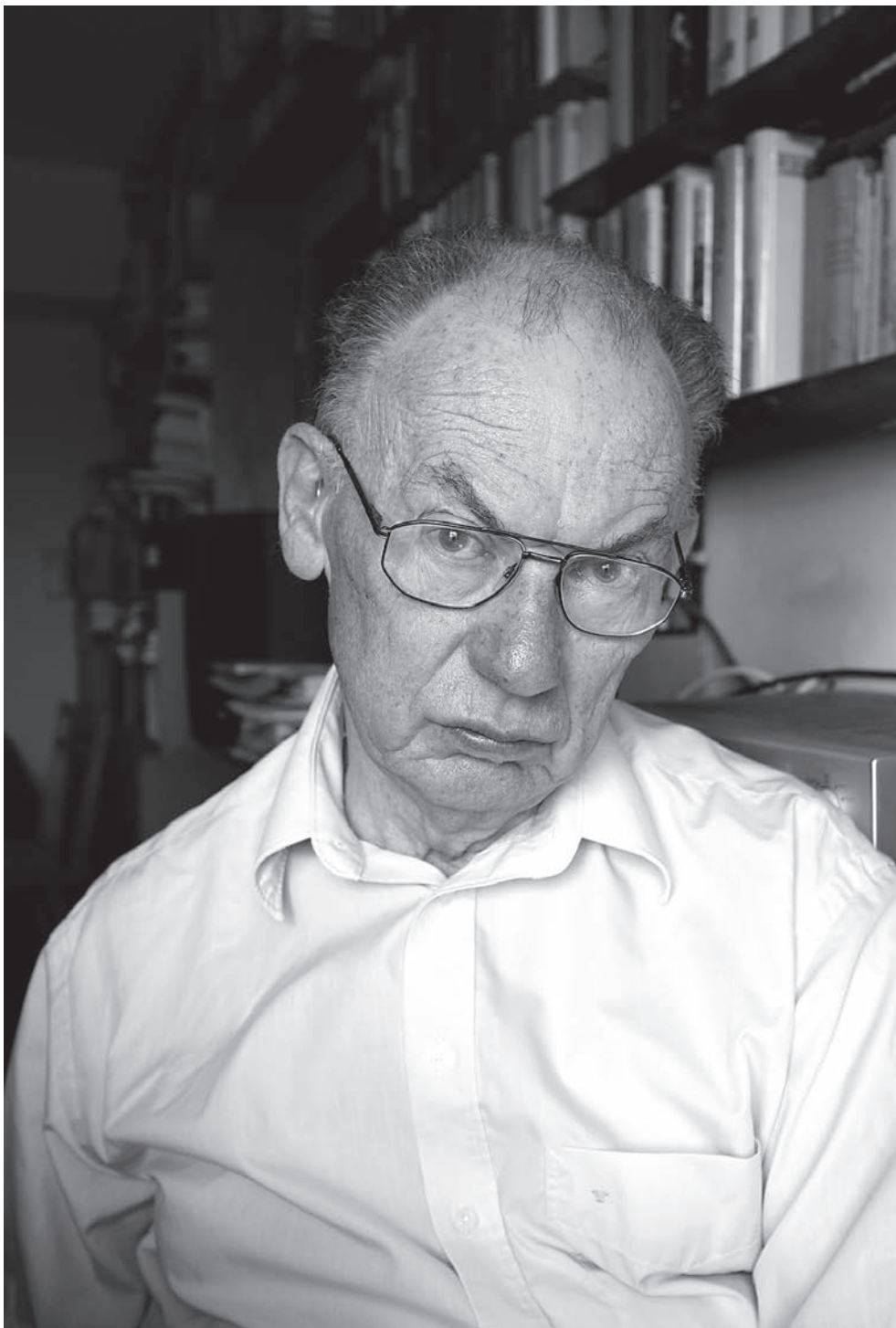
## Blantyre

Sydney Graham  
siedzi w łóżku  
w rozchełstanej  
piżamie  
i rozrywa zębami  
ściskany oburącz stek:  
poeta prywatnie.  
Patrzyłem zafascynowany,  
jak deszcz chrząstek  
pada na pościel.  
„Chryste!” – wrzasnęła Nessie.  
„Przecież mamy talerz!”

## Rutherglen

Stałem z kartą powołania  
na przystanku tramwajowym  
i rozmawiałem z Jean.  
„Nie wiem, kiedy cię zobaczę,  
wszystko jest takie niepewne”.  
„Nie wiem – powiedziała  
ostrym tonem – czy chcę, by mnie  
zaliczano do tego wszystkiego”.  
„Cóż” – bąknąłem,  
obróciłem się na pięcie  
i szybko odszedłem.

Andrzej Georglew



MICHAŁ GŁOWIŃSKI

## Zabójczy chleb

Ten skromny budynek stał na uboczu, był niewielki, od frontu w dużej części osłaniały go zarośla, które zapewne za dawnych spokojniejszych czasów stanowiły część uprawianego z troską i ze znanstwem ogrodu, zadbanego i – jak mówiono – prezentującego się całkiem inaczej niż w czasie, o którym opowiadam, bo trudno hodować róże, lilie, tulipany, gdy wokół świat się wali, zagrożenia nadciągają ze wszystkich stron, a ich pomruków nie można lekceważyć, uciekając w piękny, dekoracyjny świat ogrodowej urody. Znajdował się na krańcach terenów, należących do sióstr, na jego tyłach rozpościerała się przestrzeń inna, dzika chciałoby się powiedzieć od zawsze i z natury, nigdy nie uprawiana i nie porządkowana, skazana na samą siebie, niczyja. W tych okolicach nie było większych nierówności, nie było wyróżniających się pagórków i wzgórz, można jednak powiedzieć, że jak na równinę opadała ona dość radykalnie ku rzece. W tym miejscu drogi brakowało, nigdy jej nie przebito, nie było takiej potrzeby, skoro wiodła w jej stronę ścieżka całkiem przyzwoita, położona nieopodal, przemieniająca się w błotnisty szlak lub wręcz w rwący potok tylko wtedy, gdy nastawał czas ulewnych deszczy; zdarzało się to rzadko, raz na kilka a może nawet kilkanaście lat. Przy takiej pogodzie zresztą mało kto z niej korzystał, bo raczej nie było amatorów kąpeli w rzece i wylegiwania się na jej brzegach. Do zabudowań czy pól uprawnych nie prowadziła, tam ich nie było.

Przycupnął z boku, od wschodniej strony. Zarośnięty, mógł pozostać niezauważony, choć stał pomiędzy dwoma głównymi budynkami Zakładu. Kiedyś zapewne był pięknie pobielony, rzetelnie wyczyszczony i tak jak rozpościerająca się od frontu roślinność zadbany. Wchodziło się do niego przez niewielki drewniany ganek, składał się z kilku, może trzech, może czterech pokoi, jak wszystko w tym budynekczku małych. Miał przynajmniej niegdyś ściśle wyznaczoną rolę, o tym jaką, mówi jego nazwa. Przyjęło się nazywać go izolatką. Miano w nim kurować dzieci, które zapadły na jedną z chorób zakaźnych, by ułatwić leczenie i sprawić, by nie infekowały innych. W przypadku pozostałych różnego rodzaju poważniejszych chorób przewożono pacjentów do szpitali w którymś z okolicznych miasteczek. Za dawnych pokojowych czasów nie stanowiło to

większego problemu, działała kolej wąskotorowa, która już od dawna była nieczynna, między wsiami a miastami krążyły wiejskie furmanki, wozy drabiniaste nie stanowiły z pewnością luksusowego środka lokomocji, a dla chorego były niewątpliwie szczególnie uciążliwe, bo trzęsąc w czasie jazdy po polnych drogach bądź traktach wybrukowanych kocimi łbami, przysparzały cierpień, jednakże swą zasadniczą rolę spełniały. Rzeczy miały się dużo gorzej w czasach, o których opowiadam, tak wtedy, gdy wojna trwała i wreszcie zbliżała się do kresu, jak wówczas, gdy w zasadzie się skończyła, ale w tych stronach epoka spokoju wciąż jeszcze nie nadeszła, wszelkie zaś wyprawianie się w drogę nadal narażało na niebezpieczeństwa, niekiedy nawet na śmierć. W takiej sytuacji domek zwany izolatką musiał zmienić charakter, stał się namiastką szpitala, choć takie określenie w swej istocie nie jest właściwe, posłużyłem się nim tylko dlatego, że brak innych, co charakterystyczne dla czasów, które radykalnie odbiegają od norm, utrwalonych w tradycji i w języku. Oczywiście, nie sposób mówić o szpitalu, gdy nie kierował nim lekarz, a najbliższy w tamtym czasie pan doktor znajdował się w odległości co najmniej dwudziestu trudnych do przebycia kilometrów. Nie muszę, rzecz jasna, wspominać że brakowało wszelkiego rodzaju leków, w tym najbardziej elementarnych. Gdybym chciał jakoś nazwać ową izolatkę w tej postaci, w jakiej ją z tamtych czasów zapamiętałem, mógłbym powołać do życia neologizm „chorowalnia”. Nowotwory językowe dają piszącemu ten przywilej, że można im nadawać pożądane w danym kontekście znaczenie i w miarę swobodnie nimi operować.

Do tej chorowalni ja także w pewnym momencie zawędrowałem. Nie pamiętam, z powodu jakiej przypadłości siostry mnie do niej skierowały, prawdopodobnie ze względu na czyraki, wrzynające się głęboko ropne rany, jakimi obasypane było moje ciało. Nie chcę tu jednak opowiadać o sobie, tym bardziej nad sobą się rozczulać, zwłaszcza iż jestem świadom, że w tym wojennym i tuż powojennym czasie każdy wychowanek Zakładu mógł być potraktowany jako chory i posłany na kurację, która ze względu na warunki i okoliczności kuracją nie była i być nie mogła. Trafiłem do pokoju, w którym było już kilku chłopców, jednakże to nie o nich zamierzam opowiadać, tym bardziej że nie utrwalili się w mojej pamięci niczym szczególnym.

Pewnego dnia siostra, opiekująca się chorowalnią i jej pensjonariuszami, przywiodła do naszej izby dziecko znacznie od nas młodsze, chłopaczka może trzyletniego, może liczącego sobie lat trochę mniej, może trochę więcej, nie potrafię po kilkudziesięciu latach precyzyjnie określić jego wieku, nie ma to zresztą większego znaczenia. W tym okresie nie było w Zakładzie dzieci tak małych,



nie wiedzieliśmy zatem, skąd on się wziął, można było być pewnym, że sam się nie przyplątał, było to po prostu nieprawdopodobne tak ze względu na wiek, jak opłakany stan zdrowia, od razu gdy się na niego spojrzano, było wiadomo, że jest fatalny. Cały czas spędzał w dostawionym, z trudem wciśniętym łóżku, chyba nie potrafił chodzić. Chłopcy, zainteresowani pojawieniem się nowego, którego nie znali, snuli rozmaite przypuszczenia – i najczęściej skłaniali się do opinii, że nasz niespodziewany współlokator jest podrzutkiem, dzieckiem, którego matka nie chciała, a może obydwójce rodzice postanowili się pozbyć, to prawda, ze znacznym opóźnieniem, bo przecież niemowlęciem już nie był (wśród dzieci, które u siostr znalazły schronienie, pojawiały się także podrzutki). Z tego wszakże, co w ten lub inny sposób do nas dotarło, wynikało niezbicie, że ten domysł jest fałszywy. Dziecko pochodziło z jednej z okolicznych wsi, wciąż jeszcze po walkach i rzeziach w dużej części wyludnionej, jego rodzice – bardzo młodzi ludzie – byli sąsiadom znani, nie wiedziano jednak, gdzie są, a nawet nie było pewności, czy żyją. Ktoś się nim zaopiekował, może z dalszej rodziny, może z sąsiadów lub znajomych. Po jakimś czasie nadeszła do wsi straszna wieść: matka zginęła – prawdopodobnie od zabłąkanej kuli, bo chyba nie w trakcie bezpośredniego starcia dwu nienawidzących się społeczności. Dzieciak zaś cierpiał na różne choroby, wobec których wszyscy na wsi byli bezradni. Uznano, że jedynym miejscem w okolicy, w którym może go wyleczą, jest prowadzony przez zakonnice Zakład.

Był chory, chory bardzo poważnie, w tej materii nie mogliśmy mieć wątpliwości także my, nieletni obserwatorzy, z którymi znalazł się w tym samym gęsto zatłoczonym pomieszczeniu. Była to choroba spektakularna, by ją postrzegać, niepotrzebne były żadne przyrządy, zbyteczna była jakakolwiek wiedza, wystarczały w żaden sposób nieuzbrojone oczy, no i nos, bo jej następstwem był roznoszący się po wszystkich kątach odór. Nie wiem, jaką ta przypadłość ma swoją medyczną nazwę, a polegała ona na tym, że kilka razy dziennie wysuwało się na zewnątrz jelito. Nie jestem świadom, jaka w tego rodzaju przypadkach obowiązuje lekarska procedura, w każdym razie ono samo nie wracało na swoje właściwe miejsce, trzeba było je wciskać. Przykre to zadanie wykonywała siostra Leontyna, która zajmowała się chorowalnią, a zanim wstąpiła do zakonu, podobno ukończyła kursy, przygotowujące do zawodu pielęgniarskiego. Miała ogromnie dużo pracy, dziecku zdarzało się to coraz częściej, nie była w stanie zapewnić odpowiednio szybkiej opieki, poinstruowała zatem dwu starszych chłopców, jak to się robi i powierzyła im ten niezwykle obowiązek. Wywiązywali się z niego całkiem sprawnie. Po kilku dniach przyzwyczailiśmy

się do tego, co się dzieje, nawet uporczywy mimo otwartych w tę piękną porę roku okien smród przestał nam przeszkadzać, chyba już go nie odczuwaliśmy. Przypadłość tego dziecka stała się częścią naszej codzienności, niespodziewanie wyzwoliła w chłopakach instynkt opiekuńczy. Dodam, że przez długie lata nie słyszałem o tej chorobie, uciążliwej również dla otoczenia, jakże naiwnie zatem sądziłem, że był to kazus jednostkowy, a jeśli nawet nie jednostkowy, to taki, który zdarza się raz na miliony istnień ludzkich. Musiałem zmienić zdanie po przeczytaniu kilkadziesiąt lat później jednego z tekstów, napisanych przez Janusza Korczaka w warszawskim getcie. Nie pozostaje nic innego, jak zacytować słowa Starego Doktora:

„Jak informują skromni szeregowcy opieki, prawie wszystkie dzieci mają rozwolnienie – z tego powodu u wielu wypada kiszka stolcowa. W tragicznym inter-nacie pod Kijowem w czasie wojny domowej miałem takich pacjentów dwóch tylko – tu podobno jest parę dziesiątków – jedno podobno umarło z powodu owrzodzeń i gangreny jelita grubego”.

Trudno mi powiedzieć, czy siostry miały nadzieję na wyleczenie chłopca i uratowanie go, czy takich złudzeń nie żywiły i jedyne, co w tych warunkach było realne, a może w ogólności przy tym schorzeniu, to starania, by mu ulżyć w cierpieniach. Przygotowywano dla niego jakieś specjalne dietetyczne pożywienie, co też nie stanowiło sprawy łatwej, skoro nie było niczego, zapewne wyciągnięto ze świecącej pustkami spiżarni resztki jakiejś choćby w przybliżeniu odpowiedniej kaszki, przechowywanej na czarnej godzinę. Ta nastąpiła, skoro niczego innego jeść nie mógł. Jego stan nie upoważniał do optymistycznych rokowań, z dnia na dzień, a może nawet z godziny na godzinę się pogarszał. To, co się z nim i wokół niego działo w ciągu tych kilku dni, w których był z nami, stało się przedmiotem codziennej rutyny, przyzwyczailiśmy się do niego – i zachowywaliśmy się tak, jakby wpychanie wysuwającej się kiszki stolcowej było czynnością zwyczajną i oczywistą, nie wymagającą komentarzy, a być może nawet zastanowienia. Coś nadzwyczajnego i całkiem niespodziewanego zdarzyło się w pewien niedzielny poranek, ciepły, letni, osłoneczniony. Wbrew wszelkim oczekiwaniom zjawił się ojciec chłopca. Powstało poruszenie, bo w tym czasie nikt prawie z zewnątrz do Zakładu nie przychodził, a już zwłaszcza do naszej chorowalni, byliśmy od świata odcięci, wszystko zatem, co docierało choćby z rejonów minimalnie oddalonych, budziło wielkie zainteresowanie, nasyczone silnymi emocjami. Ojca wprowadziła do naszego pokoju siostra Leontyna. Przybyszowi nie trzeba było wskazywać jego syna, poznał go od razu, choć – jak się zdaje – nie widział go od dawna. Nie było to zbyt trudne, nikt inny w tej

sali jego potomkiem być nie mógł, mężczyzna był bowiem zdumiewająco młody, różnica wieku była zbyt mała, by taką możliwość brać pod uwagę. Chłopiec ojca nie poznał, nie wiedział, co się dzieje i czego od niego chciał. W ogóle mówił nieudolnie, tak jakby nie zapanował jeszcze nad kunsztem mowy, w sytuacji, która powinna skłaniać go do radości, był przerażony, bo niczego nie pojmował – i bełkotał jeszcze bardziej niewyraźnie niż zwykle. Jestem pewien, że znaczenia słowa „ojciec” i jego zdrobniałych odpowiedników nie rozumiał, znajdowało się ono poza granicami jego mentalnego świata. Można było od razu dostrzec, że ruch, jaki wokół niego się wytworzył, spowodował wielki lęk, a to, że ktoś, kto był w jego odczuciu nieznanym, chciał go wziąć na ręce, wydał mu się działaniem nieprzyjaznym lub wręcz wrogim. Wybuch głośnego płaczu raczej nikogo ze świadków wydarzenia nie zdziwił, był naturalny w przypadku tak małego dziecka.

Staliśmy się mimowolnymi słuchaczami rozmowy niespodziewanego gościa z siostrą Leontyną. Wynikało z niej, że poszukiwał on syna od jakiegoś czasu, a dowiedział się, gdzie przebywa, gdy wrócił do swej rodzinnej wioski. Postanowił w niej osiąść na stałe i zaopiekować się dzieckiem. Tego, jakie były jego losy, w istocie się nie dowiedzieliśmy, nie opowiadał, co się z nim działo, nikt go zresztą o to nie pytał, zapewne nie oddalił się od stron dobrze sobie znanych zbyt daleko, wypadało się domyślać, że należał do jednego z oddziałów partyzanckich, których we wspaniałych okolicznych lasach nie brakowało. Jak na ojca wyglądał zdumiewająco młodo, można było sądzić, że jeszcze nie przekroczył dwudziestego roku życia. Robił takie wrażenie, mimo że był zdrożony i zmęczony. Przyszedł pieszo, pokonał trasę liczącą kilkanaście kilometrów. Zamierzał wyruszyć w drogę powrotną tego samego dnia, dziecko postanowił zabrać ze sobą, choć nie wiadomo, jak ją sobie wyobrażał. Może zresztą zdecydował, że pozostanie ono jeszcze czas jakiś u siostr, wydarzenia tak się jednak potoczyły, że jego decyzja w tej sprawie nie miała żadnego znaczenia. Stała się rzecz straszna: dziecko zmarło na rękach ojca. Nie byliśmy bezpośrednimi świadkami tego nieszczęścia, wydarzyło się ono, gdy mężczyzna z synem udał się na zewnątrz, w miejsce, które niegdyś było pięknym ogrodem. Wiadomość jednak szybko dotarła do naszej chorowalni i zrobiła na jej mieszkańcach wielkie wrażenie, mimo że chyba wszyscy byliśmy z umieraniem i ze śmiercią całkiem dobrze oswojeni, stykaliśmy się z nią w różnych sytuacjach i nieustannie o niej słyszeliśmy. Siostry zgonem chłopca były zaskoczone i głęboko przejęte, może przypuszczały, że jednak uda się go uratować. Niewątpliwie wszyscy zauważyliśmy, że z podartej parcianej torby młodego mężczyzny wystawał duży,

może dwukilogramowy, może większy bochen chleba. Nie świadczyło to o naszej spostrzegawczości, wszystko, co nadawało się do jedzenia, przyciągało uwagę i budziło pożądanie. Nie mogło być inaczej w przypadku chleba, zwłaszcza że wydawał się świeży, jakby dopiero co wyciągnięty z pieca, może jeszcze ciepły. Dotarły do nas jego słowa: wystarał się o niego, co z pewnością nie było łatwe, by karmić nim swego odnalezionego syna. Siostra Leontyna ostrzegała, by tego nie robił, tłumaczyła, że w ten sposób może mu tylko zaszkodzić. Przybysz z pozoru słuchał uważnie, obiecał, że zachowa się stosownie do tego, co usłyszał, ale czy rozumiał kierowane do niego wskazania? Nie można było mieć w tej materii pewności, zachowywał się tak, jakby wypowiedane przez zakonnicę słowa burzyły jego widzenie świata, kwestionowały sensy, jakie od dawna mu towarzyszyły. Modlimy się do Boga, by chleba naszego powszedniego nam nie szczenił, a więc nie może on zaszkodzić! Zwłaszcza dziecku, któremu chcemy dać to, co mamy najlepszego. Przez jakiś czas, po tym, jak wyszedł z naszej chorowni, zapewne powstrzymał się od tego, co było jego pragnieniem i wydawało się zgodne ze zdrowym rozsądkiem, w pewnym momencie jednak, jak się dowiedzieliśmy, zaczął karmić syna odpowiednio rozdrobnionym chlebem. Nikt poza nim nie był świadkiem tego, co się wydarzyło. Z relacji, jaka do nas dotarła, wynikało, że chłopiec zmarł niemal natychmiast po tym strasznym poczęstunku. Czy zastanawialiśmy się nad kruchością życia ludzkiego, którego utratę spowodować może kilkanaście nieopatrznie podanych okruszków? Jestem przekonany, że takie refleksje nie pojawiały się w naszych głowach, także w mojej, mimo że byłem świadom, co to jest umieranie, widziałem przecież zwłoki ludzi w różnym wieku w tym moich rówieśników, leżące na ulicach getta, i zdawałem sobie sprawę, że utracić życie można w każdym momencie, za sprawą jednego przypadkowego gestu czy niewiele z pozoru znaczącego przypadku. Miałem wówczas około dziesięciu lat.

Po tym, co się stało, mężczyzna nie miał już u nas nic do roboty. Wyruszył w drogę powrotną. Powiadomił, że pochowa syna w rodzinnej wsi. Czy tak uczynił, nie wiem.

## JANUSZ STYCZEŃ

### Lancelot naprzeciwko milczenia księżycy

Lancelot patrzy na księżyc  
Lancelot jest sam pod księżycem, i sam  
wśród lasu,  
myśli, że księżyc go rozumie, lepiej niż on sam siebie,  
chce, żeby księżyc dał mu jakiś znak,  
żeby swoim blaskiem dotknął właśnie teraz  
jakiś rzeczy, czegoś, co pozwoliłoby mówę księżycy  
odczytać,  
księżyc milczy, milczenie księżycy jest zimne,  
ma coś z lodu,  
księżyc milczy, każde bóstwo milczy,  
Lancelot nie jest teraz na koniu,  
spaceruje brzegiem jeziora,  
nie może zapomnieć o Ginewrze,  
jezioro jest jak Ginewra,  
nieprzeniknione, głębokie, pełne cieni,  
podobnych do tajemnic,  
gdyby zdobył wzajemność Ginewry,  
Lancelot by w ukochanej utonął,  
księżyc wtedy też by go rozumiał,  
ale nic by mu nie pomógł

## Milczenie świata

Lancelot zawędrował daleko od zamku króla Artura,  
znajduje grootę, z której widać księżyc,  
i w której spędzi noc,  
koń ułożył się do snu w głębi groty,  
Lancelot drzemie u wejścia groty,  
myśli, że milczenie całego świata zbiega się  
w księżycu,  
i tym księżycem to milczenie coś mówi,  
ale co,  
Lancelot wie, że on też milczy, kiedy mówi do konia,  
nawet kiedy mówi do Ginewry i do króla Artura,  
Lancelot patrzy na konia i ma wrażenie,  
że koń więcej wie o tym milczeniu,  
i że koń z milczeniem świata się pogodził,  
Lancelot podziwia mądrość konia,  
on sam nie powinien bać się milczenia świata,  
tak jak koń się nie boi

## Coś się stanie

Są dni, w których Lancelot czuje się zupełnie bezradny,  
nie chce szukać Graala,  
nie ma szans u Ginewry, widzi ją wciąż  
u boku króla Artura,  
który ostatnio nie ma zajęć państwowych,  
i nie rozstaje się z Ginewrą,  
zbliża się turniej rycerski o mistrzostwo Camelotu,  
będzie to turniej pieszy, Lancelot wymógł to na organizatorach,  
gdyby to był turniej konny, koń Lancelota  
mógłby być zraniony,  
Lancelot wie, że jego koń jest magiczny,  
i on musi ochraniać swojego konia,  
koń cały czas ochrania Lancelota,

Lancelot jest wdzięczny swojemu koniowi,  
wie, że bez swojego konia byłoby mu ciężko,  
Lancelot chętnie zapytałby konia, co robić,  
ale przecież koń mu nie odpowie,  
koń da mu jakiś znak, Lancelot nie będzie  
umiał go odczytać,  
Lancelot zastanawia się, czy tłumaczyć na łacinę  
wiersze celtyckie, jakie on pisze,  
ale kto tu zna łacinę, nawet Rzymianie,  
którzy już odjechali na swoich koniach z Camelotu,  
często mówili jakąś gwarą podobną do łaciny,  
coś może się stać, ale co, nigdy nie wiadomo,  
Grecy i Rzymianie uważali, że jeżeli w pobliżu  
przejdzie Hermes, wtedy nagle wszystko zaczyna się ruszać,  
wszystko zaczyna się dziać,  
Lancelot będzie więc w spokoju czekał na Hermesa





ANNA NASIŁOWSKA

## Wyspa Lesbos

Nie tak łatwo dostać się na wyspę Lesbos, do Mityleny. Oczywiście, można to zrobić samolotem z Aten, można też wsiąść w Pireusie na prom. Ale czy to jest rzeczywiście miasto Mitylene?

„Na Lesbos jest wielkie i piękne miasto Mitylene, morze wpływa do jego wnętrza poprzez kanały, ponad którymi przerzucono urocze mosty z gładzonego białego kamienia” – tak zaczyna się powieść Longosa *Dafnis i Chloe*. Czas: najprawdopodobniej koniec II wieku naszej ery. Mitylena, stolica wyspy, zgodnie z opisem hellenistycznego autora sama przypomina wyspę. Ma dwie spore zatoki i wysunięty w morze cypel. Ulice muszą więc być żeglowne, a co najmniej – wypełnione łodziami. Mosty – sposobne do wysyłania westchnień, wygięte w łuki. To początek opowieści o niewinnej miłości dwojga pasterzy.

Także w praktycznym i całkiem współczesnym przewodniku Pascala *Wyspy greckie*, który studiowałam pewnego zimnego lata, drżąc na piasku nad Bałtykiem, znajdujemy równie podniecające wiadomości. Z początku możemy doznać rozczarowania – uprzedzają autorzy – i na to się trzeba przygotować, by niebawem zdziwienie nie powaliło nas z nóg. Otóż konie są tu tak licznie hodowane, że zwykłym widokiem na ulicach są korki nie samochodów, lecz koni. Końskie kawalkady kompletnie tarasują drogę, a niektóre, co bardziej niecierpliwe wierzchowce, usiłują zdobyć przewagę, gryząc poprzedników po zadach. Powszechnie spotyka się też stada wałęsających się osłów. Co do tego drugiego nasuwa się komentarz, że być może jest to widok częstszy niż można przypuszczać we wszystkich większych miastach na świecie, tyle że inne osły zręcznie się maskują, chowając długie uszy pod czapkami. Ponoć w Mitylenie kompletne i autentyczne osły wałęsają się bezwstydnie, grupowo i porykują głośno. Przewodnik informuje, że przed wejściami do budynków spotyka się zwykle tabliczki: „Nie przywiązywać zwierząt”. Osły bowiem gotowe są przywiązać się same gdziekolwiek, z głupoty, a potem jest z nimi kłopot. Międzynarodowy bedeker (wydanie piąte, 2002 rok) ostrzega także, że miasto nie ma połączenia z lotniskiem. Po prostu – nie istnieje tu regularna komunikacja. Co za osłe porządki!

Do tego trzeba jeszcze dodać sprawę, o której wspomina się dopiero w opisie zachodniej części wyspy, zwłaszcza okolic Erossos, miejsca narodzin Safony. Jak powszechnie wiadomo, sława mieszkanek Lesbos zapewne dorównuje sławie cór Koryntu, jest jednak dużo subtelniejsza i bardziej tajemnicza, choć nie wiadomo, czy zasłużona. Amerykańskie feministki twierdzą, że wszystkie kobiety noszą w sobie jawną lub ukrytą skłonność do własnej płci; jak dotąd nie zdarzyło mi się jej w sobie odkryć i nie oczekiwałam, by pobyt na Lesbos coś w tej mierze zmienił. Gdy jednakże zwierzałam się znajomym jaki jest cel mojej najbliższej podróży, reakcje pełne były dziwnego wahania i jednocześnie – tłumionej ekscytacji. Na Lesbos? Po co? Tylko Monika była jednoznacznie entuzjastką. Wykrzyknęła:

„Łał!” i poprosiła:

- Ale przywiesz mi stamtąd coś? Małą rzecz, coś...
- Co to mogłoby być?
- Kamień. To będzie moja relikwia.

Nie przywiozłam kamienia, nad zatoką Kalloni nie ma kamieni, jest tylko piach. A te, które widziałam w morzu, w okolicy Mityleny, nie były Lesbiańskimi kamieniami, tylko ogólnie-egejskimi. Przywiozłam trochę widoków.

Nie wiadomo więc, czy naprawdę udało mi się ta podróż, ani nawet gdzie naprawdę byłam, skoro tak wiele rozpalających wyobraźnię nadziei zostało zawiedzionych: z lotniska do miasta kursował regularny acz rozklekotany autobus, a na ulicach ani śladu koni czy osłów, chyba że te co wszędzie, udające mądrali. Sporo skuterów. Korki (koni czy samochodów) są raczej rzadkością, bo miasto jest nieduże. Kanałów nie ma, być może zasypał je czas, wysypując z klepsydry pokaźną ilość piachu. Mógłby pozostawić choć mosty, ale tak się nie stało. Nie poczułam tam niczego szczególnego, ani nie przeszłam zagadkowej przemiany, która mogłaby wyzwolić moją kobiecą naturę. Już pierwsze spojrzenie na pozbawione kobiet, wypełnione wyłącznie mężczyznami kawiarnie, świadczyło, że jest to świat głęboko patriarchalny. Kobiety, przeważnie w grupach, przesuwają się po ulicach; widziałam, jak na głównym deptaku czarno ubrane postacie całowały w rękę popa. Ale nawet to, że miasto z początku rozczarowuje, okazało się nieprawdą.

Światło! Łagodność klimatu, lekki, orzeźwiający wiatr. I nazwa lotniska, mianowanego portem Odyseusza. Zwykła rzecz, współczesna nazwa. Gdzieś stąd w drodze pod Troję musiały odbijać okręty, ale przynajmniej, związek jest równie luźny jak między warszawskim lotniskiem na Okęciu a Fryderykiem Szopenem. Jednego można być pewnym, nie w ten sposób, nie stamtąd wybierał się

Fryderyk do Paryża, choć niewątpliwie zamiana dyliżansu na samolot oszczędziłaby mu sporo trudu. Odyseusz także znacznie uprościłby sobie życie, gdyby miał choć helikopter.

Rzeczywistość nie rozczarowała, była serią zaskoczeń. Przez wiele lat chciałam wybrać się do Grecji, ale wydawało mi się to zbyt poważnym zadaniem, wymagającym lektur i studiów. Rodzinna wyspa Terpantra, Safony, Alkajosa, Ariona i Teofrasta przyprawiała z daleka o zawrót głowy. Turyści tu przyjeżdżają nie troszcząc się o lektury, nie sięgając po Longosa czy Safonę, zabierając kostium kąpielowy, sprzęt do nurkowania i kartę kredytową, by jeść obficie i oryginalnie. Ja jednak uważałam, że wciąż jeszcze nie jestem gotowa na podróż do Grecji, nie przestudiowałam tego, co trzeba, nie nauczyłam się greki. Starożytnej i nowożytnej. Czekałam, ale gdy przyszedł list z zaproszeniem na Lesbos, trudno było dalej zwlekać. List przysłał Kostas Valetas, grecki pisarz, i zawierał zaproszenie na konferencję. To wymagało nie tylko zapłacenia podróży, ale także napisania referatu po francusku, ale kiedy przyszedł mi do głowy pomysł, to akurat okazało się prostsze niż znalezienie taniego połączenia lotniczego. Poza tym warto sobie przypomnieć o zaleceniach Henry Millera z książki *Kolos z Maroussi*, który uważał, że trzeba odkryć prostotę Grecji i nie czynić z niej zadania dla antykwariuszy. Najważniejsze jest w tym kraju to, co może odczuć nawet idiota – twierdził.

Lesbos, poza kilkoma miejscami jak Petra, czy Molivos nie jest bardzo turystycznym miejscem, bo nie ma tu słynnych zabytków. Przede wszystkim wiedziałam, że Kostas Valetas jest – jakkolwiek brzmi to dziwnie – autentycznym Lesbijczykiem. Mówi o sobie:

– Tak, jestem Lesbijczykiem. Do jakiego kraju bym nie pojechał, zawsze wywołuje to radość. Nie wiem dlaczego. I nawet znajduję kompatriotów. Ale dziwna rzecz – zawsze tylko kobiety!

Jeśli czegoś się obawiałam – to niemożności znalezienia pomostu między dzisiejszą polityką a mitem i wielkością Grecji starożytnej. Spodziewałam się, że mój pobyt na Lesbos zdecydowanie zdominuje problem napięć grecko-tureckich. Wystarczy spojrzeć na mapę: do brzegów Azji Mniejszej jest stąd zaledwie dziesięć kilometrów. Codziennie rano odchodzą promy. Długa polityczna zależność musiała pozostawić i ślady, i rany. Ostrożnie zadawałam więc moim greckim rozmówcom pytanie, co sądzą o perspektywie przyjęcia Turcji do Unii Europejskiej.

– Jestem absolutnie za! – powiedział mój pierwszy rozmówca. – To pomoże uregulować stosunki. Nareszcie Turcy będą musieli w szkołach sprostować

mapy. Bo do tej pory uczą tam, że Lesbos jest wyspą turecką. Przyjęcie do Europy nałoży na nich poważne zobowiązania, będą musieli przestrzegać praw i stopniowo poprawi to wzajemne stosunki. Choć oczywiście niczemu nie zapobiegnie, gdyby co!

– Ale co?

– Ach, o tym nie mówmy.

Drugi z rozmówców powiedział:

– Jestem absolutnie przeciw. Zaczniemy od tego, że nie jest to kultura europejska. Owszem, rejony Azji Mniejszej odegrały sporą rolę w rozwoju Europy, ale to było wtedy, gdy były zasiedlone przez Greków. Których oni wygnali. Po drugie: państwo nie jest demokratyczne. Może z daleka wyglądać na demokrację, ale tamtejsza polityka zdominowana jest przez wojsko, które sprawuje władzę i pociąga za wszystkie sznurki. Niezależnie od tego, czy podejmie się próbę europeizacji Turcji, czy nie, będzie ona bardzo powierzchowna. I niczemu nie zapobiegnie, jakby co!

Rozmowy były krótkie, pierwsza po angielsku, druga po francusku. Niestety, swobodne wypowiedzianie się w językach obcych nie jest powszechne wśród Greków. Wśród Polaków – także nie, dodajmy. I także Grecja ma swoje kłopoty z demokracją. Kostas twierdzi, że Grecy i Polacy są do siebie podobni:

– Z jednej strony – kochają wolność i mają zmysł niezależności. Gotowi są o wolność walczyć. Ale jak już ją mają, nie wiedzą, co z nią zrobić. Okazują się jak dzieci... Są apatyczni i władzę bierze ktokolwiek. Ktoś, komu na tym zależy z powodu ambicji. Kto po prostu lubi, żeby go pokazywano w telewizji.

Siedzieliśmy w kawiarni, w małej miejscowości Agia Parasklevi. Byłam jedyną kobietą, na tarasach trzech czy czterech sąsiadujących ze sobą lokali siedzieli wyłącznie mężczyźni, także obsługa składała się wyłącznie z mężczyzn. Kobiety mają inne zajęcia. Akurat to niezbyt przypominało Polskę. Mężczyźni byli niezadbani, patrzyli na mnie spod oka. Pomyślałam, że muszą się bardzo nudzić z powodu tej segregacji i to sprawiło, że się trochę zapuścili, ale pewnie sami nie zdają sobie sprawy, że cierpią i z jakiego powodu.

Na konferencji odsłonił się pierwszy łącznik między światem starożytnym a dzisiejszym: byli Francuzi, Włosi, Hiszpanie i kilku przedstawiciele Bałkanów, ze szczególnym uwzględnieniem Bułgarii. A więc – reprezentowane były terytoria dawnego Imperium Romanum ze słowiańską domieszką niedalekich ludów barbarzyńskich w zasięgu chrześcijaństwa wschodniego, podległego partiarchatowi Konstantynopola. Najdalej oparło się to o Petersburg, skąd pochodzi Ludmiła, skądinąd mieszkająca od lat w Paryżu. Pomyślałam nawet, że nie jest

to co prawda świat Herodota, ale nieco późniejszy, który zaczął się wyłaniać pod koniec Cesarstwa Rzymskiego i Bizancjum.

Nie brakowało nawet przedstawiciela Aleksandrii. Co prawda nie był uczonym, z Aleksandrii pochodził właściciel hotelu. Tylko ja wydawałam się kimś spoza układanki – kobietą z krańców Barbarii, Słowianką z bursztynowego szlaku. Ale nie do końca, bo przecież przypominałam sobie, co powtarzał mi mój profesor, Ryszard Przybylski: nasz zawód, zawód filologa wywodzi się z Aleksandrii, gdzie Grecy w bibliotece aleksandryjskiej podjęli trud ustalenia kanonicznych wersji wielkich dzieł starożytności. A więc i ja – z Aleksandrii, poniekąd.

Dowiedziałam się też, że jest wśród nas Grek z Ukrainy i bardzo mnie to zdziwiło. Mogliśmy rozmawiać po rosyjsku, więc myśląc o greckiej emigracji w Polsce, z czasów rządów czarnych pułkowników, spytałam go o to, jak się znaleźli tam Grecy.

– Pytacie mnie skąd na wybrzeżach Morza Czarnego wzięli się Grecy?

Ależ byli tam już w IV wieku przed Chrystusem! I jeszcze dawniej, choć niektóre wiadomości o tym są mityczne, co nie znaczy, że nieprawdziwe. Bo gdzież leżała Kolchida? A Tauryda czyli Krym? Na Krymie Grecy mieszkali przecież od starożytnych czasów!

Zawstydziałam się. Rzeczywiście. Basen Morza Czarnego był naturalnym terenem starożytnej kolonizacji greckiej, podobnie jak w stronę Zachodu – Italia a zwłaszcza Sycylia.

– Od tamtych czasów zdołali zachować tożsamość? Od IV wieku przed naszą erą? Mówią po grecku? Językiem starożytnym? – zapytałam, coraz bardziej zdziwiona.

Przecież starożytna greka różni się bardzo od języka nowogreckiego! Aleksander spojrział na mnie z uśmiechem.

– No tak, macie rację. To trochę nowsza historia. Greków sprowadzono nad wybrzeża Morza Czarnego za czasów Katarzyny Drugiej. Udało się wtedy Rosji pokonać Chanat Krymski, ale tereny południowej Ukrainy były spustoszone...

– Ach, ta słynna podróż Katarzyny na Krym, podczas której Potiomkin pokazywał jej atrapy, imitujące wioski, by wyglądało to na kraj mlekiem i miodem płynący?!...

– No proszę, i o tym wiecie. To właśnie Potiomkin, który jako książe Taurydzki zarządzał południem Rosji, sprowadził Greków, dając im bardzo dobre warunki osiedlenia. Liczył na utworzenie czarnomorskiej floty handlowej, to był jego główny pomysł na ożywienie handlu i gospodarcze odbudowanie tych terenów po wyparciu Tatarów. Grecy nadawali się jak mało kto i do handlu, i do

żeglugi. Osiedli więc na Krymie, i nieco dalej. W 1779 roku założyli nad Morzem Azowskim piękne miasto Mariampolis, Mariupol inaczej mówiąc, a jeszcze inaczej: Żdanow, bo od 1948 do 1989 roku taka była nazwa. I ja właśnie stamtąd pochodzę. A że teraz to Ukraina – stałem się po trosze i Ukraińcem z Mariampola.

– Jakim językiem mówiło się przed upadkiem ZSRR w Żdanowie czyli Mariampolu?

– Ależ oczywiście, że rosyjskim. I całe moje wykształcenie zdobyłem po rosyjsku. Jestem jednak Grekiem. To wschodnia Ukraina, niedaleko – Zagłębie Donieckie. Dopiero teraz zaczęła się ukrainizacja. I ja stałem się też obywatelem Ukrainy. Ale wokół Mariampola są wioski, w których mówi się dialektem greckim. Bardzo archaicznym. I przetrwał też grecki folklor.

Aleksander, z wykształcenia muzykolog, specjalista od Chopina i Beethovena, postawił sobie życiowe zadanie: dokumentację języka, pieśni, zwyczajów. Jak nasi etnografowie w XIX wieku. Zaczął jeszcze za czasów ZSRR, co było o tyle trudne, że żadnej mniejszości greckiej na tych terenach oficjalnie nie było. Ale na badanie kultury ludowej – pozwalano. On musiał uczyć się sam, językoznawstwa i folklorystyki. Jeździł po kołchozach, nagrywał, zapisywał. Udało mu się utrwalić spory materiał, który wraz ze śmiercią babek i dziadków – przepadłby. Udało mu się też w Kijowie w latach osiemdziesiątych opublikować artykuł na temat greckiego folkloru, będący pierwszym krokiem do uznania greckiej mniejszości. Nie było prosto. Po pierwsze zdawał sobie sprawę, że musi próbować w Kijowie, starannie omijając politruków grodu Żdanow. Nie wiadomo, czy inspirował ich duch patrona. Andriej Żdanow najpierw w latach trzydziestych kierował wielką czystką w Leningradzie, potem był inicjatorem zaostżenia stalinowskiego kursu po zakończeniu II wojny, co nazwano od jego nazwiska „żdanowszczyzną”. Z całą pewnością lokalni przedstawiciele partyjni wiedzieli, że co prawda Grecy w rejonie Żdanowa mieszkają, ale lepiej tego nie ujawniać, pozostając przy wersji, że miejscowe kołchozy zaludniają doskonale zasymilowani i zapatrzeni w świetlaną przyszłość a nie przeszłość, ludzie sowieccy.

Po drugie Aleksander działał sam i na własną rękę. Najpierw artykuł przyjęto w redakcji „Głosu Ukrainy”, zapewne spodziewając się, że żdanowscy politruki wyrazili na to zgodę. Potem przez pół roku tekst nie ukazywał się. Aleksander znalazł przez znajomych dojscie do kijowskiego działacza partyjnego, liberała i ukraińskiego patriotę, zainteresowanego „dawnością” ziem czarnomorskich. Nie mógł jednak po prostu do niego pójść, bo nie był członkiem partii. Wreszcie, w innej sprawie, udało mu się uzyskać przepustkę. Politruk okazał się ludzkim człowiekiem i poparł publikację. Oczywiście artykuł pocięto w ten sposób,

że wynikało z niego, że w kolchozach śpiewa się greckie piosenki i w ogóle jest bujny folklor, ale samego istnienia Greków trzeba już było się domyślić. Mimo to żdanowscy urzędnicy przez pół roku nie mogli ochłonąć. Kto pozwolił? Kto to inspirował? To, że stoi za tym sam, pojedynczy Aleksander, który dzięki tendencjom unifikacyjnym systemu nagle szczególnie mocno poczuł się Grekiem, czyli kimś innym, nie sowieckim, nie mieściło się im w głowie. Taka przemiana pospolitego, ruskiego Saszy – w Alexandrosa, jedna z tajemnic ludzi cierpiących na rozchwianą tożsamość. Najlepiej wtedy przyznać się do mniejszości i walczyć w jej imieniu.

– Ale widzicie, z systemem dawało radę walczyć. Bo on miał słabe punkty, które trzeba było rozpracować i tam uderzyć. Do tego trzeba tylko logiki. A teraz jest właściwie gorzej, bo z chaosem walczyć nie ma jak. I tego, co my wiemy, ludzie Zachodu nie rozumieją.

Po chwili dodał:

– A ludzie Wschodu też niestety nie, bo została im sowiecka mentalność! I to się nie zmieniło.

Aleksander usiłuje dalej prowadzić swoje badania.

Potem zapytał:

– A u was co? Wy filolog? I jakże dajecie sobie radę? Na państwowej posiadzie grosze płacą!

A ja powiedziałam, że owszem, daję sobie radę, sporo uczę i piszę. A on pytał dalej i z tego wszystkiego coraz bardziej wyłaniał się wspólny dla Polski i Ukrainy obraz ludzi w biegu, dorabiających, biegnących z jednej pracy do drugiej, z dziećmi poganianymi z zajęć na zajęcia, bo poza szkołą muszą się przecież douczać i moja malutka sylwetka, taka sama, nie do rozpoznania wśród innych. Też biegnę, pcham i poganiam. Nie zdążam, wpadam w biegu. I nie zrobiło mi się od tego lepiej, gdy dowiedziałam się, że to wspólna postsowiecko-transformacyjna kondycja i moje zabieganie nie ma w sobie nic metafizycznego, wyłącznie – ekonomia i socjologia. Żaden wielki głód świata nie gna tych milionów ludzi, a zwłaszcza kobiet, ale niepokój o przyszłość i groza, że można nie sprostać kolejnemu wyzwaniu i nagle zatrzymać się. I ja też pochodzę z tej postsowieckiej zony zapędzonych kobiet, tylko na chwilę postanowiłam się wyrwać, ale właśnie mnie rozpoznano.

– A jak u was przyjaźnie, jeśli wolno spytać? Te sprzed lat, przetrwały? Siedzi się jeszcze i rozmawia tak od serca po nocy? – pytał.

A ja odpowiedziałam, że to się zmieniło. Nie rozmawia się od serca. I po nocy też nie, wszyscy coś mają, drugą pracę, trzecią pracę, a jak nie – to mają prob-

lem, że sobie nie radzą. Jedni stali się bogatsi i wolą jeszcze bogatszych, inni stali się biedniejsi i tym z kolei wydaje się, że to nam się przewróciło w głowie, od jakichś sukcesów, których my zresztą u siebie nie dostrzegamy, ale robimy tęgą minę, by nie przestano nas szanować. Niektórzy poszli też w politykę, i to do różnych opcji, więc nie chcą nas znać w przekonaniu, że trzymamy z opcją przeciwną, albo w ogóle, jesteśmy niebezpieczni. Bo zwykłych ludzi już nie ma.

– A, to zupełnie tak samo.

Aleksander nie znał mnie, ale znał moją sytuację. Wiedział z góry, o co pytać. I to było najstraszniejsze, że miał absolutną rację, gdy mówił „my”, „u nas”, czyli i w Polsce, i na Ukrainie, mnie tam włączając, a o ludziach Zachodu – oni. Potem przekonałam się, że on miał taką właściwość – dogrzebywania się w ludziach także tego, czego woleliby nie odsłaniać. We mnie poskrobał moją zachodniość, postukał i okazało się, że wydaję słowiański dźwięk, a moje problemy są postsowieckie, typowe dla regionu, powtarzalne i znane. Należę do świata, który jest gdzieś pomiędzy. Więc ja, polski filolog, co to ma korzenie w Aleksandrii, poczułam się trochę Greczynką z Ukrainy. I zrobiło mi się tak strasznie smutno i smutnie straszno, że wróciłam do pokoju i nakryłam się z głową, żeby już nie być niczym! Niczym absolutnie! Przynajmniej do rana.

I przez to straciłam wiele, bo przyjęcie w Agia Parasklevi, w kafejkach, w których rano piłam kawę z Kostasem, dopiero się rozkręciło. Rosjanki śpiewały, a potem jeszcze się napiły i zaczęły tańczyć. I wtedy okazało się, że tamtejsi mężczyźni rzeczywiście bardzo cierpią, przesiadując całe dnie i całe wieczory sami, pozbawieni towarzystwa kobiet. Spoglądali na nie jak urzeczeni, nie mogąc oderwać wzroku.

Jeszcze następnego dnia pytano mnie:

– Czy wszystkie słowiańskie kobiety są takie niezależne i wyzwolone?

A ja powiedziałam, że tak. U nas nawet w dawnych czasach kobiety bywały w karczmach. Ale nie tylko, bo Polki walczyły w słynnych polskich powstaniach. Liczono się z nimi i gdy brakło mężczyzn, prowadziły interesy i zarządzały majątkami. Owszem, pojawili się u nas konserwatyści, co chcieliby kobiety zamknąć w domu. Ale jakże je zamknąć, skoro przedtem nie były zamknięte. Więc nawet trudno stwierdzić, co to za dziwny konserwatyzm, który nie ma czego konserwować z przeszłości, tylko chciałby wywołać jakąś niesłychaną rewolucję.

Nie wiem czy dobrze odpowiedziałam, bo niezgodnie z utartym polskim, także feministycznym obyczajem. Zwykle mówi się: u nas jest najgorzej.

Potem przeczytałam po francusku swój referat, który mówił o napięciach między uprawianiem literatury, byciem krytykiem i zawodem akademickiego



filologa. I wtedy okazało się, że trafiłam w środek problemów i wątpliwości, poruszających moich zachodnich kolegów, zwłaszcza francuskich. Znowu byłam więc romańska, po polsku zachodnia.

Najdłużej rozmawiałam z Hiszpanem Teo. I odkryłam, że jesteście podobni, tylko on nie spieszy się przez całe życie jak ja. Po prostu pisze. I bardzo wiele słucha muzyki, chodzi na spacerzy z psami, a także gra, bo ma w domu fortepian. To ja żyję w zawrotnym tempie. Gdybym zatrzymała się choć na chwilę, miałabym straszne wyrzuty sumienia.

Ale przecież najbardziej przejmujące na konferencji było to, co mnie zaskoczyło. Najciekawszy okazał się tłumaczony *a vista* z greckiego na francuski referat o święcie ofiarowania byka w Agia Parasklevi.

W wiosce rytuał ten jest powtarzany co roku. Nie chodzi więc o jakąś rekonstrukcję, czy badania nad wymierającym lub umarłym folklorem, ale jak najbardziej o rzeczywistość. Co roku wiosną, pod kolumną, która znajduje się niedaleko wioski, u szczytu jaru uroczyste zarzyna się byka. Byk jest na tę okazję przystrojony w wieniec z kwiatów na szyi i wstążki na rogach. Ma paść na kolana – ten gest uznaje się za uświęcenie rytuału i jednocześnie zgodę zwierzęcia na ofiarowanie.

Zanim jednak to nastąpi, odbywa się prawdziwe święto, w którym uczestniczą konie. Bo konie w tej okolicy nie trzymane są po to, by pracowały. Ani nie po to, by na nich jeździć. To są półdzikie konie, niewielkie, które traktowane są jak coś cennego. Raz do roku mają brać udział w święcie ofiarowania byka, co jest punktem honoru właścicieli. Przystraja się je wtedy kwiatami i w tłocznej grupie biegną wokół wioski w paradzie zwierząt. Potem, co jest znakiem przyswojenia tego starożytnego zwyczaju przez kościół prawosławny, wprowadza się je do cerkwi. Wyniesione są ławki, konie wchodzą i pop błogosławi je i skrapia. A potem konie biegną do centrum, tam gdzie są kawiarnie. Gra muzyka i konie, jeśli specjalnie się je pobudza, zaczynają tańczyć!

Potem dopiero pojawia się byk, którego odprowadza się uroczście w wielkiej paradzie zwierząt i ludzi. Jedna rzecz jest ważna: należy uderzyć zwierzę tak, by padło na kolana. To oznacza jego zgodę na ofiarowanie. I kiedy już byk zostanie zarżnięty, ćwiartuje się mięso. Święto odbywa się zawsze z soboty na niedzielę. Potem całą noc trwa warzenie stawy i w niedzielę wszyscy jedzą, jedzą i jedzą.

Referent skończył mówić i wtedy zza okna dobiegło rżenie konia. Rzeczywiście w tej okolicy jest sporo koni, głównie karej maści, ale i bułane, tak małe, że trudno byłoby je uznać za sposobne pod wierzch. Nie widziałam też, by któ-

ryś z nich ciągnął wózek. To należy do osłów i samochodów. Konie całymi dniami pasą się na pastwiskach. We wrześniu nie mają wiele trawy, wszystko jest suche, sterczą tylko badyle. Zaglądałam do tego, który pasł się nieopodal. Jabłkowity, nieduży wyraźnie się mnie bał. Wyciągał z suchych zarośli strzępy gazety i zjadał. To musiał być jeden z tych koni.

– Czy pani to widziała? – zapytałam Sylvine, która urodziła się w Paryżu, lecz od lat mieszka w Mitylenie.

– O tak, wielokrotnie. To niesamowite. Przede wszystkim odbywa się to, gdy wokół jest pełno kwiatów. I – trudno to sobie wyobrazić teraz – wszystkie wzgórza pokrywają krokusy i anemony, barwny dywan. I widziała pani te kawiarnie w środku wioski?

– Tak, piłam tam kawę.

– Więc właśnie tam, gdzie jest tak niewiele miejsca, wbiegają przystrojone konie. Daje im się do picia trochę piwa. I gra muzyka, a konie zaczynają tańczyć, z początku niezgrabnie, wywracają stoły i to wywołuje straszny śmiech. A potem rzeczywiście łapią rytm. I tańczą.

Więc to wszystko było jeszcze dziwniejsze, niż opisywano w przewodniku, gdzie wspomina coś o „wielkim wiejskim święcie *panigrija*, z grającą bez końca muzyką i uginającymi się pod ciężarem jadła i napoju stołami”. Patrzyłam w oczy kogoś, kto widział ofiarę ze zwierzęcia. I opisywał mi jej przebieg. To był drugi łącznik ze światem starożytnym. Ale nie kamienny. Most w czasie. Nie trzeba go było odkopywać. Wzywać archeologów. Był wciąż w użyciu. Starożytny zwyczaj był czymś oczywistym pomiędzy ludźmi. Jak animistyczne wierzenia w Afryce...

Więc kiedy później znalazłam się w Mitylenie, nie sądziłam już rzeczy powierzchownie, po ich wyglądzie. Jeśli na ulicach nie ma tabunów koni, to nie znaczy, że wszystko odbywa się jak w każdym innym mieście. Jeśli nie widać kanałów ani mostów, nie znaczy, że ich nie ma.

Z Teo zawędrowaliśmy do cerkwi. Wnętrze wypełniały niezbyt udane malowidła. Ale przede wszystkim – wypełniał je śpiew. Niesamowity. Nie ma szaleństwa polifonii. Siedzieliśmy słuchając najpierw głosu mężczyzny. A potem zaczęła śpiewać kobieta i jej głos rozsypywał się pod sklepieniem, pełen srebrnych dzwoneczków.

Teo, podobnie jak Aleksander, jest z wykształcenia muzykologiem.

– Akompaniament monodyczny – wyjaśnił mi. – Nie wiedziałem, że gdzieś na świecie to się kultywuje. Ja to znam z muzyki francuskiego średniowiecza.

– Teoretycznie to powinno być bardzo monotonne, a przeciwnie, siedzieliśmy urzeczeni. Możesz to wyjaśnić? – zapytałam go, gdy śpiew ustał i wyszliśmy ze świątyni w przekonaniu, że zdarzyło nam się coś metafizycznego.

– Stała linia akompaniamentu. I krystalicznie czysty głos, wędrujący po interwałach. Kontrast między nimi. Myślę, że to. Bardzo archaiczna melodia. Spróbuję ją sobie zapisać.

Wszystko, co archaiczne, gdzieś w nas tkwi – tak myślę. I natychmiast zapragnęliśmy zdobyć płytę.

I to był trzeci most, most z dźwięków, w których odnaleźliśmy łącznik między muzyką romańską a bizantyjską. Monodyczność. Między Rzymem a Bizancjum.

I wkrótce, kiedy zajrzeliśmy już do iluś sklepów, ale w żadnym nie było płyt, spotkaliśmy Aleksandra. Jadł coś w najtańszym barze w mieście, obok portu.

– Tradycja greckiej muzyki cerkiewnej – to absolutna prostota. Grecka tradycja cerkwi prawosławnej wywodzi się wprost z Konstantynopola i jest inna niż rosyjska – powiedziała, a ja musiałam z rosyjskiego przełożyć na francuski.

Potem pytał Teo, a ja musiałam przekładać odwrotnie. Kiedy któregoś wieczora spotkali się nad hotelowym pianinem, nie byłam im potrzebna. Porozumiewali się przy pomocy muzyki. Teraz sypali terminami, ale te były łatwe do przełożenia.

Wreszcie Aleksander powiedział:

– Skala zachodnia to podstawowe gamy, których jest dwanaście. Skala bizantyjska jest bogatsza: dwadzieścia cztery.

– Aż dwadzieścia cztery?

– Tak. I to jest bardzo ważne. Bo przy pomocy takiej skali można Boga wyrazić dokładniej! Bardziej precyzyjnie, po prostu.

Przetłumaczyłam i zamilkłam z wrażenia.

A potem pomógł nam kupić płyty.

Właściwie już nic nie chcieliśmy, wszystko co ważne się stało.

Teo był poruszony, że zdarzenia układają się w serię szczęśliwych przypadków, których nie trzeba szukać. Nie powiedziałam mu, że jestem właściwie do tego przyzwyczajona. Wszystkie moje podróże tak wyglądają. I pewnie mojej obecności zawdzięczał serię tego dnia.

Nie czułam już niedosytu.

To była Grecja.

Tylko w drodze powrotnej postanowiłam zobaczyć Ateny. Miałam kilka godzin do mojego samolotu, na same Ateny – pozostawały trzy godziny. Bardzo mało, ale nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze zdarzy się okazja. Za mało, by

czekać na autobus, szukać czegoś w nieznanym mieście, a potem wracać. Ryzykownie. Postanowiłam wynająć taksówkę.

Pytałam taksówkarzy: czy mówi po angielsku? Pierwszy z nich, siwy, od razu zrobił znak poddania się. Drugi, znacznie młodszy, pokazał ręką: cokolwiek. Ale gdy już wsiadłam i powiedziałam, że muszę wrócić za trzy godziny na lotnisko i chcę by mnie obwioził – okazało się, że nie rozumie nic. Podjechał do kogoś z obsługi ruchu, ja powtórzyłam, a ten przetłumaczył sprawnie na grecki. Taksówkarz skinął głową, dobrze. Byłam wystraszona. Przecież nie będziemy szukać po ulicach Aten przypadkowych tłumaczy. Spróbowałam francuski. Nie. Niemiecki. Jak poprzednio. Italian? Nie. Na migi?

I kiedy już ujechaliśmy spory kawałek, on popatrzył uważnie we wsteczne lustro:

– A ruski? – zapytał. – Nie goworite?

Ruski! Był z Suchumi!

– Gruzin?

– Nie, nie Gruzin. Grek z Gruzji. Uciekłem, gdy zaczęła się pierwsza wojna w Abchazji. Nie od razu, trudno było się wydostać.

Taksówkarze na całym świecie to szczególny gatunek. To zawód dla indywidualistów, którzy uwielbiają mówić. Także w Warszawie. Czasami bywa ciekawie, czasami mniej, ale iluż to historii życia w ten sposób wysłuchałam! A iluż politycznych komentarzy! i jeszcze zdarzają się filozoficzne rozważania: co jest ważne, jak powinno się postępować, jak wychowywać dzieci. Nie ma już filozofów – perypatetyków, którzy przechadzając się po ulicach, wciągają ludzi w dyskusje. Są taksówkarze. W każdym z wielkich miast.

Z tym kierowcą było podobnie. Chyba też byłby niepokieszony, gdyby się okazało, że nie mamy wspólnego języka. Wkrótce wiedziałam, że ma na imię Wania. Chce się ożenić po raz drugi, ale jego wybranka, z którą ma już dziecko, wciąż mieszka w Gruzji. Ciągłe są jakieś formalne przeszkody. Widują się co kilka miesięcy. On ma obywatelstwo greckie, służył nawet w Grecji w wojsku, w czołgach, przez rok. I tamtego roku była taka zima, że z czołgów zgarniali śnieg.

W Grecji mieszkają także jego rodzice. A w Suchumi mieli dom. Właśnie przyszedł taki moment, że trzeba by zdecydować, co z nim zrobić. Możliwości są dwie: sprzedać za bezcen. Albo trzymać tak, ryzykując, że się całkiem go straci. I jeszcze mnóstwo innych rzeczy mi opowiedział, a ja słuchając i podtrzymując rozmowę, wyglądałam przez okno.

– Powiedzcie mi, ale prawdę – zapytał mnie – kiedy żyło się lepiej, przed zmianą, czy teraz?

– Cóż – odpowiedziałam – przedtem nie było wolności. I nawet nadziei nie było, bo nikt nie wiedział, że Związek Sowiecki może się kiedyś rozsypać. Teraz wolność jest, ogromna, ale nadzieja nie dla wszystkich. I jakaś mniejsza. Ktoś marzy, że się dorobi. A niektórym się uda.

– Dobrze powiedziane. Zastanawiam się, czy będę chciał tu mieszkać do końca życia.

– Ale jak wrócić? W Rosji nie ma demokracji!

– A toście powiedzieli! Demokracja w Rosji nikomu do niczego nie potrzebna. Rosji potrzebny jest Stalin! Czego chciał Jelcyn? Wymyślił sobie demokrację i wtedy wszystko się rozprzęgło. No i przez niego, przez Jelcyna, wybuchła wojna w Abchazji. Przez tę demokrację ja musiałem uciekać, żeby mnie na tej durnej wojnie nie zastrzelili. Oto dowód, do czego w Rosji wiedzie demokracja.

Za oknem przesuwały się białe, nowoczesne domy. Mnóstwo jest w Rosji i we wszystkich krajach postsowieckich ludzi, którzy właśnie tak myślą. I na to nie da się odpowiedzieć argumentami, logiką. Całe doświadczenie tego człowieka ułożyło mu się jako argument na rzecz silnej władzy. Która bierze za mordę, poskramia, ale i daje żyć. On sądzi tak: jeśli nie ma tego, co weźmie za mordę – strzelają na ulicach i trzeba uciekać.

– Ale tu w wyborach będziecie głosować? W przyszłym tygodniu.

– Tu, to co innego. I powiem wam jeszcze: będę głosował na prawicę. Nie na socjalistę. Na nic ten cały socjalizm. Nigdy już tego nie będzie. Czytałem program socjalistów. Wydali nawet po rosyjsku. Bo ja mówię po grecku, ale z czytaniem – to problem, bo się w szkole nie uczyłem. Po rosyjsku idzie mi trzy razy szybciej. I tam się sporo pisze o pomocy dla Greków w diasporze. Jakież to sumy na to już poszły! Żebyśmy w Suchumi choć jedno euro z tego zobaczyli! Żeby choć była nauka greckiego w szkołach dla Greków. A nie, tylko angielski. Socjaliści kłamią! To jest złodziejstwo. A jak uciekałem stamtąd, to po Żydów całe samoloty przysyłali. Mieli ułatwienia, wszystko. A my – nie, nic.

– Ciężko było na początku?

– Bardzo ciężko. Nie znałem języka – bo u nas mówi się dialektem. Tylko praca na budowach.

– O, to nawet Polacy pewnie się tam trafiali!

– A tak. Bardzo się polubiłem z takim Piotrem. Choć on nie mówi po rosyjsku jak wy, tylko coś przez podobieństwo języków rozumie. I u mnie była taka kasetka: pieśni Rozenbauma. Znaćcie pieśni Rozenbauma?

– Nie.

– No więc jak piliśmy z Piotrem, czyli co tydzień, to kończyło się zawsze tak: puść mi pieśń Rozenbauma. I jak puszczałem – on płakał. Nie rozumiał słów, bo rosyjski u niego słaby, a płakał.

– Wszystkie rosyjskie pieśni są o ciężkim życiu. Wszystkie są smutne.

– No właśnie. I te też. Więc o Polakach wiem, że mają dusze! To mogę na pewno powiedzieć. Czułe dusze, jak my. Ale Polacy tu głównie zajmują się malowaniem. Lepiej zarabia się na ciężkiej budowlance. I tu niestety jest źle, bo tę dziedzinę w Grecji kompletnie opanowali Albańczycy. Raz nawet na budowie, jak zacząłem pracę, to się majster zdziwił, że nareszcie się trafił jeden Grek. Bo moje nazwisko jest greckie. Ale i ten Grek – przecież, nie grecki. No więc pracowałem z Albańczykami. I mówi się, że nie ma gorszych nacji. Że wszystkie narody są równe. Ale to są straszni ludzie. Nie kształcili się, szkół u nich nie było, niska inteligencja. I jeszcze coś gorszego. Sam to sprawdziłem na sobie, więc wiem, co mówię. Jak się z nimi dobrze postępuje, grzecznie, to oni myślą, że to ze strachu przed nimi. I traktują jak najgorzej. Z nimi – można tylko źle, z góry. Wtedy jakoś idzie.

Skręcamy w zaułki. Taksówka zatrzymuje się przed śmieciarką. Musimy poczekać. Jakaś kobieta w złotej biżuterii i w plastikowych rękawiczkach, wpycha śmieci do pojemnika. Dziwię się. Na szyi ma ogromnych rozmiarów złoty krzyż. W uszach – ciężkie kolczyki. A przez rękawiczki prześwitują pierścionki.

– Pracuje w śmieciach, a taka bogata? – pytam, bo widok surrealistyczny.

Wania wybucha śmiechem.

– Toż nie widzicie, że to ruska? Nie muszę rozmawiać, wiem. Grecy tak nie pracują. W ogóle im się nie chce, a w śmieciach – niemożliwe. A po niej widać przecie. Ale i tak ciężko. Bo najłatwiej – jak ktoś chce zajmować się prostytutką. Mnóstwo Rosjanek. Prostytucja – proszę bardzo, od razu. A jak się chce legalnie, zgodnie z prawem – to już nie idzie tak prosto.

Wreszcie ruszamy. Pokazuje mi z lekceważeniem kierunek, gdzie zaczynają się dzielnice, w które nie warto się zapuszczać.

– Sami Murzyni, emigranci, strasznie.

Ateny migają za oknem, on oczekuje, że zacznę mu potakiwać, że Murzyni i emigranci – to najgorsze, co może być i najlepiej, gdyby ich wyrzucono z powrotem do Afryki. Wania patrzy na mnie w lusterku i bada moją reakcję. Czuje respekt, mówię po rosyjsku ładniej niż on. W końcu jest gruzińskim Grekiem i tylko zachował jakiś sowiecki, rosyjski uniwersalizm. Wiezie mnie na górę, na której wznosi się nad Atenami mały klasztor.

– Stamtąd jest piękny widok na całe miasto. I w ten sposób będziecie mogli powiedzieć, że widzieliście całe Ateny.

Całe Ateny! Są chaosem linii, plątaniną białych domów o płaskich dachach i wielkich balkonach. W środku wynurza się ogromne, płaskie na szczycie wzgórze Akropolu. Tam nie pójde. Tego nie dotknę. Nie tym razem. Patrzę zachłannie, bo może tego widoku musi mi starczyć. Może już nigdy się nie uda tam dotrzeć. Chciałabym dobrze zapamiętać ten dzień, tę chwilę. Nie powtórzy się. W dali rysuje się łagodna, lazuruwa zatoka.

Nie wiem, czy istnieje jakieś przejście między antydemokratycznymi tyradami Wania a Akropolem i widokiem Aten. Kolebką europejskiej demokracji. Czwartego mostu nie ma. Nie będzie. Nie ma na świecie żadnych miejsc, których można by dotknąć i powiedzieć na przykład: to jest nieskażone, krystaliczne źródło. Tak jak Lesbos nie ma w sobie więcej czysto kobiecej energii niż inne miejsca na świecie, a nawet może mniej, tak Ateny – są tylko symbolem. Wszystko – między ludźmi. Także demokracja nie jest jakimś abstrakcyjnym pojęciem, ale sposobem odnoszenia się do innych, wyborem otwartości, pełną akceptacją tego, że ludzie są równi.

I chcę słuchać tego, co mówi Wania, bo to jest dla mnie ważne, z tym trzeba się liczyć. Ale nie chcę tego przyjąć. Stoję na wprost Akropolu, tyłem do niewielkiej, białej cerkwi. Wania zniknął w jej wnętrzu. Widziałam, jak zapala długą, smukłą świeczkę pod obrazem świętego Mikołaja i modli się w skupieniu, ze spuszczoną głową.

– Wiecie, o co prosiłem? – mówi, gdy wracamy do samochodu. Kiwam głową. Domyślam się, wiem! Sprawy miłości, Wania jest zakochany. Pragnie i tęskni.

– I leż ja mam kłopotów, żeby sprowadzić moją kobietę. I dziecko. Bo chcemy legalnie. I ślub ma być. I nie tylko przed urzędnikiem, ale jak trzeba, w cerkwi. Tego chcemy oboje. I mam nadzieję, że to się spełni, jeszcze tej jesieni.

Taksówka zaczyna zjeżdżać w dół.

Pokazuje mi nie bez dumy puste dziś obiekty olimpijskie. I tu pracował na budowie, i tam. I dobrze płacili. Dzięki temu kupił taksówkę. I to jest dobra praca, bo nie ma szefa, jest niezależność i można jeździć, kiedy się ma ochotę. A jak się ma kaca – odpocząć ile się chce. W Grecji nie ma korporacji, taksówki są prywatne. To duży sukces finansowy, kupić taksówkę. Zapłacić za licencję, za prawa.

– A jak przyjechałem, to tych szerokich dróg, tych nowych domów, tych hoteli – nie było. Wszystko zbudowało się w czasie olimpiady.

Za oknem przesuwa się nadmorska promenada, wysadzana palmami. Tu mieszkają bogaci. Tam w zatoce trzymają swoje jachty. Wychodzą z domu i idą

pływać w niebieskim morzu. Nie pracują – to Wania już ustalił, wie i dobrze wyliczył, że choćby jeździł całe dni i noce, nie stanie się bogatym.

– Bogactwo nie bierze się z pracy. Jest tylko jedno źródło bogactwa – wpada w teatralny szept i patrzy, jakie robi wrażenie: – Oszustwo. U nas jeszcze bardziej to widać. Jakie oni domy sobie postawili! Ten nasz domek w Suchumi, wystarczający i niemały, jakże wydaje się teraz śmieszny! Takie pałace wokół powstały. Z pracy? Z ciężkiej pracy? Przecież nie! Wszystko wyrosło na oszustwie!

Ateński filozof mi się trafił!

– A piasek, jakiego koloru jest w Polsce? – z początku nie rozumiem pytania, wydaje mi się surrealne.

– Piasek? Oczywiście, że żółty.

– W Moskwie też żółty piasek. A tutaj – biały. Wszędzie na budowach parzyłem – głównie biały. A u nas w Suchumi – czarny. Nigdzie na świecie takiego drugiego nie ma!

Nostalgia! Wania tęskni. Przed nami wyrasta mały korek, a ja denerwuję się, bo spóźnienie na samolot pociągnęłoby za sobą zbyt poważne skutki. Mam jeszcze przesiadkę w Budapeszcie. Łączony bilet był tańszy. Z lotniska do Aten jest aż pięćdziesiąt kilometrów. Gdybym wiedziała, że to tak daleko, może bym się nie wybrała. Ale wtedy nie zdarzyłaby się ta rozmowa.

Gdy już dojeżdżamy, Wania chce powiedzieć mi coś ważnego:

– Mówię wam, gdyby wrócił pewnego dnia Związek Sowiecki, nie zastanawiałbym się ani chwili. Spakowałbym się, wziął cokolwiek i wrócił w jeden dzień. Do Suchumi.

– Dlaczego?

– Bo tam tęsknię! Bo tu wszyscy są w niewoli, tylko o tym nie chcą pamiętać! W niewoli pieniądza. Mówiło się, że przedtem byliśmy za żelazną kurtyną. W stosunku do Zachodu – tak. Ale ja widzę, że teraz w Rosji powstała prawdziwa żelazna kurtyna, jeszcze szczelniejsza. Mój ojciec, jak studiował w Moskwie, co miesiąc przyjeżdżał do Gruzji. Podróż nie kosztowała. A teraz? Jak ktoś ma nie szczęście, że urodził się na Dalekim Wschodzie, to się stamtąd nie wyrwie. A jak się wyrwie, to za cenę, że przez lata nie zobaczy rodziny, a najpewniej – nigdy. Jak ktoś jest z kołchozu – tam pozostanie. To wyrok. Bez odwołania. Ale moje życie pozostało tam. Tu jest pięknie, i jestem przecież Grekiem. Ale z Suchumi.

Lotnisko. Sprawdzam czas – w porządku. Kurs kosztował 50 euro. Za to widziałam Ateny. Całe, z góry. Oczywiście w biegu, w przelocie, spiesząc się. Jak zawsze, bo podróże nie uwalniają od pośpiechu – trzeba pamiętać, żeby przeżyć jak najwięcej i wrócić. Możliwie szybko.



Widziałam Ateny, słuchając Rosji. Jestem tym tak zaszokowana, że wysiadając z taksówki potykam się o krawężnik i upadam. Całe szczęście na plecak. Kolano trochę boli, ale to nic, mogę się podnieść.

Wania był chyba pierwszym człowiekiem, od którego usłyszałam, że chciałby powrotu Związku Sowieckiego. Pierwszym Stalinistą, jakiego poznałam. Wcześniej zdawałam sobie sprawę, że istnieją, muszą istnieć. Nie trafił mi się wyjątkowy Wania. Przeciwnie, całkiem typowy.

Moi rosyjscy przyjaciele są inni. Albo byli, bo tak się składa, że nie żyją. Anna Politkowska... W księgarni na lotnisku widziałam jej dziennik po angielsku. Znałam ją. Była delikatną, nawet kruchą kobietą. Nosiła szpilki i wąskie spodnie odsłaniające smukłe kostki. Nie chciała emigrować, wolała zmieniać Rosję. Zabito ją.

Dziwnie potoczyła się ta moja podróż do Grecji, a przynajmniej jej koniec. Nie dotknęłam kolebki demokracji. Zaczęłam się bać.

Ilu jest takich ludzi jak Wania? Cała logika życia tego człowieka mówiła: demokracja znaczy wojna, chaos i nieuczciwość. Musiał uciekać z rodzinnych stron, stracił dom. Kilka milionów ludzi tak myśli? Co najmniej. A może nawet kilkanaście. W grudniu nadarzyła się okazja, aby wyjść poza przypuszczenia i domysły.

Najpierw spotkałam członka rosyjskiej partii Jabłoko:

– Na ile milionów ocenia pan w swoim kraju ilość osób, które uważają, że demokracja nie jest do niczego potrzebna? Że Rosja to specyficzny kraj i musi być pod rządami silnej ręki?

To było tuż po wyborach, odpowiedź była błyskawiczna i lakoniczna:

– Takich jest 70 milionów.

– A co sądzą o Stalinie?

– Jak to co? Szanują go. Niezwykłe.

Potem o to samo zapytałam Białorusinów.

– U nas takich jest połowa – odpowiedzieli. – A druga połowa, to ludzie, którzy obserwują, co dzieje się na Ukrainie, jakie kłopoty są tam z demokracją, jak ciężko się żyje. Są wystraszeni i nic z tego nie rozumieją. Myślą po prostu, że każda zmiana może okazać się groźna. A oni już jako tako dają sobie radę, może na niskim poziomie, ale woleliby tego nie stracić.

– A opozycja?

– Ach, nas prawie nie ma...

Podeszłam do Czezeńców. Trudno było zadać to samo pytanie, gdy w ich kraju toczy się regularna wojna.

– Czy są w Czechenii ludzie, którzy sądzą, że za Związku Sowieckiego było lepiej?

– Tak. Głównie starzy i tacy, co nie myślą abstrakcyjnie, ale oceniają wszystko praktycznie. I oni wiedzą, że za Związku Sowieckiego można było sobiejechać a to do Odessy, czy na Krym. Albo na przykład na Litwę i tam bardzo luksusowo odpocząć sobie w sanatorium. U was pewnie też tacy są?

– Nie, u nas na Litwę można było pojechać dopiero po 1989 roku. A na Krym nie chcieliśmy tak bardzo. Nas zawsze ciągnęło na Zachód.

– O, rzeczywiście... Ale wie pani i tak największy problem, co myślą ludzie młodzi. Gdy byli dziećmi – zaczęła się wojna. Nie przeszli przez normalną edukację, nie kończyli szkół, nie mówiąc o uniwersytetach. To już tyle lat, wyrosło całe pokolenie młodych, którzy od początku byli zmilitaryzowani. I tam podlegali propagandzie. To może być także islamska propaganda. Każda polega na uczeniu nienawiści do wroga.

To był epilog rozmowy z Wanią w Atenach.

Podsumujmy odpowiedzi, dodajmy jeszcze szacunki dotyczące kilku post-sowieckich krajów. Przeszło sto milionów. Z wymową liczb trudno dyskutować. To nieprawda, że demokracja wygrała a upiory przeszłości zostały ostatecznie wygnane z Europy. I nawet to nieprawda, że na razie śpią.

6–11.09. 2007

ARTUR SZLOSAREK

## Javastraat, rano

Rowery. Uda. Odslonięte wysoko. Gładkie?  
Widziane w przelocie. Na wsi, która nosi w herbie:  
Tryumfującego nad węgorzem bociana.

(Na próbie końca świata).

## Buty, szkoły

Są dwie szkoły: wedle jednej  
Na wszystko jest czas  
I w każdej chwili może nastąpić  
Nowe otwarcie, rozdanie.

Według przeciwnej szkoły myślenia  
Na wszystko jest za późno  
I w każdej sekundzie zostaje  
Wydany niespodziewany wyrok.

– Jedni kupują więc buty lśniące,  
Inni wolą bardziej stare, znoszone.  
(Buty są drogie i tanie, bez względu  
Na wykonanie i skórę).

Jeśli pytamy zatem o najważniejsze,  
W wielu odpowiedziach znajdujemy ślad  
Tylko po jednej parze, osobnej,  
Która przepadła w przyszłości.

Albo, jedynie pytając i lekceważąc  
Odpowiedzi, jesteśmy swobodni –  
I czyści, jak na tamtej nieostrej fotografii,  
Kiedy to fotograf-amator, ojciec,

Zabiegał po lekcjach o światło,  
A ono – czy to aby nie nasz los i szczęście? –  
Obiecało, że utrzyma w tajemnicy  
Rozczulająco odrażające treści.

## Okolica

Południowe miasto na kilka minut  
Przed południem. Wymyślają się z zielonkawej szarości krople,  
Pojedyncze, jedna i druga.

Na żyrafach miejskich lamp  
Adekwatne ogłoszenie: zaginął rudy kocur –  
*Alef*, jeszcze nie całkiem stary, czerwony pasek na szyi,  
Identyfikacyjny chip w uchu.

Jak blisko do dzwonu? Cztery minuty.  
(Dopala się palec wskazujący  
Z sandałowego drzewa). Kiedy przyłożę nos i usta  
Do szyby, ten pejzaż pęknie

(Pięknie), ale nie jak bańka mydlana:  
Jak twój nagle urwany oddech –  
Balonik przywiązany drutem do wiatru

W sercu za trzy trzydzieści.

## Kilometry

Kilometry paznokci, z którymi nie wiadomo, co się dzieje.

Długie, rozwinięte jak rozciągnięte sprężyny, sztandary mocy, lustra ostre jak ostrza.

Dłuższe niż życie, jeżeli zachować nieznane proporcje.

Chciałoby się rzec: dłuższe niż słowa w odłożonej na chwilę książce,

Do której chce się wrócić zawsze, ale wraca dopiero wtedy, kiedy jest za późno,

By choćby jedno podać dalej: na pamiątkę, w sprawiedliwej niepamięci.

Nieprzydatne i niewinne jak brud, który za nimi wyrasta za dnia i świeci

W nocy jak niema pieśń chwały albo wyciągnięta po jałmużnę ręka.

## Wskazówka

„Być ignorowany: to wyjątkowy przywilej” –  
Powiedział mój mistrz, rabbi Saul Leiter.  
W odpowiedzi, Święty Jedyny (niech będzie  
Błogosławiony), nie dał mu poznać kogo  
Ma dotyczyć ta najprawdziwsza nieprawda.

Andrzej Piłchowski-Ragno



## Pod obcym niebem o niebie nad Berlinem

z Arturem Szlosarkiem rozmawiają Emilia Kledzik i Joanna Roszak

**Emilia Kledzik, Joanna Roszak:** *Pomyślałyśmy, by zacząć tę rozmowę od wiersza Prowizorium: „(...) wyjechałem, / aby studiować, położyć gałązkę / na grobie, znaleźć osobność, / zapalić lepszego papierosa (...)”. Wyjechał Pan z Krakowa pod obce niebo, by studiować w Bonn.*

**Artur Szlosarek:** Niespecjalnie pamiętam ten wiersz. Na pewno jest w nim sporo kokieterii, gry z motywem poety-emigranta, poety-wygnança. W tym fragmencie chciałem zapewne dać znać, że mnie nie wygnano, i że nie musiałem przed niczym uciekać. Jedna rzecz: wyjazd po debiucie, w 1988, był bliski artystycznemu samobójstwu. Wyjechałem w 1989 roku, a ten wiersz napisałem jakieś dwa lata później. Był więc pierwszym rozliczeniem, niepewną próbą definiowania siebie jako tego, który zamieszkał w innym kraju, ale nie emigranta, nawet przez chwilę nie myślałem tak o sobie. Wiele osób mi mówiło, że zaczynanie kariery literackiej i wyjazd akurat wtedy, gdy formuje się „nowa literatura”, następuje jakiś przełom, to samobójstwo. Użyjmy tutaj 1989 roku jako punktu orientacyjnego, skrótu. A więc nie czułem się zmuszony do wyjazdu przez politykę, chociaż wtedy nie było jasne, że się PRL skończy i nie łatwo było uwierzyć w postępującą agonię komunizmu. Wyjechałem instynktownie, mój ojciec mieszkał w Niemczech, miałem do niego jechać na studia. Zmarł wprawdzie w 1984, ale idea pozostała – to na jego grobie miałem położyć tę gałązkę. Był to odruch, spóźniona reakcja na to, że nie mogłem wyjechać na pogrzeb z powodów rodzinnych. Chciałem studiować germanistykę, a wyszło mi tak, że skończyłem polonistykę. Nie wiedziałem, że ten wyjazd tak się przeciągnie...

**E.K., J.R.:** *Znał Pan Prowizorium Hilbiga, wschodnioniemieckiego pisarza, który przeniósł się do Niemiec Zachodnich i żył ze spotkań autorskich? Czuł się jak mała pa pokazywana: zwierzę zza tej szczelnej granicy.*

**A.S.:** Nie znałem.

**E.K., J.R.:** *Emigracja, jest też zawsze emigracją z konwencji, które są dla poety zabójcze. Może tu uratował Pan swoje wiersze.*

**A.S.:** Lichtenberg pisał, że wyjechał do Anglii, by nauczyć się pisać po niemiecku. Stało się może ze mną podobnie, oczywiście *toutes proportions gardées*, że wyjechałem, by nauczyć się pisać po polsku. Można do tego dodać to, co pisał Miłosz o języku poety: że ten w oderwaniu od żywiołu mowy kolokwialnej się puryfikuje. Nie wiem, czy mi się udało nauczyć pisać po polsku, ale pozostając w kraju, pisałbym zapewne inaczej. Jedna rzecz odgrywała dużą rolę: chęć udowodnienia sobie i innym, że da się w tych utrudnionych warunkach wypracować własny idiom. Myślałem, że jeśli mi się to powiedzie, będzie to też dowodem na to, że *miałem być* poetą, że taki mój los.

**E.K., J.R.:** *Nie myślał Pan, by poszerzyć spektrum, pisać po niemiecku?*

**A.S.:** Nie dałbym rady pisać po niemiecku, język ojczysty dla poety to rodzaj fatum, nie zmienia się go bezkarnie. Można, wciąż zachowując proporcje, być jak Josif Brodski świetnym eseistą w języku obcym, ale poetą – niekoniecznie.

**E.K., J.R.:** *Czy miał pan problemy z określeniem własnej tożsamości, jako człowiek mieszkający w Berlinie? Nasza koleżanka, Małgorzata Zduniak w książce o pisarzach emigracyjnych w Niemczech mnoży kategorie: niemiecki piszący po polsku, polski piszący po niemiecku...*

**A.S.:** Jestem polskim poetą piszącym po polsku i nie mam z tym faktem oficjalnie żadnych problemów. One istnieją w tle, jako szum. Bo jednak mimo tego, że odległość między Berlinem i Krakowem nie jest wielka, co nie przeszkadza publikować regularnie w dobrych wydawnictwach, to przecież nie ma mnie tam fizycznie i jestem skazany na doraźną obecność, odcięcie od mechanizmów środowiskowych i promocyjnych.



**E.K., J.R.:** *Można na to spojrzeć inaczej. Pisarz z zagranicy jest gościem specjalnym w Polsce, chyba bardziej pożądanym niż inni podczas festiwalu czy spotkań autorskich.*

**A.S.:** W przyływach dobrego humoru też to tak widzę. Niemniej najczęściej jest inaczej: „pisarz z zagranicy” nie jest *swój*, jest nieoswojony, obcy, a jako *obcemu* trudniej się przebić. Obcego się zawsze demonizuje – nie słucha, a przesłuchuje. Rzadko taki obcy ma spotkania, rzadko się udziela, nie uczestniczy prawie wcale. Kiedy patrzy na przebieg karier porównywalnych poetów, widzi, że nie są one pozorne. Ale jest też i inny element: przebywanie w środowisku może być inspirujące. Że tak jest, widać lepiej z odległości, tego się na miejscu nie widzi, nie docenia. Z tego poeta nie mieszkający w kraju jest wykluczony. Ale przyzwyczałem się już trochę do tego. Jest, by tak rzec, przecież też druga strona, pozytywna, bo poetą najlepiej być, kiedy jest się anachronicznym, gdy się szuka na uboczu i po omacku, bez podpowiedzi, choć brak uznania demotyduje.

**E.K., J.R.:** *Był Pan i jest jednym z ulubieńców krakowskiego świątka. Dowodem fakt, że Antoni Schyschko z książki Katecheci i frustraci wzorowany został na Pana osobie.*

**A.S.:** To zabawna historia, bo jeśli chodzi o *Katechetów i frustratów*, to spora część książki powstawała w moim domu. To nie jest znane. Jej duchami sprawczymi byli Grzegorz Dyduch, Marcin Świetlicki i Paweł Próchniak. Postać Schyschki była budowana w dużej mierze w oparciu o wspólne rozmowy z Grzegorzem. Mieszkałem w Bonn, a on zajeżdżał czasami do nas i przy kuchennym stole pisał o Schyschce. Kibicowałem mu. W gruncie rzeczy znaczna część fragmentów poświęconych Schyschce to w warstwie anegdotycznej moje niewinne opowiadki zdemonizowane przez frapujący humor autorów. Nie wiem, jak się to dziś czyta innym, ale dla mnie to nadal zabawna proza.

**E.K., J.R.:** *A w Internecie krążą zdjęcia poety narodowego z narodowym krytykiem: Pan i Marian Stala.*

**A.S.:** A to już dowcipy rodem z koła polonistów KUL-owskich. Kiedyś jeździłem na KUL, bo się przyjaźniłem z Próchnikiem.

**E.K., J.R.:** *Mówił Pan z żalem, że funkcjonuje poza środowiskiem w kraju. Czy bierze udział w sztamtyszach pisarzy i tłumaczy, które Dorota Stroińska organizuje w Berlinie?*

**A.S.:** Tak. Od pewnego czasu. Mam jednak spore kłopoty z zapamiętywaniem tego, kiedy się odbywają. Dorota przysyła mi zaproszenia, cieszę się z nich, a potem zapominam, wystarczająco często, by to uznać za jakąś plagę. No i jeszcze nie zdążyłem wymyślić własnego tematu na spotkanie, więc raczej jestem tam widzem.

**E.K., J.R.:** *Anna Baumgartner pisała niedawno w „Odrze” o polskich artystach w Berlinie. Zna Pan tutejszych plastyków, Drewińskiego, Partum?*

**A.S.:** Jestem, widać, wyizolowany także w Berlinie, bo nie znam, niestety. Przykro mi. Ale w Krakowie też jestem u siebie nie w pełni, chociaż jeżdżę tam w miarę regularnie.

**E.K., J.R.:** *Dwadzieścia dwa lata mieszka Pan w Niemczech. Czy pamięta Pan swoje pierwsze wrażenia po przyjeździe?*

**A.S.:** Mnie się wydawało, że ta napięta atmosfera w Polsce się nie skończy, było upiornie i bardzo szaro. A tu było kolorowe otwarcie, lepszy papieros. Nie chcę idealizować, ale Bonn było miejscem naprawdę niezłym. Tak to przynajmniej teraz widzę, z dystansu. Nie można powiedzieć, że Berlin to Niemcy. Berlin to Berlin. Bonn było niemieckim schludnym miastem z odprasowanymi ludźmi pachnącymi...

**E.K., J.R.:** *...i czekającymi na światłach.*

**A.S.:** O tak, na pewno. Pół roku mieszkałem też w Wiedniu, prawie w ścisłym centrum, do katedry Stefana szło się dwadzieścia minut. Wiedeń jednak postrzegałem jako miasto zacofane, zagrzybiałe. Pachniało w nim schabowymi, niemal jak w PRL-u. Pożyczał człowiek, robiąc remont, sprzęty takie jak wiertarka czy piła od garbatej i jędzowatej pani w wyświechtanym fartuchu, w sklepie której po ladzie chodziły ogromne psy i zaczepiały petentów... Urzędnicy za okienkami na pocztce, obsługując klientów, palili na potęgę. A w Kunsthistorisches Museum był Bosch, Bruegel. Czyli dokładnie to, co opi-

suje Thomas Bernhard w *Dawnych mistrzach*. Więc z jednej strony Café Havelka, konie i powidoki byłego imperium, z drugiej – urzędy z prozy Franza Kafki i bolesna zapyziałość.

**E.K., J.R.:** *Nie cierpiał Pan na kompleks pochodzenia z prowincji, gorszej Europy?*

**A.S.:** Cierpiałem raczej na złość. Na to, że jedni mają bez wysiłku to, czego inni nigdy nie osiągną. Że mają lepszy start, a przez to i większe szanse. Mnie przed kompleksami chroniła arogancja. Nie odczuwałem tego, że jestem gorszy. Byłem inny. Różniłem się. Jasne, nie radziłem sobie najlepiej z językiem, na początku studiów z zajęć nie rozumiałem więcej niż połowę, ale w Bonn trafiłem na emigrantów z Iranu, Persów, z którymi dzieliliśmy wspólny łamany niemiecki i podziw dla literatury rosyjskiej czy Celana. Np. moją pierwszą jego książkę, *Atemwende*, dostałem na urodziny od Ahada, artysty malarza z Teheranu. Stąd wzięła się chęć tłumaczenia tej liryki.

**E.K., J.R.:** *Brodski, Miłosz, Celan, Wat. Dodajmy Jehudę Amichaję, którego też Pan podczytuje. Buduje się znaczący szereg poetów emigrantów.*

**A.S.:** Wata cenię najbardziej – *Wiersze śródziemnomorskie* to arcydzieło.

**E.K., J.R.:** *Czy zatem doświadczenie emigranta jest znaczące, gdy wybiera Pan kogoś do czytania?*

**A.S.:** To przypadek, który, jak się twierdzi w pewnych kręgach, nie istnieje. Sięgamy po rzeczy, które dopiero *post factum* wydają się potrzebne czy pokrewne. Miłosz przez lata był nieczytanym tłumaczem Herberta, Wat nadal nie jest uważnie czytany. Brodski to czołowy reprezentant arogancji twórczej i oszałamiającej kariery – Nobel w wieku czterdziestu sześciu lat, Celan zaś to wygnaniec modelowy, można jego los postrzegać jako archetyp. Tutaj, myślę, odgrywają największą rolę podobne cechy charakteru, intuicyjnie rozpoznawane w czytanych tekstach. W pierwszych latach w Niemczech nie czytałem w ogóle poezji, pochłaniałem głównie prozę – dziewiętnastowieczną i zawzięcie pisałem dzięki niej wiersze. Dopiero później przyszła pora na czytanie poetów... rosyjskich. Cwietajewej, Achmatowej, Mandelsztama.

**E.K., J.R.:** *Wraca słynne zdanie Cwietajewej, że wszyscy poeci są Żydami. I tu już blisko do tematu Kafki.*

**A.S.:** Kafka to osobny rozdział.

**E.K., J.R.:** *Karl Dedecius zatytułował rozdział swojej antologii tytułem Pana wiersza – Prowizorium. To znaczące.*

**A.S.:** Z tym wiąże się zabawna sytuacja. Bo nie mogąc zakończyć dzieła życia frazą: „nieśmiertelnie chory”, jak kończy się *Prowizorium* Karl Dedecius napisał, a w każdym razie tak wyszło w druku – „nieśmiertelny”. Później wymieniliśmy zdania i uwagi i ten wybitny i uroczy człowiek całą rzecz sprostował w apendyksie do swej monumentalnej antologii. To obrazuje pewien rys poety na wygnaniu, pewien rodzaj napięcia – umieszczony w prestiżowym dziele, ale z błędem w tytułowym wierszu.

**E.K., J.R.:** *Wynotowałyśmy kilka zdań o Berlinie. Ciekawe, czy z którymś się Pan identyfikuje. Na początek Bertolt Brecht: „Kocham Berlin. Ale z ograniczoną odpowiedzialnością”. Podpisałby się pan pod nim?*

**A.S.:** Nie mam żadnego stosunku do Bertolda Brechta. Jego fizyczność odepchnęła mnie od jego literatury. Żeby go czytać – nie, prędzej pójdę na jakąś jego sztukę do teatru. Np. z Martinem Wuttke. Nie mogę też powiedzieć, że kocham Berlin... Kiedyś napisałem, że miarą zakorzenienia w nim jest stopień odczuwanej tu obcości. Ale Berlin jest na pewno świetny, gdy się ma sławę i pragnie anonimowości. Gdyby jakaś powszechnie znana osoba weszła teraz do knajpy, to raczej nikt nie wyjąłby aparatu. No może byłoby inaczej, gdyby zajrzał tu Michael Jackson... Nie jest to moje wymarzone miasto, przez przypadek w nim osiadłem. Moje dzieci w metryce urodzin będą miały wpisane – Berlin. W dodatku mają ojca-poetę...

**E.K., J.R.:** *Ma Pan dwie córki – bliźniaczki, prawie osiem lat. Mówią po polsku i niemiecku?*

**A.S.:** Po polsku i niemiecku. Gdy mają kontakt ze szkołą, lepiej po niemiecku, w wakacje – po polsku. Ale w domu mówi się po polsku; mamy baczenie

i poprawiamy końcówki. W niemieckim lubią już zawstydząć tatę, nie mają jak on problemów z akcentem.

**E.K., J.R.:** *Czy to znaczy, że Berlin stał się dla Pana miastem rodzinnym?*

**A.S.:** Trochę – tak, i trochę też – nie. Tak, bo urodziły się tu moje córki, nie, bo trudno tutaj polskiemu pisarzowi zapuścić korzenie. Nie ma też instytucji, które zwracałyby na taki byt uwagę. Za przykład modelowy niech służy Instytut Kultury Polskiej, który nie uważa nas, pisarzy polskich mieszkających w Berlinie, za godnych wstąpienia w jego wysokie progi. Ekstremalnie trudno w Berlinie o zajęcie, które pozostawiałoby margines do pisania. Jest bezrobocie, które dotyka szczególnie osoby wykształcone. Największe w Niemczech. Z drugiej strony, Berlin jest cieniem tego miasta, w którym istniała silnie rozbudowana sieć pomocy socjalnej i jakoś można było utrzymywać się na powierzchni, w nisz, korzystając z dobrodziejstw wspólnej kasy. Mieszkania nie były drogie. Dziś to odchodzi w niebyt...

**E.K., J.R.:** *Mamy kryzys...*

**A.S.:** To miasto dobre dla pisarza, jeśli ten daje sobie radę z pewnym rodzajem izolacji albo jest w stanie wyrzec się pisania na serio. No chyba że zostanie uznanym niemieckim pisarzem albo jeszcze lepiej – amerykańskim autorem bestsellerów.

**E.K., J.R.:** *A kiedy idzie Pan berlińską ulicą, nie cieszy się Pan, że mieszka w miejscu, w którym mieszka się tyle kultur?*

**A.S.:** Dzielnica Kreuzberg, gdzie mieszkam, to takie miejsce. Mamy tu synagogę, którą od czasu do czasu się podpala – teraz stoi pod nią dzień i noc policja, mamy wspaniałe meczety i zróżnicowaną bojowo społeczność islamską, głównie Turków tudzież dużo ludności napływowej z Włoch i USA. Mamy artystów, pseudoartystów, ludzi, którzy lubią *clubbing*. Ja z tego nie korzystam, ale rozumiem, że jeśli chodzi o tę stronę bytu, Berlin jest fantastyczny. I przyciąga. Jeśli poczytać amerykańskie blogi, to się można dowiedzieć, że Berlin jest najbardziej *cool* na świecie, co oczywiście powoduje, że robi się tłoczno, głośno, drogo.

**E.K., J.R.:** *Alfred Kerr napisał „Pogoda waha się tu między latem a jesienią – istny obojnak. Takim samym obojnakiem jest cały Berlin”. Zgadza się?*

**A.S.:** To prawda, są tu w zasadzie dwie pory roku, zima, która się kończy w kwietniu, i zaczyna na początku listopada, między tym – letnia. Gershom Scholem mówił, że nie ma nic piękniejszego niż niebo nad Berlinem w lecie... Ale on mieszkał w Jerozolimie, gdy tak mówił, więc można go zrozumieć, w jego perspektywie było tu cudownie chłodno. Ja myślę, jak Ernst Jünger, że nie sposób być w Berlinie zdrowym... to miasto malaryczne, ponieważ zbudowano je na kanałach i piaskach, w końcu jest też miastem, które nosi w herbie niedźwiedzia i nie jeden raz zagroziło światu. Trochę żartuję, oczywiście, chociaż ludzie, którzy mają kłopoty ze stawami i kręgosłupem, jak ja, odczuwają ten piwniczny chłód intensywnie...

**E.K., J.R.:** *Odbijmy do samego początku. Urodził się Pan w 1968 roku. Czy zatem pokolenie Nowej Fali, które wtedy debiutowało, jest Panu bliskie? Choćby dlatego, że Pana Święto szparagów wydało wydawnictwo Krynickich, a5...*

**A.S.:** Ryszard Krynicki z okresu Nowej Fali, a Raszard Krynicki dziś to zupełnie inna historia... Podobnie jest z Adamem Zagajewskim.

**E.K., J.R.:** *Przecież to samo można powiedzieć o Panu. Czy Zagajewski naprawdę nie jest Panu bliski? Przecież i o Panu można powiedzieć mutatis mutandis: obrońca żarliwości, poeta wysokiego tonu...*

**A.S.:** Że niby jak? Oj, nie sądzę... tak się składa, że poetą wysokiego tonu jest dla mnie w chwili obecnej Andrzej Sosnowski.

**E.K., J.R.:** *Pana język jest pozbawiony brudów...*

**A.S.:** Niby tak, ale w dzisiejszych czasach ten „wysoki ton” brzmi w pewnym zasadniczym kontekście pobieżnej lektury jako obelga lub zgoła etykieta zastępcza dla produktów, które uznaje się *ex definitione* za niestrawne... Wymieniając więc w tym kontekście poezję Sosnowskiego, chciałbym zaznaczyć, że nie znam się na etykietach, co więcej, że nigdy mnie one nie interesowały. Ważny jest stopień wyrafinowania poetyckiego języka, a ten zdaje się być wyższy u Sosnowskiego – jego język ostentacyjnie odstawia i uwalnia się od uznawa-

nej – też nie wiedzieć, czemu – za „niską” potoczności, pochłania ją, przetwarza, więc ja dostrzegałbym tę „wysokość” raczej u niego. Może też dlatego, że Adam Zagajewski zdaje się głosić w swojej praktyce pogląd, iż poezja wyraża więcej niż poezję. Jeśli chodzi o mnie, nie przeprowadzam żadnych konceptualnych podziałów, a już z całą pewnością nie traktuję „niskiego” – „gorzej”, ani „wysokiego” – „lepiej”. Ani odwrotnie. Język poetycki jest żywiołem pochłaniającym i znoszącym sztuczne przeciwstawienia. Poeci mają wprawdzie różne stylistyczne sympatie i antypatie – w zależności od celów, jakie sobie stawiają. To, że te cele czasami są obrazem sympatii i antypatii mniej związanych z wierszami, i że poeci nie raz mijają się bez własnego udziału z obranymi celami, to osobny temat. Niestety rzadko jesteśmy postrzegani tak, jakbyśmy sobie życzyli. Często trzeba się domyślać, co inni chcą zasugerować, kiedy nazywają to, co robimy. Niewrzęda np. sądzi, że moja poezja to wypadkowa parnasizmu i brutalizmu, powtarzając ten sąd przy różnych okazjach. Nie mogę powiedzieć, że się z nim zgadzam, ale na pewno w tym stopniu, w jakim może to być sąd wskazujący w moich wierszach ślad istnienia przeciwieństw, sprzeczności, odstępstw i przywłaszczeń, nawiązań i uzupełnień, różnic, braków... Wracając do Zagajewskiego i Krynickiego, muszę się tu przyznać, że jako nastolatek przeczytałem *Komunikat*, *Sklepy mięsne*, i usiłowałem przebrnąć przez *Świat nie przedstawiony*. Czytałem również Barańczaka. Najmniej Krynickiego. Był to raczej repertuar moich starszych kolegów. Bo kiedy się jest licealistą, bardziej wciągają Rimbaud, Lautreamont czy Poe. Na początku liceum intensywnie czytałem Wojaczka. Nie zapamiętałem dokładnie Zagajewskiego czy Krynickiego z tamtego okresu, ale Wojaczka – tak.

**E.K., J.R.:** *A dzisiejsi Zagajewski i Krynicki?*

**A.S.:** Bardziej Krynicki niż Zagajewski. Trudno było mi już na samym początku, w latach osiemdziesiątych, czytać *Solidarność i samotność*, bo nie widziałem w tej książce własnych problemów, chociaż podziwiałem pomysłowość, lekkość i krój zdania. Debiutowałem w „Zeszytach Literackich”, ale one bardzo się zmieniły. Po latach przerwy ogłosiłem tam przekłady Lichtenberga, głównie przez pamięć o przekładach Jeleńskiego. Byłem przekonany, że wiersz, który dedykowałem pamięci Brodskiego – *Święto szaparagów*, który się w „Zeszytach Literackich” ukazał, powinien się być tam znaleźć. Jeśli chodzi o Nową Falę, to po osobistym poznaniu Ewy Lipskiej w Wiedniu, wróciłem i do jej wierszy. Najbardziej

jednak w chwili obecnej cenię Barańczaka – *Atlantyda* i *Widokówka* to moje ulubione tomy, często do nich zaglądam.

**E.K., J.R.:** *A Miron Białoszewski?*

**A.S.:** To wyjątek, do którego rzadko się przyznaję. *Autoportret odczuwalny* jest dla mnie jednym z wierszy założycielskich, orientacyjnych.

**E.K., J.R.:** *Wers z wiersza, o którym Pan wspomniał: „patrz na mnie / więc pewnie mam twarz”, to leitmotiv, który pojawia się w wielu Pańskich utworach. Dzieje się w nich nieustanny dialog: między człowiekiem a człowiekiem, człowiekiem a zwierzęciem, jakby dla podkreślenia wszechobecnego relatywizmu. To jedna rzecz, która – jeśli chodzi o Białoszewskiego – wydaje nam się zapładniająca dla Pana poezji. Czy Pana wers: „porośnięty jestem śmieciami” to bezpośrednie odwołanie do „porośnięty jestem ruchem i półżyciem”?*

**A.S.:** Takie rzeczy funkcjonują w niepamięci i w ten sposób wywierają największy wpływ. Zapomniane teksty literackie są najbardziej niebezpieczne, ponieważ żyją własnym i kompletnie niekontrolowanym życiem. Ten wiersz po raz pierwszy przeczytałem jako uczeń siódmej klasy, miał ogromną siłę rażenia, więc musiał silnie działać i w okresie późniejszym. Niewątpliwie zamieszkał w mojej niepamięci i daje od czasu do czasu, by tak sprawę ująć, możliwość przywołania przyszłości własnych wierszy... Jedną z myśli, jakie mi obsesyjnie towarzyszą, jest ta, wyrażona dobitnie przez Kafkę, że pisarz nie jest autorem tego, co pisze.

**E.K., J.R.:** *Czy Kafka i Lichtenberg byli dla Pana ważni także przez swoją aforystyczność?*

**A.S.:** Zaczynałem czytać Kafkę wcześniej, bez przygotowania – od *Procesu*, w przekładzie, do którego jestem przywiązany, pomimo jego ewidentnych wad. Teraz mamy nowy przekład, do którego też mam zastrzeżenia. Wiem, że Kafka jest bardzo trudny już na poziomie samego zdania, że pisze w sposób, który trudno przełamać – „ulogicznić”, bo wiele się tam dzieje jakby poza związkami przewidywalnych następstw, w różnych i zaskakujących interakcjach. Jego niemczyzna jest esencjalnie nieczysta, jak uważają jedni, krystaliczna wedle innych. Jego styl wyróżnia pięknięcie, niezadomowienie, rodzaj semantycznego „odwlekania narodzin”. I trudno wreszcie tłumaczyć pisarza, dla którego zrozu-



mienie przeczy prawdzie. Niedawno czytałem Kafkę po raz kolejny i dyskutowałem na temat, czy jest aktualny, jak go czytać, interpretować. I on żyje, moim zdaniem, i ma się świetnie. Pomysł tłumaczenia aforyzmów, oprócz tego, że są mi bliskie, bo prezentujące Kafkę jakby w roli poety, którym może chciał być, choć popełnił jeden wiersz – i to słaby, wziął się z potrzeby przeczytania go raz jeszcze najuważniej, poprzez przetłumaczenie. Jeśli chodzi o krytykę oraz filozofię literatury, to jest on jednym z najbardziej czytanych autorów i niekiedy same interpretacje jego tekstów są dziełami sztuki. A Lichtenberg? To cudowna szkoła sarkazmu, dystansu, ironii, autoironii, a przy tym bezlitosnego serio. Prof. Markowski twierdzi, że można go czytać zamiast Kanta, może to prawda, bo Kant, ilekroć zabierałem się za niego na studiach, powodował, że przestałem pisać wiersze.

**E.K., J.R.:** *Ukazał się w Polsce tom zbierający rozproszone teksty filozofów o Kafce, Nienasycenie...*

**A.S.:** Tak, to świetna książka, bardzo użyteczna. Wydaje się, że Agamben jest w tej chwili jednym z filozofów bardzo frapująco piszącym o Kafce. Są jego dwie książki, które bardzo lubię: *Profanacje* i *Nagość*, zawierające rzeczy wywiezione w dużej mierze z Waltera Benjamina i Kafki, z jego pojęcia szturmu na granicę, by tak rzec w skrócie. Ukazały się też listy pisarza, to ważne, bowiem znaczna część jego dzieła to listy, równie ważne, jak utwory fabularne. Ostatnio sam bezskutecznie zabiegałem o publikację biografii Kafki pióra Petera-Andre Alta pt. *Der ewige Sohn*. Nie chciało jej przyjąć WAB i Wydawnictwo Literackie, dobijałem się do Znak. To dziwne, bo WL ma świetną serię pisarzy języka niemieckiego. Wydawcy twierdzą, że nie znalazłaby wymaganej liczby odbiorców. A taka rzecz wywołałaby fundamentalną zmianę. Kafka żyje w Polsce bardziej jako legenda, podczas gdy jest autorem, który wymaga uporządkowania. Dzięki takiej książce znalazłby wśród ludzi, których interesuje literatura, jakiś mocniejszy fundament, strukturę, nie tylko legendę i plotkę.

**E.K., J.R.:** *Kafka napisał, a Pan przetłumaczył: „Zostaliśmy stworzeni, żeby żyć w raju. Przeznaczeniem raju było nam służyć. Nasze przeznaczenie zostało zmienione, ale czy wraz z naszym przeznaczeniem uległo też zmianie przeznaczenie raju”. Taka gra logiczna, też bardzo bliska Pańskiej poezji...*

**A.S.:** Powinowactwa z wyboru? Przypadkowe spotkanie o charakterze koniecznym? Jego *Oktavenhefte* są wręcz zjawiskowe, ale nie jako zarysy przyszłych i nierealizowanych pomysłów, quasi-dziennik duchowego uwodziciela, lecz próby określenia tożsamości własnej w oparciu o logikę apofatyczną. Kafce bliżej do kabały, czy – powiedzmy – teologii negatywnej, niż do judaizmu rabinicznego, ale powstają też i interpretacje takie, jak np. Manfreda Voigtsa, który jest moim zdaniem jednym z wybitniejszych interpretatorów, które poszukują pokrewieństw kafkowskiej myśli z oświeceniową myślą Mojżesza Mandelssohna. Żydowskość Kafki mocno istnieje i to ona mnie u niego fascynuje najmocniej. Ten przedziwny głos w otwartym dialogu, w *mahloquet*. Intrygująca wieloznaczność i wysokie stawki, jak choćby próba czytania jego pism przez Natana z Gazy, głównego teologa sabbatianizmu, idące tropem ostatniej z „10 ahistorycznych tez o kabale”. Mnogość możliwości i niemożliwość przyjęcia jednej z nich bez bałwochwalstwa.

**E.K., J.R.:** *A z czego bierze się wiersz? Z impulsu słownego? Z impulsu sytuacyjnego?*

**A.S.:** Ze wszystkiego. Głównie jednak z fraz, które przez szereg lat lekceważyłem, jeśli nie byłem ich w stanie zapamiętać. Teraz zmieniłem podejście, na bardziej skromne, zakupiłem kajet i zapisuję zdania, fragmenty, słowa. To, co mi się podczas czytania innych podoba. Wcześniej pisałem, gdy przychodziła Muza, teraz ją przymuszam do pracy. To ostatnie dobrze działało podczas pisania *Szparagów* – po prostu siadałem w południe za biurkiem i pisałem, jak urzędnik, tyle że bez pensji. Przy odpowiednim uporze można w ten sposób pisać wiersze, regularnie, choć niestety nie wszystkie da się wykorzystać.

**E.K., J.R.:** *Znamy frazę „co się ostaje, ustanawiają poeci”. Ale czy to samo zdanie nie byłoby dla Pana bardziej prawdziwe, gdyby brzmiało: „co się ostaje, ustanawiają smutni poeci”? Mamy na myśli nurt elegijny, który wydaje mi się bardzo Panu bliski.*

**A.S.:** Tak. Być może. Cenię Hölderlina, ale bardziej jednak Goethego. Uważam, że *Faust* to arcydzieło, niezwykle, mądre, ciemne. Posłowie do mojego ulubionego polskiego przekładu, napisane przez tłumacza, Adama Pomorskiego, którego podziwiam, miało tytuł *Poważny żart*. Jeśli mogę zatem w jakiejś mierze nazwać to, co staram się robić, to nie mogę tego tytułu nie wykorzystać, bo to też na pewien sposób jest – „poważny żart”.

LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI

## Gdzie jesteś?

Czemu jak mrówka lub motyl jest człowiek?  
gdy sen niepewny strąca się z powiek  
dokąd to dokąd tak we wszystkie strony naraz  
jak ja jak ty do końca dojść się starasz  
jak ja, jak ty, jak mrówka jest człowiek  
gdy sen niepewny strąca się z powiek  
dokąd tak bezładnie we wszystkie naraz strony  
kiedy Ktoś Dobry nade mną, wierzę, nachylony  
jak róża czy jak mrówka jest człowiek  
strąca się niepewny sen z moich powiek  
Czy wszystko jest Twoje wewnątrz i na zewnątrz domu  
wśród przedmiotów raz obcych raz aż tak znajomych  
Czyjeś oko jak z kosmosu z góry w nas wpatrzone  
którą wreszcie czy na oślep wybierzemy stronę  
a jeżeli ktoś podobny do oka z kosmosu  
próbuje serio dojść sensu choć przelotnie mego losu  
a jeżeli przeciwnie ktoś wzrusza tylko ramionami  
nade mną i nami zabieganymi jak ja stworzeniami  
Kto zauważy nagle że żyję że się miotam  
że z dystansu wygląda tak cudza tęsknota  
gdzie jesteś Ty Którego są zorze  
gdzie jesteś gdzie jesteś gdzie jesteś Boże

## Dziękczynienie

Który nami się nie zmęczył  
– każdego z osobna –  
uosobił i uczłowieczył

## Z nienawiści kto pijany

z nienawiści kto pijany  
między żyje epokami  
chudnie, brzydnie jest w malignie  
choć świat wokoło kwitnie  
jeśli twierdzisz żeś ty kryształ  
porozmawiaj, przy mnie przystań  
chaos życia wymieszany  
dziś pęknięcie, dawniej rany

## Promionki

„Promionki” Tomasza Zana rozlane  
walczące, nigdy przegrane.  
Czasem jak piorun w iskerce  
Objawia się promionek przez serce.  
A czasem przez Niemen modry  
Lubo przez jezior rozlane wody.  
„Promionki” gdzie dzisiaj jesteście  
wróćcie, wróćcie z wygnania – nareszcie.  
Wolność przyszła. Długo u bram stała.  
W „promionkach”. Zapomniana. Zakochana cała

## Winnica

w rzeczy nieznośne  
przeszczepić wiosnę  
o Krzewie Winny  
my latorośle

My latorośle  
w życia ostoi

zbyj bezrobotność  
u winnic Twoich

Aż do wieczora  
będziemy stali  
my niedorośli  
ale wytrwali.

!!!

*ubrać się w Pana Jezusa*  
a niebo się uśmiecha  
ten strój jest dobry na niepokój  
gdy cały tonę w grzechach

*ubrać się w Pana Jezusa*  
w radość bezkresną nawet  
*ubrać się w Pana Jezusa*  
nam radzi święty Paweł

czytam te słowa Pawła  
bez zakochania się w nich nie wiem  
kim jestem, kim byłem, kim będę  
z kamienia byłem a tonę w śpiewie



MAREK KĘDZIERSKI

Warszawa – Chiny



To jest dach.



To jest świnia.



To jest świnia pod dachem. Czyli dom.

Świnia pod dachem czyli dom? No nie wiem...



– A to jest oko.

– To ma być oko?

– Spróbuj je położyć, o tak! Dobrze. A teraz zaokrąglić. Co? Nie podobne do oka?



– To już bardziej.

– A teraz dodaj coś takiego...



No i porównaj:

Jakby na coś patrzyło. No właśnie. Oko patrzy – ten krzaczek znaczy widzieć.

A ten

znaczy środek. A to jest państwo:

Ten kwadratek?

Kwadratek?

A, rozumiem, ten kwadracik to Państwo Środka.

Lubię. Ładne. Lepsze niż alfabet. Łatwiejsze...

No, nie wiem. A tu, patrz, tak jest pod:

A tu jest nad:

Czyli jak chcesz pokazać, że coś jest nad ziemią, to robisz taką kropkę i rysujesz ją nad ziemią, mówię do Jurka. Jurek to mój kuzyn. W wieku ojca, ale mój kuzyn.

Jurek: Tak. To się czyta szang. Znaczą morze. A to jest morze.

Takie morze?

Tak, mama pod kreską, a obok woda, czyli morze. Wymawia się „haj”.

Jurek to marynarz. Kiedy nas odwiedza, przywozi z sobą egzotyczne zapachy. Opowiada, że rejs do Szanghaju trwa długie miesiące, bo po drodze wożą do różnych miejsc różne rzeczy. Czasami płyną wokół Afryki. Pokazuje na globusie.



– Tak z miejsca na miejsce? Po co?  
 – No, a jak inaczej moglibyśmy tu jeść pomarańcze?  
 – My tu nie jemy pomarańczy. No, może na święta.  
 – W Państwie Środka też ludzie ich nie jedzą, przynajmniej tam, gdzie ja pły-  
 wam – mówi Jurek. Znaków nauczył go Dobrzański. Kolega. Który już przed  
 wojną pływał na trasie Hamburg–Fuzhou. Szanghaj nie tylko jest nad morzem,  
 Szanghaj znaczy „nad morzem”.

上海

A to jest urodzić się. I żyć. To znaczy życie:

生

Ja: Życie jest piękne.

Jurek: Nie przesadzaj. (Pauza). Patrz tutaj:

木

To jest drzewo. A to słońce:

日

Drzewo plus słońce, słońce za drzewem, to znaczy Wschód. Proszę:

東

Ja: Skąd wiadomo, że to wschód? Przecież słońce może za drzewem zachodzić.

Jurek: W tym wypadku za nim wschodzi. Na to drzewo patrzy się z zachodu.

## Pałac Kultury

Pierwsze spotkanie z Szanghajem to błyszczący neon, w Warszawie jedy-  
 ny, który świeci hieroglifami, dla mnie jaskrawo. Wszędzie moje kwadraty. Na  
 czerwonych lampionach w oknie, pismo trawiaste, to się tak nazywa, wiem, Ju-  
 rek mi mówił. Wewnątrz, na porcelanowych talerzach i miskach, też pismo, ale  
 nie trawiaste i nie zwykłe, jeszcze inne, nie takie jak w książkach. Porcelana ry-  
 żowa, tłumaczy mi ojciec, jak się weźmie pod światło, prześwitują ziarenka ryżu.

Poproście pana kelnera, to przyniesie wam pałeczki. Prawdziwe, z kości słoniowej – na nich też pismo. Trawiaste.

Jurek wypełnił połowę mojego trzydziestodwukartkowego zeszytu znakami, podając kolejność stawiania poszczególnych kresek, i zapisując znaczenie swym dorosłym pismem, które drugoklasiście często trudniej rozszyfrować niż prostsze hieroglify. Zostawił mi też książeczkę, kupioną w Szanghaju, tym prawdziwym. Więc mam co robić. Całymi popołudniami po szkole cierpliwie się wprawiam, skrobię zwykłą stalówką po chropowatej powierzchni, zacierając kolejne zeszyty. Na marnym papierze kreski pęcznieją i stają się jakby bardziej chińskie, choć zgrubienia linii nie zawsze wychodzą we właściwym miejscu. Tych kilkadziesiąt znaków ćwiczyłem dopóki z ręką na sercu mogłem powiedzieć, że pisanie kwadratków mam już w małym palcu. Wyrwany ze snu w środku nocy, potrafiłbym wszystkie dokładnie odtworzyć, byłem pewien. Nikt mnie jednak w nocy nie budził. Za to w dzień, idąc w kierunku MDM-u, zawsze bez wyjątku wlepiałem oczy w te kwadrátky. A jeśli szedłem z kimś, palec wskazujący sam wędrował ku wygaszonemu neonowi. Czytałem na głos znajome sylaby, nie zapominając, w którym z czterech podstawowych tonów je wyartykułować: Shanghai Fangdian. Szanghaj stał się moim punktem orientacyjnym w Warszawie. Chiny dwa przystanki od Pałacu Kultury.

W brzuchu potwora. We wnętrzu molocha. Windą szybkobieżną, jedyłą w stolicy – około roku sześćdziesiątego – w jedną minutę na dwudzieste ósme piętro. Od tej szybkobieżności natychmiast czuję lekki kurcz w brzuchu. Na pierwszym piętrze robi mi się niedobrze. W okolicach dziesiątego trochę lepiej. Brzuch sam się przyzwyczaja. Przede wszystkim jednak dlatego, że zamiast o tym myśleć, umyślnie, całą siłą woli, zatrzymuję na czymś wzrok, i o tym myślę. Kiedy winda z szybkością wzroku przemyka obok jedenastego piętra moje oczy zatrzymują się na tym, co jest wprost przed nimi, na wydatnym biuście i okazałym brzuchu – jedno zlewa się z drugim – korpulentnej pani w uniformie. W okolicach dwudziestej czwartej kondygnacji moja głowa podnosi się na okrągłą twarz windziarki, jej żółte włosy, loczki. Na których wspiera się ciężko mundurowa czapka. Ta twarz w czapce i korpulentna reszta w błyskawicznym tempie przewozi do nieba wszystkich, którzy na parterze wykupili bilet za trzy złote. Dwa ostatnie piętra, od dwudziestego ósmego, trzeba już pokonać pieszo, i wtedy nagle, w marszu, otwiera się przede mną, przed nami, niesłychana przestrzeń.

Przywieram głową do wąskiej szczeliny między dwoma kawałkami ohydneho betonu. Topornej balustrady tak zwanego tarasu widokowego. Ojciec, mocarny, z racji swoich stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów, tudzież co najmniej siedmiu pudów żywej wagi, całą masą ciała, rzecz jasna absolutnie nie okazując lęku, stoi twardo na ziemi nawet tak wysoko nad jej powierzchnią. Całe miasto u jego stóp, widzi je jak na dłoni! A jeśli nie całe, to całą jego połowę. Mnie wystarczy to, co widzę przez jedną szczelinę, nie chcę więcej. W pewnym momencie coś porywa mnie jednak w górę, unosi w powietrze i... stawia na obrzydliwej balustradzie. Nie coś. Ręce. Na ramionach czuję ich żelazny uścisk. Trzymają mnie, tak wysoko i tak długo, żebym zobaczył miasto z najwyższego punktu, ale ja wcale tego nie chcę. Będą mnie tak trzymały przez całą wieczność. Czuję kolejny skurcz w brzuchu. Nie po to się urodziłem, żeby latać. A nawet stać tak, tak wysoko. I patrzeć. W nieskończoność. Na balustradzie. Puść, mówi ojciec, ja jednak mocno ściskam w rękę. Niebieski balonik. Nie puszczę go tak po prostu. Nie chcę go tak wyrzucać, wiem, że nie wróci. Nie chcę się z nim rozstawać. W ten sposób. Raz na zawsze. Ojciec nie daje za wygraną. Bezceremonialnie odrywa palec po palcu od drutu, podtrzymującego owalny kształt wypełniony gazem lżejszym od powietrza. To hel. Bez litości. Oderwany od mojej dłoni balonik szybuje w przestworza z szybkością dźwięku. Patrzę, jak zlewa się z niebem. Już nic nie słyszę. Nikogo nie słucham. Ojciec wie, że za trzydzieści lat role mogą się zmienić. Mięknie. Sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Stawia po wewnętrznej stronie balustrady. Ciągnie od jednej przerwy w betonie do drugiej. Patrz, tam jest Ogród Saski. Nie będę patrzył. Pasta. Prudential. Upiory przeszłości, która ma się nie liczyć. Tak, wiem. Budynek z kopułą to poczta główna. A tu budują Świętokrzyską. Tak. Wiem. Ale nie widzę. Nie patrzę. Przymykam oczy. Polonia. Nie widzę. Ale po chwili je otwieram. Za Polonią są przecież moje kwadratki. Mój neon. A MDM? Tam. Ojciec wyciąga rękę i wychyliła się w stronę MDM-u. Zdecydowanym ruchem, bez chwili wahania zrywam z głowy granatowy beret i błyskawicznie w mgnieniu oka wyrzucam go, od siebie. Tak jak on wyrzucił mój balonik. Rzucam przed siebie. W przestrzeń. To znaczy w przepaść. Beret nie zlewa się z otoczeniem, nie wtapia się jak balonik w niebo, tylko w zwolnionym tempie histerycznymi zakolami wiruje w przeciwną stronę. W kierunku pustego placu. O równie głupiej nazwie jak Pałac Kultury. Na którym ludzie defilują teraz jak mrówki. Przede mną. Ojciec już nic na to nie poradzi. Bezradnie patrzy na znikający punkt. Nie wiem, czy bezradnie, ale bez słowa. Nic już nie da się zrobić. Beret stracony, choć wciąż w powietrzu. Już zamieniliśmy się rolami. Na ten długi moment przynajmniej. Jesteśmy kwita.

Beret osiada na brudnym dachu szkaradnej kordegardy, u podstaw bombo- niery. Październik, więc w Warszawie jest zimno. Ale mnie nie jest zimno. Mam na sobie krótkie spodnie i – uwaga! – rajtuzy. Taka była moda. Płaszczyk w jodełkę. Do tego beret. Dziwne słowo. Nie, beret miałem, beretu już nie mam. Choć niby lubię berety. Lubię, ale nie lubię nosić. Może dlatego nimi ciskam. Już wcześniej podobna sytuacja w Modlinie. Ojciec mógł się spodziewać, że to się powtórzy. Twierdza Modlin. Z wysokiego muru rzuciłem do wody. Poprzedni beret. Spotkała mnie za to kara. Nie szkodzi. Musieli kupić mi nowy. To nie ostatni, z którym mi nie po drodze. Precz-precz berecie. I tak jak w Wiśle, na placu Defilad ojciec nie ma szans, by go odzyskać. Musi spisać na straty.

Znowu Szanghaj. Protestuję przeciw gulaszowi w Balatonie, czorbie w Sofii, nie chcę gęsich pipków na placu Grzybowski ani kameralnej golonki. Więc ojciec zabiera nas obu do Szanghaju. Górna kondygnacja to sala o dziwnej, jakby wygłuszonej akustyce. Czerwone, lakierowane schody są strome. Muszę uważać, schodząc po nich. Już sam zapach ryżu przenosi w inną rzeczywistość, mięso, grzyby mu, bambus, niesłychane ekstrawagancje. *Plu-ra-lis. Ple-tho-ra*. Kurczę o trzech smakach, przyrządzone przez autentycznych kucharzy stamtąd, z kraju środka. Kaczka w słodkokwaśnym sosie. Ojciec przygląda mi się badawczo w czasie próby uchwycenia ryżu pałeczkami. Nawet specjalnie nie drwi, bo po kilku podejściach udaje mi się nie upuścić ani jednego ziarnka – w drodze od talerza do ust. Jestem lepszy od brata.

I naraz coś niezwykłego. Przy stoliku obok rodzina Azjatów, z wschodu na pewno dalekiego, kobieta z dwojgiem dzieci i dużo od niej starszy mężczyzna. Jeszcze nie byłem tak blisko takich ludzi. I na tak długo. Nie przechodzą po prostu ulicą, tylko siedzą zaraz obok, przy sąsiednim stoliku. Wiem, że będą tak siedzieć. Czekają na zamówione potrawy, a ja mam czas, by sycić się tą obecnością. Obserwować z bliska. Starszy mężczyzna żegna się i wychodzi. Nasza trójka obok ich trojga. Widzę, jak się poruszają, jak jedzą. Jak rozmawiają. Czuję ich zapach. Widzę ich zęby. Całkiem pod wrażeniem ich zębów. Są takie inne. Takie białe. I tak błyszczą. A jeszcze bardziej jestem zafascynowany włosami. Zwłaszcza chłopca. Trochę starszy ode mnie. Są nie tylko takie czarne, ale i bardzo sztywne, grube dosłownie jak druty, i ten ich odcień, niebieskawo. Schodzę ostrożnie po schodach, za chwilę wracam, zbliżam się do ich stolika i kiedy jestem od nich na wyciągnięcie ręki, wyciągam rękę i błyskawicznie, w ułamku sekundy, to jeden moment, zanurzam palec w tych włosach. Co ty robisz? Ojciec chwy-

ta mnie za ramię i przyciąga do naszego stolika. Już nie patrzę na te włosy i na te zęby. Przeprasza za mnie. Patrzy z przyganą. Jest na mnie zły. Wychodzimy. Przy składnicy harcerskiej mówi, że to nie Chińczycy. Ale przecież mówili po chińsku! Japończycy, ucina ojciec, pewny swego.

Niech mu będzie.

## Senatorska

Nagle postanowienie, że będę się uczył. Ich języka. To już Gierek, początek ery. Najpierw przy placu Unii w klubie prasy kupuję *Teach Yourself Books*. Tomy w niebiesko-żółtej obwolucie aż rażą elegancją. Błyszczące grzbiety samouczków dominują nad szarością na moim biurku – obok szkolnego kramu. Potem matka asygnuje środki na wpisowe. Zaczynam kurs w TPPCh. W Towarzystwie Przyjaźni. Rzecz jasna, o przyjaźni nie ma już mowy, choć obie partie jakże ochoczo zaczęły ją pod moskiewską kuratelą. Teraz międzynarodalna przyjaźń jest już eufemizmem nacjonalnej nieprzyjaźni, w najlepszym wypadku nieufności. Siedziba Towarzystwa w pałacu Zamoyskich, ale nie tym przy Foksal, tylko tak zwanym Błękitnym, przy Senatorskiej. Pałac Zamoyskich przy Senatorskiej zaraz obok placu Dzierżyńskiego, na który przewrotnie spogląda fasada pałacu Mostowskich. To daje do myślenia.

*Dong fan hong, tai yang sheng* – wschód jest czerwony słońce wschodzi Chi-ny wydały Mao Ze-donga.

Kursanci w Towarzystwie to też szczególne towarzystwo. Tak na oko, decydenci, dysydenci i wszelkiej maści panienki i paniusie z trwałą na głowie. Również szczególnie ta atmosfera niewidzialnego obłączenia – niewidzialne, ale wyraźnie się je widzi. Lektorka, pani Genowefa, niewysoka, zawsze z pogodą na twarzy, z dobrą miną robi, co może, żeby z tego zrobić normalność. Profil kursantów bardzo zróżnicowany. Początkowo kilkanaście osób. Ale do trzeciego semestru dotarła zaledwie garstka zawziętych. Sympatyczny dziennikarz-erudyta, stary, myślę, już po trzydziestce, w okularach o imponującej ilości dioptrii, rzecz jasna minus, wrócił ze Stanów. Był świadkiem nieprawdopodobnego wyczynu, jakiś młody Francuz przez czterdzieści pięć minut chodził po linie, rozpiętej między oknami dwóch superwysokościowców, na wysokości sto dziesiątego piętra. Biegał między bliźniaczymi wieżami, kładł się na linie i z niej wstawał,

pozdrawiając tłumy czterysta metrów niżej. Linoskoczek, rzucający wyzwanie grawitacji. Zupełnie nielegalnie.

Po którychś zajęciach dziennikarz wyjmuje z teczki egzemplarz *Towards a Poor Theatre* Grotowskiego. Namawia mnie, żebym zapisał się do czytelnicy amerykańskiej. Nie mam się czego bać. Jemu jak dotąd nic nie zrobili. Mnie też nie będą mieli prawa ukarać.

Ukarać! Mieszkam wtedy naprzeciw Teatru Ateneum, w budynku zaprojektowanym tuż przed wojną przez Piotra Kwieka. W domu pod obserwacją, bo jedno z mieszkań należy do jednego z głównych wrogów reżymu, a do tego jeszcze w Towarzystwie Cyklistów zagnieździły się elementy antysocjalistyczne. Jedyny klucz do bramy, zamkniętej od godziny 22 do rana, ma dozorca, który wstaje z łóżka w suterenie kilkanaście razy w ciągu nocy, aby otworzyć bramę i własnoręcznie ją zamknąć, a przy okazji mieć tak zwane oko na to, kto, do kogo i kiedy przychodzi – lub wychodzi. Jego oczom w ważnych dla państwa chwilach pomagały oczy osobników zaparkowanych niedaleko naszego budynku w służbowym, nieoznakowanym Fiacie 125p. Panowie na warcie. Latem, o szóstej, może piątej rano, zmiana warty. Przez otwarte okna dochodzą do mojego pokoju głosy zmieniających się ubeków. Jot 25 odmeldowuje się. Kape! W miejsce białego zajmuje stanowisko fiat zgniłozielony.

Przyswoić podstawy języka. Zwracać uwagę na wymowę. Uczyc się na pamięć nowych słów. Pisać znaki. Odrabiać lekcje. Odpowiadać na pytania. Uczyc się pilnie. Nie zapominać o dyscyplinie. Być surowym. Pomagać sobie wzajemnie. Przewycięzać trudności. Iść wciąż naprzód. Zmierzać do celu. W przyszłość. *Yongyuan qianjin!* Żółte książki, których autorzy, bez nazwiska, obiecują, że ktoś, kto sumiennie przez nie przebrnie, będzie w stanie prowadzić codzienną rozmowę i czytać proste teksty. Sześćdziesiąt sześć lekcji w dwóch tomach w miękkiej oprawie.

Jeden z wytrwalszych kursantów, którzy nie dadzą się zrazić, to szczupły, wysoki pan z wadą wymowy. Kiedy schodzi lub wchodzi po schodach, jego dystygowana głowa szybuje na innej kondygnacji niż szusują stopy. Pan Janusz zawsze występuje w staromodnej, zagranicznej marynarce, *English style*, na ogół też w muszce, wieńczącej białą koszulę, wzorowo uprasowaną ręką posłusznej kobiety w domu – matki, siostry, żony, cioci, kuzynki? Zazdroszczę

mu, ale nie koszul, zazdroścę śmiałości, łatwości w kontakcie z panią lektor. Dla mnie pani Genowefa to autorytet sinologiczny. Co mocno mnie onieśmiewa. Natomiast pan śmiały to elokwentna dusza towarzystwa. Kiedy ten śmiały pan chce powiedzieć coś dowcipnego, potyka się o własne słowa. Nieraz z jego ust wylewają się pośpiesznie stłoczone głoski, jakby wcześniej zatrzymane w czeluściach aparatu głosowego. Prześcigają się, aby jak najprędzej znaleźć się na wolności, umknąć klaustrofobii. Wtedy trudno go zrozumieć, choć słyszymy słowa i wiemy z grubsza, na jaki temat pan się wypowiada. Usta wyprowadzają go w pole. Jakby potykały się o nie słowa. A może to zęby je gryzą. W każdym razie z tych złotych ust dochodzą do nas pokiereszowane zgłoski. To zresztą nic w porównaniu z tym, co się dzieje, kiedy jako kursant zaczyna czytać pracę domową w obcym języku. Implozje i eksplozje głosek, sylab tudzież intonacji, tworzą wówczas mieszkankę wybuchową, grożącą katastrofą w każdej chwili. A w języku państwa środka trzeba do tego jeszcze dodać akcenty, jeden z czterech lub neutralny, oznacza to pięć możliwości dla każdej sylaby. Więc w ustach dowcipnego pana Janusza dokonuje się egzekucja na żywym słowie. Niestety, jeszcze gorzej, kiedy ma coś napisać. Większa masakra.

Ponad ćwierć wieku później widzę pana w muszce w krajowej telewizji. Niestety, też słucham. Jego wywód przypomina mi o Senatorskiej. Teraz również z wielką swadą wypowiada się na każdy temat. I przypomina mi obrazek z Senatorskiej, w ciemnych czasach, jak wtedy, za Gierka, wywołany przez panią lektor do tablicy, z pewną właściwą jego temperamentowi być może nerwowością, toruje sobie drogę między krzesłami. Jego łokcie i ramiona poruszają się jakby przeciw palcom i dłoniom. Bierze w rękę kawałek białej kredy i próbuje coś napisać na ciemnozielonej powierzchni. Prawie brunatnej. Kredowe linie przybierają jakieś dziwne formy – wbrew pozorom, nie są to jeszcze nie poznane przez naszą klasę znaki. Nitka mu się płącze, jakby film mu się urywał. W hieroglifach osiąga wyżyny idiosynkrazji. Rezolutny pan w muszce na naszej tablicy kreśli rzeczywistość nie istniejącą. Choć widać ją czarno na białym.

Jego Królewskiej Mości myślą się tak zwane pierwiastki. Jest ich dwieście czternaście, ale najczęściej powtarza się zaledwie kilkadziesiąt. Pierwiastki to elementarne znaki, których wszystkie inne, dziesiątki tysięcy pozostałych, są prostą lub mniej prostą kombinacją. U pana w muszce to, co ma stać (w znaku), leży, to, co ma leżeć, siedzi lub stoi, prawa strona zamienia się miejscami z lewą, góra winduje się na dół, dół wymyka się na bok, części bliskie środka wyparo-

wują bez śladu, centrum wybywa na peryferie. Groch z kapustą. Na ogół. Bez mała. Czasami kursant rezolutnie kładzie znak na plecy. Raczej o tym nie wiedząc.

Lektorka opowiada nam, że kiedy Liu Shaoqi i Deng Xiaoping popadli w niełaskę w czasach tak zwanej rewolucji kulturalnej, ich nazwiska kazano pisać znakami „położonymi na plecy”. Więc jest w tym metoda.

### Bonifraterska

Chyba głównie z powodu tej młodzieńczej fascynacji hieroglifami ląduję na ulicy Hożej. A raczej zabieram z Hożej moją świeżo upieczoną narzeczoną do świeżo uwitego gniazdko w mieszkaniu, używanym dotąd przez mojego ojca jako garsoniera. Kończę czwartego grudnia przy Emilii Plater przed ołtarzem kościoła z czerwonej cegły. Santa Barbara di Varsavia! Razem kończymy. Ja – jako zięć obywatela Państwa Środka – i jego córka. Przedwcześnie, ostrzeżę mnie własna matka, która oprócz błogosławieństwa, musi wyrazić pisemną zgodę. Na moje małżeństwo. Mamusia składa podpis, a obok tata. Bo ja w świetle prawa w kwestii małżeństwa jestem nieletni. Mój przyszły teść Hangding ma żonę Polkę, ale ich córka Yenlan jest obywatelką ludowych Chin – choć nigdy w nich nie była. Posiadaczką brązowej książeczki z nadrukiem przypominającym mój neon w Warszawie. Złotym oczywiście. Teść, jak mi opowiada narzeczoną, pomagał w założeniu Szanghaju na Marszałkowskiej. Dowiaduję się, że ten olbrzymi lokal to jeden z pierwszych przykładów dopuszczenia prywatnej inicjatywy w post-stalinowskim PRL-u. Władza pozwoliła przyszłemu właścicielowi zakupić w Chinach wyposażenie i pierwszą, okazałą partię żywności. I niedługo po otwarciu restauracja została upaństwowiona. Pierwszemu prywatnemu inwestorowi zaproponowano posadę kucharza.

Kiedy rodzina polsko-chińska z ulicy Hożej, nieopodal pogotowia, stała się poniekąd moją rodziną, na mojej chińskiej mapie stolicy pojawia się kolejny środek państwa – ulica Bonifraterska. Na Bonifraterskiej przynajmniej raz w roku spotyka się wielka chińska rodzina, setka stałych rezydentów wraz z przyległościami, z reguły polskimi, ludźmi jak ja. Niektórzy z tej setki przyjechali do Polski jeszcze przed proklamowaniem ludowej republiki. W sumie kilkaset osób, cała kolonia! Jako członek stowarzyszony, co najmniej raz w roku bywam w Ambasadzie. Gmach, nieco tylko młodszy od bajaderek socrealistycznego MDM-u, zaprojektowała czołówka polskich architektów, m.in. Gutt ojciec i syn oraz



Kobzdej, w stylu funkcjonalizmu, oczywiście. Wraz z budynkami mieszkalnymi i ogrodem, ambasada zajmuje do dzisiaj okazały teren między obszarem, gdzie kończyło się getto, a Nowym Miastem.

*The forbidden city*. Zakazane, rzeczywiście. Z wyjątkiem rocznicy zwycięstwa rewolucji! Pierwszego października inauguracja tak zwanego złotego tygodnia. Najpierw, wieczorem, do sal reprezentacyjnych wpuszczano szczęśliwców zaproszonych na przyjęcie dyplomatyczne. A potem, w pierwszą po pierwszym niedzielę, w południe, rodziny chińskie i tak zwanych przyjaciół – na poranek artystyczny i poczęstunek o wszelkich atrybutach wystawnego bankietu. Który odbywał się w tym samym olbrzymim, reprezentacyjnym holu. Ale przed bankietem: *matinée*, obowiązkowo! Rocznicowo. Po projekcji filmu pt. *Legenda czerwonej latarni Hong Dengji*, jednego z ośmiu, przypominających – z grubszą! – operę pekińską spektakli dla ludu, dozwolonych w czasie rewolucji kulturalnej i jeszcze jakiś czas po niej – wspomniane przyjęcie. Jedyna autentyczna kuchnia chińska nad Wisłą jest w ambasadzie – Szanghaj stopniowo zszedł na psy, przynajmniej w oczach większej części kolonii. I jest w nim drogo. Przychodzą głównie tak zwani cinkciarze i cudzoziemcy. Zresztą w kwestii zaopatrzenia Marszałkowska nigdy nie dorastała do pięt Bonifraterskiej.

Część personelu ambasady mówi płynnie po polsku. Jeden z nich – jak wszyscy w standardowym maoistowskim mundurku – wyjaśnia mi technikę przygotowania czarnych jajek, tak zwanych stuletnich. Trzeba namoczyć świeże jajo w roztworze gliny, niegaszonego wapna, popiołu, soli, herbaty, łusek ryżowych i wody – i po kilku miesiącach produkt gotowy jest do spożycia. Usłyszawszy, że studiuję filologię, inny rozmówca z ambasady pyta: „Cóż tam, panie, w polityce?”. A widząc moją zdumioną minę, z uśmiechem na ustach kontynuuje: „Chińczyki trzymają się mocno?”.

东方红, 太阳升, 中国出了个毛泽东。  
他为人民谋幸福, 呼尔嗨哟, 他是人大救。

Bonifraterska od święta. Pieśń, którą wszędzie było słyhać, nieoficjalny hymn ludowej republiki. W wolnym tłumaczeniu: Wschód jest czerwony, słońce wschodzi, Chiny wydały Mao Zedonga. On walczy o szczęście ludu. Hej ho (lub hura!), to wielki zbawca ludu. Przewodniczący Mao kocha lud, jest naszym

przewodnikiem, przodownikiem na budowie Nowych Chin. Hej ho (lub hura!) napród nas prowadź! Partia komunistów jest jak słońce. Gdzie zabłyśnie, jest jaśniejsze. Gdzie tylko jest partia komunistów, hej ho (lub hura!), ludzie wyjdą spod jarzma! (lub raczej pobędą pod nim na całe dziesięciolecie, ha ha, przypis tłumacza!).

Bonifraterska w dzień powszedni. Inna perspektywa. Po urodzeniu córki, wizyta w tym samym przyciężkim, ale stylistycznie jednolitym budynku. Puryzm architektoniczny olbrzymiego wnętrza mogę spokojnie studiować, pokornie czekając – wraz z Yenlan – na wpisanie tych narodzin do brązowej książeczki ze złotymi gwiazdkami na okładce. Paszport ChRL to w PRL paszport do świata. Przede wszystkim dlatego, że daje gwarancję wyjazdu. Z chińskim paszportem, trzeba wprowadzić wiesz wjazdową, aby do Polski wjechać, ale opuścić ten piękny kraj można w każdej chwili. Trzydzieści milionów obywateli Peerelu nie zna takich przywilejów.

Wychodzimy z ambasady. Jeszcze nim dotarliśmy do ulicy Nowotki, zajeżdża nam drogę polski fiat z załogą w cywilu. Ubeckie twarze, fiat biały, jak te sprzed Ateneum. Z poważną miną, głosem nie sugerującym sprzeciwu, jedna z twarzy gestem przedramion zaprasza do wnętrza pojazdu. Ja pierwszy muszę się legitymować, jeden z panów otworzył już moją zieloną książeczkę, ale gdy tylko Yenlan wyjmuje swoją brązową, panowie robią się uprzejmiejsi, wraca kultura. Wypuszczają nas bez słowa. Spisawszy, ale już jakby od niechcenia, dane z mojej książeczki. Na jednej ze stron dowodu osobistego adnotacja: posiadacz zawarł związek małżeński z Jen-lan. Transkrypcja z południowego dialektu, bo po pekińsku te znaki wymawia się Yinglan. Sylaba „lan” zapisywana jest tym samym znakiem jak Po-lan. Polska. Kilka miesięcy później wyjaśniam to innym panom z branży. Tym razem człowiek, obracający strony mojego dowodu osobistego, jest w niebieskim uniformie. Dworzec Wschodni nocą. Od strony ulicy Lubelskiej.

*Glandula. Glandula Thyroidea.* Yenlan. Moja żona. I jej tarczycyca. Ta druga jest niekiedy silniejsza od pierwszej. Usuwa w cień, a nawet całkiem zżera słodką i łagodną stronę właścicielki. Stąd te huśtawki nastrojów. Raz do rany przyłóż, raz zjadł trucizny, dla mnie coraz mniej zjadliwe. Wieczorem na ogół gorzej. Gorzko. Zjadł. Rano spokojniej. Choć są wyjątki. Napady przychodzą zniemacka, w nocnej gorączce gorycz i żółć wylewają się z tarczycy, i wyrzucane przez

usta, oblewają mnie swym jadem. Topią. Yenlan i jej jad powszedni. Najczęściej wtedy, kiedy ja absolutnie się tego nie spodziewam. Tym lepszy skutek, skuteczniejszy atak. Z biegiem czasu muszę wypijać ten kielich goryczy codziennie. Nie mam wyjścia. Cięża, jej cięża, ich cięża jeszcze to zaostrza. Zaognia. Związek niemożliwy.

Matka jeszcze nienarodzonej, ale już żyjącej, całymi wieczorami oskarża, cały świat. Moim zdaniem, już żyjąca musi to słyszeć. Kiedy mama, której ona jest jeszcze częścią, oskarża cały świat, nie wykluczając mnie, wręcz przeciwnie, zdecydowanie mnie do wyводу włączając. Wyróżniając jako cel. Zmasowanego ataku. Za każdym razem, kiedy robi mi wyrzuty, kiedy to się zdarza, a zdarza się to częściej niż bym chciał. Te wyrzuty muszą docierać do nienarodzonej. Słyszysz je zapewne jeszcze przede mną. Zanim matka wyrzuci je z siebie. Z ciała, z ust. W moim kierunku. Ja słyszę je ułamek sekundy później i przez kolejną sekundę próbuję zrozumieć. A przez dwie następne myślę, jak się bronić. W tym czasie do płodu docierają kolejne wibracje.

Do pewnego stopnia jest to dyskurs trzeźwy i logiczny, choć niekoniecznie w prosty sposób odnosi się do rzeczywistości sprawdzalnej empirycznie. Do niej w brzuchu te słowa-wyrzuty docierają w postaci szumu, wyróżnia je od innych owa swoista, wieczorna i nocna barwa dźwięku, tonacja zacietrzewienia. Chłupot, bulgot, fale nasilających się dźwięków, przyspieszających wieczorem, bo rano jest w miarę spokój. Nie wiem, czy żyjąc w brzuchu, odróżnimy dzień od nocy. Ranek od wieczora. Bez światła. Wciąż w tym samym mroku. Nocą płód zazwyczaj słyszy jedynie, jak sądzę, odgłos płynów w organizmie. Przelewają się raczej statycznie. Wtedy mała czuje się jak ryba w wodzie. Kiedy nieczynny jest aparat głosowy matki, bez przeszkód, nieskrępowanie, rozwija się młode ciało. Ale nienarodzona córka ten zmienny rytm życia ciała matki musiała czuć w ciele matki od środka. Ów *modus* monologów sprzeciwu. Wobec świata. Złego świata.

Dzieci wszystko znają już przed urodzeniem. I sobie to zapamiętają. W tym wypadku jej córka – i moja – wszystko słyszała. Słyszała te monologi bez końca, tę gradację całej gamy tonów, tę zmieniającą się barwę dźwięków, wydawanych na dobrą sprawę całkiem niedaleko macicy, ten głos podniesiony na zapierające dech w piersiach wyżyny, po to by opaść i opadający. *Qui commence... la vie est belle... et pleine des choses.*

Życie we dwoje. W oczekiwaniu nowego istnienia. Wieczne zapasy. Nieustanna szarpanina. Szamotałem się. Szamotaliśmy. Szarpaliśmy. Braliśmy za bary. Zazwyczaj Yenlan nacierała, a ja obejmowałem ją, ze zrozumieniem – ale często żelaznym uściskiem. Na ile to było możliwe. Podczas jednej z takich nocy – a takie były niemal wszystkie – w siarczysty mróz trzaskam drzwiami i wychodzę. Idę przez śnieg, jak to się mówi, dokąd mnie oczy poniosą, to obojętne. W tym wypadku most Poniatowskiego. Oczy oczami, ale stopy, torujące sobie drogę pośród śniegu, nie zaprowadzą mnie zbyt daleko, wiem o tym. Wschodni dworzec i ani kroku dalej. Kiedy wchodzę, od strony Lubelskiej, z ulgą czuję, że wewnątrz jest naprawdę cieplej. I siadam na ławce w poczekalni. Proste i sztywne plecy, jak u woźnicy, czekającego na kurs. Zapocone okna. Na których mróz przestał malować kwiaty. Zastanawiam się, co teraz. Rozmyślam. Przysypiam. Budzi mnie ręka. Milicyjna dłoń. Nocna kontrola. I prowadzi na dworcowy posterunek. Tam żarty, niezbyt wyszukane, z wpisu w dowodzie. Jen-lan. Żeby ratować moje dobre imię, a przy okazji uratować skórę, zaczynam tłumaczyć, co znaczy jej imię. Podając w skrócie szczegóły pisowni. Lan w Yenlan, ten sam znak, jak w słowie Polska. Bolan. Po pewnym czasie odnosi to skutek. Jestem trzeźwy, nie wyglądam na kloszarda, mam dowód, nie zachowuję się arogancko, po prostu wyjaśniam strukturę języków dalekowschodnich. Puszczają mnie.

W sylwestrową noc postanawiam, że nie będę już słuchał jej monologów. Nie ma powrotu, mówię sobie.

## Hoża

Ulicą Miłą nie chodź, moja miła! Małżeństwo, niestety, się nie sprawdza, już po paru dniach, może tygodniach, jest raczej pewne nie przetrwa próby czasu, nie sprosta wyzwaniom rzucanym przez świat. No, ale okaże się doskonale skrojone na przeciętną miarę tego świata. Moim zdaniem jednak ten związek nie rozpada się dlatego, że za dużo było w nim Chin, wręcz przeciwnie, było ich za mało, moim zdaniem, wówczas. Jeśli w ogóle, to z powodu braku Chin, braku w życiu Yenlan, która, w odróżnieniu ode mnie, na Chiny nigdy nie była zorientowana. Liceum Plastyczne w Łazienkach, rok w Alliance Française przy Raspail-u, potem historia sztuki u Białostockiego. Niezbyt to orientalne, mało w tym egzotyki. A kiedy pokłóciła się z rodzicami, waletowała u kompozytora na Wspólnej, od dłuższego czasu za granicą. To wtedy, jeszcze zanim ja się po-

jawiłem, po raz pierwszy połknęła mieszankę aspiryny i środków nasennych i musiało ją ratować pogotowie. Przynajmniej niedaleko. Tuż obok. Na Hożej. Tam, gdzie zawiezli Grzegorza Przemyska, pobitego przez milicję na Jezuickiej, na tyłach katedry. Za to pobicie dwóch pielęgniarzy i młoda doktor z pogotowia poszli do więzienia.

Kiedy to piszę, przypominam sobie wieczór zimową porą, który spędziłem, nie odzywając się słowem, w towarzystwie cyganerii, pijącej wódkę i palącej przez cały czas, w mieszkaniu, z którego roztaczał się widok na spowite marznącą mgłą, skąpo rozświetlone nocne miasto. Sterylny widok na niesterylną rzeczywistość. Z jedenastego piętra drapacza chmur na ścianie wschodniej przy ulicy wówczas Hibnera. Jednego z trzech najwyższych w kraju domów mieszkalnych. Według projektu dwóch panów K. Geometria kubów skąpo umeblowanych pokoi, w których utknął mi w pamięci zwłaszcza lakierowany na wysoki połysk parkiet, nie współgrała z nieformalnie zbratanym stylem rozmowy, trochę dla mnie manierycznym, idącym w snobizm, choć jak to podkreślała obecna tam jedyna cudzoziemka – *très très sympa*. Spędziłem dobrze ponad godzinę z ludźmi w różnym wieku, których nie znałem, bez słowa. Skąpo oświetlony pokój pełen był jarzących się papierosów, które błyszcząły jak ogromne latarnie na warszawskich ulicach. W pokoju obok czytał książkę syn poetki. Przemysk miał wówczas jakieś osiem lat, czyli musiało to być przed rokiem 1974. Wróciłem do chłodnego mieszkania, położyłem się w matrymonialnym łóżu. No i jak było? – pyta Yenlan. Dziwny wieczór – odpowiadam, po chwili. Hmm, dzisiaj ulica Hibnera nazywa się Zgoda. Pani Sadowska, paryżanka z urodzenia, bita w Warszawie parę dni przed pobiciem syna, zmarła wkrótce po jego śmierci.

Jeśli z Yenlan raczej słabo się rozumiałem, a może i zdecydowanie źle, to z jej ojcem miałem kontakt całkiem dobry. Nie wiem, rzecz jasna, jak on to widział. Ale nigdy nie okazał mi niechęci. Gdybym miał wybierać, gdyby od rodziców odchodziło się jak od małżonków, od mojego ojca odszedłbym do Hangdinga. A gdyby można było wybierać między teściami a ich dziećmi, gdyby można było wiązać się z teściami, wolałbym spędzić życie z ojcem mojej żony niż z jego córką. Hangding to świetny kucharz, przynosi z ambasady niedostępne nad Wisłą ingrediencje kuchni znad Yangze, nie tylko bambus, grzyby mu, kasztany wodne, makaron sojowy, makaron ryżowy i przyprawy, włącznie z wszechobecnym sosem sojowym, marki Pearl River Bridge oczy-

wiście. Choć w peerelowskich sklepach nawet sproszkowany imbir wciąż jest rarytasem, wszystko to można kupić, w wersji suszonej albo w puszkach, w co drugim sklepie na Zachodzie, choćby przywieźć z Berlina Zachodniego. Bez wizy. Za Gierka Peerel przeżywa pierwszą falę liberalizacji polityki paszportowej, wystarczy mieć sto dolarów na koncie, by otrzymać – jednorazowo – granatową książeczkę. Jesienią, wiemy dlaczego, Hangding przynosi dużo tamtejszych rzeczy, trepangi, ośmiornice, a nawet świeże... czarne jaja. Czarne czyli stuletnie. Jest na tyle miły, że – właściwie z własnej inicjatywy, ja nigdy w życiu nie gotowałem – wprowadza mnie w tajniki kuchni chińskiej. Później, kiedy pojechałem na forum architektów do Hongkongu, mówiono mi, że za pierwszą regułę trzeba przyjąć, iż wszystko, co rośnie, porusza się i kielkuje, a od czego się nie umiera i nie choruje, jest jadalne. To, rzecz jasna, warunek konieczny, nie wystarczający. Pierwsza reguła Hangdinga brzmiała: nie ma sztywnych recept. Wszystko samo się robi, jeśli człowiek respektuje prawa ying-yang. Łatwo powiedzieć, jeśli wzrastało się w tradycji przekazywanej bezpośrednio. Jeśli poznaje się sztukę wprost od mistrza, jak to się mówi po buddyjsku: przekazywane z serca do serca.

Dla krewnych i znajomych mojego teścia z ojczystego kraju, przyjaciół rodziny i przyjaciół ich przyjaciół, Warszawa za Gierka to upragnione miejsce, w którym mogą postawić pierwsze kroki, jeśli nie na Zachodzie, to bez wątpienia w Europie. Włożyć stopę między drzwi. Mieszkanie na Hożej staje się czymś w rodzaju punktu przerzutowego w drodze do lepszego świata. Wśród gości jest Zhang, młodzieńki, błyskotliwy student z Szanghaju, który jesienią roku 1974 spędza na Hożej dwa tygodnie. I w krótkim czasie poznaje elitarną, wpływową część kolonii. Akurat wtedy przypadał bowiem czas mażonga. Dzień mażonga trwał na Hożej kilka dni i nocy. Czasami tygodni intensywnego hazardu. Czego ze zrozumiiałych względów nie lubi moja teściowa, ale co ma robić? Zna reguły tej gry. Ma stać u boku. Wspierać. Popierać. Wszystko. Jako żona. Zna swoje miejsce. Pomaga. Lojalnie.

W 1964 roku Charles de Gaulle uznał Chiny Ludowe. Od tego czasu – a potwierdziłaby to lista przerzutowa, lista gości Hangdinga – Francja jest jednym z dwóch głównych celów Chińczyków, emigrujących do Europy. Ścisłej mówiąc, tych uprzywilejowanych, którzy z powodu (najczęściej) rodzinnych kolicacji otrzymują pozwolenie na wyjazd, i z reguły chcą wysłać zarobione pieniądze żonom i dzieciom pozostawionym zazwyczaj w dorzeczu długiej rzeki Yang-zi – zakładnikom komunistów.

Większość przybyłych na Hożą gości kieruje się albo do Dolnej Saksonii, Niderlandów albo na tereny Ile-de-France. Nawet ci z wyższym wykształceniem zaczynają drugi etap europejskiej przygody jeśli nie w Brunzwiku czy Enskede, to na obszarze między Place de la République a wzgórzem Belleville. Myślę o tym czasami, idąc mostem Ben-Hakim w kierunku Trocadero – kiedy młode pary z Państwa Środka robią sobie tam pamiątkowe zdjęcia.

## Waszyngtona

Dom z rajzbretu – tak mówił o swoim budynku Bogdan Częstochoński, który wynajął mi na pewien czas mieszkanie, pod swoją nieobecność, dopóki nie wróci na Myśliwiecką. Nadawał z Kopenhagi, według wytycznych, jestem pewien, ale przynajmniej gramatycznie. Przestrzeń to jest język. Język nie jest po to, aby bełkotać. Choć niektórzy bełkoczą. Przestrzeń to jest środek do wypowiedzenia idei. Pan Bogdan chciał kiedyś studiować architekturę. Teraz przyjmuje mnie w swoim mieszkaniu. Specjalnym mieszkaniu w specjalnym budynku. Na dwunastym piętrze domu z rajzbretu. W wieżowcu przy alei Waszyngtona, Popularnie zwanym Żyletkowcem. Tuż za rondem.

Żyletkowiec wzniesiono w 1962 roku – informuje pan Bogdan – a więc zaprojektowany został zaledwie piętnaście lat po wojennych zniszczeniach. Ponieważ studiuje pan architekturę, może być dla pana interesujące, że autorem projektu był Marek Leykam. Ten od Okrąglaka w Poznaniu, trochę Stadionu Dziesięciolecia i tak dalej. Jego żyletkowce to przykłady konsekwentnej postawy strukturalnej, obejmującej swymi kategoriami wszystkie elementy. Ten akurat jest pierwszym w kraju blokiem mieszkalnym z całkowicie przeszkloną elewacją. Jeśli pani Cruickshank chce przyjechać i zobaczyć to wszystko na miejscu, od razu zostawię panu klucze.

Kiedy je biorę, nie wiem, że ta przeszklona elewacja na pewien czas wytyczy moją perspektywę patrzenia na rozległe miasto nad Wisłą. Dziś już jej nie ma, okna były nieszczelne, więc ktoś wpadł na pomysł zamurowania elewacji pustakami, z których wyzierają dziury zredukowanych do minimum okien. Ale ta radykalna elewacja stała się miejscem mojego azylu od rodziny.

Pani Cruickshank to Kerstin, moja protektorka z Borgen, otoczonego chińskim murem majątku w południowej części wyspy Grötö w archipelagu Göte-

borga. Kerstin wymyśliła sobie, że w czasie wizyt w Warszawie jej noga nie stanie nigdy w komunistycznej Victorii, gdzie kelnerzy lepiej traktowali szwedzkich robotników niż starszą panią o nieostentacyjnej elegancji – tylko w wynajętym – z moją pomocą – mieszkaniu. Kerstin, siostra architektki w Lund, u której odbywałem praktykę, miała za sobą bogate życie. Córnka osiadłego w Göteborgu Szkota, poślubiła Herberta Felixa, Żyda z południowych Moraw, który po wprowadzeniu do Szwecji tak zwanych znojmskich ogórków stworzył w Skandynawii imperium spożywcze. Flagowy produkt opatrzony był etykietą Felix Tomatketchup, bez dodatku cukru. Zbulwersowany tym, co się działo z jego rodziną na Morawach, Herbert ruszył ze Szwecji na wojnę i wrócił z niej w mundurze amerykańskim. Kerstin udzielała się w organizacji pomocy ofiarom wojny, w której poznała swego, jak się miało okazać, drugiego męża Wsiewołoda. Po rozstaniu z nim poślubiła trzeciego, Carla, nim postanowiła żyć bez mężczyzn, poświęcając swoją energię galerii sztuki i dywanów w samym sercu Göteborga. Miała bardzo otwartą na ludzi z daleka osobowość. Pomagałem jej rozszyfrować napisy na chińskich dywanach, przy okazji pomagałem jej studiować rodowody polskich koni arabskich. A potem wnieść kilka dzieł sztuki i walizkę z przedmiotami codziennego użytku do mieszkania Częstochowskiego. Pożytecznych w czasie jej pobytów w Warszawie.

Zanim w żyłtkowcu zamieszkać, będzie jeszcze uderzenie w stopę. Winna tarczyca, rzecz jasna, jak zwykle. Puszczają nerwy. A jeśli nie puszcza nerwy, to ponosi temperament. Nie mnie. Ale w moim wypadku też niewiele brakuje, abym zaczął szukać rewolweru. Pewnego pięknego dnia – naprawdę wspaniałe słońce – Yenlan nie może się opanować i, aby podkreślić ważność własnego argumentu, rzuca trzymany w ręku talerzem w kierunku podłogi. Talerz łąduje nie uszkadzając powierzchni parkietu. Na jego trajektorii stanęła moja stopa. Przez moment widzę go w mojej stopie. Utknął w niej kompletnie pionowo. Sekunda. Dwie sekundy. Długi moment. Potem talerz opada bezdźwięcznie na ziemię. Niestety, od jego krawędzi odłupał się mały kawałek. Może był z ryżowej porcelany! Nie chcę patrzeć na tę ranę. Ale muszę z niej to wyjąć. Wyjąłem, ale to nie cała prawda. Na szczęście niedaleko, bardzo niedaleko, tuż obok, przygotowuje. Kuśtykam te trzysta metrów na jednej stopie. Nawet nie muszę czekać w kolejce. Wielki przywilej. Hożo wskakuję na stół operacyjny. Już leżę, znieczulenie lokalne. Damy panu lokalne znieczulenie, proszę mówić, jeśli będzie bolało – informuje doktor. Spokojnie, od tego się nie umiera. Jego słowa. Patrę w sufit i czekam. Czuję, jak coś ślizga się po mojej stopie. Wewnątrz. Dziwne uczucie. Bo czuję, jakbym to słyszał. Czym? Uszami? Słyszeć miałbym, co dzie-



je się na przeciwległym krańcu ciała. Ciekawość bierze górę, to przecież moja stopa, podnoszę głowę. Co widzę? Pielęgniarka dwoma haczykami na długich drucikach odciąga krawędzie równo przeciętej skóry, tak, żeby lekarz mógł swobodniej wyławiać z czerwonej jamy odłamki chińskiej porcelany. Po usunięciu większych, przejeżdża się skalpelem wzdłuż kości i ścięgien, jak sobie wyobrażam. Gładzi je, z wycuciem, metalowym narzędziem, aby wychwycić osiadłe na gładkiej, jak mniemam, białej kości ziarnka porcelany tej samej barwy. Które z trudem wyławia oko. To właśnie ten ruch słyszę jakimś sposobem, nie wiadomo, czym to słyszę, bo chyba nie uchem. Co pan robi! Proszę opuścić głowę! Proszę leżeć! – krzyczy doktor. Spełniam jego polecenie, w nagrodę zabawia mnie rozmową. Sprawdza, czy nie zemdlałem. Nie zemdlałem. Nie czuję bólu, słyszę tylko przesuwanie skalpela po kościach. W przyszłości niewykluczone, że stopa będzie pana rwała jakby bez powodu. Powód będzie pan znał. Ale powinno się zagoić. Zostanie blizna. I może drobny kawałek porcelany pod skórą. Dziękuję.

Emigracja wewnętrzna. Na zewnątrz. I kolejne schronienia. Najpierw do dziadka, impulsywnie, bez planu, potem w różnych miejscach, na które w języku francuskim jest eleganckie określenie: *abri de fortune*. U wujka, którego akurat leczą (by użyć tego słowa zamiast jego przeciwieństwa) na psychiatrii, potem w domku podmiejskim, w którym nie udało mi się uruchomić wody (a może zamarzała), następnie przy Rutkowskiego, na ulicy pod nieistniejącą dziś nazwą, tam gdzie ona się w dalszym ciągu rozszerza, przed kinem Atlantic. Szmery i odgłos kroków od rana do wieczora, do późnej nocy. Do rana. Potem Skandynawia, powrót, i wreszcie ten azyl, w którym będę wreszcie miał spokój. Rondo Waszyngtona. Francuska. Szklane ściany. Widok na park i most, gdyby się wychylić. Jak w Nowym Jorku. Jak w Paryżu. W mieszkaniu są książki. Wiele książek na temat kultury Maori. Maski. Lalki. Naczynia. Jak najdalej od wertykalności!

Przyprowadzam tu córkę, małe stworzenie już jakiś czas wcześniej zaczęło chodzić. I mówić. W czerwonym kombinezonie. Za każdym razem odprowadzam ją do drzwi domu, z którego zbiegłem. Ja – uciekinier. Pewnego wieczora dzwonek na Waszyngtona. W drzwiach czerwony kombinezon, za nim głos i monolog, dobiegający spod kożucha i futrzanej czapy. Znajoma muzyka. Więc matka dziecka, tutaj, w moim azylu. Przeczuję najgorsze. Ale robię dobrą minę. Rozmowa zaczyna się spokojnie. Moich rzeczy zaledwie garstka. Mieszkam tu od kilku miesięcy, ale gdyby nagle przyjechał pan Bogdan, mój *landlord*, nie zauważyłby różnicy ani zmian. W lodówce ta sama butelka

whiskey jeszcze z jego czasów. Musiał ją otworzyć rok wcześniej. Jameson się szybko nie psuje, starzenie wychodzi mu na dobre. Dziecko stoi przy oknie i bawi się trzymanym w rękę przedmiotem. Ściana przeszklonego pokoju to trzy skrzydła od podłogi do sufitu, z których jedno, środkowe, się nie otwiera. Przed nim córka. Yenlan zagląda do lodówki, widzi butelkę, pyta, czy może, już sobie nalewając. Mówię, że nie moje. Nie szkodzi. Zaczyna się monolog. Wyrzuty. Kilka minut, jej, zdawkowe odpowiedzi, moje, w nadziei, że może nie. Ale potem ten moment, moment bez słowa (chyba że zapomniałem, że były słowa, nie pamiętam), tarczyca podnosi się z krzesła i zaczyna. Ręką. Ręka zaczyna od książek nad tapczanem. Zrzuca je na miękki materac. Ja tępo patrzę, jakby mnie tam nie było – nie ma mnie tam! Potem ręka zabiera się do książek z wysokiego regału, od podłogi do sufitu, te zrzuca już na twardą podłogę. Kiedy zbliża się do części Maori, podbiegam i mówię: Daj spokój. Przestań. Z odwrotnym skutkiem, niż zamierzony, przynajmniej z mojej strony. Talerze zaczynają spadać z wielkim hukiem.

Patrzę, jakbym to widział w kolorowym telewizorze pana Bogdana. Ale kiedy ręka zaczyna zmiatać z półek eksponaty sztuki maori, ruszam do obrony, otwieram ramiona i zawieram żonę i matkę w objęciu, żelaznym. Krzyki i szamotanie. Widzisz córeczko, patrz, jakiego masz tatę, zobacz, co robi mamusi. Trzymam ją tak mocno, jak potrafię, żeby nie mogła się ruszyć. Ale próby jej uciszenia kończą się porażką. Nie mogę jej uciszyć. A ona nie milczy. W pewnej chwili czerwony kombinezon odwraca się w kierunku uchylonego okna. Nie wykonuje żadnego ruchu, w dodatku jest jeszcze mała balustrada, ale sam fakt, że okno jest uchylone, uzmysławia mi, że nie będę mógł w nieskończoność trzymać ciała, które krzyczy w objęciach. Drugie ciało nieruchomo przy oknie, nagle przychodzi mi do głowy, że coś się stanie. Okno uchylone. Dwunaste piętro. Rzucam się w kierunku czerwonego skafandra. Uwalniam objęte moimi ramionami ciało i biegnę do okna. Do dziecka. Dziecko płacze. Okno zamknięte. *La vita è bella...*

Jak dla kogo! Tymczasem uwolnione ciało wraca do destrukcji. Ponieważ jak lew bronię masek, ono zajmuje się szkłem i porcelaną. Dopiero, kiedy wyprawdzam córkę z pokoju, za rękę, matka spogląda na izbę, zakłada spokojnie kożuszek – futrzanej czapki nie zdejmowała – i wychodzi. Chodź córeczko. On tu nas nie chce. Wsiadając do windy, chwyta małą troskliwie – za rękę.

Kiedy ona mówi, wbija w serce sztylety. Na zimno. Z premedytacją. To słowa babci, mojej, rocznik 1902, będzie ze mną szczerą, nazwie rzeczy po imieniu, powie otwarcie. Że Yenlan wbija sztylety. Babcia: Zawzięta i bez litości. Tak jak bohaterka czytanego przez nią – babcie – romansu pod tytułem *Serce z kamienia*. Lub coś w tym rodzaju. Gebethner i Wolff.

## Forum

Ulizany, choć bez mandoliny, włosy brudnoblond, facet koło czterdziestki, krępy, tłusta cera. Solidarność. Bydgoszcz. Rulewski. Takie czasy dla MSW i towarzysza Kwiatkowskiego. Jestem już *de facto* po rozwodzie, ale jeszcze nie uprawomocniła się decyzja sądu, więc formalnie w związku. Kiedy w wyznaczonym sześć tygodni wcześniej terminie „stawiam się” w biurze paszportów na Kruczej (jeszcze jeden pomniczek architektury socrealizmu), otyła pani próbująca najpierw utopić w swej służbowej szklance z obowiązkowym spodkiem pływające po powierzchni fusy herbaciane (a może była to kawa – w każdym razie według tej samej reguły: zatopić), oznajmia mi, że jeszcze nie gotowy. Paszporcik. I dodając: Pan poczeka, wychodzi z pokoju. Za chwilę przez te same drzwi wkracza facet o tłustej cerze i przetłuszczonych włosach. We wniosku są pewne niezgodności co do obywatelki ChRL, które trzeba wyjaśnić. W tym celu powinien pan udać się na ulicę Rakowiecką i złożyć wyjaśnienia. Na Rakowieckiej? Rakowiecką kojarzę z wielkim więzieniem. Ale nie. Na Rakowieckiej jest przecież ich ministerstwo. I tym sposobem przekierowany zostają do ministerstwa. Rakowiecka 2A, zgłosi się pan na biuro przepustek i poda nazwisko. Jakie nazwisko? Czyje? Własne. Ale do kogo mam iść? Już panu powiedzą, jak się pan stawi. Wtorek, szesnasta piętnaście!

We wtorek dziesiątego po szesnastej młoda kobieta, podobna do Krystyny Jandy w *Człowieku z żelaza*, odbiera mnie z portierni, krętą trasą prowadzi wieloma korytarzami przed drzwi z czterocyfrowym numerem i każe zapukać. Pukam. I staje przede mną ten sam mężczyzna o przetłuszczonych wciąż włosach i tłustej cerze, z zastałym trądzikiem młodzieńczym. Pokój, do którego wchodzi, jest pusty, niezamieszkały, monotonię jego geometrycznej przestrzeni burzy tylko biurko z fotelikiem z Emilii i krzesłem petenta po przeciwnej stronie, pamiętającym czasy Bolesława Bieruta. Nic poza tym. Może szuflady i szafki w ścianie kryją jakieś kartoteki, a może to tylko atrapy, przychodzi mi na myśl,

że to pokój przesłuchań wstępnych. Można by powiedzieć: pokój bez właściwości. Gdyby nie rozpięta za fotelikiem olbrzymia mapa ujęta w drewniane drążki. Jak w szkole. A więc przenośna. Może coś przykrywa? Mapa polityczna świata, na której wyraźnie widać, gdzie przebiega zasadnicza linia podziału. Przenośna. Niech pan siada. Wie pan, dlaczego tu pan jest? W sprawie paszportu, odpowiadam zwięźle. Złożył pan wniosek jako żonaty, a to się nie zgadza. Tak, bo to się właśnie zmieniło. Widzę, widzę, i w ogóle, to dużo u pana ostatnio się zmieniło. Ma pan nową pracę. Tak, od niedawna jestem adiunktem w Zakładzie Teorii Literatury. Ale o tym we wniosku pisałem. Tak, oczywiście. A jak się panu tam podoba? Tam? No, w zakładzie literatury. Nagle zaczynam rozumieć, po co tu przyszedłem. Słucham sympatycznego *exposé* mężczyzny z przewlekłym, jeśli nie chronicznym trądzikiem, i moje obawy niestety się potwierdzają. Wyjaśnienia mi, jak ważne jest, żeby trzymać rękę na pulsie, bo teraz, proszę pana, dzieją się różne rzeczy. Czy zauważył pan ostatnio w rozmowach? Hmm, wie pan, my w zakładzie rozmawiamy o komparatystyce. Mężczyzna słucha, patrzy na mnie, kiwa głową. Ja, mówiąc, wypatruję u niego jakichś znaków. Czuję się trochę, jak na pierwszej randce. Po kilku minutach, mężczyzna: Zadzwoń do pana, jak paszport będzie do odebrania. Właściwie nie potrafię sobie wytłumaczyć, po co mnie tam wzywał. Zaraz zaraz, mieliśmy rozmawiać o paszporcie. Czy mam jeszcze uzupełnić stan cywilny? Nie, rozumiem, że jest pan teraz w stanie wolnym. Uzupełnimy w danych. Zadzwoń do pana. Kwiatkowski moje nazwisko.

Parę dni później, wczesnym rankiem telefon. Mieszkam ponownie w domu rodzicielskim. Marnotrawny syn. Odbiera mama. Podaje mi słuchawkę. Do ciebie. Pan Kwiatkowski. Słucham. Człowiek z Rakowieckiej proponuje, żebyśmy się spotkali. Kawiarnia Nowy Świat. To niedaleko. Hmm, ode mnie niedaleko, ale z Rakowieckiej? Dobrze, odkładałam słuchawkę. Mama: Powiedział, że kolega z wojska. A przecież ty w wojsku nie byłeś. Ja: Wiem o tym. Ale on chyba nie.

Nowy Świat. Nieodmiennie przetłuszczone włosy. No trudno. Lepsza kawiarnia od pokoju z mapą świata. Lepiej w Nowym Świecie. Bliżej. Dla mnie na pewno. Wolę kawiarnie. Tym bardziej, że do kawiarni mogę pójść z kim mi się podoba. Pytam sąsiada z Browarnej, zaprzyjaźnionego scenografa, czy miałby ochotę umówić się ze mną zaraz po moim spotkaniu z Kwiatkowskim. Albo w trakcie. Mógłby usiąść przy stoliku obok – dodałoby mi to kurażu. Tak się też staje. Łukasz słyszał każde moje słowo. Mojego drugiego wykładu o zasadniczych różnicach funkcjonowania instytucji literackich w kulturze europejskiej i dalekowschodniej. Kwiat-

kowski słucha. Wciąż z tym enigmatycznym wyrazem twarzy. Jak u Melville'a. Bartleby. Nie, niezupełnie. Paszport mam jednak odebrać na Kruczej.

Potem jeszcze kolejne ranne telefony od kolegi z wojska! Interesują go oczywiście koledzy z zakładu literatury i sytuacja w ogóle, ja natomiast obszernie będę go informował o komparatystycznych tematach w Zakładzie Teorii. Zasłona dymna, z mojej perspektywy, mniej więcej działa. A jeśli tak, to znaczy, że nie jestem priorytetem, tak jak Kwiatkowski (nie jest) orłem w swoim Zakładzie.

Zaraz po pobiciu Rulewskiego kolega z wojska każe mi przyjść do hotelu Forum. Tym razem sąsiad-scenograf na próżno zajmuje miejsce w kawiarni tego najwyższego hotelu w stolicy. Kwiatkowski czeka na mnie w holu, podchodzi do portierki, wyciąga rękę, ta bez słowa wydaje mu klucz. Zamiast do kawiarni, towarzysz zaprasza mnie do windy. Zaskoczony, uświadamiam sobie, że przeświadczenie, że mogę sobie pogrywać z bezpieczeńką – nieświadomą, że na przykład ja nigdy w wojsku nie byłem – i że opór przeciw bezpieczeńce może prowadzić przez nonszalancję i cynizm, to raczej moje pobożne życzenia. Winda zatrzymuje się na dwudziestym dziewiątym piętrze. To nie powinna być niespodzianka. Podobno w hotelu Europejskim, niektóre pokoje były pomniejszone o część, w której siedzieli ubecy i nagrywali, dziś powiedziałoby się na żywo. Ale kiedy Kwiatkowski wprawną ręką otwiera pokój 2931, robi mi się nieswojo. Ponieważ parę tygodni wcześniej, w pokoju tym mieszkały moje nowojorskie znajome, Regina i Elisabeth, które do solidarnościowej Warszawy przybyły służbowo, aby zweryfikować wnioski o stypendium fundacji Fulbrighta oraz IREX. Kiedy Kwiatkowski otwiera drzwi numer 2931, zdaję sobie sprawę, że jeśli nie na całym piętrze, to na pewno w tej izbie bezpieczeństwa była i jest u siebie w domu.

Zaprojektowany przez Stena Samuelssona z Lundu, architekta, który był autorem, na przykład, wspólnie z Fritzem Jaenecke, stadionu Ullevi w Göteborgu, Forum postawiony został przez skandynawskiego giganta – firmę Skånska Cementgjuteriet, odpowiedzialną także za pozostawienie na wsze czasy na placu oczywiście Zwycięstwa zagubionej w przestrzeni i czasie bryły zwycięskiego hotelu Victoria. Podobnie jak bryła podbiła serca mieszkańców, robotnicy z budowy Forum i Victorii podbili serca licznych nadwiślanek. Dziewczyny z uniwersyteckim wykształceniem często poślubiały robotników ze Skanii tudzież okolic, włączając Norlandię. Kilka z nich brało u mnie lekcje szwedzkiego, dołączyłem nawet zaszczytu bycia honorowym tłumaczem przysięgi na wierność –

z urzędowego polskiego na formalny szwedzki w warszawskim Pałacu Ślubów. W nagrodę, jeszcze przed uroczystą inauguracją obiektu, kilku mężów i narzeczonych, zorganizowało dla mnie *a private tour* awangardowej architektury. Zanim jeszcze zawieszona została nad hotelem wiecha, Stig Karlsson i kilku jego kolegów wwiozło mnie na najwyższą kondygnację.

Pokój 2931. Wiem, czego chce Kwiatkowski, jakich szczegółów. Próbuję, jak poprzednio, zasłony dymnej. Tym razem temat to James Liu i Ueda Makoto, opowiadam z wieloma szczegółami, obszernie, tak długo, aż zniechęcony esbek z wyrazem znużenia na twarzy – po raz pierwszy! – przerywa mój wywód i robi gest, jakby chciał pokazać mi coś za oknem.

Podejdź pan tutaj. Podchodzę, on otwiera szwedzkie okno – okno jest uchylne, odchyła się pionowo na poziomych zawiasach. Dziś to rzadkość przy tak wysokich budynkach, zapewniają świeże powietrze. Ale mnie w jednej chwili robi się nieswojo. Dzień jest wietrzny. Nie rób pan sobie z nas jaj! To Kwiatkowski. Mówi. A gdyby mnie teraz przez nie wypchnął? To ja. Myślę. Jedną ręką otwiera paczkę Carmenów i wkłada papierosa do ust, a paczkę do kieszeni, z której z kolei wyjmuje zapalniczkę. Akrobata. Wszystko jedną ręką. Druga na uchwycie okna. Kwiatkowski zaciąga się. Dym ulatnia się na zewnątrz. Dopiero teraz słyszę, że okno jest otwarte. Z daleka dochodzą przytłumione dźwięki ponurego miasta. Odgłosy głównego skrzyżowania PRL-u. Ciężka kolizja. Na rondo, obok rotundy, która parę miesięcy wcześniej nie wytrzymała ciśnienia gazu i eksplodowała, wdarł się jadący pod prąd autobus wypełniony ludźmi pracy. Ciśnienie czasu. Podnoszę wzrok i widzę Warszawę z podobnej wysokości jak wtedy, kiedy ojciec trzymał mnie na balustradzie tarasu widokowego w Pałacu Kultury. *Vis-à-vis*. Zdecydowanie inna perspektywa. Ćwierć wieku wcześniej wszystko wydawało się łatwiejsze. I dużo dalej.

Niech pan przestanie udawać idiotę! Niechże się pan już nie zgrywa. Nie struga wariata. Skończ pan wreszcie udawać. O liu i bździu dość się już nasłuchałem. Teraz pana kolej. Teraz pan będzie nas słuchał. Pan tu nam podpisze.

Życie jest piękne. Nie przesadzaj...

Odwracam się od okna. Idę w kierunku drzwi. Do światła





Warszawa Chiny



Warszawa Chiny



ADAM WAGA

## Granica bezgraniczna

Poniosłem klęskę.

Nie zdołałem ustalić,  
gdzie jest granica,  
którą przekracza przyszłość,  
aby się stać przeszłością.

Być może, nie ma jej wcale.  
Może jest nieuchwytna  
ani dla czucia i wiary,  
ani dla szkiełka i oka.

A może odbywa się na niej  
wiekuista kontrabanda.

Zdesperowany przegrany,  
uznałem, że jest to  
kwestia przeskoku  
literki „y”  
w literkę „e”.

Zatem ową granicą  
byłby tak znikomy błąd?  
Literówka?

– Nieszczęsny głupcze! –  
ofuknąłem się zaraz.  
– Odłóż swoją motykę na słońce.  
Śmieszne są twoje kalambury,  
ekwilibrystyka dociekań,  
fajerwerki językowe.

I przy-, i prze-  
to wielkie tajemnice.

Różnią się tylko tym,  
że pierwszej nie zna nikt,  
a drugą zakłamuje każdy.

Trwa jedynie niezmienny,  
okrutny i zbawienny  
rdzeń owej bezgraniczności:

szłość.

## Bajka prawdziwa

*pallium* (łac.) – płaszcz  
*palliare* (łac.) – okrywać

Taśma.  
Dawid Taśma.  
Żyd polski z Rawy Mazowieckiej.

Uniknął obławy hitlerowskiej,  
stojąc całą dobę w kloace miejskiej.

Przedarł się do Anglii.  
Walczył z Niemcami jako lotnik.

Po wojnie zachorował na raka.

Opiekowała się nim pielęgniarka,  
Cicelly Sanders.

Zwierzał jej swoje tragiczne życie.  
Pokochała go.

Medytowali oboje nad tym,  
jak można pomóc chorym,  
kiedy medycyna już pomóc nie może.

I wymyślili.

On okazał się lepszym krawcem niż lotnikiem.  
Wykonał krój opieki hospicyjnej.

Umarł szczęśliwy, pogodzony ze światem i sobą.

Ona została lekarką,  
ale okazała się lepszą krawcową.

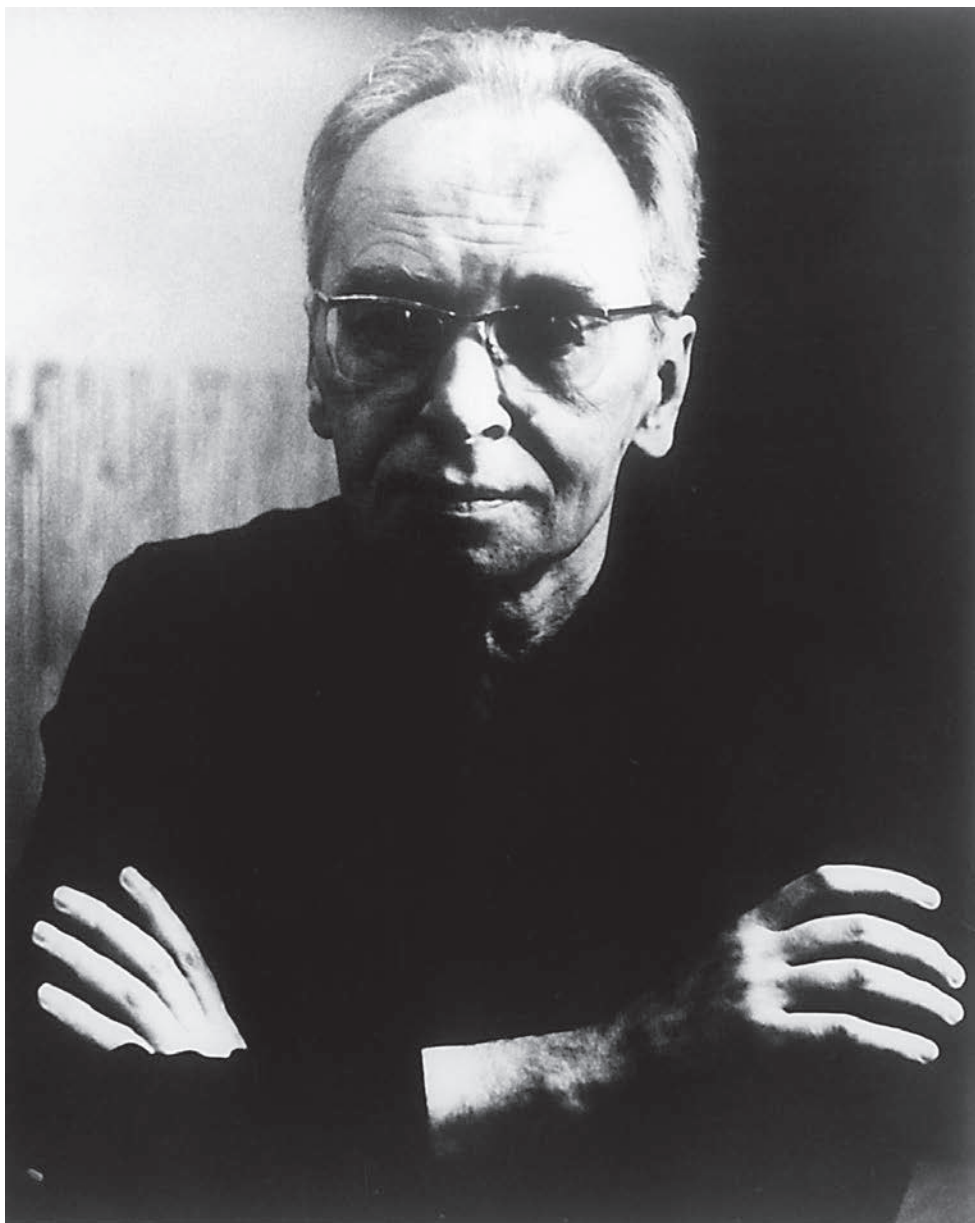
Według jego kroju uszyła płaszcz,  
który nazwała medycyną paliatywną.

Okryła nim połowę kuli ziemskiej.

## Wypominek

Trudziliście się ledwie przez moment doczesny,  
a już do Boga: – Racz dać odpoczynek wieczny...

Czy to aby nie zuchwałość,  
chcieć tak wiele za tak mało?!



## ANNA SYNORADZKA-DEMADRE

# O początkach przyjaźni Jerzego Andrzejewskiego i Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

O tym, że Jerzy Andrzejewski był, spośród pisarzy swego pokolenia, człowiekiem najbliższym Krzysztofowi Baczyńskiemu, napisał już dwa lata po wojnie, Jerzy Zagórski<sup>1</sup>. W późniejszych publikacjach poświęconych Baczyńskiemu wątek jego relacji z Andrzejewskim często się pojawiał<sup>2</sup>, wszakże do niedawna nie było możliwe ustalenie podstawowego zupełnie faktu z dziejów tej przyjaźni: czasu i okoliczności, w jakich została zawarta.

Wydawało się, że wiarygodnym źródłem informacji powinien być *Zeszyt Marcina*, dziennik Andrzejewskiego założony we wrześniu 1943 roku z okazji przyjścia na świat syna pisarza<sup>3</sup>. W zapisku z 30 grudnia 1944 roku, dokonanym po wygnaniu z dogorywającej Warszawy i tygodniach tułaczki, trzydziestosześcioletni Andrzejewski dokonywał bilansu swego życia. Nazwisko Baczyńskiego pada w tym wspomnieniu, gdy jest mowa o najważniejszych wydarzeniach roku 1941:

W czerwcu, po paru miesiącach ciężkiego nerwowego rozstroju, popełnił samobójstwo Gienio Biernacki (...). W pierwszych dniach września spotkałem Marysię w naszej literackiej stołówce na Pierackiego<sup>4</sup>, a w końcu września byłem z Czesławem u chorego wówczas Krzysztofa. Tak zaczęło się nowe życie<sup>5</sup>.

<sup>1</sup> Jerzy Zagórski, w artykule *Śmierć Słowackiego* [w:] „Tygodnik Powszechny” 1947 nr 14/15 (107/108).

<sup>2</sup> Zob: Kazimierz Wyka, *Krzysztof Baczyński (1921–1944)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1961; Zbigniew Wasilewski, *Taki to mroczny czas* [w:] *Żołnierz, poeta, czasu kurz. Wspomnienia o Krzysztofie Kamilu Baczyńskim*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1967; Tadeusz Sołtan, *Trudne rachunki pamięci*, tamże; Lesław M. Bartelski, *Debiut Jana Bugaja*, tamże; Zbigniew Wasilewski, *Legenda Baczyńskiego*, Agencja „SUKURS”, Warszawa 1996; Wiesław Budzyński, *Jerzy! Mój przyjacielu...* [w:] *Testament Krzysztofa Kamila*, „Twój Styl”, Warszawa 1998.

<sup>3</sup> Jerzy Andrzejewski, *Zeszyt Marcina*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1996.

<sup>4</sup> Dziś ulica Foksal. Chodzi o tak zwaną „kuchnię literacką” założoną z inicjatywy Ferdynanda Goetla i środków przedwojennego Związku Zawodowego Pisarzy Polskich, a także z budżetu miejskiego. W tej stołówce, w ramach samopomocy środowiskowej, wydawano za symboliczną opłatą lub za darmo, obiady dla pisarzy pozbawionych w czasie okupacji dochodów. Od stycznia 1940 roku stołówka mieściła się przy Pierackiego 16.

<sup>5</sup> *Zeszyt Marcina*, *op. cit.*

Wymienione tu, prócz Krzysztofa Baczyńskiego, osoby, to Eugeniusz Biernacki – dawna miłość Andrzejewskiego<sup>6</sup>, Maria Abgarowicz – przyszła żona pisarza oraz Czesław Miłosz, z którym Andrzejewski przyjaźnił się od końca lat trzydziestych. Notatka powstała w czasie, gdy Andrzejewski teoretycznie powinien był doskonale jeszcze pamiętać przywołane w niej fakty, wyznaczające – jak sam mówi w poinczie – cesurę w jego biografii. Niestety, na podstawie tego zapisku nie sposób było stwierdzić, czy dotyczy on rzeczywiście pierwszego spotkania Andrzejewskiego z Baczyńskim (do którego doprowadził był Miłosz?), czy też może pierwszej wizyty Miłosza u Baczyńskiego, zaaranżowanej przez Andrzejewskiego. Nie można też było mieć pewności, że zapisek mówi rzeczywiście o czyimkolwiek p i e r s z y m spotkaniu z poetą. Istniały dodatkowe powody, aby do przywołanej notatki odnosić się z pewną rezerwą: Eugeniusz Biernacki zginął najprawdopodobniej nie w czerwcu, jak tu zapisał Andrzejewski, lecz w lipcu 1941 roku<sup>7</sup>. W dalszym fragmencie dziennikowej notatki z 30 grudnia 1944 roku Andrzejewski popełnił jeszcze drugi, poważniejszy błąd: umiejscowił ślub Krzysztofa Baczyńskiego wśród wydarzeń roku 1943, gdy tymczasem poeta ożenił się w roku 1942. Biorąc pod uwagę te pomyłki, pamiętnikowi pisarza nie można było ufać bezkrytycznie, nawet wtedy, gdy opowiadał o wydarzeniach z niedawnej przeszłości.

W późniejszym okresie życia Andrzejewski kilkakrotnie jeszcze usiłował odtworzyć okoliczności, w jakich poznał Krzysztofa, ale wówczas pamięć zawodziła go coraz mocniej. W pewnym momencie miał niejasne przeczucie, że jego spotkanie z poetą nastąpiło u zbiegu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, w mieszkaniu należącym do Jarosława Iwaszkiewicza, z którym przyjaźnił się mniej więcej tak długo, jak z Miłoszem. Pod koniec kwietnia 1940 roku, mieszkający w Podkowie Leśnej Iwaszkiewicz zaproponował Andrzejewskiemu, przygarniętemu we wrześniu 1939 roku przez rodziców do ich niewielkiego pokoju na ulicy Dobrej<sup>8</sup>, zajęcie swego warszawskiego *pied-à-terre*. Andrzejewski z propozycji skorzystał i przeniósł się przy Trębackiej 1 m. 10 dwa lata, do maja 1942 roku<sup>9</sup>. Wspominając ten okres w 1967 roku, zapisał:

<sup>6</sup> Zob. Anna Demadre-Synoradzka, *Epitafium dla E.B. Pewien wątek w twórczości Jerzego Andrzejewskiego*, „Odra” 2013 nr 3.

<sup>7</sup> Dostępna obecnie w internecie baza danych „Nekrologi warszawskie”, w której zarejestrowano jednego Eugeniusza Biernackiego, podaje jednak, że jego zgon nastąpił 12 lipca 1941 roku. <http://www.nekrologi-baza.pl>, stan z 6 XI 2012.

<sup>8</sup> Latem 1939 roku Andrzejewski wyprowadził się z Warszawy do Lwowa. Pod koniec sierpnia zjawił się w Warszawie w celu załatwienia pewnych formalności wydawniczych i tam zastał go wybuch wojny.

<sup>9</sup> *Zeszyt Marcina*.

(...) nie jestem pewien, czy właśnie tam na Trębacką nie przyprowadził ktoś z moich przyjaciół Krzysztofa, może Miłosz, lecz nie, to pierwsze nasze spotkanie chyba w innym tle się odbyło, natomiast chyba rzeczywiście Miłosz przedstawił mi Krzysztofa, ale gdzie to było, nie, w tej chwili nie potrafię już wyłonić z mętnego mroku, z chaotycznej pustki<sup>10</sup>.

W roku 1978 wspomnienia pisarza były jeszcze mniej wyraźne. Zapisał wówczas coś, co wydaje się po prostu trawestacją i skrótem cytowanej już przez nas noty z *Zeszytu Marcina* z 30 grudnia 1944 roku:

Poznałem go w parę miesięcy po śmierci Eugeniusza, wczesną jesienią roku czterdziestego pierwszego. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach, kiedy dokładnie i gdzie<sup>11</sup>.

W wypowiedzi opublikowanej pod koniec życia, w roku 1981, Andrzejewski podał nagle odmienną wersję wydarzeń, oświadczając, że przyjaźnił się z Baczyńskim „bez mała cztery lata”<sup>12</sup>, co by oznaczało, że zawarli znajomość już w roku 1940. Czyżby Andrzejewski przypomniał sobie wówczas coś, co go skłoniło do zmiany datowania początku znajomości z poetą? Nic o tym nie wiemy.

Za tym, iż Baczyński i Andrzejewski zetknęli się ze sobą rzeczywiście już pod koniec pierwszego roku okupacji, zdawała się przemawiać także wypowiedź matki poety, która w jednym z listów słanych do Andrzejewskiego po wojnie napisała:

Jakże pamiętam dobrze taki czas, kiedy Krzysztof zmiażdżony swym pierwszym, odrąconym uczuciem, przeżywał tę tragedię bardzo ciężko. Był to właśnie okres, w którym poznał Pana i zbliżyliście się bardzo szybko. Opowiadał mi z entuzjazmem o każdym spotkaniu, o tym, ile mu dają rozmowy z Panem, ile czerpie siły z tej nowej i pierwszej prawdziwej przyjaźni. Kiedy raz po takiej rozmowie pytałam, czy taka przyjaźń nie jest większym skarbem od miłości? – przyznał mi rację<sup>13</sup>.

Biografowie poety ustalili, że w drugiej połowie 1940 roku Baczyński przeszedł psychiczne załamanie po tym, jak pod koniec lata zostały odrzucone jego oświadczenia złożone równieśnicze<sup>14</sup> poznanej parę lat wcześniej na letnich wa-

<sup>10</sup> Jerzy Andrzejewski, *Notatki szpitalne*, [w:] *Apelacja*, Czytelnik, Warszawa 1983.

<sup>11</sup> Jerzy Andrzejewski, *Z dnia na dzień*. Dziennik literacki 1972–1979, publikowany pierwotnie na łamach tygodnika „Literatura”. Cytat za wydaniem książkowym: Czytelnik, Warszawa 1988, tom II.

<sup>12</sup> Jerzy Andrzejewski, *Gra z cieniem*. Dziennik literacki z lat 1978–1981, publikowany pierwotnie na łamach tygodnika „Literatura”. Cytat za wydaniem książkowym: Czytelnik, Warszawa 1987.

<sup>13</sup> Cytat za oryginałem listu z 20 IX 1947. Listy Stefanii Baczyńskiej do Jerzego Andrzejewskiego znajdują się w Dziale rękopisów Muzeum Literatury w Warszawie: sygnatura 1587, karty 71–91.

<sup>14</sup> Annie Żelazny (1922–1972) z Jasła, późniejszej działaczce katolickiej i publicystce „Tygodnika Powszechnego”. Zobacz na jej temat: Theo Mechtenberg, *Znaki czasów, 40 lat później* [w:] „Tygodnik Powszechny” z 21 VIII 2012.

kacjach<sup>15</sup>. Słowa z listu matki Baczyńskiego nawiązują bez wątpienia do tych właśnie wydarzeń. Problem w tym, że brak innych świadectw, które by potwierdzały, że Andrzejewski pojawił się w pobliżu Krzysztofa rzeczywiście już w lecie lub na jesieni roku 1940. Ze wspomnień kolegów Baczyńskiego oraz ustaleń biografów wynikało natomiast jednoznacznie, że w tym trudnym okresie Krzysztof mocno się zaprzyjaźnił ze starszym od siebie o pięć lat poetą Jerzym Kamilem Weintraubem. To w stworzonym przez Weintrauba Wydawnictwie Sublokatorów Przyszłości ukazały się pierwsze pod okupacją publikacje Baczyńskiego<sup>16</sup>. Ostatni z wierszy Baczyńskiego dedykowany Weintraubowi, *Jesienny spacer poetów* powstał w październiku 1941 roku.

Zachował się wiersz Krzysztofa Baczyńskiego *Prezentacja*, dedykowany Jerzemu Andrzejewskiemu i napisany prawdopodobnie w najwcześniejszym okresie ich znajomości<sup>17</sup>, gdyż podmiot liryczny tego żartobliwego utworu, po dokonaniu autoironicznej prezentacji własnej osoby, zwraca się do adresata wypowiedzi (do nowego przyjaciela?) z następującą prośbą:

(...) przyjm mnie dobrze sercem całym, bo jestem bardzo nieśmiały (...).

Niestety, wiersz ten – co stosunkowo rzadkie w twórczości Baczyńskiego – nie został opatrzony datą. Najwcześniejszy z datowanych wierszy Baczyńskiego dedykowanych Andrzejewskiemu, to *Psalm 3 o łasce* napisany 20 grudnia 1941 roku – jest zatem całkowicie pewne, że w tym czasie Krzysztof i Jerzy się już znali.

Zbigniew Wasilewski w swej pracy z 1970 roku sytuował początek znajomości Baczyńskiego i Andrzejewskiego w drugiej połowie roku 1941<sup>18</sup>, a więc zgodnie

<sup>15</sup> Zob. Zbigniew Wasilewski, *Legenda Baczyńskiego*, Agencja „SUKURS”, Warszawa 1996; Wiesław Budzyński, *Taniec z Baczyńskim*, Warszawa 2001.

<sup>16</sup> Zob. Tadeusz Sołtan, *Trudne rachunki pamięci* [w:] *Żołnierz, poeta, czasu kurz. Wspomnienia o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, wyd. II, poprawione i rozszerzone; Stanisław Ryszard Dobrowolski, *Okruchy wspomnień*, tamże; Joanna Weintraub-Krzyżanowska, *Dwaj Kamile*, tamże; Lesław M. Bartelski, *Debiut Jana Bugaja*, tamże. Sołtan zasygnalizował w końcówce swego artykułu, że posiadał informacje dotyczące początków przyjaźni Baczyńskiego z Andrzejewskim, ale tych informacji nie podał. Zob. też *Legenda Baczyńskiego*, *op. cit.*

<sup>17</sup> Takie przypuszczenie, najpewniej słuszne, wysunął Zbigniew Wasilewski, który jako pierwszy opublikował ten wiersz (w niepełnej jednak wersji – brakowało dwóch wersów poświęconych Andrzejewskiemu) w swoim wspomnieniu *Taki to mroczny czas* w I wydaniu tomu *Żołnierz, poeta... op. cit.*

<sup>18</sup> Komentując wiersz *Prezentacja* w tekście *Taki to mroczny czas*, napisał: „Nie pamiętam, w jaki sposób ten wierszyk dotarł do moich rąk. Zachował mi się w maszynopisie, sporządzonym przeze



z tym, co zdawało się wynikać z cytowanego przez nas zapisku w *Zeszytach Marcina*. W publikacji z roku 1996 podał wszakże (nie wyjaśniając jakie jest źródło tej nowej informacji), że Baczyński poznał Andrzejewskiego zaraz po opuszczeniu przez poetę szpitala, gdzie leczył się na astmę od początku marca do końca kwietnia 1941 roku<sup>19</sup>. Przypuszczam, że Wasilewski sformułował taką tezę, zinterpretowawszy opacznie pewien fragment dziennika Andrzejewskiego, który został opublikowany na początku lat osiemdziesiątych. W tym fragmencie Andrzejewski mówił:

(...) przypominałem sobie, że poznałem Krzysztofa już po jego pobycie w szpitalu na Smolnej, wiosną roku 1941, kiedy zachorował był ciężko na astmę<sup>20</sup>.

Według mnie, Andrzejewski w zacytowanym przed chwilą zdaniu podkreślił jedynie, że zawarła znajomość z Baczyńskim w okresie późniejszym, niż miała miejsce jego hospitalizacja, lecz – wbrew temu, co uważał Wasilewski – nie powiedział bynajmniej, że spotkanie to nastąpiło już na wiosnę.

Na temat pobytu Baczyńskiego w szpitalu zachowały się dwa świadectwa, oba dość intrygujące. Kolega poety, Tadeusz Sołtan (1921–1996) zanotował:

Wiosną roku 1941 przyszło nam spędzić razem kilka tygodni w szpitalu PCK przy ulicy Smolnej. Przyczyną tego pobytu w szpitalu była, jeśli chodzi o mnie, nie tyle może choroba (...) co wynikająca ze względów bezpieczeństwa chęć zniknięcia na pewien czas z rodzinnego domu. Dla Krzysztofa podstawą dla uzyskania szpitalnego azylu stały się objawy astmy. W gruncie rzeczy chodziło mu zaś chyba przede wszystkim o to, aby znaleźć się chociaż na kilka tygodni w nieco innym otoczeniu, o wyrwanie się z codziennej szarżyny okupacyjnego życia. Szpital miał być schronieniem „za krawędzią wszystkich dni, miesięcy...”<sup>21</sup>.

### Żona Jerzego Kamila Weintrauba zapamiętała to nieco inaczej:

Po naszym powrocie do miasta otrzymałam list od matki Krzysztofa, której osobiście wtedy jeszcze nie znałam, a która zwróciła się do mnie z prośbą, abym odwiedziła Krzysztofa w szpitalu i zaniósła mu prowianty. Zastanowiło mnie to, dlaczego sama nie może iść do niego, ale niewiele myśląc, odwiedziłam Krzysztofa. Leżał w dużej, wspólnej sali. Sąsiadował z nim wielki mężczyzna, o którym szepnął mi, że wyszedł z więzienia (...) i że tu się ukrywa. I w tym miejscu nie mogę sobie przypomnieć, czy powiedział „tu się ukrywa”, czy raczej „tu się też ukrywa”. Trudno

---

mnie w roku 1943 lub 1944, ale na pewno jest wcześniejszy; przypuszczalnie pochodzi z okresu bliskiego poznaniu się Krzysztofa z Andrzejewskim w drugiej połowie 1941 roku”. [*Żołnierz, poeta...*, wyd. II, *op. cit.*]. W pierwszym wydaniu swej książki nie precyzował daty przypuszczalnego spotkania Baczyńskiego z Andrzejewskim.

<sup>19</sup> *Legenda Baczyńskiego*, *op. cit.*; Wiesław Budzyński podaje tę samą informację w książce *Warszawa Baczyńskiego*, Noir sur Blanc, Warszawa 2004.

<sup>20</sup> *Notatki szpitalne*, *op. cit.*

<sup>21</sup> *Trudne rachunki pamięci*, *op. cit.*

po tylu latach mieć kontrolę nad tym, co było prawdą, a co tylko moim wnioskiem, wyciągniętym z pewnych sytuacji. Raczej prawdą było to, że Krzysztof był już wtedy zaangażowany w robotę konspiracyjną i sytuacja wymagała ukrycia się w szpitalu. Może właśnie dlatego matka Krzysztofa nie chciała iść do niego, aby nie naprowadzić na jego ślad. Były to czasy, kiedy nikt nikomu nie zadawał pytań<sup>22</sup>.

Jak dziś wiadomo, Baczyński wstąpił do oddziałów szturmowych Szarych Szeregów dopiero dwa lata później. Jeśli się zatem ukrywał w roku 1941, to nie z powodu pracy w konspiracji.

Odmówiwszy pójścia do getta, za co groziła kara śmierci, Krzysztof oraz jego matka musieli być ostrożni. Czy jednak rzeczywiście kilkutygodniowy pobyt w szpitalu mógł być z tym związany i cokolwiek rozwiązywał? Nie znamy odpowiedzi na to pytanie<sup>23</sup>.

Wasilewski podał jako pewnik, ale znowu bez wskazania źródła, że to dzięki Andrzejewskiemu Baczyński poznał Miłosza oraz innych pisarzy ze starszego pokolenia<sup>24</sup>. Zaznaczyć trzeba, że teza współgra z tym, co zapamiętał Miłosz. Będąc już człowiekiem w podeszłym wieku, nie potrafił on, co prawda, przypomnieć sobie pierwszego spotkania z Krzysztofem, ale był przeświadczony, że do mieszkania przy ulicy Hołównki 3, które do września 1942 roku młody poeta dzielił z matką, Stefanią (1890–1953), wprowadził go właśnie Andrzejewski. Był też przekonany, że wiersze Baczyńskiego, które umieścił w swojej antologii *Pieśń niepodległa* (Oficyna Polska, Warszawa 1942), otrzymał za pośrednictwem Andrzejewskiego<sup>25</sup>.

<sup>22</sup> *Dwaj Kamile, op. cit.*

<sup>23</sup> Na temat pomijanej przez lata w badaniach nad biografią i poezją Baczyńskiego kwestii jego żydowskiego pochodzenia, zob. Józef Lewandowski, *Wokół biografii Kamila Baczyńskiego* [w:] *Szkló bolesne, obraz dni... Eseje nieprzedawnione*, Exlibris, Uppsala 1991. Tekst jest aktualnie (grudzień 2012) dostępny w Internecie [[http://www.jozeflewandowski.se/texter/Wokol\\_biografii\\_Baczynskiego.htm](http://www.jozeflewandowski.se/texter/Wokol_biografii_Baczynskiego.htm)]. Zobacz też: Świadeństwo księdza Ludomira Lissowskiego z 1959 roku: „Krzysztof należał do AK. Skończył podchorążówkę. Brał udział w wyprawach nocnych w celu wykolejenia pociągów wojskowych niemieckich. Żywym udziałem w akcji militarnej podziemnej i później w powstaniu zadokumentował swoją polskość. Obawiał się, że ktoś może polskość Jego zakwestionować z tej racji, że matka Jego była z pochodzenia Żydówką. Była to osoba bardzo inteligentna, bez pamięci zakochana w Synu, który jej odpłacał równą chyba miłością. Niemniej był świadom swojej mieszanej krwi” [Cytuję za: *Taniec z Baczyńskim, op. cit.*].

<sup>24</sup> *Legenda Baczyńskiego, op. cit.*

<sup>25</sup> Tak Miłosz stwierdził w rozmowie, którą z nim przeprowadziłam 1 VI 1994. Podobnie napisał w komentarzu do swojej korespondencji z Andrzejewskim opublikowanej w tomie *Zaraz po wojnie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998: „(...) prawdą jest, że [Andrzejewski] wprowadził mnie do Krzysztofa Baczyńskiego, którego odwiedzałem parę razy w jego mieszkaniu na Mokotowie i który dał mi do antologii swoje wiersze”. We wspomnieniu poświęconym Baczyńskiemu opublikowanym przez Miłosza w roku 2001, znajdujemy następujący fragment: „Krzysztofa Baczyńskiego odwiedzałem w ich, to jest jego i matki, bo ojciec już nie żył, warszawskim mieszkaniu za niemieckiej okupacji. (...) Pamiętam go w pozycji leżącej, bo ciągle chorował na astmę. Jego

Ostatnio ukazały się dokumenty, które wreszcie rozwiewają wątpliwości wynikające ze sprzecznych świadectw i zatartych wspomnień. Maciej Urbanowski opublikował wybór listów Jerzego Andrzejewskiego do Kazimierza Wyki z lat 1940–1944<sup>26</sup>, a wśród nich pewien tekst szczególnie dla naszych poszukiwań ważny – list z jesieni 1941 roku. Powstał on już po tym, jak w sierpniu 1941 roku Miłosz i Andrzejewski widzieli się z Wyką w jego domu w Krzeszowicach, kiedy to Miłosz towarzyszył Andrzejewskiemu w jednej z jego podróży związanych z pełnioną w podziemiu funkcją dystrybutora zasiłków pieniężnych udzielanych pisarzom przez Delegaturę Rządu w Londynie. Podróże te Andrzejewski wykorzystywał między innymi na załatwianie rozmaitych spraw wydawniczych, własnych i kolegów, a także na podtrzymywanie kontaktów z przyjaciółmi. W Krzeszowicach Andrzejewski, Wyka i Miłosz dyskutowali latem 1941 roku nad projektem stworzenia niezależnego w ramach konspiracji ruchu wydawniczego – alternatywnego wobec publikacji nastawionych głównie na propagandę, w którym byłoby miejsce na krytykę literacką z prawdziwego zdarzenia<sup>27</sup>. Kilka tygodni po tym spotkaniu, utrwalonym na słynnym zdjęciu, Andrzejewski tak pisał w liście do Wyki 22 września 1941 roku:

(...) poznaliśmy w tych dniach z Czesławem chłopca, który mając lat zaledwie dwadzieścia, jest już zupełnie wybitnym zjawiskiem poetyckim. (...) Jest to syn nieżyjącego już Baczyńskiego<sup>28</sup>, Krzysztof.

List rzuca nowe światło na cytowany przez nas na początku artykułu zapisek w *Zeszytach Marcina* z 30 grudnia 1944 roku: teraz zapisek staje się zupełnie czytelny. Okazuje się, że zawiera informacje prawdziwe i w miarę dokładne: Andrzejewski rzeczywiście poznał Baczyńskiego jesienią roku 1941, i we wrześniu (choć nie w końcu miesiąca, jak mniemał, lecz w drugiej jego połowie), a dokonało się to w towarzystwie Czesława Miłosza, dla którego było to również pierwsze spotkanie z młodym poetą! Kto ich obu do chorego Krzysztofa wte-

---

delikatność i błądność narzucały mi obraz Marcela Prousta” (Czesław Miłosz, *Baczyński* [w:] *Abecadło*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001).

<sup>26</sup> „Dekada Krakowska”, 2012 nr 3/4.

<sup>27</sup> Obydwoj wspominali to spotkanie kilkakrotnie, przy czym Andrzejewski nie był konsekwentny w datowaniu wydarzenia. Raz pisał, że miało ono miejsce w roku 1941 (*Gra z cieniem*, *op. cit.*), innym razem, że działo się w roku 1942 (*Trzykrotnie nad „Lordem Jimem”*, „*Twórczość*” 1956, nr 2; *Z dnia na dzień*, tom II, *op. cit.*). Miłosz podawał niezmiennie rok 1941 (*Strefa Chroniona* [w:] *Ogród nauk*, Instytut Literacki, Paryż 1981; Sukiennicki, *Andrzejewski* [w:] *Zaczynając od moich ulic*, Instytut Literacki, Paryż 1985; Listy Kazimierza Wyki [w:] *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1998).

<sup>28</sup> Stanisław Baczyński (1890–1939) pisarz, krytyk literacki, publicysta i historyk literatury, działacz socjalistyczny, żołnierz Legionów Polskich.

dy zaprowadził? Tego jeszcze nie wiadomo<sup>29</sup>. Dzięki publikacji Urbanowskiego nie ma dziś już natomiast wątpliwości, że to właśnie Andrzejewski przedstawił Baczyńskiego Kazimierzowi Wyce, choć pozostaje jeszcze do ustalenia, kiedy dokładnie oraz w jakich okolicznościach się to stało.

Miłosz zachował mylne wspomnienie, że Wyka był w czasie okupacji w Warszawie tylko raz i specjalnie po to, by poznać Baczyńskiego<sup>30</sup>. Nie precyzował zresztą, kiedy by to miało nastąpić. Maciej Urbanowski, autor szkicu na temat przyjaźni Andrzejewskiego i Wyki, powołując się na pracę Małgorzaty Krakowiak<sup>31</sup>, pisze, że we wrześniu 1941 roku był Wyka wraz z Andrzejewskim oraz Iwaszkiewiczem jurorem w pierwszym konkursie poetyckim zorganizowanym w Warszawie przez podziemie dla uczczenia pamięci Józefa Czechowicza. Następnie dodaje: „U Andrzejewskich spotkał w tym samym roku Baczyńskiego”<sup>32</sup>, lecz niestety nie wskazuje źródła tej informacji.

Sam Wyka podał w prelekcji wygłoszonej w 1974 roku, że poznał poetę na przełomie 1941 i 1942 roku, lecz nie potrafił przypomnieć sobie dokładniejszych okoliczności tego wydarzenia. Poeta Jerzy Zagórski „podpowiedział” mu wówczas, że spotkanie miało miejsce w 1941 roku w Wieliszewie, w domu, w którym mieszkali na dwóch różnych piętrach zarówno on: Zagórski, jak i Andrzejewski<sup>33</sup>. Podpowiadający, co dość zaskakujące, podwójnie się wtedy pomylił: Andrzejewski sprowadził się do tego samego budynku, w którym mieszkał Zagórski, dopiero w roku 1943, zaś budynek ów znajdował się nie w Wieliszewie, lecz na Bielanych przy ulicy Szroegera 87 m. 6<sup>34</sup>.

<sup>29</sup> Wolno wszakże sądzić, że i na to pytanie padnie pewnego dnia odpowiedź, skoro tylko będzie trwała idąca już od kilku lat fala publikacji nie znanych dotąd archiwaliów. Z najświeższych druków dotyczących Andrzejewskiego wymienić trzeba tom *Jerzy Andrzejewski. Czesław Miłosz. Listy 1944–1981*, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Biblioteka Więzi, Warszawa 2011; jak również ważny dla wiedzy o Andrzejewskim tom korespondencji *Czesław Miłosz. Jarosław Iwaszkiewicz, Portret podwójny, „Zeszyty Literackie”*, Warszawa 2011.

<sup>30</sup> Czesław Miłosz, *Wyka* [w:] „Dekada Literacka”, 2000 nr 2/3 (160/161). Artykuł dostępny obecnie (grudzień 2012) w internecie: <http://dekadaliteracka.pl/?id=3328>.

<sup>31</sup> Małgorzata Krakowiak, *Katastrofizm – personalizm – realizm. O krytyce literackiej Kazimierza Wyki w latach 1932–1948*, Kraków 2001.

<sup>32</sup> Maciej Urbanowski, *Andrzejewski – Wyka: dzieje przyjaźni (wprowadzenie do tematu)*, [w:] „Dekada Krakowska”, *op. cit.*

<sup>33</sup> Zob. Kazimierz Wyka, *List do Jana Bugaja. Droga do Baczyńskiego*, PIW, Warszawa 1986.

<sup>34</sup> Poeta Andrzej Trzebiński, odnotował w swoim dzienniku, że uczestniczył w spotkaniu z Wyką „u Andrzejewskiego i Zagórskiego”, co potwierdza, że Wyka był w Warszawie również w 1943 lub 1944 roku, kiedy Andrzejewski mieszkał już na Bielanych. Zob: Andrzej Trzebiński, *Pamiętnik*, opracowanie, wstęp i przypisy Paweł Rodak, ISKRY, Warszawa 2001.

Jest pewne, że Wyki był w Warszawie w pierwszej połowie października 1941 roku, gdyż dowodzi tego list Andrzejewskiego adresowany do krakowskiego wydawcy Stefana Kamińskiego (1907–1974):

Korzystam z obecności tutaj Wyki, żeby przesłać Panu bliższe dane w związku z moim tomem opowiadań (...) Wyka zda Panu szczegółowe relacje ze swoich warszawskich „zdobyczy”<sup>35</sup>.

Wydaje się wielce prawdopodobnym, że to przy okazji tej właśnie wizyty Wyki w Warszawie, Andrzejewski przedstawił mu Baczyńskiego. Spotkanie z dojrzałym krytykiem literackim było wydarzeniem fundamentalnym dla wojennej i powojennej kariery poety. Po przeczytaniu *Wierszy wybranych* Jana Bugaja (pseudonim literacki Baczyńskiego) wydanych w Warszawie w 1942 roku, Wyka zasiadał, wraz z Iwaszkiewiczem, na początku roku 1943 w jury konspiracyjnego konkursu literackiego<sup>36</sup>, które przyznało Baczyńskiemu jedną z czterech równorzędnych nagród<sup>37</sup>. W czerwcu 1943 roku opublikował w krakowskim „Miesięczniku Literackim”, w numerze szóstym i ostatnim tego konspiracyjnego pisma, słynny później *List do Jana Bugaja* – pierwszą głęboką i entuzjastyczną recenzję z poezji Baczyńskiego, ustawiającą go w rzędzie wybitnych poprzedników: Słowackiego, Norwida, Czechowicza oraz Miłosza, czym zapewnił młodemu autorowi niekwestionowane miejsce na współczesnym parnasia, a także zrekompensował mu gorycz wynikającą z niechętnego przyjęcia, jakie *Wierszom wybranym* Baczyńskiego zgotowali młodzi poeci i krytycy ze środowiska „Sztuki i Narodu”<sup>38</sup>.

Wojenne listy Andrzejewskiego do Wyki pokazują jednak, iż nie było też żadnej przesady w słowach świadków epoki, którzy zapamiętali, że to Andrzejewski jako pierwszy z uznanych twórców średniego pokolenia uczestniczących w konspiracyjnym życiu artystycznym okupowanej Warszawy rozpoznał talent Baczyńskiego<sup>39</sup>. Oto, co Andrzejewski pisał do Wyki na temat Baczyńskiego w przywołanym już uprzednio liście z 22 września 1941:

<sup>35</sup> Cytat za: Aleksandra Mianowska, *Książki pod okupacją* [w:] „Życie Literackie” 1981 nr 6. List z 11 X 1941.

<sup>36</sup> Wiesław Budzyński podaje, nie podając niestety źródła, że miało to miejsce w roku 1942 i że w jury zasiadał również Andrzejewski. Zob: *Warszawa Baczyńskiego*, *op. cit.*

<sup>37</sup> Laureatami konkursu byli również: Anna Świrszczyńska, Tadeusz Hollender i Czesław Miłosz. Świrszczyńska zapamiętała skromne przyjęcie, jakie urządziła u siebie po ogłoszeniu wyników konkursu, i na którym był obecny Baczyński. Zob: *Kartka z lat okupacji* [w:] *Żołnierz. Poeta...*, *op. cit.*

<sup>38</sup> Chodzi zwłaszcza o recenzję Andrzeja Obornickiego *O ślepych woźnicy* [w:] „Sztuka i Naród” nr 5, listopad 1942. Zob. na ten temat Zbigniew Wasilewski, *Legenda...*, *op. cit.*

<sup>39</sup> Zob. przypisy nr 1 i 2.

Zupełnie zadziwiająca u niego czystość poetyckiej wizji, samodzielne obrazowanie (...) Chłopak nad wiek swój dojrzały, chory zresztą na astmę i z płucami nie w porządku, tak wygląda i zachowuje się, jak można wyobrazić sobie, że wyglądał młody Słowacki w swoich latach wileńskich. Wielka pewność siebie, bez cienia zarozumiałości, świadomość własnych wartości, a także ogromny krytycyzm w stosunku do własnych dokonań. Myślę, że jeśli ten chłopiec będzie żył, to jego nazwisko dużo może oznaczać.

Jako że Andrzejewski, pełniąc od 1941 roku funkcję pełnomocnika Delegatury Rządu RP do opieki nad pisarzami, należał do ważnych postaci „podziemia” literackiego pod okupacją niemiecką, jego opinia musiała się liczyć, kiedy podejmowano decyzję, aby Baczyński – pierwszy z pokolenia młodych poetów – otrzymał w drugiej połowie 1941 roku<sup>40</sup> stałą, comiesięczną zapomogę ze strony Państwa Podziemnego. Jak odnotował Lesław M. Bartelski, pomoc ta przydała się poecie bardzo, gdyż „(...) ledwie wegetowali z matką, oboje nieporadni życiowo i nieobrotni”<sup>41</sup>.

Opieka Andrzejewskiego nad Baczyńskim nie ograniczała się do spraw zawodowych. Kiedy w związku z powracającymi wciąż dolegliwościami zdrowotnymi, lekarze zalecili poecie zmianę otoczenia, to dzięki wstawiennictwu Andrzejewskiego odpoczywał on wiosną 1942 roku, przed Wielkanocą „na wsi”, w majątku Anny i Jarosława Iwaskiewiczów w Podkowie Leśnej pod Warszawą.

Kiedy Andrzejewski przedstawił Baczyńskiego Iwaskiewiczowi? W artykule z 1961 roku Iwaskiewicz wspominał:

Baczyńskiego przywiózł do Stawiska Jerzy Andrzejewski. Było to chyba w Nowy Rok 1941, ale nie jestem pewien tej daty. W każdym razie wizytę tę poprzedził znaczny „hyr” pomiędzy przyczajonymi literatami, że narodził się nadzwyczajny młody poeta (...)<sup>42</sup>.

Gdyby data wskazana przez Iwaskiewicza była słuszna, jego wypowiedź stanowiłaby istotny argument na rzecz tezy, że Andrzejewski poznał Baczyńskiego już w roku 1940, o której to tezie już dziś wiemy, że była mylna. Z wypowiedzi Iwaskiewicza nie współgrało zresztą wspomnienie jego żony Anny, która w swoim dzienniku z 1947 roku napisała:

(...) teraz dziwnie jasno staje mi w pamięci sylwetka Krzysztofa, jego dość drobna postać, interesująca, pociągła twarz o pięknych, niebieskich oczach w bardzo ciemnej oprawie. (...) Pamiętam doskonale pierwszy raz, kiedy go widziałam, było

<sup>40</sup> Zbigniew Wasilewski, *Legenda...*, *op. cit.*

<sup>41</sup> *Debiut Jana Bugaja*, *op. cit.*

<sup>42</sup> Jarosław Iwaskiewicz, *Wspomnienie o Krzysztofie Baczyńskim* [w:] „Przegląd Kulturalny”, 1961 nr 32. Artykuł został przedrukowany pod tytułem *A spieszył się z pisaniem* [w:] *Żołnierz. Poeta...*, *op. cit.*

to zimą 1941 roku, może styczeń 1942. Zaszłam do naszego pokoju na Trębackiej, w którym chwilowo mieszkał Jerzy Andrzejewski; nie pamiętam, czy przyszłam po jakąś książkę, czy chciałam zostawić kartkę do Jarosława, którego nie mogłam złapać na mieście. Nie zastałam nikogo, drzwi były zamknięte, wracając w sieni spotkałam Jerzego z Krzysztofem B., którego mi przedstawił. Zainteresował mnie ze względu na wszystko, co mi o nim Jerzy opowiadał, i na jego wiersze, którymi na ogół „wszyscy” się zachwycali<sup>43</sup>.

Pisząc w 1961 roku, że Baczyński był na Stawisku na początku roku 1941, Jarosław Iwaszkiewicz popełnił lapsus: musiał mieć na myśli Nowy Rok 1942. Wskazuje na to również fakt, że w okupacyjnych dziennikach Iwaszkiewicza nazwisko Baczyńskiego pojawia się po raz pierwszy w zapisku z 20 stycznia 1942 roku. Nota dotyczy konspiracyjnego wykładu na temat polskiej poezji współczesnej, wygłoszonego przez Iwaszkiewicza na prośbę Karola Lipińskiego (1922–1944) współredaktora pisma młodzieży socjalistycznej „Płomienie” i projektu samokształceniowego Płomieniowców w prywatnym domu na Żoliborzu:

Jest tam ze dwadzieścia osób, Jerzy Andrzejewski, Krzysztof Baczyński, a reszta to młodzi koledzy i koleżanki Karola<sup>44</sup>.

W ustępie dziennika sporządzonym 4 czerwca 1942 roku, wspominając najwcześniejszy okres swojej znajomości z Baczyńskim, Iwaszkiewicz mówi:

Z początku nie bardzo go lubiłem, taki był szalenie pewny swoich wierszy. Pamiętam, jak czytał je u nas po raz pierwszy na Nowy Rok 1942, i kiedy spróbowałem mu zrobić parę uwag; jak się od razu postawił okoniem, jak bronił swoich poezji (...)<sup>45</sup>.

W tym samym zapisku Iwaszkiewicz wspomina następny, dłuższy pobyt Baczyńskiego na Stawisku:

(...) kiedy na wiosnę zamieszkał u nas parę tygodni, lecząc się na tę swoją astmę (Podkowa Leśna doskonale mu robiła na te ataki), (...) polubiłem go bardzo. Trzeba tylko do niego trafić przez tę skorupę, którą on na siebie nakłada przez młodzieńczą nieśmiałość, przez pewną szorstkość młodości.

W kwestii ilości dłuższych pobytów Baczyńskiego na Stawisku istnieje rozbieżność świadectw. W przywoływanym już wspomnieniu z 1961 roku, Iwaszkiewicz mówił:

Wyka powiada w swojej książce o Baczyńskim<sup>46</sup>, że Krzysztof był zaproszony do nas

<sup>43</sup> Anna Iwaszkiewiczowa, *Dzienniki i wspomnienia*, Czytelnik, Warszawa 2000.

<sup>44</sup> Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, Czytelnik, Warszawa 2007, tom I.

<sup>45</sup> *Ibidem*.

<sup>46</sup> Chodzi o właśnie wówczas wydany tom *Krzysztof Baczyński...*, *op. cit.* Wyka podał tam, że Baczyń-

na Wielkanoc 42 roku i że jedyne zachowane listy jego datują się z tej epoki. W tym czasie rzeczywiście Krzysztof mieszkał u nas i pisał. Między innymi piękny wiersz *Hallelujah*, mnie dedykowany. Ale nie był to jedyny pobyt na Stawisku. Poprzedniej jesieni czy też zimy przebywał u nas około miesiąca.

### Anna Iwaskiewiczowa natomiast zanotowała:

(...) pamiętam (...) jego parotygodniowy pobyt na Stawisku, którego powietrze, jak twierdził, tak dobrze działało na jego astmę. (...) Był to, zdaje się, marzec 1943 roku<sup>47</sup>.

Również Zbigniew Wasilewski podał, że Baczyński odbył na Stawisku dwa dłuższe pobyty: w marcu 1942 i 43 roku, którą to informację oparł na własnym wspomnieniu. Zapamiętał mianowicie, że kiedy wiosną 1943 roku nie zastał Baczyńskiego w domu, powiedziano mu, że poeta przebywa w domu Iwaskiewiczów<sup>48</sup>.

Świadectwem pobytu Baczyńskiego u Iwaskiewiczów na wiosnę roku 1942 są wiersze poety, przy datowaniu których odnotował, że powstały na Stawisku: *Hallelujah* (26 III 42 rok)<sup>49</sup>, *Otwarcie przemian* (27 III 42 rok), *Śnieżyca* (III 42)<sup>50</sup>, *Noc* (28 III 1942 rok). Żaden z wierszy z wiosny 1943 roku nie nosi adnotacji, że powstał w Stawisku.

\*

Niniejszy tekst jest wstępnym fragmentem pracy, w której opowiadam o dalszych losach przyjaźni Jerzego Andrzejewskiego z Krzysztofem Baczyńskim oraz o trudnej relacji, jaka nawiązała się pomiędzy Andrzejewskim i matką Baczyńskiego po śmierci poety. Całość ukaże się w książce mojego autorstwa poświęconej kilku historiom z obszarów prywatnej biografii Jerzego Andrzejewskiego. Publikację tomu Wydawnictwo Czarne planuje na rok 2015.

---

ski przebywał w Stawisku na przełomie marca i kwietnia.

<sup>47</sup> Anna Iwaskiewiczowa, *Dzienniki i wspomnienia*, op. cit.

<sup>48</sup> Wasilewski wyjaśnił to w przypisach do swojego tekstu *Taki to mroczny czas* w pierwszym wydaniu zbioru *Żołnierz, poeta...* op. cit.

<sup>49</sup> Datowanie podaję za: *Utwory zebrane*, op. cit.

<sup>50</sup> Brak daty dziennej.



PIOTR SOBOLCZYK

*Milczenie, które bywa śmiertelnym grzechem –  
i grzech, który bywa przemilczany.*  
Jerzego Andrzejewskiego *queer gothic*

W polskiej świadomości kulturalnej – bo o niej tu raczej mówić trzeba niż o jakiejś narosłej tradycji badawczej – *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego są parabolą stalinizmu oraz powieścią historyczną. Hipoteza konwencji gotyckiej w tej powieści nigdy nie została postawiona. Pragnę zaproponować zmianę *gestaltu*, niczym wymianę soczewek w aparacie okulistycznym, i zasugerować, że Andrzejewski przede wszystkim gra konwencją gotycką, a ściślej rzecz biorąc – realizuje większość chwytów *queer gothic*, które nie są w powieści luźno rozproszone, lecz ściśle ze sobą powiązane. Taka zmiana *gestaltu* nie unieważnia odczytania powieści jako paraboli stalinizmu, tylko raczej ją poszerza (rozciąga i „uniwersalizuje” – nie chodzi już tylko o stalinizm) i pozwala dostrzec przeoczany subdyskurs w tej powieści (homoerotyzm). W większym stopniu modyfikuje natomiast rozpoznanie gatunku „powieści historycznej”: gotycyzm to fantazja na temat średniowiecza, oczywiście świadoma, która gra w fingowanie „dokumentów”, „odnalezionych manuskryptów”; Andrzejewski zaś gra z gotycyzmem; innymi słowy, gry się dublują i wielokrotnie jak lustrzane odbicia; chwyt powoływania się na stare kroniki hiszpańskie jest sylleptycznie gotycki i „historyczny”, bo pisarz faktycznie się co nieco przygotował. *Ciemności kryją ziemię* wpisują się w cały nurt czy subgatunek klasycznych powieści gotyckich dotyczących katolickiego południa, Hiszpanii i Włoch, stanowiących zawsze krytykę instytucji religijnych, przede wszystkim Inkwizycji – reprezentowanych przez *Mnicha* Matthew Gregory Lewisa, *Italczyka* Anne Radcliffe, *Zofloyę* Charlotte Dacre czy *Melmotha* Charlesa Maturina.

Opiszę teraz zasadnicze figury *queer gothic*, tak jak pojawiają się u Andrzejewskiego, a pojawiają się w postaci podobnej jak w klasycznych tekstach gotycyzmu, jak i równocześnie przetworzonej („przemieszczanej”). Badacze *queer gothic* wskazują motyw ciszy, sekretności i powiązanej z nimi „paranoi gotyckiej”,

„szantażowalności” i „manipulowalności”, „nienazywalności”, które naprowadzają na możliwość przemilczanego pożądania nienormatywnego<sup>1</sup>. Choć Andrzejewski lubił w swych późniejszych dziennikowych zapisach tworzyć listy swoich ulubionych słów-kluczy, to nie figurują tam słowa z rodziny konotującej „ciszę”, wyeksponowana jest natomiast „ciemność” i inne określenia konotujące „nocną stronę istnienia”. To naprowadza na oczywisty, eksplicytny trop w powieści o inkwizycji hiszpańskiej. Jednak to grupa konotująca milczenie jest najliczniejsza. Zadałem sobie trud policzenia użyc tego słowa i oszacowałem, że pada ono w powieści sto piętnaście razy (ponadto dwadzieścia trzy użycia, które przypisuję do osobnej grupy). Teraz wdam się w odrobinę pedanterii i buchalterii, za co bardzo Wysoki Trybunał Świętego Oficjum przepraszam i liczę, że winę moją załagodzi taka *confessio*, iż prawdopodobnie gdzieś pomyliłem się w obliczeniach, jak to od dziecka mi się przydarza, mimo najlepszych chęci. Najbardziej zasadnicza obserwacja jest następująca: żadne z tych słów nie pada we fragmentach „kronikarskich”. Dlaczego? Andrzejewski kwestionuje tu status narracji historycznej jako r e l a c j i, która może posłużyć się określeniami „terror”, „strach”, ale nie przybliży się do doświadczenia ludzi epoki. Także dlatego pisarz jest w sumie powściągliwy w opisywaniu zbrodni Inkwizycji w obrębie „zbliżeń” – „fikcji”, poza kroniką, co przecież stanowiło sadystyczną *delectatio morosa* jako *specialité de la maison* klasycznych powieści gotyckich<sup>2</sup> (Andrzejewski woli wzbudzić grozę ascezą i paranoją). Wszystko to wskazuje na zasadniczą nadwyżkę w operowaniu tymi słowami, jakkolwiek część – nieliczną – użyc należy uznać za „zwykłe”, tzn. konieczne w tekście, gdzie owe słowa nie mają być wyróżnione. W grupie tej uwzględniłem derywaty słów „cisza” i „milczenie” (w tym „ścichł” i „umilkł”), a także warianty takie jak „zaniemówił”, „bezgłośnie”, „stracił mowę”, „bez słowa”, „niema” oraz bardziej skomplikowane przypadki peryfraz. „Cisza” i derywaty występują dwadzieścia trzy razy; „milczenie” i derywaty siedemdziesiąt sześć razy, w tym, co bardzo istotne, w trybie rozkazują-

<sup>1</sup> Wiąże się ono z chrześcijańskim określeniem „grzech, którego chrześcijanie nie mogą nazywać” czy *illum crimen horribile quod non nominandum est* (w obu wypadkach „homoseksualność”), także pod określeniami *passio ignominiae* (nienazywalna/wstydliva namiętność), *celantem peccatum* (ukrywany grzech), *peccatum mutum* (niemy grzech), a które następnie w modernizmie przyjmuje postać „miłości, która nie śmie wymówić swojego imienia”. Por. E. Kosofsky Sedgwick, *Toward the Gothic: Terrorism and Homosexual Panic* [w]: *Between Men. English Literature and Male Homosexual Desire*, New York 1985; ibidem, *The Coherence of Gothic Conventions*, New York 1986; B.U. Hergemöller, *Sodom and Gomorrah. On the Everyday Reality and Persecution of Homosexuals in the Middle Ages*, transl. J. Philipps, London – New York 2001, oraz mój tekst *Queer gothic – queer modernism*, w druku.

<sup>2</sup> Badacze gotycyzmu odróżniają tu podgatunki *terror* i *horror*. „Terror” straszy napięciem bez pokazywania i to samo w sobie jest tropem „niewyraźnego”, „horror” unaocznia. Lewis i Dacre reprezentują raczej „horror”, Radcliffe zalicza się do „terror”.

cym („milcz!”) dziewięć razy. Uwzględniłem tu ponadto wyrażenia: „słowa mi przez gardło nie przechodziły”; „gdyby Kościół mógł głośno i swobodnie przemówić...”; „buntownicze zamysły nie zawsze potrzebują słów”; „lecz nie rzekłszy nic...”; „Padre Acugna bezradnie rozłożył ręce” (w dialogu, w funkcji odpowiedzi); „nie bardzo zdając sobie sprawę, co pragnie tym bezgłośnym okrzykiem wyrazić”. Wyodrębniam ponadto całą drugą grupę wyrażen obniżających poziom dźwięku, niemal zawsze mowy, w rodzaju „szepem”, „głuchym głosem”, „szept cichszy od oddechu”, „niewiele głos podnosząc” itp. Krótko mówiąc, Andrzejewski kreuje stan paraliżującego strachu przed wypowiedaniem pewnych treści, paranoi i hipokryzji. Cisza unosząca się nad miastami Hiszpanii jest złowieszcza, gęsta; milczenie jako forma komunikacji – reakcją obronną („lepiej nie powiedzieć, niż uderzyć w niewłaściwą nutę”). Znamienny jest dialog między Torquemadą a Diego: „– Milczysz? Więc się zgadzasz? – O nie, panie! Milczenie nie zawsze wyraża zgodę. Zamilkłem, ponieważ nie mogłem zaprzeczyć, iż znam cię dobrze”<sup>3</sup>. Torquemada, jak widać, tj. słychać, jest przyzwyczajony, że „milczenie wyraża zgodę”. Oczywiście na najbardziej „fizycznym” planie oznacza to, że milczenie ludzi wyraża zgodę na działania Inkwizycji i tego dotyczy pierwsze „młodzieńcze” wyznanie Diego pragnienia wykrzyczenia tego braku zgody. Jednak na planie „metafizycznym” można uznać, że w większości wypadków, kiedy Torquemada „milczy” wedle zapisów narratora (a gdy już mówi to zwykle na niższych rejestrach głośności), to dzieje się to z inspiracji Szatana, czyli zgody Torquemady na jego obecność, nawet milczącą. Szatan zaś milczy wobec Torquemady, ponieważ on istotnie zgadza się na jego działania i jednocześnie zgadza się z pragnieniem Torquemady, by nie obcowali regularnie na co dzień. Jednakże Torquemada nie jest konsekwentny – i oczywiście Szatan też. Obaj są w pozycji władzy *m a n i p u l o w a n i a* ciszą i milczeniem, nadawania im znaczeń (kontekstualizowania) wedle bieżącej potrzeby. Kiedy Torquemadzie jest to potrzebne, milczenie uznaje za zgodę. W innej rozmowie z Diego jednakże niektóre wypadki milczenia uznaje za potencjalne spiski: „– Buntownicze zamysły – powiedział Torquemada w taki sposób, jakby pomyślał na głos – nie zawsze potrzebują słów”<sup>4</sup>. Błyskotliwy paradoks, jakiego Andrzejewski użył we wtrąceniu narratora, potwierdza tylko, że niemal wszystkie użycia słów doty-

<sup>3</sup> Jerzy Andrzejewski, *Ciemności kryją ziemię* [w]: *Trzy opowieści*, opr. Włodzimierz Maciąg, BN I 288, Wrocław 1998.

<sup>4</sup> *Ibidem*. W podobnym znaczeniu w zapisie z procesu: „Czy milczenie oskarżonego oznacza, że oskarżony odmawia złożenia Świątemu Trybunałowi przekonywających dowodów swojej niewinności?”. *Ibidem*.

czących milczenia i sposobu mówienia są w tej powieści doskonale przemyślane a nie „zautomatyzowanymi konstrukcjami dialogotwórczymi”. To znów pozwala czytelnikowi podejrzewać, że część „milczeń” Torquemady, kiedy, można mniemać, słucha on Szatana lub prowadzi z nim milczący dialog, jest właśnie b u n t e m. Wobec kogo? – Wobec Boga, bo przeciw niemu zbuntował się Szatan. Ale pewnie także wobec siebie, bo „dyskurs pedagogiczny” w powieści pozwala przypuszczać, że Diego powtarza drogę Torquemady („młodzieńczego idealisty” niegdyś, zapewne) i ów, rozpoznając to powtórzenie, ulega uczuciu z pogranicza pedagogiki i erotyki, a także i psychologicznym mechanizmom samouzasadniania. Z taką koncepcją milczenia jako strachu kontrastuje, a raczej współgra, ewidentnie fałszywy styl mowy, pełen afektacji, którą poniekąd dałoby się przybliżyć do manierystycznej afektacji przypisywanej *effeminati*, ale bardziej jeszcze owemu napięciu na granicy homospołeczne/homofobiczne (a w efekcie, podskórnie być może homoerotyczne), o którym pisała Kosofsky Sedgwick: afektacja ta polega na masochistycznym umniejszaniu własnej „męskości” wobec przełożonego i przesadnemu zabieganiu o łaskę „fallusa”, tzn. mężczyzn postawionych wyżej (nieprzypadkowo stale używany jest kontrast „ojcze” – „synu”<sup>5</sup>); poprzez konfesje i samooskarżenia – ratowaniu siebie, a jednocześnie wywyższaniu łaski „fallusa”. (W powieści w ogóle nie występują postaci kobiece). Teoretycznie t e m a t sekretu da się określić – i nie jest to oczywiście sodomia (wyłącznie) – tylko „herezja” – ze względu jednak na manipulowalność i paranoję nie da się go jednak określić, ponieważ nie sposób przewidzieć, co zostanie wykorzystane (manipulowalność, szantażowalność) do oskarżenia. Sodomia także może być wykorzystana, choć nie ma o tym wprost mowy w tekście, co jest już m e t a p r z e m i l c z e n i e m. Historycznie biorąc, procesy inkwizycyjne sodomitów właśnie w Hiszpanii odbywały się pod zarzutem herezji (sodomie traktowano jako herezję)<sup>6</sup>. Istotne jednak jest nie to, czy „tak naprawdę”

<sup>5</sup> O afektowanej retoryce w kontekście homoerotyzmu u kleru średniowiecznego wspominał John Boswell. Podaje on jako przykład wiersz Alkuina skierowany do starszego mężczyzny. Wybieram z niego następujący dwuwiers: „Kochający ojcze, który zawsze liże twoje serce / Lub który łzami obmywa, ukochany, twoją pierś”. (*Quo minus, alme pater, semper ty viscera lingat, / Vel lacrimis lavet pectus, mate, tuum*). Badacz komentuje to następująco: „Alkuin w swojej poezji używa określeń »ukochany«, »najmilszy syn«, »kochanie« itd. razem z określeniami »ojciec«, »syn« itd. Ten związek przypominający relacje ojcowsko-synowskie i miłosne, w którym Alkuin czasami jest ojcem, czasami synem, jest dla namiętnych przyjaźni duchwonych typowy”. *Ibidem, Chrześcijaństwo, tolerancja społeczna i homoseksualność. Geje i lesbijki w Europie Zachodniej od początku ery chrześcijańskiej do XIV wieku*, przełożył J. Krzyszpień, Kraków 2006.

<sup>6</sup> A. Bray, *Homosexuality and the Signs of Male Freindship in Elisabethan England*, „History Workshop. A Journal of Socialist and Feminist Historians” 1990 nr 29. Jednak już po rządach Torquemady rozpoczęły się procesy sodomitów w Królestwie Hiszpanii od głośnej sprawy Don Sancho de la Caballería, *converso*, którego w 1524 roku oskarżono także o sodomię (proces ciągnął się do 1531

chodziło o „sodomię”, tylko o to, że o nią również mogło chodzić. To jest właściwie uwaga do całej powieści i mojej jej interpretacji. Z dyskursem tym wiąże się dyskurs o „byciu sobą” i „prawdziwej naturze” oraz, ostatecznie, w postaci Miguela de Lara: „nie uważam się za człowieka uprzywilejowanego. Po prostu jedni ludzie żyją zgodnie ze swymi upodobaniami, inni wbrew nim”<sup>7</sup>. Do tego dyskursu zaliczyć należy także retoryczne rozróżnienie Szatana „zjawienia się” od „ujawnienia się” (jego przy Torquemadzie), o tyle istotne, że po okresie latencji, czyli, oczywiście „milczenia” i „ciszy”, wielokrotnie w tej wypowiedzi podkreślonych. Szatan w Torquemadzie milczy, a Torquemada milczy ażeby, by tak rzec, „nie wywoływać wilka z lasu” i nie służyć jemu, w konsekwencji jednak wywołują „wielkie milczenie”, które nie powoduje, że szatańskie działanie zanika, przeciwnie, rozprzestrzenia się niczym zarazki.

To właśnie Torquemada i Szatan stanowią główną parę sobowtórów i dobrze osadzoną w konwencji gotyckiej. Konwencja przedstawiania Szatana w klasycznych powieściach gotyckich przybrała z grubsza rzecz biorąc dwa kształty. Pierwszy – to wariant np. *Mnicha Lewisa i Zofloyi Dacre* – unaocznia jego obraz, choć albo nie od razu, albo Szatan obecny i widoczny jest od początku, tylko nierozpoznawany jako taki. W *Mnichu* Szatan jest obecny „w powietrzu” przez cały czas za sprawą Matyldy, która jest jednym z diabłów ze świty Szatana, przybierającego postać pięknej młódki, która przebiera się za mnicha Rosaria, aby w ten sposób uwieść Ambrozja. Samego Szatana trzeba jednak przywołać przy użyciu magii. Pojawia się on jako piękny młodzieniec<sup>8</sup>. W tym wypadku Szatan nie jest sobowtorem Ambrozja, czytelny jest natomiast kontekst homoerotyczny – najwyraźniej Szatan wie, kiedy Ambrozjowi podsuwać piękną dziewczynę jako chłopca, i kiedy samemu przybierać kształt efeba, aby związać go ze sobą. W *Zofloyi* główna bohaterka Victoria późno orientuje

---

roku i zakończył wyrokiem śmierci, wspartym oficjalnymi dekretemi papieżstwa i królewskimi, że Inkwizycja powinna ścigać sodomię); szczyt „sodomickiej nagonki” przypadł na lata 1571–1579, kiedy to Inkwizycja w Saragossie skazała na śmierć co najmniej 36 sodomitów. Por. B.S. Schlager, *Inquisition* [hasło w:] *Reader's Guide to Lesbian and Gay Studies*, ed. T.F. Murphy, Chicago 2000. Autor zwraca też uwagę, co nie bez znaczenia, na kontekst procesu templariuszy, w który Inkwizycja była zaangażowana tylko częściowo, ale w trakcie którego doszło do udokumentowanego wyrażenia powszechnego w owych czasach przekonania, że kraje muzułmańskie sodomią stoją, a rycerze, którzy uczestniczyli w krucjatach byli szczególnie podejrzani o ulegnięcie tym kuszącym obyczajom – jest to oczywisty kontekst dla wątku arabskiego w *Ciemnościach...*, a jeszcze bardziej dla *Bram raj*.

<sup>7</sup> *Ibidem*.

<sup>8</sup> M. G. Lewis, *Mnich. Romans*, przeł. Zofia Sinko, Warszawa 1997.

się, że tytułowy Arab Zofloya jest Szatanem (czytelnik rozumie to już wcześniej)<sup>9</sup>. Co znamienne, choć Zofloya jest wyraźnie atrakcyjny seksualnie, to Victoria długo tego nie dostrzega, tak jakby to było wyparcie – Zofloya zaś bawi się dyskursem „będziesz moja” i „twoje serce jest moje”, ukrywając w ten sposób cyrograf pod postacią miłosnej gry. Andrzejewski rezygnuje z tak malowniczych scen, chcąc uniknąć pastiszu i ironii, wybiera poetykę ascetyczną i m.in. stąd także dowartościowanie fonosfery. Zarazem relacje na temat życia historycznego Torquemady podkreślają jego skłonności ascetyczne. Akt uwiedzenia Torquemady zostaje pozostawiony czytelniczej domyślności, poza sceną powieści – Torquemada od czasu do czasu „mówi sam do siebie”, jakby rozmawiał z kimś dawno znanym; dopiero w finale powieści – to już jest akurat zgodne z konwencją gotycką – czytelnik słyszy głos Szatana. Nie jest jasne, czy Torquemada zawsze, a także w tej scenie, tylko słyszał Szatana, czy też go widywał. Narrator w finalnej rozmowie powiada: „w pobliżu nie było nikogo, mimo to nie był sam. Otworzył oczy. Ciemność ogarniała go zewsząd”. Dalej zaś: „odparł na to spokojnie głos w ciemnościach”, a nawet: „odpowiedziały ciemności”<sup>10</sup>. Jest natomiast pewne, że żaden inny bohater nie widział ani nie słyszał głosu Szatana jako bytu odrębnego od Torquemady. Aby lepiej zrozumieć subiektywizację percepcji bytu ponadzmysłowego w połączeniu z motywem sobowtóra – i jego homoerotycznym potencjałem – sięgnę do powieści gotyckiej reprezentującej inną niż u Lewisa i Dacre konwencję przedstawiania Szatana, mianowicie do klasycznego, założycielskiego niemal tekstu dla dyskursu sobowtórowego (choć powszechniej znane jest opowiadanie Stevenson), *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika* Jamesa Hogg’a. Dzięki nowatorskiemu zabiegowi zestawienia dwóch narracji reprezentujących dwie perspektywy, czytelnik może spojrzeć na niektóre ze zdarzeń oczyma raz narratora rekonstruującego historię na podstawie jakiegoś znalezionej dokumentu (znany chwyt gotycystyczny), raz na podstawie samych zapisków „złego bohatera”, Roberta. W pierwszym wariantcie sobowtórową parę stanowią dwaj bracia z różnych ojców, dobry George i zły Robert, który George’a śledzi, przedrzeźnia, wyzłośliwia się, a także próbuje zabić w scenie w górach. Jednakże ich sobowtórowość jest pozorna, pomimo że Robert jakimś „szóstym zmysłem” przewiduje kroki George’a. Dopiero z drugiej relacji, pamiętników samego Roberta, dowiadujemy się, że George nie miał sobowtóra, miał go Robert – Szatana. Jego postrzegalność jest jednak dość

<sup>9</sup> Charlotte Dacre, *Zofloya, or the Moor*, Oxford 2008.

<sup>10</sup> *Ibidem*.

skomplikowana, ponieważ na ogół w pierwszej, „zobiektywizowanej” relacji inni bohaterowie, w tym George, go nie widzieli – w scenie w górach George widzi na chmurze zmagnifikowany obraz ohydnej twarzy Roberta, którą bierze za demona, jednak przy próbie ucieczki zderza się z fizycznym Robertem i nikogo innego nie widzi; w relacji Roberta z tego samego zdarzenia Szatan pod postacią fizycznej osoby, którą nazywa on Gil-Martin, uczestniczy w napaści na George’a w górach. Jednakże w innych momentach, szczególnie scenie zabójstwa George’a, Szatan-Gil-Martin jest widoczny także dla innych bohaterów oraz George’a. Niekiedy występuje on pod postacią inną niż Robert, niekiedy tą samą, co jest już fazą „sobowtórności”, którą należy nazwać opętaniem. To Robert jest ogniskiem quasi-erotycznych relacji zarówno z Georgem, jak i z Gil-Martinem; innymi słowy, ilekroć pojawia się dyskurs sobowtórówy – nawet „mylny” – pojawiają się erotyczne napięcia. Analogia z powieścią Andrzejewskiego jest uderzająca. „Nikt” nie słyszy Szatana – a słyszą go wszyscy, bo słyszą Torquemadę; nie słyszą natomiast jego zwątpień, dochodzących do głosu w rozmowie z sobowtórem. Tak jak Robert i Gil-Martin, Torquemada i Szatan raz są sobowtórami, a raz jest to opętanie (Szatan jest w Torquemadzie) i, jak u Hogga, decyduje o tym narrator, ukazując „zobiektywizowaną” percepcję jako „opętanie”, to znów „zsubiektywizowaną” jako „rozbitcie wewnętrzne” lub „sobowtóra”. Podobnie jak u Hogga jest wszakże scena, w której bohater (Diego) widzi – a w każdym razie rozpoznaje (chyba raczej „szóstym zmysłem” niż „wzrokiem”, choć tak podpowiada narrator) – Szatana w Torquemadzie, przy czym, co bardzo istotne, nie wie, że właśnie ze słynnym Wielkim Inkwizytorem ma do czynienia. Dla Torquemady wyznanie Diega (że ów czuje, jakby znał Torquemadę od lat) stanowi znak, że Diego również został „naznaczony” czy „wybrany”<sup>11</sup>, że Szatan – jak zakłada – również i jemu towarzyszy jako, być może nierozpoznany jeszcze, sobowtór. A tym samym jeśli obaj są sobowtórami Szatana, czy on – ich sobowtórem, to są „jednym”, które w pewnej mierze, jak wszelkie pary sobowtórówy, jest homoerotyczne. O tym, że Diego rozpoznał Szatana dowiadujemy się, gdy relacjonuje swoją przygodę Mateo: „– Widziałeś go? – O kim myślisz? Widziałem diabła. – Diego! – Zwyciężył mnie tym razem. Modliłem się z nim”<sup>12</sup>. Istnieje pewna szansa, że Diego, choć wiedział, jak Torquemada wygląda, nie rozpoznał go nie dlatego, że w kościele było ciemno, tyl-

<sup>11</sup> U Andrzejewskiego – inaczej niż w dyskutującego z kalwińską doktryną predestynacji Hogga – kwestia, czy ludzie rodzą się już wybrani przez Szatana czy jako dzieci zostają przezeń wybrani do opętania (jak wskazują słowa Diego), pozostaje metafizyczną zagadką.

<sup>12</sup> *Ibidem*.



ko dlatego, że w i d z i a ł kogoś innego (tak jak u Hogga), ale równie dobrze można uznać, że widział niewyraźnie twarz Torquemady, a w y c z u ł Szatana. Być może prawdziwą enigmą powieści Andrzejewskiego jest nie opętanie Torquemady, bo scena długiej rozmowy między nim a Szatanem poświadcza to *explicite*, ale doskonale ukryte (przez narratora) opętanie Diega. Oto tuż przed śmiercią, gdy Torquemada zaprzecza wszystkiemu, co głosił i ku czemu przysposobił Diego – a może Szatan w nim, posługując się jak marionetką – ów powtarza trzykrotnie (też pewnie nie przypadkiem tyle razy, trzy to liczba zaklęć) „milcz” i Torquemada widzi, niemal jak George na chmurze, znaną sobie twarz zniekształconą tak, że obca: „Torquemada zwrócił ku niemu wzrok. Ujrzał wówczas twarz obcego człowieka, bladą i nadmiernie ogromną, zniekształconą strachem i złością. Na ustach poczuł gorący oddech. Rozumiejąc, że znalazł się w rękach nieznanego wroga, chciał wołać o pomoc, lecz zdołał tylko szepnąć: – Diego!”<sup>13</sup>. Po pierwsze więc być może Torquemada w i d z i Szatana, a podkreślenie, że „zwraca wzrok” jest bardzo istotne, bo jak dotąd go słuchał, być może unikał patrzenia, choć i słuchania unikać się starał. Jeśli jednak tak właśnie, to „nieznany wróg” sugerowałby, że albo „każdy ma swojego Szatana” – Szatan dobiera formy, postaci i języki do konkretnych indywiduów – i ta jego postać, która posługuje się Diego, jest straszliwsza, bo dla Torquemady „nieoswojona”. Innymi słowy, Torquemada mógł się karmić złudzeniem, że w jakiś sposób kontroluje Szatana, gra z nim – a Szatan w tym przekonaniu go utwierdzał (uprzejmie zgadzając się milczeć przez lata itd.) – i w finalnej *anagnorisis* odkrywa, że sam był igraszką w jego ręku. U Lewisa Szatan pojawia się w więzieniu Inkwizycji, do którego Ambrozja wepchnęły działania podjęte z jego podjuszczenia, ale po to, by go „uratować” – co w istocie jest trickiem, bo obiecując mu ucieczkę od tortur, wymusza cyrograf; związek Szatana z Inkwizycją jest jednak na tyle luźny w powieści, że nie sposób uznać ją za przejaw diabelskiej siły<sup>14</sup>. Na-

<sup>13</sup> *Ibidem*. Por.: „Ujrzał zarysowane na chmurze ramiona, ręce i rysy najstraszliwszej ludzkiej postaci. Twarz była twarzą jego brata, ale powiększoną dwudziestokrotnie. Oczy jarzyły się ku niemu poprzez mgłę, a każda zmarszczka ohydneho czoła była głęboka jak jary wcinające się we wzgórze. (...) a jednak w tych nieludzkich rysach krył się też lęk i przerażenie równie wyraźne jak mordercza nienawiść. (...) George uznał, że to musi być duch. Nie mógł wziąć zjawy za nic innego jak za potwornego demona, który go nawiedza, demona, który przybrał rysy jego brata w każdym szczególe, lecz biorąc na siebie ludzką postać pomylił się straszliwie obliczeniach i stanął teraz przed nim w rozdętym, rozszerzonym kształcie obleczonego w ciało powietrza, wydzielanego z jaskiń śmierci czy też rejonów ziejących ogniem zagłady”. J. Hogg, *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika*, przełożyła A. Przedpełska-Trzeciakowska, Warszawa 1969. Oczywiście Andrzejewski jest oszczędniejszy (ascetyczniejszy), ale rozpoznajemy te same motywy – magnifikacja, demonizm, *un-heimliche* (znane-nieznane), a także strach pomieszany ze złością na „twarzy”.

<sup>14</sup> Niezmiennie jednak w konwencji gotyckiej, jak twierdzi badacz *queer gothic*, Inkwizycja kojarzy się z sado-masochistyczną rozkoszą. (To jednak skrót myślowy. Sądzę, że chodzi o sadystyczną



tomiast u Radcliffe, piszącej *Italczyka*, krytyka właściwie wszystkich instytucji Kościoła obejmuje także pogląd, że Inkwizycja jest dziełem Szatana. W większości wypadków wypowiedzi te włożone są w usta Paola, wiernego (i nieomal zakochanego w nim) sługi Vincentia. Ponieważ tak pięknie spisałem się, licząc „milczenia” u Andrzejewskiego, policzę również, ile razy zrównanie Inkwizycji z diabelstwem pada u Radcliffe. (Od dziecka wydawało mi się, że arytmetykę wymyślił Szatan, a późniejsza lektura Blake’a utwierdziła mnie w tym). Otóż wychodzi mi, że sześć, a to, jak wiadomo, liczba Bestii. „Żądam, aby mnie wysłano razem z nim [Vincentiem – przypis mój, P.S.] do Inkwizycji albo do samego diabła, choć to na jedno wychodzi”<sup>15</sup>, krzyczy Paolo. Gdy Vincentio błaga, by Paolo zamilkł, aby jego słowa nie ściągnęły na nich jeszcze większych tarapatów – bardzo w duchu *Ciemności kryją ziemię*, że pozwolę sobie na taką *metalepsis* – ów obiecuje: „Tak, signor, nawet jeżeli... jeżeli każesz mi klęknąć u stóp tego diabelskiego inkwizytora”<sup>16</sup>. Andrzejewski, jak twierdzą, kondensuje oba te motywy, Lewisowski i Radcliffiański, w jeden, amalgamatycznie nakładając na to również dyskurs sobowtórów.

W omówionym właśnie przypadku dyskurs sobowtórów niewątpliwie dotyczy pary Torquemada i Szatan, w sposób latentny czy domyślny tworzy parę Diego–Szatan, zaś Torquemada i Diego tworzą parę, choć jej „sobowtórność” nie jest pewna; we wszystkich jednak wypadkach uruchamia to subdyskurs hoerotyczny. *Ciemności*... w ogóle opierają się na męsko-męskich parach (dwójkach), jeśli uznać, że „trójkąt” Torquemada–Szatan–Diego jest pozorny (ze względu na „podwójną sobowtórność”), w przeciwieństwie do późniejszych *Bram raju*, które w całości bez mała oparte są na relacjach trójkątnych, raczej typu Girardowskiego niż Edypalnego, z tym że *squeerowanych*. Jednakże „dwójki” w gotyckich *Ciemnościach*... nie są wyizolowane, tylko tworzą trajektorie me-

---

przyjemność Inkwizytorów [oraz być może piszących], większość poddawanych torturom nie osiąga tu masochistycznej delektacji). Por.: *The religio-political institutionalization of sadomasochistic pleasure within the prisons of the Inquisition was a regular feature in the gothic fiction from „The Monk” to „Melmoth the Wanderer” (1820) and beyond. (...) The Inquisition is a useful trope for religio-political violence (...)*. George Haggerty, *The Horrors of Catholicism. Religion and Sexuality in Gothic Fiction* [w:] *Queer Gothic*, Urbana – Chicago 2006. Do owego „beyond” dorzucmy szczególnie ironiczno-sadystyczne opowiadania *Tortura nadziei* i *Kochankowie z Toledo* F.A. Villiers de l’Isle-Adama z lat osiemdziesiątych XIX wieku. Francuski dekadentyzm z rozkoszą przyswoił sobie angielski gotyctw. Haggerty wskazywał dalej, że sceny tortur inkwizycyjnych stwarzały pisarzom rzadką okazję do „usprawiedliwionego” opisu nagiego ciała męskiego. U Andrzejewskiego poetyka ascezy pozbawiła nas tej rozkoszy (niestety).

<sup>15</sup> A. Radcliffe, *Italczyk albo Konfesjonal Czarnych Pokutników*, przełożyła M. Przymanowska, Kraków 2003, Por. też jego eksklamację.

<sup>16</sup> *Ibidem*.

taforyczno-metonymiczne, pozwolę tak sobie je określić, przez co rozumiem, że albo stykają się ze sobą na zasadzie przyległości, albo tworzą paralele. Mianowicie: para Mateo–Diego metonymicznie przechodzi w parę Diego–Torquemada; jednocześnie metaforycznie, tj. równolegle, tylko na drugim planie, Rodrigo zostaje oddzielony od Lorenzo (tak jak Diego od Mateo), ponieważ awansuje i jest bliżej Torquemady (choć nie tworzy z nim wyraźnej pary, ponieważ jest na drugim planie, a także dlatego, że reprezentuje stan rycerski – i dlatego też nie jest to „trójkąt”); tu następuje skrzyżowanie – Diego zdradza (tj. donosi na) Mateo, a niewiele później równolegle Lorenzo donosi na Rodrigo, ów zostaje wyeliminowany, a Lorenzo wraz z Diego metonymicznie przechodzi do tworzenia quasi-pary najbliższych współpracowników Torquemady, choć Lorenzo jest wyraźnie na drugim planie w porównaniu z Diego (bo też nie jest mnichem) i ta akurat para zupełnie nie jest „erotyczna”. Być może również śmierć Torquemady, czy jego umieranie, jest procesem metonymicznego przejścia Szatana z umierającego w nowego Wielkiego Inkwizytora (to zaś zależy od tego, czy uznamy, że Diego był „wybrany” jako dziecko, co jest bardzo prawdopodobne, acz nie stuprocentowo pewne). Omówione tu „dwójki” nie są sobowótrowe, ale w większości wypadków można odczytać w nich ślady dyskursu homoerotycznego. George Haggerty twierdzi, że w konwencji gotyckiej oraz szerzej w XVIII-wiecznej Anglii klasztory postrzegano jako miejsca, gdzie mogą kwitnąć męsko-męskie relacje erotyczne, a szczególnym „znakiem rozpoznawczym” takiego pożądania była informacja, że między dwoma mnichami występuje różnica wieku: „*Throughout the eighteenth century it was a commonplace that sodomy was imported from Italy and France, if not from more exotic locales, and often monasteries and convents were seen as locales where same-sex desire could flourish*”<sup>17</sup>. Oraz: „*the particular configuration of two men of different ages in a monastery occupies a different place in the eighteenth-century cultural imagination from any other configuration of men. More is allowed, more is even assumed, than otherwise would be even possible*”<sup>18</sup>. Niewątpliwie do tych toposów nawiązywał Umberto Eco, pisząc swoje gotyckie *Imię róży*; dałbym się jednak zamknąć na jedną noc w więzieniu Inkwizycji, że nawiązywał również do *Ciemności kryją ziemię*. Owe literackie i potoczne wyobrażenia XVIII-wieczne uzyskały jednakże później potwierdzenie w badaniach historycznych. W *Liber Gomorrhianus* święty Piotr Damiani, jak pisze John Boswell, „skarżył się gorzko na powszechną praktykę spowiadania

<sup>17</sup> George Haggerty, *The Horrors of Catholicism*, *op. cit.*

<sup>18</sup> *Ibidem*. Badacz wspomina o tym w związku z *Mnichem* i parą Ambrozjo–Rosario.

się księży gejów między sobą w celu uniknięcia wykrycia oraz otrzymania łagodniejszych pokut. Twierdził też, że doradcy duchowi powszechnie mieli stosunki seksualne z powierzonymi ich opiece. Okoliczność taka przypuszczalnie sprawiałaby, że spowiedź dla otrzymującego porady byłaby znacznie mniej krępująca. Dwa wieki później dokładnie tę samą praktykę opisuje Cezary z Heisterbach<sup>19</sup>. To dość istotna informacja interpretacyjna dla powieści Andrzejewskiego. Diego i Mateo nie spowiadają się wprawdzie przed sobą, ale zwierają się sobie, „spowiadają” metaforycznie, z najszybszych myśli. Literatura wczesnośredniowieczna rozwijała temat „namiętnej przyjaźni” między mężczyznami, która miała nie sprzeciwiać się idei celibatu. Różnica wieku między Torquemadą a Diego to kwestia oczywista, ale narrator podkreśla ją także w wypadku pozostałych par, choć w tych układach jest ona znacznie mniejsza. Mimo to w obu wypadkach starszy partner (Mateo i Rodrigo) przyjmuje rolę opiekunczą wobec młodszego (Diego i Lorenzo). Para Rodrigo–Lorenzo nie reprezentuje co prawda kleru, ale historycy seksualności średniowiecznej opisywali także sado-mę wśród rycerstwa. O wieku Rodrigo nie ma mowy, podkreślana jest natomiast młodość Lorenzo, stąd można wnosić, że Rodrigo jest starszy. Paralelne są rozmowy, w których dochodzi do wyznania czy nazwania uczuć („połowiczne konfidencje”, wedle słynnej formuły Gombrowicza), wyznania te czynią partnerzy starsi. Mateo: „Kochałem cię za piękno twego sumienia jak nikogo na świecie. – Cemu mówisz: kochałem?”<sup>20</sup>. Rodrigo niejako krąży wokół tematu, powtarzając co jakiś czas wyznania i mieszając je z informacją, że ich relacja od tej pory ulega zmianie (co dla współczesnego ucha brzmi jak „wymuszone zerwanie”): „Słuchaj, Lorenzo, jesteś mi zawsze miły i takim, mam nadzieję, pozostaniesz, musisz jednak wiedzieć, że od dzisiaj przestałem być dla ciebie Rodrigiem”<sup>21</sup>; Lorenzo odbiera zachowanie przyjaciela jak sadyistyczne dręczenie (ale w miłosnym sensie „sadyistyczne”, tj. „ranię cię, bo cię kocham”) i powiada: „Co ja ci zrobiłem, Rodrigo? Kochałem cię jak brata. – Zostaw te dzieciństwa”<sup>22</sup>; po czym walczący ze sobą, rozdarty wewnątrz Rodrigo dokonuje wyznania: „Jesteś młody, jesteś piękny, w twoich oczach, jak w zwierciadle, odbija się czystość twojej duszy, ale wiedz, że chociaż cię bardzo kocham, w i e c e j m o ż e n a w e t n i ż p r z y p u s z c z a s z, to przecież, gdybym dostrzegł w tobie choć cień występ-

<sup>19</sup> Boswell, *op. cit.*

<sup>20</sup> *Ibidem.* Narrator podpowiada, że przez dłuższy czas trwania tej rozmowy bracia mieli zbliżone ręce czy trzymali się za nie, ale krótko przed wyznaniem miłości Diego swoją cofnął.

<sup>21</sup> *Ibidem.*

<sup>22</sup> *Ibidem.*

nej myśli, jedną bodaj płamę na twojej wierze i wierności, ja pierwszy uczynię wszystko, żeby cię zniszczyć, jak się niszczy wroga. Strzeż się mnie!”<sup>23</sup>. Trudno jednoznacznie określić na tej podstawie, co dokładnie było między mężczyznami, pewne jest natomiast, iż jest to energia libidynalna. Która zostaje obrócona w gotycką homofobiczną szantażowalność.

Zamek panów de Lara w Starej Kastylii pełni w powieści funkcję złożonego konceptu. Jednym z nakładających się na inne znaczeń jest trop zakazanego pożądania, kodowanego w dyskursie rasowym. Jest to chwyt znany z powieści gotyckich, dokładnie tak czyni William Beckford, wpisując swoją homoerotyczno-pedofilską fantazję seksualną w wymaginowany świat kalifatu Watheka, czy Dacre, kreująca postać „seksualnego, niebezpiecznego” Maura-Szatana Zofloyi. Przede wszystkim prawo *limpieza de sangre* przywołane w powieści Andrzejewskiego zostaje zdefiniowane jako „świadectwo czystości krwi, wolne (...) od jakichkolwiek domieszek żydowskich lub maurytańskich”<sup>24</sup>. Jednak wszystkie przypadki śledzone przez Inkwizycję, w tym – co bardzo znaczące – donos Lorenzo na Rodrigo, „heteroseksualizujący” go niejako, ale plamiący krew – dotyczą *judaizantes*. To podkreśla status mniejszościowy i szczególne naznaczenie motywu mauretańskiego, choć sama mniejszościowość jest tropem bardzo ogólnym; jeśli jednak uwzględnić tradycję kulturową judaizmu, bardzo surowego względem zachowań homogenitalnych, zestawiając ją z tradycją kulturową arabską, w tym mozarabską, gdzie procent poezji homoerotycznej przewyższa chyba ten w liryce rzymskiej (a nawet „rzymski” Marcjalis pochodził przecież z ziem hiszpańskich) – to naznaczenie takie staje się mniej przypadkowe. Miguel de Lara prawdopodobnie pochodzi z rodziny mieszanej, jego *sangre* nie jest więc *limpia*; chroni się on przed światem w swoim zamku, choć gdy nawiedza go orszak Inkwizycji, nie kryje się ze swoim gustem. A ten, zarówno w architekturze wnętrza, jak i w stroju, stanowi kombinację manieryzmu, dekadentyzmu i „zachodniej fantazji orientalistycznej”, której bodaj pierwszymi owocami były powieści gotyckie (przede wszystkim *Wathek* – inspiracja dla Byrona, ten zaś „zaraził” orientalizmem europejski romantyzm), wpływając następnie na dojrzały dekadentyzm, choćby na manierystyczny dom diuka des Esseintes u Huysmansa. *Dress code* Miguela de Lara konweniuje z jego „wewnętrzzną niezależnością”, którą omawiałem też wyżej jako przejaw dyskursu „bycia sobą”: „Był bez zbroi, miał na sobie luźny, obszer-

<sup>23</sup> *Ibidem*. Podkreślenie moje – P.S.

<sup>24</sup> *Ibidem*.

nie przy szyi wycięty, czerwony kaftan oraz jasnoniebieskie, według mody arabskiej skrojone spodnie. Zarówno tym ubiorem, jak smagłością cery i wykresem ciemnych, gorących oczu bardziej przypominał niewiernego Maura niż kastylijskiego rycerza”.<sup>25</sup> Choć nie wszystkie szczegóły się zgadzają, pan de Lara na innym planie reprezentuje figurę „bikiniarza” (czerwony był ich ulubionym kolorem). Jak podkreślano w licznych wypowiedziach w filmie dokumentalnym *Political dress* (pol. *Moda w czasach PRL-u*, 2011), w PRL-u osoby ubierające się inaczej niż większość często szturchano, przygadywano im, opluwano i naznaczano społecznie na różne sposoby, „bikiniarze” zaś byli pierwszą tak wyraźną grupą, subkulturą. Interiory zamku de Lara zdają się echem – ale „echem odkampanowanym” – pięciu pałaców Watheka (każdy dedykowany innemu zmysłowi)<sup>26</sup>. Andrzejewski: „Wszystko tutaj zaprzeczało rycerskiej powadze i surowości. Droгоценne dywany zaścieniały posadzkę, starożytnie mury rozjaśnione były kolorowymi mozaikami, niskie i szerokie łóżka zajmowało wbrew dobrym obyczajom nadmiernie dużo miejsca, a na wprost kominka sofa, zarzucona wzorzystą materią i pełna miękkich poduszek, otaczała półkolem okrągły, bogato inkrustowany stół. Wschód unosił się nawet w powietrzu przesyconym zapachem różanego olejku”<sup>27</sup>. To co „wyparte” i „mniejszościowe”, a tym samym na ogół „zakazane”, musi w gotycyzmie być kodowane figurami obcości. I Andrzejewski jest temu przepisowi wierny. Homoerotyzm w *Watheku* występuje jawnie i pod wieloma postaciami – np. gdy w zamian za szczęście doczesne Giaur żąda ofiary krwi z pięćdziesięciu chłopców, Wathek osobiście dobiera najładniejszych, przystrojonych „we wszystko co tylko mogło uwydatnić ich urodę i ta wspaniała młodzież ścigała wszystkie oczy i serca wszystkie”<sup>28</sup>, właśnie wszystkie, gdy „dzieci” (chłopcy) ganiają się i dają sobie tysiące całusów, ukazuje się przepaść, w której czyha już rozdziawiona gęba Hindusa, Wathek każe chłopcom się przygotować – „Pięćdziesięciu chłopców rozbiera się w pośpiechu; podziw wzbudzają giętkość i wdzięczne zarysy ich delikatnych członków”<sup>29</sup>, następnie zaś Wathek każdemu daje jakiś klejnot i część swojej garderoby aż sam zostaje nagi, a sukcesywnie wtrąca ich do przepaści, skąd dobywają się pomruki „jeszcze, jeszcze”. Cytowany już Boswell poświęcił kulturze mozarabskiej osobną książkę oraz kilka stron w pracy przetłumaczonej także na polski: „w miastach Hiszpanii kwitło życie gejow-

---

<sup>25</sup> *Ibidem*.

<sup>26</sup> W. Beckford, *Wathek. Opowieść arabska*, przełożyła Anna Jasińska, Kraków 1975.

<sup>27</sup> *Ibidem*.

<sup>28</sup> *Ibidem*.

<sup>29</sup> *Ibidem*.

skie. Do pewnego stopnia można to przypisać nastawieniu kultury islamskiej w ogóle<sup>30</sup>. Większość wczesnośredniowiecznej (Arabowie podbili Półwysep Iberyjski w VIII wieku) poezji mozarabskiej czy „hispanoarabskiej” jest homoerotyczna, królowie żyli z chłopcami na dworze (np. w XI wieku al-Mu’tamid ze swoim paziem i poetą Ibn’Amarem). Literatura mozarabska wpłynęła (homoerotycznie; formalnie zresztą też) na poezję żydowską powstającą w Hiszpanii (Jehuda Halevi, Moše ibn Ezra, Abraham ibn Ezra i inni). Sądzę, że w omawianym fragmencie Andrzejewski zamierzył jeszcze inną rzecz niż sygnalizowanie styku orient-homoseksualność, zupełnie współczesną, zresztą bynajmniej niesprzecznie ze wszystkim, co dotychczas powiedziałem. Mianowicie, podejmuje dialog – na ogół niepolemiczny zresztą – ze *Zniewolonym umysłem* Czesława Miłosza, ale (poza jednym miejscem, które za chwilę wskażę) nie z rozdziałem o Alfie, czyli sobie, a przede wszystkim z rozdziałem *Ketman*. Zamek Miguela de Lara i sama jego postać to ilustracja wybranych tez Miłosza. „Ketman estetyczny” jak każdy Ketman polega na interioryzacji, w tym wypadku projektowanej na własny dom: „[Człowiek o dobrym smaku] zmienia się całkowicie w czterech ścianach swego domu. Można tam znaleźć (jeśli ma się do czynienia z dobrze sytuowanym intelektualistą) reprodukcje dzieł sztuki potępionej oficjalnie jako burżuazyjna, płyty z muzyką i bogaty zbiór książek dawnych autorów w różnych językach. (...) wartość odosobnienia w społeczeństwie, gdzie poza tym nie ma możliwości odosobnienia, jest większa niż mogłoby to wyrazić zdanie »my home is my castle«<sup>31</sup>. Miłosz napomyka też o polityczności stroju: „Również sposób bycia, ton głosu, zamiłowanie do takich a nie innych krawatów są interpretowane jako oznaka skłonności politycznych<sup>32</sup>. Tonem głosu w *Ciemnościach*... zajmowałem się już obszernie, dodam tylko, że zasadą Ketmanu wedle interpretacji Miłosza jest – wszechobecne w powieści Alfego – milczenie: „Należy więc milczeć o swoich prawdziwych przekonaniach, jeżeli to możliwe<sup>33</sup>. Przede wszystkim samo pojęcie Ketmanu pochodzi ze świata islamu, Miłosz przywołuje Persję. Arabski ślad u Andrzejewskiego skrótkowo przywołuje więc analizę Miłosza i pozwala w *Zniewolonym umyśle* widzieć źródło inspiracji dla szeregu chwytów i decyzji artystycznych, które ukształtowały *Ciemności kryją ziemię*. Ale w jednym miejscu, jak sądzą, Alfa zwraca uwagę My, że pojęcie Ketmanu nie musi odnosić się wyłącznie do obecnych czasów, stalinizmu, i że nim My dokonał błyskotliwej adaptacji tego pojęcia, Alfa opisał

<sup>30</sup> Boswell, *op. cit.*

<sup>31</sup> Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*, Kraków 1989.

<sup>32</sup> *Ibidem.*

<sup>33</sup> *Ibidem.*

je w realiach wojennych – „Ketmanu rasowego”, by tak rzec, mianowicie w ocenionym w *Zniewolonym umyśle* jako „kompozycja za gładka” opowiadaniu *Wielki Tydzień. W Ciemnościach...* Miguel de Lara ukrywa się w swoim *home-castle* także jako pół-Arab; w *Wielkim Tygodniu* radca Zamojski czyta w swoim pełnym portretów mieszkaniu *Pana Tadeusza*, gdy trwa równocześnie powstanie w getcie, sam ukrywa się jako Żyd<sup>34</sup>. Analiza Ketmanu i poetyka gotycyzmu nie są moim zdaniem w powieści rozłączne. Andrzejewski zwraca uwagę (nie tylko Miłoszowi), że Ketman jest doskonale znany ludziom o seksualnościach nienormatywnych w różnych czasach. Także stalinowskich, ale nie tylko. Ketman – to szafa. Przypomnę opis podmiotu pozostającego w epistemologicznej konstrukcji „szafy”: „wszyscy wiedzą, że X to homoseksualista, ale zachowują się jakby nim nie był, bo myślą, że może on nie wie, że oni wiedzą; X myśli, że nikt nie wie, że jest homoseksualistą, więc zachowuje się tak jakby nie był i dba o to, by nie wzbudzać podejrzeń...” itd.; a oto jak Miłosz opisuje „Ketman metafizyczny” jako reakcję obronną: „oszukują diabła, który sądzi, że ich oszukał, jakkolwiek diabeł wie dobrze, że sądzą, iż go oszukują, i jest zadowolony”<sup>35</sup>. Nakładasz jedno na drugie – i masz gotycko-paraboliczne *Ciemności kryją ziemię*. A teraz nałożmy na to jeszcze i ten tekst: „Diabeł żyje właśnie z takich tajemnic! Bez tajemnic nie byłoby konspiracji, ekscelencjo!”<sup>36</sup>. Sztuka *Czarownicy z Salem* Arthura Millera z 1953 roku potocznie uchodzi za parabolę czasów mccarthyizmu (podobnie jak potocznie *Ciemności...* uchodziłyby za parabolę stalinizmu, gdyby miały tak żywy status w pamięci kulturowej Polaków jak sztuka Millera w pamięci Amerykanów), a metafora „polowania na czarownicy” uzualnie zrosła się z opisem tego epizodu w historii Stanów Zjednoczonych. Także mccarthyizm posiada swoje gotyckie pogranicze homofobii/homoseksualności. Tak jak w średniowieczu, gdy sodomie ścigano jako herezję, w czasach purytańskiego zwrotu w Ameryce homoseksualność ścigano jako przejaw komunizmu (nie przejmując się tym, że w 1953 roku setki ludzi wysyłano do łagrów za homoseksualność lub poddawano ich przymusowym terapiom psychiatrycznym w Sowietach, ani już tym bardziej tym, że amerykańska Partia Komunistyczna usuwała członków „podejrzanych o homoseksualizm”<sup>37</sup>). Obok programu *Red Scare* (polowanie na czerwonych) funkcjonował mniej nagłośniony program *Lavender Scare* (kolor lawendowy ko-

<sup>34</sup> Por. przede wszystkim rozmowę Zamojskiego z Maleckim – Jerzy Andrzejewski, *Wielki Tydzień* [w:] *Noc i inne opowiadania*, Warszawa 2001.

<sup>35</sup> Miłosz, *op. cit.*

<sup>36</sup> Arthur Miller, *Czarownicy z Salem*, przełożyła Anna Bańkowska, Warszawa 2009.

<sup>37</sup> Por. W. Wilkerson, *Communism and Homosexuality* [hasło w:] *Reader's Guide to Lesbian and Gay Studies*, *op. cit.*



notował homoseksualność, np. mówiono o „*lavender menace*” – zagrożeniu „homoseksualną zarazą”). Jednocześnie trzech bardzo wysoko postawionych polityków odpowiedzialnych za prześladowania homoseksualistów było homoseksualistami: J. Edgar Hoover, szef FBI<sup>38</sup>; Roy Cohn, prawnik koordynujący akcję *Lavender Scare* z polecenia McCarthy’ego, w latach osiemdziesiątych ofiara AIDS, umieszczona w błyskotliwych scenach *Aniołów w Ameryce* Tony’ego Kushnera; a także sam Joseph McCarthy<sup>39</sup>. Nie sposób przeoczyć analogię z Torquemadą, pogromcą *judaizantes*, który sam pochodził z rodziny *conversos*. Arthur Miller w eseistycznych partiach swojego dramatu, będących raczej esejami politycznymi i objaśnieniami historycznymi niż didaskaliami, podkreśla, że diabeł zwykle jest po obu stronach; gdy więc odczytywano *Czarownicę*... jako oskarżenie purytańskiej prawicy, czytano tekst jednostronnie, Miller bowiem – i chyba nie tylko aby połechtąć cenzurę – pisał o diable sowieckim; co zaś znaczące, historycznie zaczynał od Inkwizycji, nieomal cytując Radcliffe: „Kościół katolicki za sprawą swojej inkwizycji zasłynął z kultuwowania Lucyfera jako arcyszatana, ale nieprzyjaciele Kościoła tak samo wykorzystują go do robienia człowiekowi wody z mózgu. (...) W krajach o ideologii komunistycznej cały opór przed importem związany jest z totalnie szkodliwym demonem kapitalizmu, w Ameryce zaś każdy, kto nie ma reakcyjnych poglądów, może być podejrzewany o alians z czerwonym piekłem”<sup>40</sup>. Jeśli więc Andrzejewski mówi „diabeł to ideologia” – to Miller powiedział to samo. Pytanie, czy Andrzejewski znał sztukę autora *Śmierci komiwojażera*; podobnie jak liczne powieści gotyckie, które tu wzmiankowałem; trudno mi odpowiedzieć, wiem natomiast, że Andrzejewski był erudytą większym niż się zwykle uważa.

---

<sup>38</sup> Zob. E. Marcus, *Making Gay History. The Half-Century Fight for Lesbian and Gay Equal Rights*, New York 2002.

<sup>39</sup> D. Savran, *Taking It Like a Man. White Masculinity, Masochism and Contemporary American Culture*, New Jersey 1998.

<sup>40</sup> Miller, *Czarownice z Salem*, *op. cit.*



## PATRYK CZARKOWSKI

### Lustra

1.

stacja pierwsza  
niedaleko morza  
na rozgrzanym  
kamiennym placu  
człowiek skazany na śmierć.

a może było chłodno  
akurat wczoraj zapowiadali deszcz  
termometr wskazywał  
kilkanaście stopni powyżej zera.

miasta  
są jak przeludnione groby  
a jeszcze kilka minut temu  
otwarte okno  
słońce.  
i Rzym --  
tak daleko

2.

stacja druga  
upał. nawet prostytutki  
nie mogą rozebrać się bardziej.

mijam jedną  
po raz setny w tym roku  
i nie umiem spojrzeć jej w oczy.

widzę tylko odsłonięte ramiona,  
plecy. i kiedy odwracam głowę  
na poranionym  
obcasami  
murze --  
Ślady  
jak powidok z jej Ciała.

za murem  
noc i kościół.  
nie widać godziny na słonecznym zegarze

3.  
stacja trzecia,  
był czas żeby pomyśleć o podróży  
o tym dziwnym ukłuciu –  
jeszcze żyję.

szum  
trudny do zniesienia

w ogóle  
trochę jak w filmie

gdyby nie żywi ludzie wokół

4.  
stacja czwarta.  
mijaliśmy ostatnie budynki jak sen.

poznaję matkę po milczeniu  
bo twarz należy już do mojej strony,  
już wie.  
wrażenie  
że wiedziała o wszystkim

od zawsze.  
każdy oddech jest szybą  
i matka  
ani drgnie.

mój świat  
zaczyna być niemożliwy

5.  
stacja piąta,  
to krajobraz decyduje ty  
nie ty,  
teraz.

teraz nie chciał  
ale zgodziłem się dawno.

w drodze rozmawialiśmy.

okazało się że powódź,  
żona chora.

właściwie był spokojny,  
nawet coraz bardziej.

ja wiedziałem  
że jego dłonie  
są ważniejsze od słów

ale nie umieliśmy  
milczeć

6.  
stacja szósta,

a jednak ktoś tam jest.

milczy  
żeby po mnie sięgnąć.

to może być kobieta.

uniesie ciężar  
jakby to była fotografia  
lub sen

7.  
stacja siódma.  
jest jasne  
jak to się skończy.

przypominam sobie wszystkie  
nie odbyte rozmowy  
korytarze  
pokoje  
mosty.

i coraz bardziej samotny myślę  
że może kiedyś mi wybaczą  
może  
dzięki temu  
upadkowi

8.  
stacja ósma to już kawał drogi  
i ludzie litują się nade mną.

nie rozumieją.

tylko kilka kobiet  
patrzy inaczej  
jakbym skądś je znał.

a we mnie jest płacz  
którego nie ma w oku

9.  
stacja dziewiąta  
i mogę już tylko pamiętać  
jak słońce  
przenikało ci ucho.

a ty o tym  
nie wiedziałeś  
bo to było z boku.

między oddechem  
a literą bólu  
nie do skroplenia  
nieruchomieją  
ostatnie  
myśli

możliwe  
że śmierć  
ma jakieś znaczenie

10.  
stacja dziesiąta  
coraz więcej wspomnień.  
kiedyś wyczuliśmy w sobie słabość  
wzajemną

jak cel.

zostają tylko fakty  
najcenniejsze.  
oczyszczenie  
przed poznaniem prawdy.

teraz  
oddaję wszystko  
żeby zrozumieć  
jak  
jestem

11.  
stacja jedenasta  
ostateczne zatrzymanie.

kobieta  
z dzieckiem i psem  
okazuje się żebraczką.

wiem

to bez znaczenia ile  
i czego chce.  
ona nie wie nawet  
że nie wie  
o co prosi.

ale ja  
dopiero teraz  
myślę najprościej  
o dłoni  
która trzymałaby mnie  
za serce.

chwytam się  
jedyne  
usłyszanego głosu

nie mam  
innego punktu odniesienia

DARIUSZ SZYMANOWSKI

## Wysoka Brama

Panu Markowi Barańskiemu

Jest taka brama  
do Starego Miasta.  
Wysoka Brama  
o której pamiętam.

Za nią jarmarki,  
zapach ryb i miodu.  
oranżada, sztuczne ognie,  
krzyk kupców i kobiet.

Zabawa do rana.  
Pełna Awangarda.  
I fosa aż huczy  
od wina i śpiewu.

A później patrzenie  
na twarz świętego,  
kiedy słońce wschodzi  
i słyhać nurt rzeki.



## Widok z mostu

Wież dokładny kontur,  
godzinę przed świtem  
i nalot ptaków albo zwiastowanie,  
i cisza,  
że można usłyszeć jak zastępują,  
dzwoniąc kluczami po kieszeniach,  
Aniołowie.

*Toruń, 2013*

## Miasto

Tamto moje miasto, którego nie umiem pokazać ani opisać,  
otwiera się we mnie. Na próżno próbowałem uciec.  
Byłem pewien, że gdzie indziej jest ziemia i ogień, i woda.  
Mówili, zobaczysz jeszcze nie jedno, ale  
gdziekolwiek nie pójdziesz, z którejkolwiek strony  
odnajdziesz to miasto, tamte swoje ślady, już nie całkiem twoje.  
Przypomnisz sobie jej słowa, jej uśmiech tuż za szkołą  
po maturalnym balu. Poczujesz się jak wtedy kiedy po raz pierwszy  
dotykałeś ręką i rzeczy stawały się tobie posłuszne  
i w tej jednej chwili powrócą do ciebie  
zapach tataraku, jeżyn i kopru, ciepło jej rąk,  
a ty wsłuchany w śpiew piegowatej dziewczynki, opiszesz to wszystko  
i będzie to tylko ćwiczenie stylistyczne.



Ewa Bathelier

# M O I M I S T R Z O W I E

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 1 (77)), Stefana Chwina i Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)), Janusza Szubera, Leszka A. Moczulskiego i Renaty Gorczyńskiej (2013 nr 3 (79)), Kazimierza Brakoniewickiego, Jacka Gutorowa, Leszka Szarugi (2013 nr 4 (80)), Bogusława Kierca, Urszuli Kozioł, Anny Nasiłowskiej (2014 nr 1 (81)), Jacka Bocheńskiego, Piotra Matywieckiego, Andrzeja Szuby (2014 nr 2 (82)), Krzysztofa Lisowskiego, Krystyny Rodowskiej, Ewy Sonnenberg (2014 nr 3 (83)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

## IRENEUSZ KANIA

Prawie wszystkiego, co wiem i umiem, nauczyłem się sam. Mistrzów właściwie nie mam; tak układało się moje życie, że nawet moja edukacja szkolna jest wysoce niekompletna. Jestem więc samoukiem. Ale to trudna droga i nie śmiałybym jej nikomu polecać – szczególnie co się tyczy sportu; tutaj brak mistrza – dobrego trenera – może sprawić, że niektórych utrwalonych złych nawyków (np. technicznych) nigdy już nie udaje się w pełni wyeliminować. Wiem to z doświadczenia, przez wiele lat zawodniczo uprawiałem różne dyscypliny sportu. Tu mistrz jest absolutnie nieodzowny.

## PIOTR SOBOLCZYK

1996 – pierwszy zakupiony tomik „Poety Osobnego”. Pierwszy zakupiony tomik poetycki w ogóle.

1997 – pierwsze podsumowanie juvenilnych prób poetyckich i „łęków przed wpływem”:

### **Wrzask nieszczęścia**

Ty osobny

Ja podobny

1997 – *via* „Poeta Osobny” pojawia się Mistrz Klasy B, Mistrz latentny, który uczy kiczu i baroku, rymowania, a stanie się ważny dekadę później, gdy łatwość rymowania zyska ciężar semantycznej gry; Mistrz Baka. („ŚCIĘCIE / Żnie mnie / Kosa Erosa” – 10/11 stycznia 1998; „żnie” wyraźnie z Mirona [„co ważne? że żne”]).

1997 – wielka fascynacja Młodą Polską, głównie jednak w wydaniu drugiego Wielkiego Mistrza zakonu zbójckiego. Parodystyczny poemat prozą wzorowany na *Panteiście*, *Różanym obłoku*, *Opętaniu*, bliski parodiom Witkacego (kolejny Mistrz Klasy B, a równorzędnym mu wnet staje się też Gombrowicz). Miciński, *Opętanie*: „Wchodziłem w wąwozy kanionów rzeki Colorado głębokie na tysiąc metrów – wyrżnięte schodami gigantycznymi w skale pustyni. Pieniły się wody. W zatokach wśród wirów kąpałem swój Phallus i – tysiące ust całowały mię – usta modre – zielone – złociste – białe – pieniające się”. Ja (1997): „Zejdź w mrok własnego strachu. (...) W dolinie mroku błąkałem się, szukając dla siebie jakiegoś miejsca. (...) On [koziół ze złamanym rogiem] nauczył mnie Najwyższej Groty – Groty-Eski. (...) Każda moja myśl wytryska z mojego Mrokiem pocieranego phallusa”. Pierwsza lektura *Nietoty*, do tej pory stojącej na najwyższej półce jako najwybitniejsza powieść polska XX wieku. Przy niej Witkacy bladejszy, pragnący metafizycznych przeżyć, ale nie mający w nie intuicyjnego jasnego wglądu, który u Micińskiego odczuty. Pułapka rozpoznania Mistrza:

ZACHWYTANY

genialna książka!

zaraz też taką napiszę

97 XI 16

1998 – umiera ukochany poeta polonistki, z którą spór Miron–Herbert. Spór archetypowy. Polonistka mówi, że Miron tak, ale dla infantylnych, błazen i klaun – Herbert zaś głęboki, poważny. Spór *homo rhetoricus* – *homo seriusus*. Istotny dla późniejszych dyskusji i nieporozumień o *jouissances* i *igry*. Herbert *seriusus* – nie Mistrz. Herbert ironista – wspaniały. Bezczelne i „w złym guście” (xiądz Baka!) epitafium Herbertowi z lipca 1998:

„umarł herbert umarł / i leży na desce / gdyby mnie przeczytał / podskoczyłby jeszcze”. (Herbert, bajka *Umarli*: „Chcieli mówić, ale wargi zjadł piasek. Czasem tylko zaciskają w pięściach powietrze i próbują podnieść głowę niezdarnie jak niemowlęta. Nic ich nie cieszy, ani chryzantemy, ani świece. (...) Chcą mieć dzieci”).

1999–2000 – krótkotrwała fascynacja Mallarmém. Dwa przekłady. Lekcje hermetyzmu – slychać niekiedy w debiutanckim tomiku. (Blurbujący parę lat później Stanisław Balbus – Mistrz innego trybu pisarskiego – dosłyszał).

2001 – Francja zamieniona na Hiszpanię. Chłodna racjonalność i konstrukcja na namiętność i witalizm (bliższe). Federico García Lorca i jego wersja surrealizmu, homoerotyzmu. A zaraz potem Luis Cernuda, „poeta pożądania” i niezwykłych obrazów. Jemu dedykowany wiersz o pożądaniu w drugim tomiku.

2009 – późno, za to gwałtownie i wyznawczo. Świrszczyńska. Jedyna, której udaje się wycisnąć łzy (i to wielokrotnie) przy użyciu wierszy, nie ambitnych filmów. Poetka, na którą szkoda filologicznych komentarzy – hołd można złożyć spektaklem teatralnym (*Świr* przygotowany na Noc Poezji w 2013). „Na starość zostanę babką klozetową”. Ja (2013, fragment): „przed wyjazdem do Chin / postanowiłem że zostanę / dalajlamą”. Ciąg dalszy nadciąga.

Nie lękam się wpływów.

## ARTUR SZŁOSAREK

Wyznam, że nie szczególnie lubię udzielać odpowiedzi, które miałyby dotyczyć takich spraw, o których nie mówi się łatwo, jako że należą do gatunku publicznej spowiedzi raczej niż skłaniają do czernienia papieru. W każdym razie –

takie odnoszę wrażenie. Dziś. Może stoi za nim również echo tej niechęci, jaką odczuwa się wtedy, gdy przychodzi przyznać się przed wszystkimi do długu, który zaciągnęło się już bardzo dawno, a o niechlubnym istnieniu którego najchętniej nie chciałoby się przyznawać głośno, szczególnie wtedy, kiedy wiadomo, że nie będzie sposobu, by go spłacić wraz z narosłymi przez lata odsetkami.

Uważa się powszechnie (i ja też tak uważam), że kiedy poeta staje się dojrzalszy, to jego styl, jeśli ten w ogóle ewoluuje, staje się bardziej klarowny i jasny. Mniej interesują go fajerwerki i doraźni sojusznicy, zaś bardziej, że się posłuży skrótem, prorocтва jako „jedna zwarta bryła ludzkiego bólu i ludzkiej nadziei”, jak to z eleganckim patosem ujmuje Ceronetti. Bliżej więc dojrzałemu poecie (w obrębie choćby takiego skrótu myślowego) do proroków, którzy są (jak powiada z kolei inny wielki mistrz – Jerzy Stempowski) „wielkimi pisarzami”, pomimo tego i wbrew temu, iż „pisali językiem bełkotliwym”, wypowiadając się o „sprawach tak ważnych, że zapomnieli zostawić nam swoje autobiografie i korespondencję prywatną z wielbicielekami” (*Mała apokalipsa dla inteligencji warszawskiej*), niż do takiego życia – by dokonać teraz przewrotnego odwrócenia zdania, jakie zanotował Guido Ceronetti w *Rachunku sumienia o północy* – które jest „jednoznaczne, nieboskie, dobre”. W związku z tym (to kolejna warstwa tej odsłony) bardziej pewne stają się jego wybory, jeżeli chodzi o zakreślenie kręgu myślicieli, pisarzy, poetów, anarchistów i artystów, którzy odpowiadają jego temperamentowi i naturalnym skłonnościom, czyli, innymi słowy, ludzi, w których towarzystwie nie czuje się nieswojo. Nie będę ukrywał, o kogo chodzi, więc pozwolę sobie wymienić teraz kilku autorów z imienia i nazwiska, bardzo ważnych dla mnie, dla których język włoski jest najbliższy ciału, gdyż nauczyli się go od matki. Są to Giovanni Papini, Sergio Quinzio, Giorgio Agamben, Guido Ceronetti. Bez lektury ich pism, bez wiedzy, że żyli i żyją, myślałbym inaczej, gotowałbym inne potrawy, jeździł w inne miejsca, wpadał w kryzysy i depresje, nie mogąc pisać lub będąc ze swoim pisaniem – ignorowany.

Jeśli jednak przy tym za kryterium przyjmujemy, iż nieklamany mistrzem może zostać tylko ktoś, kogo chciałoby się poznać osobiście i spędzić w jego towarzystwie długie miesiące, wręcz lata, bez chwili wahania musiałbym opowiedzieć się za ostatnim z tutaj wymienionych – za Ceronettim, bowiem tylko u niego, gdyby rzemiosło i czasy były inne, chciałbym terminować z prawdziwego zdarzenia, jak to drzewiej bywało. „Gdybym był – powiada on – mgliście j a s n y i przebiegle ł a t w y, powinna mnie spotkać kara za gmatwanie prawdy i rozmijanie się z nią, za zdeprawowanie i porzucenie niewinnej Tajemnicy. A kiedy pozostają uporczywie c i e m n y, wydaje mi się, że unikam zdrady, że

nie trwonię słów na błahą wymianę grzeczności, że nie chcę za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni. Los ludzki zatrul mnie i zniszczył. Jakże mnie pałą trzewia, jak pałą trzewia! – wołam jak najżałośniejszy prorok. Mam nadzieję, że w moich bezsilnych wierszach uda mi się wyrazić w pełni to wielkie zatrucie, to miotanie się człowieka powalonego, którego słowa skręcają się w wierszach z bólu tak właśnie, jak palące trzewia, gdyż jedyną pewną rzeczą w tym zamęcie jest to, że istnieją w nim istotnie palące trzewia”. Na takie wyznania zdobywają się tylko najwięksi.

To chyba nie przypadek, że zawsze ciągnęło mnie w stronę osób (bardzo dobrze, że nie ma ich wielu), które mogłyby powtórzyć za autorem *Milczenia ciała* (oczywiście, nie bez stosownej przy tego rodzaju konfesjach autoironii), że „wyznają manicheizm ostrożny i zaowalowany”, zaś swoją uwagę kierowały i kierują w stronę dobra, jako że dobro jest „zagadką znacznie bardziej nieprzeniknioną niż zło, a w człowieku nie ma go niemal wcale”. Sądzę przy tym, iż nie trzeba być nadto przenikliwym obserwatorem, by dostrzec dziś szczególną aktywność zła, bo widać jak na dłoni, wystarczy się rozejrzeć, że jest tak, jakby ktoś uparł się zrealizować świat wedle scenariusza zakreślonego przez *Krótką opowieść o Antychryście* Sołowjowa.

Guido Ceronetti liczy obecnie osiemdziesiąt siedem lat. Mieszka pod Sieną – Crete Senesi przechodzące w łagodnie wzniosłe wzgórza Chianti chyba też najbardziej odpowiada takiemu temperamentowi, który sprawia, że zostaje się z zawodu „autodydakta i dyletantem”. Przełożył z jednej strony w całości *Epigramy* Marcjalisa, *Poezje* Katullusa, *Satyry* Juwenalisa, pracował wytrwale nad *Pieśniami* Horacego, zaś z drugiej *Psalmy*, *Eklezjastę*, *Księgę Hioba*, *Pieśń nad pieśniami* i *Księgę Izajasza*. W tak zwanym międzyczasie docierał z niełatwymi propozycjami intelektualnymi w formie krótkich esejów i aforystycznych notatek do bez mała dwóch milionów czytelników jako publicysta turyńskiej „La Stampa” – potem teksty z tej gazety codziennej ogłaszał w osobnych zbiorach, których same tytuły godne są osobnego namysłu, jak np. *Diefesa della Luna* (*Obrona księżycy*) czy *La musa ulcerosa* (*Zgorzkniała muza*). W Polsce znany jest dzięki świetnym przekładom Stanisława Kasprzysia – zamieszczonym w tomie *Drzewa bez Bogów* (1995) oraz dzięki *Milczeniu ciała*, które wytrawnie udostępniła Maryna Ochab (2004). Rzec można, że dla Ceronettiego, który jest poetą, a także scenarzystą i realizatorem spektakli założonego przez siebie teatru marionetek – *Teatro dei sensibili*, najważniejszym zadaniem pisarskim jest doprowadzić do takiej sytuacji, która umożliwi „poruszenie się w ludzkim piekle z mniejszym lękiem”, a taka sztuka, rzecz jasna, choć wcale nie prosta, może się udać jedy-

nie najprzedniejszym majstrom. Tylko tacy ludzie należą do grona tych, którzy „mają narodowość, a nie mają ojczyzny”.

„Nalegam – pisze w 1987 w krótkim tekście *»Raj« uracony* – żeby uświadomić sobie, że ponosimy straty, z których mało kto zdaje sobie sprawę, ponieważ chodzi tu o rzeczy, które istnieją i będą istnieć w dalszym ciągu, a mimo to już zniknęły. Miasta i krajobrazy od dawna tracą swoje barwy, ale dopiero po pewnym czasie, jaki mija od tej straty, przestaje się zwracać na nią uwagę. Może jeszcze czasami, przechodząc jakimś zaułkiem, zadajemy sobie naraz pytanie: czy to nie tu przypadkiem dawniej suszyła się zawsze kolorowa bielizna?”.

Czy trzeba dodać coś jeszcze? Może tyle tylko, że bliskie to proroczym słowom Scholema o „nicości objawienia”, które ten wypowiedział osiemdziesiąt lat temu do Waltera Benjamina w epistolarnej dyskusji o Kafce.



# P O C O L I T E R A T U R A ?

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 4 (76)), Stefana Chwina i Renaty Gorczyńskiej (2013 nr 1 (77)), Piotra Matywieckiego, Leszka A. Moczulskiego, Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)), Kazimierza Brakonieckiego, Krzysztofa Lisowskiego, Krystyny Rodowskiej (2013 nr 3 (79)), Krystyny Dąbrowskiej, Jakuba Momro, Anny Nasiłowskiej (2013 nr 4 (80)), Jacka Gutorowa, Jacka Napiórkowskiego, Leszka Szarugi (2014 nr 1 (81)), Anny Frajlích, Ireneusza Kani, Bogusława Kierca (2014 nr 2 (82)), Jacka Bocheńskiego, Stanisława Dłuskiego, Kazimierza Nowosielskiego (2014 nr 3 (83)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

## MACIEJ CISŁO

„Cóż po poecie? Nie wiem doprawdy, cóż po poecie w czasie marnym?”, pytał Hölderlin w swej elegii *Chleb i wino*. Elegia ta powstała pod koniec XVIII wieku i od tamtej epoki szczególnie często ponawiana jest wątpliwość, czy warto jeszcze w ogóle służyć Muzom.

Cóż, „marny czas”, jaki się przytrafił Hölderlinowi, nie był pierwszy ani ostatni w historii cywilizacji. W renesansie, nawet wtedy, powodziło się poezji chyba też nie najlepiej, skoro nasz Kochanowski narzekał: „Sobie śpiewam, a Muzom. Bo kto jest na ziemi, / Co by serce ucieszyć chciał pieśniami memi?”.

W renesansie chińskim, za dynastii Tang, nad losem poetów użalał się wielki Tu Fu, pisał on: „Nasze domy są ubogie, dowody uznania – znikome. / Kto o nas dba, komu nasze kłopoty w głowie? / My sami dla siebie jesteśmy publicznością” (jest to fragment wiersza pt. *Do Pi Ssu Yao*, w przekładzie Czesława Miłosza).

Współcześnie zaś Wisława Szymborska ironizowała w ten sposób:

...być poetą,  
mieć wyrok skazujący na ciężkie norwidy,  
z braku masy mięśniowej demonstrować światu

przyszłą lekturę szkolną – w najlepszym razie –  
O Muzo. O Pegazie,  
anielle koński

Nic to. Ubogi poeta czuje się przecież zawsze bogaty i szczęśliwy. Przyznajmy, o autorzy liryczni: na nic nie zamienilibyśmy wyroku, z mocy którego odrabiamy „ciężkie norwidy”! Ponieważ wielka jest rozkosz tworzenia, rodzenia myśli i uczuć, które do człowieka przychodzą poprzez słowa. I każdy autor gotów jest dopłacać do pisania z własnej kieszeni, gdyby się okazało, że akurat jego książki będą trudno sprzedawalne i gdyby się nie znalazł żaden dobroczyńca, skłonny popierać jego Muzę.

A cóż to znaczy, gdy świat nie odwzajemnia naszych porywów? Duch twórczy także i nieszczęście umie przerobić na szczęście.

Alegoryczny wiersz o przerabianiu właśnie nieszczęścia na szczęście napisał Walt Whitman, autor, który był mniej więcej rówieśnikiem Hölderlina, ale nie skarżył się jak tamten na los, choć Ameryka jego epoki była krajem prostackich kowbojów, gigantycznych strajków rolnych, triumfujących groszorobów i bratobójczych walk między Północą a Południem.

Oto wspomniany wiersz Whitmana (z cyklu *Tatarak*):

Czasem, gdy kogoś kocham, ogarnia mnie gniew na myśl,  
że moja miłość może być nieodwzajemniona.  
Lecz teraz myślę, że nie ma miłości nieodwzajemnionej,  
zapłata jest pewna, tak czy inaczej.  
(Kochałem kiedyś kogoś żarliwie i bez wzajemności,  
Lecz dzięki temu powstały te moje wiersze)

(*Czasem, gdy kogoś kocham*, przełożył Andrzej Szuba)

## JOANNA JUREWICZ

To pytanie okazało się dla mnie bardzo trudne. Być może dlatego, że z zawodu jestem naukowcem, a nie poetką, choć wiersze piszę całe życie.

Po co literatura? Dla mnie jako twórcy czy jako odbiorcy? Wiersze piszę, bo są rzeczy, o których nie umiem mówić inaczej niż tylko w wierszach. Wiersze dają mi język i przestrzeń, a z nich płynie życie i sens – jak wierzyli poeci od najdawniejszych czasów, kiedy wędrowali po indoeuropejskich łąkach.

I choć można tworzyć dla siebie, to jednak wiadomo, że tym, kto nadaje sens literaturze, jest drugi człowiek. Literatura to cudowny świat, który niewidzialnie dzieje się tylko w głowach – autorów i czytelników. I gdzieś między nimi, w napięciu znaczenia rodzącym się w bezgłośnej rozmowie. Nikt nie widzi tego, co ja widzę, gdy czytam. Tak jest zapewne z każdą sztuką. Ale świat literatury ma chyba najwięcej zakamarków, gdzie można się ukryć, by doświadczać tego, co drugi człowiek opowiada. Intymność jest sednem literatury.

W wierszu mogę dotknąć rzeczywistości najbardziej bezpośrednio. To jest cud wiersza, że groblą słów podchodzę do bycia i zmiany tak blisko, że niemal stają się widzialne. Choć słowa te mówią często o najzwyklejszych sprawach. Co sprawia, że stają się ową groblą? Na pewno ich piękno mnie kusi, żebym pobiegła za nimi.

W powieści mogę stworzyć siebie samą – inaczej i na nowo. Nie ogranicza mnie ani moje człowieczeństwo, ani płeć, czy pochodzenie – te wszystkie ramy, dla których w życiu czasem nawet potrafimy zginąć lub zabić. Cudem powieści jest to, że słowem zmienia mnie w inne istnienie – ludzkie, zwierzęce, boskie, demoniczne. Im lepszy pisarz, tym więcej istnień otwartych. Tu i piękno słów mnie kusi i soczystość fabuły, i proporcje struktury, i bezmiar poszukiwań.

No i jest jeszcze prawda, która kusi najbardziej... którą poprzez literaturę nie tyle rozumiem, ile przeżywam w jakimś niepojętym akcie całościowego, a zarazem ulotnego doświadczenia. Cudem literatury jest to, że odsłania prawdę, choć sama jest fikcją i że dzieje się to za każdym razem, gdy otwieram książkę – znowu tę samą czy całkiem nową – z tym samym dreszczem napięcia, czy prawda się stanie. A prawda ta jest niby krótkie spięcie między myślą autora, czytelnika i światem – błysk, ból, zachwyt...

Dziękuję ojcu memu, Janowi Doroszewskiemu, za rozmowy o literaturze i dziadkowi, Antoniemu Gołubiewowi, za *Poszukiwania*.

## ANDRZEJ SZUBA

Kiedyś, powiedzmy przed czterdziestu laty, wiedziałem bardzo dokładnie, ale to było tak dawno, że już zapomniałem. Chcę przez to powiedzieć, że moje mocne przekonanie o sensie literatury stopniowo kruszyło się, wątpało, blakło, aż pewnego ponurego dnia pod koniec XX wieku uświadomiłem sobie z żalem (?), że ze wszystkim wyparowało. I dzisiaj myślę, że literatura jest po nic. Że się czyta, się pisze, z ciekawości. By dojść, czym to Nic jest. Ale dojść nie można. I to jest ciekawe.

## JOANNA JUREWICZ

\*\*\*

na Płockiej  
żyją  
wiedzmy  
w kolorowych chustkach  
na głowie  
z włosami prosto od fryzjera  
nie mają  
kociołków magicznych  
szklanych kul  
czarnych kotów  
ale  
przejrzały na wylot  
życie i śmierć  
z wysokości  
białej grani  
po której idą  
mocno  
przywiązane  
do kroplówki

\*\*\*

czekam  
w miseczce porcelanowej  
wypełnionej  
ciekłym azotem  
mlekiem oślicy  
trzymam na uwięzi  
zmarszczki

rozciągamy w dal  
telomery  
maleję do punktu  
poza którym jest nicość  
twoja  
nieobecność  
załamuję się  
na twarzy  
pod kątem prostym  
marszczę się  
w zgięciach  
łokci i kolan  
moja dusza niebieska  
zwija się  
coraz bardziej  
ciało ze mnie  
spada  
łupina orzecha włoskiego

\*\*\*

idzie burza  
rośnie ciasto  
chmury się kłębią  
jak drożdże  
grzmot się przelewa  
w misie  
Bóg się rodzi

ALICJA ROSIŃSKA

## W łóżku

12, 13, 14, 15, 16 godzina

Leżenie, leżenie

Czy życie nie przypomina czasem śmierci?

Powolnej, męczącej, odwiecznej

Niepodważalnej

Kieruj, kieruj

Zamknij oczy i idź, po prostu idź,

Może dotrzesz tam wcześniej

## Życie jest piękne

Wstań, wstań, wstań.

Wstałam.

Idź, idź, biegnij.

Dokąd?

Dokąd? To niedobre pytanie.

Niesmaczne

Po co?

Po co? To głupie pytanie.

Wstań, idź i nie pytaj.

Wstań idź i pokochaj życie.

Oh, daj spokój,

dzisiaj nigdzie nie idę.

## Jestem

Jestem tą,  
Co kradnie piwo.  
Podpala ich,  
Jak robaki w dzieciństwie  
Jest cudownie  
jak w piekle.  
Jestem tą, co za dużo  
pali albo śpi albo rozmyśla  
albo żyje  
Jestem tą co modli się do siebie,  
żeby jej dała spokój  
i bardziej nie chce niż chce  
a chciałaby tak wiele  
co nic.

## Ty mnie pytasz

Ty mnie pytasz, czy nie chcę tego,  
tamtego,  
czy nie lepiej tak, albo tak  
Czy nie słyszałam o tym i o tym?  
I o tamtym?  
Dlaczego wciąż mówisz?  
Dlaczego musisz mówić i  
Mówić  
a potem jeszcze coś  
Powiedzieć.  
Czy gdybym nie chciała, tobym nie zrobiła?  
Jeżeli nie robię, to znaczy, że nie chcę.  
Jestem zmęczona  
i wciąż  
nie mam odpowiedzi na te twoje pytania,  
oprócz tej.



ALICJA ROSIŃSKA

## To nie jest kraj dla zwykłych ludzi

Stoję na przystanku autobusowym, a ludzie powoli schodzą się ze wszystkich stron: ramiona uniesione, brody opuszczone, próbują zatrzymać resztki ciepła pochodzące z tunelu. Staram się zająć czymkolwiek – obserwuję swoje odbicie w szybie wystawy sklepowej (zawsze ukradkiem to robię); dwadzieścia osiem lat, znoszona sukienka, rozczochrane włosy, stara kurtka.

Czekam. Obok mnie stoją dwie dziewczyny głośno wymieniające opinie o jakimś programie telewizyjnym. Bardzo ładne, zadbane, trochę przesadnie. Ile one mogły mieć lat? Ciężko stwierdzić, dwadzieścia? dziewiętnaście? Poważny makijaż, wysokie obcasy, dorosłość wkradła się niepewnie w ich wygląd i sposób mówienia. Obok nich młody chłopak. Zadbany i zamyślony. Utkwił spojrzenie gdzieś ponad naszymi głowami i obserwował ruch samochodów po przeciwnej stronie ulicy, tam był bezpieczny, rzeczywistość omijała go i nie dotykała. Słuchawki, ipod, kaptur, jedynie jego fizyczna obecność wydawała się być nie na miejscu. Jest tutaj, ale jakby go nie było.

Tuż obok starsza kobieta, co jakiś czas spogląda na mnie podejrzliwie, z pogardą nawet. Możliwe, że taki grymas jest po prostu częścią jej twarzy, jak nos, usta, brwi i stąd moje fałszywe wrażenie, że tę pogardę przygotowała specjalnie dla mnie. Wygląda na dostojną starszą panią. Autobus się spóźnia. Dam mu jeszcze kilka minut, zanim zacznę się niecierpliwić. A co na to spóźnienie reszta? Rzucam okiem na pozostałych – dziewczyny (najpierw zdawało mi się, że to bliskie przyjaciółki, ale teraz?) zaniepokojone – długo będą tutaj jeszcze stać, zmuszone do konwersacji? Obydwie nerwowo spoglądają na telefon, jedna coś przeczyta, druga coś napisze. Od razu jakoś luźniej, bo ich też tu nie ma. One są na facebooku, więc nie stoją tu we dwie, a już w grupie. Uśmiechają się do telefonów, licząc na uśmiech w odpowiedzi. Chłopak zupełnie niezainteresowany, nie obchodzi go, że autobus się spóźnia, może on wcale nie czeka na autobus, może *naprawdę* go tu nie ma. Głośny gwizd hamowania. Na przystanek z trudem wtoczył się autobus linii nr 133.

Kilka osób wychodzi. Starsza pani, niedawno stojąca obok mnie, już w środku, już siedzi. Wchodzę pierwszymi drzwiami i czekam, aż kierowca będzie mógł sprzedać mi bilet. Bez biletów nie jeżdżę, muszę przyznać, boję się. O dziwo, nie samej kary pieniężnej, ale jakiegoś upokorzenia przy wypisywaniu mandatu, jakbym ukradła czekoladkę i ktoś mnie na tym przyłapał. Postaram się więc bilet zakupić. Przeszło mi przez myśl, że tak się narzeka, a tu proszę; warszawiacy i wyglądają dobrze i widać, że mili, że kultura faktycznie obowiązuje. Młodzi energicznie wstają i ustępują miejsc (nawet już bez tego ociągania się, bez tej niechęci). Oni wręcz chętnie, oni jakby już mieli całą wiedzę w posiadaniu, jak się zachować, co wypada, a co nie wypada. Młodzi-starzy. Młodzi wyglądem, starzy duchem. Patrząc znowu na kierowcę, skończył obserwację drzwi i gotów był do drogi. Delikatnie więc pytam, nieśmiało, jak zwykle, czy mogę bilet u niego kupić, bo na przystanku coś w rodzaju automatu z biletami było, ale nie działało zupełnie.

– Ja biletów nie sprzedaję. Automat jest w autobusie.

Stoję więc jak gęś i rozglądam się niepewnie.

– No z tyłu tam! – warknął.

Odsunęłam się w pośpiechu i jakoś próbuję dobrać się do tego automatu. Mój pochód wzbudził zainteresowanie innych pasażerów, co w małych pomieszczeniach jest nieuniknione. Idę i idę, przepraszam i przepraszam w kółko, aż mi się odechciewa, aż od tego „przepraszam” czuję się winna, że czemu ja takich rzeczy nie wiem, że automaty są w środku i za to jakby też przepraszam. U nas w Trójmieście nie ma, w Gdańsku konkretnie nie ma. My na poziomie Stolicy jeszcze widocznie nie jesteśmy.

Po chwili myślę sobie, że ta moja nieporadność mnie samą bawi i z tą myślą kąciki ust się podnoszą. Kobieto, trochę dystansu do siebie! Dotarłam do celu. Automat przede mną, poważny, bardzo zagadkowy. Wpatruję się w niego, patrzę, patrzę. Coś tam klikam na ekranie, wszystko idzie dobrze, bilet wybrany, jestem z siebie dumna. Wyjmuję banknot dziesięciozłotowy i chcę dokonać zakupu. Nic z tego. Próbuję, ale faktycznie nigdzie nie ma miejsca na tę moją dychę zgniecioną. Dziwne, myślę, tu w ogóle czegoś brakuje. Może ludzkiej duszy.

Myślę sobie, cholera, to nie może mnie przerastać, mnie: dumną (wystarczająco) panią nauczycielkę nauk przyrodniczych? Jak to tak? Jeśli zostaną pokonana przez automat do biletów (i to bez premedytacji z jego strony, ani wysiłku żadnego) to moja niezdarność zdecydowanie przestanie mnie bawić. Wpycham nieszczęsny banknot to tu, to tam. Czekam. Ktoś coś powie na pewno, wszyscy

widzą moje czerwone, odstające uszy. Świadecko wstydu. Widzą moje nerwowe, bezmyślne ruchy, *nie mogą* nie widzieć.

Nagle, obok mnie zaczyna przypychać się młody chłopak (czapka z daszkiem, spodnie od dresu). Zatrzymał się przy mnie i patrzy jak wpycham moją dychę to tu, to tam. Czułam na sobie spojrzenia wszystkich pasażerów, ale jego było jakieś inne. To było spojrzenie człowieka.

– A bo to tylko na kartę. PayPass. Pani tu gotówką nie zapłaci.

– Naprawdę? A ja jeszcze wczoraj... tak mi się wydawało.

Karty z tym pay passem całym nie posiadam, bo mi niepotrzebna i tkwią tak bez sensu zupełnie, jakby mnie ktoś wyrzucił na scenę, a widownia obserwowała, co też najlepszego narobię. Poradzę sobie jakoś, pojedę bez biletu, trudno.

– Niech pani się odsunie na moment.

– Ee... – Zrobiłam dwa kroki w tył.

Patrzę, a on wyciąga magiczną kartę i... kupuje mi ten cholerny bilet. Dawno już nie byłam tak zaskoczona, jak w tej chwili. Na ulicy zazwyczaj od takich typków staram się trzymać jak najdalej, stąd moje osłupienie.

– Dziękuję panu bardzo – wyciągnęłam moją dychę i tak patrzymy na nią oboje.

– Nie, niech pani da spokój, nie trzeba. Następnym razem lepiej wcześniej kupować, bo w tych autobusach, to widzi pani. Masakra.

– Ale... to jak mam panu oddać te pieniądze?

– Nie trzeba, poważnie mówię.

– W takim razie dziękuję panu podwójnie.

Chłopak uśmiechnął się i odszedł na tyły autobusu. Ja, natomiast, z idiotycznym uśmiechem na twarzy, oddalam się od automatu. W końcu udało mi się odnaleźć kawałek wolnej przestrzeni. Jeszcze tylko się chwycić. Jeszcze tylko przełknąć to cholerne poczucie wstydu.

Naprzeciwko mnie siedzą dwie dziewczyny, znajome z przystanku. Najpierw rzuciły mi nieco zdziwione spojrzenia, a potem odwróciły się do siebie szepcząc i popatrując co rusz, to na mnie, to znów po sobie. Zaczęły mówić głośniej, coś o przyjeźdźnych. Co? Nie wiem. Nic konkretnego nie udało mi się usłyszeć. Nie mam zresztą żadnej pewności, że mówią o mnie (czy nie popadam w lekką paranoję?), dlatego uśmiecham się szeroko, czekając na reakcję z ich strony.

Nic takiego się nie dzieje. Szybko odwróciły wzrok i znowu wpatrują się w swoje telefony. Czy tam rozgrywa się prawdziwe życie? Czuję się jak idiotka (najpierw ta maszyna nieznośna, teraz te dziewczyny), osaczona, w obozie wro-

gów, odludek. Spoglądałam z nadzieją w drugą stronę, bo gdzieś do cholery muszę spojrzeć i co widzę? Przyjemny widok; mama z małym chłopcem trzymającym tableta na kolanach. Chłopiec opowiadał mamie o swojej nowej grze, ale dla mnie – laika, jego słowa brzmiały zupełnie niezrozumiale. Mama przytakiwała obojętnie, nie słuchała. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Dziecko na chwilę oderwało się od gry, spojrzało na mnie, a ja żartobliwie wytknęłam mu język. Nic. Powrócił do swojej gry, jakby mnie nie zauważył.

Nie udało mi się zapomnieć o moim upokorzeniu. Gorzej, jego rozmiar osiągnął niebotyczne rozmiary. Właściwie sama byłam sobie winna (te nieudane próby pozyskania sojuszników). Rozejrzałam się wokół, same posępne twarze, ktoś rozmawia przez telefon i bardzo się denerwuje, bo coś w pracy nie tak. Każdy ucieka wzrokiem i znajduje azyl w wirtualnym świecie komórek, tabletów, ipadów. Bezpieczny hermetyczny światek. Czułam się, jakby oni wszyscy byli po przeciwnej stronie, jakby byli po stronie tego automatu z biletami. Wkradłam się jak intruz do ich cudownego obozu. Nawet ten facet, pod trzydziestkę, z książką, którą trzymał jak rekwizyt, patrzył na mnie przez chwilę, jakby myślał „coś podobnego, karty nie mieć w XXI wieku...” i jakiś niesmak tkwił w jego spojrzeniu.

Ale jak to tak?! Myślę sobie... to ma być to miasto nowoczesne? Na poziomie? Tylko na jakim? To był poziom za wysoki dla człowieka, tu człowiek czuł się obco, ze swoim człowieczeństwem. Niby mili, niby kulturalni, ale właśnie tylko niby, wszystko na niby, ciskało mi się na usta...

Wrzało we mnie i to już nie przez ten bilet, nieszczęsny, ale przez to, że ja z nikim walczyć nie chciałam, a czułam się jak wróg publiczny. Zbeszczęściła ołtarz nowoczesności! Zostanie skazana na wygnanie! Osaczona pobłażliwymi spojrzeniami wyczuwałam w tym wszystkim jakiś absurd.

Uciekałam wzrokiem za okno; tam psy się gonią, tam para się całuje i nagle wybucha śmiechem. Tam siatka komuś pękła i widać, że przeklina cały świat i swój los. Ale oni tego nie widzieli, bo to były ułamki sekund, a my pędziliśmy dalej. Te sceny były dla mnie wytchnieniem. Tam życie, tu stęchlizna. Coś we mnie krzyczało; spójrzcie, spójrzcie za okno, co tam się dzieje, na ulicy, w parku, przecież to o wiele ciekawsze niż zbieranie punktów w grze.

W końcu zobaczyłam swój przystanek i zaczęłam odliczać. Jeszcze trochę, jeszcze chwila. Wsiadam. Poczułam zimne krople deszczu opadające mi na głowę, a wraz z nimi ulgę, prawdziwą ulgę. W komórcie dwa na dwa.

## Włącz, wyłącz

Byłam sama. Rozejrzałam się wokół – nic. Fizyczna samotność byłaby dla mnie zbawieniem, byłaby jedynym odpowiednim otoczeniem, uczyniłaby mnie szczęśliwą, o ile w ogóle jestem zdolna osiągnąć taki stan. Ale w domu *fizycznie* nie byłam sama. W drugim pokoju urzędowali rodzice. Siedziałam przy biurku i bawiłam się lampką, na zmianę włączając ją i wyłączając. Czas upływał, powoli, odwiecznie, tak samo jak zawsze, z tą różnicą, że dla mnie nie miał już najmniejszego znaczenia. Za oknem przygnębiający plac zabaw, wokół bezlistne drzewa, wyblakła trawa, niebo pokryte grubą warstwą chmur, słońce niemające szansy przebicia. Szaro, wietrznie, zimno. Obserwuję zmierzch poranka. Za chwilę zacznie się ściemniać, chociaż wcześniej wcale nie było jasno. Dzień, który nie zdążył się obudzić. Był koniec listopada albo koniec grudnia. Nie miałam pewności. Tkwiłam tak, zawieszona w próżni, jakby wbrew swojej woli. W końcu usłyszałam ciche, nieśmiałe pukanie do drzwi. Skąd ta uprzejmość?

– Taak? – próbuję zdobyć się na powagę, której spodziewam się ze strony mojego rozmówcy.

– Co tu tak duszno? Otworzyłabyś okno, trochę, chociaż uchylić... Będziesz coś dzisiaj w ogóle robić? Powinno się od samego rana wykorzystywać dzień. – Moja matka wygłaszała mowę, a ja czułam, że zawiodę ją jako publiczność. – Przynajmniej tak uważam. – Dodała niepewnie, torując sobie drogę do sedna sprawy.

– Jestem tego samego zdania. Tylko co to właściwie znaczy, wykorzystywać dzień?

– Znowu zaczynasz! Nie wiem, robić coś pożytecznego... przynajmniej się ubrać.

– Przecież jestem ubrana.

– To nie jest piżama?

– Piżama to nie ubranie? Myślałam, że o to ci chodzi.

– Dlaczego musisz taka być? Jaką krzywdę ci wyrządziłam, że traktujesz mnie w ten sposób? – Siliła się na ból w głosie, prawdziwy ból. Wypowiadała te słowa tak wiele razy, że stały się bezbarwne, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia i obydwie zdawałyśmy sobie z tego sprawę, udając, że jest inaczej.

– Wiesz co... jestem trochę zajęta, może ja zajmę się wykorzystywaniem dnia w moim pokoju, a ty w swoim i tym sposobem, obie będziemy w stanie zachować przy tym twarz.

– Jesteś bezczelna, człowiek poświęca... – dokończyła za drzwiami.

...całe życie dzieciom i nic, nic z tego nie ma – dokończyłam ja w myślach. Czy jako dziecko mam obowiązek uszczęśliwiania moich rodziców? Czy jestem im coś winna (tak się czuję, tak się zawsze czułam). A co z moją wolnością? Przecież jestem odrębną istotą, to przypadek, że moi rodzice stali się moimi rodzicami. To przypadek, że w ogóle tutaj jestem. Wróciłam do lampki. Moja mama jest silną kobietą, mój tata jest słabym mężczyzną, a ja jestem jedynie produktem wybrakowanym, czarną owcą, niepasującym elementem. Przepaść między mną a rodzicami wynikała z tego, że ja patrzyłam na życie z mojej własnej pozycji, z daleka, z kosmosu nawet, a oni z wewnątrz, oni już z całym s w o i m doświadczeniem na nie spoglądali. Mieliliśmy przed oczami zupełnie inne obrazy.

– Możesz nam powiedzieć, co zamierzasz dalej robić ze swoim życiem? – To pytanie wcale nie ma skierować rozmowy w kierunku moich planów, jest jedynie płynnym przejściem do kilku frazesów, którymi rodzice żonglują nad naszymi głowami od kiedy zorientowali się, że my dzieci głos jednak mamy i wolną wolę też.

– Co konkretnie masz na myśli? To bardzo ogólne pytanie. Niedługo na przykład zamierzam wziąć kąpiel.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, zrezygnowałaś z wcześniejszego planu, więc oczekuję jakiegoś planu B.

– Zrozum, że mama i ja martwimy się o ciebie i chcemy, żeby było ci dobrze w życiu. – Do rozmowy dołączył tata. Czasami nawet dostrzegałam w nim przeblysł geniuszu, który niestety szybko gasł na tle codziennych wydarzeń. Po pierwsze zawsze stawiał dociekliwe pytania i siał wątpliwości w sztywnych teoriach mamy. To mi się podobało. Jest bardzo inteligentny, tylko w żaden sposób nie potrafi tego wykorzystać, woli ucieczkę w drobne przyjemności życia martwego, powolnej egzystencji. Jest mi przykro, kiedy widzę, jaką radość sprawia mu popijanie piwa i oglądanie jednego meczu za drugim. Jaką cenę za to płaci? Ogromną, dlatego praktykuje metodę odwracania wzroku. Od rana do wieczora przymyka oczy, w strachu, że jego życie objawi mu się w swoich prawdziwych barwach, szarych. Lubię w nim to, że zamiast wygłaszać swoje racje, woli stawiać znaki zapytania. Nienawidzę ludzi, którzy pozjadali wszystkie rozumy, a potem zwracają swoje przetrawione mądrości w talerze innych. Nienawidzę mojej mamy. Może nienawidzę to zbyt mocne słowo, czasem przybiera postać lekceważenia, litości, często jednak nieopisanego gniewu. „Mamo dlaczego, dlaczego, dlaczego nie mogę być szczęśliwa, czując twoje oblicze wiszące nade mną i uważnie czekające na mój błąd?”. Ta miłość matczyną i troska, która ma swój cel; wzbudzić wdzięczność.

Mama potrzebuje tego, abyśmy byli względnie dobrą, solidną rodziną. Dlaczego? Bo nie toleruje słabości, dziwactwa, wieloznaczności. W jej świecie wszystko z łatwością układa się w całość, a wszystkie odstające od normy elementy umieszcza w rubryce „choroby”. Z czego bierze się ten strach przed innym, niezrozumiałym, obcym? Czego tak naprawdę się boi? Możliwości, to wszystko. Moja mama bała się szerszej perspektywy, gdyż przyzwyczała się do swojej. To taki typowy schemat normalne – nienormalne: to jest normalne, bo to robią wszyscy. Co by się stało, gdyby schemat nagle się odwrócił? Wszystkie rubryczki straciłyby rację bytu, wszystkie etykiety do wyrzucenia.

Może boi się, że zarazi się dziwactwem, słabością. Ten jej pragmatyzm... wygląda jak szczepionka przeciwko zarazie „INNE”. Nie mogłaby pogodzić się z tym, że ja, będąc jej córką, nie jestem ani praktyczna, ani rozsądna, ani sprytna. Jako pochodna jej osoby *muszę* być silna, to jest moje zadanie do wykonania, nie mam prawa być lekkomyślna, czy głupia.

Ona jest silna, bo nie chce być słaba. No dobrze; nikt nie chce być słaby, ale ukrywanie swojej słabości to zupełnie inna kwestia. Moja mama zмага się, walczy z wieloznacznością życia, istnieje tylko dzięki niej, czemu stara się zaprzeczyć. Woli omijać rzeczywistość, nie chce się z nią zderzyć. Lubi zamykać oczy i zatykać uszy, jest wtedy bezpieczna w swoim zakrzywionym świecie. Pozory, pozory, pozory, może nikt z nas nie potrafi bez nich żyć.

Moja mama interesuje się zawzięcie moim życiem, gdyż musi sprawować nad nim kontrolę. Sprawdzać czy skrupulatnie odgrywam swoją rolę; dobrej, pogodnej, inteligentnej, nieco ironicznej córki. Mój tata nie podziela jej zainteresowania, chociaż wątpię, żeby wynikało to z braku miłości w stosunku do mnie. On po prostu nie potrafi pokazać tego, co czuje. Doskonale go rozumiem, sama również nie opanowałam tej umiejętności i, o ironio, to nasze podobieństwo stworzyło między nami przepaść. Tata nie może być oparciem dla moich absurdalnych planów, gdyż on sam boi się, wije i potrafi żyć tylko w świecie dyktatury matki.

Czy nie jest prawdą, że każdy z nas musi nauczyć się okłamywać samego siebie, żeby jakoś przetrwać dziś i podnieść się z łóżka jutro? Tylko, że ja nie trawię kłamstwa, ja nie ubieram mojego życia w kolorowe incydenty, historie, doświadczenia i dlatego zostałam wyciągnięta przed nawias. Nie, nie, nie; nikt nie lubi nudziarzy.

– Mamo, tato, właśnie przez to, że tak się martwicie, ja z tego waszego strachu nie potrafię nic zaplanować.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że to nasza wina? – Mama, która szeroko rozkłada ręce.

Co jest najgorsze w tym całym konflikcie ja–rodzice, ja–reszta świata? Że w stosunku do obcych ludzi nie ulegasz temu poczuciu winy, które zjada cię od środka. Natomiast w stosunku do rodziców, czujesz, że robisz źle, sprzeciwiając się im. Ty chcesz być sobą, ale oni nie chcą ciebie takiego, musisz być inny, żeby oni byli z ciebie zadowoleni. Co robisz? Wykańczasz się. Nie jesteś gejem, lesbijką, narkomanem, czy młodocianym przestępcą, tutaj spowiedź cię nie oczyści, tutaj metoda jednego wyznania nie znajdzie zastosowania. Problemem jesteś ty i każda twoja myśl. Mama i tata z ich bezgraniczną miłością, która wiąże ci ręce, knebluje usta i powoli zaciska się na twoim gardle. Ta miłość i troska, z racji tego, że tak się nazywają, sprawiają najwięcej kłopotów. Bo jak można sprzeciwić się miłości? To walka z przyjacielem, nie z wrogiem. W drugim przypadku nie masz wyrzutów sumienia, które ciągną tę farsę, które trzymają cię przy życiu, które za każdym razem są punktem zwrotnym.

– To nie jest wasza wina. Wszystko jest w porządku, znajdę inny kierunek studiów, od października, może teraz trochę popracuję. Tak mam, żeby jakoś pożytecznie wykorzystać czas. Podoba wam się taki plan B? – kłamię, czy nie kłamię? Nie mam pojęcia. Mam wyrzuty sumienia.

– Ale jaki kierunek? Bo wiesz, że to wszystko trzeba wcześniej, to trzeba się zastanowić, wspólnie, bo jak jakiś nieprzyszłościowy kierunek to chyba nie ma sensu. Teraz zresztą można studiować dwa kierunki dziennie, za darmo. Papier się przydaje.

– Mamo, nie wiem jaki kierunek, nie wiem który jest przyszłościowy, a który nie. Ja po prostu chcę być w czymś najlepsza. Tylko jeszcze nie wiem w czym.

– Bo właśnie masz za duże ambicje. Po co od razu najlepsza? Tak niczego nie... nie myślałaś o czymś konkretnym? Księgowa na przykład? Zobaczysz wszędzie znalazłabyś pracę za przyzwoite pieniądze.

– Tylko, że ja nie chcę być księgową.

– Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. Po prostu nie jest mi wszystko jedno.

– Jesteś leniwa i bujasz w obłokach, to wszystko. Tak naprawdę nie chcesz robić nic!

– Chciałabym mam, chciałabym być w stanie zadowolić się namiastką życia i pójść w wasze ślady, chciałabym nie chcieć od życia czegoś więcej i cieszyć się na myśl o posadzie księgowej. Chciałabym być przeciętna, żebyście mogli być spokojni o moją przyszłość. Ale nie umiem, nie jestem przeciętna i chcę



znaleźć mój własny sposób na życie, a jeśli mi się nie uda, to i tak więcej sensu ma dla mnie poszukiwanie go, niż żałosna, przykra walka o przetrwanie, ukryta pod maską pseudodojrzałości. Jeśli dojrzałość na tym polega – na zaakceptowaniu posady księgowej – to ja nie chcę być dojrzała! To ja już wolę być nazywana leniwą smarkulą! Mam dla was przykrą wiadomość; chyba nigdy nie sprostam waszym oczekiwaniom.

– Ja już nie wiem, co mam robić! Ja już nie wiem jak z nią rozmawiać! – Mama zaczyna pochlipywać w ciszy. Tata wychodzi (dopiero teraz zauważam, że tutaj był). Mama idzie w jego ślady, ale wychodzi wolniej, pilnując, czy moje sumienie już się obudziło, czy zaczyna reagować na jej łzy, spływające po twarzy.

Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, ile władzy ma w sobie wzbudzenie w innych litości? Najmniej honorowa broń, ale jaka skuteczna! Wpatrywałam się w plecy matki opuszczającej pokój i w tym momencie, zdecydowałam, że będę księgową. Cholera, przecież tyle chyba mogę dla niej zrobić, przecież widzę, że ona tego pragnie, że ją uszczęśliwię.

Moja mama działała sprytnie odkąd sięgam pamięcią. Najpierw te wszystkie skargi; samochód, telewizor, nowe meble, nowe mieszkanie. Codzienny szmer, hałas, krzyk. Dlaczego nie jesteśmy bogaci?! Gdybyśmy byli, mama byłaby szczęśliwa – prosty wniosek nasuwający się dziecku. Mama zawsze była niezdyszczęśliwa, dużo płakała i mówiła, że jesteśmy nikim, bo jesteśmy biedni. Nie lubiłam wtedy taty, widziałam w nim jedynie źródło nieszczęść, które spotkały mamę. Modliłam się o to, żeby Pan Bóg zesłał nam nowy samochód, nowy dom, nowe meble albo nowego tatę, żeby mama mogła być wreszcie szczęśliwa. Kiedy dotarło do mnie, że Pan Bóg jest za wysoko, żeby mnie usłyszeć, postanowiłam, że ja kupię mamie to wszystko, jak tylko trochę podrosnę i będę już bogata. Ja ją uszczęśliwię. Taki właśnie miałam plan. Tylko, że nic z tego nie wyszło, bo jak już byłam starsza, to zauważyłam, że mi na tym wcale nie zależy, że moim celem nie jest bycie bogatą, że mama i tata to tylko ludzie, którzy kłamią, są słabi, manipulują i udają, jak wszyscy. Dorosłam i już nie potrafiłam być szczęśliwa. Rodzice – dzieci, to chyba najbardziej żałosna relacja. Ja czułam się przybita do nich, jak do krzyża, bo we mnie siedziała ta mała dziewczynka, która widząc łzy mamy, desperacko rzuca się na ratunek.

Tylko, czy tak powinno być? Chyba nie. Nawet zdając sobie z tego sprawę, czuję się źle. Czuję się okropną, wyrodną córką i to uczucie nie znika, nie zamienia się w przekonanie, że mam prawo iść swoją drogą, bez względu na wszystko. To uczucie gnije jedynie w moich wnętrznościach i odbiera mi siły, by iść do przodu.

– Mamo, tato, macie rację. Zejdę na ziemię i zacznę myśleć o konkretnych rzeczach. Wybiorę sobie konkretny zawód i znajdę konkretnego męża. Wygrałiście. – Wkroczyłam ponownie do ich pokoju, pozbawiona wszelkiej nadziei. Gdzieś koło mojej łydki krążyła mucha i pomyślałam, że z naszej obsady tylko ona była *prawdziwa*.

– To dobrze, że dotarło do ciebie, że jesteś już dorosła... wreszcie widzę w tobie mądrą dziewczynę, która sobie poradzi! – Ogłosiła wesoło mama, podkreślając swoją radość kłaśnięciem w dłonie.

– Codzienna praca i rodzina mają największą wartość, przekonasz się sama. – Wtrącił tata.

– Wszyscy lubimy czasem chodzić z głową w chmurach, ale życie jest ciężkie, a takie osoby kończą na dnie! Bez niczego! Trzeba w życiu być rekinem, moja droga... – kontynuowała mama.

– Mama ma rację, musisz zacząć twardo stąpać po ziemi! Musisz myśleć o zabezpieczeniu się, finansowym i rodzinnym... to bardzo ważne, żeby myśleć o tym wcześniej. To rozsądne podejście. – Tata wciąż wpatrywał się w telewizor, miałam wrażenie, że mówi do kogoś innego. Nie byłam pewna czy faktycznie wydaje z siebie dźwięki, czy tylko porusza ustami. Wycofałam się, wróciłam do swojego pokoju i usiadłam przy biurku. Znowu zaczęłam włączać i wyłączać lampkę. Nie zagram tej roli, rola dobrej córki mnie przerasta. Nie jestem dobrą aktorką. Wreszcie do mnie dotarło, że ja po prostu jestem słaba i nie dam rady, nie nadam się, zawiodę ich, siebie, cały świat. Sięgnęłam w głąb szafki i wyjęłam stare pudełko po butach. Pomyślałam sobie, że jestem naprawdę żałosna. Wraz ze swoją piżamą, starym pudełkiem po butach i fiolką leków nasennych w dłoni, spokojnie czekających na swoje pięć minut. Lampka drwiąco oświetlała moją twarz, której rysy niewyraźnie odbijały się w oknie. Nie mogłam na siebie patrzeć. Wiedziałam, że jutro może będzie lepiej albo pojutrze. Tylko ta myśl była zbyt odległa, aby zatrzymać mnie w tym pokoju, nie mogłam tutaj zostać. Podniosłam się i udałam do kuchni, stamtąd krzyknęłam do rodziców, że idę się zdrzemnąć. Zabrałam butelkę wody, wróciłam do pokoju i ponownie usiadłam przy biurku. Delikatnie wysypałam kapsułki i ułożyłam je na blacie, tak żeby tworzyły rzędy. Połknęłam pierwszą, potem drugą i burząc kolejne rzędy, doszłam do ostatniej. Położyłam się na łóżku. Śniłam o bocianach, które postanowiły zmienić zawód.

## ALEKSANDRA OPALIŃSKA

\*\*\*

śmierć śniła się kobiecie  
usiadła na brzegu łóżka i zapłakała  
nad swoim marnym losem  
długo rozmawiała z kobietą  
obie znały się z widzenia i nie potrzebowały wielu słów  
milczenie stało się mostem łączącym przeciwległe brzegi  
postanowiły do siebie wrócić  
odzyskać stracony czas

\*\*\*

każdy jest na jakiejś drodze krzyżowej  
oznaczonej znakiem od czasu do czasu  
pulsuje światłem ludzie zamykają oczy  
biegną w nieznanym kierunku ale wyczuwają  
linie białe jak kreda strzałka po strzałce  
w kierunku wyjścia

\*\*\*

duszę można opisać bez używania  
pióra bez używania rąk trzymających pióro  
bez żadnego wysiłku który angażuje mięśnie  
ciała sama się zjawia ukradkiem w prześwicie  
dnia i nocy wypełnia pustkę

\*\*\*

wieża Babel poplątała języki  
teraz od początku trzeba szukać nowych słów  
składać ze starych liter brzmią jak piasek  
przesypywany z rąk do rąk  
mowa powinna mieć znamiona wody i kamienia  
powinna płynąć w stronę oceanu  
twardo bronić swojego stanowiska

\*\*\*

Jonasz w Rybie dmie w usta  
wywołuje ruch fal schodzą się umarli  
nasłuchując głosu ze środka wody  
poranna Muza przynosi metaforę przemijania  
co złe i hałaśliwe  
w kontekście modlitwy  
wyjście i przemiana

PIOTR LAMPRECHT OSA

## Madonna od niedźwiedzi

w ukrytych  
gawrach

zarejestrowany  
każdy szelest

każdy sen zwierzęcy  
skrzętnie zapisany

zapach sierści

pacierz

do oddalonej  
najciemniej

figurki Madonny

od niedźwiedzi

## Półki

gdzieniegdzie  
piasek  
dokumentów

zeszyty  
z formułami  
zacierania śladów

\*\*\*

umiera  
papuga

ubywa  
makulatury

przechadzka  
głosów

szczekot  
srok

przesunięcie

cisza

drewnianych figur

nocą  
zbieracze gruzu  
rozkładają zdania  
na sny

# +P3

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ

## TEATR POLSKI FESTIWAL PRAPREMIER BYDGOSZCZ 2014 27.09-05.10

WWW.TEATRPOLSKI.PL



Mińskobranicki  
**Kulturę**  
i Rozrywkę  
Wspieramy

Festiwal Prapremier Bydgoszcz 2014 dofinansowany  
zre i budżetu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego,  
z budżetu Miasta Bydgoszcz, z budżetu Miasta Złotych Topielców  
Wspieradźciwa Klubucho Pomorskiego



Teatr Polski Bydgoszcz ul. Mickiewicza 2, 85-612 Bydgoszcz  
tel. + 48 52 33 97 852 email [typat@teatrpolski.pl](mailto:typat@teatrpolski.pl)  
rezerwacja i sprzedaż biletów  
tel. + 48 52 33 97 858 fax + 48 52 33 97 840



# CAMERIMAGE

22. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL SZTUKI AUTORÓW ZDJĘĆ FILMOWYCH

BYDGOSZCZ, OPERA NOVA  
15-22 LISTOPADA 2014





# GŁOSY I GŁOSY W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”

1996 nr 4 (12)

– Samuel Beckett

Samuel Beckett, Václav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gottfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Julliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski

1997 nr 4 (16)

– Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matyszewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fiett

1998 nr 3 (19)

– 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22)

– Zbigniewowi Herbertowi *in memoriam*

Alain Besançon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30)

– Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Krzysztof Myszkowski, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Sławińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarębianka

2002 nr 1 (33)

– o *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosza

Jacek Bolewski SJ, Mirosław Dzień, Krzysztof Myszkowski

2002 nr 4 (36)

– o *Orfeuszu i Eurydyce* Czesława Miłosza

Krzysztof Myszkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Żakiewicz

2003 nr 2–3 (38–39)

– Alberto Giacometti

Jacques Dupin, Jean Genet, Magnus Hedlund, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Jean-Paul Sartre, Ernst Scheidegger, David Sylvester

2003 nr 4 (40)

– 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski

2004 nr 3 (43)

– Czesławowi Miłoszowi *in memoriam*

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczodan, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnenberg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szymborska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47)

– w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50)

– na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 3–4 (51–52)

– o *Wierszach ostatnich* Czesława Miłosza

Mirosław Dzień, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Julian Kornhauser, Agnieszka Kosińska, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2007 nr 3 (55)

– o Arturze Międzyrzeckiem

Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligęza, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58)

– w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2008 nr 4 (60)

– o *Znakach* Kazimierza Hoffmana

Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Leszek Szaruga

2009 nr 1 (61)

– o *Tutaj* Wisławy Szymborskiej  
Edward Balcerzan, Aleksander Jurewicz, Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Zofia Król, Krzysztof Myszkowski, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 2 (62)

– o *Jasne niejasne* Julii Hartwig  
Krystyna Dąbrowska, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64)

– w 100. rocznicę urodzin  
Jerzego Andrzejewskiego  
Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65)

– w 1. rocznicę śmierci Jana Błosińskiego  
Krzysztof Myszkowski, Aleksander Fiut, Marek Kędzierski, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga

2010 nr 2 (66)

– o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego  
Julia Hartwig, Wojciech Gutowski, Wojciech Ligęza, Jacek Łukasiewicz, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Skrendo, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Wojciech Tomasiak

2011 nr 2 (70)

– najważniejsze książki i wiersze Czesława Miłosza  
Jacek Bolewski SJ, Kazimierz Brakoniecki, Václav Burian, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Olga Glondys, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Henryk Grynberg, Jacek Gutorow, Wojciech Gutowski, Julia Hartwig, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, ks. Janusz A. Kobierski, Antoni Libera, Krzysztof Lisowski, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Leszek Aleksander Moczulski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Mieczysław Orski, Jerzy Plutowicz, Jan Polkowski, Marek Skwarnicki, ks. Jan Sochoń, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Andrzej Szuba, Janusz Szuber, Marta Wyka, Joanna Zach, Andrzej Zawada

2011 nr 3 (71)

– na 90. urodziny Julii Hartwig  
Krzysztof Myszkowski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brakoniecki, Renata Gorczyńska, Anna Janko, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Wisława Szymborska

2012 nr 1 (73)

– Wisławie Szymborskiej *in memoriam*  
Julia Hartwig, Krzysztof Myszkowski, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Re-

nata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 2 (74)

– o *Wystarczy* Wisławy Szymborskiej  
Julia Hartwig, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 4 (76)

– 20 lat „Kwartalnika Artystycznego”  
Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Marek Kędzierski, Bogusław Kierc, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Piotr Matywiecki, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2013 nr 1 (77)

– w 1. rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej  
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Marta Wyka

2013 nr 2 (78)

– na 70. urodziny Ryszarda Krynickiego  
Julia Hartwig, Katarzyna Herbert, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Adam Michnik, Krzysztof Myszkowski, Michał Rusinek, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2013 nr 4(80)

– o *Zapiskane* Julii Hartwig  
Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2014 nr 1 (81)

– o wierszach Wisławy Szymborskiej  
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Michał Głowiński, Bogusław Kierc, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2014 nr 2 (82)

– w 10. rocznicę śmierci Czesława Miłosza  
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Marek Tomaszewski

2014 nr 3 (83)

– Tadeusz Różewicz: *in memoriam*  
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga

## ROZMOWY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- z AGNIESZKĄ HOLLAND: 0/1993  
z JÓZEFEM TISCHNEREM: 1/1994  
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 2/1994, 4/2011 (72)  
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM: 3/1994, 3/2000 (27), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52)  
z MICHAŁEM GŁOWIŃSKIM: 3/1994, 2/2010 (66)  
z TADEUSZEM KANTOREM: 4/2010 (68)  
z JOHNEM BANVILLEM: 1/1995 (5)  
z JANUSZEM STYCZNIEM: 2/1995 (6)  
z MARIANEM CZUCHNOWSKIM: 3/1995 (7)  
z JANEM BŁOŃSKIM: 4/1995 (8), 2/2010 (66)  
z EUGÉNEM IONESCO: 1/1996 (9)  
z JACKIEM BACZAKIEM: 1/1996 (9)  
z KRYSZYŃKĄ I CZESŁAWEM BEDNARCZYKAMI: 3/1996 (11)  
z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM: 2/1997 (14), 1/2006 (49)  
z ALLENEM GINSBERGIEM: 3/1997 (15)  
z ZYGMUNTEM KUBIAKIEM: 4/1997 (16)  
z ROBERTEM PINGETEM: 2/1998 (18)  
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/1998 (18), 2/2013 (78)  
z KS. JANEM TWARDOWSKIM: 3/1998 (19)  
z THORSTEM AHRENDEM (SHURKAMP VERLAG): 4/1998 (20)  
z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM: 4/1998 (20)  
z PAWŁEM HERTZEM: 4/1998 (20)  
ze STANISŁAWEM LEMEM: 4/1998 (20)  
z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM: 1/1999 (21), 1/2000 (25)  
z KAZIMIERZEM HOFFMANEM: 1/1999 (21), 4/2008 (60)  
z JULIANEM KORNHAUSEREM: 3/1999 (23)  
z JÉRÔME LINDONEM (EDITIONS DE MINUIT): 2/2000 (26)  
z IRÈNE LINDON (EDITIONS DE MINUIT): 3/2001 (31)  
z ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z JAMESEM LORDEM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z ERNSTEM SCHEIDEGGEREM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z JULIĄ HARTWIG: 2/2004 (42), 2 i 3 /2012 (74 i 75)  
z FRANCISEM BACONEM: 4/2005 (48)  
z BARBARĄ BRAY o SAMUELU BECKETCIE: 3–4/2006 (51–52), 4/2008 (60)  
MAREK KĘDZIEŃSKI i KRZYSZTOF MYŚKOWSKI o SAMUELU BECKETCIE:  
3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2010 (68)  
z ROSWITHĄ QUADFLIEG o SAMUELU BECKETCIE: 1/2007 (53)  
z WALTEREM D. ASMUSEM: 1/2007 (53)  
z ALEKSANDREM FIUTEM: 2/2008 (58)  
z MARKIEM SKWARNICKIM: 1/2009 (61)  
z EWĄ LIPSKĄ: 1/2009 (61)  
z THOMASEM BERNHARDEM: 2/2009 (62)  
z PETEREM FABJANEM o THOMASIE BERNHARDZIE: 2/2009 (62)  
ze STEFANEM CHWINEM: 3/2010 (67)  
z ANDRZEJEM BUSZĄ o CZESŁAWIE MIŁOSZU: 2/2011 (70)  
z MARIE-LAURE BERNADAC: 4/2011 (72)  
z ULF KÜSTER: 4/2011 (72)  
z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ: 1/2012 (73)  
z JANUSZEM SZUBEREM: 3/2012 (75)  
ANTONI LIBERA i o. JANUSZ PYDA OP o SAMUELU BECKETCIE: 4/2013 (80), 1/2014 (81), 2/2014 (82)

# ANKIETY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Po co piszę?

Czesław Miłosz – nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser – nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk – nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki – nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Kozioł – nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski – nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styczeń – nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek – nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec – nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg – nr 1/1998 (17), Marek Kędzierski, Leszek Szaruga – nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura – nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M. Benka – nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń – nr 1/1999 (21), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Olędzka-Frybesowa – nr 2/1999 (22), Maciej Cisto, Mirosław Dzień, Piotr Szewc – nr 3/1999 (23), Krzysztof Cwikliński, Krzysztof Lisowski – nr 4/1999 (24), Stanisław Lem – nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki – nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz-Zielińska, Jerzy Gizella – nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc – nr 4/2000 (28), Jacek Bolewski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szlosarek – nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski – nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel – nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Mitzner – nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Latawiec, ks. Janusz A. Kobierski, Henryk Waniek – nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszkowski – nr 2/2002 (34)

Trzy wiersze

Czesław Miłosz – nr 3/1997 (15), Stanisław Lem – nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański – nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki – nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski – nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz – nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman – nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser – nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga – nr 3/1999 (23), Piotr Sommer – nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński – nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz-Zielińska – nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński – nr 3/2000 (27), Michał Głowiński – nr 4/2000 (28), Zbigniew Żakiewicz – nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc – nr 3/2001 (31), Julia Hartwig – nr 2/2004 (42)

Jaki jest terazniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz – nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski – nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki – nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2002 (35), Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski – nr 4/2002 (36)

Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada – nr 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo – nr 4/2009 (64)

Po co literatura?

Julia Hartwig – nr 4/2012 (76), Stefan Chwin, Renata Górczyńska – nr 1/2013 (77), Piotr Matywiecki, Leszek A. Moczulski, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Kazimierz Brakoniecki, Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska – nr 3/2013 (79), Krystyna Dąbrowska, Jakub Momro, Anna Nasiłowska – nr 4/2013 (80), Jacek Gutorow, Jacek Napiórkowski, Leszek Szaruga – nr 1/2014 (81), Anna Frajlich, Ireneusz Kania, Bogusław Kierc – nr 2/2014 (82), Jacek Bocheński, Stanisław Dłuski, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2014(83)

Moi mistrzowie

Julia Hartwig – nr 1/2013 (77), Stefan Chwin, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Janusz Szuber, Leszek A. Moczulski, Renata Górczyńska – nr 3/2013 (79), Kazimierz Brakoniecki, Jacek Gutorow, Leszek Szaruga – nr 4/2013 (80), Bogusław Kierc, Urszula Kozioł, Anna Nasiłowska – nr 1/2014 (81), Jacek Bocheński, Piotr Matywiecki, Andrzej Szuba – nr 2/2014 (82), Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2014(83)

## CHARLES TOMLINSON

przełożył Jacek Gutorow

### Cézanne w Aix

A góra? Każdego dnia  
Nieruchoma jak owoc. Ale nie taka sama.  
Nie da się jej zmniejszyć,  
Nie można zanegować,  
Wszak nie jest częstką piękna,  
Nie jest skupiona jak model,  
Na własnej pozie (co jeszcze pogłębiłoby  
Dysonans). W ogóle nie  
Pozuje. Po prostu jest. Nieuczona,  
Niezmienna, kamienny przełaz  
Ku temu, co widać, bo wcześniej  
Było nieodczuwalne. Tam,  
W masie rzeźbionej wiatrami,  
Milczy jej cisza. Obecność  
Bez uobecnienia.

### Zimowe zbliżenia

Dom i odludzie; wioska i dolina.  
Niekończące się kombinacje, wymiany,  
W których wszystko zachowuje swoją wartość.  
Oto znowu wchodzi w fazę zimowego horrendum.  
Palisady żywopłotów są nagie. Wydłużone  
Cienie tasują się, a pola ulegają parcelacji,

Jakby w jednych żywopłotach tkwiły inne. Szcepiony  
Z sąsiedztwem ruchomymi więzami,  
Dom stoi pewnie na kawałku ziemi,  
Lecz kąty ma nieostre. Kamień reaguje  
Zmianą na zmieniające się światło:  
To rodzaj ciężenia, imperatyw ruchu  
W rozczochranym powietrzu, gdzie wszystko prze  
Ku spotkaniu. W tym soczystym przepływie  
Znika rozróżnienie między ludzkim i nieożywionym –  
Ot, choćby dach, który kłania się chmurze,  
Albo miejsce pod ścianą, nisza dla rozgadanych:  
Spotkanie rozkręca się w rozmowie  
Na banalne tematy i umysł  
Może dać sobie dyspensę, wszak ma przed sobą  
Przestrzeń innych umysłów. Deszcz  
I prawdopodobieństwo deszczu, zielsko wyki  
I jej pochod przez pole pszenicy –  
Choć przez chwilę są sobą,  
To w istocie zaraz podsuwają myśl,  
Że w spotkaniu spotyka nas coś więcej,  
Niż da się wyrazić w słowach. W intensywności,  
Która nabiera ich kształtów, można dotknąć  
Ciszy ukrytej w zawiei, ciepła we wnętrzu mrozu.

## O świetle początków

Światło umysłu jest słabsze  
od światła początków: odcienie,  
dla których znajdujemy pigmenty,  
są żałosne w porównaniu z milczącą  
różnorodnością, którą wszyscy widzimy,  
lecz nie umiemy wymówić. O świetle początków  
powiem, że obdarza imperialną  
równością wszystko, czego tyka, na przykład fiolet  
staje się wspólnym dobrem, a zarazem

rozbrzmiewa jak akord  
tysiącem tonów  
zabarwionych tysiącem  
cieni,  
powoli  
ustępujących. Umysł,  
szukający drogi pośród  
tyłu niepewnych rozróżnień,  
zostaje z tyłu, gdy one  
rozbłyskują, nabierają pewności,  
której początek jest ich końcem  
w świetle dnia.

## Jak daleko

Jak daleko od nas  
są nawet najbliższe rzeczy  
wśród tych tutaj liści  
zasypujących okno:

o tej niespiesznej, potem nagłej  
eksplozji w zieleń  
wiemy tyle tylko,  
ile widzieliśmy; obca nam  
(fermentująca w jej wnętrzu)  
ciemność, którą słyszą może ślepi:  
dla nas zamknięty wstęp  
poza te powierzchnie

gdzie światło jest białym kłamstwem,  
które ma jedynie zakryć mrok  
odległego od nas kontynentu  
morskiego dna.

## Pory roku

Zmieniło się światło,  
Nowe faktury cienia na murach domu:  
Framuga okna, czarna wycinanka,  
Tkwi obok słońca na niewidocznych  
Wczoraj powierzchniach – ścianach, które do tej pory  
Wydawały się tylko ścianami, stałym  
Aspektem domu. Dlaczego rok w rok  
To samo spływa z nieba  
Jak manna, osiada rosą na zmysłach,  
Odnawia miejsca, przez które przenika?  
Cykl powtarza się na nowo:  
Jakbyśmy zbliżali się do  
Portu w Cyterze i słyszeli  
Muzykę naszej powrotnej żeglugi  
W tonacji dur. Długo tam nie pomieszkamy,  
Tyle, żeby poczuć  
Zapach kwitnących lip  
Zmieszany z oddechem oceanu w aurze  
Powrotów i odejść. Co to za cień  
Kładzie się na wodzie – plama czy mielizna?  
Pod stopami czujemy bezustanny ruch fal,  
Coś jak pulsowanie światła w oknie,  
Które zostawiliśmy za sobą, zanim wiosna utonęła  
Jak jeszcze jedna fala w oceanicznym lecie.



## Nota

U Charlesa Tomlinsona najpierw są żywioły i przedmioty. Wzgórza, wiatry, kamienie, ziarna piasku, żdźbła trawy. Można z nich konstruować pejzaże i sensory, choć zwykle nie trzeba tego robić: zdaniem poety rzeczywistość buduje się sama. Ludzie w tych wierszach prawie się nie pojawiają, choć nie jest to poezja antyhumanistyczna spod znaku, powiedzmy, Robinsona Jeffersa. Człowiek jest ważny jako ośrodek percepcji, wyostrzonej, światłoczułej i światłolubej w najwyższym stopniu. Świadomość to u Tomlinsona przede wszystkim (choć oczywiście nie tylko) rejestrator i medium. Jej mediumiczny wymiar przekłada się na lekko widmowy charakter wielu tekstów, traktujących o bogactwie świata zmysłowego, za którym ciągnie się wielobarwna smuga powidoków i pogłosów. Jest to bez wątpienia poezja ruchu, przemian, ciągłości wzrostu i obumierania. Jej pierwszymi patronami są Owidiusz i Lukrecjusz, a w bliższej perspektywie czasowej William Wordsworth i tradycja anglosaskiej poezji pastoralnej. Oczywiście są Amerykanie (Tomlinson wykładał współczesną poezję amerykańską); bez problemu odnajdziemy tropy prowadzące do idiomu poetyckiego Williama, Stevensa, obiektywistów czy Marianne Moore. Angielski twórca przejął od nich namiętność do przeciwstawiania sobie umysłu i dzikich żywiołów, odzwierciedlających dramat niespokojnej tożsamości. Dodajmy, że transatlantyckie wpływy i zadłużenia dobrze się tej poezji przysługują. Myślę, że wielu czytelników doceni nie tylko umiejętność zniuansowanego postrzegania świata (tu akurat Tomlinson może czerpać z bogatej tradycji wiersza angielskiego), ale również zdolność do wykraczania poza naturalne formy i konwencje tak zwanego podmiotu lirycznego. Nie żeby była to poezja awangardowa czy transgresywna. Prezentowanemu poecie bliższe są efekty zdecydowanie bardziej kameralne i detaliczne. Niewielkie przekształcenia perspektywy, drobne dysjunkcje wrażeń, nachodzące na siebie warianty tych samych bądź podobnych scen, ledwie zauważalne mutacje opisywanego krajobrazu; z drugiej zaś strony – stałość i esencjonalność substancji świata, faktura i ciężar materii, osadzenie spojrzenia w solidnych ramach namacalnej rzeczywistości. Gdzieś pomiędzy tymi biegunami znajduje się wiersz Tomlinsona. Wiersz na pozór gładki i hieratyczny, w istocie niespokojny, żywiołowy, czyniący zadość codziennemu doświadczeniu płynności i efemeryczności otaczającego świata.

*J.G.*

STEFAN CHWIN

## Literatura i kwestia etniczna. Kartka z dziennika

Wtorek. Popołudnie. W telewizji wiadomości o wtargnięciu na Ukrainę jednostek armii rosyjskiej. W Tesco widziałem kobiety wykupujące cukier. Inni żartują sobie ze wszystkiego w tonacji czarnego, wisielczego humoru. Ktoś oblicza, ile kilometrów jest z Gdańska do granicy z obwodem kaliningradzkim, to znaczy, ile czasu zajmuje czołgom przejechanie takiego dystansu. Profesor Bogusław Ż., którego właśnie odwiedziliśmy w jego domu pod lasem, uważa, że mimo wszystko Polska jest bezpieczna, bo sankcje gospodarcze Zachodu będą skuteczne. Potem pokazuje nam swoją piwnicę, podkreślając, że sufit jest z mocnego betonu zbrojonego stalą. Na piwnicznych półkach zapasy żywności, cukier i butelki z wodą mineralną.

Przekonywał mnie wczoraj Stanisław R., że przekleństwem polskiej – a może nie tylko polskiej historii – jest niepokrywanie się granic państwowych z granicami etnicznymi. Że wiele krwawych konfliktów na świecie wynikało i wynika z tej właśnie rozbieżności.

Pewnie miał rację, bo na świecie sporo jest tego rodzaju ognisk zapalnych. Na Bliskim Wschodzie i w Afryce kolonizatorzy dzielili się bez skrupułów strefami wpływów, zupełnie nie przejmując się tym, że chirurgicznym skalpelem brutalnie wykreślanych granic politycznych rozcinają na pół terytoria zamieszkałe przez ludność jednolitą pod względem etnicznym czy religijnym. Obecne granice Iraku czy Algierii – spadek po Anglikach i Francuzach – mogą przerazić swoją żelazną geometrią, która kaleczyła i nadal kaleczy – jak mawiali poeci romantyczni – żywe ciało narodów.

Gdy po kongresie wersalskim w 1918 roku na mapie świata pojawiły się „nowe” narody środkowoeuropejskie, żądające po długim okresie politycznej niewoli sprawiedliwego prawa do niepodległości, zachodni politycy starali się uporządkować Środkową Europę wedle aktualnie wówczas istniejącego stanu podziałów etnicznych. Taką przyjęto zasadę. Wschodnia granica Polski miała oddzielać tereny rdzennie polskie od terenów, gdzie ludność polska stanowiła mniejszość. Piłsudski uznał jednak, że Polska ma prawo mieć takie granice, jakie sama sobie wywalczy bagnetem, wersalską regułę zignorował więc zupełnie i poprowadził polskie wojsko jak najdalej się tylko dało na Wschód, włączając do odrodzonej, niepodległej Rzeczypospolitej terytoria dawnego Księstwa Litewskiego i Ukrainę. Doszło do krwawych starć o Lwów z Ukraińcami, którzy uważali, że też mają prawo do Lwowa i własnego niepodległego państwa. Wilno, uważane przez Litwinów za historyczną stolicę Litwy, zostało zajęte przez uzbrojone oddziały generała Lucjana Żeligowskiego, który utworzył tam – jak to oficjalnie określano – „niezależne od Polski, niepodległe państwo”.

Piłsudski granice etniczne miał gdzieś. Chciał z Polski zrobić wielonarodowe państwo federacyjne i stworzył je przemocą, co skończyło się niepokojami na polskiej Ukrainie w latach trzydziestych i wołyńskimi rzeziami ludności polskiej i ukraińskiej w latach czterdziestych, bo w obrębie granic państwowych Rzeczypospolitej znalazły się skłócone ze sobą narodowości i religie, które po jakimś czasie skoczyły sobie do gardła.

W Wersalu postanowiono, że o przebiegu granic północnych i zachodnich Polski zadecydują plebiscyty. Znów zatem odwołano się do kryterium etnicznego. Plebiscyty się odbyły, ale Polska je przegrała, bo Niemcy zwieźli na plebiscytowe terytoria tysiące swoich obywateli, którzy zagłosowali za przyłączeniem tych terytoriów do Niemiec. Poza granicami państwowymi Rzeczypospolitej znalazło się sporo Polaków, na przykład na Śląsku czy Mazurach. Byli oni, jeśli chodzi o ich status prawny, obywatelami państwa niemieckiego, ale nie mieli najmniejszej ochoty integrować się z ludnością niemiecką, która zresztą za Polakami etnicznymi nie przepadała, a nawet ich po prostu nienawidziła. Więcej nawet: w pewnej chwili polskojęzyczni mieszkańcy niemieckiego Śląska podnieśli zbrojną rękę na niemieckie państwo, strzałami z karabinów i armat wyrażając pragnienie, by zamieszkałe przez nich ziemie śląskie znalazły się w granicach państwa polskiego, czyli – jak dzisiaj mówimy – powróciły do macierzy.

Jak powinno zachować się państwo, którego część ludności znalazła się w granicach państwa sąsiedniego, a potem zbrojnie zmanifestowała pragnienie powrotu do macierzy? Logika historii mówi, że takie państwo nie ma wyj-

ścia, tylko słowem i czynem musi wspomóc etnicznych braci w ich dążeniu do połączenia się z macierzą.

Pytanie, czy sytuacja, o której tutaj piszę, przypomina sytuację na Ukrainie z roku 2014, czy też zupełnie nie przypomina, pozostawiam Czytelnikom, ale sam – może mylnie – dostrzegam tu, oczywiście przy zasadniczych różnicach, o których nie wolno zapominać, parę zbieżności.

Obecna Ukraina jest państwem co najmniej dwunarodowym. Żyją tam Ukraińcy etniczni, Ukraińcy pochodzenia rosyjskiego, a nawet tacy, którzy po prostu uważają się za Rosjan. Jest to skutek zakłóconych kolei narodowego losu, ale i długotrwałej polityki rosyjskiej oraz polityki ZSRR, która mocno wspierała osiedlanie się Rosjan we wschodnich regionach Ukrainy, przez co w regionach tych ludność rosyjskojęzyczna stanowi dzisiaj większość, na Krymie zaś większość przygniatająca. Co dalej z tego wynikło, wszyscy wiemy.

Czy w chwili, gdy ludność rosyjskojęzyczna, zamieszkująca wschód Ukrainy, podniosła zbrojny bunt przeciwko państwu ukraińskiemu w imię „powrotu do rosyjskiej macierzy”, Rosja miała jakiś wybór? Czy Putin mógł ot tak, po prostu, „nie pomóc braciom Rosjanom” z Ukrainy, żądającym pomocy? Przecież gdyby im nie pomógł, zostałby natychmiast okrzyknięty przez własny naród zdrajcą sprawy narodowej, co mogłoby go kosztować utratę władzy.

Podobnie, gdyby w roku 1921 rząd Polski nie udzielił zbrojnej pomocy powstańcom śląskim walczącym na terytorium państwa niemieckiego o „powrót Śląska do polskiej macierzy”, zostałby okrzyknięty zdrajcą polskiej sprawy. W walkach o Górny Śląsk wzięło udział około dziesięć tysięcy polskich ochotników i żołnierzy Wojska Polskiego z Polski centralnej, którzy nielegalnie przekroczyli granicę państwa niemieckiego i weszli z bronią na jego terytorium. Dowódcy powstania zażądali od Wojciecha Korfanteo, by proklamował tam niezależne od Polski, „suwerenne państwo śląskie”. Głównymi doradcami Korfanteo byli oficerowie z polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych. 22 czerwca 1921 roku wojska polskie otwarcie przekroczyły niemiecką granicę państwową i zajęły należący dotąd do Niemiec obszar Górnego Śląska, przyłączając go do Polski. Oficjalnie rząd polski ogłosił, że z powstaniem Polaków na Śląsku nie miał nic wspólnego. Że to polscy separatyści ze Śląska wszystko zrobili na własną rękę.

A Zaolzie, przygraniczna część Śląska Cieszyńskiego, zamieszkała w większości przez Polaków, która w 1920 roku na konferencji w Spa została przez aliantów przyznana Czechosłowacji i znalazła się w jej granicach, na co zresztą zgodził się premier Polski Władysław Grabski, licząc na pomoc Zachodu w walce z bolszewicką Rosją idącą na Warszawę? Czy rząd polski mógł w 1938 roku nie

pomóc „braciom etnicznym” z Zaolzia, którzy zawsze wyrażali pragnienie powrotu do macierzy, chociaż odbyło się to w okolicznościach historycznych wielce nieprzyjemnych (Hitler, rozbiór Czechosłowacji na mocy postanowień układu monachijskiego, itd...). Tam także – na przygranicznym terytorium państwa czechosłowackiego – Polacy tęsknili do połączenia się z Ojczyzną. W przygotowaniach do operacji „powrotu do macierzy” brał udział II Oddział Sztabu Generalnego, przewidując w wypadku „konieczności działania nieregularnego” przeprowadzanie „akcji dywersyjno-politycznych”. W listopadzie 1934 roku szef Oddziału II zalecił przeprowadzenie na terenie Zaolzia operacji z udziałem tajnej polskiej „organizacji bojowej”. W 1935 roku polscy dywersanci zniszczyli pomnik czeskiego hymnu narodowego. Organizowano przerzut broni i amunicji przez czeską granicę dla polskiego podziemia. 24 sierpnia 1938 roku polscy bojowcy zaatakowali czeskie zagrody, szkołę oraz czeskich żołnierzy. Trzydzieści pięć tysięcy polskich żołnierzy dowodzonych przez generała Bortnowskiego przekroczyło granicę i wjechało na teren Zaolzia, ku entuzjazmowi „braci etnicznych”, co swoim sarmackim piórem opisał Melchior Wańkowicz. Nawet zresztą w 1945 roku polskie władze starały się o to – zresztą bezskutecznie – by „etnicznie polskie” Zaolzie należało do państwa polskiego.

A sprawa południowo-wschodnich terenów Polski w 1947 roku? Trzeba powiedzieć wyraźnie, że po II wojnie światowej na mocy postanowień jałtańskich w granicach państwowych Polski znalazły się przygraniczne tereny w sensie etnicznym „obce”. Mieszkali tam w większości Ukraińcy, Łemkowie, Bojkowie, nie „rdzenni” Polacy. Ukraińska Powstańcza Armia, która słusznie bardzo źle się kojarzy Polakom, bo na tych terenach dopuszczała się okropnych zbrodni, niestety – co także trzeba powiedzieć – w taki właśnie okrutny sposób walczyła o ukraińską niepodległość, to znaczy o przyłączenie tego przygranicznego rejonu – zamieszkałego w większości przez ludność ukraińską czy łemkowską, a więc niepolską – do suwerennego państwa ukraińskiego, które miało powstać po III wojnie światowej.

Wielu Polaków potępia postanowienia jałtańskie jako niesprawiedliwe, jeśli decydowały one o granicach Polski, ale nie chce nawet słyszeć o tym, że Ukraińska Powstańcza Armia walczyła przede wszystkim o to, by etnicznie ukraińskie tereny przygraniczne znalazły się w granicach niepodległego państwa ukraińskiego, to znaczy także odrzucała postanowienia jałtańskie jako niesprawiedliwe w kwestii granic. Polacy jednak w tym punkcie postanowienia te uznają za najzupełniej sprawiedliwe, ponieważ – taka opinia jest powszechna – Bieszczady „były, są i muszą być nasze”. Sam fakt, że trzeba było przepro-

wadzić brutalną akcją Wisła, dowodzi, że po II wojnie tereny te, które na mocy porozumień aliantów znalazły się w granicach państwa polskiego, nie były etnicznie polskie. Wywieziono z Bieszczad około sto czterdzieści tysięcy ludzi, uznając kryterium religijne za kryterium etniczne. Grekokatolicy zostali uznani za element „etnicznie obcy”, który z Bieszczad powinien zostać wyrzucony. Kilkadziesiąt prawosławnych miejscowości zniknęło z powierzchni ziemi razem z cerkwiami. Tu także konflikt polegał na tym, że granice etniczne nie pokrywały się z granicami politycznymi, a polskie władze – niewątpliwie za przyzwoleniem ZSRR – postanowiły te granice „etnicznie uporządkować” poprzez wypędzenia i wielkie deportacje, co zresztą w końcu udało się zrobić przy pomocy czołgów i pociągów oraz wagonów, którymi element „etnicznie obcy” został z Bieszczad wywieziony w głąb Polski na podstawie wcześniej sporządzonych list proskrypcyjnych. Walczący zaś czynnie z bronią w ręku o ukraińską niepodległość zamieszkałego przez siebie terytorium Ukraińcy zostali po prostu wystrzelani przez polskich żołnierzy jako wrogowie polskiego interesu narodowego, bez względu na to, jak w 1947 roku, kiedy prowadzono akcję Wisła, przedstawiał się rzeczywisty skład etniczny tego terytorium, z którego następnie żelazną miotłą gruntownie wymieciono tysiące grekokatolików zamieszkujących bieszczadzkie góry.

A literatura? Cóż literatura ma zrobić z tym wszystkim? Politycy mają sytuację dużo łatwiejszą. Jeśli jestem politykiem niemieckim, potępiam powstania Polaków na Śląsku jako sprzeczne z narodowym interesem Niemiec. Jeśli jestem politykiem polskim, powstania Polaków na Śląsku pochwalam jako najzupełniej słuszne i zgodne z narodowym interesem Polski. Jeśli jestem politykiem polskim, potępiam walkę Ukraińców o ukraińską niepodległość Bieszczad. Jeśli jestem politykiem ukraińskim, walkę Ukraińców o ukraińską niepodległość Bieszczad pochwalam jako najgłębiej słuszną, to znaczy popieram zamiar ukraińskich powstańców odkrojenia południowych krańców państwa polskiego i wcielenia ich do Ukrainy, jako najgłębiej zgodny z interesem narodu ukraińskiego. Ale pisarz?

Pisarz nie jest od propagandy, tylko od rozmyślań nad zawiłościami historii i jej trudnym do przeniknięcia sensem, to znaczy od stawiania pytań, spośród których najważniejsze są pytania aksjologiczne. Z jakiej perspektywy takie pytania stawiać w powieści czy sztukach teatralnych? Jak w języku literatury opowiadać o bardzo różnie ocenianych przez różne strony zdarzeniach historii? Jak sumować bilans historycznych zysków i strat w opowieściach o deportacjach, czyszkach etnicznych i kolonizacjach? Pisarz-propagandysta mówi wyraźnie: dobro i słuszność jest zawsze po naszej stronie, bez względu na to, czy

jest naprawdę po naszej stronie. Pisarz, który stawia pytania, nie ma takiej komfortowej sytuacji.

Chodzi o sprawę zasadniczą. Z jakiej perspektywy literatura powinna „wymierzać sprawiedliwość” historii i współczesności? Przez jakie to aksjologiczne szkło patrzeć na historyczne zdarzenia i ludzkie losy? Czy powinna wszelkimi możliwymi środkami bronić narodowego interesu, nie oglądając się na cokolwiek, czy raczej opisywać prawdę, bo zdarza się, że w imię narodowego interesu prawda jest ukrywana, deformowana i fałszowana, a porządek uniwersalnych wartości ignorowany? Czy powinna zawsze stać wyraźnie po którejś stronie, czy raczej szukać jakiegoś nadrzędnego, obiektywnego, sprawiedliwego punktu widzenia, który nie sprowadzałby się do partykularnych odczuć, żądań, ambicji, urazów i oczekiwań? Tylko czy taki punkt widzenia istnieje i czy jest w ogóle osiągalny dla pisarza?

I dzisiaj są bowiem u nas prawdziwi patrioci pióra jak choćby ks. Andrzej, który na łamach tygodnika „Polska Niepodległa” w nieśmiertelnym duchu Henryka Sienkiewicza tak oto modli się do Boga Najwyższego o ostateczne rozwiązanie kwestii etnicznej w regionie Wilna: „I walczy jak Żołnierze Wyklęci o wartości Bóg, Honor, Ojczyzna. (...) O Maryjo, Królowo Korony Polskiej, błogosław pracy naszej i naszemu orężowi! O spraw Miłościwa Pani, Patronko naszych rycerzy, aby wkrótce u stóp Jasnej Góry i Ostrej Bramy zatrzepotały polskie sztandary z Orłem Białym i Twoim wizerunkiem, amen”.

Wkrótce u stóp Ostrej Bramy! Kiedy więc w Wilnie wybuchnie powstanie polskich separatystów, naszych braci etnicznych, marzących o powrocie Wilna do macierzy, ksiądz Andrzej zapewne będzie ich kapelanem, brodząc z krzyżem w dłoni w potokach litewskiej krwi ku chwale Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, włączającej na powrót Wileńszczyznę do Polski.

A potem znajdą się jeszcze pisarze, którzy to wszystko pięknie opiszą.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Addenda (35)

Znaki na niebie, na morzu i na ziemi, stare i nowe znaki.

I dal.

Chrzęst pocieranych o siebie kamieni.

Wbite w piach drągi, które przypominają drzewko z Godota.

Posuwanie się do przodu, tkwienie w miejscu i znowu posuwanie się, do przodu. W wietrze, w szumie i w pustce.

Ściana lasu, przestwór nieba i światło. Wydmy, suche trawy i piach.

Ludzie ze spuszczonej ze smyczy psami, agresorzy.

Długi rozwidlony u góry konar postawiony na sztorc.

W oddali poruszające się figurki, jak zjawy.

Pod wydrami, oparty o pień. Z prawej strony dwie białe mewy, z lewej biała i czarna.

Niebieski wir, świetliste pasmo, droga.

Kolorowa aureola wokół słońca i blask.

Do Wejścia 30. Przy brzegu trzy drągi wbite obok siebie.

Za Wejściem 31 krzyż z suchych pni z przyczepionym kijem u góry, z którego wyrastają gałązki z poźółkłymi igłami.

Pustka i spokój, aż pojawią się ludzie i psy.



Martwe pnie z cienkimi gołymi gałązkami.

Na konarze za Wejściem 31, osiemdziesiąt pięć kroków od morza.

Ezechiel zjada zwój księgi, który dał mu Pan. Zapisane są w nim narzekania, wzdychania i biadolenia, a dla Ezechiela jest on słodki jak miód. Są w nim słowa Pana i on ma nimi mówić. I mówi, słowami Pana, o nowym sercu i o nowym duchu.

Kamienne tablice i na nich zapisany los.

Za Wejściem 24 słupek graniczny z napisem: Versailles, 28. 6. 1919. Skrajem lasu, wzdłuż rzeki nad brzeg, do ujścia. I marsz na wschód, w stronę Wejścia 18.

Pięć starych łodzi pomalowanych w żółte, zielone, bordowe i czarne pasy. Siedzenie na rufie w DĘB-3.

Białe piórko na skraju linii fal.

Wyjście Wejściem 18. Miejsce na leśnej skarpie. Na ścieżce lśniący czarny żuk.

Sosny, korzenie, wrzosy i śpiew ptaków.

Z Dębek do Żarnowca i przez Wierzchucino do Białogóry.

Oparty plecami o pień, dziewięćdziesiąt dziewięć kroków od morza.

Pytanie, które wraca: Jaka będzie dalsza droga? I zaraz odpowiedź: Pomyśl-na i dobra.

Ruch na niebie, na morzu i na ziemi. Szare i białe obłoki i wiatr.

Leżenie. Gdy podnoszę dłoń, czuję jak uderzają w nią ziarnka.

Głośnie głosy na pustej plaży i w środku lasu są jak dysonans, jak zgrzyt.

Ryba w kałuży przy brzegu. Gdy ostrożnie wziąłem ją za ogon, żeby wrzucić do morza, zobaczyłem, że z drugiej strony nie ma skóry. Zostawiona tak, na pastwę i na żer.

Siedzenie w przejściu między wydмами. Ktoś od zachodu idzie wzdłuż linii fal na wschód.

Pas piasku i morze. A gdyby po horyzont był tylko piach, sucha i spalona słońcem pustynia?

Od pieńka osiemdziesiąt osiem kroków do morza i dwadzieścia jeden w głąb. I potem jeszcze dwa razy po pięćdziesiąt kroków, w głąb.

Na jasnym niebie blady rąbek księżyca.

Mewy i rybitwy stojące między morzem a wydмами. Gdy zbliżałem się, czujnie odsuwały się ode mnie.

Do pieńka za Wejściem 31. Trwanie tam w ciszy i w błyskach światła.

Na brzegu wśród grupy mew i rybitw duży czarny ptak z rozłożonymi skrzydłami.

Szum wzmacniany podmuchami i napływami z różnych stron i wśród nich lekki i delikatny wiatr.

Ludzie ze spuszczonej ze smyczy psami – wczoraj zaatakowały mnie dwa.

Dwa razy w głąb pięćdziesiąt pięć i sześćdziesiąt jeden kroków. Wejścia i wyjścia, wśród nacierających fal, tam i z powrotem.

Do morza dziewięćdziesiąt dziewięć kroków – nie sto, ani nie sto dwa, lecz właśnie dziewięćdziesiąt dziewięć.

Kto wprawia w ruch to wszystko, kto stwarza całą tę harmonię?

Na brzegu czarne i białe ptaki w jednej grupie, zmieszane ze sobą. Ale czarne odleciały osobno i białe osobno, w różne strony.

Gdy wracałem, słońce schodziło niżej i niżej, w feerii blasków. Wrzucałem meduzy do wody, nie wiedząc czy są martwe, czy nie.

W wąskich przejściach na mokrym piasku. Nagłe zwężenia i zagrodzenia. Trzeba się cofać, żeby je przejść i dalej posuwać się do przodu.

Wyjście Wejściem 33. Ścięte drzewa, rozkopana ziemia, kurz, pył i mimo wieczoru pracujący robotnicy.

Skwer. Pomnik Conrada. Za nim trzy krzyże, żagle, falochron i południowe wyjście z portu.

„Dar”. Jak wszystko jest na nim na swoim miejscu – pożyteczne, konieczne, zestrojone w piękną formę. Okrążał kulę ziemską, zawijał do portów, wygrywał regaty i budził podziw na całym świecie. Byłem jego częścią. To była próba z nadania Conrada. Na początku.

Za nikim nie tęskniłem, niczego nie pragnąłem, na nic nie czekałem. Wszystko było blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie daleko, jakby za siedmioma górami i siedmioma lasami.

Czas przejścia i przemiany.

Zbudowany w Hamburgu w 1909 roku (suma: 19). Pływałem na nim w roku 1972 (19). 9 lat później, w roku 1981 (19), odbył ostatni rejs, a więc pływał 72 lata (9).

Na trapie dziewiętnaście poziomych listew.

Powrót.

Od Julii wiersze Frosta w przekładzie Barańczaka: *Przystając nad lasem w śnieżny wieczór* i *Droga nie wybrana*, który jakby był o mnie.

Kim jest ten, który pisze, a potem poprawia to, umacnia i doskonali? I od kogo zależy, że jego słowa będą miały siłę i moc albo nie?

Nikt, kto ma w sobie słabego ducha, nie napisze czegoś, co mogłoby trwać.

Stań się głupim! To najlepsza rada dla tych, którzy myślą, że są mądrzy. Nie rozumiem, jak można siebie uważać za mądrego?

Strona Barssa. Celną w dół do Brzozowej i po trzydziestu trzech stopniach do furtki, pod nr 6/8A. Białe ściany, czerwony dach, zakratowane okno. Widok na rzekę i na drugi brzeg.

U Wizytek. Niespodziewanie w mieszkaniu na górze. Wszystko jest tam tak, jak było – doszedł tylko gipsowy odlew dłoni i maska pośmiertna.

Można zadawać się z Bogiem i z aniołami i można zadawać się z demonami i z diabłem. I to nie na jedno wychodzi.

Mieszkając u księdza Jana nie raz myślałem o J. A., który mieszkał na drugim brzegu, jak na drugim biegunie.

Służba to najwyższe powołanie człowieka. Lucyfer mówi: *Non serviam*. Powtarza to biedny Dedalus i wyrusza w świat.

Co stoi na przeszkodzie? Brak siły woli? Charakter? A może brak miłości – puste serce?

Wśród czarnych mnichów i jasnych cherubów, pod wysokimi łukami, na przeciw światła.

Głos organów, wtór głosów i rytm powtarzających się słów.

Na zewnątrz, za bramą, którą wychodzi się na nadbrzeże na przestrzeń, wiatr i promienie słońca.

Na brzegu rybacy. Mewy i rybitwy stłoczone na łasze w środku rzeki. Przy mostku kaczki i łabędzie. Koła ratunkowe, siatki i puste ławki.

Duch i jego znaki – wewnętrzne i te, które są na zewnątrz.

Ruiny. Za resztkami murów szczątki wież, baszt i bram.

Szum strugi, która po kamieniach toczy się w dół, do rzeki.

To, co rozbite i to, co trwa.

Zręby opoki i czas.

LESZEK SZARUGA

## Jazda (32)

84.

W trakcie czytania habilitacyjnej rozprawy Zdzisława Kudelskiego poświęconej niełatwym, a czasem skomplikowanym relacjom Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z „Kulturą” Jerzego Giedroycia natrafiłem na osobny rozdział poświęcony Andrzejowi Ciołkoszowi, z którym autor *Dziennika pisanego nocą* przyjaźnił się w Londynie i który był tłumaczem *Innego świata* na język angielski (książka ukazała się z entuzjastyczną przedmową Bertranda Russela, ale mimo to nie doczekała się należnego jej przyjęcia – lata minęły, by mógł zachodnią publiczność zainteresować *Archipelag Gulag* Aleksandra Solżenicyna, książka będąca niewątpliwie ważnym dokumentem, lecz literacko o klasę ustępująca dziełu polskiego pisarza), a który, jak pisze Kudelski, „nie należy do znanych postaci polskiej diaspory”. Szkic Kudelskiego wart jest uwagi i ze względu na postać samego bohatera, przedwcześnie tragicznie zmarłego w roku 1952, i dlatego, że prezentuje postać syna wybitnych działaczy krajowej, później zaś emigracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej – Adama i Lidii Ciołkoszów.

Lektura książki Kudelskiego przypomniała mi moją wizytę u Pani Lidii. Było to w roku 1981, gdy za sprawą „festiwalu” Pierwszej Solidarności otrzymałem paszport i wyjechałem m.in. do Londynu, by skontaktować się z Jankiem Cho-

dakowskim, twórcą emigracyjnego wydania krajowego, podziemnego kwartalnika literackiego „Puls”. W programie spotkań, jaki dla mnie wówczas Janek ułożył znalazła się też wizyta u Pani Ciołkoszowej, z którą rozmawialiśmy o dobroku emigracyjnego PPS, o spacyfikowaniu tej partii w PRL przez zmuszenie jej do „połączenia się” z komunistyczną PPR (działanie z cyklu „propozycji nie do odrzucenia”), o trwałości wizji socjalistycznych choćby w działaniach podejmowanych w półlegalnie działającym w PRL Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość, wreszcie o szansach reaktywowania partii w kraju w wypadku pomysłnego rozwoju sytuacji, w który co prawda trudno było wówczas wierzyć, ale który w bliższej lub dalszej przyszłości należało brać pod uwagę. Jak wiadomo, w kraju próbował reaktywować partię po roku 1989 Jan Józef Lipski, zaangażowała się w tą inicjatywę także Pani Lidia, uśmiercił zaś te wysiłki Piotr Ikonowicz.

Niezależnie od tego rozmawialiśmy wówczas także o możliwości opisania losów „PPS w PZPR” od roku 1948, gdy partia w powojennej Polsce została zlikwidowana: jakieś próby ocalenia jej wizji można jednak, zwłaszcza po roku 1956, prześledzić w dążeniach do „liberalizacji” PZPR, kończących się nieodmiennie dla „reformatorów” (określanych mianem „rewizjonistów”, bądź, nieoficjalnie lecz w pogardliwym tonie, „liberałów”) mniej lub bardziej spektakularnymi klęskami. Sam temat wszakże, jak sądzę, wart jest zastanowienia, zwłaszcza w kontekście obecnej sytuacji lewicy w Polsce. Fakt, że jedynym parlamentarnym jej reprezentantem jest partia, której poprzedniczka, PZPR właśnie, brutalnie się z PPS rozprawiła, budzi co najmniej niesmak. Jest natomiast swego rodzaju niešťczęściem Polski, że po roku 1989 nie mamy solidnej, typu zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji, formacji lewicowej, co sprawia, że polska demokracja pozostaje w stanie trwałej nierównowagi. I tak już chyba pozostanie na dłużej – tak długo, póki miejsce lewicy w Polsce, ale także w innych krajach uwolnionych spod dominacji sowieckiej, będzie blokowane przez postkomunistów.

Próby reaktywowania PPS, niezależnie od intencji Lipskiego i Ciołkoszowej, nie miały zresztą w latach dziewięćdziesiątych, jak myślę, większych szans na realizację. Powód po temu ma tyleż naturę polityczną, co lingwistyczną, z czego zdałem sobie sprawę, gdy zacząłem przygotowywać referat na jedną z konferencji, w trakcie której miałem się zająć rolą intelektualistów w przygotowaniu przemian w czasie wschodnioeuropejskiej „jesieni ludów” z roku 1989. Pomyślałem, że zanim się zajmę tematem głównym, warto chwilę uwagi poświęcić odpowiedzialności tychże intelektualistów – tak u nas, jak może nade wszystkim na Zachodzie, za umocnienie komunizmu w krajach ogarniętych przez Mos-

kwę. By zrozumieć, o co chodzi, należy zdać sobie sprawę ze szwindlu językowego, za sprawą którego nastąpiło dramatyczne w skutkach pomieszczenie pojęć.

Zacząć należy od pojęcia rewolucji. Określenie wydarzeń, które miały miejsce w Rosji w październiku roku 1917 mianem pisanej dużą literą Rewolucji pozwoliło traktować je jako zjawisko analogiczne do Rewolucji Francuskiej z roku 1789, a zatem jako istotny przełom w biegu historii, swego rodzaju skok mutacyjny. Mało kto zwraca uwagę na fakt, że właściwą rewolucją w Rosji było powstanie w lutym 1917 roku struktur państwa demokratycznego, dążącego do zerwania z tradycją rosyjskiego samodzierżawia. Kilka miesięcy później bolszewicy, przejmując drogą przewrotu władzę, ponownie do tej tradycji nawiązali, maskując ten fakt nazwaniem swego puczu „rewolucją socjalistyczną” i jednocześnie w pierwszej kolejności rozprawiając się właśnie z socjalistami czyli partią mieńszewików. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że podobny bieg spraw towarzyszył przejściu władzy w Niemczech przez nazistów w 1933 roku – a można ten rok wyróżnić także w dziejach Rosji, gdyż wówczas zaczęła się Wielka Czystka. Tutaj podobnie, mimo iż nazwa partii Hitlera zawierała w sobie takie określenie, jak „robotnicza” i „socjalistyczna”, pierwszymi ofiarami stali się socjaliści, podczas gdy członkowie Niemieckiej Partii Komunistycznej karnie wstępowali do NSDAP. Podobnie rzecz się miała po zakończeniu II wojny światowej w krajach, które znalazły się w strefie moskiewskiej: rozprawiano się przede wszystkim z socjalistami. W Polsce założona z polecenia Kremla w czasie wojny Polska Partia Robotnicza szantażem i represjami doprowadziła do „zjednoczenia” z Polską Partią Socjalistyczną, a opornych działaczy aresztowano.

Kolejną manipulacją językową stało się traktowanie pojęć „socjalizm” i „komunizm” jako synonimów czy terminów bliskoznacznych. Przy tym pojęcie socjalizmu uległo politycznej redukcji i sprowadzone zostało do określenia systemu, jaki panuje po objęciu władzy przez komunistów – każde inne rozumienie tego pojęcia traktowane było jako nieuprawnione.

Co przy tym najważniejsze, dość szerokie kręgi elit intelektualnych Europy przyjmowały bezkrytycznie te zabiegi propagandowe traktując Związek Sowiecki i system w nim zainstalowany jako realizację marzenia o budowie bezklasowego systemu sprawiedliwości i równości społecznej, w którym władza oddelegowana zostaje w ręce przedstawicieli ludu, chłopów i robotników. Równie bezkrytycznie – z nielicznymi wyjątkami, których przykładem może być Bertrand Russel – przyjmowali intelektualiści w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia prezentowany im w czasie specjalnie przez władze Kremla

organizowanych wycieczek po Związku Sowieckim zmanipulowany obraz życia tego kraju. Ten stan rzeczy wzmocnił fakt uczestnictwa Moskwy w koalicji antyhitlerowskiej w czasie II wojny światowej i znaczenie Armii Czerwonej w pokonaniu III Rzeszy – w oczach wielu intelektualistów dowodziło to szczególnej roli systemu komunistycznego w walce o wolność, przy czym oczywiście nie brano pod uwagę faktu, iż do wybuchu wojny przyczynił się pakt zawiązany w 1939 roku między Hitlerem i Stalinem traktując go jako zabieg taktyczny mający na celu, jak tłumaczyła to propaganda sowiecka, ochronę zamieszkującej Polskę ludności białoruskiej i ukraińskiej. Wreszcie po zakończeniu działań wojennych skłaniająca się do ideologii komunistycznej część elit Zachodu opowiedziała się po stronie Moskwy jako siły przeciwstawiającej się USA jako mocarstwu traktowanemu jak wcielenie imperialistycznego Zła.

Jest rzeczą niesłychanie ważną podkreślenie faktu, że duża i wpływowa część elit Zachodu, żyjąc w systemie demokratycznym respektującym wolność słowa uczyniła sporo, by zablokować prawdę o realiach życia w Związku Sowieckim i krajach pozostających pod jego dominacją. Więcej nawet – wielu spośród tych intelektualistów, jak choćby Jean Paul Sartre, stanowiąc bez wątpienia autorytety dla swych koleżanek i kolegów we wschodniej i środkowej Europie, umacniała ich w przekonaniu, że ideologia, ale też i praktyka komunizmu stanowią wybór właściwy i że nie należy czynić nic, co podważałoby pozycję Związku Sowieckiego. Na tej zasadzie praktycznie przemilczano wszelkie świadectwa sowieckich zbrodni, takie jak choćby książkę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego stanowiącą świadectwo łagrowej rzeczywistości: gotowy w latach pięćdziesiątych do publikacji i opatrzony entuzjastyczną recenzją Camusa tom ukazał się we Francji dopiero w późnych latach osiemdziesiątych, po ogłoszeniu *Archipelagu Gułag* Aleksandra Sołżenicyna. To, oczywiście, jeden z tysięcy przykładów, które można przywołać.

I gdy się nad tym wszystkim zastanowić, okaże się, że dość skutecznie zdemolowano w naszym regionie Europy samo pojęcie socjalizmu czy socjaldemokracji. Już samo to słowo ludziom źle się kojarzy, partia z „socjalizmem” w nazwie nie może liczyć na popularność, niepopularne wciąż też jest samo pojęcie lewicy. I w wielkiej mierze odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponoszą i nasi rodzimi, i może przede wszystkim zachodni intelektualiści niegdyś lub po dziś dzień z lewicą związani.

O tym też rozmawiałem wówczas z Panią Lidią, od której chciałem wydobyc jakiś artykuł do „Pulsu”. W rezultacie dostałem obietnicę odszukania teks-



tów pogadank o Polskiej Partii Socjalistycznej, jakie z mężem wygłaszali w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Po jakimś czasie książeczka z nich złożona ukazała się nakładem londyńskiej Puls Publications. Czy była w Polsce po roku 1989 wznowiona? Nie wiem. Jeśli nie, warto ją opublikować choćby nakładem oficyny „Krytyki Politycznej”.

85.

Sto lat temu, w jednej z gazet rosyjskich 12 grudnia 1914 roku opublikowany został artykuł Włodzimierza Illicza Lenina *O dumie narodowej Wielkorusów*. Warto może przypomnieć z niego jedno tylko zdanie: „Nikt nie jest winien, że urodził się niewolnikiem, lecz niewolnik, któremu nie tylko są obce dążenia do własnej wolności, lecz który usprawiedliwia i upiększa swoje niewolnictwo (na przykład nazywa zdławienie Polski, Ukrainy itd. »obroną ojczyzny« Wielkorusów), taki niewolnik to sługus i cham, wywołujący słuszne uczucie oburzenia, pogardy i obrzydzenia”.

Piórem Lenina portret Putina? Chyba nie tylko jego. Referując stosunek Miłosza do Rosji i Rosjan pisze Barbara Toruńczyk w szkicu *Zrozumieć Rosję*: „Szczególnie zwraca uwagę na to, że żaden inteligent rosyjski nigdy nie przyzna Ukrainie prawa do niepodległości, gdyż niezgoda na uszczuplenie potęgi Rosji jest formą rosyjskiego patriotyzmu, który nie zna zasady pokojowego współistnienia państw narodowych, a mocą tradycji zostało mu wpojone dążenie do dominacji i podboju”. I choć użycie wielkiego kwantyfikatora nie do końca wydaje się tu stosowne, to przecież z pewnością można tak mówić o przeważającej większości rosyjskiej inteligencji. Przykładem jest postawa Aleksandra Sołżenicyna, który nie podpisał zainicjowanej przez „Kulturę” Giedroycia wspólnej deklaracji przedstawicieli emigrantów z krajów pozostających w sowieckiej strefie wpływów wzywającej do przyznania Ukrainie suwerennego bytu. O ile pamiętam, kolejny rosyjski noblista, Josif Brodski także tej deklaracji nie podpisał, natomiast wolność tego państwa skwitował zdumiewającym – określając rzecz delikatnie – wierszem *Na niepodległość Ukrainy*, w którym, pogardliwie nazywając Ukraińców „chachłami”, wzywał ich by sobie poszli „po adresu na tri bukwy”, (czyli „w chuj”) i zdali się na łaskę Hansów oraz Lachów.

W tym kontekście cieszy pojawienie się – w związku z obecnymi wydarzeniami na Ukrainie – takich wypowiedzi, jak potępiający zabór Krymu *remake* wiersza Brodskiego pióra Igora Biełowa, a także wiersz Dmitrija Bykowa *Niezbi-*

te dowody, który w przekładzie Zbigniewa Dmitrocy ukazał się na łamach „Gazety Wyborczej”, w którym czytamy:

No i czego się drzecie jak debile, wylewając antyrosyjskie żale?  
Jasne, że strącili. A wam oznajmili: dowodów, że to Rosja, nie ma wcale. (...)  
Tu świętym – Judasz, bezradny jest Chrystus, krwisty zmierzch, świat zlikwidowali.  
Nie wiem, co to jest i skąd to wszystko. Dowodów, że to Rosja, nie ma wcale.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (37) Bez tytułu i daty (XXXI)

Jeden z grzechów mojego dzieciństwa wiąże się ze srokami. Za południową stroną domu w Tomaszowie Lubelskim przy ul. Petera 45 rósł ręcznie sadzony sosnowy las. Sosny, wtedy może kilkunastoletnie, stały blisko siebie, w rzędach. Na jednej z niedużych sosen znajdowało się gniazdo srok. Wdrapałem się, by do niego zajrzeć. By go bodaj dotknąć. Wypłoszyłem potrafiące już latać młode. Dorosłe sroki wszczęły hałaśliwy lament. Jeszcze mam w uszach ich skrzeczenie i trwogę. Dopiąłem swego, bo zajrzałem do gniazda, ale odszedłem zastydzony swoim uczynkiem, który potrafiłem ocenić. Były to lata, gdy ptaki, gniazda, jaja, wysadywanie, wykluwanie i karmienie młodych budziły moją z niczym nieporównywalną ciekawość.

Stara kobieta do starej kobiety na ławce w gdańskim Brzeźnie: – Ja miłowałam się z moim i mieliśmy tylko jedno dziecko, a oni się nie lubią i mają troje dzieci. Powiedz, co o tym myśleć? – Podsluchane 20 lipca 2014.

Na ważną wiadomość z przeszłości natrafiłem przypadkiem, leżała też nie tam, gdzie powinna się znajdować. Karta pocztowa wartości 2 zł z wizerunkiem pałacu w Pszczynie i pieczęcią Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego adresowana była na Listopadową 45. Dziekanat Wydziału Nauk Humanistycznych informował mnie – pismo maszynowe, odbite przez kalkę – że „zajęcia rozpo-

czynają się dn. 25 stycznia br.". Opatrzona została datą 20 I 1982. Obok słabo odbitego stempla poczty w Lublinie z 21 stycznia 1982 widnieje równie słabo odbita przestroga, że brak kodu opóźnia doręczenie. Sprawdziłem: 25 stycznia 1982 roku to był poniedziałek.

Stare i młode, wysokie, niskie, chude, grube, ładne i brzydkie. Jak czarodziejki różdżkę unosiły nad ladą metrowe i półmetrowe drewniane miary. W kupieckim misterium kretonowe, flanelowe i płócienne bele unosiły się i rozwijały w powietrzu, jakby nic nie ważyły. Tkaniny gładkie lub wzorzyste, w paski, kratę, liście, kwiaty, koła. Zdarzały się symbole tajemnicze, egzotyczne. W sklepach z materiałami rodziła się i wzbierała obietnica spełnienia: nowa sukienka, spódnica, bluzka, żakiet, spodnie albo po prostu fartuch lub poszwa na poduszkę. Dotykanie tkanin to też rytuał: palce klientek badały jego miękkość, grubość, fakturę i inne cechy. Panowała cisza i skupienie. W decydującej chwili odzywały się nożyce. Głuchy odgłos opuszczanej na ladę lub przesuwanej bali dyskretnie wybrzmiewał na finał.

Prognozy zapowiadały ochłodzenie i deszcz. Tymczasem sobotnie, sierpniowe przedpołudnie na rynku Nowego Miasta było gorące. Podniosłem głowę: słońce znajdowało się za ulicą Nadrzeczną, nad łąkami i nad Łabuńką, paliło, jak w czerwcu. Przestrzeń wokół mnie kurczyła się i deformowała. Ani moja, ani obca. Za metalowym, wysokim ogrodzeniem stał długi, pusty sklep, kiedyś kupowałem w nim dżem i masło. Czy będzie jeszcze sklepem? Chciało mi się pić. Wszedłbym do pana Pomazańskiego na wodę sodową z sokiem, ale drzwi jego mydła i powidła były zamknięte na głucho. W klitce z jednym oknem urządza agencja Poczty Polskiej. Zajrzałem przez szybę. Pochowały się duchy przeszłości, nie poruszył się nawet cień pana Pomazańskiego ani jego żony. Ciemne wewnątrz wydało mi się nieprzyjazne.

W piętrowym budynku szkoły podstawowej na Lwowskiej mieści się teraz oddział Kuratorium Oświaty. Głównej budowli towarzyszą, jak kiedyś, dwie mniejsze, parterowe. W tej od wschodniej strony spędziłem ostatnie lata, do roku 1976. Z narożną salą, najbliższą ulicy, łączy się postać pani Lucyny Segiedy, polonistki i wychowawczynie, późniejszej pierwszej czytelniczki, jeszcze w maszynopisie, mojej debiutanckiej powieści. Ona uczyła urody i rozumienia *Świtezianki*, przesłania *Minuty ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej*, *Ocalonego* i *Bagnetu na broń*. Za klasą VIIIb – zostawiłem ją w czerwcu 1976 roku – były jeszcze dwie. Są-

siadowała przyrodnicza z oszklonymi szafami, w których straszył szkielet królika, a w wypełnionych formaliną słojach jak żywe pływały żaby i płody szczura. Na drugim końcu budynku znajdowała się szkolna świetlica i stołówka. Mógłbym powtórzyć za Marią Dąbrowską: tu zaszła zmiana. Budynek wyremontowano i powiększono. Podniesiono dach i na strychu znalazły się nowe pomieszczenia: osiem okiem patrzy w przestrzeń bezrozumnym wzrokiem, nic nie wie i niczego nie rozumie. W salach i na dziedzińcu szkoły cisza, którą częściowo tylko tłumaczy wakacyjne jeszcze, niedzielne popołudnie.

Odpowiednikiem małą wśród ptaków są papugi.

## Świadectwo rozdarcia – o *Czarnej piosence* Wisławy Szymborskiej

Publikowanie książek takich jak *Czarna piosenka* budzi pewne wątpliwości. Jest to zbiór młodzieńczych wierszy Wisławy Szymborskiej, przeważnie drukowanych w prasie w drugiej połowie lat czterdziestych. Miały one złożyć się na debiut poetki, który jednak – czy to z winy cenzury, czy też dlatego, że sama autorka straciła przekonanie do tych tekstów – nigdy się nie ukazał. Do końca życia Szymborska nie zdecydowała się na wydanie tego wczesnego „niewydanego tomu”, a do późniejszych wyborów swoich wierszy włączała zaledwie kilka pochodzących z niego liryków. Czy wolno zatem publikować zbiór, którego poetka nie chciała widzieć w druku i który, z paroma wyjątkami, nie dorównuje jakością jej dojrzałej twórczości?

Taki kłopot pojawia się często przy publikacji ineditów ze spuścizny po wybitnych pisarzach. Kilka lat temu w amerykańskim środowisku literackim wybuchły kontrower-

sje z powodu wydania rozproszonych, nie drukowanych wcześniej, a często nieukończonych wierszy z notatników Elizabeth Bishop. Wiele z tych utworów jest po prostu słabych, a przynajmniej słabszych od tego, co stało się kanonem jej poezji; inne autorka uważała prawdopodobnie za zbyt ekshibicjonistyczne, żeby mogły ujrzeć światło dzienne. Bishop podobnie jak Szymborska była perfekcjonistką, publikowała rzadko i stawiała sobie w pisaniu najwyższe wymagania. Jeszcze jedno łączy amerykańską i polską poetkę: obie niezwykle chroniły swoją prywatność. Co wobec tego upoważnia wydawcę, pytała znakomita krytyczka Helen Vendler, komentując publikację rozproszonych wierszy Bishop, żeby udostępniać czytelnikom teksty odrzucone przez autorkę, teksty, co więcej, rzeczywiście dalekie od doskonałości?

Można jednak bronić pożytków płynących z tego rodzaju publikacji, bo w wypadku twórców naprawdę wysokiej rangi ważny jest nie tylko ich dojrzały, spełniony artystycznie dorobek, ale też zaplecze poszukiwań, prób i błędów, dochodzenie do mistrzostwa, ważne są początki i różne boczne ścieżki, choćby prowadzą-

ce na manowce. Ważne nie dlatego, że namaszczone przez wybitność autora, tylko dlatego, że pokazują jego drogę, warsztat, ćwiczenie dykcji, pracę wyobraźni. To, że czytelnik ma okazję zajrzeć za kuliszy, nie odbiera nic spektaklowi, który odbywa się na głównej scenie. Przeciwnie, śledzenie twórczego procesu może być pasjonujące, jeśli dopuszcza się nieuniknione potknięcia, pomyłki, świadectwa błędzenia po omacku z niespodziewanymi chwilami olśnienia. Dotyczy to także *Czarnej piosenki*.

Są w tym zbiorze trzy wiersze, w których głos Szyborskiej jest już w pełni ukształtowany: *Czarna piosenka*, którą słusznie wyeksponowano tutaj jako wiersz tytułowy dla całej książki, *Wyjście z kina* i wiersz bez tytułu, \*\*\* (*Świat umieliśmy kiedyś na wrywki...*). Ich wartość doceniła poetka, skoro właśnie te liryki konsekwentnie zamieszczała w wyborach swojej poezji. Ciekawe, że dwa z nich, *Wyjście z kina* i asceetyczny, poruszający \*\*\* (*Świat umieliśmy kiedyś na wrywki...*) powstały wcześniej, już w 1945 roku. Można by oczekiwać, że odkrywając dzięki nim swój sposób mówienia – powściągliwy, oparty na paradoksie (świat „tak wielki, że się mieści w uścisku dwu rąk”), gdzie dramat udaje się wyrazić najprostszymi środkami, poprzez oryginalne zestawienie zwykłych słów („dziewczyna o oczach

daremnych”) – Szyborska pójdzie tym tropem i będzie od tej pory rozstrzygać się w wyznaczonym przez te wiersze kierunku. Jednak nie od razu tak się stało. Rzadko chyba dojrzenie artystyczne da się przedstawić w postaci wznoszącej się bez zakłóceń linii. W wierszach Szyborskiej pisanych między 1944 a 1948 rokiem częściej niż z trafnymi paradoksami mamy do czynienia z patosem; fraza niekiedy kuleje, forma – w *Transportie Żydów* czy w *Krucjacie dzieci*, wierszu o powstaniu warszawskim – nie potrafi udźwignąć ciężaru podejmowanych spraw. A przecież jeśli pamiętamy, że ta sama poetka dekadę później w tomie *Wołanie do Yeti* zamieści przejmujący wiersz *Jeszcze*, poświęcony Zagładzie, a po latach napisze filozoficzny, uniwersalny *Wszelki wypadek*, wówczas inaczej spojrzymy na jej pierwsze próby.

Zresztą mimo wielu surowych miejsc w *Czarnej piosence* widać, że te wiersze wyszły spod pióra prawdziwej poetki. Nawet w mniej udanych fragmentach wyczuwa się oryginalną dykcję, zadatki wyrazistego stylu. Charakterystyczny rytm zdania, eliptyczność, dyscyplina intelektualna, dążenie do maksymalnej zwięzłości, rymy, które naturalnie wtapiają się w tok wiersza, dodając mu energii, ale nie wyskakując na pierwszy plan – te cechy zapowiadają dojrzałą poezję noblistki. Zdarzają

się linijki i strofki, w których, można powiedzieć, jest już cała Szymborska. Szymborska ze swoją ironią skrywającą rozpacz:

Nie przewiduje tu ustawa  
żyjących źrenic w ciałach żywych.

(O ścigających i ściganych)

Szymborska, która woli szeptać od  
krzyku, kolory stonowane od jaskrawych:

Po co, gdy serce ustaje,  
tyka na piersi zegarek –  
twarzy dotyka jak liścia  
strącony wybuchem liść?

(Pamięć o wrześniu)

Albo:

Zagmatwana ścieżyna w konary i chwasty.  
Biorę oddechem leśny zapach cienia.  
W dobrej pustce od nowa męcząco  
lęk i tamte wspomnienia.

(Piąta część cyklu *Janko Muzykant*)

Wreszcie Szymborska dowcipna, pomysłowa, jednym porównaniem spinająca rzeczy małe i duże, jak w opisie zabaw na podwórku:

Kółko któregoś z dzieci –  
ziemi odjęty równik.

(Trzecia część cyklu *Dedykowane Poezji*)

O tych tuż-powojennych lirykach dwudziestokilkuletniej poetki, teraz zgromadzonych pod jedną okładką, wnikliwie pisał Jacek Łukasiewicz

w szkicu *Wczesne (i późne) wiersze Szymborskiej* ze zbioru esejów *Jeden dzień w socrealizmie*. Analizując teksty z niewydanego tomu, zauważył, że młoda Szymborska była rozdarta między ciemną, elegijną, pełną apokaliptycznych wizji poetyką, w jakiej tworzyli jej warszawscy rówieśnicy, którzy zginęli w powstaniu, a rewolucyjnym zapałem i wiarą w „nowy ład”. „Zmarli i żywi – notuje Łukasiewicz – przeszłość i przyszłość, żal po poległych, poczucie klęski i radość budowniczego, nadzieja, poczucie odnoszonego zwycięstwa – wszystko to w tych wierszach występuje”. Za kilka lat szala przechylił się na stronę „radości budowniczego”, czego wyrazem będą pierwsze dwa tomiiki Szymborskiej. Z tego zaślepienia ideologią poetka rozliczy się sama ze sobą w trzecim zbiorze, *Wołanie do Yeti*. Jednak najwcześniejsze wiersze, które ostatecznie nie stały się jej debiutem, wprawdzie mówią również o „ludach walczących o wolność, ludach broniących pokoju”, i o tym, że „wyprzedzi komunikaty radosny serc alarm”, lecz przede wszystkim są zapisem żałoby. Świat w tych wierszach przypomina „ziewające od wybuchu okno”, w którym został „tylko promyk szkła” (*Pamięć o styczniu*). I jeśli pojawia się optymizm, to wydaje się on tak kruchy jak ten promyk szkła właśnie, który może zabłysnąć iskierką światła, ale który nie ogrze-

je. W *Zaduszkach* narratorka oświadcza: „Nie przyszłam tutaj po żal”, lecz żeby „znaleźć, chwycić, przygarnąć. Życ”. Wątle brzmi ta deklaracja, wypowiedziana na cmentarzu, gdzie jedyne, co można zrobić, to sprzątnąć stare liście z grobu i sprawić, by cisza nie była „ciszą lęku”, tylko „ciszą prób”.

Najbardziej osobisty z tych żałobnych utworów to *Janko Muzykant*, cykl pięciu elegii poświęconych ukochanemu, który zginął w trakcie konspiracyjnej misji. Motyw poległego narzeczonego pojawi się później w pięknym wierszu *Sen* z tomu *Sól*. Lecz chociaż *Sen* jest nieporównywalnie lepszy, gęsty od obrazów i znaczeń, a zarazem oczyszczony ze wszystkiego, co zbędne, to we wczesnym cyklu odzywa się szczególnie ciekawy ton. Jest w nim emocjonalna bezpośredniość, gniew i naga rozpacz, na które poetka w przyszłości sobie nie pozwoli. Swoim wierszom miłosnym będzie nadawać formę piosenkową, ubierać je w konwencję buffo czy „mieszcząńskiej dramy”, skutecznie chroniące przed sentymentalizmem; będzie tworzyć uniwersalne modele sytuacji uczuciowych, dramatów międzyludzkich, w których biograficzny konkret jest starannie zaszyfrowany. W *Janku Muzykancie* ten niepowtarzalny konkret jeszcze prześwituje przez detale niepoddające się uniwersalizacji: deszcz

krzyżujący plany działającego w podziemiu chłopca, jego zdumione oczy i „zakłopotaną linię ust”, urywane słowa w trakcie trudnego pożegnania.

Wróćmy jeszcze do dziecięcych gier na podwórzu i toczzonego patykiem kółka jak odjęty ziemi równik. Ponieważ w *Czarnej piosence* dominują wątki wojenne przeplatane wizjami nowego lepszego świata, łatwo przeoczyć to, jak uważnie młoda Szymborska przygląda się codzienności – tej najbliższej, ukrytej w drobiazgach. Najwięcej takich migawkowych obserwacji rozrzuconych jest w cyklach *Z autobiografii Dnia*, *Dedykowane Poezji* i *Wędrówki*. Oto na przykład opis kota:

Cień o ruch gęstszy od zmierzchu  
w skos przeszywa podwórko i znika.

W tym samym wierszu: „jasne okno, krzyżowany kwadrat / pada z góry i kamienie świecą”. Gdzie indziej „kolor dnia jest z nieba i liści”. Jakiś ptak „z dnia słonecznego wypadł, / w ociemniałe wtrzępotał się wnętrze”, a kiedy zostanie wypuszczony z powrotem na wolność, „wyjrzą za nim ze zdziwionych kątów oczy książek i oczy godzin”. Pojawiają się w tych wierszach upstrzone afiszami mury, targ z zachwalającymi towary przekupkami, zaspani ludzie na przystanku tramwajowym, którzy z samego rana „wzajemnych próbują słów”. Nawet przegadana *Niedzie-*



la w szkole ma fragmenty dobrze, plastycznego opisu: „W ławkach z pustoty i nudy / trzeszczało życie drewniane. / Wycinanki łączone za ręce / obtańczyły klasę w podskoku. / Na szafie próżnował globus – / przedmiot jutrzejszych godzin”. We wszystkich tych notatkach z rzeczywistości Szymborska operuje delikatną kreską, półtonami, znajduje świeże, ożywcze słowa dla powszednich widoków.

*Czarna piosenka*, debiut, którego nie było, nie jest z pewnością fajerwerkem genialnych wierszy. To jednak książka potrzebna i na swój sposób bardzo poruszająca. Zbyt często się zapomina, że Szymborska zaczynała swoją poetycką drogę nie od ideologicznych laurek, tylko od wierszy próbujących uporać się z doświadczeniem wojny, od zapisów utraty, od kameralnych medytacji o bliskim zmarłym. Wydanie „nie-wydanego zbioru” uzmysławia, że u początków tej poezji były rozdarcie i rozpacz, ujęte z czasem w karby doskonałej formy, opanowane mądrością, kontrowane humorem, lecz nigdy nie przewyciężone do końca.

Krystyna Dąbrowska

Wisława Szymborska, *Czarna piosenka*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

## Bez uzasadnienia

Nie pamiętam kiedy i nie pamiętam, czy kiedyś tak trudno było mi opowiedzieć o lekturze, jak teraz, gdy mam przed sobą najnowszy tom wierszy Adama Zagajewskiego; choć takie określenie: najnowszy tom wierszy Adama Zagajewskiego od razu okazuje się nie na miejscu. W tym chyba jest przyczyna trudności. Bo nie potrafię patrzeć na tę książkę, czytać tej książki, jak „zagląda się” do kolejnej „pozycji” poety, wielkiego poety (niezależnie, jak ten epitet zinterpretują ironiczni złośliwcy). Mówiąc o wielkości, nie mam na myśli jakiegś „rankingowej” klasyfikacji. Myślę o czymś, co bliskie jest wspólnałości, obszerności ducha, gościnności serca.

Czytam jego książki od dawnego początku. Znam przeobrażenia „kanonu” i duszy, nie był mi obcy tembr polemiczny, czy – sarkastyczny w wypowiedziach młodych (albo – młodszych) komilitonów poetyckich batalii. A jednak ta *Asymetria* wydaje mi się tomem wyjątkowym, jedynym takim – choć przecież o każdym poprzednim można by tak powiedzieć. Można by. Tyle, że ten wzbudza emocje i refleksje odbite od mniej (niż w tamtych) powściąganym emo-

cji i refleksji poety, który wie, jak jest widziany i czytany, ale który tym samym, niezależnie od siebie widzianego i czytanego, uświadamiając sobie bezbronność i bezsilność wobec tego, co – większe od niego, od jego myśli i wiedzy, instynktu i intuicji – jest asymetryczne.

Enigmatyczne „to” jest obojętne. Ale uwydatnia także naszą mimowiedną obojętność. Ten motyw ustawicznie przypomina o swojej nieustępliwości, elegijny i głęboko ironiczny. To znaczy nie broniący się, ani atakujący ironią, ale – cierpiący jej bezlitosne światło. Jeśli można mówić o świetle ironii. Wydaje się, że właśnie w tej liryce wyraźnie je widać.

Powiedziałbym tak, jak Adam Zagajewski mówi o linijkach *Chopina* Gottfrieda Benna: „te linijki ironiczne i czule zarazem”. A mowa jest o tych trzech: „kiedy Delacroix wygłaszał swoje teorie / stawał się niespokojny, on bowiem / nie potrafiłby uzasadnić nokturnów”. To w – otwierającym tom – wierszu o powrocie z pogrzebu ojca, *Nigdzie*, okazuje się zasadniczą rewelacją i konkluzją książki: „Jedno wiedziałem: także nocy nie trzeba / uzasadniać, ani bólu, nigdzie”.

Poeta wpatruje się tym razem i wnurza w to istniejące (zaistniewające?) bez uzasadnienia.

Wpatruje się? Wnurza? Wżywa się. Jak w tym niedokończonym li-

ryku Mickiewicza: „Wysłuchać się w szum wód głuchy, zimny i jedynki / I przez fale rozeznac myśl wód jak przez znaki / Dać się unosić wiatrom, nie wiedzieć, gdzie lotnym / I zliczyć każdy dźwięk w ich ruchu kołowym / Wnurzyć się w łono rzeki z rybami / Ich okiem niewzruszonym jak gwiazda...”.

Zaskakuje mnie to – nieoczekiwane przypomnienie – skojarzenie. Jakby ten Adam przejął od tamtego Adama sukcesę pochwytywania tego, czego nie trzeba uzasadniać.

Och, brzmi jak egzegetyczna pięknotka, a nie dla pięknotek usiłuję pojąć i czule zrozumieć *Asymetrię*.

To oko niewzruszone jak gwiazda uwydatnia mi – tak wyraziście unaocznianą w wierszach *Asymetrii* – obojętność świata. Ale i naszą – tę mimowiedną – obojętność, czy nieuważność. Obcość. Konfrontowaną ze śmiercią.

Śmierć jest – paradoksalnie – siłą napędową wielu wierszy tego tomu, wielu przeżyć (!).

W gruncie rzeczy jest zasadą tytułowej asymetrii. Bezmierność i miara śmierci, jej nieważkość i waga psują wszelką możliwą symetrię.

Nie – teoretyczna, czy – aposterioryczna: śmierć jako pojęcie czy uznanie faktu. Nie. Tu jawi się jako „efekt” odjęcia życia, odebrania życia, zabójstwa... Jako coś całkiem in-

nego niż pojęcie, które jeszcze przed półwieczem mogło być przywłaszczając sobie (niezależnie od pogwałceń drzwiących zbrodniczo z tej uzurpacji) majestat śmierci.

O żadnym „majestacie śmierci” nie ma mowy w wierszach Zagajewskiego. Śmierć jest faktem zmieniającym znaczenia i sensy zdarzeń i bytów. Śmierć ojca, matki, mężczyzn i chłopców w Srebrenicy, pana Władzia, Mandelsztama, Jerzego Hordyńskiego, Ruth Baczyńskiej, Krzysztofa Michalskiego, Brechta, kuzyna Hanesa...

Czy przeznaczeniem (powołaniem) poety jest żegnanie umarłych?

Żegnają umarłych, ich wargi poruszają się. Patrzają jak stare drzewa pokrywają się zielonymi liśćmi.

Długo milczą, potem śpiewają i śpiewają, aż pęknie gardło.

Zbyt efektownie (efekciarsko), za łatwo byłoby powiedzieć o tych wierszach, że są liryką „pękniętego gardła” (tak jak mówi się o pękniętym dzwonie czy pękniętym sercu). A przecież to śpiewanie wypływa z długiego milczenia i niesie się, „aż pęknie gardło”.

Milczenie poety jest mimetyczną czułością przejęcia milczenia świata. W opozycji do świata. Czy w opozycji wobec świata. Milczącego:

Purpurowe obłoki na niebie nie mogą nam nic powiedzieć. Świat znowu milczy.

Albo gdzie indziej:

Było dużo obcości i obcość milczała.

Milcząca obcość jest winą. Jest winą nie roztopioną w jakiejś powszechnej obcości, ale w obcości mnie jednego, mnie artysty, mnie „wyrażającego się” językiem sztuki.

Dlaczego sztuka milczy, gdy dzieją się rzeczy straszliwe, dlaczego jej wtedy nie potrzebujemy – tak jakby rzeczy straszliwe wypełniały świat całkowicie, kompletnie, po sam dach.

Nie wiemy, czym jest sztuka.

No, bo nie wiemy. Nawet wtedy, kiedy czujemy miłe doskwieranie tak zwanej „własnej wartości”, nie wiemy. Chwała Bogu!

Nie zmniejsza to jednak poczucia winy, nie zmniejsza samej winy.

Milczenie, obcość, nieuważność są wyrazami (wyrzutami) asymetrycznego sumienia.

Świat milczy i milczy poeta, nieuważny turysta na nieuważnej ziemi.

W natrętnym pytaniu: „Dlaczego sztuka milczy, gdy dzieją się rzeczy straszliwe” przegląda się linijka innego wiersza: *Hans Frank, subtelny znawca sztuki, morderca*. Ten wiersz („1943: Werner Heisenberg z wizytą u Hansa Franka w Krakowie”) jest jak wypukłe, okrągłe lustro, w którym odbijają się inne wiersze tej książki, ale także – co może jest niezupełnie oczywiste – jej bohater: nieuważny

turysta, który kocha światło. Na czas wiersza wydaje się być (ściślej: jego odbicie w wierszu wydaje się być) kimś takim jak Werner Heisenberg w tej szczególnej sytuacji spotkania z kolegą szkolnym jego starszego brata. Heisenberg myśli i widzi słowami Adama Zagajewskiego, ale to nie jakaś tam odmiana „liryki roli”. To są rozpoznawalne słowa myśli i widzeń poety. Oddychające w wielu jego wierszach:

w górze chmury fioletowe i groźne,  
w dole miasto jak matowe lustro.

Był grudzień, matowy miesiąc.  
Cząstki elementarne milczały.  
(...)

Nie mógł zrozumieć tych chmur,  
tego lustra (...)

W swojej autobiografii pominął ten epizod, w końcu – bez znaczenia. To, co nieme niech pozostanie nieme. Tak myślał.

Ale też postać Hansa Franka substytuuje w tym wierszu morderczo obojętną chimerę, w której potrzebność sztuki żyje w homeostazie z rzeczami straszliwymi.

Muzą *Asymetrii* jest matka. Jej mądrość, czułość i identyczność we wszystkich przemianach losu. Śmierć matki, pośród śmierci innych, odsłania istotną rzeczywistość świata, wartościuje jego sens. Sens świata milczącego i obcego. Świata, w którym wiosną kwitną „przebiśniegi (*Galanthus nivalis*), / kwiaty-zwiadowcy, / delikatne i silne zarazem”.

Ta siła delikatności przebija się przez wszystkie wiersze tomu. Może to ona umożliwia olśnienia ową dziwną mądrością, przeczuwaną przez dziecko, a osiąganą w późnym wieku:

Teraz już wiedziałbym na pewno  
jak być dzieckiem, wiedziałbym  
jak patrzeć na oszronione drzewa,  
jak żyć nieruchomo.

*Bogusław Kierc*

**Adam Zagajewski**, *Asymetria*, Biblioteka Poetycka pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 82, Wydawnictwo a5, Kraków 2014

## Studnia pamięci

Piotr Szewc, o czym warto przypomnieć, debiutował w drugim obiegu w roku 1983 tomem poetyckim *Świadectwo* i choć później głośniejsze były jego książki prozatorskie, to przecież pisanie wierszy nie zaniechał, czego dowodem wydany właśnie zbiór *Cienka szyba*, który nie tyle jest kolekcją utworów napisanych w ostatnich latach, co rozpisany na fragmenty poematem przenoszącym czytelnika w przestrzeń dzieciństwa i młodości spędzanych w celowo tu chyba bardziej sprowincjonalizowaną niż to ma miejsce w rzeczywistości zamojską krainę. W tej wędrówce towarzyszy bohaterowi tych wierszy –

Piotrusiowi – postać bodaj najczęściej tu przywoływana, pies Cygan. Nie jest to też wędrówka bezpieczna, skoro w puencie czytamy:

jestem spragniony wpuszczam wiadro do  
studni korba znajomo terkocze  
Piotrusiu broń Boże woda jest zatruta

(Zatruta woda)

Zatruta woda wspomnień, przywołań, przypominania? Czy dlatego, że większość przywoływanych w tych wierszach postaci już odeszła, znalazła się po drugiej stronie? A przecież wciąż odczuwa się z nimi więź:

może potrzebujecie  
dotyku słowa czegoś innego jesteśmy oddzieleni  
cienką szybą poczekajcie ona się stłucze  
wcześniej  
lub później

(Cienka szyba)

Gdy czyta się te wiersze, ma się nieodparte wrażenie, że skierowane są one bardziej do zmarłych niż do żywych, że są po prostu rozmową z umarłymi, gdyż tylko w takiej rozmowie ocalić można pamięć, więź wspólnotową, własną wreszcie tożsamość i zanikający świat, jaki tworzą „ścieniiska chruśniaki leśmiany” (Szewc kultywuje więc pamięć o rejencie z Zamościa, postaci ze znikłego świata zgładzonej wyobraźni: tu przypomnieć warto pierwszą powieść pisarza, którą jest *Zagłada* –

może tu gdzieś odnaleźć można zatrute źródła studziennej wody).

Ale też stanowią te utwory gorzką pochwałą prowincji i prowincjonalnej, utraconej bezpowrotnie młodości. Warto zwrócić uwagę na fakt, że nie jest tu Szewc jedynym poetą podążającym tym tropem, by wspomnieć choćby tom Michała Jagiełły *Goryczka, słodyczka*. Obu tych twórców łączy nadto podobny tryb narracji, pozornie prozatorskiej, epickiej, o zwolnionym rytmie, ale też szerokim oddechu. To wspomnienie świata, w którym, jak w otwierającym tom wierszu *Amoniaczki*, „zjawiska sprawy rzeczy szczelnie do siebie / przylegały”. Ten świat się rozpadł, rozsypał, rozplynął w bojaźni i drżeniu współczesności – nic zatem dziwnego, że epicka opowieść rozbita zostaje na zbiór lirycznych fragmentów, migawek, urywków, które co prawda tworzą całość, lecz już nie składającą się w raz na zawsze za-komponowany witraż, lecz kalejdoskopową, ruchomą, zdaną na przypadkowy bieg skojarzeń:

myślałem że tak już będzie tymczasem piec  
wystygł jabłka zgniły wrony  
wydziobały kukurydzę tyle pustego miejsca  
dokoła we mnie ciemność  
rozrasta się słowa gasną

(Snop światła)

Tym gasnącym słowom przeciwstawiają się wplatanie w tok narracji

modlitewne fragmenty („płyną gorzkie żale chleba naszego / powszedniego”) przypominając o coraz bardziej dyskretnej obecności *civitas Dei* w zeświecczonym *civitas homini*. I „znowu palce przesuwają się / po szklanych paciorkach niech zwykłe twoje moje nasze sprawy / toczą się swoją koleją” (*Owoc żywota*),

głodne koty miauczą pod sienią dobrego Jezusa a nasz Panie dusze płaczą  
w proch się obróciś powiedział ksiądz słuchając go bez sprzeciwu

(*Gawrony przyleciały*)

W istocie żyjemy w przestrzeni zakreślonej kredowym kołem, którego, za sprawą magicznych zaklęć, przekroczyć się nie da, jak w puencie nawiązującego do szkolnych lekcji geografii zrównujących „wielki świat” znaczone nazwami Nilu czy Alp z prowincjonalnym światem małego miasteczka: „krążę wracam pukam zamknięte / na głucho coraz bardziej pusto choć same znajome głosy prawda / że milkną” (*Kredowe koło*). Cisza, milknięcie, wygłos przeszłości sprawiają, że „słowa więzną albo ich całkiem / zabrakło” (*Owoc żywota*). Echo przeszłości odzywa się egzotycznymi dźwiękami: „dziadek klepie kosę”, „kury sennie gdaczą” (*Kształt chwilowy*). Trwa przemijanie – niespieszne, lecz bezlitosne, nieuchronne. Nie budzi lęku czy przerażenia, ale coraz trudniej znaleźć dla niego

wyraz, wpisać w powolny rytm wiersza tak, by napędzić go sensem. Śnieg zasypuje ślady istnienia:

z najdalszej włóczędzy wrócił pies Cygan daremnie szuka budy  
młode sowy przelatują wieczorem nad podwórkiem  
bezszelestnie jakby wiedziały że tak trzeba

(*Tak trzeba*)

Cóż – pewnie tak trzeba: pogodzić się z przemijaniem, zawiesić pytania o sens i, mimo wszystko, pić ze studni tą zatrutą wodę pamięci.

*Leszek Szaruga*

**Piotr Szewc**, *Cienka szyba*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014

## O czym pisze Julia Hartwig?

Pierwszy tom dziennika Julii Hartwig obejmował lata 2008–2011, teraz przysłała pora na tom drugi, który zamyka się w latach 2011–2013. Dziennik nie jest w twórczości Julii Hartwig nowym gatunkiem, wystarczy przypomnieć *Dziennik amerykański*, wydany w 1980 roku. Kiedyś jednak poetka prowadziła zapiski przede wszystkim w podróży i była to swego rodzaju zasada w jej twór-

czości, stroniącej od wynurzeń, zwierzeń, psychologizmu, czy nawet zbyt jawnego zainteresowania innymi, z obawy że mogłoby się to przełożyć w pospolite plotkarstwo. Julię Hartwig cechuje pewna powściągliwość, zawsze pozostaje na poziomie klasycznego intelektualizmu, nawet wrażeniowość, sensualizm mocno zaznaczony w poezji, w zapiskach prozą pozostaje pod kontrolą.

Notatki podrózne zawsze powstają na styku doznającego „ja” z rzeczywistością zewnętrzną. Ciekawość jest w podróży naturalna i mocno stymulowana przez otoczenie, zwłaszcza jeśli jest ono nowe i dostarcza wielu wrażeń. W obecnie powstających dziennikach, w których co jakiś czas pojawiają się również zapiski z krótkich podróży, ta zasada nadal obowiązuje: Julia Hartwig raczej nie zagłębia się w siebie, interesują ją punkty zetknięcia z lekturnami, ludźmi, zdarzeniami.

Istnieje wiele systematyk dzienników, ale ponieważ gatunek ten zakłada wolność, a zasady prowadzą się do sekwencji chronologicznie powstających wpisów, żaden z podziałów dzienników na typy nie może być ostateczny i całkowicie wystarczający. Znamy jednak typ dziennika intymnego: tu pewne ekstremum stanowią zapiski Amiela, skoncentrowane na doznaniach wewnętrznych, mistycz-

ne. Z drugiej strony dziennik może być po prostu kroniką, bardzo różnie ukierunkowaną, na sprawy polityczne, dotyczące autora zdarzenia codzienne, kłopoty i przeżywane trudności. Taką skrótową kroniką jest na przykład *Kronos* Gombrowicza, uważnie i nie bez aprobaty czytany i omawiany przez poetkę w II tomie jej dziennika. Dzienniki Julii Hartwig czasem bliskie są kroniki literackiej, choć stanowią też dziennik intelektualny, relacjonujący lektury i związane z nimi przemyślenia. Trzecim typem zapisów są portrety znajomych, pojawiające się z reguły z okazji ich śmierci. A że okazji takich było sporo, to w tomie drugim pojawia się świetna, rysowana czułą ręką sylwetka Jacka Sempolińskiego, wspomnienia o Wisławie Szymborskiej, Marku Skwarnickim i Tadeuszu Mazowieckim.

Trudno nie zauważyć, że kronika literacka pojawia się w okresie, gdy życie literackie straciło żywy puls, przestało napędzać zainteresowanie dziełami, a przynajmniej bardzo zmieniły się jego formy – na towarzyskiej giełdzie liczy się teraz medialność. Julia Hartwig, autorka dziennika, to jednak nie tylko obserwatorka rzeczywistości. Ona ją stwarza. To charakterystyczne, że nie pociąga ją sądzenie współczesności, wystawianie jej rachunku, prowadzenie z nią sporu ideowego czy ro-

mantyczna postawa wadzenia się ze światem. Interesuje ją afirmacja: ludzi, sytuacji, postaw. To także jest klasyczne, związane z tradycją zapoczątkowaną przez starożytnych. Zwyczaj każe pisać o zmarłych dobrze, *de mortuis aut bene aut nihil*, mówi łacińska maksyma, ale u Julii Hartwig to coś więcej niż zwyczaj i zakaz obyczajowy, to postawa i świadomy wybór.

W ten sposób dziennik staje się jej własnym środowiskiem życiowym, wytwarzanym codziennie światem literackim, w którym wydarzeniami są lektury, spotkania z twórcami, podróże na spotkania z publicznością, spragnioną wierszy. A jeśli tego zabraknie – zawsze są wspomnienia, i to bardzo bogate, w których pojawia się mąż – poeta czyli Artur Międzyrzecki, przyjaciele Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska czy poeci zagraniczni spotkania w Stanach Zjednoczonych czy we Francji. Formą spotkania są też często lektury książek biograficznych poświęconych poetom amerykańskim, oczywiście w oryginale.

Podkreślam ten element kreacji własnego świata, bo zdaję sobie sprawę, że w wielu wypadkach Julia Hartwig przechodzi mimo spraw, które mogłyby, przedstawione inaczej, rysować się jako sporne. Wiele środowisk i osób pozostaje w konflikcie – i trwa w stanie oddalenia,

żywiąc jakieś zadawnione urazy. Kreacja dziennikowa Julii Hartwig to dowód jej osobistej niezależności. I jednocześnie dowód, że autonomia dzieła jest pewną umową.

Jak sędzę, twórczość poetycka Hartwig bardzo potrzebuje bogatego tła życia literackiego i płynących stąd pozytywnych impulsów, aby się wciąż rozwijać. Ten dziennik zdołał więc wykreować bogaty świat, w którym są przede wszystkim pomocni przyjaciele, wdzięczni czytelnicy, dobrzy wydawcy, zainteresowani dziennikarze. W tym świecie sporą rolę odgrywa także „Kwartalnik Artystyczny” i jego redaktor, i także nie małą – „Zeszyty Literackie”. Nie jest to ani cała, ani naga prawda o rzeczywistości. Gdy pewnego dnia, tuż po spotkaniu z Tadeuszem Konwickim, Julia Hartwig upada i doznaje bolesnego złamania komentuje się to tak: „I wtedy zdarzyło się to, co zdarzyć się nie musiało”... Szpital, badania, ból, konieczność leżenia przez kilka tygodni – i w efekcie więcej czasu na pisanie dziennika. Nie trzeba dodawać, że szczegółowy opis odczuwania bólu i innych cierpień nie wszedł do dziennika, gdyż sprzeczny byłby z postawą afirmacji. No cóż, jeśli ktoś stwarza własny świat, to nie po to by cierpieć, ale po to, by czuć się dobrze.

Dziennik Julii Hartwig jest jej prywatnym przewodnikiem po życiu



bogatym, twórczym i szczęśliwym. To nie jest oczywiście ani stan powszechny, ani norma. Ale czy nie do tego należy dążyć?

*Anna Nasiłowska*

**Julia Hartwig**, *Dziennik* tom 2, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

## Dane do autobiografii

Nowa powieść Leszka Szarugi opowiada o kimś, kto powinien urodzić się w pewnym kresowym mieście, ale przyszedł na świat, dojrzał i uczył się w mieście skupiającym uchodźców z dawnej Polski, kształtował się w kręgach przyjacielskich swojego pokolenia, obserwował wraz z nim to wszystko co działo się w życiu polskim na przestrzeni lat, aby dotrzeć do kulminacji historii, którą okazują się wielkie strajki robotnicze i wybór papieża Polaka i zaczyna się budowa nowego świata, choć wspólnoty nieuchronnie kurczą się i rozpadają. Horyzont doświadczenia zaczyna się więc rysować w Wilnie, nabiera wyrazistości w Szczecinie, wchłania w siebie również Kraków.

I okazuje się, iż osobnik ten chce, po raz kolejny zmierzyć się z zawartością własnej pamięci i przysp-

lić jakąś rozstrzygającą formułą kwestię swojej tożsamości. Narrator tej historii przypomina autora powieści, korzysta z jego pierwszoosobowej wiedzy, ale, jak się wydaje, nie jest nim do końca. Bowiem zapiski, z których korzysta, aby reanimować przeszłość, urywają się w pół słowa, zatem morału nie ma, zakończenie możemy sobie dopisać.

Biografia narratora-autora zaczyna się w roku 1947 i rozwija przez prawie pół wieku. Na swój sposób, choć Szaruga nie zgodzi się być może z takim określeniem, mamy do czynienia z powieścią z dziedziny historii najnowszej.

Wydarzenia, które wstrząsnęły środowiskiem autora powieści – a także jej bohaterem – były wielokrotnie opisywane, interpretowane i waloryzowane. Ale, jak wiadomo, nie ma jednej wersji dziejów współczesnych, choć nie sposób zmienić wydarzeń, które owe dzieje fundują.

Historia grupy przyjaciół jest więc zarówno powszechna, jak indywidualna. Ich rozmowy, ich opozycyjne działania, ich wybory ideowe zależą od punktu startu i doświadczenia rodzinnego. Ich umysły są poddawane presji miejsc, czyli miast pochodzenia, kształtują je obyczaje społeczne PRL, które dziś mało kto pamięta. Szaruga prowadzi więc – przede wszystkim – dialog z samym sobą, ale chce wciągnąć w ten dwu-

głos również czytelnika, chce przekazać mu niepowtarzalne emocje lat wielkich zrywów i bezinteresownych zaangażowań.

Słowem, chce w powieści przedstawić świat, który wciąż czeka na kształt powieściowy, wypracowany przez autora z pewnego pokolenia, autora, pochodzącego z jego wnętrza. Jest to zadanie trudne, Szaruga zaś wybrał drogę, która od czytelnika wymaga skupienia i dobrej woli. Co mam konkretnie na myśli?

Rozmowy, wymiana poglądów, gęsto zaludnione środowisko młodych ludzi, którzy nieustannie wyławiają swój myślowy temperament w komentarzach – ale ich twarze pozostają dla czytelnika zamazane, mało wyraziste. Portret psychologiczny Szarugi – jako pisarza – mało interesuje, interesują go bowiem „dane elementarne”. Z nich ma powstać „portret tożsamościowy”. I tutaj można by zacząć dyskusję skupioną wokół pytania: jak wspólne elementy życiorysu przekształcają się pod wpływem wydarzeń zewnętrznych, słowem, jak żyjemy historią, skoro ona również karmi się nami?

Główna scena tej opowieści – miasto Szczecin – stała się w ostatnich latach widownią ciekawych piarskich czynów (Iwasiów, Helbig). Szaruga dokłada do nich własną fabułę, z takim oto komentarzem:

„Gdy dziś to wszystko odtworzam, nie wiem już, czy pisać w pierwszej osobie liczby pojedynczej, czy liczby mnogiej. Czy ważniejsze jest to, kim wtedy byłem ja, czy to, kim byliśmy? Jeśli to drugie, wówczas pojawiają się kolejne pytania, na które nie sposób odpowiedzieć jednoznacznie. My – to kto? Nasza rozpierzchła po całej Polsce grupa szczecinian? Jakaś wspólnota ludzi odczuwających bieg zdarzeń jako inwazję kłamstwa i przemocy? A tak, to w jaki sposób mógłbym pogodzić ze sobą te różne wybory, których dokonywaliśmy?”.

Dzieje młodzieżowych wspólnot połączonych wspólną szlachetną ideą nie od dziś są tematem literackim. Jego atrakcyjność zależy zaś – w moim mniemaniu – nie tylko od epoki, do której metrykalnie przynależą, lecz również od wyboru narracji, która będzie niosła taką opowieść. Szaruga wybrał, dość powszechne dziś, sondowanie pamięci, która buduje indywidualną tożsamość. Czy dowiedział się kim był i kim jest? Na takie pytanie trudno odpowiedzieć. Jeśli założyć, iż czasy autora okazały się bohaterskie, nie musi to oznaczać, iż on sam, jako człowiek zaangażowany, posiadał cechy heroiczne. Myślę tyleż o bohaterze literackim, co o autorze – bo sam autor postawił mnie przed taką dychotomią.

Czy „polskie rozmowy”, które są obficie relacjonowane w powieści, mają jeszcze dziś swój pierwotny ogień, czy też został z nich tylko popiół, wspomnienie ważne dla autora, mało znaczące zaś dla dzisiejszej publiczności czytającej?

Jeśli gromadzę tutaj pytania, nie udzielając na nie jasnej odpowiedzi, upoważnia mnie do tego metoda pisarska jaką Szaruga wybrał. Sondowanie przeszłości niełatwo poddaje się wartościującym ocenom, autor raz po raz wychyla się spoza swego tekstu, bo tylko on jest sędzią w powikłanych sprawach środowiska, które zna najlepiej.

Nie podejmuję się zatem oceny ideowych sporów, rozejść i pojednań, jakie się w tym środowisku dokonują. Rzeczywistość ufundowana na rozmowie wydaje mi się siłą rzeczy oschła, zaś czyny opisane jako bohaterские znam już z innych historii dziejących się w tej epoce.

Ale jest też rewers takiego stanowiska. Co jeszcze nam mówi powieść Leszka Szarugi? Otóż ukazuje jedną z możliwych, bardzo osobistą wersję, wielkiej traumy, jaką wszyscy przeżyliśmy. Opowiada się dziś o niej na różne sposoby, różnymi językami, ale fakt jej istnienia jest niepodważalny, żyliśmy w czasach może nie „wielkich i wspaniałych”, ale na pewno wstrząsających.

Powieść Szarugi to jedno z cennych świadectw owej traumy. Traktując ją jako świadectwo, pomijam autobiograficzne szczegóły. Są one ważne dla samego Szarugi, bo złożyły się na jego osobiste doświadczenie. Czytelnicy, a po latach badacze jego twórczości będą z nich mogli odtwarzać życiorys pisarskiego dziecka, które również postanowiło zostać pisarzem.

*Marta Wyka*

**Leszek Szaruga**, *Dane elementarne*, Wydawnictwo Kwadrat, Szczecin 2014

## BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”



- Grzegorz Musiał**, *Al Fine*, Gdańsk 1997  
**Mirosław Dzień**, *Cierpliwość*, Warszawa 1998  
**Michał Głowiński**, *Czarne sezony*, Warszawa 1998  
**Jarosław Klejnocki**, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998  
**Piotr Matywiecki**, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998  
**Krzysztof Myszkowski**, *Funebre*, Warszawa 1998  
**Bożena Keff**, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000  
**Maria Danilewicz-Zielińska**, *Biarco Konopnickiej*, Warszawa 2000  
**Janina Kościalkowska**, *Bih me!*, Warszawa 2000  
**Grzegorz Musiał**, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000  
**Grzegorz Musiał**, *Kraj wzbronionej miłości*, Warszawa 2001  
**Jerzy Andrzejewski**, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003  
**Mieczysław Orski**, *Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003  
**Tadeusz Nowakowski**, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003  
**Kazimierz Hoffman**, *Znaki*, Bydgoszcz 2008

**Jehuda Amichaj** (1924–2000), hebrajskojęzyczny poeta tłumaczony na ponad trzydzieści języków (wybór *Koniec sezonu pomarańczowy*, 2000), autor dwóch powieści, szeregu dramatów i słuchowisk (m.in. *Dzwony i pociągi*, 2003), książek dla dzieci, a także opowiadań ze zbioru *Baruach hanora'a hazot (Na tym strasznym wietrze)*, skąd pochodzi opowiadanie *Jak umierał ojciec* („Zeszyty Literackie” nr 97) oraz *Konfirmacja* (w niniejszym numerze „Kwartalnika Artystycznego”) – wszystkie wspomniane tu utwory w przekładzie Tomasa Korzeniowskiego. (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1994 nr 3, 1997 nr 3 (15), 2000 nr 1 (25), 2012 nr 2 (74))

**Anna Augustyniak**, ur. 1976 w Wieluniu; w 2013 ukazał się tom jej prozy pt. *Kochałam, kiedy odeszła*. Mieszka w Warszawie.

**Samuel Beckett** (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; laureat Literackiej Nagrody Nobla (1969); autor m.in. *Końcówki*, *Ostatniej taśmy Krappa*, *Szczęśliwych dni*, *Komedii*, *Katastrofy*, powieści: *Molloy*, *Watt*, *Malone umiera*, *Nienazywalne*, tomików wierszy i esejów (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1996 nr 4 (12), 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr 4 (60), 2010 nr 4 (68), 2012 nr 4 (76)).

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013) (patrz m.in.: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67)). Mieszka w Gdańsku.

**Maciej Cisto**, ur. 1947 w Olsztynie; autor wierszy i eseista; ostatnio opublikował dziennik *Błądnik* (2012) i zbiór wierszy pt. *Niższe studia* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Patryk Czarkowski**, ur. 1982 w Białej Podlaskiej; publikował m.in. w „Kwartalniku Artystycznym” i „Zeszytach Literackich”. Mieszka w Krakowie.

**Krystyna Dąbrowska**, ur. 1979 w Warszawie; autorka trzech tomików wierszy, ostatnio opublikowała: *Białe krzesła* (2012) i *Czas i przesłona* (2014); tłumaczka utworów m.in. W.C. Williamsa, W.B. Yeatsa, Swifta; ubiegłoroczna

laureatka Nagrody Kościelskich oraz Nagrody Wisławy Szymborskiej. Mieszka w Warszawie.

**Aleksander Fiut**, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował tom *Z Miłoszem* (2011) i zredagował *Poznawanie Miłosza*, tom 3 (2011). Mieszka w Krakowie.

**Michał Głowiński**, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN; jako prozaik debiutował w Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego” *Czarnymi sezonami* (1998), opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)), ostatnio: *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2012). Mieszka w Warszawie.

**Jacek Gutorow**, ur. 1970 w Grodkowie; autor wierszy, tłumacz, krytyk literacki, eseista; pracownik naukowy Uniwersytetu Opolskiego; ostatnio opublikował zbiór wierszy *Nad brzegiem rzeki (1990–2010)* (2010) oraz tom szkiców *Księga zakładek* (2011). Mieszka w Opolu.

**Julia Hartwig**, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu tomów wierszy (patrz m.in.: „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)); ostatnio ukazały się: *Zapisane* (2013), *Wiersze wybrane* (2014), *Błyśki zebrane* (2014), dwa tomy rozmów: *Życie to podróż, to ocean* (2014) i *Największe szczęście, największy ból* (2014) oraz *Dziennik* tom 2 (2014). Mieszka w Warszawie.

**Zbigniew Herbert** (1924–1998), poeta, dramaturg, eseista (patrz m.in. nr 1/1998 (17), 2/1999 (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58) „Kwartalnika Artystycznego”); w 2011 roku w Wydawnictwie a5 ukazał się tom wierszy Herberta w większości wcześniej nie publikowanych pt. *Utwory rozproszone. (Rekonosans)* pod redakcją Ryszarda Krynickiego, suplement do wydanych w 2008 *Wierszy zebranych*; ostatnio ukazały się: *Barbarzyńca w podróży* (2014) oraz wznowienie *Króla mrówek. Prywatnej mitologii* (2014)

**Joanna Jurewicz**, ur. 1962 w Warszawie, orientalistka, indolog; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; tłumacz fragmentów sanskryckich tekstów filozoficznych i literackich; pracuje m.in. nad przekładem *Rygwedy*, najstarszego indyjskiego zbioru poetyckich hymnów (ok. XV–XIII p.n.e); opublikowała tomik wierszy pt. *Róża* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Ireneusz Kania**, ur. 1940 w Wieluniu, tłumacz, eseista; przełożył wiele książek z kilkunastu języków, ostatnio: Wasilij Rozanow, *Opadłe liście* (wraz z Jackiem Chmielewskim, 2013). Mieszka w Krakowie.

**Marek Kędziński**, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Samuela Becketta i Thomasa Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Thomasa Bernharda *Korekta* (2013). Mieszka m.in. w Paryżu.

**Bogusław Kierc**, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował tomik wierszy *Manatki* (2013), *Cięmnogosc (druga część tryptyku „mniemania”* (2014). Mieszka we Wrocławiu.

**Emilia Kledzik**, ur. 1982 w Poznaniu; adiunkt w Zakładzie Komparatystyki Literackiej i Kulturowej Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza, krytyk literacki. Mieszka w Poznaniu.

**Tomasz Korzeniowski**, ur. 1955 w Poznaniu, tłumacz literatury hebrajskiej (m.in. J. Amichaj, A. Oz, J. Hendel, S. Kaszua); autor powieści pt. *Kirszbrahanówna*. Mieszka we Wrocławiu i Beer Szewie.

**Ryszard Krynicki**, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Georga Trekla, Nelly Sachs; edytor wierszy m.in. Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta (patrz m.in.: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18) i 2013 nr 2(78)); ostatnio opublikował *Przekreślony początek* (2013), tłumaczenie wyboru wierszy Paula Celana – *Psalm i inne wiersze* (2013), *Wiersze wybrane* (1014) i tomik pt. *Haiku. Haiku mistrzów* (2014). Mieszka w Krakowie.

**Piotr Lamprecht** OSA, ur. 1983 we Wrocławiu; autor wierszy, doktorant IBL PAN; publikował m.in. w „Więzi”. Mieszka w Łomiankach.

**Giacomo Leopardi** (1798–1837); włoski poeta, klasyk literatury XIX wieku, autor m. in. pieśni,

sielanek, elegii i sonetów (patrz: szkic Ireneusza Kania na s. 13).

**Antoni Libera**, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował: *Niech się Panu darzy i dwie inne nowele* (2013) oraz przekład *Trylogii Tebańskiej* Sofoklesa (2014). Mieszka w Warszawie.

**Jerzy Madejski**, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Szczecińskiego; opublikował m.in. *Deformacje biografii* (2004). Mieszka w Szczecinie.

**Tomasz Mizerkiewicz**, ur. 1971 w Pleszewie, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza; ostatnio opublikował: *Literatura obecna. Szkice o najnowszej prozie i krytyce* (2013). Mieszka w Poznaniu.

**Leszek A. Moczulski**, ur. 1938 w Suwałkach, poeta, autor tekstów piosenek; ostatnio opublikował *Antologię* (2012). Mieszka w Krakowie.

**Edwin Morgan** (1920–2010), poeta i tłumacz szkocki piszący w języku angielskim; studia, które przerwała mu wojna, ukończył na Uniwersytecie w Glasgow w roku 1947; w latach 1940–46 służył w Korpusie Medycznym Royal Army; emerytowany profesor Uniwersytetu w Glasgow, autor licznych tomów wierszy i arkuszy poetyckich; tłumacz z języka włoskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, rosyjskiego i węgierskiego. W Polsce znany z publikacji prasowych i wyboru wierszy *Interferencje* (1990) w przekładzie Andrzeja Szuby.

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998). Mieszka w Bydgoszczy i w Toruniu.

**Anna Nasiłowska**, ur. 1958 w Warszawie; autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki; profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała *Wolny agent Umeda i druga Japonia* (2013) i tomik pt. *Żywioly*. Mieszka w Warszawie.

**Aleksandra Opalińska**, ur. 1968 w Wadowicach; autorka tomików wierszy, ostatnio opublikowała: *Błyski słońca na powiece* (2013). Mieszka w Bielsku-Białej.

**Marcel Proust** (1871–1922), autor m.in. *Jana Santeuila* i *W poszukiwaniu straconego czasu* – arcydzieła prozy XX wieku; laureat Nagrody Goncourtów (1919), którą dostał za tom pt.



*W cieniu zakwitających dziewcząt* (patrz: nota Krystyny Rodowskiej na s. 34).

**o. Janusz Pyda OP**, ur. 1980; dominikanin, wykładowca filozofii i teologii dogmatycznej w Kolegium Filozoficzno-Teologicznym Polskiej Prowincji Dominikanów, współzałożyciel i animator portalu Szkoła Czytania. Mieszka w Krakowie.

**Krystyna Rodowska**, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Wiersze przesiane 1968–2011* (2012). Mieszka w Warszawie.

**Alicja Rosińska**, ur. 1992 w Gdańsku; absolwentka studiów licencjackich, kierunek gospodarstwa przestrzennego. Mieszka w Gdańsku.

**Joanna Roszak**, ur. 1981 w Poznaniu; adiunkt w Instytucie Sławiistyki PAN; autorka tomików wierszy i prac krytycznych. Mieszka w Poznaniu.

**Muriel Spark** (1918–2006), wybitna szkocka powieściopisarka i dramatopisarka, również autorka wierszy; w Polsce znana z powieści *Memento Mori*, *Ballada o Peckham Rye*, *Pełnia życia panny Brodie* i *Cieplarnia nad Rzeką wschodnią*; prezentowane w „Kwartalniku” wiersze pochodzą z zbioru *Going Up to Sotheby's*.

**Piotr Sobolczyk**, ur. 1980 w Lublinie, badacz i krytyk literatury, tłumacz literatury hiszpańskiej; adiunkt w IBL PAN, gościnnie wykładowca UJ i Uniwersytat w Oslo; ostatnio opublikował: *Dyskursywizowanie Białoszewskiego* tom I (2013) i tom II (2014), tomik wierszy słownych i graficznych pt. *Obstrukcja Inslugi* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Janusz Styczeń**, ur. 1939 w Biadolinach Szlacheckich, poeta; ostatnio opublikował tom wierszy *Furia instynktu* (2011). Mieszka we Wrocławiu.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie; autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował zbiór esejów *Gra o tożsamość* (2013), *...zmowa kontrolowana* (2014) i *Dane elementarne* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Cienka szyba* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Artur Szlosarek**, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio ogłosił *Święto szparagów* (2010) oraz *Olówek rzeźnika* (2012). Mieszka w Berlinie.

**Andrzej Szuba**, ur. 1949 w Gliwicach; autor wierszy, tłumacz poetów angielskich, amerykańskich i irlandzkich; ostatnio opublikował *Strzępy wybrane* (2011). Laureat tegorocznej nagrody „Literatury na Świecie”. Mieszka w Katowicach.

**Dariusz Szymanowski**, ur. 1984 w Olsztynie; autor tomiku pt. *Drugi brzeg* (2012). Mieszka w Ostródzie.

**Anna Synoradzka-Demadre**, ur. w 1967 roku w Mikołowie; autorka książki *Andrzejewski* (1997) oraz wstępu i przypisów do krytycznego wydania *Miazgi* Jerzego Andrzejewskiego w serii Biblioteka Narodowa (2003); pracuje jako adiunkt na Uniwersytecie w Lille. Mieszka w Vincennes pod Paryżem.

**Charles Tomlinson**, ur. 1927, poeta angielski, tłumacz poezji hispanojęzycznej, krytyk i eseista; debiutował w 1951 roku zbiorem *Relations and Contraries*, ale oficjalnie za jego pierwszy tom uznaje się wydaną cztery lata później książkę *The Necklace*; od tamtej pory opublikował siedemnaście zbiorów poetyckich; najważniejszym wyborem jego wierszy pozostają *New Collected Poems* (2009); na język polski tłumaczony przez Jerzego Jarniewicza i Jacka Gutorowa. (patrz: nota na s. 331)

**Adam Waga**, ur. 1936 we wsi Wagi na ziemi łomżyńskiej; autor dwu zbiorów poezji: *Obol* (2007, 2012 – wspólnie z nowelą Marianą Pilotą *Postanowienia końcowe*) i *Chromając* (2013); publikowane w tym numerze wiersze pochodzą z tomiku *Samosiew*, który ukaże się w Wydawnictwie Literackim w 2015 roku. Mieszka w Warszawie.

**Marta Wyka**, ur. 1938 w Krakowie, eseistka i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; redaktor naczelna „Dekady Literackiej” i „Nowej Dekady Krakowskiej” (od 2012); ostatnio opublikowała książkę autobiograficzną *Przypisy do życia* (2012), monografię *Czytanie Brzozowskiego* (2012) oraz *Miłość i rówieśnicy* (2013). Mieszka w Krakowie.

**Konrad Zych**, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki; redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.

To pierwsze wydanie wierszy Czesława Miłosza (1911–2004) w Bibliotece Narodowej. Autorem wyboru i opracowania jest Zdzisław Łapiński, niekoniecznie, jak zapisano w deklaracji BN-u, „najlepszy znawca” twórczości autora *Ocalenia* i dlatego tak wybór jak i opracowanie sprawiają niedosyt. Po przedstawieniu zarysu biografii Łapiński zastanawia się: „Jak czytać Miłosza?”, przytaczając opinie i snując różne przypuszczenia, uwagi i dywagacje może niekiedy sprzeczne ze sobą, a może dla mnie nie za bardzo jasne i które nie wiadomo dlaczego kończy „opisem” kłótni Poety ze Zbigniewem Herbertem w domu Bogdany i Johna Carpenterów, którzy przecież nie raz przedstawiali rzeczywisty przebieg tego wydarzenia. Następnie prezentuje główne kręgi tematyczne dzieła, którymi według niego są: „indywidualna osoba ludzka i jej związki ze społeczeństwem”, „natura” oraz „religia i cały świat nadprzyrodzony”. Są to dosyć żmudne, naszpikowane publicystycznymi zwrotami rozważania. Najciekawszy jest rozdział pt. *Ars poetica*, a całość kończą zapiski pt. *Jego miejsce*.

W dokonywaniu wyboru z tak obszernego dzieła najważniej-

szym kryterium była dla Łapińskiego „poetycka żywotność tekstu”, co, jak zaznacza, jest przede wszystkim kwestią wycucia i trudno z tym dyskutować: w każdym razie mamy przegląd od wierszy najwcześniejszych, drukowanych w pismach literackich, aż po *Wiersze ostatnie*, które zostały wydane po śmierci.

W *Bibliografii* nie wiadomo dlaczego nie znajdziemy obszernego, prawie 280-stronicowego Dodatku o Miłoszu do 2/2011 (70) numeru „Kwartalnika Artystycznego”, a w przypisie nadal błędnie została podana notka bibliograficzna dotycząca wiersza pt. *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta*, chociaż błąd został skorygowany w „Kwartalniku” nr 2/2009 (62).

K.M.

**Czesław Miłosz, *Poezje wybrane***, wybór i opracowanie Zdzisław Łapiński, Biblioteka Narodowa, Seria I, Nr 320, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2013

Cudowna księga! Księga cudów. Codziennych, co chwilowych. Oszałamiająca ich wielością i wielkością w odrobinach mgnień i rozbłysków syntaktycznych, frazeologicznych, mitycznych, magicznych, onomatopcyjnych. Zaskakująca kaskadami



aliteracji i eholalii, przeskokami sensów. Księga czarodziejska.

Pławiąc się w tej egzaltacji, dają wyraz nie tylko mojej miłości do poezji Jerzego Ficowskiego (1924–2006), ale także – podziwowi dla Piotra Sommera, który te *Lewe strony widoków* opracował i ułożył, wybierając dla nich takie patrzenia poety, które – zebrane razem – dają misternie szczegółowy widok ogólny. Także prawych stron zapatrzeń.

Posłowie Sommera jest pasjonującą, frapującą i podniecającą opowieścią o oczarowaniu poezją, ale też o tajemnicach skuteczności czarów. To brawurowa egzegeza pisma obrazkowego, grypsów, errat, inicjałów Jerzego Ficowskiego.

Traktuję ten tom jak niespodziewany prezent, dzięki któremu temperatura mojego dawnego zachowania w liryce autora *Amuletów i definicji* znowu zbliża się do gorączyki uwiedzionego przez pierwszy raz przeczytane jego wiersze.

Pisałem już o tym obszerniej, teraz napomykam, bo po prostu się cieszę, że nareszcie ukazany został w całej okazałości i wspaniałości swojej inszości i inaksości.

Wcześniej, w 1999, w opracowanym także przez Piotra Sommera (i z jego rewelacyjnym posłowiem) wyborze *Wszystko to czego nie wiem* już mieliśmy przedsmak tego, co

w *Lewych stronach widoków* jawi się w całej pełni.

Obszerny wolumin w płóciennnej oprawie, liczący 406 stron, ma piękną obwolutę z lewą i prawą (wewnętrzną) stroną zdjęcia, wpatrującego się w nas, poety.

Poety, który w powszechnej aksjologii specjalistów od doceniania poezji nie był umieszczany na szczytach.

Co sprawiało, że ta, niepodobna do innych, poezja – szczerze eksploatująca zasoby wszelkiej polszczyzny (wszelkiej – we wszystkich jej rejestrach i odmianach) – nie spotkała się z należną jej afirmacją krytyków i badaczy literatury? Może właśnie jej konceptualna, frazeologiczna i wyobraźniowa szczodrość. Ceni się umiarkowaną inwencję, dopuszcza przekroczenia „eleganckie”, albo zdecydowanie „chuligańskie”. Mistrzostwo Ficowskiego w językowej transfokacji od deminutywu do niespodziewanych „planów ogólnych”, rozpiętość pól znaczeniowych, sumiennosc mówienia – bo jak mam nazwać tę właściwość jego składni i efonii (związania brzmień i znaczeń), sprawiającej, że słyszę... głos sumienia, to mistrzostwo nie ma sobie równych. Drobinę słów, muśnięcie dźwięków wystarczą do przedstawienia ogromu tragedii i zbrodni, jak w wierszu *Kazachstan ZSRR*: „wypuś-

cili nas z wagonów / to już // A tam  
nic i nic // ani rzeki / żeby się utopić //  
ani drzewa / żeby się powiesić”.

Podzielim z Piotra Sommera, który, przedstawivszy wielopozio-  
mowe niezwykłości autora *Lewych  
stron widoków*, konkluduje: „w tych  
wszystkich wspomnianych i nie  
wspomnianych wyżej dyscyplinach  
Jerzy Ficowski dystansuje, jak to dziś  
też chyba widać wyraźniej, zajecha-  
nych krytycznie do utraty tchu poe-  
tów swej formacji, dla których – we-  
dle dekretów tamtego wciąż jeszcze  
dogorywającego czasu – miał być na  
zawsze częścią tła, na jakim oni mie-  
li być czytani. Ale kto wie, czy to nie  
oni będą teraz tłem dla niego. Skąd-  
inąd całkiem ciekawym tłem”.

B.K.

**Jerzy Ficowski**, *Lewe strony widoków*, wybrał  
i opracował Piotr Sommer, seria „Biblioteka Poe-  
zji Współczesnej” pod redakcją Mariusza Grze-  
balskiego, tom 81, Wojewódzka Biblioteka Pub-  
liczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu,  
Poznań 2014

Z okazji przyznania w tym roku  
Charlesowi Simicowi Nagrody im. Zbi-  
gniewa Herberta Wydawnictwo a5  
opublikowało ponownie wybór wierszy  
poety, który ukazał się w tej oficynie  
po raz pierwszy w 1992 roku. Szkoda,  
że jedyną korektą do tamtej edycji  
stał się krótki artykuł Edwarda Hirscha,  
przecież Simic wydał od tego czasu  
wiele tomów poetyckich, o których

zawartości była dobra okazja poinformo-  
wać polskiego czytelnika, skoro  
mamy zapoznać się raz jeszcze z lau-  
reatem wspomnianej nagrody.

Lektura wstępu Stanisława Barań-  
czaka jak i cała kompozycja książki  
nadal robią korzystne wrażenie ob-  
cowania z solidną edycją pism Simica,  
choć ówczesne ramy interpretacyj-  
ne mniej już dziś obowiązują. Bar-  
dzo dobrze jeszcze pamiętamy, dla-  
czego bywał Simic czytany przed  
dwoma dekadami, jak zgadzał się  
z poświęconą choćby przez lirykę  
Barańczaka możliwością koegzysten-  
cji doświadczenia środkowoeuropej-  
skiego i amerykańskiego, jak w zgo-  
dzie z polskimi mistrzami wiersza XX  
wieku obowiązywał poezję do rozpozna-  
wania siły i obłędu historyczności itp.  
itd. Ujmowana w podobnych katego-  
riach twórczość serbsko-amerykań-  
skiego poety nie mogłaby już zasko-  
czyć obecnego czytelnika, a sądzę, że  
i przed dwudziestoma laty aż nazbyt  
gładko przekładała się na rodzime  
doświadczenia poetyckie.

Tymczasem czytanie Simica dzi-  
siaj może przynieść sporo pożytku.  
Jego poezja przykuwa uwagę czymś,  
co wtedy mniej było analizowa-  
ne, a dla samego twórcy stanowiło  
rzecz bodaj decydującą o wartości  
pisania. Mam na myśli w pełni świa-  
dome nawiązanie przez Simica do  
tradycji filozoficznej fenomenolo-  
gii (cytuje Husserla, a zwłaszcza Hei-

deggera) i współczesne próby odnowienia tej linii znaleźć mogą w nim ważnego sprzymierzeńca. Trzeba bowiem dodać, że autor *Bierek* startował jako liryczny surrealista, który pod wpływem formujących go potem lektur przeorientował swe zamiary literackie. Jak powiada w jednym z esejów, pisanie stanowi dla niego próbę przełożenia na język doświadczenia rzeczywistości, które musi i tak pozostać nienazywalne. Jedynie obraz zdaje się bliski niemu sednu tego, co przeżywane bezpośrednio, stąd w wierszach i prozach Simica sporo niecodziennych fantazji oraz fascynacji ważnymi dla jego rodzinnej i osobistej biografii scenami np. z krewkiego życia serbskich przodków. Dla wiersza zasadniczym traktem, po którym musi się poruszać, okazuje się ścieżka wytyczana przez nieprzewidywalną energię metafory. Tu wyraziście różni się Simic od przywołanej polskiej tradycji poetyckiej drugiej połowy XX wieku, gdzie sprawa wyobraźni została dość silnie stłumiona, a samonośne procesy metaforyczne traktowano podejrzliwie. Poeta amerykański jednak dobitnie podkreśla, że bez nieprzejrzystości myślenia pobudzonego przez przenośnię nie można w żaden sposób choćby zbliżyć się do reistycznych wymiarów doświadczenia. Mamy zatem do czynienia z nader paradoksalnym projektem,

gdzie metaforyczna obrazowość nie stwarza nadrealnego, nowego świata, lecz jest rozwijana w związku z pobudzeniami wywołanymi przez umykającą zawsze faktyczność rzeczywistości.

Wysiłek z tym związany przynosi w liryce Simica kapitalne efekty. Przykładem może być wiersz *Znaczenie* opowiadający o sensie jako czymś, co ukrywa się niczym chłopiec bawiący się z innymi w parku w chowanego. Malec tak długo nie wychodzi z kryjówki aż przestraszone dzieci wołają jego matkę, która po bezskutecznych groźbach i prośbach zobaczyła wraz z maluchami, że przyszedł do nich „kamienny karzeł, aniołek z fontanny”. Puenta podobna zaznajamia z niecodziennym rytmem poezji Simica. Poszukiwanie znaczenia (i realności przez ów sens uchwytywanej) oddane zostaje przez coraz bardziej dramatyczny obraz, którego zwieńczeniem jest scena na poły surrealna. Pojawiająca się parkowa rzeźba rozbiła spójność wizji, podważa narracyjny trzon wcześniejszej partii tekstu i skutkiem poszukiwania sensu staje się znalezisko niepojęte, które dowodzi, jak nieprzewidywalne muszą być emanacje (warto uniknąć słowa „epifanie”) umykającej słowom realności uchwytywalne tylko dzięki radykalnemu wydaniu się na ruch metafor i obrazów poetyckich.

Ten i wiele innych wierszy Charlesa Simica zachęcają do lektury śledzącej jego poetyckie eksploracje utrzymane w do niedawna unikalnym, a dziś na nowo powszechniejszym stylu literacko-filozoficznej fenomenologii.

T.M.

**Charles Simic**, *Madonny z dorysowaną szpicbródką oraz inne wiersze, prozy poetyckie i eseje*, wybór, przekład i wstęp Stanisław Barańczak, posłowie Edward Hirsch, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 5, Wydawnictwo a5, Kraków 2014.

Nie macie pojęcia jak to jest, kiedy nagle zostajesz sam i niczyj, i kiedy wargi marnieją z niepocałowania. Gdy trzeba tułać się po obcych podwórkach, zaglądać do cudzych okien, dosiadać się do nie swojego ogniska, bo ukochany odszedł, tam gdzie poszło przed nim wielu. Nie da się go przygarnąć spojrzeniem, od jego nieobecności idzie lodowate tchnienie...

Taką oto opowieść snuje Urszula Koziół w swoim nowym tomie *Klangor*. I dedykuje go zmarłemu przed czterema laty mężowi, Feliksowi Przybylakowi, pisarzowi, tłumaczowi i znawcy literatury niemieckojęzycznej, profesorowi Uniwersytetu Wrocławskiego. Byli razem pół wieku. Kiedy go zabrało, przeżyła wstrząs, a potem zaczęła układać żałobny lament: „Nio-

sę cię w sobie / niosę / jakbyś był pochowany / we mnie / jakbym to ja / była twoim / grobem” (*Treny dla Feliksa*).

Kobieta z tych wierszy cierpi, gdy patrzą na nią inni, którzy nie są nim i boli ją ciało bez jego ciała: „Więc już nigdy wargi / nie przylgną do warg mężczyzny / w palącym pocałunku” (*Klangor*), pyta. Nie widzi jutra, oślepla wkraczając w czarną godzinę, zatrząskuje się przed światem, żyje jak mniszka, która słubowała czystość i milczenie. Trwa w Levinasowskiej tragedii samotności, która jest nie tylko opuszczeniem, ale staje się też wolnością, bo pozwala śpiewać pieśni żałobne o cieniu „zamienionym w kamień – nie do udźwignięcia” (*W kręgu kamienia*), najcenniejszym skarbem zakopany głęboko w ziemi i o róży trzymanej między jego wierszami, gdzie schronił się na zawsze przed niepamięcią: „czy naprawdę tu jestem / czy tylko mnie się zmyśla (...) / cóż za zdumiewająca rzecz / że coś jest / i nagle się rozplywa” (*Sułtan i róża*).

Bycie zakochaną w mężczyźnie w strofach Urszuli Koziół, to bycie, które wydarzyło się, ale i dalej się wydarza. Ztraca się miara czasu i nie wiadomo już co było wczoraj, a co dawno temu. Była kiedyś miłość, a jest nieobecność jakże obecna: „nie wchodźcie tu nie / sia-

dajcie tam nie / zasłaniajcie mi nie / widzialnego" (*Treny dla Feliksa*). Śmierć, która dla niego jest roztopieniem się w nicości, stanem się odtąd nieuchwytnym, to dla narratorki skandal i bez-sens, to mityczne fatum, które spada niczym głaz i niweczy wszystko, przerywa najściślejszą więź, zabiera coś więcej niż tylko życie, zabiera spokój i zaspokojenie. A proces ten wciąż się powtarza: „wydzierasz mi spod trzewi żywcem po kawałku / co umiłowane / nie przestajesz wydzierać / co już uśmierciłaś / i ponownie wydzierasz co już raz wydarła / zachłanna falo / za falą / która ścinasz mnie z nóg" (*Klangor*).

Gdzie znaleźć pocieszenie? Chyba tylko w półsnach, bo „rankiem świat otrząsa się z gwiazd" (*Rankiem*). Poetka roi więc o tym, którego już nie ma i w tych marach przywidzenia nabierają kształtu. Ktoś przyprowadza cień i pozwala mu się rozgościć. I już prawie można go pochwycić, widzialnego utulić. Lecz gdy noc zaczyna odchodzić, ścisiskanemu oburącz mrokowi każe zaniknąć, a w spragnionych rękach kobiety zostaje tylko „fałda kołdry mokrej od płaczu przez sen" (*Klangor*).

Ratunkiem bywają próby wyrwania się „z tej jakiejś szczyrby / szczeliny-nie-szczeliny / spękliny-nie-spękliny" (*Szrama*), prośby

o uwolnienie z boleści: „zabierz łzy i pamięć" (*Lament*), choć pojawia się i namysł wyrażony w słowach: „co z tego przyszło żeśmy zostali?" (*Bez vis-à-vis*). Płyną frazy zrodzone na ziemi, a jakby rozlegały się z podziemnego świata. To wstrząsająca liryka miłości splątanej ze śmiercią. Pozwala poetce podjąć próbę przybliżenia się do nieodgadnionego, zobaczyć coś z wieczności, zagłębić się w nieuchronnym „nic w niczym / tam gdzie ty może już jesteś / i gdzie niebawem może się wszyscy spotkamy" (*Sulttan i róża*).

A.A.

**Urszula Koziół**, *Klangor*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014

Jednym z najbardziej przyciągających moją uwagę wierszy najnowszego tomu Krystyny Dąbrowskiej jest utwór zatytułowany *W bocznej sali*, w którym jest mowa o zwiedzaniu muzeum:

Ten obraz nie nadaje się na kubek albo magnes. (...)

Ten obraz nie jest większy niż otwarty zeszyt. Nie prowadzą do niego muzealne strzałki.

Trzeba się zgubić, żeby odkryć go w bocznej salce,

z której właśnie wychodzi młody Koreańczyk z miną: nic tutaj ciekawego.

Zwiedzamy – turyści zwiedzają – muzea najchętniej po to, by skon-

frontować swą książkową, katalogową czy po prostu popularną wiedzę z oryginałem po to, by powiedzieć: tak, byłem, widziałem. Plus jakiś komentarz, na przykład: nic takiego, nie tego się spodziewałem. Lecz są tacy, co zwiedzają po to, by zobaczyć, po prostu. Nie dlatego, że „na kubek albo magnes”, ale dlatego, że jakiś człowiek namalował coś dla innego – znanego lub nieznanego – człowieka. Ci chętnie się gubią, by odkryć obiekt nieznaną powszechnie, skryty w bocznej salce.

Takim muzeum czy galerią jest dla Dąbrowskiej – bo jednak będę tu utożsamiał autorkę z uczonym „podmiotem lirycznym” – cały kosmos. Z rozmysłem gubi się w jego bocznych salach i na jego manowcach dostrzegając to, co uchodzi uwagi innych, obiekt, który, jak szary ptak z otwierającego tom wiersza *Szary i rudy*, jest „równocześnie ukryty i widoczny”.

Oko poety, powiada w jednym ze szkiców Różewicz, widzi nawet *lacrimae rerum*, łzy rzeczy. I jeśli powiada się o niektórych poetach, iż mają doskonały słuch poetycki, to o Dąbrowskiej należałoby chyba powiedzieć, iż należy do tych, którzy obdarzeni zostali doskonałym, wyostrzonym poetyckim wzrokiem. Jednym z najlepszych tego sprawdzianów jest znakomity tryptyk liryczny zatytułowany *Twarz mojego*

*sąsiada*. Można tu mówić o czułości czy nawet czulej uwadze spojrzenia. Ale nie tylko o tym – także o niezwykłym wręcz darze, jakim jest zdolność dostrzeżenia w zwykłym zdarzeniu jego symbolicznej wymowy, jak w puencie tego cyklu, gdzie mowa o strażakach sprawdzających, co się stało z nie dającym znaku życia bohaterem utworu, starym profesorem, który, jak się okazało, „uciął sobie drzemkę, nic nie słyszał”:

Ale coś się zacięło i nie złożyli drabiny.  
Zapadł zmrok, a ona ciągle tkwi  
naprzeciwko balkonu profesora.

Dąbrowska potrafi pozornie proste opowieści zmieniać w przypowieść. Każde spotkanie – a przecież w tym Muzeum Kosmicznym, które zwiedzamy, takich spotkań jest wiele – przeobraża się w otwarcie na Innego, ewokuje potrzebę zrozumienia, choć niekoniecznie porozumienia czy akceptacji. Zawsze jest to odrzucenie stereotypu, gotowego wyobrażenia czy przynajmniej przestroga przed takim sposobem postrzegania świata, który zawsze lub niemal zawsze jest bardziej złożony i skomplikowany niż się to przy powierzchownym wglądzie może wydawać – dowodem wiersz *Gabriel*, którego tytułowy bohater, „wcześniej Husajn” z etiopskiego sierocińca, z muzul-

mańskiej rodziny, usynowiony przez Żydów z Brooklynu, na razie „dynamit wśród innych dzieci” (bardzo to wieloznaczne określenie), kiedyś będzie musiał zmierzyć się ze swoją tożsamością, choć dziś „dorosli widzą w nim książętko / w koszyku wyplatany z różnych tradycji”, co niekoniecznie musi oznaczać spokojną starość chłopca. Świat bowiem – ludzie tego świata – konstruuje czasem dziwne pułapki zaobserwowane w bardzo wieloznacznie zatytułowanym utworze *Rozbudowa uniwersytetu*:

W nowym budynku wydziału biologii  
parapety najeżone  
szpikulcami przeciw ptakom.

Żart? Tak, również, ale dość ponury. Przede wszystkim jednak ostrość widzenia.

Ta ostrość – tytuł tomu: *Czas i przesłona* – jest efektem migawkowego spojrzenia. Można powiedzieć, że Dąbrowska do perfekcji doprowadza chwyt poetycki – widoczny choćby u Szymborskiej – który należałoby określić mianem konstrukcji zdań spostrzegawczych: na ogół krótkich, nie złożonych, pisanych w trybie oznajmującym. Czasem skróconych do równoważnika zdania. To taki sposób zapisu, który tonuje lub wręcz wygasza emocje i który zarazem owe emocje budzi w czytelniku. Widać to

szczególnie wyraziście w wierszach -wyznaniach budujących wspólnotę świata partnerów umiejących zachować swą suwerenność – widać to w wierszu *Etna*, a jeszcze wyrażniej w utworze bez tytułu:

Nie umiem mówić my, chyba że my  
to myślnik między ja i ty,  
który przewodzi iskrę, a czasami  
jest przeciąganiem liny.

Jeszcze Martin Buber w jednym ze swych szkiców określał „Ja-Ty” jako „pierwsze słowo”. Wiersz sięga głębiej niż tak opisana relacja – ów „myślnik”, który wszak nie jest tutaj jedynie określeniem znaku interpunkcyjnego, lecz także opisem myślowej, duchowej więzi, przede wszystkim „przewodzi iskrę”, tworzy zatem powiązanie emocjonalne, które często określa się jako „iskrzzenie” między ludźmi, a które wskazuje także na to, iż ma ono wysoką temperaturę. Za sprawą tak właśnie konstruowanej narracji ten wiersz należy bez wątpienia do najpiękniejszych i jednocześnie niezwykle intelektualnie odpowiedzialnych utworów zbioru. Taki opis miłości – o to wszak chodzi – jest nie tylko wyznaniem, jest wyrazem świadomości charakteru budowanej przez miłość wspólnoty, dzięki istnieniu której wędrówka i gubienie się w różnych zakamarkach Muzeum Kosmosu, w którym wszystko

przecież jest ciekawe, przemienia się w dialog z drugim człowiekiem, z innymi, także ze mną.

L.S.

**Krystyna Dąbrowska:** *Czas i przesłona*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

Nie można odmówić Krzysztofowi Siwczycowi złośliwości, gdy w poemacie *Dokąd bądź* powiada: „nowa literatura przyszła, / sporo w niej dorzecznego idiomu, jest temat i opracowanie, mocny autor, / indywidualny jak telewizja śniadaniowa”. Wcześniej sygnalizuje:

od dawien dawna  
o tym myślimy, kim może i chcieliśmy zostać,  
dla innych, jedyną  
możliwością, jedynym rozwiązaniem, tego  
chcemy, nic z tego  
nie wychodzi póki co

Słychać echo Kawafisa, mniej może słyszalny jest pogłos antologii *Przyszli barbarzyńcy*, bez wątpienia jednak właśnie o barbarzyńców tu chodzi. I o liczbę mnogą: w pierwszych częściach narracja prowadzona jest często przez „my”, później to się zmieni, jak choćby w części *Dysnomia* pisanej przez „ty”, czy w innych fragmentach wypowiedzianych w pierwszej osobie liczby pojedynczej (ale dłubanie w tej zaimkowej płątanie pozostawmy sumiennym polonistom...; póki co jedynie to sygnalizujemy sądząc, że to ważne –

stanowi ta gra jeden ze szkieletów konstrukcyjnych całego poematu).

Opowieść prowadzi przez dziewięć kręgów: można tu odczytywać odwołanie do dziewięciu miesięcy ciąży (pojawia się tu wszak motyw narodzin dziecka: w tym kontekście narracyjne „my” można odczytywać nie jako liczbę mnogą, lecz jako liczbę podwójną), ale przecież nie sposób ignorować skojarzenia z dziewięcioma kręgami piekła Dantego („jesteś lekkością początku nadziei / zaproszeniem jak zapach kroków mojej żony, które ćwiczę, / by cię prowadzić po ustroniach piekła”). Takich odniesień kulturowych i literackich jest tu mnóstwo, co nie dziwi, gdy mowa o tym, że pojawiają się „niemrawi uczestnicy / pielgrzymki włóczek, co skończyły się przed labiryntem, jeszcze w szybie / windy, która miała zabrać nas z zsypu do ziemi / a tak nici z tego”. Porwana i wystrzępiona nic Ariadny nie zda się już do niczego: wejście do labiryntu podejmujemy na własne ryzyko, wydstać się zeń zapewne już nie będzie można – idziemy „dokąd bądź”, dokądkolwiek, bez drogowskazu. Dodatkowym utrudnieniem jest dotknięty przez dysnomię czy afazję język zaplątany w wielokrotnie złożone, wielopiętrowe zdania mieszające różne poziomy i sfery doświadczenia. Lecz przecież *Dysnomia* to nie tylko zaburzenie mowy – to wszak córka Eris, bogini chaosu i waśni, która wszak podrzuci-



ła boginiom jabłuszko z napisem „dla najpiękniejszej” powodując spór rozstrzygnięty przez Parysa (tu fragment: „wpadnie czasem w oko kolejka do Parysa”), lecz wiodący jednak do wojny trojańskiej. Jak widać, mamy do czynienia z opowieścią podstępną, zwołującą nas „dokąd bądź”, by nie powiedzieć, że na manowce (tak przy okazji: warto chyba czytać poezję nie tylko z powagą, lecz także z odrobiną przynajmniej poczucia humoru), drogą do nikąd bądź.

Gdyby zatem poszukiwać właściwego dla zapisu *Dokąd bądź* określenia, należałoby chyba nazwać ten poemat narracją palimpsestową, w której kolejne warstwy tekstu nie tylko nakładają się na siebie, lecz przez siebie wzajemnie prześwitują. Przy czym specjalny namysł należy się tytułowi, pozornie tylko oczywistemu i jasnemu. Nie jest ani oczywisty, ani jasny. Może wskazywać drogę – dokądkolwiek. Ale może być też wyzwaniem tożsamościowym, w którym nacisk położony jest na „bądź”, zaś „dokąd” wskazaniem drogi „dochodzenia do siebie”. Zaś owo dochodzenie do siebie to próba – ogniowa – własnego języka:

*Pan Tadeusz*, poezja po i przed Oświeceniem, co to to nie, chodzi przecież o wzruszenie istot przed obliczem istnienia, którego nie uniknęły jak sanitariuszki gwałtu książki ognia, miasto dystynkcji.

I znów echo utworu Pana Tadeusza (Różewicza) o tym jak to poetę czeka w domu zadanie: „pisanie wierszy po Oświeceniem”.

Krąg piąty, *Przydarzenia*, zamyka zdanie niemal w całości zapisane kursywą:

*Masz ty pojęcie, co by to było, gdyby poezja  
zrezygnowała  
z kontaktu z rzeczywistością prostego człowieka,  
jego dramatem  
spełnionych życzeń, szczęściem odnalezionego  
miejsca na ziemi,  
z którym może wreszcie doczekać końca swoich  
dni, nie natykając się  
na ich koniec, czego nie życzyłbym najgorszemu  
wrogowi,  
gdybym mógł go wreszcie mieć, już jest.*

W chaotycznym rozgardiaszu współczesności, w migawkach wiadomości, strzępach informacji budzi się tęsknota za Całością i Ładem:

jestem spadkobiercą ujęć całościowych, wyrażanych we fragmentach przyswajalnej powierzchowności i chyba czymś takim się okazałem, okazem względnego zdrowia na półmetku starań o godny finisz świadomości

Może zatem Siwczyk powtórzyć, za Peiperem, że „zmieniła się skóra świata”, lecz jednocześnie musi dodać, że nie zmieniła się jego istota. Zmiana jest powierzchowna i należy serio przyjąć wezwanie: „zmieć tła, na jakich odgrywamy obowiązkowe dramaty powagi” – wiadomo bowiem, że „śmiech skundlił wszystko i wszystkich”. A w końcu pozostaje wyznaczenie:

„wycofujemy się do prywatnych rajów, innych nie ma i nie będzie”.

Świat można opisać jedynie we fragmentach: *pars pro toto*. Fragmentaryczne obrazy zamknięte są w ramach zdania-strofy – stąd szeroka i powolna fraza tego poematu. Poezja jako konstruowanie pięknych zdań (Peiper) nie rezygnuje z magii słowa (Leśmian), Siwczyk unieważnia to przeciwstawienie – nie brakuje przecież mniej lub bardziej dyskretnie prowadzonych gier lingwistycznych: nie sposób nie zauważyć awangardowych korzeni tej poezji, która chce sobie poradzić z poczuciem niewiary w jakąś z góry raz na zawsze wprzód ustanowioną harmonię bytu. Nie przypadkiem poemat zamyka wezwaniem:

mamy ciebie na uwadze, nawiguj nas z innego środowiska, odbieramy wyraźne sygnały, choć istota nie jest z tego świata, dopiero go uczyni tym dla nas najlepszym z niego wyjściem

Jest oczywiście sprawą otwartą pochwycenie znaczenia owego „my”, które się tak wypowiada. Ale też skonstruowana tu formuła łącząca tworzenie „najlepszego ze światów” z „najlepszym wyjściem” z obecnego jest bez wątpienia, przynajmniej dla mnie, formułą programową tej poezji.

L.S.

**Krzysztof Siwczyk** *Dokąd bądź*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 80, Wydawnictwo a5, Kraków 2014

Nowy przekład wielkiej powieści czy właściwie poematu Mikołaja Gogola (1809–1852) pt. *Martwe dusze* ukazał się w ambitnej serii „50 książek na 50-lecie Znak”. Jak stwierdza w posłowie tłumacz Wiktor Dłuski, starał się on ulepszyć starą wersję Władysława Broniewskiego z 1927 roku, żeby nowe dokonanie nie było aż tak gładkie i ułatwiające dostęp do treści oryginału jak poprzednie. Powołuje się przy tym na opinie, m.in. Iwana Turgieniewa, o „zagnatwanym i topornym” stylu autora *Rewizora*, chociaż przecież nie jest to wszystko ani takie proste, ani łatwe do przeprowadzenia. Ponadto, jak twierdzi tłumacz, otrzymujemy w pełni dopracowaną wersję przekładu zachowanych fragmentów tomu drugiego, tak ważnych dla zrozumienia całego zamysłu autorskiego – po raz pierwszy ukazały się one po polsku w opracowaniu Bohdana Galstera w edycji Biblioteki Narodowej w 1998 roku (ostatnie, trzecie wydanie wyszło w roku 2009) w przekładzie Marii Leśniewskiej, wyraźnie różniącym się koncepcją translatorską od przekładu Broniewskiego i nie były przez nią przed drukiem należycie opracowane, ponieważ ukazały się już po jej śmierci.

To dobrze, że mamy dwie lekcje przekładu tego arcydzieła, chociaż

po porównaniu kilku fragmentów, wcale nie jestem przekonany o wyższości nowego nad starym. Na pewno jednak praca Wiktora Dłuskiego rozszerza dostęp do Gogola i zachęca do podejmowania wyzwań bardzo trudnych.

K.M.

**Mikołaj Gogol**, *Martwe dusze. Poemat*, przełożył Wiktor Dłuski, seria „50 książek na 50-lecie Znaku”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

Piękne wydanie podobizny autografu oraz jego transliteracji i transkrypcji wraz z komentarzem i objaśnieniami *Dziennika z lat 1847–1849* Juliusza Słowackiego (1809–1849). To rodzaj dziennika intymnego, zadziwiająco zapisy czynione w ostatnich mistycznych latach życia Poety: jego myśli, sny, urywki, pomysły, szkice, notatki, widzenia, wrażenia, wypisy z gazet, wiersze, przypowieści napisane wierszem i prozą w czystym ewangelicznym duchu, epigramy, adresy, wzmianki. Jest to kontynuacja *Raptularza 1843–1849* i właściwie jedyny zachowany tekst Słowackiego, który jest w pełnym znaczeniu tego słowa dziennikiem pisany z żelazną konsekwencją i świadomością, do tego jako wyraz jego genezyjskiej, mistycznej podmiotowości. Krótki, liczący niewiele ponad siedem tysięcy słów, który powstawał w Paryżu (z przerwą na czas podróży do Polski), mógłby

być nazwany „Dziennikiem pisany w Paryżu”. Patrzymy w nim na świat z punktu widzenia poety mistycznego, genezyjskiego i jest to ważny i cenny punkt widzenia, choćby z tego powodu, że jest to jego dzieło ostatnie, jego ostatnie słowo.

Dla zachęty do czytania podaję kilka fragmentów:

„Świat cały ducha objawion mi był przez trącenie zewnątrz obudowanym duchem zadane i przez rewelację [przez objawienie – przypis mój, K.M.] wewnątrzną”.

„Chrystus nie mógł przyjść w formie ś w i a t ł e j, bo światło prawdziwie bezcielesne byłoby dla nas niewidzialne... w sobie je mieć potrzeba, aby zobaczyć”.

„Utrzymujemy się – z wewnętrznego odradzania się – i z zewnętrznego ducha w pokarmach”.

„Jestem jak człowiek, który ma światło, ale dwie tylko świece do zapalenia”.

„Z ziemi wyprowadzać ducha Bożego na twórczość i światło”.

„Proszę Cię więc, Panie! Ilekroć w fałszu będziemy, niech nas biją nieprzyjaciele nasi, niech nas w niewolę zawodzą, we łzach topią – abyśmy pod uciskiem znów byli przymuszeni podnieść ducha naszego i zapytać się o drogę wyżej idącą”.

„ – Mickiewicz ciągle reputacją rozumnego człowieka na ofiarę rzuca – bo mu Bóg milszy niż reputacja”.

Jest tu też ten sławny fragment:  
„Szli krzycząc: »Polska! Polska!«”.

K.M.

**Juliusz Słowacki**, *Dziennik z lat 1847–1849*, transliteracja, transkrypcja, nota edytorska komentarz edytorski, objaśnienia: Jacek Brzozowski, Katarzyna Szumska, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2012

Nowa – odcenzurowana, poprawiona i uzupełniona edycja *Pamiętnika z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego (1922–1983) oparta jest na trzecim, przygotowanym przez autora wydaniu z 1976 roku, a także na podstawie maszynopisu pierwszego wydania (1970) oraz na autorskim nagraniu prawie całości tekstu dla Polskiego Radia; osobnym i zaskakującym dopełnieniem pracy przy powstawaniu nowej edycji był tak bardzo różniący się od tego, co zostało opublikowane zbiór brulionów z rękopisem dzieła. Na pięciu stronach wydrukowane są fragmenty usunięte wcześniej przez redakcję i przywrócone w tym wydaniu lub dodane przez Białoszewskiego podczas nagrania radiowego.

Jest to najważniejsza proza autora *Szumów, zlepow, ciągow*, która obok tomu wierszy pt. *Budowałam barykadę* Anny Świrszczyńskiej stanowi najwybitniejsze literackie świadectwo tych sześćdziesięciu trzech dni, o których wraz z upływem czasu mówi się coraz więcej.

Narrator-bohater prostym, zwykłym i niezwykłym językiem opowiada o dniach powszednich powstania i o jego powszechności, bo przecież nie wszyscy byli zaangażowani w bezpośrednią walkę. Jest on uczestnikiem wydarzeń, zwykłego w tych ekstremalnych warunkach życia, a walka toczy się obok i wokół niego i on jest w nią zaangażowany właśnie poprzez przeżycie i świadectwo.

Ten *Pamiętnik* jest jedną z najważniejszych próz polskich XX wieku.

K.M.

**Miron Białoszewski**, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, „Utwory zebrane”, tom 3, przygotowanie edycji tomu Adam Poprawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014

Splot cielesności i duchowości stanowi główną ośnowę ostatnich filozoficznych pism Stanisława Ignacego Witkiewicza (1885–1939) – oryginalnego filozofa-idealisty i naturalisty, a może dualisty lub post-dualisty. Jego „monadyzm biologiczny” wysnuty z pism Gottfrieda Wilhelma Leibniza Tadeusz Kotarbiński streścił krótko i kto wie, czy nie najcelniej: „zegarek składa się z żyjątek”. Coś w tym jest. „Główniak” Witkiewicza – prace filozoficzne podpisywał pełnym nazwiskiem, a nie skrótem Witkacy jak dzieła pisarskie i dokonania malarskie – czyli *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*,

który powstawał w latach 1917–1932, chociaż niewiele się w nim od początkowych założeń zmieniło, to raczej fantastyka filozoficzna, charakteryzująca się bardziej stylistyczną niezwykłością i ferworem, niż precyzją pojęć i dyscypliną myśli. Język i styl tych zapisów jest swobodny i fantazyjny – monstrialne i chaotyczne, nie raz na pół strony rozciągnięte, pocięte myślnikami i średnikami zdania, za których tokiem trudno jest nadążyć, a tym bardziej wczuć się w ich przeskok i szarpaninę, zaskakują i nacierają na czytelnika.

Sam siebie przedstawił jako filozofa w sobowótowej kreacji Lzydora w *Jedynym wyjściu*. Czy był poszukiwaczem „najwyższego napięcia”? I tak i nie. W każdym razie jego filozoficzne pisma podszyte są metafizyką, bo chyba jednak bardziej metafizyką niż duchowością i ciągną, mimo wszystko, w stronę Tajemnicy, bo chyba jednak Tajemnicy, jakkolwiek by ją nie opisywać.

Witkiewicz to bardziej filozof-samouk, pisarz filozofujący i apodyktyczny laik niż pełnoprawny filozof, chociaż już jako nastolatek napisał tekst o Kancie i Schopenhauerze. Ale co to za filozof, który na początku odczytu stwierdza, że za mało wypił, żeby się dobrze wysłowić?

A przecież polemizowali z nim, chyba na serio, m.in. Roman Ingarden, Tadeusz Kotarbiński, Władysław

Tatarkiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz, Jan Leszczyński i Hans Cornelius.

Jan Błoński w swojej świetnej monografii pisze o porażce Witkiewicza-filozofa: ani nie można od jego pism filozoficznych przejść wprost do literatury, ani na serio rozpatrywać czegoś, co w gruncie rzeczy jest kwadraturą koła, skoro „chce się opisać »wszystko«, nie określając swoim dociekaniem ograniczonego miejsca”. Sporo jest w tym systemie dowolności, nad którymi autor przechodził do porządku dziennego, co sprawia, jak mówi Błoński, że z tego swobodnego filozofowania „emanuje niepowaga. Oscyluje ono między objawieniem (prorocstwem) a błazeństwem (czy parodią). Roi się ono od – wielce zabawnych i literacko udatnych! – dowcipów, formuł, powiedzeń, »wieszadeł na psy«, »pojęć bezpłciowych wprowadzanych tylnymi schodami«, »scarnapień«, »logistyk płodnych jak króliczyce«. Pojawiają się one nie tylko w polemikach, także tam, gdzie Witkiewicz przemawia niejako od siebie-człowieka, a nawet w toku uczonego wywodu”. I nawet tak wielki jego miłośnik jak Jan Błoński ma z tym kłopot i przyznaje rację Kotarbińskiemu, który twierdzi, że filozofowanie Witkiewicza jest „repeytywne i nieoperacyjne”.

Ale jak serio traktować tego natchnionego i niefrasobliwego filozo-

fa, skoro raz po raz wypowiada rzeczy ze sobą sprzeczne, a do tego co innego mówi, a co innego robi, np. w latach dwudziestych wieszczył koniec sztuki, a pisał i malował można powiedzieć, że bez opamiętania.

Dlatego lepiej i ciekawiej jest uważnie zajmować się jego literaturą, bo to właśnie w niej sięgnął najwyżej i osiągnął najwięcej i to ona wyraża go najpełniej. Jak mówi Błoński, Witkiewicz-Witkacy jest przede wszystkim zwierzęciem literackim!

W *Nocie wydawniczej* do tych pism czytamy m.in. o metafizyce cielesności i o głównej roli ciała, o problemie realizmu i o życiu psychicznym Istnienia Poszczególnego, o materii martwej i o Nicości Absolutnej, o monadyzmie i o dynamizmie, o monadach i o siłach wypełniających przestrzeń między nimi, o teorii skal świadomości i o rozszerzonej teorii tła, o pierwomonadach i o nieskończoności. Tom zawiera dwadzieścia trzy artykuły, traktaty, rozprawy, polemiki i odczyty i obojętnie w którym miejscu się go otworzy, wciąga do lektury.

K.M.

**Stanisław Ignacy Witkiewicz**, *Nauki ścisłe a filozofia i inne pisma filozoficzne (1933–1939)*, opracowali Maciej Dombrowski, Magdalena Bizior-Dombrowska, *Dzieła zebrane*, tom 20, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014

...zmowa kontrolowana, nowa powieść Leszka Szarugi, ukazuje się ćwierć wieku po wyborach do Sejmu kontraktowego. Autor punktem odniesienia dla fabuły uczynił jednak nie rok 1989, lecz 1982, ponure miesiące stanu wojennego. Główny bohater, José Martinez – meksykański historyk i rozczarowany marksizmem lewicowiec (rozczarowanie to następuje, jak łatwo się domyślić, po zetknięciu z sowieckim totalitaryzmem) – powraca do Polski odwiedzić grób żony, Anny. Przy okazji odnawia kontakty z przyjaciółmi z opozycji demokratycznej. Ryzykuje niemało. W kraju trwa wojna partii z narodem. Między ludźmi narasta nieufność, za każdym rogiem czai się szpicel. Karnawał „Solidarności” jest już tylko wspomnieniem. Streszczenie kolejnych epizodów nie ma zresztą w przypadku powieści Szarugi większego sensu. Bardziej niż snucie fabuły pisarza pociąga starcie idei. Znamienne: autor nie próbuje „meksykańskości” bohatera w żaden sposób uprawomocnić. José przemawia krystalicznie czystą polszczyzną, świetnie orientuje się w polskiej historii, nazywa Polskę drugą ojczyzną. Narodowość bohatera okazuje się jedynie pretekstem: pozwala przedstawić (i osądzić) racje walczących stron niejako z zewnątrz, zapewnia niedozwony dystans. Obcy, który uczy się Polski – tym w istocie

jest Martinez – od podszewki pozna-  
je realia życia w opresyjnym syste-  
mie. Część dialogów skonstruowa-  
na została zresztą na wzór wywiadu,  
według schematu: pytanie Meksy-  
kanina – odpowiedź polskiego opo-  
zycjonisty. Polifonia – Szaruga sta-  
ra się oddać zróżnicowanie postaw  
wewnątrz opozycji: od przyczaje-  
nia po iście rewolucyjny radykalizm –  
jest jednak pozorna. W powieści roz-  
brzmiewa bowiem głos wyłącznie  
jednej strony. Wynika to z podzie-  
lanego przez bohaterów przekona-  
nia, że jakiegokolwiek porozumienie  
z komunistami jest niemożliwe. Wła-  
dza i społeczeństwo – w tym sensie  
jest to modelowa opowieść o „woj-  
nie polsko-jaruzelskiej” – ustawio-  
ne zostały po przeciwnych stronach  
barykady. Potwierdza to, ważna  
dla ideowej warstwy utworu, sce-  
na przesłuchania. Włodek nie słucha  
pokrętnych wywodów ubeka, któ-  
ry w niezbyt zawoalowany sposób  
sugeruje mu emigrację. Toczy we-  
wnętrzny dialog z samym sobą. Wy-  
mowa tego fragmentu wydaje się  
jasna: władza nie jest – nie może  
być – partnerem do rozmów. Komu-  
nikacja na linii partia-społeczeństwo  
została zerwana.

Nie tylko w tym miejscu po-  
wieść sięga po utrwaloną w dyskur-  
sie o PRL-u antysystemową topikę.  
Bohaterowie – fakt, że nie wszyscy –  
postrzegają „Solidarność” jako kon-

tynuację polskich powstań, rozwa-  
żają znaczenie wyboru Polaka na  
Stolicę Piotrową, doświadczają od-  
nowicielskiego wpływu pielgrzym-  
ki papieża do ojczyzny. Wielu wska-  
zuje na Zachód jako istotny punkt  
odniesienia. Szaruga wzbogaca tak  
ukształtowaną opowieść o wątek za-  
korzenionego w społeczeństwie an-  
tysemityzmu. Inna sprawa, że zarzut  
sterowania nienawiścią rasową – an-  
tysemityzm w powojennej Polsce  
pozbawiony jest Żydów – staje się  
kolejnym argumentem przeciw wła-  
dzy, w mniejszym stopniu obna-  
ża zbiorową mentalność. Szarudze  
do pewnego stopnia udaje się nato-  
miast zerwać z wyobrażeniem kon-  
spiracji jako typowo męskiej przygo-  
dy. Do pewnego stopnia, ponieważ  
Anna – bohaterka wyzwolona sek-  
sualnie, czynnie zaangażowana  
w działalność opozycyjną, a równo-  
cześnie zdystansowana wobec na-  
rodowej tradycji – okazuje się raczej  
personifikacją pięknej idei niż kobie-  
tą z krwi i kości. Język poezji, którym  
opowiada o walce z systemem, sta-  
je się alternatywą dla języka polityki.  
Ta ostatnia pozostaje domeną męż-  
czyzn. „Anna miała rację” – formu-  
ła, która niczym refren rozbrzmiewa  
w ustach kolejnych (męskich) boha-  
terów, nie tyle wskazuje na trafność  
politycznych rozpoznań żony Marti-  
neza, ile rozstrzyga po czyjej stronie  
leży moralna słuszność.



Można w tym dostrzec próbę wykroczenia poza typowe dla literatury o stanie wojennym opozycje komunizmu i antykomunizmu, walki i „zgniłego” kompromisu. Choć patos, z którym bohaterowie mówią o wolności kusi, by czytać utwór przez pryzmat „odwiecznego” konfliktu „romantyków” z „realistami”, zamiysł pisarza wydaje się inny. Owszem, wpisana w powieść wizja „Solidarności” jako bezkrwawej rewolucji (przy czym rewolucja oznacza tu coś więcej niż tylko dążenie do zmiany systemu) korerzeniami sięga romantyzmu. Jest to jednak romantyzm pozbawiony wątków mesjanistycznych, interpretowany w duchu myśli politycznej paryskiej „Kultury”. Czytelnik, któremu nieobce są historycznoliterackie zainteresowania autora, rozpozna tu sformułowany przez Juliusza Mieroszewskiego postulat przewartościowania polskiej tradycji romantycznej, próbę pogodzenia ideału walki narodowowyzwoleńczej z pozytywistycznym postulatem pracy i samodoskonalenia.

Czytana w ten sposób książka Szarugi okazuje się tyleż dokumentem świadomości epoki czy – jak chce wydawca – „diagnozą totalitaryzmu w wersji polskiej”, co wykładnią politycznego realizmu. Wykładnią szczególnie – ponieważ realizmu owego nie należy utożsamiać z tym, co w literaturze przedmiotu określa się zwykle jako *Realpolitik*. Ta ostatnia posta-

wa – jej reprezentantem jest Tomek, dziennikarz dobrze widziany w kręgach władzy, ale nie stroniący od kontaktów z opozycją – zostaje w powieści skompromitowana, utożsamiona z oportunizmem i życiowym cwaniactwem. Tym, co podlega krytyce nie jest jednak ugodowość, lecz ograniczanie działań ruchu do postulatów politycznych czy socjalnych. Wolność – zdaje się mówić Szaruga – nie może być postrzegana wyłącznie w kategoriach formalno-prawnych, sprowadzona do sprawnego (i niezawisłego) funkcjonowania instytucji państwowych. Państwo – symbol zniewolenia przez ościenne mocarstwo – oddzielone zostaje od ojczyzny, przez bohaterów postrzegane jest wręcz jako jej zaprzeczenie. Ta ostatnia przekracza granice narodowej wspólnoty, staje się zadaniem dla tych, którzy – niezależnie od przynależności etnicznej – czują z nią emocjonalny związek. Rewolucja, choć na krótką metę ponosi porażkę, przynosi odnowę moralną uciśnionemu społeczeństwu. Kryje w sobie również zapowiedź odnowienia całej ludzkości. Potwierdza to zakończenie powieści, w którym bohater rozmawia z przypadkowo poznaną w pociągu Brazylijką. Martinez występuje tu jako spadkobierca ideałów Anny: niesie przesłanie „Solidarności” poza granice Polski. W tym miejscu rodzi się jednak pytanie: czy romantyczna idea posłannictwa na-



rodu – odrzucona w imię przekonania o uniwersalnym wymiarze polskiej walki – nie wkłada się do powieści tylnymi drzwiami?

K.Z.

**Leszek Szaruga**, ...*zmowa kontrolowana*, Wydawnictwo Papierowy Motyl, Warszawa 2014

*Rozmaitości interpretacyjne. Trzydzieści szkiców* to, jak sam tytuł wskazuje, zbiór kilkudziesięciu, przeważnie dość krótkich, studiów Michała Głowińskiego. Pośród zamieszczonych w tomie tekstów znalazły się drobniagowe rozbiory utworów poetyckich i prozatorskich, portrety osób zasłużonych dla polskiej nauki o literaturze, a nawet komentarze i recenzje. Niemal wszystkie ukazały się wcześniej na łamach prasy literackiej i społeczno-kulturalnej (m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Tekstach Drugich”, „Kwartalniku Artystycznym” i „Znaku”) lub w tomach pokonferencyjnych. Zdecydowana większość to rzeczy świeże, pochodzące z ostatnich czterech–pięciu lat działalności profesora. Trafić tu można jednak i na opublikowany u progu nowego tysiąclecia artykuł *Roman Jakobson w Polsce*, poświęcony kontaktom genialnego językoznawcy z polskim środowiskiem naukowym. Szkic ten, podobnie jak następujący po nim esej *Czeskie koneksje* – kontynuujący temat narasta-

nia tendencji strukturalnych w rodzimym literaturoznawstwie – dostępny był dotychczas jedynie w przekładzie. Pierwszy ukazał się w rosyjskiej antologii *Roman Jakobson. Texts. Documents. Studies*, drugi – w czasopiśmie „Česká literatura”.

Pozostałe szkice to – w przeważającej większości – rzeczy znane rodzimym czytelnikom. W jednym przypadku – mowa o artykule *Odpocziwić literaturę polską!*, którego pierwodruk ukazał się na łamach tygodnika internetowego Polskiej Akademii Umiejętności „PAUza Akademicka” – autor zaproponował wersję znacznie rozszerzoną w stosunku do oryginału, wzbogaconą o swoistą „pochwałę Gombrowicza” (echo wcześniejszych o kilka lat zawirowań wokół kanonu lektur szkolnych). Oprócz tego znalazły się tu m.in. szkice poświęcone wojennym „medalionom” Ludwika Heringa, prozie żałobnej Stefana Żeromskiego czy funkcjonowaniu dzienników intymnych pisarzy w życiu literackim. Szkice, siłą rzeczy, o różnym ciężarze gatunkowym, zajmujące niejednakową pozycję w dorobku profesora. Trudno bowiem zestawić szczegółowe interpretacje wybranych wierszy Bolesława Leśmiana (*Dzień skrzydlaty*, *Tango*) czy wnikliwą analizę zapomnianej nieco twórczości poetyckiej Zbigniewa Bieńkowskiego z tekstami o charakterze okolicznościowym

czy publicystycznym. Odrębny blok tworzą eseje, w których Głowiński występuje jako historyk teorii literatury i krytyki literackiej w Polsce (tu zwłaszcza przypomnienie krytycznoliterackiej spuścizny Jana Józefa Lipskiego, pisane częściowo z perspektywy ucznia wspomnienie Miśtrza – Czesława Zgorzelskiego czy przejmujący, aczkolwiek nie pozbawiony ciemnych barw, portret Marii Renaty Mayenowej).

Na pozór czytelnik dostaje więc do ręki zbiór nieco przypadkowy, niejednorodny tak pod względem tematycznym, jak i formalnym; zbiór, którego głównym celem wydaje się ocalenie od zapomnienia rozproszonych tekstów autora *Mitów przebranych*. Na pozór – ponieważ wyraźnie osobisty charakter kilku ostatnich szkiców, pozwala czytać *Rozmaitości*... tyleż jako zestaw historyczno- czy krytycznoliterackich *variów*, co fragment autobiografii intelektualnej uczonego: dowód jego przywiązania do określonych metod badawczych i wypracowanego przez lata języka opisu. Także świadectwo ewolucji. „Muszę stwierdzić, że w ostatnim okresie moje zainteresowania teorią literatury zaczęły słabnąć” – wyznaje wybitny teoretyk i rezerwuje dla siebie skromniejszą rolę interpretatora. Przywiązanie do strukturalizmu i semiotyki – z czego autor uczciwie zdaje sprawę – wy-

nika bowiem nie tyle z konserwatyzmu, ile z krytycznego namysłu nad nowym paradygmatem w nauce o literaturze. Niechęć wobec widocznego ostatnimi laty „ufilozoficznienia” literaturoznawstwa nie oznacza, rzecz jasna, zamknięcia na teoretycznoliterackie nowinki. Autor przyznaje, że dostrzega korzyści płynące z badań nad właściwościami dyskursów, krytyki kolonialnej czy studiów genderowych. W szkicu *Glosy do rozważań J.M. Ellisa* broni niektórych zdobyczy tzw. nowego historyzmu. Z dobrym skutkiem włącza też pewne elementy krytyki queerowej do zestawu własnych narzędzi badawczych (por. odczytanie poematu Józefa Czechowicza *Hildur, Baldur i czas* w perspektywie homoerotyzmu). Położenie na końcu – niejako wbrew wewnętrznej logice tomu, dzielącego się poniekąd na część „interpretacyjną” i „historyczną” – obszernej recenzji monografii Karola Szymanowskiego pióra Teresy Chylińskiej i posłowie do nowego wydania książki Oscara Lewisa *Dzieci Sancheza*, może być więc odebrane jako swoisty „manifest”: potwierdzenie deklaracji czytelniczą (i pisarską) praktyką.

K.Z.

**Michał Głowiński**, *Rozmaitości interpretacyjne. Trzydzieści szkiców*, Fundacja Akademia Humanistyczna, Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2014.

„Tę książkę można uważać za traktat filozoficzny używający języka poezji, albo za poemat prozą, który karmi się filozofią” – tymi słowami Piotr Matywiecki opisuje swoje najnowsze dzieło, niewielkich rozmiarów esej, którego tytuł – *Świadomość* – mówi o zawartości wydawnictwa właściwie wszystko. Przy czym tytuł nie tylko wskazuje w tym wypadku na treść, lecz także przynosi pewną „sugestię genologiczną”. Tytułowa „świadomość” jest zatem równocześnie tematem i wypracowaną na użytek książki – tej konkretnej książki – klasyfikacją gatunkową.

Tematem – bo wysiłek interpretacyjny autora sprowadza się do pytania: czym jest świadomość? Obecnością? Orientacją w świecie? Zdolnością umysłu do odzwierciedlenia istniejącej poza nim rzeczywistości? Słownikowe i encyklopedyczne definicje jedynie przybliżają sens pojęcia. Dlatego mówiąc o świadomości, autor mówi jednocześnie o Bogu, wieczności, świecie, umyśle, rzeczywistości, istnieniu każdego poszczególnego „ja”. Tym samym sugeruje tożsamość tych zjawisk, ich zasadniczą nieodróżnialność od świadomości jako takiej. Równocześnie jednak zdaje sobie sprawę, że świadomość nie jest Bogiem, a jeśli już to „Bogiem innym od Boga”. Nie jest wiecznością, chociaż istnieje zawsze. Nie zamyka się w „ja”, choć „ja”

jest jednym z jej przejawów. Świadomość daje się określić wyłącznie negatywnie. Zarazem jednak – pisze filozof – nie ma nic poza świadomością, świadomość ogarnia nawet niebyt – swoje zaprzeczenie.

Tytułowa świadomość – rozproszona po tekście metakomentarze pozwalają na taką interpretację – jest również „gatunkiem literackim”, ponieważ myślenie o książce w kategoriach „granicy między świadomościami” autora i czytelnika ukierunkowuje zarówno typ lektury, jak i pisanie. Pisanie o świadomości – taki jest zamysł eseisty – ma być więc równocześnie pisaniem-świadomością, tzn. świadomością samą, która zawiera się niejako w akcie tworzenia. Oto „niespełnialne marzenie” piszącego: „żeby tytuł tego, co piszę, *Świadomość*, nie był »o świadomości«, żeby nie znaczył pisanie »świadomie« – niech znaczy pisanie naiwne, z wnętrza świadomości, która błądzi w sobie”. W tym sensie pisanie Matywieckiego jest i nie jest świadomością: zawiera się bez reszty w opisywanym przedmiocie i jednocześnie bezskutecznie próbuje go wyrazić.

Nie przypadkiem rozważaniom poety patronuje ojciec dialektyki, Heraklit z Efezu – filozof, którego ciemna mowa do dziś sprawia kłopot egzegetom. Ciemna – bo prywatna, wywiedziona z doświadcze-

nia bliskiego iluminacji, jest także mowa Matywieckiego. Próżno szukać tu pojęciowej precyzji. Pojęcie każdorazowo zbiega się z metaforą, która – jak w wierszu – „zdarza się” piszącemu niezależnie od jego woli. Formalnie rzecz biorąc *Świadomość* nie jest przecież traktatem. Nie jest też jednak poematem we właściwym sensie tego słowa. Matywiecki filozof sięga po pojęcia, których jednoznaczność sam podaje w wątpliwość. Matywiecki poeta upaja się słowami, których treści nie pojmuje, choć wie, że zawiera się w nich esencja rzeczy. Zasadą organizującą tekst wydaje się nieustanny ruch myśli: ciągle podejmowanie i porzucanie tych samych wątków, mnożenie sprzeczności, zderzanie przeciwstawnych twierdzeń i wykluczających się nawzajem języków.

Wskazanie konkretnych źródeł czy inspiracji nie ma w przypadku książki Matywieckiego większego sensu. Autor nie podejmuje dialogu z filozoficznymi czy psychologicznymi koncepcjami świadomości. Rozpoznanie pojawiających się w tekście odniesień w dużej mierze zależy od predyspozycji i typu umysłowości czytelnika. Kiedy filozof pisze: „patrzac teraz zawsze już odczuwałem, że patrzę dawno temu. – To jest świadomość” – w słowach tych jeden usłyszy echo myśli Augustyna i Platona, drugi nawiązanie do

Bergsona. Ten ostatni trop wydaje mi się szczególnie kuszący. Czym, jeśli nie formą opisaną przez eseistę „świadomości świadomości”, jest Bergsonowska „pamięć nawykowa”? Kusi również, by powracając na kartach eseju figurę dziecka czytać przez pryzmat Malarza życia nowoczesnego Baudelaire’a. Widziane w tym świetle filozofia i poezja stają się dwiema stronami jednej monety. Pierwsza określa to, co racjonalne w świadomości, druga pozwala wyobraźni wkroczyć w sferę irracjonalności. Ze zderzenia tych dwóch, pozornie wykluczających się, porządków wyłania się porządek trzeci: poprzedzający wszelką mowę, wymykający się myśli. Nie przypadkiem pod koniec tekstu poeta-filozof nie oczekiwanie milknie, na moment oddaje głos innym (por. wypisy z lektury w Ekskursie heraklityjskim). Konfrontacja z cudzym tekstem – cudzą świadomością w książce – nabiera tu cech właściwego poznania. Czyni to z eseju Matywieckiego przestrzeń spotkania z niewyrażalnym, ale też – z drugim człowiekiem. Przestrzeń spotkania dwóch świadomości: piszącego i czytelnika.

K.Z.

**Piotr Matywiecki**, *Świadomość*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2014

W tym roku ukazały się dwie książki rozmów z Julią Hartwig. Pierwszą przygotował Jarosław Mikołajewski (*Największe szczęście, największy ból*), drugą – Artur Cieślak (*Życie to podróż, to ocean*). Znamienne, że obaj autorzy nadając tytuł swoim książkom, posługują się cytatami. To coś mówi o nastawieniu rozmówców do Hartwig i do literatury. Są bowiem krytykami, ale też poetami. Łączy ich jeszcze i to, że należąc do tej samej generacji, roczników sześćdziesiątych (Mikołajewski urodził się w 1960 roku, Cieślak – w 1967), rozmawiają z neskorką polskiej literatury. Obie książki są ważne, choć z trochę innych powodów. Mikołajewskiego jest istotna dla rekonstrukcji myślenia Hartwig o poezji. Jeden z dialogów dotyczy poetyki „błysków” jako specyficznej formy literackiej (przeciwstawianej zarówno wierszowi, jak i aforyzmowi). Książka Cieślaka w większym stopniu jest przydatna dla poznania biografii poetki. Częściowo wynika to z czasu przeprowadzenia rozmów. O swoim pierwszym i nieudanym małżeństwie Hartwig więcej opowiada Cieślakowi. Ale i tak nie wszystko, bo podczas konkrety wykreśla pewne, nazbyt osobiste – jak sądzi – kwestie.

Autorów różni „filozofia” rozmowy. Cieślak jako estetyzujący twórca spotyka „poetkę światła” i próbuje wyłowić z tego, co słyszy, mądrość. Zresztą tak pojmuje poezję Har-

twig, a przynajmniej tak deklaruje we wstępie do książki: „Właśnie ta mądrość, którą odczytałem w poezji Julii Hartwig, ale i w jej *Dziennikach*, stała się dla mnie bezpośrednim impulsem do przeprowadzenia z nią rozmów o... życiu właśnie”. Mikołajewskiego w większym stopniu interesują okoliczności pisania wierszy, ale też osobowość poetki, a także przemiany środowiska literackiego. Odmienność wynika też zapewne ze stopnia zażyłości bohaterów spotkań. Książka Mikołajewskiego dokumentuje wpierw znajomość, a później przyjaźń z Hartwig. Rozmowy utrwalone w tomie są więc naturalnym dopełnieniem – jeśli tak można powiedzieć – pogawędek telefonicznych. Cieślak bardzo chce rozmawiać z Hartwig, ale początkowo spotyka się z odmową. Pomaga redaktor Jerzy Illg. Stąd zrozumiała, po względnie krótkiej znajomości, pewna oficjalność dialogów.

Nie jest bez znaczenia profesja rozmówców. Mikołajewski jest italia- nistą i rzeczywiście dopytuje o Włochy i Rzym, w którym jakiś czas przebywał, pełniąc funkcję dyrektora polskiego ośrodka kultury. Zagaduje więc o literaturę i włoskie kino. Cieślak jest romanistą i zahacza o poezję oraz kulturę francuską. Ciekawie debatują np. o Nervalu, którego biografię Hartwig napisała.

Książki różnią się formalnie. Mikołajewski zebrał w całość wcześniejsze rozmowy prezentowane w „Gazecie Wyborczej”. Cieślak przygotował integralny tom rozmów. W pierwszym wypadku mamy zatem materiał do śledzenia zmian w zapatrywaniach poetki w perspektywie historycznej. W drugim – książka zogniskowana jest wokół kilku tematów, jakie interesują rozmówców: przyjaźń, miłość, podróż, malarstwo, cierpienie, religia... Inna jest też rola rozmówców jako redaktorów. Mikołajewski skupia się na twórczości, na poezji jako szczególnej odmianie słowa, a także na kolejnych tomach Hartwig (*Błyski, Bez pożegnania, Zapisane*). Mikołajewski drąży więc tajemnice istnienia i docieka arkanów poetyki (pyta, jak powstaje wiersz i co jest źródłem natchnienia). Niekiedy wydobywa z Hartwig wyznania zaskakujące. Takie np.: „Niby to my piszemy poezję, ale w znacznym stopniu to ona nam mówi, co pisać”. Nie obawia się przy tym pytań prostych. W pewnym miejscu np. zagadnął Hartwig o to, co ta myśli o listonoszu. Inaczej Cieślak. Nie poprzestaje na rekonstrukcji rozmów z poetką. Dodaje coś jeszcze. W odpowiedziach podkreśla niekiedy zdania, stosując w zapisie wielką czcionkę. W rezultacie cały tom jest nie tylko zbiorem dialogów, lecz także my-

śli. To dodatkowo wzmacnia sapien-  
cjalny charakter tomu. Choć z takim kształtem wiąże się też pewne ryzyko. Bo przecież w ten sposób rozmówca jakby przejmuje inicjatywę. Pragnie za poetkę wyłuskać kilka myśli, np.: „Sukces związku dwojga ludzi zasadza się na stworzeniu dla siebie absolutnej wolności w sferze duchowej i intelektualnej”. Albo: „Bo prawdziwa podróż to stykanie się z innością świata i porzucanie własnego”. Być może niektóre podkreślone zdania osiągają wartość „błysków” Hartwig. Kłopot polega na tym, że poetka ceni tę formę jako otwartą czy niegotową, a przytoczone przykłady zbliżają się raczej do aforyzmów, wobec których Hartwig się dystansuje. W książce Mikołajewskiego mówi tak: „Broń Boże błyski nie mają nic wspólnego z aforyzmem czy z przysłowiami. Muszę wyznać, że te dwie formy są mi bardzo dalekie i niemal nienawistne, ponieważ są prawdą stwierdzoną albo zaleconą, radą albo nauką – a tego w swojej twórczości unikam jak ognia”. Dodać trzeba, iż Cieślak jeszcze inaczej przejawia inwencję. W wielu miejscach kwestie dialogowe uzupełnione są wierszami Hartwig. Ma to zapewne uwiarygodnić rozmowy. Inna sprawa, że w ten sposób liryka traci swą autonomię, stając się materiałem ilustracyjnym.

Książki różnią się jeszcze wy-  
dawniczo tym, że u Mikołajewskie-  
go jest tylko słowo, a u Cieślara  
dialog uzupełniony został fotogra-  
fiami, na których widzimy poetkę.  
To o tyle znaczące, że sam krytyk  
dokumentuje w ten sposób swoje  
kompetencje w tej dziedzinie. A pa-  
miętać także trzeba, iż fotografia  
jest bardzo ważna w historii rodzin-  
nej Hartwig. Dla jej ojca była zawo-  
dem, a dla brata, Edwarda, zawo-  
dem i sztuką.

Jeśli jednak miałbym wskazać,  
co jest najważniejsze w książce Cie-  
ślara, podkreśliłbym to, co poetka  
mówi o twórczym życiu. Jednak nie  
w odniesieniu do przeszłości, lecz  
teraźniejszości. Hartwig przypomina,  
jak cieszył się ze swojego ostat-  
niego tomu Czesław Miłosz: „Mam  
dziewięćdziesiąt lat i wydałem książ-  
kę. A o sobie Hartwig mówi tak: „Ileż  
obrazów przeszłości mi się poja-  
wia, ile postaci wyłania z niepamięci.  
Czasami dzieje się to we śnie, czasa-  
mi, kiedy leżę spokojnie po przebu-  
dzeniu, obserwuję te obrazy i myśli.  
Nazwałabym to godnym myśle-  
niem”. I w zgodzie z tą refleksją do-  
daje, że jej ostatni tom wierszy, *Zapi-  
sane*, „jest najdojrzalszy”.

W obu książkach pojawiają się  
też te same tematy i sprawy. Możemy  
niejako weryfikować poszczególne  
relacje z przeszłości. Nie dlatego  
jednak, abyśmy mieli przytapać Har-

twig na pomyłce, lecz by obserwo-  
wać, jak pracuje pamięć.

J.M.

*Życie to podróż, to ocean. Z Julią Hartwig roz-  
mawia Artur Cieślara*, Zys i s-ka Wydawnictwo,  
Poznań 2014.

*Największe szczęście, największy ból. Rozmowy  
Jarosława Mikołajewskiego z Julią Hartwig*, Wy-  
dawnictwo a5, Kraków 2014

Trzydzieści trzy do tej pory roz-  
proszone teksty Leszka Kołakow-  
skiego (1927–2009) z lat 1960–2009,  
choć głównie z lat dziewięćdzie-  
siątych, zebrane w jednym tomie  
rzucają snop światła na problemy  
i zagadnienia naszych czasów. Nie-  
które z nich jak np. *Rozmyślenia o złu*,  
*Czy ludzkość może jeszcze ocalić swo-  
je człowieczeństwo?*, czy *Zabijanie  
upośledzonych dzieci jako fundamen-  
talny problem filozofii* – wydobyte  
z roczników obcojęzycznych czaso-  
pism, publikowane są po raz pierw-  
szy po polsku, a niektóre niespodzie-  
wanie odnalezione, jak dwa eseje  
o odpowiedzialności za zbrodnie na-  
zizmu – *Casus Eichmana* i *Z dzienni-  
ka lektury*, stanowią archiwalną sen-  
sację.

Przed nami cała gama proble-  
mów, zjawisk i zagadnień takich jak  
np.: demokracja, rewolucja i kontrre-  
wolucja, totalitaryzm, hitleryzm, ko-  
munizm i lefetyzm, porządek jałtań-  
ski, suwerenność i niesuwerenność,  
demokracja, wolność i zniewole-



nie, zło i dobro, manipulacja informacją, prawda i kłamstwo, diabeł, anarchizm, terroryzm, nienawiść, martyrologia, znaczenie religii i historii, filozofia i filozofowie, ekonomia i pieniądze, chrześcijaństwo, wiara i niewiara, nawrócenie, religia i polityka, teraźniejszość i przyszłość Europy, uniwersalizm i europocentryzm, wybaczenie i solidarność, a w Dodatku, jakże ważne i aktualne: *Dekalog: nadal ważny i ściśle przestrzegany oraz Hendekalog inteligenta*.

To twardy grunt, po którym można śmiało posuwać się do przodu i na którym można bezpiecznie budować, jakże różny od tej czczej gadaniny rozplenionej w mediach i tysiącnych książkach z dziedzin przeróżnych.

K.M.

**Leszek Kołakowski**, *Niepewność epoki demokracji*, wybór i słowo wstępne Zbigniew Mentzel, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

Ten nieukończony tekst o Jezusie Leszka Kołakowskiego, napisany po francusku w latach osiemdziesiątych, odnaleziony został w jego papierach i ogłoszony przez wydawnictwo Znak. Współcześnie pisać w Polsce o Jezusie to niemal heroizm, tak jak niemałej odwagi wymaga pisanie o aniołach i diabłach, co przecież kiedyś nie było czymś aż tak niezwykłym. A co dopiero we Francji!

Od początku Kołakowski stawia sprawę jasno: „Unikam pytania, jak w narracji ewangelicznej odróżnić prawdziwe od wyobrazonego, to, co jest do przyjęcia, od tego, co niepewne. Myślę o Jezusie prawdziwym, a to znaczy: prawdziwie, rzeczywiście i niezbywalnie obecnym w naszej historii. Ta obecność obejmuje wszystkie Jego słowa, wszystkie cuda, modlitwy i nauki”.

Czy był w historii Polski i w historii Europy ktoś bardziej obecny niż Jezus? I czy to zdanie może istnieć już tylko w czasie przeszłym?

Kołakowski stwierdza, że będzie mówić o Jezusie, odsuwając na bok wiarę i teologię. Czy nie jest to jednak zanedo minimalistyczne założenie?

Ale przecież Kołakowski nie był minimalistą! Miał więc jakiś plan, który właśnie w ten sposób chciał zrealizować.

Zajmują go trzy główne pytania: Czy nasza kultura przeżyje, jeśli zapomni Jezusa? Czy wierzymy, że jeśli Jezus zostanie wygnany z naszego świata, ten świat przepadnie? Dlaczego potrzebujemy Jezusa? I znowu wątpliwość: Czy nie są to pytania, które w sumie mają jednak proste odpowiedzi?

„Czy był Bogiem?” – pyta i odpowiada: „Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On”. To jasne.



Tak jak jasne jest, że ktoś taki jak Jezus mógł być tylko Mesjaszem prawdziwym lub Mesjaszem fałszywym, szatańskim uzurpatorem lub Synem Bożym, bluźniercą lub tym, kto ma klucze do Królestwa, które nie tylko zapowiedział, ale które przyniósł: „...prawdą jest, że wraz z przyjściem Chrystusa Królestwo zaczęło już powstawać, że od chwili Jego śmierci ludzkość w swej istocie jest zbawiona. (...) Chrześcijaństwo to radość z teraźniejszej obecności Bożej, objawionej w Jezusie”, stwierdza Kołakowski.

Odwolując się do idei apokalipsy, pyta: Czym jest i czym będzie Koniec? Czym będzie dzień Sądu, który jest nieuchronny? Czy apokalipsa jest nieunikniona? I dochodzi do wniosku, że „przyswojenie sobie apokaliptycznego sposobu patrzenia na świat jest prawdopodobnie warunkiem, aby rasa ludzka mogła przeżyć i uniknąć apokalipsy samozagłady, wielkiego Końca, który sama sobie przygotowuje”.

Przypomina rdzeń nauki naszego Nauczyciela: „Jest tylko jedna rzecz godna bezwarunkowego pragnienia: to Bóg i Jego Królestwo; jest tylko jedna rzecz, która jest złem absolutnym: utrata duszy, jej nieodwracalne zepsucie. (...) wszystkie wartości doczesne są tylko względne i drugorzędne”. I to jest właśnie ośmieszane i Jezus jest ośmieszany, chociaż „potrzebujemy

go bardziej niż pierwsi chrześcijanie” i zapominanie o Nim czy ośmieszanie Go sprawia, że „znaleźliśmy się tam, gdzie teraz jesteśmy – często zrozpaczeni, wiecznie zatrwożeni, pozbawieni znaków”. To jest prawda: „Tak, Jezus jest ośmieszany, ale wiemy, że ma rację, i nawet otwarcie tego nie kwestionujemy” – mówi Kołakowski i dodaje, że trzeba być odważnym, żeby we własnym imieniu głosić we współczesnym świecie przykazania ewangeliczne, bo być chrześcijaninem to dziś jest wstyd mimo, iż wiemy, że to Jezus ma rację.

Tematem głównym chrześcijaństwa jest *metanoia*, czyli przemiana duchowa i bez niej wielkie problemy ludzkości nigdy nie będą rozwiązane. A przemiana ta wymaga uznania, że korzenie zła są w nas i to jest bardzo trudne: „Uznanie własnej winy jest według nauczania Jezusa podstawowym warunkiem *metanoi*, warunkiem życia w Bogu i, siłą rzeczy, warunkiem zbawienia”.

Podstawą przemiany jest odróżnianie dobra od zła, które nie ma nic wspólnego z naszym subiektywizmem i tym, co jest dla nas korzystne. Stworzyliśmy cywilizację, która mimo wszystkich swoich zalet i dogodności, a może właśnie dlatego, jest duszobójcza.

Negujemy zło i grzech, wybieramy siebie i łatwo siebie rozgrzeszamy, omijamy jakąkolwiek odpo-

wiedzialność, chodzimy na skróty, zaprzeczamy oczywistości, jakby nie zdając sprawy z tego, że zapominając o Jezusie, negujemy człowieka, czyli negujemy i niszczymy siebie i nasz świat.

Kołąkowski przypomina i brzmi to jak *memento*: „Prawdziwe korzenie naszej cywilizacji to narracja ewangeliczna i osoba Jezusa, Jego nauczanie jako słowo pochodzące od Niego. (...) chodzi o dostęp do Jezusa – człowieka lub Boga – zawsze osoby”. Zwraca uwagę na relacje i napięcia między *sacrum* i *profanum*, na ich piekielną dialektyczną wymienność, co jest „kluczowym punktem i zarazem najbardziej bolesnym miejscem kultury chrześcijańskiej” i mówi: „nieobecność Jezusa zapowiada śmierć cywilizacji, której spadkobiercami wciąż jesteśmy”.

Odwołuje się m.in. do filozofii Platona, Hobbesa, Spinozy, Pascala, Hume’a, Nietzschego, Kartezjusza, Heideggera, Dilthey’a, Jaspersa, a także do pism świętego Pawła, do teologii Lutra i Bultmannna, mówi o Zmartwychwstaniu Jezusa i o Wielkim Wybuchu i wcielając się raz w sceptyka, raz w chrześcijańskiego apologetę, toczy ciekawy dialog o teorii „demitologizacji”, czy o micie demitologizacji. Mówi: „Słowo Boże otwiera się przed nami, ale jego sens oraz fakt, że jest to słowo Boże, objawiają się tylko

w teraźniejszości, jako aspekt naszego doświadczenia. Nie można podać »dowodów« boskości Jezusa, ale w sposobie, w jaki zmienia On moje życie, objawia mi się jako Słowo Boże. To w Jezusie znajduję Boga, nie dlatego, że akceptuję takie czy inne twierdzenie teologiczne, które wypowiedział, ale dlatego, że decyduję się iść za Jego wezwaniem. Przez tę decyzję naberam zaufania do Boga i mogę już nie bać się przyszłości, ponieważ, choć przyszłość jest nieznaną, jej sens wyznacza rzeczywista obecność Jezusa i jest to, z konieczności, sens zgodny z »boską« dobrocią”.

Stawia szereg pytań, mówi o diable, o aktach wiary żywej i o jej sensie, o miłości jako rzeczywistej energii, którą On przelał w świat, o sile słowa Bożego, o Kazaniu na Górze i o Augustynowym „kochaj i czyń, co chcesz”.

Tak, jest to esej zarazem sceptyczny i apologetyczny, chociaż silniejsze w nim, bardziej przekonujące i bardziej rzeczywiste jest to, co jest w nim apologią.

K.M.

**Leszek Kołąkowski**, *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, posłowie Jan Andrzej Kłoczowski OP, przekład Dorota Zańko, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

Czwarty tom *Apoftegmatów Ojców Pustyni* zawiera zbiór apoftegmatów z przechowywanego w Paryżu greckiego rękopisu z X–XI wieku, tzw. kolekcję anonimową. Charakteryzuje się ona znaczną niejednorodnością materiału, z którego została skomponowana, różnorodnością nazw geograficznych, obecnością dubletów, a także tym, że zajmuje się nie tylko mnichami i nie raz zaskakuje oryginalnością.

Apoftegmat to słowo Boga, a także działanie, wydarzenie, rzecz wypowiedziana przez słowo (hebr. *dabar*). Apoftegmat wypełniony, ma prowadzić do Boga i w efekcie do zbawienia – czy może być większy i ważniejszy cel? Jest sceną z życia, która jest mocno z nim złączona: na początku zbiorów często pojawiają się formuły, które podkreślają ścisły związek słów i życia, mowy i działania. Każdy apoftegmat jest poprzez swoją formę słowem wypowiedzianym w konkretnych okolicznościach, z którymi nierozzerwalnie się łączy.

Mnisi mieszkali w grotach lub celach w Nitrii, w Celach i w Sketis i wokół nich i chociaż unikali spotkań i rozmów, to jednak widywali się ze sobą – możliwe były spotkania nawet kilku mnichów, a także dopuszczali do siebie uczniów. Podstawowe źródło apoftegmatów stanowią właśnie relacje między adeptami życia pustelniczego a starcami, słowa

i zdarzenia (czyny) między nimi. Sam apoftegmat to odtworzenie – powtórzenie, a więc rekonstrukcja tych sytuacji; niekiedy jedna sytuacja czy wydarzenie, opowiedziana w różny sposób przez kilku jej świadków, staje się źródłem kilku apoftegmatów; bywa też tak, że przekaz dokonywany jest z zasłyszanej relacji, np. „Powiedział mi brat: »Rzekł mi abba Pafnucy...«”. etc.

Sednem duchowości pustyni jest cnota *penthos* (smutku, skruchy, żalu). Gdy pewnego dnia jeden z mnichów przyszedł do założyciela Sketis abba Makarego Egipskiego i poprosił go o słowo, dzięki któremu może zostać zbawiony, ten odpowiedział mu: „Siedź w swojej celi i oplakuj swoje grzechy”. Słowo *penthos* obecne jest w błogosławieństwach Jezusa: „Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni” (Mt 5,4). Główną praktyką duchowości pustyni była nieustanna modlitwa – napomnienie, aby modlić się nieustannie, pojawia się w wielu tekstach.

„Siedź w swojej celi i rób bez niepokoju to, co potrafisz”, a w innej wersji: „Starajmy się pracować pomalutku, a będziemy zbawieni” – czy ktoś zna lepsze rady? I wyjaśnienie: „Dlatego nie robimy postępów, że nie znamy własnej miary, ani nie mamy cierpliwości, aby skończyć zaczęte dzieło, ale chcielibyśmy zdobyć cnotę bez wysiłku”.

Większość Ojców Pustyni to asceci: „Ubóstwo, utrapienie, surowość życia i post: to są narzędzia rzemiosła monastycznego”, mówi abba Pojmen – przeciwnik ascetycznych skrajności i dodaje: „Przebywać w celi to znaczy wykonywać rękodzieło, jeść raz dziennie, zachowywać milczenie, medytować. Czynić wewnętrzne postępy w celi, to znaczy, aby każdy nosił zawsze i wszędzie poczucie grzeszności, przestrzegał godzin psalmodii, nie zaniedbywał modlitwy wewnętrznej. A gdy nadejdzie czas, aby przerwać pracę fizyczną, niech odda się psalmodii i niech to czyni spokojnie”. Jakie to proste i wspaniałe rady! Ojciec Pojmen układa swoje nauki w łatwe do zapamiętania triady.

Księgi apoftegmatów – opublikowano ich już ok. dwa i pół tysięcy, a wiele jest jeszcze w rękopisach – to prawdziwe kolekcje mądrości, jej wspaniały przekaz: „Brat starszy rzekł do abba Pojmena: »Kiedy przebywam tutaj u ciebie, napastują mnie myśli, mój ojciec, abym nie przychodził do ciebie«. Powiedział mu abba Pojmen: »Dlaczego?«. Odrzekł brat, mówiąc do abba Pojmena: »Dlatego, że przychodzę do ciebie, słucham twoich słów, ale nie wypełniam ich; niech nie będzie dla mnie twoje słowo potępieniem w owym dniu«. Rzekł mu abba Pojmen: »Powiedziałem o tym pewnego dnia do abba Makarego w Sketis i odrzekł mi abba

Makary: »Nie przestawaj jednak odwiedzać Starców, albowiem przyjdzie dzień, w którym jeśli będziesz chciał służyć Bogu, zwyciężysz dzięki słowu Starców. Jeśli nadal będą napastować ciebie myśli, wspomnij na słowa Starców, a znajdziesz pomoc przeciw myślom i będziesz zbawiony«”.

Słowo Starca miało wielką moc – podobne było do słowa proroka i uważane za słowo rozsądku dane od Boga. Ewagriusz z Pontu mówi, że „Starców naszych trzeba szanować jak aniołów, namaszczać nas bowiem przed walką i leczą ukąszenia dzikich bestii”. I tak jest.

K.M.

*Apoftegmaty Ojców Pustyni*, tom 4, zbiór anonimowy wydany przez François Nau, przekład Małgorzata Borkowska OSB, Ewa Dąbrowska, Maciej Pawlik OSB, wstęp Szymon Hiżycki OSB, Lucien Regnault OSB, William Harmless SJ, redakcja naukowa Szymon Hiżycki OSB, seria „Źródła monastyczne” pod redakcją ks. Marka Starowieyskiego, tom 64, „Starożytność”, tom 38, TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2013

Tom trzeci kazań niemieckiego Mistra Eckharta (ok. 1260–1327/1328) zawiera czwartą ich grupę, od 60 do 86. Każde z nich rozpoczyna werset lub kilka wersetów, a niektóre łączą się w krótki dialog. Najpierw są wyszczególniające punkty, a potem następuje ich rozwinięcie. Eckhart pisze m.in. o spoczynku, o trzech rodzajach poznania, które są właściwe duszy,

o mierze („Miarą zwiemy to, co w sobie coś mieści lub nie mieści”), o istocie miłości (*Gott ist die Liebe* i *Gott ist liebe*), o świetle i o aniołach, o Duchu Świętym i o tożsamości, o rozumie, woli i obrazowo o wolnej woli, o duszy, o poznaniu Boga i o łasce. Zwroty w języku niemieckim podawane w przypisach pokazują wieloznaczność i precyzję słów Mistrza z Hochheim. Jest też tak, że te same tezy uzasadnia innymi racjami i rozświetla je w kolejnych kazaniach (nawet w kilku pod rząd) – są one do siebie zbliżone tematyką, cytatami i argumentacją lub zawierają ciekawe przykłady warunków, które są niemożliwe do spełnienia. Oprócz odniesień do Biblii pojawiają się odwołania do pism m.in. Augustyna, umiłowanego przez Eckharta Franciszka, Bernarda, Grzegorza, Izydora, a także Pseudo-Dionizego, Boecjusza i mistrzów pogańskich – Arystotelesa, Demokryta czy Proklosa.

To wspinała mozaika, która prowadzi w głąb poznania. W kazaniu o miłości mówi: „Cielesny pokarm, który spożywamy, zmienia się w nas, natomiast pokarm duchowy, jaki przyjmujemy, przemienia nas w siebie”. W kazaniu 67, jednym z najtrudniejszych do interpretacji, w sposób przekonywujący i niezwykle mówi o miłości Boga, modlitwie i Jego działaniu w Osobach i w człowieku, stwierdzając, że: „Największą do-

skonałość, w duszy i ciele, osiągniemy wtedy, gdy człowiek zewnętrzny będzie całkowicie podtrzymywany przez osobowy byt, podobnie jak człowieczeństwo i Bóstwo Chrystusa stanowią jeden byt osobowy”. A w kazaniu następnym dodaje: „Nigdy niczego tak bardzo nie pragnął człowiek, jak Bóg pragnie doprowadzenia człowieka do poznania Boga. Bóg jest gotów w każdym czasie, my natomiast nie bardzo jesteśmy gotowi. Bóg jest blisko nas, ale my daleko. On jest wewnątrz, my na zewnątrz. On jest w nas u siebie, my na obczyźnie”. Pojawia się zwrot: *Bild und Urbild* – obraz i jego model lub obraz i rzecz, której jest obrazem i doskonała jedność między nimi, taka jaka jest np. między słońcem i światłem lub ogniem i ciepłem. Staramy się to wszystko pojąć w duchu teologii apofatycznej – Augustyn, odwołując się do sceny przemiany Szawła w świętego Pawła mówi: „Gdy święty Paweł nic nie widział, ujrzał Boga”, a Eckhart przedstawia te słowa następująco: „Gdy święty Paweł ujrzał nicość, zobaczył Boga”. W kazaniu 71 *Nicht* używane jest raz jako rzeczownik, raz jako zaimek odnoszący się do Boga, bądź do stworzeń. Gdy Paweł otwiera oczy, nic nie widzi, a Eckhart poprawia, że widzi nicość, która jest Bogiem, bo, uzasadnia, kiedy ujrzał Boga, to nazwał Go nicością. Bóg

jest Niczym, a równocześnie Czymś: „To, co jest Czymś, jest zarazem Niczym”. I tak jak stwierdza w kazaniu 72, prawdziwe poznanie Boga jest ponadwyobrażeniowe i ponadpojęciowe i ma charakter doświadczenia: „Syn jest Obrazem Boga przewyższającym wszelki obraz; stanowi On obraz Jego ukrytego Bóstwa. Dusza została uformowana na ten sam wzór co Syn-Obraz Boga i jest odbiciem tego samego wzoru. Otrzymuje ona z tego samego źródła, co Syn”. Bóg jest samą otwartością, nie ma w Nim niczego, jest tak wolny i pusty jak np. Świątynia uwolniona od kupców. W najdłuższym 86 kazaniu porównuje życie czynne, symbolizo-

wane przez Martę z kontemplatywnym, którego symbolem jest Maria i wbrew powszechnie przyjętej interpretacji i sensowi wypowiedzi Jezusa, z większym uznaniem mówi o Marcie, wyćwiczonej w twardej szkole życia, która wymaga praktykowania dobrych uczynków, a ideałem jest dla niego połączenie życia z kontemplacją.

Tom zamyka Bulla Jana XXII z 1329 roku, potępiająca 28 zdań Mistra Eckharta.

*K.M.*

**Mistrz Eckhart**, *Dzieła wszystkie*, tom III, przełożył Wiesław Szymona OP, Wydawnictwo W drodze, Poznań 2014

**Wydawca:**

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy przy finansowej pomocy  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6  
tel./fax 52 585 15 06;  
e-mail: [kwartalnik@kpck.pl](mailto:kwartalnik@kpck.pl)  
[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04  
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

**Warunki prenumeraty:**

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje  
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu  
i Urzędowi Miasta Bydgoszcz za pomoc finansową*



Województwo  
Kujawsko-Pomorskie



Miasto  
Bydgoszcz

Skład, łamanie, druk i oprawa: PPU MULTIGRAF s.c.  
ul. Bielicka 76 C, 85-135 Bydgoszcz, tel./fax 52 340 41 37

Fundacja Anima „Tygiel Kultury”  
 Ruth Eldar, *Ukryte skarby*, Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 2014  
 Bogumiła Dziekan, *Kółko graniaste*, Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 2014

Fundacja Duży Format  
 Joanna Jurewicz, *Róża*, Warszawa 2014

Fundacja Zeszytów Literackich  
 Anna Arno, *Okna*, Warszawa 2014  
 Maciej Miłkowski, *Wist*, Warszawa 2014  
 Wojciech Karpiński, *Obrazy Londynu*, seria „Podróże”, pod redakcją Marka Zagończyka, Warszawa 2014  
 Joanna Ugniewska, *Miejsca utracone*, Warszawa 2014

Państwowy Instytut Wydawniczy  
 Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, Utwory zebrane, tom 3, Warszawa 2014  
 Miron Białoszewski, *Chamowo*, Utwory zebrane, tom 11, Warszawa 2014

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
 Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, opracował Zbigniew Jerzy Nowak, Warszawa 2014  
 Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*, opracował Tadeusz Januszewski, Warszawa 2014  
 Julian Tuwim, *Zosia Samosia i inne wierszyki*, ilustrowała HA-GA, Warszawa 2014  
 Jarosław Iwaszkiewicz, *Brzezina i inne opowiadania*, Warszawa 2014

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu  
 Mieczysław Machnicki, *jest tylko gradobicie i deszcz perseidów*, Biblioteka „Toposu”, tom 103, Sopot 2014

Jerzy Górsański, *Wszystko jest we wszystkim*, Biblioteka „Toposu”, tom 104, Sopot 2014  
 Wojciech Kudyba, *Generacja źle obecna*, Biblioteka „Toposu”, tom 105, Sopot 2014

Wydawnictwo Igloo  
 Agnieszka Wolny-Hamkało, *Występy gościnne*, Wrocław 2014

Wydawnictwo Kurii Metropolitalnej w Katowicach  
 Barbara Gruszka-Zych, *Koszula przed kolana*, Biblioteka „Gościa Niedzielnego”, Katowice 2014

Wydawnictwo Literackie  
 Czesław Miłosz, *Księgi biblijne*, przekłady z języka greckiego i hebrajskiego – Księga Psalmów, Księga Hioba, Księga Pięciu Megilot, Księga Mądrości, Ewangelia według Marka, Apokalipsa, Kraków 2014

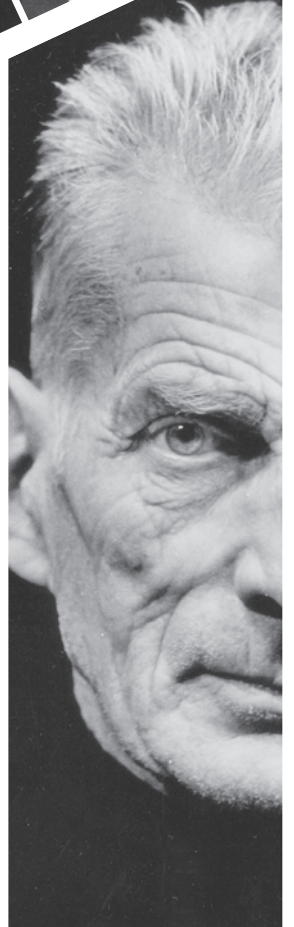
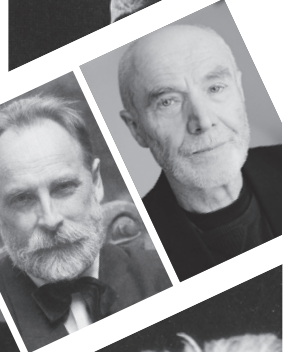
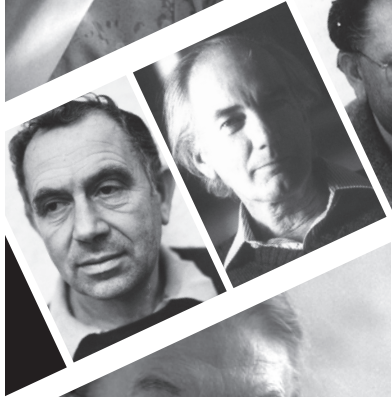
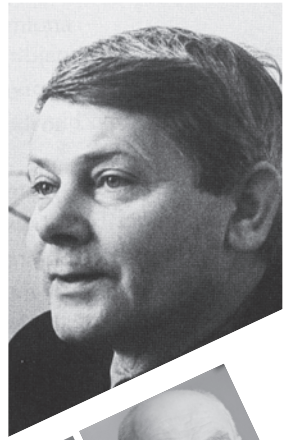
Wydawnictwo Medea  
 Krzysztof Czyżewski, *Miłosz. Tkanka łączna*, Chorzów 2014

Wydawnictwo MG  
 Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ilustracje Michał Elwiro Andriolli, Warszawa 2014

Wydawnictwo W drodze  
 Św. Grzegorz z Nazjanzu, *Opowieść o moim życiu*, z języka greckiego przełożyła Anna M. Komornicka, Poznań 2014

Wydawnictwo Zysk i S-ka  
 Józef Baran, Sławomir Mrozek, *Scenopis od wieczności*, postłowie Wojciech Ligęza, Poznań 2014







CENA 15 zł (w tym 5% VAT)